

Gortner C.W.

Mademoiselle Chanel

*Dla Melisse, jedynej znanej mi osoby,
która kocha Chanel bardziej niż ja.
I dla Jennifer,
która zawsze wierzy.*

„Moje życie mi nie odpowiadało, więc sama je sobie stworzyłam”.

GABRIELLE „COCO” CHANEL

PARYŻ

5 lutego 1954

Tłumy gromadzą się na dole. Słyszę tych wszystkich dziennikarzy, podekscytowane gwiazdy i wybranych krytyków, którzy dostali moje wytłaczane zaproszenia. Słyszę ich podniecone głosy, gwar, który pnie się po spirali schodów i dociera do mojego pogrążonego w chaosie atelier.

Otocza mnie dwanaście modelek w moich najnowszych kreacjach. Ich ciała zanurzone są w obłokach dymu papierosowego i moich słynnych perfum. Poprosiłam o ciszę i położyłam się na plecach, żeby sprawdzić długość rąbków i odciąć ostatnie zbłąkane nitki. Nie mogę myśleć, kiedy nade mną trajkoczą, ale nie sposób ich powstrzymać. Szarpią za ozdobione klejnotami paski czarnych sukien, pobrząkując bransoletkami i postukując perłami. W ich zachowaniu odzwierciedla się poruszenie, z którym sama nie mogę się zdradzić.

Podnoszę się, pozwalając, żeby wiszące na tasie nożyczki opadły mi na szyję. Wiem, jakie spekulacje trwają na dole: czy ona to zrobi? Czy ona może to zrobić? Ma siedemdziesiąt jeden lat. Nie zaprojektowała sukienki od lat piętnastu. Jak zdoła się podnieść, skoro upadła tak nisko?

No właśnie: jak?

Nie jest to dla mnie żadna nowość. Wielokrotnie się z tym mierzyłam. Oczekiwanie porażki, głód pochlebstw - to mój chleb powszedni. Zapalam kolejnego papierosa i robię przegląd stojących przede mną modelek.

- Ty - zwracam się do ciemnowłosej dziewczyny. Wydaje mi się, że w młodości byłam do niej podobna. - Masz za dużo bransoletek. Zdejmij jedną.

Rumieni się i wykonuje moje polecenie, a ja słyszę, jak mój ukochany Boy szepcze mi do ucha: „Pamiętaj, Coco, jesteś tylko kobietą”.

Jestem tylko kobietą, która musi się nieustannie zmieniać i tworzyć na nowo, żeby przetrwać.

Dostrzegam swoje odbicie w jednym z wiszących w pomieszczeniu luster: widzę swoją śniadą cerę i usta pomalowane czerwoną szminką, gęste brwi i lśniące złotobrazowe oczy. Moje ciało, odziane w ozdobiony frędzlami różowy kostium, wydaje się składać z samych krzywizn i kantów. Nic już nie zostało ze sprężystej, gładkiej skóry, którą miałam w młodości. Moje dłonie, ozdobione cennymi pierścionkami, są szorstkie i suche jak dłonie kamieniarza. Sękate, oszpecone setkami ukłuc igły - to dłonie chłopki z Owernii, którą w głębi serca pozostałam. Dłonie znajdy, sieroty, marzycielki, intrygantki. Odzwierciedlają to, kim jestem. Widzę wyryty na nich odwieczny konflikt między skromną dziewczyną, którą kiedyś byłam, a legendą, którą celowo wykreowałam, żeby nikt nie mógł zajrzeć w moje serce.

Kim jest Coco Chanel?

- *Allez!* - wołam.

Modelki ustawiają się w szeregu u szczytu schodów prowadzących do mojego salonu. Tak wiele razy nadzorowałam już ten rytuał, w ostatniej chwili rozprostowując rękaw, poprawiając kąt nachylenia kapelusza czy wygładzając kołnierzyk. Daję modelkom znak, po czym wycofuję się. Pojawię się dopiero wówczas, kiedy ucichną oklaski - jeżeli w ogóle będą jakieś oklaski.

Nie mogę już mieć co do tego pewności. Nie po tak długiej przerwie. Przyciągam kolana do klatki piersiowej, kładę papierosy obok siebie, tłumię brzęk

biżuterii i siadam u szczytu schodów, przekształcając się w ukrytego, samotnego widza - jakim zawsze byłam.

Czekając na to, co przyniesie przyszłość, pomyślę o swojej przeszłości. Postaram się w miarę możliwości trzymać prawdy, choć mity i plotki spowijają mnie w nie mniejszym stopniu niż moje słynne krepdeszyny i tweedy.

Postaram się pamiętać o tym, że mimo wszystkich swoich triumfów, mimo wszystkich błędów, które popełniłam - wciąż jestem tylko kobietą.

AKT PIERWSZY

CÓRKA NICZYJA

1895-1907

„NIE ŻAŁUJĘ, ŻE NA POCZĄTKU BYŁAM GŁĘBOKO NIESZCZĘŚLIWA”.

W dniu, w którym zmarła *maman*, bawiłam się na cmentarzu, ustawiając swoje lalki w szeregu. Teraz, kiedy miałam już prawie dwanaście lat, kukielki, które zrobiłam kiedyś z materiału i słomy, były brudne i wymięte. W zależności od sytuacji nadawałam im różne imiona. Tamtego dnia nazywałam je *mesdames les tantes*, paniami ciotkami - tak jak te odziane w czerń kobiety zgromadzone w naszej mansardzie i czuwające przy mojej matce, gdy wydawała z siebie ostatnie tchnienie.

- Ty siedź tutaj, a ty tutaj - nakazałam, opierając maleńkie ciała lalek o przewrócone nagrobki i wyobrażając sobie, że dyryguję *les tantes*.

Cmentarz był moim schronieniem, przeznaczonym dla zmarłych skrawkiem ziemi na skraju miasteczka, do którego przenieśliśmy się z moją matką i rodzeństwem po tym, jak porzucił nas papa. Przeprowadzaliśmy się tak często, że nie traktowałam już tego miejsca jak domu. Papa, obwoźny handlarz, często zniknął na długie miesiące, żeby sprzedawać swoje towary na rozmaitych targowiskach.

- Jestem stworzony do życia w drodze - powiedział któregoś razu, kiedy *maman* jak zwykle zaczęła suszyć mu głowę. - My, Chanelowie, wędrujemy od wielu pokoleń. Mam to we krwi. Czy naprawdę spodziewasz się, że zmienię nagle tryb życia?

Maman westchnęła.

- Nie do końca. Ale jesteśmy teraz małżeństwem, Albercie. Mamy dzieci. Papa roześmiał się. Uwielbiałam jego głośny, serdeczny śmiech.

- Dzieci łatwo się do wszystkiego przyzwyczajają. Nie przeszkadzają im moje podróże. Czyż nie, *ma Gabrielle*? - zapytał, odwracając się i puszczając do mnie oko. Byłam jego ulubienicą. Powiedział mi to, kiedy wziął mnie w swoje krzepkie ramiona, strzepując przy tym popiół z papierosa na moje grube czarne warkocze. Ja zaś tylko się roześmiałam. - *Gabrielle, mon petit chou*, moje maleństwo!

Po chwili postawił mnie na ziemi. On i *maman* znowu zaczęli się kłócić. Takie rozmowy zawsze kończyły się kłótnią i krzykami *maman*:

- W takim razie wyjedź! Wyjedź jak zawsze i zostaw nas na pastwę losu!

W takich chwilach zakrywałam zwykle uszy. W takich chwilach nienawidziłam matki. Jej łez, jej ściągniętej twarzy i zaciśniętych pięści, którymi wymachiwała, kiedy papa wybiegał wściekły z domu. Bałam się, że pewnego dnia nie wróci - właśnie przez nią. Nie rozumiała, że wyjeżdżał, bo nie miał wyboru. Jej miłość była jak dym bez płomienia. Nie pozwalała mu swobodnie oddychać.

Zawsze czekałam cierpliwie na powrót papy. Kiedy jednak wyjechał po raz ostatni, do naszego miasteczka dotarły plotki, że ktoś spotkał go przypadkiem w Lotaryngii i że Albert Chanel pracuje teraz w oberży. Widziano go tam w towarzystwie innej kobiety - ładacznicy. Nie wiedziałam, kim jest ładacznica, ale *maman* najwyraźniej wiedziała. Jej miłość wygasła. Jej łzy wyschły.

- Co za łajdak - wyszeptala.

Maman natychmiast spakowała cały nasz dobytek i zabrała mnie, moje dwie siostry - Julię i Antoinette - oraz moich braci Alphonse'a i Luciena właśnie tutaj, do Courpière, gdzie jej trzy owdowiałe ciotki cmokały nad nią i powtarzały:

- Widzisz, Jeanne? Ostrzegałyśmy cię. Mówiłyśmy, że on przyniesie ci same zmartwienia. To nie jest dobry człowiek. Co teraz poczniesz? Jak utrzymasz tę gromadkę, którą zostawił na twojej głowie?

- Papa na pewno wróci! - krzyknęłam tak głośno, że brzęknęły ich wyszczerbione filiżanki. - Właśnie że jest dobrym człowiekiem. Kocha nas!

- Ta dziewczyna to straszna chłopczyca - zawyrokowały ciotki jednym głosem. - Wdała się w ojca. Z niej też nie będzie nic dobrego.

Kaszląc i przykładając chusteczkę do ust, *maman* poprosiła, żebym wyszła pobawić się na dworze. Z dnia na dzień robiła się coraz chudsza. Nikła w oczach. Wiedziałam, że choruje, ale nie chciałam dopuszczać do siebie tej myśli. Posłałam gniewne spojrzenie ciotkom i wymaszerowałam z pomieszczenia - tak jak to często robił papa.

Odtąd *mesdames les tantes* trzymały się od nas z daleka. Ale kiedy kaszel nasilił się na tyle, że *maman* nie była w stanie dłużej pomagać szwaczce, ciotki znowu wkradły się w nasze życie. Opanowały cały dom, spowiły go w czerń i położyły *maman* do łóżka, z którego - jak twierdziły - miała już nigdy nie wstać.

- Czy *maman* umrze? - zapytała moja siostra Julia.

Miała trzynaście lat i choć była o rok starsza ode mnie, nieustannie się czegoś bała. Przerazały ją zimowe wichry, które spadały z furją na Courpiere, stukot furmanek, których koła rozpryskiwały błoto na nasze wystrzępione spódnice, a nawet podejrzliwe, rzucane ukradkiem spojrzenia ludzi z miasteczka. Najbardziej jednak Julia bała się śmierci. Tego, co nas czeka, kiedy zostaniemy same na świecie, pod opieką *les tantes*, które w okrutnym milczeniu przyglądały się, jak nasza matka stopniowo gaśnie.

- Ona nie umrze - zapewniłam. Miałam nadzieję, że jeżeli wypowiem te słowa na głos, to staną się prawdziwe.

- Ale przecież jest bardzo chora. Słyszałam, jak jedna z *tantes* mówiła, że zostało jej już niewiele czasu. Gabrielle, co z nami będzie?

Ścisnęło mnie w gardle. Miałam wrażenie, że ugrzązł w nim kawałek czerstwego chleba dawanego nam przez *maman*, kiedy w domu nie było nic innego do jedzenia. W takich sytuacjach wręczała mi zwykle kilka *centimes*, które udało jej się zaoszczędzić, i posyłała mnie do piekarza. Zabraniała mi zebrać i stale podkreślała, że mamy swoją dumę. Chleb, który dawał mi piekarz, zawsze był twardy i trudno się go jadło.

Właśnie tak się teraz czułam. Przełknij ślinę - pomyślałam. - Musisz przełknąć ślinę.

- Ona nie umrze - powtórzyłam, ale Julia zaszlochała, patrząc przez ramię na naszą zaledwie pięcioletnią siostrę Antoinette, która radośnie zrywała teraz chwasty rosnące między nagrobkami.

- One się nas na pewno pozbędą - powiedziała Julia. - Wyślą nas do sierocińca albo do jakiegoś jeszcze gorszego miejsca. Papa nigdy do nas nie wróci.

Zerwałam się na równe nogi. *Les tantes* wiecznie zrządziły, że jestem chuda jak szczapa, że wyglądam tak, jakbym nigdy nie miała w ustach porządnego posiłku. Czy naprawdę sądziły, że *maman* potrafi ot tak po prostu wyczarować jedzenie, dokonać czegoś, co mogłoby się równać z cudownym rozmnożeniem chleba i ryb? Chwyciłam jedną ze swoich lalek i potrząsnęłam nią przed nosem Julii.

- Nie wolno ci tak mówić. Papa wróci. Zobaczysz.

Moja siostra wyprostowała swoje wąskie ramiona. Zaskoczył mnie jej nagły, gwałtowny opór - bo choć Julia była z nas najstarsza, *maman* zawsze powtarzała, że jest chorobliwie nieśmiała.

- Gabrielle - zwróciła się do mnie ponuro. - Nie czas na fantazje. Nie czas na fantazje...

Słowa Julii rozbrzmiewały echem w mojej głowie, kiedy wlokłyśmy się do domu, wezwane przez jedną z ciotek, która wrzeszczała do nas z okna mansardy.

Słowniake zasłony w salonie zostały zaciągnięte. Stół opróżniono z przedmiotów służących *maman* do pracy: zniknęły szpule, igły i szablony, czyli to wszystko, czego na co dzień używała, by szyć suknie, na które jej samej nigdy nie byłoby stać. Ciotki wystawiły ciało naszej matki.

- Jej cierpienia dobiegły końca. Nie czuje już bólu. Nasza nieszczęsna Jeanne wreszcie zazna spokoju. - Jedna z ciotek skinęła na nas swoimi szponami. - Chodźcie, dziewczynki. Musicie pocałować matkę na pożegnanie.

Zamarłam. Nie mogłam się ruszyć choćby na krok, tkwiłam nieruchomo w drzwiach salonu. Julia podeszła tymczasem do stołu i nachyliła się nad nim, składając pocałunek na fioletowych ustach *maman*. Antoinette zaczęła rozpaczliwie szlochać. Sześćioletni Lucien, który stał w kącie, miażdżył w dłoni swoje cynowe żołnierzyki, a dziewięcioletni Alphonse przypatrywał się całej tej scenie kompletnie oszołomiony.

- Gabrielle - ponagliły mnie *les tantes*. - Podejdz tu w tej chwili.

Ich głosy łopotały nade mną jak skrzydła gwałtownie pikujących kruków, które postanowiły mnie zadziobać. Wpatrywałam się w ciało matki, w jej złożone na piersi ręce, jej zamknięte oczy i zapadnięte, woskowe niemal policzki. Patrząc na nią nawet z pewnej odległości, pomyślałam, że ludzie, którzy twierdzą, iż zmarli zaznają spokoju, najzwyczajniej w świecie kłamią.

Zmarli niczego nie czują. Odchodzą na zawsze. Wiedziałam, że już nigdy nie zobaczę *maman*. Już nigdy nie pogłaszczę mnie ona po włosach i nie powie: „Gabrielle, dlaczego masz wiecznie rozplecione warkocze?”. Już nigdy nie zajrzy nocą do naszego pokoju, żeby sprawdzić, czy nie marzniemy. Już nigdy nie będzie się mozolnie wspinała po schodach, obładowana koszami, i nie rozda maluchom ciastek z cukrem, żebyśmy mogły z Julią spokojnie pomóc jej w pracy. Już nigdy nie wyjaśni mi, na czym polega różnica między ścięciem do obrębiania a ścięciem dzierganym, nigdy nie zaśmieje się swoim charakterystycznym cichym śmiechem, kiedy Julia przyszyje rąbek swojej spódnicy do ubrania, które będzie właśnie łątała. *Maman* odeszła na zawsze, a nas nie miał kto pocieszać. Zostaliśmy sami - z ciotkami i stygnącym ciałem *maman*.

Odwróciłam się na pięcie i zaczęłam biec. Słyszałam za plecami krzyki *les tantes*, walących laskami w podłogę. Lucien poszedł w ślady szlochającej już od pewnego czasu Antoinette, ale ja nie spojrzałam nawet w ich stronę. Nie zatrzymałam się. Pomknęłam w dół, po schodach, otworzyłam drzwi i ruszyłam przed siebie. Biegłam tak długo, aż dotarłam na cmentarz i padłam na kolana przy nagrobku, na którym zostawiłam swoje lalki. Chciałam płakać. Nie posłuchałam ciotek i nie pocałowałam matki na pożegnanie, musiałam więc teraz za nią zapłakać, żeby wiedziała, że ją kochałam.

Łzy jednak nie nadchodziły. Kopnęłam lalki, przykucnęłam, oparłam się o nagrobek i czekałam. Zapadał zmierzch, ja zaś wpatrywałam się w zakurzoną drogę prowadzącą do miasteczka.

Papa na pewno wróci. Musi wrócić. Nigdy by nas nie zostawił.

Trzy dni później, kiedy wrócił papa, zebraliśmy się wszyscy w nędznym salonie, przy tym samym stole, na którym leżało ciało *maman*. Papa nie zjawił się na pogrzebie.

- To przez pracę. Miałem wiele na głowie - wyjaśnił cmokającym ciotkom. Ale był wreszcie przy nas, a ja wczepiłam się w jego dłoń, wdychając zapach potu i tytoniu. Wrócił, tak jak przewidywałam. Byliśmy bezpieczni.

- Co teraz poczujesz? - zapytały *les tantes*. - Twoja żona leży w grobie, a ty zostałeś z całym tym stadkiem, które musisz samotnie wychowywać.

Papa milczał przez dłuższą chwilę, po czym odpowiedział:

- Co proponujecie, *mexdames*? - Podskoczyłam na krześle. - Pracuję w oberży - dodał. - Nie znajdzie się tam kąta dla dzieci.

- Oberża - powiedziała jedna z ciotek - to nie miejsce dla nich. Jedyne rozwiązanie to Aubazine. Niech zdobędą umiejętności, które pozwolą im samodzielnie się utrzymywać i uniknąć losu ich matki.

Zobaczyłam, że Julia nagle pobladła, i zrozumiałam, że Aubazine to na pewno sierociniec - albo coś jeszcze gorszego.

- Ale przecież nie jesteśmy sierotami - zaprotestowałam, rozkoszując się przerażeniem malującym się na twarzach ciotek. Nie obchodził ich nasz los. Chciały się nas pozbyć, ale wiedziałam, że papa im na to nie pozwoli. Udowodni im, że się mylą.

Zwróciłam się do ojca:

- Wytłumacz im, że musimy z tobą zamieszkać. - W swoim głosie usłyszałam błagalny ton, który usiłowałam ukryć. Wydawało się, że papa nie wie, co powiedzieć. Po chwili wymamrotał:

- Gabrielle, teraz rozmawiają dorośli. Musisz nam zaufać. Mamy na względzie przede wszystkim wasze dobro.

My? - Wpatrywałam się w niego zdziwiona. A on mówił dalej:

- Aubazine? - Przeniósł wzrok na ciotki, które siedziały w szeregu jak moje lalki na cmentarzu. - I uważacie, że zakonnice przyjmą...?

- Na pewno - odpowiedziały, z przekonaniem kiwając głowami. - Nie mogą zrobić nic innego. Święte siostry z Aubazine poświęciły temu życie.

- Hmm. - Kiedy papa odchrząknął, ciarki przeszły mi po plecach. - A chłopcy.?

- Zawsze znajdują się rodziny chętne do przygarnięcia chłopców - odparły ciotki, a ja ścisnęłam dłoń ojca, dostrzegając okrutną determinację w oczach *les tantes*.

- Papo, proszę - powiedziałam, zmuszając go, żeby na mnie spojrział. - Nie będziemy dla ciebie ciężarem. Zawsze śpimy razem, więc nie potrzebujemy dużo miejsca. Julia może się zajmować Antoinette i Lucienem, a ja i Alphonse będziemy ci pomagać. Bez przerwy pomagaliśmy *maman*. Szyłam razem z nią, a poza tym... załatwiałam różne sprawunki. Jestem w tym dobra. Mogę dla ciebie pracować. Nie sprawimy ci kłopotu - powtarzałam. Mówiłam coraz szybciej, bo dostrzegłam w jego oczach chłód, który sprawił, że serce zabiło mi mocniej.

Cofnął rękę. Nie zrobił tego gwałtownie. Jego palce po prostu wysunęły się z mojej dłoni, jak zbyt luźno związane nitki. Dalej ścisnęłam kurczowo pustkę. Wreszcie odezwał się cicho:

- Nie mogę. Nie ma dla was miejsca. - Kiedy to mówił, wydawało się, że jest już gdzieś daleko.

Wstał, a gdy podniosłam wzrok, zastygła w bezruchu na krześle, odwrócił się i skierował

do drzwi. Zerwałam się na równe nogi i podbiegłam do niego, usiłując złapać go za rękę i wołając:

- Proszę, nie zostawiaj nas!

Uniósł wzrok ponad moją głowę, uśmiechnął się do ciotek, starannie unikając mojej dłoni.

- *Mesdames* - powiedział - dopilnujecie wszystkiego, prawda? Przygotujecie niezbędne ubrania i resztę rzeczy?

Ciotki pokiwały głową na znak zgody. Papa spojrział na mnie i wyszeptał:

- *Mon petit choux*.

Zmierzył mi włosy, a potem wyszedł. Nie mogłam się ruszyć. Nasłuchiwałam, jak na schodach stopniowo cichły jego kroki. Jedna ze stojących za moimi plecami ciotek warknęła:

- Ona nie ma za grosz wstydu. Jest bezczelna do samego końca.

Nie czekałam. Zanim zdążyły mnie opaść i pochwycić, pomknęłam za papą. Ale kiedy wybiegłam na ulicę, nie mogłam go już dostrzec. Rozglądałam się za jego oddalającą się sylwetką i wciśniętym na głowę kapeluszem.

Zniknął, tak jakby nigdy się nie pojawił. Nagle zapadła ciemność. Zrobiło mi się zimno. W tamtej chwili zrozumiałam, że Julia miała rację.

Skończył się czas fantazji.

Ciotki nie pozwoliły mi go szukać - natychmiast zbiegły na dół i zaciągnęły mnie z powrotem na poddasze. Kopałam i wrywałam się, ale one zamknęły drzwi na klucz i kazały nam się pakować. Wyciągnęły poszarpaną walizkę, której używaliśmy już tak wiele razy, po czym rzuciły ją na łóżko.

- Wykluczone - oznajmiłam. - Nienawidzę was. Przez was umarła moja matka. Zabiłyście ją.

- Gabrielle, proszę, przestań - wyszeptała Julia.

Ale ja patrzyłam na ciotki z wściekłością. Wreszcie jedna z nich rzuciła:

- Jeżeli natychmiast nie wykonasz polecenia, oddamy cię śmieciarzowi. Chciałabyś całymi dniami sortować śmieci? Powiedziałaś ojcu, że umiesz pracować. Więc do roboty.

Moi bracia skulili się w kącie pokoju, a Julia pociągnęła mnie za rękę.

- Gabrielle - błagała. - Chodź. Spakujmy się. To nie potrwa długo.

Odwróciłam się plecami do ciotek, które zgromadziły się tymczasem przy stole, żeby nas pilnować, i zajęłam się oglądaniem tych kilku sztuk ubrań, które do mnie należały: bile jakich strojów nieustannie łatanych i cerowanych przez *maman*.

Następnego ranka zjawił się nieznajomy - stary człowiek w berecie, z papierosem w zębach. Ledwo zdążyliśmy przytulić Alphonse'a i Luciena na pożegnanie, zanim ciotki wepchnęły nas na wóz. Mężczyzna kazał nam usiąść z tyłu, na stosie twardych płóciennych worków wypchanych mąką.

- Siedźcie spokojnie - poinstruował.

Zobaczyłam, jak jedna z ciotek wyjęła z portmonetki pieniądze i podała je mężczyźnie. Rozpoznałam tę materiałową portmonetkę: należała do mojej matki.

Poczułyśmy gwałtowne szarpnięcie i wóz ruszył naprzód. Julia przyciągnęła do siebie Antoinette, a woźnica zaczął popędzać batem muła o kościstym grzbiecie. Wyjechaliśmy na poraną koleinami górską drogę. Nieustannie nami trzęsło i kurczowo się w siebie wczepialiśmy. Opuściły mnie resztki odwagi. O zmierzchu wóz wreszcie skręcił i wjechał na zakurzoną ścieżkę, a po chwili zatrzymał się przed potężną, drewnianą bramą osadzoną w wysokim murze.

Nie zdążyłam się nawet przyjrzeć kamiennej wieży ani pierścieniowi otaczających ją budynków, bo całą moją uwagę pochłonął widok grupy kobiet w czarnych habitach i białych welonach. Podczas gdy mężczyzna rozładowywał worki z mąką, zakonnice zaprowadziły nas do środka. Na dziedzińcu zostałyśmy rozdzielone: Julię i mnie zabrały do jednego skrzydła, a Antoinette do drugiego. Nasza siostra była jeszcze dzieckiem - jak wyjaśniły - i powinna mieszkać razem z innymi dziećmi.

Julia była blada ze zmęczenia.

- To nie jest miejsce dla nas - powiedziałam.

Jedna z towarzyszących nam zakonnice odwróciła się do mnie i wyszeptała:

- W idealnym świecie nie byłoby to miejsce dla żadnego dziecka. Ale musicie tu zamieszkać i z czasem się do tego przyzwyczaić.

Zaprowadziła nas do dormitorium, gdzie zwróciło się w naszą stronę sto twarzy takich jak nasze. Zacisnęłam pięści.

- Jesteśmy tu na krótko - oznajmiłam, chociaż nikt o nic nie pytał. - Tata po nas przyjedzie, zobaczcie.

Julia mnie uciszyła.

- Gabrielle, przestań to ciągle powtarzać.

Kiedy zdmuchnięto świece, a olbrzymie pomieszczenie wypełniło się chrapaniem i westchnieniami pozostałych dziewcząt, zaczęłam płakać, chowając głowę pod poduszkę, żeby nikt mnie nie usłyszał. W ciągu dnia, gdziekolwiek spojrzalam, widziałam tylko czerń, biel oraz rozmaite ich odcienie. Czerń unoszących się w powietrzu habitów zakonnice; czerń naszych prostych, skromnych mundurków; wykrochmaloną biel pościeli, złożonej w szafach albo rozciągniętej na naszych wąskich pryczach; biel lśniących niczym aureole welonów zakonnice. A do tego wszystkie odcienie szarości, mieniającej się na kamiennych podłogach i w monotonnych głosach tych, które miały się nami opiekować.

W pierwszych tygodniach byłam nieustannie przygnębiona. Tęskniłam za braćmi i za zamieszaniem, które zawsze nam towarzyszyło. Tęskniłam za *maman*. Prowadziliśmy burzliwe życie, ale mimo to za nim tęskniłam.

- Jesteśmy bezpieczne - powiedziała Julia któregoś wieczoru. - Nie rozumiesz? Nie może nam się tu stać nic złego.

Nie chciałam tego rozumieć. Nie chciałam tego zaakceptować, bo oznaczałoby to, że papa nigdy już nie wróci. Oznaczałoby to, że nas porzucił.

- Tu jest okropnie - oznajmiłam. - Nie znoszę tego miejsca.

- Nieprawda. - Leżąc na sąsiednim łóżku Julia wyciągnęła do mnie rękę i ścisnęła moją dłoń. - Czy to nie lepiej, że tu trafiłyśmy? Co byśmy zrobiły zupełnie same na świecie? Kto by się nami opiekował?

Odwrociłam się.

- Po prostu się postaraj - poprosiła. - Jesteś z nas wszystkich najsilniejsza. *Maman* zawsze powtarzała, że na tobie polega. Obiecuj mi, że się postarasz, Gabrielle. Antoinette i ja cię potrzebujemy.

Kochałam swoje siostry, więc się starałam. W następnych tygodniach próbowałam się uśmiechać i spełniać wszystkie polecenia. Wstawałam przed świtem, kiedy zaczynały bić dzwony, mozolnie wspinałam się po schodach i wlokłam się na prymę brukowaną alejką prowadzącą do kaplicy. Później szłyśmy do jadalni na śniadanie, po którym przychodził czas na lekcje, obiad i popołudniowe obowiązki. Wreszcie ruszałyśmy do kaplicy na nieszpory, potem wracałyśmy do jadalni na kolację, a o zmroku kładłyśmy się do łóżek - żeby o świcie znowu wstać i zacząć wszystko od nowa. Nigdy nie działo się nic ekscytującego, ale wraz z upływem czasu zaczęłam zauważać, że nie działo się też nic złego. Ciotki nie przychodziły nas zrugać, a właściciele nie walili do drzwi, domagając się zaległego czynszu. Po raz pierwszy w życiu wiedziałam, gdzie powinnam być w danej chwili i czego się ode mnie oczekuje. Miałam ustalony porządek dnia - i choć był on niezmienny i monotony, ku mojemu zaskoczeniu okazał się też

kojący.

Mijały kolejne tygodnie, potem zaś miesiące, a klasztor w Aubazine stał się niepostrzeżenie moim domem.

Po raz pierwszy mieszkałam w miejscu, gdzie panowała taka czystość - sterylna czystość ługowego mydła, którym myłyśmy się każdego ranka, gałązek rozmarynu, które wtykano w pościel, i wody, którą szorowano krużganki. Myszy nie biegały tu za ścianami pokrytymi łuszczącą się farbą, w naszych włosach i prześcieradłach nie roilo się od wszy i pcheł, a brud z ulicy nie przenikał do środka przez nieszczelne okna i drzwi. Życie w Aubazine było co prawda nieciekawe, monotonne i przewidywalne - ale zarazem spokojne.

Nie posiadałam się ze zdziwienia, widząc, ile mogę zjeść. Podawano nam trzy posiłki dziennie: owsiankę i zupę; świeży kozi ser i ciepły chleb prosto z pieca; owoce i warzywa z klasztornych ogrodów; słone szynki i pieczonego kurczaka; a w okresie świąt Bożego

Narodzenia słodki pudding z rodzynkami. Ciągłe było mi mało. Musiałam nauczyć się ukrywać głód, podobnie jak ukrywałam niezadowolenie, odrzucając gesty przyjaźni i wiernie trwając przy Julii, która powtarzała:

- Widzisz? Tu jest naprawdę miło.

I rzeczywiście w Aubazine było miło, choć nie chciałam tego otwarcie przyznać. Stawałam jednak przed pewnymi wyzwaniem. Nasze wykształcenie wyraźnie ucierpiało na tym, że w dzieciństwie tak często się przeprowadzaliśmy. Przekonałam się, że nauka przychodzi mi z trudem - inaczej było z Julią, wypełniającą swoje zeszyty równymi literami, przy których moje wydawały się krzywe i niechlujne. Zakonnica, która opiekowała się naszą klasą, siostra Bernadette, kazała mi zostawać codziennie godzinę dłużej, ale mimo wszystkich tych wysiłków czułam się tak, jakby moja dłoń miała kilka dodatkowych kciuków.

- Musisz się bardziej przykładać, Gabrielle - ganiła mnie siostra Bernadette. - Nie lubisz pisać, więc się nie starasz. Jeżeli chcemy coś osiągnąć, zawsze powinniśmy się starać.

Starać się, starać, starać. Nieustannie to słyszałam. Martwiłam się, bo z najsilniejszej spośród rodzeństwa - jak twierdziła Julia - stałam się nagle kimś, kto z niczym sobie nie radził.

Zafascynowała mnie natomiast lektura. Czytałam coraz więcej, a kiedy już pochłonełam wszystkie baśnie dla dzieci, zaczęłam regularnie odwiedzać klasztorną bibliotekę, gdzie przerzucałam kolejne tomy. Książki przenosiły mnie w miejsca, o których istnieniu nie miałam pojęcia. Pochłaniałam ich tyle, ile tylko mogłam - od żywotów świętych po mity i opowieści

O bohaterach. Polubiłam nawet procesje do kaplicy, które odbywały się tu dwa razy dziennie. Fascynowały mnie tajemnicze symbole związane z historią klasztoru - na przykład pięcioramienna gwiazda i wszystkie inne zdobienia widniejące na kamiennych płytach, którymi wyłożona była alejka. Natomiast sama modlitwa, podobnie jak lekcje, była dla mnie prawdziwą udręką.

Zamykałam oczy i próbowałam rozmawiać z Bogiem. Pytałam Go, czy tata wróci i czy zobaczę jeszcze swoich braci. Chciałam czuć Jego obecność. Zakonnice ciągle nam powtarzały: Bóg was słyszy. Słucha was, kiedy się modlicie. Ale nigdy nie czułam niczego poza twardym drewnianym klęcznikiem pod kolanami. Niezależnie od tego, jak bardzo się starałam, słyszałam tylko własny głos, rozbrzmiewający echem w moich myślach. Zerkalam na pozostałe dziewczęta

I widziałam, że ich pełne ufności twarze rozświetlały się tak, jakby patrzyły na raj. Podczas modlitwy Julia zawsze zdawała się przenosić gdzieś indziej, jakby Bóg zwracał się bezpośrednio do niej.

Dlaczego nie odnajdywałam podobnej pociechy? Dlaczego Bóg ignorował moje modlitwy?

Szukałam sposobu, który pozwoliłby mi udowodnić swoją wartość. Zaczęłam zauważać, że w swoim uporządkowanym świecie zakonnice najbardziej ceniły te dziewczęta, które robiły wokół siebie najmniej zamieszania - a zwłaszcza te, które potrafiły całymi godzinami ozdabiać monogramami ślubne wyprawki. Siostry z Aubazine doskonale szyły i otrzymywały wynagrodzenie za swoją pracę, co z kolei pomagało utrzymywać sierociniec.

Ach te monotonne, powtarzane w nieskończoność ruchy igły i nici! Wyobrażałam sobie piętrzące się pod sufity sterty ubrań - wszystkie te prześcieradła i poszewki na poduszki, pończochy i fartuchy, halki i bluzki. Skąd brały się wszystkie te rzeczy? Pływały bez chwili przerwy, jak woda napędzająca młyn. W pewnym momencie przestałam już czuć swoje zgrubiałe palce i ukłucia igły na dłoniach. Każdego dnia rzucałam się do pracy z żarliwością, którą siostra Bernadette chciała u mnie widzieć także podczas nauki gramatyki. Jednak to właśnie szycie okazało się moim żywiołem. Mama często powtarzała, że mam pewne dłonie, idealnie nadające się do operowania igłą.

Pewnego razu kazano mi obrębić całe prześcieradło. Pod koniec dnia siostra Thérèse, która zwykle nas nadzorowała, zaczęła krążyć między rzędami i sprawdzać efekty naszej pracy. W pewnej chwili przystanęła przy mnie i sięgnęła po złożone prześcieradło.

- Wspaniały ścieg. Kto nauczył cię tak szyć, Gabrielle?

- Moja matka. Była szwaczką, a ja czasem jej pomagałam.

- Widzę. Masz ogromny talent. Ile masz lat?

- Prawie czternaście, siostrze. - Wypowiedziałam te słowa z pewnym zaskoczeniem. Jak to się stało, że ostatnie dwa lata minęły tak szybko?

Wyciągnęła rękę i przyjrzała się moim palcom.

- Drobnie dłonie, idealne do szycia. - Uśmiechnęła się do mnie. - Jeżeli nadal będziesz robiła takie postępy, niewykluczone, że pewnego dnia zostaniesz pomocnicą kupca bławatnego albo nawet szwaczką z własnym warsztatem. Chciałabyś tego?

Nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiałam. Zawód szwaczki przywodził mi na myśl smutny los mojej matki: cerowanie cudzych ubrań i marne wynagrodzenie, które ledwo wystarczało na nasze utrzymanie. Teraz, kiedy mogłam się codziennie najadać do syta, nie chciałam już nigdy więcej zaznać głodu. Ale własny warsztat...

- Tak, siostrze - odpowiedziałam cicho. - Chyba tak.

- To dobrze. Następnym razem poproszę cię, żebyś wyhaftowała chusteczkę. Porządna szwaczka powinna znać wszystkie tajniki swojego zawodu. - Spojrzała na mnie surowo. - To dotyczy także gramatyki i matematyki, więc mam nadzieję, że zaczniesz się przykładać do lekcji z siostrą Bernadette.

Odetchnęłam z ulgą, kiedy ruszyła w stronę kolejnych uczennic. Skoro siostra Thérèse uważała, że dam sobie w życiu radę, może tak właśnie będzie.

Moja determinacja wzrosła jeszcze bardziej, kiedy zobaczyłam, jak siostra Thérèse przystanęła obok Julii i potrząsnęła głową, oglądając jej poszewkę. Dłonie mojej siostry, tak dobrze radzące sobie z piórem, zupełnie nie potrafiły obchodzić się z igłą. Julia posłała mi pełne zniechęcenia spojrzenie, a Marie-Claire, dziewczyna z jasnymi kręconymi włosami, która spała w naszym dormitorium i była ulubienicą zakonnice - w ich obecności zachowywała się wzorowo, a kpiła z nich, gdy tylko nadarzyła się okazja - syknęła do mnie:

- Ścieg na twoim prześcieradle wcale nie jest równy. Nigdy nie zostaniesz szwaczką. Nigdy nikim nie zostaniesz.

Nie znosiła mnie, bo nie chciałam dołączyć do grona jej admiratorek, a ja z kolei nią gardziłam, bo bezlitośnie szydziła z Julii. Usiłowałam chronić swoją siostrę, ale w miarę jak zaokrąglały się jej biodra i powiększały piersi (ja tego bynajmniej nie doświadczałam - byłam nadal płaska jak deska), wzmagala się także zazdrość pozostałych dziewcząt. Antoinette mieszkała w skrzydle dziecięcym, ale Julia miała już piętnaście lat i była właściwie kobietą, a jej piękne rysy i nieśmiałość sprawiały, że inne dziewczęta chętnie obierały ją za cel swych ataków. Marie-Claire i jej przyjaciółki wrzucały do butów Julii szmatki z krwią menstruacyjną i tańczyły w kręgu wokół niej, kpiąc z jej miesiączek. Przestały dopiero, kiedy rzuciłam się na nie i zagroziłam, że powybijam im zęby.

Przyjrzałam się ściegowi, o którym wspomniała Marie-Claire, i uświadomiłam sobie, że miała rację: był rzeczywiście nierówny. Zaczęła dławić mnie wściekłość. Miałam ochotę pociąć prześcieradło, ale zamiast tego nachyliłam się nad nią i powiedziałam:

- Wiem, co robisz nocami pod kołdrą. Wyrośniesz na ladacznicę. Zostaniesz poddana egzorcyzmom jak diabelskie siostry z Loudun.

Choć nie wiedziałam jeszcze, kim jest ladacznica, wnioskowałam z lektur, że musi być kimś nieprzyzwoitym, a rumieniec na twarzy Marie-Claire utwierdził mnie w przekonaniu, że się

nie myliłam. Posłałam jej triumfalny uśmiech.

Marie-Claire postanowiła natychmiast poskarżyć się siostrze Thérèse:

- Gabrielle Chanel to wstrętna dziewczucha! Powiedziała, że jestem opętana, a potem nazwała mnie ladacnicą!

- Gabrielle! - zawołała siostra Thérèse i natychmiast zaprowadziła mnie do przeoryszy.

- Czy to prawda? - zapytała po chwili przeorysza, pulchna kobieta z pękiem kluczy u pasa.

- Tak, wielebna matko - odpowiedziałam, uświadamiając sobie, że właśnie teraz, kiedy wreszcie odkryłam cel swojego życia, zostanę wyrzucona z klasztoru ze względu na swoje zachowanie.

- No cóż, żadna porządna dziewczynka nie używa takich słów. Skąd je znasz?

- Z biblioteki, wielebna matko. Ja. Lubię czytać.

- Czytać? - powtórzyła przeorysza.

Nie zdawała sobie sprawy, że na obecnym etapie potrafiłabym już wymieniść wszystkie dokonania Karola Wielkiego, a także przedstawić historię klasztoru od czasu jego założenia przez Stefana z Aubazine aż po zbezczeszczenie podczas rewolucji. Nie chciałam się tym jednak chwalić, bo wiedziałam, że i to zostałyby uznane za niestosowne.

- Często czytasz, moje dziecko? - Zadała to pytanie spokojnym, beznamiętnym tonem. Nie potrafiłam odgadnąć, czy chciała dodać mi odwagi, czy raczej mnie usidlić.

Spuściłam wzrok. Jak mogłam wyznać prawdę i powiedzieć, że lektury są dla mnie ucieczką, bo tak naprawdę nigdy nie chciałam tu przyjeżdżać?

- Tylko po to, żeby umocnić swoją wiarę - wyszeptalam po dłuższej chwili.

- Rozumiem. - W jej głosie wychwyciłam wyraźną ulgę. - Poszukiwanie Bożej prawdy jest godne pochwały, jeśli nie prowadzi do pokus. W sercu skromnej dziewczyny nie ma miejsca na jakiegokolwiek aspiracje. Musimy nauczyć się podporządkowywać woli Najwyższego.

Jej słowa dusiły mnie jak kawałek drutu. Skoro aspiracje były grzechem, czy oznaczało to, że nie ma już dla mnie nadziei? Czyż nie modliłam się o to, żeby odnaleźć coś, w czym byłabym dobra?

- Odtąd będziesz miała ograniczony dostęp do biblioteki. Staraj się mniej czytać i więcej czasu poświęcać modlitwie. I nie mów więcej o diabłach. Czy wyraziłam się jasno? - dodała, kiedy ruszyłam do drzwi. - Straszysz pozostałe dziewczynki. Powinnaś zachowywać umiar. Mam wrażenie, że za dużo myślisz, Gabrielle. Musisz nauczyć się przyjmować swój los z pokorą.

Równie dobrze mogłaby mnie poprosić, żebym złapała księżyc na różaniec. Mimo to starałam się odtąd okazywać skruchę i pokorę. Miałam nadzieję, że jak to często w takich przypadkach bywało, ograniczenia będą stopniowo znoszone. Po obiedzie stara siostra Geneviève, która nadzorowała bibliotekę, drzemała zwykle na swoim stołku i nigdy nie słyszała, jak przemykałam się na palcach obok niej z książką ukrytą pod fartuszkim. Czytałam w zakamarkach, kiedy wszystkie pozostałe dziewczęta bawiły się na podwórku, skacząc na skakance. Czytałam nocami pod kołdrą, przy ogarku, który mógł spowodować pożar w całym dormitorium. Czytałam podczas mszy, udając, że trzymam w ręku zbiór hymnów, i ryzykując swoim życiem wiecznym. Pozostałe dziewczęta doskonale o tym wiedziały, ale żadna nie odważyła się na mnie donieść. Wiedziały, co powiedziałam Marie-Claire. One też miały swoje sekrety.

Należało ich tylko poszukać.

Siostra Thérèse wręczyła mi na próbę chusteczkę i pokazała książkę z wzorem przedstawiającym kamelie.

- Chciałabym, żebyś wyhaftowała je wzdłuż krawędzi. Możesz to zrobić? Pokiwałam głową, studiując wzór tak długo, aż zapamiętałam jego kształt. Nie zważając

na pełne niechęci spojrzenia rzucane mi od czasu do czasu przez Marie-Claire, która obrębiała tymczasem kolejną bluzkę, nawlekłam igłę i zaczęłam wyszywać wzór na chusteczce. Wymagało to niezwykle skrupulatności. Dotąd tylko kilka razy haftowałam coś dla matki, głównie proste motywy na mankietach rękawów, ale w tym przypadku chodziło o misterny, wymagający szczególnej precyzji wzór o zaokrąglonych rogach. Kilkakrotnie popełniałam błędy, które musiałam korygować. Ilekroć podnosiłam wzrok, widziałam triumfalny uśmiezek Marie-Claire, więc zaciskałam zęby i pracowałam dalej. Zamierzałam wykonać to zadanie, nawet gdybym miała potem umrzeć - chciałam pomachać jej gotową chusteczką przed nosem. Ale kiedy skończyłam pierwszą kamelię, a siostra Thérèse podeszła do mnie i powiedziała: „Och tak, Gabrielle, ślicznie”, zapomniałam o Marie-Claire i o całej reszcie świata. Zniknął warsztat, zniknęły krokwie pod sufitem, bielone ściany, duży krucyfiks wiszący nad drzwiami i rzędy stołów, przy których siedziały dziewczęta. Byłam tylko ja i moja igła wyszywająca kamelię jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Kiedy podniosłam wzrok, kompletnie oszołomiona, zorientowałam się, że zostałam sama w pomieszczeniu.

Wstałam, krzywiąc się z bólu. Dały mi się we znaki długie godziny spędzone w bezruchu. Siedząca w kącie siostra Thérèse podniosła się ze stołka i podeszła do mnie.

- Skończyłaś? - zapytała, a ja kiwnęłam głową, uświadamiając sobie nagle, że zapomniałam o wszystkim poza pracą.

Opuściłam modlitwę i wyglądało na to, że ominęła mnie także kolacja. A teraz miałam zapewne usłyszeć, że nie przeszłam pomyślnie tej próby.

Sięgnęła po chusteczkę i odwróciła ją, uważnie oglądając maleńkie supelki. Następnie przyjrzała się wyszytemu przeze mnie wzorowi. Po chwili wyszeptwała:

- Idealnie. - Ku mojemu zaskoczeniu do oczu napłynęły jej łzy. - Po prostu idealnie, moje dziecko. Nigdy nie widziałam, żeby którakolwiek z dziewcząt szyła równie dobrze.

Nie miałam pojęcia, co powiedzieć. Ta pochwała była tak niespodziewana, że pozostało mi tylko spojrzeć na chusteczkę, którą trzymała siostra Thérèse, i wymamrotać:

- To... to nie było trudne, kiedy już zrozumiałam, jak to zrobić.

- Nie było trudne? To jeden z najbardziej skomplikowanych wzorów, jakie udało mi się znaleźć! Kamelia to święty symbol naszego zakonu i choć rośnie w tutejszych ogrodach, niewiele osób potrafi odwzorować ją w taki sposób. - Zamilkła, a po chwili zwróciła się do mnie tak cicho, że ledwo zdołałam ją usłyszeć. - Czy Bóg do ciebie przemawia, moje dziecko?

Spojrzałam jej w oczy. Wreszcie pojawiła się moja szansa: okazja na zdobycie trwałej nagrody. Gdybym skłamała, mogłabym zostać nowicjuszką, a potem zakonnica, odgradzoną od świata i bezpieczną do końca życia. Ale siostra Thérèse była tak przejęta, że nie potrafiłam jej okłamać.

Nie mówiąc nic, potrząsnęłam tylko głową. Westchnęła.

- To nie jest kara. Bóg kocha nas wszystkie. Nie może prosić, żeby każda z nas Mu służyła. Niektóre z nas musi też wysyłać w świat.

Podniosłam głowę i wyszeptalam:

- Boję się.

Nigdy nie przyznałam się do tego nikomu, nawet Julii. Strach był moim wrogiem, bo mógł się we mnie zakorzenić i już nigdy nie zniknąć. Siostra Thérèse uśmiechnęła się.

- Nie powinnaś się bać. Musisz wiedzieć, że będziemy o ciebie dbały nawet wtedy, gdy już nas opuścisz. Najlepiej zapowiadające się dziewczęta zostaną w dniu swoich osiemnastych

urodzin wysłane do innych klasztorów, gdzie będą mogły doskonalić swoje umiejętności. Niektóre z was mają nawet szansę, by pójść do terminu. To nasz obowiązek. Nie chcemy, żeby wychowywane tu dziewczęta się zagubiły.

- Naprawdę? - zapytałam niepewnie. Pokiwała głową.

- Zrobimy, co w naszej mocy. Nie obawiaj się. Serce podpowiada mi, że nie masz po temu powodów. Twój talent może cię uratować, moje dziecko. Bóg niewątpliwie cię kocha, Gabrielle. Nie powinnaś w to nigdy wątpić.

Wiosną i latem w niedzielne popołudnia wypuszczano nas poza bramy klasztoru. Nie potrafiłam zrozumieć, dlaczego musiałyśmy przebywać w zamknięciu. Nie mogłyśmy donikąd uciec: Aubazine otaczały przecież tylko góry i lasy. Dokąd miałybyśmy pójść, skoro każda z nas dysponowała tylko dwiema parami butów i pończoch, dwiema koszulami, płaszczem, rękawiczkami i wełnianą czapką, a także pojedynczym mundurkiem, który nosiłyśmy tak długo, aż szwy się rozeszły?

Dziewczęta zawsze niecierpliwie czekały na uroczyste otwarcie bram. Pośród zgiełku i wrzawy wypadałyśmy na świeże powietrze, wydając pełne radości okrzyki, których nie mogły stłumić napomnienia zakonnice - i puszczałyśmy się biegiem na szczyt wznoszący się nad doliną. Po chwili otwierałyśmy kosze piknikowe i podawałyśmy sobie chleb oraz ser. Nawet zakonnice siadały z nami na trawie i wystawiały twarze na słońce.

Właśnie podczas jednej z takich wycieczek, pod koniec lipca, niedługo przed moimi osiemnastymi urodzinami, Julia oznajmiła nagle:

- Niedługo wyjedziesz.

Spojrzałam na nią ze zdziwieniem. Moczyłyśmy nogi w rzece, która zasilala klasztorny staw rybny i której wody wezbrały w ostatnim czasie pod wpływem topniejących śniegów. Tylko przy takich okazjach mogłyśmy zdejmować buty i pończochy poza dormitorium.

- Urodziny mam dopiero w sierpniu. A poza tym skoro ty dotąd nie wyjechałaś, dlaczego uważasz, że ja to zrobię? - Zastanawiałam się, dlaczego się na to nie zdecydowała. We wrześniu skończyła osiemnaście lat i obie niecierpliwie czekałyśmy na dzień, w którym wezwie ją przeorysza. Ale nie nadchodził.

- Postanowiłaś wstąpić do zakonu? - zapytałam.

Nie byłam pewna, jak zareaguję, jeżeli potwierdzi moje przypuszczenia. Wyglądało na to, że Julia zamierzała spędzić resztę życia w Aubazine. Ja sama, od czasu rozmowy z siostrą Thérèse, coraz częściej myślałam o życiu poza murami klasztoru. Wiara zakonnicy w moje umiejętności krawieckie dodała mi pewności siebie i choć bliżej nieokreślona przyszłość wciąż budziła moje obawy, z coraz większą niecierpliwością wyczekiwałam dnia, w którym będę mogła zacząć nowe życie.

Julia westchnęła.

- Gdybym tylko mogła. - Zamilkła na chwilę. - A ty? Siostra Thérèse bez przerwy cię chwali. Ostatnio nawet siostra Bernadette mniej od ciebie wymaga.

- Siostra Bernadette po prostu się poddała. Zrozumiała wreszcie, że nigdy nie zdołam porządnie opanować ani gramatyki, ani kaligrafii.

- Nie odpowiedziałas na moje pytanie, Gabrielle. Odwzajemniłam jej spojrzenie.

- Nie - rzekłam po dłuższej chwili. - Nie czuję powołania. To nie dla mnie. Zamierzałam jej wyznać, co powiedziała mi siostra Thérèse. Z jakiegoś powodu nie

zdecydowałam się dotąd powiedzieć Julii, że zdaniem zakonnicy po opuszczeniu klasztoru będę w stanie samodzielnie się utrzymać. Kiedy Julia ponownie się odezwała, zrozumiałam już, dlaczego wolałam jej o tym nie mówić:

- Siostry nie wiedzą, co ze mną zrobić. Nie umiem dobrze szyc, więc dokąd mogłabym pójść? Jeżeli mnie teraz wypuszczą. - Zamilkła. Podobnie jak ja, martwiła się o to, co przyniesie przyszłość. - Ale ty - dodała, delikatnie się do mnie uśmiechając - ty możesz wszystko. Masz prawdziwy dar.

Wybuchnęłam śmiechem, którego siła przstraszyła mnie prawie tak samo, jak Julię. Przypominał śmiech mojego ojca i wydawał się zbyt donośny i ochryply, żeby mógł wydobywać się z mojej wątlej klatki piersiowej. Podobnie jak zakonnice, zwykle zachowywałam powagę i rzadko dawałam upust swojemu rozbawieniu.

- Skąd ten pomysł? To, że potrafię obrębić spódnicę albo wyhaftować jakiś wzór, naprawdę niczego nie dowodzi.

- Ależ dowodzi. - Julia wypowiedziała te słowa z taką samą powagą, z jaką zwróciła się do mnie tamtego dnia na cmentarzu, po śmierci naszej matki. - Nawet jeśli sama jeszcze tego nie widzisz albo nie chcesz widzieć, dostrzega to siostra Thérèse. A także wielebna matka.

- Ha! - Poruszyłam palcami u nogi. Zaczynały stopniowo marznąć, ja jednak nie chciałam jeszcze wyjmować stóp z wody. - Wielebna matka nie pozwala mi chodzić do biblioteki. Kazała mi kilka dodatkowych godzin dziennie poświęcać modlitwie i uczyć się na pamięć listów apostołskich. Na pewno nie uważa, żebym miała jakikolwiek dar. - Uświadomiłam sobie, że w chwili, w której to powiedziałam, czekałam z zapartym tchem, aż Julia zaprotestuje. Siostra Thérèse mówiła, że jestem bardziej uzdolniona od wszystkich dziewcząt, które do tej pory uczyła. Czy naprawdę uważała, że zostałam obdarzona szczególnym talentem?

- Wielebna matka wystawia cię tylko na próbę, bo wie, że jesteś inna. Wie, że wszystko kwestionujesz. I wie, że nadal wykradasz książki z biblioteki.

- To niemożliwe!

Moja siostra zmarszczyła brwi.

- Siostra Geneviève nie jest ślepa. Wszyscy wiedzą, że każdą wolną chwilę poświęcasz na czytanie. Świeca, którą chowasz pod kołdrą, nie jest niewidzialna, podobnie jak namiot, który budujesz z prześcieradeł, żeby ukryć to, co robisz.

- No cóż, przynajmniej nie robię tego, co Marie-Claire - prychnęłam. Julia raz jeszcze westchnęła.

- Wyślą cię do innego klasztoru, a potem pójdziesz do terminu. Nie skończysz jak *maman*. Ani jak ja. Wzięłam ją za rękę.

- Cokolwiek by się działo, nigdy nie zostawię ani ciebie, ani Antoinette. Jeżeli nie będziesz mogła zostać w klasztorze, znajdziemy ci coś innego. I nie pozwól, żeby Marie-Claire i jej przyjaciółki tobą pomiatały. Robią to tylko dlatego, że myślą, iż jesteś słaba.

Spojrzała na nasze splecione dłonie.

- Nie jestem taka jak ty, Gabrielle.

- W takim razie musisz się tego nauczyć. Ludzie chętnie wykorzystują cudze słabości. Zakonnice zaczęły nas wołać - musiałyśmy już wracać. Podczas gdy pozostałe

dziewczęta natychmiast się poderwały i pomknęły przed siebie w pomiętych spódnicach, Julia i ja włożyłyśmy pończochy i buty, po czym powoli ruszyłyśmy w dół zbocza w kierunku miejsca, gdzie czekały na nas siostry zakonne.

Kiedy już dołączyłyśmy do procesji, która skierowała się w stronę klasztoru, zwróciłam się do Julii:

- Nie wiem, czy mam dar, ale zrobię wszystko, żebyśmy były bezpieczne.

- Wiem - odpowiedziała, nie podnosząc głowy. - Nie wątpię, że będziesz próbowała. Dzień moich osiemnastych urodzin zaczął się tak jak pozostałe: bicie dzwonów na wieży,

odmawiana w północy modlitwa w kaplicy, śniadanie, a potem lekcje i inne obowiązki. Haftując powłóczkę na poduszkę, nieustannie zerkałam w kierunku drzwi - spodziewałam się, że w każdej chwili może mnie do siebie wezwać przeorysza. Nie byłam w stanie skupić się na pracy, a siostra Thérèse musiała mnie w końcu zbesztać:

- Gabrielle, co w ciebie wstąpiło? Spójrz, co narobiłaś. To do ciebie niepodobne. Zerknęłam na kawałek materiału, który trzymałam w rękach, i zobaczyłam płataninę nitek i supłów.

- Rozpruj to wszystko i zacznij od nowa - nakazała siostra Thérèse. - Natychmiast. Od czasu triumfu z kamelią, którą wyhaftowałam na chusteczce, rzadko popełniałam jakiegokolwiek błędy - a jeżeli już do tego dochodziło, to właśnie ja miałam do siebie największe pretensje. Głód perfekcji kazał mi pracować tak długo, aż idealnie wykonam zadanie. Tym razem jednak poczułam, że nie mam siły dłużej szyć.

- Źle się czuję - powiedziałam. - Chyba zaszkodziła mi owsianka, którą jadłam na śniadanie. Czy mogę pójść do toalety?

- Tak, tak, ale wróć szybko. - Siostra Thérèse dała mi znak, żebym wyszła. Ruszyłam przed siebie szybkim krokiem, mocując się z kołnierzykiem. Miałam wrażenie,

że w płucach brakuje mi powietrza. Przemierzałam ten labirynt przejść i korytarzy nieskończenie wiele razy, idąc przez krążganki, które otaczały dziedziniec z fontanną. W powietrzu unosił się zapach rosnących w ogrodzie białych kamelii. To miejsce znałam niemal tak dobrze, jak własne ciało - tajemnic nie miały przede mną nawet wytarte mozaiki zdobiące kamienne płyty, po których chodzono od setek lat.

Tamtego dnia z jakiegoś niezrozumiałego powodu postanowiłam na chwilę przystanąć i zaczęłam im się przyglądać, usiłując rozszyfrować wzór, który miałam przed sobą - tak jakbym chciała w ten sposób stłumić dziwną ulgę i rozczarowanie, które jednocześnie odczuwałam. Najwyraźniej przeorysza uznała, że nie jestem jeszcze gotowa. Podobnie jak w przypadku Julii chciała, żebym została w klasztorze do czasu, aż odnajdę w sobie powołanie albo osiągnę odpowiedni wiek i moje odejście stanie się koniecznością.

- Widnieje na nich cyfra pięć.

Gwałtownie się odwróciłam, zaskoczona tym, że nie jestem już sama.

- Nie wiedziałaś o tym? - zapytała przeorysza, a w jej głosie wychwyciłam delikatną kpinę. - Myślałam, że zdążyłaś już przeczytać wszystko, co miała do zaoferowania nasza biblioteka, i doskonale zdajesz sobie sprawę ze znaczenia tych liczb.

Raz jeszcze przyjrzałam się mozaikom.

- Pięć? - Dopiero teraz dostrzegłam nieustannie powtarzający się na nich symbol pięcioramiennej gwiazdy. - Dlaczego właśnie ta cyfra?

- Gdybyś poświęcała katechizmowi tyle samo uwagi co innym sprawom, wiedziałabyś, że to nasza najświętsza liczba, ucieleśnienie boskiego Stworzenia. Wiatr, ziemia, ogień, woda

i najważniejszy spośród nich: duch. Wszystko, co wokół siebie widzimy, składa się z tych pięciu żywiołów. Piątka to najświętsza cyfra na firmamencie. - Dała mi znak. - Chodź. Wzywałam cię już wcześniej, ale siostra Thérèse poinformowała mnie, że źle się czułaś i wyszłaś z klasy.

Nie zapytała o przyczynę mojego złego samopoczucia. Ruszyłam za nią w milczeniu, a serce biło mi tak mocno, że miałam ochotę przyłożyć sobie dłoń do klatki piersiowej, aby je uspokoić.

Kiedy dotarliśmy do gabinetu, przeorysza wskazała mi stołek przy biurku. Usiadłam, ona zaś podeszła do okna. Długo się nie odzywała - zaczęłam się już nawet obawiać, że zamierza ukarać mnie za nieposłuszeństwo i zabronić mi przekraczania progu biblioteki. Niespodziewanie oznajmiła:

- Mam dobre wieści. Bóg postanowił okazać miłosierdzie tobie i twoim siostram, chociaż zapewne wątpisz w Jego opiekę.

A zatem chciała, żebym wstąpiła do zakonu. Podjęła w moim imieniu decyzję dotyczącą mojej przyszłości. Ściany zaczęły mnie gwałtownie osaczać. Byłam wdzięczna za to, że

zakonnice zapewniły mi opiekę, stabilność i schronienie, że dały mi szansę na poznanie samej siebie. Pogodziłam się nawet z faktem, że ojciec już po nas nie wróci i że nigdy nie zamierzał tego zrobić. Wciąż jednak musiałam opiekować się siostrami. Nie mogłam tego robić jako zakonnica.

Odwróciła się do mnie.

- Napisałam do twoich krewnych. Minęło sporo czasu, zanim zdołałam ich odnaleźć, ale wreszcie odpisali. Są gotowi przyjąć cię pod swój dach.

- Krewnych? - powtórzyłam. - Nie mam krewnych, wielbna matko. Wypowiedziałam te słowa z przekonaniem. Dawno już przestałam oczekiwać

czegokolwiek od ojca, doskonale też pamiętałam dzień, w którym odesłały nas tu siostry naszej matki. Chciały się nas pozbyć, bo byliśmy dla nich ciężarem, odpowiedzialnością, której nikt nie chciał na siebie wziąć.

- Mylisz się. - Sięgnęła po leżącą na biurku kartkę. - Siostra twojego ojca, *madame* Louise Costier, napisała, że jest skłonna umieścić ciebie i Julię w szkole z internatem. Prowadzą ją siostry z klasztoru Najświętszej Marii Panny w Moulins i uczy się tam obecnie siostra *madame* Costier, Adrienne. Możecie spędzać razem święta i dni wolne, a za jakiś czas macie szansę pójść do terminu, co pozwoli wam w przyszłości znaleźć stałe zatrudnienie.

Czekała na moją reakcję. Zacisnęłam dłonie na kolanach. To samo powiedziała w przeszłości siostra Thérèse. Właśnie na taką wiadomość czekałam. Mimo to, nie patrząc nawet na list, który przeorysza trzymała w ręku niczym dowód na boską ingerencję w moje życie, odparłam stanowczo:

- Nie znam żadnej Louise Costier. Ktoś musiał wprowadzić wielbłądą matkę w błąd. Coś mnie podkusiło, żeby zwrócić się do niej w ten sposób, choć doskonale wiedziałam,

że nikt nie zdołałby oszukać przeoryszy. Jednocześnie czułam jednak, że muszę zobaczyć dowód na własne oczy. Nie wierzyłam, że mam krewnych, którzy byliby gotowi mnie przyjąć. Gdzie oni się podziewali przez ostatnich siedem lat?

- Z całą pewnością nie zostałam wprowadzona w błąd. Przypuszczam, że o tym nie wiesz, ale rodzice twojego ojca żyją niedaleko Moulins. Louise jest ich najstarszą córką. Zapewniła mnie, że gdyby tylko wiedziała, że ty i twoje siostry tu przebywacie, już dawno przyjechałaby was odwiedzić.

Wbiłam paznokcie w dłoń. Odwiedzić? Przyjechałaby w odwiedziny, zamiast przyjąć nas pod swój dach? A zatem miałam rację. Nie chciałam jej widzieć. Uznałam, że Louise Costier jest równie wstrętą osobą, jak nasze pozostałe ciotki - kolejną duszą skrojoną z tego samego sztywnego materiału.

Przeorysza wyczuła najwyraźniej mój gniew, bo powiedziała:

- Widzę, że jak zwykle wolisz się buntować. Martwię się o ciebie, bo twoja natura sprawia, iż nigdy nie czujesz się usatysfakcjonowana. Mimo to siostra Thérèse zapewnia mnie, że Bóg nad tobą czuwa i że niepotrzebnie się o ciebie obawiam. - Wciąż nie wręczyła mi listu, a ja z trudem się powstrzymywałam, żeby nie doskoczyć do niej i nie wyrwać jej kartki, którą trzymała w ręce. - Przygotuj się do wyjazdu. Przekaż te wieści Julii. I postaraj się nie napełniać jej głowy swoimi niestosownymi wątpliwościami. Czy wyraziłam się jasno?

- Tak, wielbna matko.

Wstałam, choć nogi odmawiały mi posłuszeństwa. Odwróciłam się do drzwi, ale nagle znieruchomiałam, przytłoczona tym, co się przed chwilą wydarzyło. Wiedziałam, że bramy klasztoru, które się właśnie przede mną otworzyły, zamkną się za mną już na zawsze, jeśli nie wrócę tu, błagając o przyjęcie do zakonu. Odkąd tu przyjechałam, marzyłam tylko o tym, żeby się stąd wydostać. Teraz, kiedy nadeszła wreszcie ta chwila, wahałam się. Co będzie, jeśli

przegram? Co stanie się ze mną, Julią i Antoinette? Moją jedyną bronią była igła - ta jednak z całą pewnością nie zdołała uratować *maman*. Czy mogłaby mnie ocalić?

Zebrałam się na odwagę i odwróciłam się. Przeorysza - być może po raz pierwszy, odkąd przekroczyłam próg tego pomieszczenia - dostrzegła na mojej twarzy strach, który starałam się dotąd ukryć.

- A co z Antoinette? - zapytałam.

- Ona też pojedzie do Moulins, kiedy skończy naukę w naszym klasztorze. - Przeorysza zamilkła, a po chwili odezwała się nieco łagodniejszym tonem: - Pamiętaj, przed czym cię ostrzegałam, Gabrielle. W sercu skromnej dziewczyny nie ma miejsca na aspiracje. Powinniśmy dążyć do najprostszych rzeczy.

Ruszyłam do drzwi. Siedziała nieruchomo przy biurku, nadal trzymając w dłoni list od ciotki, której nigdy nie poznałam.

Była moim lustrzanym odbiciem, odzwierciedleniem tego, jak bym wyglądała, gdyby rozpieszczano mnie od urodzenia i gdyby los dał mi nie tylko rodziców, ale także kochającą starszą siostrę i jej troskliwego męża. Była ucieleśnieniem porządnej, dobrze wychowanej dziewczyny.

Nazywała się Adrienne Chanel. Miałam ochotę zniechęcić ją już w chwili, kiedy po raz pierwszy ją zobaczyłam.

Wybiegła na dwór, żeby powitać nas po trzydniowej podróży do nowej przyklasztornej szkoły z internatem w Moulins. Być może przyjąłabym z niechęcią kolejne mury, kolejną wieżę dzwoniczną i kolejny dziedziniec za podwójną bramą, gdybym nie była tak pochłonięta jej szczupłą figurą i burzą gęstych włosów równie czarnych jak moje. Zachowywała się tak, jakbyśmy znały się przez całe życie, a na powitanie mocno nas uściśnęła i ucałowała w oba policzki. Jeszcze przez wiele godzin czułam na sobie jej lawendowe perfumy.

- Wspaniale, że wreszcie jesteście! - zawołała.

Obserwowałam jej twarz, oczy o gęstych rzęsach i wydatne usta, szukając jakichkolwiek oznak nieszczerości. Nie mogłam obwiniać jej o to, że nie przyszła nam z pomocą. Kiedy zmarła nasza matka, Adrienne była jeszcze małą dziewczynką, moją rówieśnicą. A mimo to bardzo pragnęłam ją za to obwiniać.

- Wreszcie jesteśmy rodziną. Nie powinniśmy się nigdy więcej rozdzielać. Zauważyłam, że Julia lgnęła do Adrienne całym swoim jestestwem. Wiedziałam, że

powinam odetchnąć z ulgą - do tej pory moja siostra nieustannie zamartwiała się o naszą przyszłość - ale po raz kolejny poczułam w głębi serca dziwne ukłucie. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że to zazdrość.

Nawet gdybym to wiedziała, prędzej odgryzłabym sobie język, niżbym się do niej przyznała. Przecież nigdy nikomu nie zazdrościłam. Jak mogłabym nagle zamarzyć o tym, by przypominać moją czarującą ciotkę?

W następnych tygodniach nie mogłam przed nią w żaden sposób uciec. Ponieważ miałyśmy po osiemnaście lat, nocowałyśmy w tym samym dormitorium. Wkrótce przekonałam się, że było ono przeznaczone dla dziewcząt z ubogich domów, podczas gdy w „lepszem” dormitorium w sąsiednim skrzydle mieszkały dziewczęta z zamożnych rodzin, które płaciły za ich edukację. Czułam się tak, jakbym wróciła do Aubazine, do toczącej się tam rywalizacji i wewnętrznych konfliktów. Wiedziałam, że stanę się szybko celem ataków, bo byłam nowa, uboga i pełna gniewu: jednym słowem inna.

Adrienne torowała mi jednak drogę z zadziwiającą swobodą.

- Nie zwracaj na nie uwagi - poradziła.

Zmierzałyśmy właśnie na lekcję, a Julia dreptała za nami. Bogate dziewczęta o pełnych policzkach i głowach ozdobionych groteskowymi kapelusikami zadzierały nosa, kiedy je mijaliśmy, i komentowały głośno: „Czuję pieczone kasztany”. Odnosiły się w ten sposób do naszego chłopskiego pochodzenia. W Aubazine natychmiast bym się na nie rzuciła, ale Adrienne po prostu przy nich przystanęła i powiedziała śpiwnym głosem:

- Och, Angélique, cóż za urocza *capote*.

Adresatka tego niespodziewanego komplementu natychmiast się zarumieniła, zawstydzona swoim zachowaniem, a następnie wymamrotała:

- Dziękuję, Adrienne. Uszyła ją twoja siostra, *madame Costier*.

- Naprawdę? - uśmiechnęła się Adrienne. - No cóż, wyglądasz prześlicznie. Idealnie do

ciebie pasuje.

- Prześlicznie? - powtórzyłam z niedowierzaniem, kiedy już ruszyliśmy dalej. -Dlaczego to powiedziałeś? Ten czepek zupełnie do niej nie pasował. Wyglądała w nim jak muł z martwym bocianem na głowie.

Adrienne roześmiała się. Nawet jej wspaniałe perlisy śmiech skutecznie nas od siebie odróżniał, choć z wyglądu byliśmy do siebie niepokojąco wręcz podobne.

- Och, Gabrielle, jesteś przezabawna. Wyglądała groteskowo, prawda? Ale czasem lepiej nie wyjawiać tego, co naprawdę myślimy. Jaki byłby ten świat, gdyby wszyscy otwarcie mówili o tym, co im się nie podoba?

- Świat, w którym ludzie nosiliby ładniejsze nakrycia głowy? - wymamrotałam, choć musiałam przyznać, że miała rację. Ta umiejętność zjednywania sobie nawet najbardziej niechętnych jej ludzi stanowiła cechę, której byłam kompletnie pozbawiona i która wydawała mi się niebezpiecznie pociągająca.

Nocą, kiedy już zamknięto drzwi dormitorium, a dziewczęta zaczęły plotkować w niewielkich grupkach, Adrienne podeszła do mojego łóżka i wsunęła się pod kołdrę.

- Opowiedz mi coś - wyszeptła. Zdezorientowana jej nagłą bliskością, powiedziałam:

- A dlaczego myślisz, że mam co opowiadać?

- Nie wstydź się. - Wyciągnęła rękę i uszczypnęła mnie w nos. - Julia mówiła mi, że przeczytałaś wszystkie książki z biblioteki w Aubazine. Musisz znać wiele ciekawych historii.

A więc Julia się jej zwierzała. Dlaczego mnie to nie dziwiło?

- Wszystkie historie, jakie znam, dotyczą męczenników albo świętych - odparłam, nie chcąc tak łatwo ulegać jej prośbom. - Na pewno i ty je znasz, w końcu tu też jest biblioteka.

- Och, unikam czytania jak ognia - wyznała, a ja przyjąłem to wyznanie ignorancji z nieklamana satysfakcją.

- W ogóle nie czytasz?

- Nie. - Oparła się na poduszce, a włosy rozsypały się wokół jej twarzy. - Nie przepadam za książkami. Wolę słuchać opowieści. To bardziej ekscytujące. Mam wtedy wrażenie, że bohaterowie stoją przede mną jak na scenie.

Nagle opuścił mnie entuzjazm i przekonanie, że udało mi się odkryć jej słabość.

- Nie, nie znam żadnych opowieści - powtórzyłam, zerkając na nią kątem oka, tak jak przyglądałam się dziewczętom z Aubazine. - Czy ciotka Louise naprawdę robi kapelusze? -zapytałam po chwili.

- Nie robi ich sama - wyjaśniła Adrienne. - Ozdabia kapelusze na zamówienie miejscowych kupców i krawców. W sezonie dostaje też zlecenia z Vichy, bo w tamtejszych sklepach brakuje rąk do pracy. Byłaś kiedyś w Vichy? - zapytała, a kiedy posłałam jej gniewne spojrzenie, szturchnęła mnie w żebra. - Nie marszcz ciągle brwi. Zrobią ci się zmarszczki na czole, a jesteś przecież całkiem ładna. Poza tym na pewno odwiedzisz niedługo Vichy. Louise jeździ tam dwa razy w roku, żeby dostarczać zamówienia i kupować potrzebne dodatki. Często jej towarzyszę. Zobaczysz, na pewno ci się tam spodoba.

Ledwie zwróciłam uwagę na obietnicę podróży do Vichy.

- Ty... ty naprawdę uważasz, że jestem ładna? - Nie mogłam znieść swojego desperackiego tonu, ale czekałam w napięciu, aż mi odpowie.

Adrienne oparła się na łokciu i uważnie mi się przyjrzała.

- Tak. Masz delikatne, szlachetne rysy, a mimo to wyglądasz inaczej niż wszyscy.

- Julia mówi, że wyglądam tak jak ty. Mówi, że jestem bardziej podobna do ciebie niż do niej.

- Naprawdę? - Adrienne wydawała się szczerze zaskoczona. - No cóż, pewnie rzeczywiście jest między nami rodzinne podobieństwo. Zresztą jak mogłoby go nie być? Twój ojciec to przecież mój najstarszy brat! Nic dziwnego, że wyglądamy jak siostry. Mamy te same ciemne oczy i oliwkową skórę, no i te niesforne włosy. - Zachichotała. - Ale to tylko pozorne podobieństwo. Wydaje mi się, że tak naprawdę bardzo się od siebie różnimy.

Po raz kolejny Adrienne dała mi się poznać od innej strony, ujawniając cechy, których się nie spodziewałam.

Oparła się o mnie i powiedziała:

- Pewnie uważasz, że to, co mówię, jest nieznośnie prowincjonalne.

Oniemiałam. Czyżby zapomniała, że przyjechałam z klasztoru na kompletnym odludziu?

- Kim chciałabyś zostać, kiedy już stąd wyjedziemy? - zapytała. - Spędzimy tu już tylko dwa lata. Uważam, że powinnaś być aktorką. Albo *grande cocotte*. Tak, to by do ciebie pasowało! Mogłabyś chodzić do opery obwieszona perłami i rzucać mężczyzn na kolana jednym spojrzeniem tych swoich odważnych czarnych oczu.

Musiałam się roześmiać. Nie mogłam się powstrzymać. Przyciskając dłoń do ust, zaczęłam chichotać tak gwałtownie, że rozkołysałam całe łóżko. Kiedy już się uspokoiłam i uniosłam głowę, zauważyłam, że Adrienne cierpliwie mi się przyglądała.

- Nie zamierzam zostać... jak to określiłaś?

- *Grande cocotte* - powtórzyła. - Kurtyzaną.

- Tak, no cóż, nie zamierzam nią zostawać ani rzucać mężczyzn na kolana. Wydaje mi się, że sama mogłabyś robić to zdecydowanie skuteczniej.

- Och, nie. - Potrząsnęła głową. - Ja chcę tylko wyjść za mąż z miłości.

A jednak miała w sobie odrobinę głupoty. Małżeństwo z miłości było zwykłą fantazją, której mogły się oddawać tylko naiwne kobiety. Nawet ja to wiedziałam.

- Zawsze marzyłam o tym, że poznam mężczyznę, który straci dla mnie głowę - mówiła dalej, nieświadoma lekceważenia, jakie budziły we mnie te słowa. - Kogoś przystojnego

i szarmanckiego, niekoniecznie bogatego czy nawet wysoko urodzonego, choć to by oczywiście nie zaszkodziło. Ale powinien to być przede wszystkim mężczyzna dobry i troskliwy, który ożeni się ze mną, bo nie będzie mógł beze mnie żyć.

- Rozumiem - odpowiedziałam oschle. - A czy ten twój szarmancki rycerz ma jakieś imię?

- Jeszcze nie. - Spojrzała mi w oczy i uśmiechnęła się do mnie. - Ale kiedyś się pojawi, nie mam co do tego wątpliwości. Poznamy się i.

- I rzuci cię na kolana - wtrąciłam, a kiedy się wzdrygnęła, dodałam łagodniej: - Albo ty jego. W końcu na jedno wychodzi. Tak przynajmniej słyszałam.

Rozpromieniła się.

- A ty? Opowiedziałam ci o swoim marzeniu. Teraz twoja kolej.

- Ja. ja nie mam żadnych marzeń - odparłam niepewnie. - Wiem tylko, że chcę coś w życiu robić.

- Robić? - powtórzyła, tak jakby nie mogła zrozumieć, co mam na myśli.

- Tak. Być kimś.

Nigdy dotąd się nad tym nie zastanawiałam, nie zdawałam sobie nawet sprawy z tego, że w mojej głowie kłębiły się takie pragnienia. Przypuszczałam, że Adrienne zacznie się ze mnie śmiać, bo moje marzenie wydawało się bardziej absurdalne od tego, które mi wyjawiała. Byłam ubogą kobietą. Powinnam zadowolić się pracą dla kogoś, co i tak stanowiłoby w moim przypadku duże osiągnięcie.

Wyglądało jednak na to, że Adrienne dopuszczała taką możliwość.

- Myślę, że tak się stanie - powiedziała po chwili. - Wierzę, że możesz robić, co tylko zechcesz.
Musisz tylko dostać szansę.
- A z szansami jest tak, jak z historiami w książkach - odparłam. - Wystarczy którąś wybrać.
- Myślę, że już to zrobiłaś. Chcesz być kimś.
Pocałowała mnie w policzek, po czym odchyliła kołdrę i wróciła do swojego łóżka.

Varenes-sur-Allier było niewielkim miasteczkiem. Widywałam już podobne miejsca w dzieciństwie: płatanina pobielonych, wtulonych w siebie domów i sklepików opasanych drogą, nad którą wzbijały się kłęby pyłu, ilekroć przejeżdżał tamtędy powóz kierujący się do innych, ciekawszych miejsc.

Niedaleko zajazdu i stacji kolejowej, na której pracował wuj Costier, stał stary kościół. W otoczonym przez pola miasteczku mężczyźni zdejmowali na nasz widok berety, a odziane w czerń wdowy baczenie nam się przyglądały, kiedy zmierzałyśmy w stronę domu ciotki Louise -prostego kamiennego budynku z dachem pokrytym czerwoną dachówką. Dotarłyśmy pod drzwi alejką prowadzącą przez ogródek warzywny, a w drzwiach powitała nas schludnie ubrana kobieta, uderzająco podobna do mojego ojca, a także do Adrienne i do mnie. Oczywiście ona również była siostrą papy - dlaczego zatem poczułam nagle tak rozpaczliwe pragnienie ucieczki? Czyż nie chciałam stać się częścią ich życia? W głębi serca tego właśnie pragnęłam, ale hamowała mnie świadomość tego, że odkąd zmarła nasza matka, ci ludzie ani razu nas nie odwiedzili. W głowie kłębiły mi się setki pytań. Dlaczego nas porzucili? Czy mieli jakieś wieści o moim ojcu i braciach? Postanowiłam jednak milczeć. W Aubazine nauczono mnie powściągliwości.

- Och, mój Boże, to niewiarygodne! - zawołała *tante* Louise. - Tak bardzo przypominasz mojego brata Alberta, a jednocześnie jesteś równie drobna jak twoja matka. A ty, Julio, jesteś śliczna jak kamea.

Ucałowała nas w oba policzki, po czym weszłyśmy do domu wypełnionego obitymi meblami i kredensami, w których piętrzyły się porcelanowe naczynia i srebrne sztucce. Wnętrze to nie pozostawiało żadnych wątpliwości: wyszła bogato za mąż i dzięki temu doświadczała przywilejów awansu społecznego.

Podawała nam herbatę i ciasteczka z lukrem.

- Jesteś głodna, moja kochana? No już, zjedz coś. Biedactwo, wyglądasz, jakbyś umierała z głodu. Nie karmią was w klasztorze? Karmią? No cóż, w takim razie nie jesz tyle, ile powinnaś. Spójrz na Julię, ona przynajmniej nie składa się z samych kości. Jesteś stanowczo za chuda. Sprawdźmy. O proszę: mam świeży chleb i szynkę, która została uwędzona tu, w Varenes! Chodź, zjedz coś. No już, nie wstydz się. To nie klasztor, moja droga. Tu możesz się najeść do syta.

Kiedy już napełniłam brzuch, zostałam zaprowadzona do salonu, pomieszczenia, które bez wątpienia stanowiło wyraz kobiecej wrażliwości. Różniło się ono od reszty domu, panował tu bowiem lekki nieład: wszystkie płaszczyzny, poza siedziskami foteli o plecionych oparciach, były szczelnie pokryte kosztami kolorowych lamówek, skrawkami koronek oraz szpulkami wstążeczek i tasiemek. Na stole, niczym pulchne dzieci czekające na oględziny, leżało w szeregu kilka kapeluszy - niektóre z nich były prawie gotowe, a inne dopiero zaczęte.

- Gabrielle marzyła, żeby je zobaczyć! - zawołała Adrienne. - Była bardzo ciekawa twoich *capotes*. Spotkałam w klasztorze Angeliqne, która nosiła jedną z nich, a Gabrielle nie przestała pytać o nie od tamtego czasu. Jest bardzo zdeterminowana.

Adrienne oczywiście przesadzała, ale zrobiła to na tyle sprytnie, że przykuła uwagę ciotki Louise, która natychmiast przeniosła na mnie wzrok.

- Naprawdę? Lubisz szyć, kochanie?

- Tak - wymamrotałam. - W klasztorze byłam. Julia wtrąciła się:

- Była najlepszą szwaczką w Aubazine. Zakonnice nieustannie ją chwaliły. Umie haftować chusteczki, cerować rękawy, potrafi też obszyć dowolne ubranie w taki sposób, że wygląda jak nowe. Prawda, Gabrielle?

Niepewnie pokiwałam głową. Czułam się skrępowana, słuchając, jak siostra wychwala moje umiejętności.

- Och, to rzeczywiście wielkie wyróżnienie - powiedziała Louise. - Zakonnice naprawdę trudno zadowolić. To takie perfekcjonistki! Czy chciałabyś popracować ze mną nad jednym

z kapeluszy, moja droga? No już, nie wstydź się. Weź ten. - Podała mi jedno ze swoich dzieł. - Nie jest jeszcze gotowy, a mnie zostało mnóstwo pracy przed rozpoczęciem sezonu w Vichy. - Przeniosła pełne irytacji spojrzenie na Adrienne. - Dlaczego sklepikarze nie znają się na swoim fachu? Mówię ci, czekają do ostatniej chwili, przyjmując nieskończenie wiele zamówień, a potem wpadają w panikę, bo muszą dostarczyć klientom te zamówienia, zanim otrzymają zapłatę.

Przestałam słuchać jej narzekań i skupiłam się na kapeluszu, który trzymała w rękach. Czy naprawdę twierdziła, że nie był on jeszcze gotowy? Wyglądał tak, jakby miał zaraz ożyć i pomknąć do ogrodu, obwieszony świecidełkami, wstążkami i pomarańczowymi piórami.

Uświadomiłam sobie, że nagle zapadła cisza. Podniosłam wzrok i zorientowałam się, że Julia, Adrienne i *tante* Louise wpatrywały się we mnie wyczekująco. Gdybym chciała zachować się grzecznie, powinnam powiedzieć, że kapelusz wygląda idealnie, a następnie odłożyć go na miejsce. W końcu nie miałam o tym pojęcia. Mimo to zaczęłam mu się uważnie przyglądać. Nagle wszystko wokół mnie zniknęło, tak jak to się stało w Aubazine, kiedy zaczęłam wyszywać kamelie na chusteczce. Wyciągnęłam niepewnie rękę, tak jakbym się obawiała, że kapelusz piśnie na znak protestu - po czym wyrwałam jedno z piór.

Tak lepiej. Ale kapelusz nadal nie wyglądał tak jak powinien. Odwróciłam go i usunęłam jedną ze wstążek. Ach, zdecydowanie lepiej. Wreszcie wyłonił się jakiś kształt. Wyglądziłam jedną z okrągłych ozdób, a pozostałe oderwałam. Z kapelusza zwiisały nici, które odciąłam znalezionymi na stole nożyczkami. Teraz rzeczywiście przypominał coś, co mogłoby zdobić głowę kobiety.

Jeszcze kilka razy obejrzałam kapelusz ze wszystkich stron, aż wreszcie uznałam, że jestem usatysfakcjonowana. Nie mogłam oczywiście zmienić jego pierwotnego kształtu - było to typowe damskie nakrycie głowy, wyposażone we wstążki do wiązania pod brodą. Kapelusz nie prezentował się co prawda idealnie, ale wyglądał najlepiej, jak mógł, zważywszy na okoliczności. Odwróciłam się i zobaczyłam, że moje ciotki i siostra nadal się we mnie wpatrywały. Na ich twarzach dostrzegłam zdziwienie. Zadrzałam. Zrozumiałam, że właśnie zniszczyłam zamówiony przez klienta kapelusz, nad którym Louise pracowała zapewne przez długie tygodnie.

Louise wpatrywała się we mnie z szeroko otwartymi ustami. Adrienne zachichotała.

- Widzisz? Mówiłam ci, że jest zdeterminowana.

- Tak, niewątpliwie. - Miała lekko ściśnięty głos. - Oczywiście jej talent jest nieco surowy. - Zamilkła na chwilę, oglądając zmienioną przeze mnie *capote*, tak jakby nie potrafiła zdecydować, czy powinna mnie zrugać, czy pochwalić. - A pozostałe kapelusze? Co byś z nimi zrobiła?

- Nic. - Usiłowałam zmusić się do uśmiechu. - Są śliczne. Louise uważnie mi się przyjrzała.

- Proszę, nie próbuj mi się przypodobać. Co byś tak naprawdę w nich zmieniała?

- Zdjęłabym z nich wszystkie ozdoby, a potem zaczęłabym od nowa - odpowiedziałam, nie rozumiejąc, skąd wzięła się nagle moja beczelna pewność siebie.

- Dlaczego? - zapytała Louise. Jej ton lekko mnie zaalarmował. - Wydają ci się brzydkie?

Czułam się tak, jak podczas rozmowy z przeoryszą - osaczona pytaniem, na które nie było łatwej odpowiedzi.

- Nie tyle brzydkie, ile raczej. niewygodne. Czy naprawdę musimy chodzić z koszami owoców na głowach?

- Koszami owoców! - Louise nerwowo zachichotała. - Och, wydaje mi się, że musimy działać nieco rozsawniej. Takie kapelusze to ostatni krzyk mody. Jest w końcu lato. Tego rodzaju nakrycie głowy powinno chronić twarz przed słońcem, jednocześnie informując cały świat, że nosi je dama.

A zatem dama ma być widoczna już z odległości kilometra? - chciałam odpowiedzieć. Zamiast tego odezwałam się cicho:

- Może należałoby użyć szpilek?

- Szpilek? - powtórzyła Louise.

- Tak. Szpilek z prostymi kamieniami, które podkreślałyby kształt kapelusza, zamiast go deformować. W końcu to nadal jest kapelusz i tak też powinien wyglądać. Prawda?

Louise odwróciła się i uważniej przyjrzała się swoim dziełom. Miała wyraźną skłonność do przesady - zarówno w kwestii kapeluszy, jak i jedzenia. Mimo to w głębi duszy pozostawała skromną chłopką z Owernii. Ku mojemu zaskoczeniu podeszła nagle do jednej ze swoich szafek i wyjęła z niej szufladę, którą następnie postawiła przede mną na stole.

- Chodzi ci o coś takiego?

Szufladę wypełniały szpilki do kapeluszy w każdym możliwym rozmiarze i kształcie. Niektóre z nich były zdecydowanie zbyt ozdobne, by mogły znaleźć swoje miejsce na przystrojonym z wyraźną przesadą kapeluszu, inne jednak wydawały się odpowiednie. Ostatecznie wybrałam szpilkę ze sztucznym szafirem.

- Mogę? - zapytałam.

Louise odsunęła się na bok. Zaczęłam oglądać kapelusze, szukając takiego, na którym znajdowałoby się najmniej błyskotek i zdecydowałam się w końcu na słomiany kanotier z błękitną wstążką. Podniosłam go, wsunęłam szpilkę we wstążkę, a następnie zaczęłam przerzucać leżące na stole ozdoby, szukając takiej, którą uznałabym za odpowiednią. Kiedy ją wreszcie znalazłam - wybrałam biały liliowy kwiat, który przypominał mi kamelię z Aubazine - sięgnęłam po igłę i nić, a następnie wszyłam go w brzeg kapelusza, wtulając go w rondo jak opadły pączek.

- Chodziło mi o coś takiego.

Adrienne nie czekała na werdykt siostry. Sięgnęła po kanotier, włożyła go i przechyliła lekko głowę, kładąc rękę na biodrze.

- I co? Pasuje?

Konsternacja malująca się wcześniej na twarzy Louise nagle zniknęła.

- No cóż, pasuje. Rzeczywiście. Jest zupełnie. inny. - Odwróciła się do mnie. - Gdzie się tego nauczyłaś?

Wzruszyłam ramionami. Nie wiedziałam, co odpowiedzieć, ale ku swojemu zaskoczeniu powtórzyłam słowa przeoryszy:

- Powinniśmy dążyć do najprostszyc rzeczy.

Nie chciałam powtarzać tego zdania, bo brzmiało ono bardziej jak ostrzeżenie niż jak zachęta. Mimo to, patrząc na kapelusz zdobiący głowę Adrienne, zdałam sobie sprawę, że podobnie jak w przypadku prześcieradeł, chusteczek i innych rzeczy, które wyszywałam w Aubazine - byłam z niego po prostu dumna. Sama bym go sobie nie wybrała, ale nie

wstydziałabym się w nim pokazać.

- Chcę go zatrzymać - oznajmiła Adrienne. - Będę w nim paradowała podczas następnej podróży do Vichy. - Louise zwróciła uwagę, że kapelusz został już sprzedany, a jej siostra nie może chodzić po Vichy w rzeczy należącej do innej kobiety. Ja tymczasem przeniosłam wzrok na siedzącą za nimi Julię, która skubała jedno z polukrowanych ciastek.

Jej uśmiech nie wymagał żadnego komentarza. Wydawało mi się, że słyszę jej myśli, tak jakby wykrzyczała je obojętnemu światu: „A nie mówiłam?”.

Po raz pierwszy, odkąd opuściliśmy Aubazine, obudziła się we mnie iskierka nadziei.

Może rzeczywiście miałam dar.

Moulins nie było tak szare i nudne jak Aubazine. Znajdowało się tam kilka karczm, kawiarni i sklepików, a w koszarach pod miasteczkiem stacjonowali oficerowie rezerwy. Widziałam tych niezłomnych młodzieńców z epoletami, w mundurach obszytych galonem i lśniących skórzanych butach, kiedy podczas parady maszerowali główną ulicą Moulins w rytm werbli i trąbek.

Naprzeciwko klasztoru, po drugiej stronie ulicy, znajdowała się szkoła dla chłopców. Popołudniami, gdy tylko rozlegało się bicie dzwonów, chłopcy wybiegali na dwór. Nosili torby na ramię i czarne mundurki z okrągłymi białymi kołnierkami. Krótkie spodenki sięgały im tuż nad guzowate kolana, wysokie skarpety ścisnęły chude łydki tak podobne do moich, a na nogach mieli buty za kostkę. Codziennie obserwowałam tych chłopców z okna naszego dormitorium, patrząc, jak się przepychają. Fascynowała mnie przepelniająca ich energia, sposób, w jaki biegali po ulicy i krzyczeli, naśladując piratów, ciągnęli się za kolorowe krawaty i zrywali sobie czapki z głów, odsłaniając zmierzwiłone włosy.

Mogłam ich obserwować tylko przez okno. Dziewczętom nie pozwalano opuszczać klasztoru w pojedynkę - wychodziłyśmy jedynie w grupach, którym zawsze towarzyszyły przyzwoitki. Najczęściej zakonnice prowadziły nas na przeróżne uroczystości odbywające się w pobliskim kościele. Zdarzało nam się też śpiewać w tamtejszym chórze.

Lubiłam śpiewać. Lubiłam słyszeć swój szybujący w górę głos i wyobrażać sobie, że lada chwila zerwie się on do lotu jak ptak - a ja zobaczę dzięki niemu całe Moulins i sięgnę wzrokiem jeszcze dalej, za spokojne wsie i miasteczka, za wijące się rzeczki, aż dotrę do samej Sekwany, płynącej przez wspaniały Paryż.

Ucieczka do Paryża stała się moją obsesją. Biblioteka klasztoru Najświętszej Marii Panny przypominała tę z Aubazine, a ja miałam już dość traktatów religijnych. Dzięki Adrienne, która pomagała mi realizować te marzenia, przekonałam się, że w klasztorze kwitł handel na czarnym rynku. Bogatsze dziewczęta wprowadzały do obrotu papierosy, wstążki i mydło o zapachu gardenii. Nam natomiast kupowały pożądane towary w zamian za pracę. Prasowałam zatem i cerowałam ich mundurki; chodziłam po wodę do studni i podgrzewałam ją w kuchni, po czym taszczyłam po schodach i wlewałam do ich miedzianych wanien. W zamian za to przynosiły mi jedyną rzecz, jakiej pragnęłam: kolejne historie.

Nie książki - te były zbyt drogie, a poza tym nie dałoby się ich ukryć w dormitorium, regularnie przeszukiwanym przez zakonnice polujące na kontrabandę. Zamiast tego chowałam się nocami pod kołdrą i czytałam publikowane w paryskich gazetach powieści w odcinkach: niekończące się sagi, które matki bogatych dziewcząt wycinały i ukrywały w przekazywanych im co tydzień paczkach, a które ja składałam w prowizoryczne broszury i umieszczałam pod łóżkiem. W większości były to straszne opowieści o szlachetnych kurtyzanach, które usychały z miłości, albo o nikczemnych królowych otruwających swoich wrogów.

Wolałam opowieści o królowych. Kurtyzany zdawały się upajać swoim cierpieniem, natomiast królowe robiły po prostu to, co musiały. Nawet najbardziej banalne historie miały w sobie ziarno prawdy i pozwalały mi poznawać tajemnice świata. Im więcej czytałam, tym bardziej pragnęłam zacząć wreszcie żyć własnym życiem. Gdybym miała wybór, ruszyłabym boso do Paryża, gdzie wszystko wydawało się możliwe - nawet dla kogoś tak mało znaczącego jak ja.

W 1903 roku ja i Adrienne ukończyłyśmy dwadzieścia lat i wreszcie opuściłyśmy klasztor. Julia, która spędziła tam dwa lata dłużej, zdecydowała się zamieszkać z naszymi

dziadkami i pomagać im w prowadzeniu straganu na placu targowym.

Jej decyzja wprawiła mnie w osłupienie. Wiedziałam, że Julia odwiedzała naszych dziadków, zamiast jeździć ze mną do Louise. Proponowała nawet, żebym jej towarzyszyła, ja jednak odmówiłam. *Tante Louise* zdołała się dowiedzieć, że po naszym wyjeździe do klasztoru Alfonse i Lucien zostali przygarnięci przez chłopskie rodziny i spędzili dzieciństwo, pracując w polu. Choć nikt nie wiedział, co się z nimi później stało, odżyły we mnie gniew i nienawiść do tych, którzy o nas zapomnieli. *Tante Louise* odkupiła swoje winy i tylko jej gotowa byłam wybaczyć. Podziwiałam Julię - okazała się silniejsza, niż sądziła, skoro potrafiła żywić ciepłe uczucia do ludzi, którzy porzucili nas w dzieciństwie. W przeciwieństwie do niej nie miałam dziadkom nic do powiedzenia. Byli już starzy, a ja uznałam, że najlepiej trzymać się od nich z daleka.

- Dlaczego chcesz z nimi zamieszkać? - zapytałam Julię. - Nie ma tam dla ciebie przyszłości. Będziesz przez resztę życia sprzedawała warzywa na targu.

- A co innego mogę zrobić? - westchnęła. - Sama wiesz, że nie szyję na tyle dobrze, żeby znaleźć pracę, tak jak ty i *Adrienne*. Będę dla was tylko ciężarem. Poza tym nasi dziadkowie są starzy i nie dają sobie rady. *Antoinette* dołączy do mnie, kiedy opuści szkołę

z internatem. Dzięki temu będzie miała gdzie mieszkać i pracować. Louise też zamierza mnie często odwiedzać. Nie musisz się o mnie dłużej martwić.

- Ale przecież ty i *Antoinette* możecie zamieszkać ze mną! - Nagle wszystko zagotowało się we mnie ze złości. - Julio, zawsze powtarzasz, że w niczym nie jesteś dobra, ale nigdy się

o tym nie przekonasz, jeżeli niczego nie spróbujesz. Zostań ze mną. Zobaczysz, na pewno coś wymyślimy. Oni nigdy się nami nie przejmowali. Nawet nie próbowali nas odwiedzić!

Posłała mi smutny uśmiech.

- *Gabrielle*, mówisz tak tylko dlatego, że musisz, ale dobrze wiesz, że z czasem stanę się dla ciebie ciężarem. Wolę sprzedawać warzywa i opiekować się dwojgiem starszych ludzi. Nie obwiniam ich o to, co się stało. Co mieli zrobić? Byliśmy wtedy dziećmi, każde z nas musieliby samodzielnie wyżywić. Teraz mogę im pomóc. Proszę, nie sprzeczkajmy się. Chcę, żebyśmy pożegnały się jak siostry. - Pocałowała mnie w policzek i mocno przytuliła. - Bądź dzielna - wyszeptwała. - To ty jesteś z nas dwóch silniejsza. Zawsze byłaś.

Byłam bliska łez, kiedy Julia wsiadała do powozu, który miał ją zawieźć do miasteczka, gdzie mieszkali rodzice mojego ojca. Chciałam ją zatrzymać, choć wiedziałam, że to bezcelowe. Julia nie miała może tyle odwagi co ja, ale kiedy już sobie coś postanowiła, była równie uparta jak każdy *Chanel*. Kiedy odprowadzałam wzrokiem oddalający się powóz, zdałam sobie sprawę, że powinnam czuć się porzucona - tak jak wtedy, gdy zabrano nas do *Aubazine*. Mimo to, choć dręczyły mnie wyrzuty sumienia, odetchnęłam z ulgą.

Julia знаła mnie lepiej niż ja sama. Wiedziała, że jeżeli stanie się dla mnie ciężarem, ucierpi na tym nasza miłość - a tego by nie zniosła.

Zakonnice i Louise zdołały wspólnymi siłami znaleźć dla mnie i dla *Adrienne* pracę w *Moulins*. W ten sposób trafiłyśmy do miejsca o górnołotnej nazwie *Maison Grampayre*, choć był to skromny sklep z bielizną i wyrobami pończosznymi, zaopatrujący miejscowe damy

i stacjonujący na obrzeżach miasteczka garnizon. Właścicielka, *madame G.* - jak nazwałyśmy ją z *Adrienne* - reperowała damskie ubrania oraz podartą i pobrudzoną *passementerie* z męskich mundurów. Oprócz pracy zaoferowała nam też ciasny pokój na poddaszu w pobliżu sklepu i pozwoliła nam go wynająć, jak to określiła, „za psie pieniądze”.

Wszystko byłoby w porządku, gdyby nie to, że my również zarabiałymy psie pieniądze. Pracowałyśmy na okrągło. Z wyjątkiem krótkiej przerwy obiadowej, każdy dzień od siódmej rano do ósmej wieczorem spędzałyśmy w dusznym pomieszczeniu na zapleczu, gdzie zlewając

się potem, usiłowałyśmy uporać się ze stertami sukni o rozdartych rąbkach i rozchodzących się szwach, płaszczami, w których trzeba było doszyć guziki, wymienić podszewki albo wykonać inne poprawki. Bez przerwy bolały nas plecy. Nocami kuliłyśmy się w naszym pokoiku przy maleńkim piecu, którego obsesyjnie pilnowałyśmy, obawiając się, że ogień mógłby wymknąć się spod kontroli. Po trzech miesiącach powiedziałam Adrienne (która wyglądała jak cień dawnej siebie), że musimy znaleźć inne źródło utrzymania. Uznałam, że nie możemy dłużej odkładać cotygodniowych wypłat tylko po to, żeby oddawać je *madame* G. w formie czynszu. Żywiłyśmy się wyłącznie warzywami, wędzoną szynką, chlebem i serem otrzymywanymi od Louise w każdą niedzielę, którą spędzałyśmy głównie w podróży, choć był to nasz jedyny wolny dzień.

- Inne źródło utrzymania? - zapytała Adrienne. - Przecież tę pracę znalazła nam Louise. Nie możemy teraz zrezygnować.

- Nie powiedziałam, że zamierzam zrezygnować - odparłam. Masując napuchnięte kłykie, pomyślałam jednak, że takie rozwiązanie byłoby prawdziwym błogosławieństwem. - Chodziło mi o to, żebyśmy znalazły dodatkowe źródło dochodów. Chciałabym kupić proste kapelusze, które mogłabym ozdabiać i sprzedawać. Myślę, że gdybym pokazała *madame* G. kilka modeli i zaproponowała jej odpowiedni procent od dochodów, pozwoliłaby mi je tu sprzedawać.

Nie miałam innych pomysłów. Choć *tante* Louise nadal obsypywała swoje *capotes* ozdobami jak wystawne dania na uczenie, dostarczyła do sklepu w Vichy przerobiony przeze mnie kapelusz, a klientka, która go odebrała, uznała, że jest „czarujący”, i natychmiast zamówiła dwa następne w innych kolorach. Louise zaczęła mnie uczyć tajników rzemiosła: pokazywała mi, jak sprawdzić splunięciem stopień rozgrzania żelazka, tak żeby nie przypalić wstążek; jak ująć materiał między kciuki, tak żeby powstała fałda; i jak użyć deski do wymodelowania materiału. Zdradziła mi także wiele innych sztuczek, które pozwalały przekształcać zwykły przedmiot w dzieło zasługujące nie tylko na podziw ale i na... zapłatę.

Zakonnice nieustannie nam powtarzały, że pieniądze nie są czymś, za czym powinna się uganiać porządna dziewczyna. Okazały się jednak czymś niezbędnym - a ja ich nie miałam. Jeżeli rzeczywiście zamierzałam dotrzeć do Paryża, trzeba było zgromadzić jak największą sumę.

- Och, chyba nie mam siły na dodatkową pracę - wyjęczała Adrienne. Nasza świeżo zdobyta wolność wyraźnie dawała jej się we znaki. Często narzekała, zastanawiając się, czy nie powinna pogodzić się z losem i zamieszkać z Louise. Musiałam jej za każdym razem przypominać, że ma naprawdę niewielkie szanse na poznanie księcia z bajki w Moulins,

a mieszkając w Varennes-sur-Allier może liczyć co najwyżej na pasterza kóz z zepsutymi zębami.

- A może spróbujemy dostać się do La Rotunde? - zasugerowałam.

Kilkakrotnie odwiedzałyśmy tę znajdującą się przy głównym placu kawiarnię w kształcie pagody. Bywałyśmy tam od czasu do czasu w towarzystwie młodych oficerów, którzy flirtowali z nami, ilekroć przynosili do sklepu podarte mundury albo spodnie do zacerowania. La Rotunde nie należała do miejsc szczególnie wytwornych. Ludzie przychodzili tam, żeby śpiewać, akompaniując *chanteuses*, które miały zabawiać gości i dbać o to, żeby pili jak najwięcej. Podczas gdy nasi towarzysze pili, my siedziałyśmy obok nich w kapeluszach i bluzkach zapiętych pod szyję, skromne i niedostępne. Nie wywodziłyśmy się z bogatych rodzin, ale nie zamierzałyśmy dopuścić do tego, by wzięto nas za te bezwstydne kobiety, które krążyły po kawiarni z odsłoniętymi ramionami - choć z pewnością zarabiałały lepiej od nas i nie musiały harować od rana do nocy.

- Chciałabyś obsługiwać klientów? - zapytała przerażona Adrienne.

- Nie bądź niemądra. Chciałabym śpiewać. Śpiewałyśmy w klasztornej chórze, a poza tym odwiedzałyśmy La Rotunde na tyle często, że dobrze poznałyśmy tamtejszy repertuar. -

Wstałam i skrzywiłam się z bólu, bo właśnie uderzyłam głową w sufit. Nasz pokój był tak niski, że zwykle musiałyśmy chodzić po nim przygarbione. Przyjęłam odpowiednią pozę: położyłam dłoń na swoim kościstym biodrze, drugą zaś na piersi. Odchrząknęłam, po czym zaczęłam wykonywać własną wersję piosenki *Qui qu'a vu Coco dans l'Trocadéro?* - Zgubiłam biednego Coco, mojego ukochanego psa - zaśpiewałam. - Zgubiłam go na Trocadéro. Jeśli wciąż biegnie, jest już gdzieś daleko. Najgorsze jest to, że im częściej mnie zdradzano, tym wierniejszy był Coco. Czy ktoś widział mojego Coco? Coco na Trocadéro? - Dałam znak Adrienne, która dołączyła do mnie podczas refrenu: - Co na Tro, Co na Tro, Coco na Trocadéro. Kto widział Coco? Och, biedny Coco. Kto widział mojego Coco? Kiedy skończyłyśmy śpiewać, zapytałam:

- I co?

- Okropnie - oceniła. - Będą rzucali w nas pestkami i błagali, żebyśmy przestały. Wybuchłyśmy gromkim śmiechem, rozładowując w ten sposób napięcie, które od czasu do czasu narastało między nami.

- Ale czy jesteśmy aż tak okropne, że nie będą chcieli nam płacić? - zapytałam po dłuższej chwili, kiedy złapałam wreszcie oddech. Cierpliwie czekałam, obserwując, jak przez jej twarz przetaczała się burza emocji. Na tym polegała kolejna z dzielących nas różnic:

w przeciwieństwie do mnie Adrienne nie kryła swych uczuć.

- Nie. Nie na tyle, żeby nie chcieli nam płacić. Słyszałam gorsze występy. I jestem pewna, że oni również.

- A zatem postanowione. Pójdziemy tam jutro po pracy. Chodzi tylko o kilka wieczorów w tygodniu, do czasu, aż zbierzemy tyle pieniędzy, żeby kupić kapelusze.

- Jeżeli dowiedzą się o tym zakonnice albo Louise, będą oburzone - ostrzegła Adrienne. - La Rotunde nie uchodzi za miejsce dla porządnych dziewcząt. Pójść tam na aperitif to jedno, ale pracować w takim przybytku?

- Jak miałyby się o tym dowiedzieć, jeżeli nie będziemy o tym wspominać? Tamtej nocy zasypiałam pełna nadziei. Powtarzałam sobie, że mogę to zrobić. Nie na

próżno płynęła we mnie krew chłopki. Skoro los się ociągał, musiałam przyspieszyć bieg wydarzeń, decydując się na ciężką pracę. Któż mógł przewidzieć, co jeszcze osiągnę?

Mój plan okazał się jednak nieco trudniejszy do zrealizowania, niż się z początku wydawało. Właściciel La Rotunde natychmiast nas zatrudnił, zapewne dlatego, że byłyśmy dwiema młodymi dziewczynami tuż po szkole klasztornej. Pierwszego wieczoru zjadła mnie trema i wykonałam piosenkę o Trocadéro, jękając się i stojąc sztywno na scenie, podczas gdy klienci syczeli i rzucali we mnie pestkami oliwek i wiśni, a Adrienne krążyła między stolikami, zbierając napiwki drżącymi rękami.

Skrzywiłam się, widząc, ile udało nam się zarobić.

- Niecałe trzy franki. To nie wystarczy nawet na pociąg do Vichy, nie mówiąc już o kapeluszu.

Ćwiczyłam każdej nocy, krążąc po poddaszu i głośno śpiewając, podczas gdy Adrienne chowała głowę pod poduszką. Ćwiczyłam tak długo, aż uznałam, że w wystarczającym stopniu opanowałam wymagane podczas występów zalotne gesty i ruchy rąk. Z dnia na dzień stawałam się coraz lepsza. Po kilku tygodniach zadowolony właściciel przeniósł nasze występy na piątkowe wieczory, kiedy La Rotunde odwiedzali oficerowie opuszczający koszary na weekend. Podczas pierwszego piątkowego występu zawładnęłam sceną, a kiedy skończyłam śpiewać, całą salę wypełniły odgłosy dłoni uderzających o białe i entuzjastyczne okrzyki: „Coco! Coco! Coco!”.

Mój Boże, publiczność domagała się bisów!

Gromadziłam oszczędności w puszcze ukrytej pod deskami podłogi na poddaszu. Kiedy uznałam, że zebrałam wystarczającą sumę, poinformowałam niezadowoloną *madame G.*, że w związku z chorobą Louise musimy wziąć z Adrienne kilka dni wolnego. A potem, ponieważ nie mogliśmy sobie pozwolić na podróż pociągiem, wsiadłyśmy do dyliżansu jadącego do Varennes.

Zamierzałam wreszcie kupić swoje kapelusze.

Vichy było pierwszym miastem, które widziałam w swoim życiu - kurortem pełnym szerokich bulwarów, hoteli i kasyn odwiedzanych, jak wyjaśniła nam *tante* Louise, przez zamożnych wczasowiczów, którzy zjeżdżali ze wszystkich stron, żeby raczyć się wodami

O właściwościach leczniczych. Nocowałyśmy w taniej *auberge*, stłoczone we trzy w jednym łóżku, a potem zjadłyśmy śniadanie i ruszyłyśmy z Louise do sklepów - tam, dokąd musiała dostarczyć zamówienia. Popołudnie spędziłyśmy na poszukiwaniu potrzebnych jej świecełek

I moich kapeluszy. Mogłam sobie pozwolić tylko na trzy, ale cieszyłam się tak, jakbym kupiła ich co najmniej dwanaście. Kiedy nadszedł wieczór, Louise pozwoliła nam wybrać się na spacer, sama zaś została w pokoju, bo po całym dniu bolały ją nogi. Pouczyła nas, żebyśmy z nikim nie rozmawiały - zwłaszcza z mężczyznami - i żebyśmy nie odwiedzały żadnego z kabaretów ani piwiarni, które przyciągały mieszkańców o nie najlepszej reputacji.

Jeszcze nigdy nie słyszałam takiego zgiełku i nie widziałam takich tłumów przekrzykujących się ludzi. Adrienne, która bywała już w Vichy, wzięła mnie pod rękę i poprowadziła ulicami z pewnością siebie godną księżnej nadzorującej wnętrza swojego pałacu.

- Czyż nie jest tu cudownie? - westchnęła. Była szczupła, a jej figurę podkreślały zielona, obcisła szmizjerka z bufami oraz dopasowana spódnica z rzędem guzików z boku (tę kreację Louise uszyła w całości ze skrawków materiału). - To takie cywilizowane miejsce.

Jeszcze nigdy tak mocno nie odczułam, w jak dużej izolacji żyłam do tej pory - wychowując się w klasztorze. Vichy przypominało mi kolejkę w wesołym miasteczku, mknącą zbyt szybko, żebym mogła na nią wskoczyć. Zgarbiłam się lekko i powiedziałam:

- Jest nieco krzykliwe.

Mijałyśmy właśnie grupę młodych oficerów, którzy rozsiedli się na ulicy przed kawiarnią i palili papierosy. Gwizdnęli za nami, kiedy przechodziłyśmy obok nich, więc posłałam im pełne pogardy spojrzenie. Bezczelni. W La Rotunde musiałam radzić sobie z dziesiątkami mężczyzn ich pokroju.

- Wydaje mi się, że to ostatnio twoje ulubione słowo - powiedziała Adrienne. - Ale nawet ty musisz przyznać, że Vichy jest też ekscytujące. Nie udawaj, widzę to po twojej minie. Wpatrujesz się we wszystko z taką samą fascynacją, z jaką tamten elegancki mężczyzna wpatruje się w ciebie.

Zamilkłam i zerknęłam ostrożnie przez ramię. Oficerowie złapali się za serca, udając, że omdlewają, i wołając, że przeszyły ich strzały Kupidyna. Ale rzeczywiście - zobaczyłam też eleganckiego mężczyznę ubranego w brązową, aksamitną marynarkę i kremowe spodnie

O idealnie zaprasowanych kantach. Trzymał w ręku melonik, a z kieszeni wzorzystej kamizelki wystawał mu złoty łańcuszek zegarka.

Mężczyzna istotnie zdawał się we mnie wpatrywać. A dokładniej - uśmiechał się. Pospiesznie odwróciłam wzrok.

- No proszę - zachichotała Adrienne. - Rumienisz się.

- Nieprawda!

- Prawda. Jesteś czerwona jak burak. - Odwróciła się, nie zważając na moje syknięcia.

- Nie zachęcaj go!

- Wygląda na to, że zrobiłaś na nim wrażenie - oznajmiła Adrienne, kiedy pociągnęłam ją naprzód i przyspieszyłam.

- Jest po prostu beczelny - odparłam. - Zobaczył na ulicy dwie samotne dziewczyny

I uznał, że jesteście.

- *Grandes cocottes?* - zażartowała Adrienne. - Mówiłam ci, masz niepowtarzalną urodę. Mimo że wcale dobrze nie śpiewasz, zdołałaś zjednać sobie klientów La Rotunde i najwyraźniej zdążyłaś już też zwrócić na siebie uwagę w Vichy, choć znowu postanowiłaś włożyć ten żalobny komplet.

- Lubię czerń - odpowiedziałam.

Naśladowując uczniów szkoły w Moulins, włożyłam długą bluzkę, którą przewiązałam paskiem, do tego zaś dobrałam sięgającą do kostek spódnicę i luźny żakiet. Głowę ozdobiłam kwadratową czapką marynarską owiniętą czarną wstążką. Udało mi się podwędzić z szuflady Louise szpilkę z perłą, ale zamiast umieścić ją na czapce, wpięłam ją sobie w klapę. Uważałam, że wyglądam bardzo elegancko, dopóki nie zaczęłyśmy spacerować po bulwarze i nie trafiłyśmy na miejscowe damy ubrane w podkreślające kształty spódnicę i dopasowane żakiety. Miały szyje obwieszane migocącymi klejnotami i zaczesane do góry włosy, których zwieńczeniem były zwiewne kapelusze. Nagle poczułam się jak brzydkie kaczątko. Nie dlatego, że chciałam wyglądać tak jak one - nie potrafiłabym nawet poruszać się w takich strojach. Przyszło mi po prostu do głowy, że idący za nami dandys musiał uśmiechać się na widok moich żalobnych prób dopasowania się do otoczenia.

- On za nami idzie - wyszeptała Adrienne. Była tak podekscytowana, że z trudem łapała oddech.

Wciągnęłam ją do najbliższego lokalu - kolejnej wypełnionej dymem kawiarni.

- Zamów nam coś - poprosiłam, popychając Adrienne w kierunku lady. Zaczęła nerwowo przeszukiwać swoją małą torebkę. Nie planowałyśmy niczego kupować. Dopiero, kiedy odwróciła się i spojrzała na mnie z rozpaczą, zrozumiałam, że najprawdopodobniej nie miała przy sobie ani grosza, a ja wydałam wszystkie swoje oszczędności na kapelusze. Nagle jednak szeroko otworzyła oczy ze zdumienia.

Nie musiałam się odwracać. Wiedziałam, że dandys wszedł za nami do środka.

- Czy mógłbym w czymś pomóc, *mesdemoiselles?* - zapytał. Zwrócił się do nas swobodnym, pewnym siebie tonem, który wskazywał, że mężczyzna ten nigdy nie znalazł się w kawiarni bez pieniędzy.

- Jeśli nie zamierza nas pan zaprosić na dwie kawy i ciastka, to nie wydaje mi się. - Planowałam odstraszyć go tymi ostrymi słowami. Dlaczego miałby tracić czas, skoro mógł poszukać sobie innych, bardziej dostępnych kobiet?

On jednak szeroko się uśmiechnął, odsłaniając rząd białych zębów.

- Z przyjemnością.

Podszedł do lady, mijając Adrienne, która uniosła brew, spoglądając na mnie z niepokojem. Wzruszyłam ramionami. Niech ten łajdak nam coś kupi. Nie robiłyśmy przecież nic złego. Widziałam jednak, że zadrżała lekko na myśl o potencjalnych konsekwencjach mojego lekkomyślnego zaproszenia. Czyż *tante* Louise nie zabroniła nam rozmawiać z nieznanymi - a tym bardziej pić z nimi kawę?

- Usiądziemy? - Mężczyzna wskazał pusty stolik z marmurowym blatem. Odsunął każdej z nas krzesło i zaczął, aż zajmiemy miejsce.

Choć za wszelką cenę starałam się to ukryć, jego maniery zrobiły na mnie wrażenie.

Kiedy kelner podawał nam kawę, skorzystałam z okazji i nieco uważniej przyjrzałam się nieznanemu. Natychmiast się zorientowałam, że musi być bogaty: miał drobne, zadbane dłonie o wymuskanych paznokciach, a sam jego płaszcz musiał kosztować więcej niż Adrienne i ja zdołałybyśmy zarobić przez cały rok. Nie był przystojny. Roztaczał wokół siebie intensywny zapach wody kolońskiej, który zdecydowanie mi się nie podobał. Miał pociągłą twarz o okrągłych policzkach, wydatny nos i wąskie usta. Jego blisko osadzone brązowe oczy skrzyły

się jednak inteligencją. Podobnych ludzi - zamożnych mężczyzn krążących po mieście w poszukiwaniu zakazanych rozrywek - widywałam od czasu do czasu w La Rotunde.

Jeżeli sądził, że kawa i ciastko staną się początkiem naszej znajomości, to się grubo mylił.

- Pozwolą panie, że się przedstawię - powiedział. Adrienne zaczęła tymczasem pić kawę w gorączkowym pośpiechu, ja natomiast celowo nie tknęłam nawet swojej filiżanki. - Nazywam się Etienne Balsan i wydaje mi się, że...

- Balsan! - Adrienne prawie się zakrztusiła. Uśmiechnął się.

- Czyżby *mademoiselle* знаła moje nazwisko?

- Nie, ja. to znaczy tak, oczywiście, znam je, ale.

Patrzyłam na Adrienne ze zdziwieniem. Co w nią wstąpiło? Nie był przecież markizem Richelieu.

Mężczyzna skinął głową, przeczesując zadbaną dłońią swe kasztanowe włosy (nieco przerzedzone na czubku głowy, jak już zdążyłam zauważyć). Po chwili spojrział na mnie.

- Zamierzałem właśnie powiedzieć, że chyba mieliśmy już okazję się poznać.

- Nie, z pewnością się nie poznaliśmy - odparłam. Adrienne kopnęła mnie pod stołem, więc uśmiechnęłam się chłodno i dodałam: - Chciałam przez to powiedzieć, że nie poznaliśmy się, bo pamiętałabym pana.

- Ach tak? - Odchylił się na krześle, trzymając ostrożnie filiżankę, ujawniając jej uszko małym palcem. - Pamiętałaby mnie pani?

- Gabrielle - powiedziała Adrienne. - Ten dżentelmen to.

- Tak - przerwałam jej, nie odrywając od niego wzroku. - Pamiętałabym. Bardzo przepraszam, ale nigdy w życiu pana nie widziałam, *monsieur*.

- Przepraszam mnie pani? - Zachichotał. - Och, sądzę, że to ja muszę przeprosić, *mademoiselle*. Widzi pani, obawiam się, że wziąłem panią za pewną uroczą *chanteuse* o imieniu Coco, która urzeka tłumy w La Rotunde w Moulins. Miałem nadzieję, że to pani i że będę miał okazję pani pogratulować interpretacji *Qui qu'a vu Coco dans l'Trocadero*, którą uważam za najwspanialsze wykonanie tej piosenki, jakie kiedykolwiek słyszałem. - Wypił łyk kawy. - Powinna pani przy jakiejś okazji sama jej posłuchać. Ma niezwykły talent.

Zawstydziałam się i natychmiast poczułam, że oblałam się rumieńcem. Sięgnęłam po filiżankę, wypiliśmy łyk ciemnej kawy i poparzyłam sobie język. Nasz towarzysz znowu się uśmiechnął, podając Adrienne talerzyk z migdałowymi ciasteczkami. Czyżby ze mnie kpił? Nie potrafiłam tego określić, ale niezależnie od jego zamiarów, nie odpowiadało mi jego zachowanie i zamierzałam jasno mu to zakomunikować. Nagle jednak Adrienne wypaliła:

- Nie myli się pan, *monsieur* Balsan. To Coco z La Rotunde.

- Doprawdy? - zapytał z udawanym zdziwieniem. - Ależ. jak to możliwe? Adrienne zwróciła się do mnie wesołym tonem. Miałam ochotę ją udusić:

- Powiedz prawdę, Gabrielle. Nie bądź okrutna. *Monsieur* Balsan słyszał, jak śpiewałaś, i nagroził cię pochwałą.

- Nie wspominając o napiwku - dodał. - Zawsze dbam o to, żeby dawać wysokie napiwki.

Odstawiłam filiżankę na spodek. Nie zamierzałam go obrażać, bo nie ulegało wątpliwości, że był rzeczywiście bogaty. Wiedziałam jednak, że ze względu na moje występy w La Rotunde wziął mnie za kobietę lekkich obyczajów.

- A ja dbam o to, żeby dobrze śpiewać, kiedy dostaję napiwki - powiedziałam. - Jak pan zresztą raczył zauważyć. A może wolałby pan, żebym rozmieniała swój wspaniały talent na drobne, *monsieur*?

Adrienne szeroko otworzyła usta ze zdumienia. Ku mojemu zaskoczeniu nasz towarzysz powiedział cicho:

- *Touché, mademoiselle*. Przykro mi, że panią uraziłem.

- Ależ skąd - odparłam. Sięgnęłam po ostatnie trzy ciasteczka i włożyłam je do chusteczki, a następnie wstałam. - Miło było pana poznać, *monsieur*, ale obawiam się, że jesteśmy już spóźnione. Dziękujemy za gościnę i życzymy panu udanego wieczoru.

Natychmiast się podniósł i uklonił.

- Cała przyjemność po mojej stronie, *mademoiselle*.

- Och tak, jestem o tym przekonana. - Uśmiechnęłam się do Adrienne. - Idziemy? Adrienne zerwała się z krzesła, a na jej górnej wardze dostrzegłam delikatny ślad po

kawie. Zdążyła jeszcze rzucić drżącym głosem:

- Przepraszamy, *monsieur*. Jesteśmy już rzeczywiście spóźnione i... Skierowałam się do drzwi kawiarni, nie oglądając się za siebie, choć musiałam nieco

zwolnić przy wyjściu i poczekać, aż usłyszę za sobą jej kroki. Kiedy już znalazłyśmy się na ulicy, ruszyłam zdecydowanym krokiem w stronę *auberge* i przystanąłam dopiero w chwili, gdy Adrienne złapała mnie za ramię.

- Gabrielle, czyś ty oszalała? Zdajesz sobie sprawę, kim on jest?

- Tak. To Etienne Balsan i z pewnością nie zachowuje się w sposób godny dżentelmena. Ścisnęła mnie nieco mocniej.

- Etienne Balsan i jego bracia to spadkobiercy jednej z największych fortun we Francji. Jego rodzina posiada fabryki w Lyonie. Produkują materiał na mundury wojskowe. Miasto Châteauroux właściwie do nich należy, mają też wiele wspaniałych zamków. To nie jest byle dżentelmen, Gabrielle. To bardzo bogaty człowiek!

- To, że jest bogaty, wcale nie oznacza, że umie się zachować. Słyszałaś jego uwagę

o wysokich napiwkach. Nie należę do kobiet tego typu. Nie sprzedaję niczego poza piosenkami.

Adrienne puściła moje ramię i wzięła mnie za rękę. Rozluźniła moje zaciśnięte palce

i umieściła między nimi kremową wizytówkę z wytłoczonymi literami.

- Dał mi ją, kiedy wychodziłyśmy - powiedziała. - Chyba oszalał, bo chciałby się z tobą znowu spotkać. Powiedział, że jesteś tak żywiolowa, jak przypuszczał, i zamierza odwiedzić nas w Moulins w przyszłym tygodniu.

Spojrzałam na nią ze zdziwieniem, a Adrienne dodała:

- Sugerowałabym, żebyś zachowywała się tym razem nieco grzeczniej. Mężczyźni tacy jak on nie trafiają się tak często. Nigdy nie wiadomo, jaki może być finał takiej znajomości.

Miałam ochotę powiedzieć, że doskonale wiem, jakiego finału pragnąłby sam Balsan, ale się powstrzymałam. Adrienne nadal naiwnie wierzyła, że pewnego dnia wyjdzie za rycerza na białym koniu, ja jednak wątpiłam, czy ktokolwiek poza synem rzeźnika zobaczy w nas coś więcej niż tylko zabawki.

Było lato 1904 roku.

Schowałam jego wizytówkę do kieszeni i wkrótce o nim zapomniałam. Nie wiedziałam jeszcze, że poznałam właśnie swojego wybaczcę.

Etienne Balsan rzeczywiście zjawił się w naszym sklepie. Wprawił *madame* G. w osłupienie, przynosząc kilka koszul do zacerowania, choć nie znalazłam na żadnej z nich ani jednego rozdarcia czy dziury. Regularnie odwiedzał mnie po pracy, zabierał na przejażdżki powozem, spacerował po parku i kolacje. Często przyprowadzał też swoich bogatych przyjaciół z zamożnych rodzin - mężczyzn, którzy podobnie jak on służyli w wojsku i w przeciwieństwie do niego niecierpliwie czekali na wybuch wojny z Niemcami.

Balsan uśmiechał się, kiedy uderzali obcasem i oświadczał, że tylko na wojnie prawdziwy dżentelmen może pokazać siłę swojego charakteru.

- Nie odróżniliby armaty od trąbki, nawet gdyby najechali na nich Hunowie - powiedział, pochylając się w moją stronę. - Pieniądze wychowują prawdziwych glupców.

Choć z początku miałam co do niego poważne wątpliwości, bawił mnie jego cięty dowcip. Zupełnie nie pociągał mnie jako mężczyzna, zresztą zachowywał się bardzo powściągliwie. W kolejnych miesiącach wpadłyśmy w istny wir spotkań, podczas których piło się alkohol i bywało na kolacjach - Adrienne i ja krążyłyśmy teraz po mieście w asyście najlepszych kawalerów z miejscowych koszar i jadałyśmy zdecydowanie lepiej niż kiedykolwiek wcześniej. Jeden z naszych stałych towarzyszy, baron Maurice de Nexon, wydawał się szczególnie oczarowany Adrienne, która odwzajemniała jego zainteresowanie, tym bardziej że posiadał on wszystkie cechy jej wymarzonego księcia. Miała także kilku innych adoratorów, a w związku z tą nagłą popularnością często perorowała przez całą noc, nie pozwalając mi zasnąć i nerwowo rozważając, którego kawalera powinna wybrać.

Ja także cieszyłam się zainteresowaniem mężczyzn. Słuchając wyznań przyjaciół Balsana, zaczęłam stopniowo zapominać o zastrzeżeniach co do swojego wyglądu. Ich deklaracje były tak żarliwe, że miałam niemal ochotę w nie uwierzyć. Ale nie wierzyłam, bo nauczyłam się przyjmować pochlebstwa z wyjątkową podejrzliwością. Śmiejąc się beztrudnie, zbywałam tych potomków mieszczańskich rodów, a jednocześnie harowałam w Maison Grampyre i śpiewałam kilka razy w tygodniu w La Rotunde. Nie zamierzałam pozwolić, by postrzegano mnie jak jeszcze jedną ubogą szwaczkę, gotową bez chwili zastanowienia wskoczyć do łóżka bogatemu mężczyźnie. Każdy zarobiony *centime* trafiał do mojej puszki, ukrytej pod deskami podłogi. Nadal ozdabiałam też kapelusze, choć *madame* G. nie chciała sprzedawać tych „okropieństw” w swoim sklepie. Musiałam sama paradować we własnych dziełach, łudząc się, że zwróci na nie uwagę jakaś modystka.

Balsan przychodził też na moje wieczorne występy. Widziałam go zza chmury dymu unoszącej się nad zatłoczonymi stolikami - siedział zwykle w pobliżu sceny. Zakładał nogę na nogę, dzięki czemu można było podziwiać jego wspaniałe włoskie oficerki. Czasem przywdziewał niebieski mundur z epoletami i szarfą, choć zdarzało się też, że wkładał szyty na miarę garnitur. Niezależnie od stroju, jaki wybierał, na jego ustach zawsze gościł uśmiech.

Po koncercie zabierał mnie na kolację. Właśnie podczas tych wieczorów we dwoje zaczęłam go lepiej poznawać. Opowiadał mi o tym, jak wysłano go do Anglii, do ekskluzywnej szkoły z internatem, gdzie zafascynował się końmi czystej krwi. Wypowiadał się też z osobliwym lekceważeniem o studiach. („Wysłałem rodzinie telegram od mojego psa Rexa, informujący ich, że oblałem wszystkie kursy” - powiedział ze śmiechem). Później zaś postanowił się zbuntować i wbrew oczekiwaniom krewnych nie przejął rodzinnego interesu po śmierci ojca.

- Wstąpiłem do wojska tylko ze względu na swojego wuja - wyjaśnił, kiedy siedzieliśmy przy kawie.
- Powiedział, że hodowanie koni to nie jest prawdziwe zajęcie, tylko zwykłe hobby,

a nazwisko, które noszę, zobowiązuje mnie, bym coś osiągnął. Och, to były straszne słowa -westchnął, zapalając papierosa, a potem mi go podał.

Podpatrywałam, jak śpiewaczki z La Rotunde paliły papierosy, żeby wyglądać bardziej zmysłowo (a widowiskowe wypuszczanie kótek dymu zapewniało im zwykle wyższe napiwki), ja również się tego nauczyłam, cierpliwie znosząc drapanie w płucach i kaszląc tak długo, aż nabrałam wprawy. Adrienne gardziła tą manierą i uznawała ją za ohydną, ale ja zarobiłam dzięki temu więcej pieniędzy. Z jakiegoś powodu mężczyźni uwielbiali patrzeć na dym wydostający się z nosa kobiety.

- Nie znoszę służby wojskowej - mówił dalej Balsan. - Najpierw zaciągnąłem się do pułku piechoty, ale nie mogłem tam wytrzymać. Chciałem przebywać pośród koni, więc poprosiłem o przeniesienie do kawalerii, wychodząc z założenia, że skoro mam pracować na nazwisko swojej rodziny, to i ono powinno pracować na mnie. Trafiłem do Algierii, do Lekkiej Kawalerii Afrykańskiej. Było tam nudno. Nieznośnie gorąco i nudno.

- Dwa razy powtórzyłeś, że było tam nudno - zauważyłam.

- Czyżby? - Przewrócił oczyma. - Bo taka jest prawda. Nudziłem się do tego stopnia, że któregoś dnia zasnąłem w czasie warty i trafiłem do aresztu. Ale wtedy nasze konie zaczęły cierpieć na dziwną chorobę skóry, której nie potrafili wyleczyć tamtejsi weterynarze. Zawarłem układ ze swoim zwierzchnikiem: obiecał mi, że jeżeli zdołam uratować konie, zostanę przeniesiony do Francji. Przygotowałem więc maść stosowaną w takich przypadkach w Anglii. Nie miałem pojęcia, czy okaże się skuteczna, ale tak się stało i oto trafiłem tutaj, do Dziesiątego Pułku Lekkiej Kawalerii w Moulins. Miejsca, które wydawało mi się równie nudne, jak Afryka. do czasu, aż poznałem ciebie.

Uśmiechnęłam się niefrasobliwie, choć tak naprawdę jego opowieść zrobiła na mnie ogromne wrażenie. To, że wbrew oczekiwaniom wuja porzucił intratne stanowisko w rodzinnej firmie, żeby realizować swoją pasję. to wszystko sprawiało, że kręciło mi się w głowie. Choć nie miałam niczego, także nazwiska, które by mnie do czegokolwiek zobowiązywało, pogardliwe lekceważenie, z jakim podchodził do swoich przywilejów, wydawało mi się szokujące i odurzające zarazem.

- Gdy tylko zakończę służbę - powiedział - zacznę robić to, o czym zawsze marzyłem. Mam dwadzieścia sześć lat, a spadek należy do mnie. Wuj nie może mi go odebrać, choćby nawet usiłował mi grozić. Zamierzam kupić *château* i hodować najlepsze konie wyścigowe, jakie widziano w tym kraju. Nie obchodzi mnie, co pomyślą o tym inni. Mamy tylko jedno życie. A ja zamierzam przeżyć je na własnych zasadach.

Choć nadal nie wydawał mi się szczególnie atrakcyjny, moje uczucia do niego zaczęły ewoluować w sposób, którego nie potrafiłam zrozumieć. Jego nieco arogancka pewność siebie i nonszalancja robiły na mnie wrażenie - zapewne dlatego, że nigdy nie poznałam mężczyzny tego formatu. Zaczęłam niecierpliwie wyczekiwać spotkań z Balsanem, a kiedy nie przebywałam u jego boku, moje życie stawało się szare i monotonne.

Adrienne z niemałym zaangażowaniem śledziła rozwój naszej znajomości.

- Czy wyjawiał już swoje intencje? - zapytała, kiedy leżałyśmy w naszym pokoju po nocy spędzonej na tańcach w towarzystwie Balsana i jego przyjaciół. - Widzę, jak na ciebie patrzy. Obserwuje każdy twój ruch. To, że śpiewasz w kawiarni i cerujesz halki, najwyraźniej mu nie przeszkadza. Czy sądzisz, że mógł się w tobie zakochać? Próbował cię już pocałować?

Poczułam, że zadrżała, i pomyślałam, że całowano ją już zapewne niejednym razem. Pytania Adrienne jeszcze bardziej podsyciły mój niepokój: odkąd się poznaliśmy, Balsan nie dotknął nawet mojej ręki. Zresztą nie dawałam mu do tego sposobności. Musiał wiedzieć, że starali się o mnie także inni mężczyźni z jego otoczenia. Byłam na tyle młoda i ładna, że podobnie jak

Adrienne miała kilku adoratorów. A jednak wcale mnie to nie obchodziło. Nie pragnęłam żadnego z tych chełpliwych mężczyzn. Balsan był jedynym, który mnie interesował, dlatego nie mogłam zrozumieć, dlaczego nie budził we mnie uczuć, o których nieustannie rozmawiała Adrienne ze swoim baronem.

Zastanawiałam się, czy coś jest ze mną nie tak. Nigdy nie chciałam należeć do żadnego mężczyzny, z wyjątkiem mojego ojca. Czyżby na skutek bolesnej lekcji, jaką dał mi papa, nie potrafiła zmusić się do obdarzenia zaufaniem kogokolwiek innego? Czyż nie pragnęłam wyjść za mąż i założyć własnej rodziny? Adrienne uczyniła to pragnienie celem swojego życia, ale ja nie czułam takich potrzeb - choć były one zapewne jedynymi możliwymi ambicjami w przypadku młodych dziewcząt, takich jak my.

- Balsan i ja jesteśmy tylko przyjaciółmi - powiedziałam po dłuższej chwili, po czym odwróciłam się do ściany, ucinając rozmowę.

Wkrótce jednak zaczęłam przyglądać się Balsanowi równie uważnie, jak on przyglądał się mnie. Wypatrywałam znaku, który świadczyłby o tym, że nasza znajomość jest dla niego czymś więcej niż przelotnym flirtem. Pytał mnie o moją przeszłość i okazywał mi zainteresowanie, które wprawiało mnie w jeszcze głębszą konsternację - bo jak twierdziła Adrienne, dżentelmeni robili to zwykle w sytuacjach, w których zaczynali poważniej myśleć

O danej kobiecie.

Chcąc wydać mu się ciekawszą, wymyślałam niestworzone historie o tym, jak ojciec pojechał do Ameryki, żeby zbić fortunę po śmierci matki, zostawiając mnie i moje siostry pod opieką troskliwych ciotek, które wysłały nas do klasztoru, gdzie miałyśmy zdobyć wykształcenie. Nigdy nie wspominałam o Aubazine, o braciach, których straciłam, ani o tym, że odwróciłam się od własnych dziadków. Wyrzuciwszy z siebie te kłamstwa, czekałam z zapartym tchem, aż Balsan wybuchnie śmiechem i zbeszta mnie, mówiąc: „Coco, ależ z ciebie kłamczucha!”. On jednak tego nie zrobił. Przyjął wszystko, co mówiłam, a ja zaczęłam zauważać, jak łatwo jest zataić własną przeszłość. Przypuszczałam, że w podobnej sytuacji musiało się znajdować wiele innych dziewcząt - zwłaszcza gdy starałam się podkreślać, że postanowiłam samodzielnie na siebie zarobić, bo absolutnie nie wchodziła w grę alternatywa: wizyta u swatki albo ślub z jednym z chłopców, którego rodzina znała się z moją.

- Choć oczywiście zamierzam kiedyś wyjść za mąż - dodałam beztrzesko.

- Oczywiście. - Pochylił się w moją stronę. - Wygląda na to, że oboje źle znosimy oczekiwania innych ludzi. Być może jesteśmy sobie pisani, *ma petite Coco*.

Po raz pierwszy odniósł się do naszej wspólnej przyszłości, a ja poczułam zarazem nadzieję i konsternację. Nadal nie zdołałam zrealizować swoich planów - nie sprzedałam ani jednego kapelusza. Ani jedna modystka z Moulins nie chciała ze mną współpracować. Wciąż zależałam od *madame G.* i zdierałam sobie gardło w kawiarni, a choć w mojej puszcze znajdowało się coraz więcej pieniędzy, niewiele mogłam zrobić, skoro nikt nie zamierzał kupować kapeluszy. Obawiałam się, że w tym tempie zamienię się wkrótce we własną matkę

I będę harowała jak niewolnica, aby utrzymać dach nad głową, i nigdy nie zarobię dość, żeby wydostać się z rynsztoka. Balsan mógł odmienić mój los jednym pstryknięciem palców. Ale czy tego właśnie chciałam? Oczywiście nie ludziłam się, że mi się oświadczy - mężczyźni tacy jak on nie żenili się z dziewczętami takimi jak ja. I choć jako jego kochanka nie borykałabym się już z problemami finansowymi, czy byłabym dzięki temu szczęśliwsza?

Odsuwałam od siebie te sprzeczne emocje i nie prosiłam go nigdy o jakiegokolwiek deklaracje. Po blisko dwóch latach spędzonych w Moulins, zdecydowałam, że przyszedł już czas na wyjazd. Musiałyśmy zmienić coś w swoim życiu i Adrienne dała się wreszcie namówić na przeprowadzkę do Vichy, gdzie miałyśmy wynająć pokój i znaleźć pracę w którejś z bardziej

eleganckich kawiarni. Przekonywałam ją, że zdobyłyśmy cenne doświadczenie i że z pewnością nam to pomoże. Z początku Adrienne podchodziła do tego pomysłu sceptycznie, ale Balsan zapewnił ją, że zdecydowanie go popiera i że zapewni środki, które pozwolą nam rozpocząć życie w nowym miejscu. Poza tym zadurzony baron oznajmił, że pojedzie za nią na koniec świata, a Vichy było przecież zdecydowanie bliżej.

- Ale czy nie postępujemy tak jak... - niepokoiła się, kiedy po wręczeniu wypowiedzenia *madame G.* zaczęłam wrzucać nasze rzeczy do walizek.

- Jak? - Ledwo zwracałam na nią uwagę, bo skupiłam się na tym, żeby podważyć deskę w podłodze, wyjąć swoją puszkę i sprawdzić jej zawartość. Liczyłam na to, że pieniądze zdołały się w jakiś tajemniczy sposób rozmnożyć.

- No cóż, tak jak... - Zniżyła głos. - Jak te kobiety, które się sprzedają. Nie mogłam uwierzyć, że to powiedziała.

- Twierdzisz, że przyjęcie pomocy oferowanej przez Balsana zrobi z nas prostytutki?

- Nie do końca - odparła, choć troska malująca się na jej twarzy przeczyła tym słowom. - Chodzi mi tylko o to, że... no cóż, to jego pieniądze, a jeżeli je przyjmujemy, mogą się z tym wiązać pewne oczekiwania.

Miałam ochotę przypomnieć jej, że jeszcze niedawno proponowała mi, żebym została *grande cocotte* - a teraz nie chciała przyjąć pomocy od człowieka, którego znałyśmy od wielu miesięcy i z którym nie łączyły mnie żadne niestosowne relacje?

- To co innego - warknęłam. Choć obawy Adrienne wydawały mi się bezpodstawne, w jej sugestii tkwiło ziarno prawdy. - Etienne Balsan jest naszym przyjacielem. To tylko pożyczka. Oddamy mu te pieniądze.

- Louise jest bardzo zaniepokojona - mówiła dalej, przygryzając wargę. - Kiedy ją odwiedziłam, oświadczyła, że popełniamy poważny błąd. Jej zdaniem nie powinniśmy mieszkać same w Vichy. Proponowała też, żebyśmy przeniosły się do Varennes i zamieszkały razem z nią.

- I co miałybyśmy tam robić? - Adrienne wzdrygnęła się, kiedy stuknęłam puszką w podłogę. - Będziemy zajmowały się kozą i pomagały jej ozdabiać te głupie kapelusze? Adrienne, masz nie tylko mnie, ale też zakochanego w tobie barona. Jeżeli chcesz mimo to wracać do Varennes, zrób to. Ale ja jadę do Vichy. Z tobą lub bez ciebie.

Do jej oczu napłynęły łzy. Musiałam ją przytulić, bo zaczęła szlochać i dławiąc się łzami tłumaczyć, że nie każdy jest tak odważny jak ja i że bywam czasem naprawdę wstrętą.

- Wiem - przyznałam, zastanawiając się, dlaczego nie paraliżował mnie ten strach przed niezależnością, którego doświadczały Adrienne, Julia i tak wiele innych dziewcząt. - Ale byłyśmy już w Vichy. Możesz tam robić, co tylko zechcesz. Możesz nawet odwiedzić Louise, kiedy już zarobimy na bilety kolejowe.

- To nie to samo - wymamrotała. Czekala jednak cierpliwie z naszymi walizkami, gdy ja targowałam się z *madame G.* o naszą ostatnią wypłatę.

Pod wpływem moich nalegań Balsan kupił nam bilety na trzecią klasę do Vichy. Nie chciałam pożyczać więcej pieniędzy, niż było to konieczne. Zamierzał wyjechać na miesiąc do swojej rodziny do Lyonu, ale obiecał, że odwiedzi nas po powrocie.

Choć trzecia klasa okazała się wygodniejsza od jazdy dylizanssem, musiałyśmy stać przez całą drogę, bo wszystkie miejsca były zajęte. Pokój, który wynajęłam w Vichy podczas poprzedniej wyprawy z Balsanem, nie wydawał się nawet w połowie tak atrakcyjny jak wtedy, gdy oglądałam go po raz pierwszy. Krzywe okno wychodziło na alejkę, na którą wyrzucano resztki z pobliskich restauracji. Cuchnęło tam wilgocią i zgnilizną, a ja musiałam szybko rozgnieść ogromnego karalucha i wkopać go pod łóżko, tak żeby nie zauważyła go Adrienne. Pokój był umeblowany: znajdowało się tu między innymi pęknięte lustro oraz trzeszcząca

komoda, której Adrienne zaczęła przyglądać się z żalną rezygnacją.

- Przynajmniej nie musimy się już martwić tym okropnym piecem - zauważyłam, po czym dziarsko przystąpiłam do rozpakowywania walizki. - Zobaczysz, wszystko się ułoży - powtarzałam. - Za kilka tygodni będziemy miały tyle pracy, że nie będziemy wiedziały, w co ręce włożyć.

Sprawy potoczyły się jednak nieco inaczej, niż przewidywałam. Większość kawiarni cierpiała na nadmiar śpiewaczek, a przed ich tylnymi drzwiami ustawiały się długie kolejki pełnych nadziei dziewcząt. To samo dotyczyło wszystkich miejscowych sklepów. Wreszcie udało nam się znaleźć dorywczą pracę polegającą na cerowaniu ubrań, ale zarabialiśmy nie lepiej niż u *madame G*. Choć wydałam całą zawartość swojej cennej puszkii na elegancki kostium, w którym występowałam podczas rozmów o pracę, żaden z właścicieli kawiarni przy bulwarze nie chciał mnie zatrudnić. Ostatecznie, kiedy skończył się sezon, a z Vichy wyjechali kuracjusze, otrzymałam ofertę pracy w położonym nieco na uboczu kabarecie o szumnej nazwie *Le Palais Doré** - choć plamy nikotyny na ścianach były jedyną rzeczą, którą można by w nim uznać za złotą.

Śpiewałam co wieczór w tamtejszym *beuglant*: wraz z dziewięcioma innymi dziewczętami występowałam przed wydającymi gromkie okrzyki marynarzami na przepustkach i innego rodzaju hołotą. Odręcałam więcej rąk i śliniących się ust, niż mogłabym zliczyć, i co noc wracałam do domu na piechotę, choć na każdym rogu stali podpici mężczyźni. Gdy tylko otwierałam drzwi, witałam zmęczoną Adrienne szerokim uśmiechem i zerkając na leżącą u jej stóp stertę zacerowanych ubrań, oznajmiałam, że dostałam więcej napiwków niż przez cały tydzień pracy w *La Rotunde*.

- To wspaniale - powtarzała bez entuzjazmu, kiedy przygotowywałyśmy posiłek składający się z trzydniowego chleba i tłustej szynki, którą sprzedawano nam u rzeźnika po niższej cenie.

Jednak pewnego dnia, kiedy wróciłam do domu skrajnie wyczerpana, Adrienne czekała już na mnie w swoim poplamionym kostiumie podróżnym i pomiętym kapeluszu. Obok niej stała spakowana walizka.

- Wracam do Moulins. Kocham cię jak siostrę, Gabrielle, ale dłużej tego nie zniosę - powiedziała łamiącym się głosem. - Maurice ani razu mnie nie odwiedził, a jeżeli zostanę tu za długo...

- Nie. Nie musisz mówić nic więcej - wyszeptałam, mocno ją przytulając. Odprowadziłam Adrienne na dworzec, kupiłam jej bilet na trzecią klasę i machałam do

niej z peronu, kiedy zastukotały przekładnie i pociąg ruszył przed siebie, skąpany w chmurze czarnego dymu.

Dopiero kiedy dowlokłam się ostatkiem sił do naszego obskurnego pokoju, uświadomiłam sobie, że po raz kolejny zostałam porzucona. Tym razem jednak nie został mi już nikt. * Złoty Pałac (przyp. tłum.).

Nieobecność Balsana z początku mnie dziwiła, potem bolała, a na koniec oburzała -ostatecznie zmiażdżyłam wspomnienie jego osoby jak liczne karaluchy w moim pokoju.

Pewnej nocy, kiedy występowałam w jakimś okropnym numerze, ubrana w upokarzający kostium z odkrytymi ramionami, który nie dość, że musiałyśmy nosić, to jeszcze opłacałyśmy z naszych pensji, w kabarecie zjawił się nagle Balsan. Natychmiast go rozpoznałam - nawet z drugiego końca sali - i poczułam się tak, jakby ktoś kopnął mnie w brzuch. Piosenka trwała w najlepsze, on zaś, wyraźnie oszołomiony, rozglądał się wkoło, patrząc na tupiących głośno i przeżuwiających tytoń mężczyzn. Wreszcie odwrócił się powoli w kierunku sceny.

Musiał mnie zauważyć - wymizerowaną dziewczynę, która schudła do tego stopnia, że spinała górę sukienki szpilkami - ja jednak udawałam, że go nie widzę. Gdy tylko skończyłyśmy śpiewać, nie zważając na gwizdy i krzyki, zaczęłam uciekać ze sceny. Chciałam tylko dotrzeć za kulisy i zerwać z siebie ten kostium, więc zignorowałam dochodzące zza moich pleców warknięcie właściciela:

- Jeszcze nie skończyłaś! Masz przejść po sali i zebrać napiwki!

Napiwki, których pokażną część potem przejmował. Posłałam mu gniewne spojrzenie i wybiegłam bocznymi drzwiami, nie dbając o to, że ubrudzę swoją jedyną parę butów w alejce, w której klienci załatwiali zwykle swoje potrzeby.

Zrobiło mi się niedobrze. Kiedy dotarłam do swojego pokoju, cisnęłam płaszcz i spojrzałam na swoje odbicie w lustrze. Nie robiłam tego od tygodni, bo nie chciałam patrzeć na owoce własnego uporu. Teraz jednak z mojego gardła wydobył się krzyk.

Wyglądałam tak jak w dzieciństwie: ogromne czarne oczy dominowały nad wynędzniałymi policzkami. Gwałtownie się odwróciłam i wyjęłam z torebki prawie puste opakowanie papierosów (paliłam nieustannie, kupowałam najtańsze papierosy, jakie mogłam dostać, żeby stłumić w ten sposób głód).

Nagle rozległo się pukanie do drzwi.

Zamarłam i trwałam tak bez ruchu do czasu, aż zapalka poparzyła mi palce. Nie zamierzałam otwierać. Mógł walić w drzwi tak długo, aż zaczną krwawić mu pięści. Niech idzie do diabła, niech wraca do swojej pełnej przywilejów egzystencji, do swoich przeklętych koni i pustych obietnic.

- Coco - powiedział. Dobrze go słyszałam, bo drzwi były niemal tak cienkie jak ja. -Wiem, że tam jesteś. Otwórz. Chcę się z tobą zobaczyć. Wszędzie cię szukałem.

To na mnie podziałało. Rzuciłam się do drzwi, gwałtownie je otworzyłam i zanim Balsan zdążył przestąpić przez próg, wrzasnęłam:

- Wszędzie? Gdzie niby mnie szukałeś? Byłam tu przez cały czas. W tym samym pokoju, który razem wynajęliśmy. Chciałeś mnie zobaczyć? Oto jestem. Patrz na mnie!

Zatrzasnęłam mu drzwi przed nosem, gdyby nie zablokował ich stopą. Wszedł do środka, a ja się cofnęłam. Dławiła mnie wściekłość i byłam gotowa udusić go gołymi rękoma. Balsan powiedział cicho:

- Mój Boże. Co oni ci zrobili?

Opadłam na podłogę, zakrywając twarz dłońmi i zaczęłam gwałtownie szlochać. Nie odczuwałam tak głębokiej rozpacz, odkąd opuścił nas ojciec. Nagle wszystko się ze mnie wylało: zagubienie, poczucie porażki oraz świadomość, że niezależnie od moich wysiłków i mojej wewnętrznej siły świat zawsze ze mną wygra i pogrzebie mnie razem z iluzjami, którymi się karmiłam.

- Natychmiast stąd wyjeżdżamy - wyszeptał Balsan, otaczając mnie ramionami. Chwycił mnie za talię i przyciągnął do siebie, choć płakałam i usiłowałam go odepchnąć. - Pojedziesz ze mną i zamieszkamy w moim nowym *château*. Pora skończyć z tą dumą. Chcę cię mieć przy sobie.

Która dziewczyna nie pragnie, by się nią opiekowano?

Nieustannie to sobie powtarzałam, kiedy Balsan zabrał mnie do Moulins, żebym mogła pożegnać się z bliskimi. Po mękach, jakich doświadczyłam w Vichy, nawet Moulins wydawało mi się rajem, choć przyjechałam tam tylko po to, żeby odwiedzić ciotki. Miałam na sobie komplet kupiony mi przez Balsana - czarna lniana żakiet i spódnicę. Wszystkie swoje stare ubrania zdążyłam już wyrzucić. Siedziałam teraz spokojnie, podczas gdy on zapewniał Louise, że niczego mi nie zabraknie.

Adrienne przyjęła tę wiadomość z zachwytem, tak jakby Balsan ukląkł i wręczył mi pierścionek zaręczynowy. W ciągu tych kilku miesięcy, które spędziłyśmy osobno, moja młodsza ciotka odzyskała dobry nastrój. Promieniała, bo jak się okazało, Maurice de Nexon usychał z tęsknoty podczas jej nieobecności - choć nie dowiedziałam się, dlaczego ani razu nie odwiedził jej w Vichy. Louise znalazła jej przyzwoitkę, słynną swatkę, która zaproponowała Adrienne i baronowi podróż do Egiptu w towarzystwie kilku innych par. Chciała w ten sposób wyrwać ich z dotychczasowego otoczenia i sprawdzić, czy rzeczywiście pragną oboje małżeństwa. Nieco później, kiedy szłyśmy przez główny plac miasteczka, Adrienne wyznała mi, że choć rodzina Nexona chciała, żeby baron ożenił się z dziewczyną z dobrej rodziny, ten oznajmił, iż pragnie tylko jej - dlatego zamierzała podjąć walkę i zjednać sobie jego bliskich.

- Cieszę się twoim szczęściem - powiedziałam, zastanawiając się jednocześnie, czy jest gotowa znosić pogardę, jaką budziłaby nieuchronnie jako kochanka barona.

Dziwiłam się też, że Louise wyraziła na to zgodę, choć zdawałam sobie sprawę, iż zamierzałam postąpić w podobny sposób z Balsanem. Nie mogłam krytykować jej za coś, co sama gotowa byłam zaakceptować. Poza tym Adrienne kochała swojego barona, podczas gdy we mnie Balsan nie budził tego typu emocji. Czułam wdzięczność, a także ulgę związaną z tym, że mnie odnalazł - w przeciwnym razie przepadłabym nieuchronnie. Ale w swoim sercu nie odnajdowałam choćby śladu pożądania, jakie Nexon budził w Adrienne. Obawiałam się wręcz jakiegokolwiek bliskości, choć musiała ona nadejść prędzej czy później. Podczas gdy Adrienne opowiadała mi o swoich marzeniach, zaczęłam się znowu zastanawiać, czy nie jestem niezdolna do tej obezwładniającej namiętności, którą opisywała.

Ciotka Louise życzyła mi *bonne chance*, a następnie odwróciła wzrok, potwierdzając tym jednym gestem, że żegna mnie z prawdziwą ulgą. Okazałam się nieodrodną córką swojego ojca, zdecydowaną podążać własnymi drogami - dlatego Louise wołała, żebym zniknęła z życia Adrienne. Byłam w końcu tylko jej bratanicą, ona zaś musiała skupić całą swoją uwagę na siostrze, jeżeli chciała, żeby ta wyszła za barona. Stałam się zatem kulą u nogi, żywą ilustracją tego, jak porządna dziewczyna może zejść na manowce. Tak jak w dzieciństwie, musiałam zostać odprawiona i zniknąć z pola widzenia.

Ta świadomość mnie zahartowała. Wyjechałam z Moulins, ani razu nie oglądając się za siebie, choć moja siostra Antoinette żyła w miejscowym klasztorze, a Julia mieszkała w domu naszych dziadków, godzinę drogi od miasteczka. Chciałam się z nimi pożegnać, ale nie miałam ochoty im się tłumaczyć. Wiedziałam, że *tante* Louise i tak poinformuje je wkrótce o tym, że zesłam na złą drogę. Zdawałam sobie sprawę, że tak właśnie myślała - widziałam to w jej oczach. Nie wierzyła, że Balsan kiedykolwiek się ze mną ożeni.

Ja też w to nie wierzyłam. Ale podjęłam decyzję - i nie zamierzałam się z niej wycofywać.

Dom, który Balsan kupił w pobliżu Compiègne, był siedemnastowiecznym *château*

O imponującej nazwie - Royallieu. Jego stan okazał się jednak nieco mniej imponujący. Ten stary zamek z cuchnącymi stęchlizną meblami i oknami spowitymi ciężkimi draperiami ogrzewały jedynie potężne, zapchane sadzą kominki. Pokoje, w których od lat nikt nie mieszkał, wypełniały ciężkie krzesła i stoły przykryte zakurzonymi serwetami. Z kranów w wannach i umywalkach leciała brązowa woda, a w kątach pomieszczeń odnajdowałam odchody rozmaitych gryzoni.

Balsan zdawał się kompletnie tym wszystkim nie przejmować, co w przypadku takiego pedanta stanowiło pewne zaskoczenie. Oznajmił, że zamierza stopniowo remontować *château*, choć na razie musi skupić się na koniach, ich stajniach i wycince części lasu, który zarósł posiadłość. Chciał w jego miejscu zbudować tor wyścigowy i tereny do gry w polo.

Wydawał mi się do pewnego stopnia odmieniony, choć nie potrafiłam dokładnie określić, na czym polegała ta metamorfoza. Wyznał, że odnowił dawne znajomości i nie odwiedzał mnie w Vichy, bo odbył nieplanowaną wizytę w Paryżu, gdzie musiał zająć się „zaległymi sprawami”. Nie tłumaczył, na czym polegały te sprawy, a ja o nic nie pytałam. Czułam, że nie szukał kochanki, która zadawałaby zbyt wiele pytań.

Pozwolił mi wybrać sypialnię połączoną z łazienką i prywatnym salonikiem, w którym mogłam czytać i robić kapelusze. Choć woda gwałtownie wytryskiwała z kurka, a rury jęczały z całych sił, był to dla mnie prawdziwy luksus. Rozkoszowałam się samym rozmiarem moich apartamentów, a także poczuciem, że mogę robić, na co tylko mam ochotę. Z doskonale wyposażonej biblioteki przynosiłam całe naręczki książek i spędzałam długie godziny, leżąc na dywanie i puszczać wodze wyobraźni.

Balsan dawał mi pieniądze na kolejne kapelusze i ozdoby. Ogarnięta szalem twórczym, pracowałam całymi nocami, a gotowe kapelusze zaczęły stopniowo pokrywać każdą wolną powierzchnię w moim saloniku i w sąsiednim pomieszczeniu. Balsan przyjmował to ze spokojem

I uśmiechem - zresztą i tak spędzał większą część dnia poza domem, zajmując się swoimi sprawami.

Spotykaliśmy się wieczorami, podczas kolacji serwowanej przez nie narzucającą się służbę. Paplałam o swoich kapeluszach i o powieściach, które zdołałam przeczytać jednym tchem. Pochłaniałam świeże jedzenie, obiecując sobie, że po tym, co przeżyłam w Vichy, nigdy więcej nie doświadczę już głodu.

- Kto by pomyślał, że zdążysz dziś tyle zrobić? - powiedział, zapalając papierosa po obiedzie. - Myślałam, że spałaś do południa, a potem kąpałaś się do trzeciej.

- No cóż, to akurat prawda - przyznałam. - Ale nie jestem aż taka leniwa. - Tak naprawdę czułam pewien dyskomfort na myśl o tym, że miałabym korzystać wyłącznie z jego szczodrości. Pracowałam przez całe życie. Nie potrafiłabym się przyzwyczaić do całkowitej bezczynności. Wypełniałam czas czytaniem - uważałam, że czytanie nie jest biernym zajęciem, jeśli odpowiednio się je wykonuje - i tworzyłam kolejne kapelusze, a mimo to już po kilku tygodniach zaczęła mnie dręczyć bezcelowość własnej egzystencji. Zastanawiając się, co jeszcze mogłabym robić, żeby zasłużyć na wszystkie wygody, jakie zapewnił mi Balsan, czułam lekką panikę. Ponieważ nie byłam gotowa, by dać mu to, czego zapewne pragnął, rzuciłam nagle pod wpływem impulsu:

- Mógłbyś nauczyć mnie jeździć konno. Uśmiechnął się leniwie.

- To dobry pomysł. Nie boisz się koni?

- Oczywiście, że nie - odparłam, choć nigdy nie miałam okazji się o tym przekonać. - Zakładam, że to całkiem proste.

Zachichotał i zgasił papierosa.

- Wobec tego nauczę moją małą Coco utrzymywać się w siodle, kiedy tylko przyjadą

moje konie. To świetny pomysł. Zamierzam zaprosić tu swoich przyjaciół, a większość z nich lubi polować.

W jego głosie wychwyciłam dziwną nutę. Po chwili Balsan ruszył do biblioteki, a ja wróciłam na górę, żeby dalej pracować nad kapeluszami. Nie mogłam się jednak skupić. Chodziłam nerwowo po pokoju i patrzyłam przez okno, usiłując dostrzec pośród nieprzeniknionych ciemności kontury drzew malujące się na tle nieba w kolorze indygo.

Kiedy za moimi plecami otworzyły się drzwi, wiedziałam, po co się zjawił. Odwróciłam się, on zaś stanął w progu. Po chwili wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi. Podniósł rękę i zaczął rozpinąć kołnierzyk koszuli, a ja spojrzałam mu w oczy.

- A zatem? - zapytał.

Stałam bez ruchu, trzymając w palcach tłęcego się papierosa.

- Tylko jeżeli tego chcesz - dodał, wyjmując srebrną papierośnicę z kieszeni spodni i kładąc ją przy lampie na moim stoliku nocnym. - Nie chcę cię do niczego zmuszać.

- Tak, oczywiście, że chcę - powiedziałam.

Serce biło mi coraz szybciej. Zaczęłam szarpać się z zapięciami mojej sukienki. Ze swobodnym lekceważeniem obserwowałam, jak zsuwałam z siebie sukienkę i halkę. Po chwili stałam przed nim z rękoma skrzyżowanymi na piersiach. Choć nadeszła wreszcie chwila, której tak się obawiałam, nie miałam pojęcia, czego oczekiwał. Przez moją głowę przemknęły obrazy chórzystek z Le Palais Doré, kołyszących biodrami i nachylających się nad stolikami, żeby eksponować dekolty. Czyżby Balsan liczył na tak bezwstydną występ?

On jednak odwinął narzutę, a następnie zdjął koszulę i spodnie. Miał bladą skórę, a jego klatka piersiowa okazała się zaskakująco wąską, jak u chłopca. Nie chcąc patrzeć na jego wydatne brodawki, przeniosłam wzrok na biodra - szersze niż się spodziewałam - i grube, owłosione nogi. Wyglądał jak zniekształcony centaur, szczupły w górnych partiach i masywny od pasa w dół. Kiedy dostrzegłam małego, zwiotczałego penisa wiszącego w kasztanowym gąszczu ciemniejszego od włosów na jego głowie, ogarnęło mnie nagle obrzydzenie. W ubraniach prezentował się zdecydowanie lepiej.

Wsunął się pod kołdrę i poklepał materac. Podeszłam do łóżka. Pomyślałam, że muszę wyglądać groteskowo - drobne nagie piersi i bielizna owinięta wokół bioder. Przykryłam się tak szybko, jak tylko mogłam.

Wyciągnął rękę i pogłaskał mnie, a następnie przebiegł dłonią po moich piersiach i uszczypnął sutki. Zamknęłam oczy i starałam się o niczym nie myśleć, ale przez cały czas widziałam pajęczynę rozsnutą pod sufitem w kącie pokoju. Wisiała na niej pajęczycza, którą obserwowałam każdego dnia - przyglądałam się, jak łapała muchy i cierpliwie otulała ich wciąż wierzgające ciała śmiertelnym kokonem. Nazwałam ją Margot. Siedziała tam teraz nieruchomo, czekając na ucztę, a kiedy Balsan zaczął całować mnie w szyję, czułam się tak, jakbym stała się jedną z jej ofiar.

Nie było tak, jak czytałam w powieściach. Zresztą wcale się tego nie spodziewałam. Zdawałam sobie sprawę, że te fikcyjne ekstazy muszą się tak naprawdę okazywać zdecydowanie bardziej prozaiczne, dlaczego bowiem pospolity akt, który wszyscy określali mianem *la petite mort*, miałby stanowić szczyt naszych doznań? Mimo to spodziewałam się, że *cokolwiek* poczuję. Zmartwiłam się, kiedy tak się nie stało. Kiedy Balsan przywarł ustami do moich piersi, wczepiając się w nie jak karmione przez matkę niemowlę, ledwo stłumiłam gwałtowny chichot. To wszystko wydawało się takie... groteskowe. Tak niepodobne do nas.

- Dobrze ci? - wyszeptał, nie wypuszczając z ust mojego sutka. Wydałam z siebie udawany jęk rozkoszy.

Najwyraźniej sprawiło mu to przyjemność, bo zaczął się coraz bardziej podniecać. Gryzł

mnie i lizał do czasu, aż jego twardy penis zaczął szturchać moje uda, a ja lekko się przesunęłam, żeby przed nim uciec. Balsan musiał zinterpretować mój ruch jako przyzwolenie, bo wszedł we mnie gwałtownie, wzdychając:

- Ach, Coco, tak długo na to czekałem.

Cóż to był za ból! Wydałam stłumiony okrzyk, czując mocne pieczenie, on zaś wbijał się we mnie rytmicznie, stękając przez zaciśnięte zęby. Myślałam, że nigdy nie skończy, nagle jednak krzyknął, wyszedł ze mnie i wylał na mój brzuch ciepłą, lepka miazę.

Dostrzegłam smugi krwi na prześcieradle i na wewnętrznej stronie ud. Podniosłam wzrok i spojrzałam mu w oczy.

- Nie mówiłaś mi - powiedział. W jego głosie nie usłyszałam oskarżenia, raczej zdziwienie. - Gdybym wiedział, nie nalegałbym.

Wzruszyłam ramionami, siląc się na bez troskę.

- To się musiało wreszcie zdarzyć. Cieszę się, że zrobiłam to z tobą.

Pocałował mnie, a potem odsunął się i sięgnął po swoją srebrną papierośnicę. Zapalił dwa papierosy i podał mi jednego z nich. Leżeliśmy obok siebie i paliliśmy. Po chwili westchnął:

- No cóż, to było wspaniałe. Dobranoc, Coco. Dziękuję.

Ubrał się i wyszedł, a ja z trudem uśmiechnęłam się do niego na pożegnanie. Wisząca w kącie pokoju Margot zsunęła się tymczasem po pajęczynie i zaczęła przeżuwać swoje ofiary.

Wolałabym nigdy więcej tego nie powtarzać - ale skoro takiej zapłaty oczekiwał, byłam gotowa to znieść.

Przyjazd jego przyjaciół zakłócił łagodną monotonię panującą w Royallieu. Od tamtej nocy Balsan tylko dwukrotnie wracał do mojego łóżka. Nadal nic nie czułam, on jednak zdawał się tego nie zauważać. Kiedy było już po wszystkim, wypalał ze mną papierosa, a potem zostawiał mnie samą. Cieszyło mnie to, bo mogłam się dzięki temu wykąpać i zmyć z siebie zapach jego wody kolońskiej, a także lepką maź, którą pozostawiał na moim brzuchu. Po kąpieli oddawałam się lekturze albo ozdabiałam kapelusze, starając się nie myśleć o tym, że coś musi być ze mną nie tak, skoro nie potrafię odnaleźć przyjemności w akcie, który Balsan najwyraźniej doceniał. Zastanawiałam się, czy wszystkie pary odbywają ten rytuał w podobny sposób, z beznamiętną precyzją. Choć byłam kompletnie niedoświadczona, szczerze w to wątpiłam. Wydawało mi się, że ludzie tacy jak Adrienne i Nexon nie zabiegaliby tak o ślub, gdyby po tych wszystkich wysiłkach miała na nich czekać tak marna nagroda.

Wcale nie poczułam się pewniej, kiedy w domu zjawili się nagle ludzie, których nie znałam. Spośród dobiegających z dołu hałasów wyłowiłam kobiecy głos. Natychmiast otworzyłam szafę i zaczęłam przeglądać suknie kupione przez Balsana - falbaniaste stroje z niezliczonymi wstążkami i koronkami, w których niemal tonęłam. Podejrzywałam, że kimkolwiek jest nieznajoma na dole, zdoła mnie bez trudu przyćmić, bo te sukienki zmieniały mnie tylko w kogoś, kim nie byłam. W przypiływie determinacji postanowiłam sięgnąć po komplet, który sama sobie uszyłam.

Pewnego dnia, kiedy nie miałam nic lepszego do roboty, wzięłam jedną ze starych koszul Balsana, lekko ją skróciłam i doszyłam do niej okrągły kołnierzyk. Koszulę nadal zapinało się z przodu, ale tradycyjne zamki zastąpiłam powleczonego materiałem guzikami. Wyjęłam ją teraz z szafy i dobrałam do niej wąską kremową spódnicę, którą przywiozłam z Compiegne podczas jednej ze swoich wypraw po dodatki do kapeluszy. Na górę włożyłam luźny beżowy sweter - on także należał kiedyś do Balsana i zbiegł się w praniu - który przewiązałam w talii paskiem. Całości dopełniły kremowe buty na niskim obcasie.

Pospiesznie zerknęłam na swoje odbicie w lustrze. Komplet ten był niewątpliwie ekscentryczny i miał wiele męskich akcentów. Wyglądałam jak dziewczyna w ubraniu ojca, ale dzięki temu powstał też krój, który mi odpowiadał, bo pasował do mojej kościstej figury. Wiedziałam, że w takim stroju z pewnością zrobię na wszystkich wrażenie. Mój niepewny uśmiech w jednej chwili się rozjaśnił.

Lepiej zostać zauważonym niż zignorowanym.

Zeszłam po schodach do salonu, w którym zgromadzili się Balsan i jego znajomi.

Goście wyglądali elegancko i wytwornie. Sączyli whisky ze szklaneczek i gawędzili, a nad ich głowami unosiła się chmura dymu tytoniowego. Kiedy weszłam do pokoju, wszyscy jednocześnie odwrócili się w moją stronę. Na szczęście zamiast pogardy i potępienia dostrzegłam na ich twarzach rodzaj zaciekawienia, tak jakbym była trofeum, które Balsan postanowił im zaprezentować. Podeszedł do mnie zamaszystym krokiem i wziął mnie za rękę.

- Coco, pozwól, że cię przedstawię.

Zaczął wymieniać kolejne nazwiska, które ulatywały mi z głowy, jeszcze zanim skończył je wypowiadać. Niektóre z nich miałam później dobrze poznać, na razie jednak byłam zbyt zdenerwowana, żeby je zapamiętać. Uśmiechałam się i kiwałam głową do czasu, aż stanęliśmy przed ponętą kobietą o bujnych kształtach, tonącą w lokach i falbanach. Przyglądała mi się z nieskrywanym zainteresowaniem swymi niebieskozielonymi oczyma, których zwieńczenie stanowiły gęste rzęsy.

- Emilienne d'Alençon, słynna aktorka. Kobieta wybuchnęła gromkim śmiechem.
- Słynna może dla ciebie, drogi Etienne. Ta cudna istota z pewnością mnie nie zna. - Uśmiechnęła się do mnie, odsłaniając drobne zęby w kolorze kości słoniowej. - *Enchantée, ma chère*. Widzę, że jesteś dokładnie taka, jak opowiadał Etienne.

Sposób, w jaki o nim mówiła, zdradzał łączącą ich poufałość. Nagle zdałam sobie sprawę, że musieliby być dla siebie kimś więcej niż tylko przyjaciółmi, a Balsan zachichotał i powiedział:

- Emilienne była moją kochanką. Pamiętasz, jak wspominałem o sprawach, które sprowadziły mnie do Paryża? Chodziło właśnie o nią.

Powiedział to rzeczowo - w podobny sposób dziękował mi zwykle za spędzoną wspólnie noc. Emilienne swawolnie pociągnęła go za ramię swoją zadziwiająco gładką dłonią.

- Jesteś łajdakiem. Porzuciłeś mnie, nie płacąc nawet rachunku. Żaden mężczyzna, nawet najbardziej czarujący, nie rzuca Emilienne d'Alençon, nie wywiązując się ze swoich zobowiązań.

Balsan roześmiał się i wrócił do pozostałych gości. Emilienne znowu się do mnie uśmiechnęła, tym razem zdecydowanie serdeczniej. Była oszałamiająca. Miała nieskazitelnie jasną cerę, a jej policzki wydawały się różowe, nie sprawiając jednocześnie wrażenia rumianych. Złotorude włosy upięte były w górze zgodnie z obowiązującą modą, a loki otaczały owalną twarz. Miała na sobie pomarszczoną suknię z błękitnego jedwabiu, na której utkany został wzór *chinois* składający się z bocianów i wodospadów. Na każdej innej kobiecie wydawałby mi się nadmiernie krzykliwy. Klejnoty zdobiące szyję i nadgarstki Emilienne zapierały dech w piersiach, ale było ich zbyt wiele. Nigdy nie widziałam osoby, która w środku dnia nosiłaby tak dużo biżuterii. Wszystko było w niej przesadzone, teatralne - a mimo to dodawało jej tylko atrakcyjności.

Zrozumiałam, że znalazłam się w obecności kogoś więcej niż tylko aktorki. Emilienne d'Alençon musiała być jedną z *grandes cocottes*, o których opowiadała mi Adrienne.

- Jak ci się podoba tu w Royallieu? - Wzięła mnie pod rękę, a następnie oddaliła się od reszty gości, prowadząc mnie w kierunku podwójnych szklanych drzwi, które wychodziły na werandę. - To dość przygnębiające miejsce, prawda? Można odnieść wrażenie, że sama Maria Antonina zatrzymała się tu w drodze na gilotynę.

Musiałam się uśmiechnąć. Na tym właśnie polegała jej siła. Przypuszczałam, że wybaczano jej wszystko, co mówiła.

- Z pewnością przydałby się tu remont - odpowiedziałam. Zamruczała z zachwytem.

- Tak, to prawda. Ale Etienne jest tak skupiony na swoich koniach, że będzie ignorował dom, póki dach nie runie mu na głowę. Dzięki Bogu ma teraz ciebie. - Zamilkła na chwilę, mierząc mnie wzrokiem. - Przypuszczam, że mogłabyś spokojnie zająć się remontem zamiast Etienne'a. Pozwala ci korzystać ze swoich pieniędzy?

Nie miałam pojęcia, co odpowiedzieć. Wreszcie wymamrotałam:

- Przypuszczam, że pozwoliłby mi, gdybym tylko poprosiła.

- Wobec tego musisz to zrobić. - Nachyliła się nade mną. - Bierz, co ci się należy, moja droga. Młodość i miłość przemijają, ale pieniądze nigdy nie tracą swojego blasku. - Wyszłyśmy na werandę. - Ach, cóż za wspaniałe, rześkie powietrze. Jak dobrze odpocząć od upiornego smrodu Paryża! Przejdziemy się? - Zamierzałam przytaknąć, ona jednak nagle się zatrzymała. - Och, zostawiłam w środku swój *chapeau*. Czy zechciałabyś po niego pójść?

Wróciłam do salonu i znalazłam jej kapelusz. Nie zdołałabym go zresztą przeoczyć, bo był jednym z tych okropieństw obwieszonych kokardami i górami piór. Nigdy nie przyjąłabym roli służącej, ale w tym przypadku zdecydowałam się odnaleźć zgubę. Patrzyłam, jak wkładała

kapelusz na głowę, a potem pomogłam jej wpiąć we włosy niezliczone szpilki, które utrzymywały go na miejscu.

- Tyle zamieszania - poskarżyła się Emilienne. - Ileż my, kobiety, musimy robić, żeby wyglądać najlepiej, jak możemy. Cieszę się, że tu przyjechaliśmy, bo mogę dzięki temu choć na chwilę zrzucić pancierz. - Wygięła nadgarstek, wachlując się z gracją. - Ale nie dotyczy to kapelusza. Prawdziwa dama powinna za wszelką cenę chronić swoją skórę. - Odwróciła się

i spojrzała na ogród, po chwili zaś dodała: - Słyszałam, że doskonale szyjesz. Etienne opowiadał mi podczas pobytu w Paryżu, że tworzysz przepiękne kapelusze.

Znieruchomiałam, ona zaś przyjrzała mi się z rozbawieniem.

- To prawda, *ma chère*?

- Tak. To... to moja pasja.

- No cóż, musisz mi wobec tego pokazać owoce tej pasji. Zawsze chętnie oglądam nowe kapelusze. Mody w Paryżu zmieniają się w tak oszalałym tempie, że jednego dnia jesteś niedoścignionym wzorem, a drugiego pędzisz do krawcowej i wydajesz bajonkie sumy. To cena sławy: kiedy wszyscy cię obserwują, nie możesz sobie pozwolić na żadne potknięcie.

Czułam do niej coraz większą sympatię. Musiała to zauważyć, bo znowu wzięła mnie pod rękę.

- Byłabym zachwycona, gdybyśmy zostały przyjaciółkami. Choć Balsan zrezygnował z moich usług, jest mi nadal bardzo bliski, wiem także, że bez reszty się w tobie zadurzył. Nie sądzę, żebym kiedykolwiek widziała go w takim stanie.

Czy mówiła poważnie? Uśmiechnęłam się do niej.

- Ja też bym tego chciała. - Przyszło mi do głowy, że nigdy dotąd nie miałam prawdziwej przyjaciółki, z wyjątkiem Adrienne, która wydawała mi się teraz bardzo daleka. Wyjechała ze swoim baronem do Egiptu, żeby przygotować się do życia, którego ja sama nie pragnęłam.

O czym miałybyśmy rozmawiać, gdybyśmy się znowu spotkały? Nawet jeśli Balsan rzeczywiście był zauroczonej, nie łudziłam się, że ktoś z nas jest zakochane.

Emilienne poprowadziła mnie po schodkach werandy. Nic już nie mówiłyśmy, ale spacerując po zarośniętych alejkach ogrodu, czułam dotyk jej dłoni na ramieniu - tak delikatny, że ledwo go zauważałam. Po raz pierwszy, odkąd sięgałam pamięcią, ogarnęło mnie prawdziwe zadowolenie.

Podczas gdy Etienne i pozostali mężczyźni paradowali po domu w bryczesach, siedziałyśmy z Emilienne na werandzie, sączyłyśmy kawę, objadałyśmy się czekoladą

1 i rozmawiałyśmy o jej życiu w Paryżu, gdzie występowała w teatrze i miała mieszkanie

z widokiem na Tuileries. Opowiadała mi o wszystkim w taki sposób, jakbym znała to miasto i wszystkie miejsca, o których wspominała - operę, teatry i kawiarnie, bistra i sklepy. Nie wprowadzałam jej z błędu, bo wstydziałam się, że nic nie wiem o świecie.

W czasie tego weekendu Emilienne postanowiła zrezygnować z eleganckich sukni i ogromnych kapeluszy. Zamiast tego wylegiwała się w haftowanych jedwabnych szlafrokach o szerokich ramionach i zapięciach wysadzanych diamentami. Miała włosy długie i gęste jak Madonna, i pozwalała im opadać kaskadą na plecy. Zauważyłam jednak, że nawet decydując się na swobodny strój (swobodny jak na nią, bo z mojego punktu widzenia nadal wyglądała tak, jakby ubrała się na elegancką galę), nigdy nie zdejmowała gorsetu.

Kiedy wreszcie zebrałam się na odwagę i zapytałam, czy nie czuje bólu, wtłoczona przez cały dzień w niewygodne fiszbiny, odpowiedziała:

- To prawdziwe tortury, ale musimy znosić je z godnością, bo wiążą się z nimi określone nagrody. Zdradzę ci pewną tajemnicę: nie jestem już taka młoda, *ma chère*, a muszę cały czas

podsycać tę iluzję. - Spojrzała na mnie w zamyśleniu. - A czy tobie nie zdarza się czasem nosić gorsetu?

Oczywiście, zdarzało mi się, choć unikałam tego, kiedy tylko mogłam. Nie wkładałam gorsetu, odkąd przestałam śpiewać w kawiarniach. Potrząsnęłam głową.

- Nie lubię tego - powiedziałam. Znowu pomyślałam, że Emilienne natychmiast przejrzy mnie na wylot i rozpozna we mnie dziewczynę, która nigdzie nie bywa i nie umie się ubrać.

Westchnęła.

- No cóż, przywilej młodości. Kiedy stoisz bokiem, jesteś prawie niewidoczna. Tak płaska i szczupła... zazdroszczę ci. Choć gorset wyeksponowałby twoje piersi. Mężczyźni tacy jak Balsan... no cóż, wolą kobiety nieco bardziej zaokrąglone.

Czyżby właśnie brak krągłości był moją wadą?

Nagle Emilienne oznajmiła, że chciałaby obejrzeć moje kapelusze. Lękałam się tej chwili, obawiając się, że osoba o tak wyrafinowanym guście uzna moje dzieła za marne substytuty elegancji. Mimo to zaprowadziłam ją na górę, do swojego saloniku, gdzie (oczywiście nie miała o tym pojęcia) przez wiele godzin układałam wcześniej kapelusze, chcąc przedstawić je w najkorzystniejszym świetle. Z zapartym tchem patrzyłam, jak Emilienne zbliżyła się do tych, które leżały na stole pod oknem. Nic nie mówiła. Przesuwała tylko dłoń nad kapeluszymi, ani razu ich przy tym nie dotykając. Nie miałam pojęcia, co myślała. Zamierzałam właśnie wyjaśnić, że robię kapelusze tylko po to, żeby się czymś zająć i że nie sądzę, by mogły się komukolwiek spodobać - kiedy zerknęła na mnie przez ramię.

- Czy mogłabym przymierzyć jeden z nich?

Przystanąła przy najbardziej ozdobnym spośród nich - okrągłym kapeluszu z czarnymi, jedwabnymi kameliami oraz czarnymi piórami wszytymi w lekko zadarte rondo. Ten akurat podobał mi się najmniej ze wszystkich. Nie zdążyłam jeszcze ustalić, czego mu brakowało, ale kiedy Emilienne włożyła go na głowę i odwróciła się do lustra, zdałam sobie nagle sprawę, że wyglądała w nim idealnie. Różniła się ode mnie. Nie miała drobnych kości. Nie nazwałabym jej grubą, ale była wysoka i pulchna, a jej ciało układało się w kształt klepsydry, który dodatkowo podkreślał gorset: obfite, wyeksponowane piersi i talia osy przechodząca w pełne biodra. Kapelusz uwydatniał tę posagową figurę, jednocześnie jej nie przyćmiewając. Włożyła go na głowę i delikatnie przechyliła, po czym lekko zmarszczyła brwi.

Pospiesznie do niej podeszłam i poprawiłam kapelusz w taki sposób, żeby odnalazł punkt podparcia bezpośrednio na jej czole. Rondo odchyliło się lekko w górę.

- Należy go nosić w ten sposób? - zapytała niepewnie. Skinęłam głową.

- Powinien podkreślać rysy twarzy.

- Ale wobec tego fryzura m u s i . ?

- Musi być prosta. Kapelusz nie będzie dobrze leżał, jeżeli włosy zostaną upięte zbyt wysoko.

- A zatem podnoszące kok szkielety z końskiego włosia okażą się w tej sytuacji niepotrzebne? - Spojrzała na moje odbicie w lustrze. - To byłaby prawdziwa rewolucja. Codziennie spędzamy wiele godzin na układaniu włosów. Gdybyśmy mogły z tego zrezygnować, na ileż dodatkowych rzeczy miałybyśmy czas!

Uśmiechnęłam się. Kapelusz do niej pasował, ale to było tylko moje zdanie. Kiedy się odwróciła, żeby obejrzeć moje pozostałe dzieła, dodałam:

- Kapelusz to tylko dodatek. Powinien wydobywać piękno naszej twarzy i ubrań. Paradowanie po mieście z paterą na głowie nie wydaje mi się ani wygodne, ani atrakcyjne.

- Rozumiem. I dlatego robisz te kapelusze. A w jaki sposób nad nimi pracujesz?

- Używam podstawowych modeli. Samodzielnie je ozdabiam, ale korzystam z gotowych szablonów.
- A mimo to nie tworzysz tradycyjnych nakryć głowy i nie wykorzystujesz innych ozdób poza kilkoma piórami albo odrobiną kolorowego materiału. To także jest rewolucyjny pomysł. -Przyjrzała się swojemu odbiciu w lustrze, a po dłuższej chwili dodała łagodnie: - No cóż, *ma chère*, twoje kapelusze są niezwykle. Nietypowe, a zarazem równie wyrafinowane jak ty. Czy myślałaś o tym, żeby je sprzedawać?

Przez chwilę zastanawiałam się, czy nie skłamać, ostatecznie jednak powiedziałam:

- Próbowałam to robić, kiedy mieszkałam w Moulins. Pewna kobieta z Vichy uznała jeden z ozdobionych przeze mnie kapeluszy za czarujący, ale nikt inny nie zainteresował się moimi wyrobami. A teraz robię to głównie dla siebie. Ja... sprawia mi to przyjemność.

- Najwyraźniej. I szyjesz też sama te intrygujące stroje, które zwykle nosisz? Naprawdę? To doprawdy niezwykle.

Już po raz drugi wypowiedziała to słowo. „Niezwykłe”. Puchłam z dumy.

- Wiesz, znam pewną doskonałą pasmanterię przy rue Lafayette w Paryżu. Sprzedają tam rozmaite typy form. Gdybyś miała ochotę, mogłabym przywieźć ci kilka, gdy odwiedzę was następnym razem.

Miałam ochotę ją ucałować.

- Byłabym bardzo wdzięczna. W Compiègne nie ma zbyt dużego wyboru.

- No cóż, nie sposób porównywać Compiègne z Paryżem. Jak określiłby to Balsan? -Emilienne zamilkła na chwilę. - To tak, jakby porównywać osła z koniem czystej krwi. -Roześmiała się i zdjęła kapelusz. Kiedy wyciągnęłam rękę, żeby go od niej zabrać, zapytała: -Ile?

Zamarłam. Nie miałam pojęcia, ile powinien kosztować gotowy kapelusz.

- Niech to będzie prezent - zaproponowałam. Cmoknęła.

- *Ma chère*, musisz podać jakąś cenę. Niczego, co robi kobieta, nie powinno się oddawać darmo.

- Dziesięć franków - rzuciłam. Ta kwota wydawała mi się zbyt wygórowana, ale Emilienne uniosła brwi.

- Tylko tyle? Sprzedany. Włożę go, kiedy następnym razem wybiorę się na herbatę do Tuileries. Inne damy zzielenieją z zazdrości i będą chciały się koniecznie dowiedzieć, gdzie kupiłam tak wspaniałą *chapeau*.

Kiedy odwróciłam się do stołu, drżąc i zastanawiając się, jak zapakować kapelusz, Emilienne położyła mi dłoń na ramieniu. Poczułam świeży zapach z domieszką olejku różanego.

- Wierzę, że osiągniesz wielki sukces, Coco Chanel - wyszeptała. - A ja zamierzam pomóc ci tego dokonać.

Zacząłam tęsknić za Emilienne, już kiedy wyjeżdżała, żegnając się ze mną w nowym kapeluszu na głowie, machając do mnie radośnie i obiecując, że niedługo wróci. Stałam samotnie przy wejściu do *chdteau*, a psy gończe Balsana dyszały u moich stóp, gdy odprowadzałam wzrokiem powóz zmierzający w kierunku stacji kolejowej.

Nieraz składano mi już takie obietnice. Odwróciłam się i zamierzałam iść do domu, nagle jednak odezwał się do mnie Balsan:

- Nie smuć się. Emilienne potrafi oczarować każdego, ale obdarza sympatią bardzo niewielu. Jeżeli obiecała, że wróci, to tak właśnie się stanie.

Nie rozumiał mojego przygnębienia ani dręczącego mnie przekonania, że każdy mnie prędzej czy później porzuci. Nie wierzyłam, że Emilienne rzeczywiście wróci, ale gdyby tak się jednak nie stało, nie zdołałabym się z tym pogodzić. Całkowicie zatopiłam się w pracy i krzywiłam się, ilekroć czułam ulatniający się powoli zapach jej perfum na wszystkim, czego dotykała. Balsan zauważył mój smutek. Trzymał się z daleka od mojego łóżka i zajmował się swoimi końmi. Wreszcie, nie potrafiąc dłużej znieść samotności, wyłoniłam się pewnego ranka z pokoju i podeszłam do niego, przerywając mu rozmowę ze stajennymi.

- Chciałabym nauczyć się dziś jeździć konno - oznajmiłam. Spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

- Ot tak po prostu?

Natychmiast się zjeżyłam, zirytowana jego zgrzytliwym tonem i samozadowoleniem, które nieustannie od niego biło, choć przecież jeszcze nie tak dawno sama je podziwiałam.

- Tak. Ot tak po prostu. Czy to jakiś problem?

Zmierzył mnie wzrokiem. Miałam na sobie prostą bluzkę, krótką kurtkę, spódnicę, wysokie buty i słomkowy kapelusz.

- Będziesz musiała nauczyć się jeździć po damsku - powiedział.

- Dobrze.

Ruszyłam w kierunku stajni sprężystym krokiem, on zaś poinstruował stajennego, prosząc, żeby przygotował dla mnie klacz. Podciągnięcie się na grzbiet zwierzęcia okazało się jednak trudniejsze, niż przypuszczałam. Choć stanęłam na podpórce, którą przygotował mi Balsan, moja spódnica nie była na tyle szeroka, żeby powędrować w górę, nie odsłaniając przy tym ud. Kiedy już usiadłam niepewnie w siodle, pokazano mi, jak wsunąć stopę w strzemię, zachowując równowagę za pomocą drugiej nogi. Czułam, że wyglądam groteskowo.

- Trzymaj wodze mocno, ale nie na tyle mocno, żeby rozciąć jej pysk - poradził Balsan. - Na razie pojedziemy wolno.

Zamierzałam właśnie powiedzieć, że nie musi obchodzić się ze mną jak z jajkiem, ale kiedy klacz lekko mną szarpnęła i ruszyła w ślad za Balsanem, który siedział okrakiem na swoim drogim wałachu, zaczęłam kołysać się jak worek mąki. Nigdy w życiu nie czułam się tak niezdarna i przestraszona. Miałam wrażenie, że podłoże znajduje się dziesiątki kilometrów pode mną. Nie pomagało mi też to, że kiedy mocowałam się z wodzami, klacz parsknęła i gwałtownie odwróciła swój wielki łeb, usiłując mnie ugryźć.

Okrążyliśmy łąkę otoczoną niedawno płotem. Była to jedynie krótka wycieczka, ale zanim zdążyliśmy wrócić, byłam już zlana potem, miałam otarte pośladki i czułam do siebie wyłącznie obrzydzenie.

- No widzisz. Nie poszło ci tak źle - powiedział Balsan, pomagając mi zsiąść z konia. Najwyraźniej cieszył się, że wykazałam się inicjatywą i że nie chciałam spędzać kolejnego dnia

w domu, rozczulając się nad sobą i wypełniając pokój kolejnymi kapeluszami. - Jutro będzie lepiej.

Posłałam mu gniewne spojrzenie, po czym pomaszerowałam do *château*. Nie miałam wątpliwości, że następnym razem pójdzie mi lepiej. Nie przyjmowałam nawet innego scenariusza. Ale jeżeli miałam nauczyć się jazdy konnej, musiałam swobodnie korzystać z obu nóg, zamiast ograniczać się do siedzenia na grzbiecie klaczy niczym figurka na torcie.

Zaczęłam przeglądać zawartość szafy Balsana w jego pokoju - do którego prawie nigdy nie zaglądałam - szukając pośród jego ubrań czegoś, co mogłabym wykorzystać jako strój do jazdy konnej. Choć nie był próżny, nie znałam osoby, która miałaby tyle rzeczy co on: setki marynarek, kamizelek, spodni i koszul. Nieprzebrane bogactwo pozwalało mi po prostu kupować to, na co miał ochotę, a większości z tych ubrań nigdy później nie nosił. Kiedy udało mi się wreszcie zlokalizować nieco postrzępioną parę bryczesów, wróciłam do swojego pokoju i wzięłam się do pracy. Zajęła mi ona resztę dnia i większą część nocy, ale gdy następnego ranka zjawiłam się w stajni, Balsan natychmiast się roześmiał.

- Coco, tym razem naprawdę posunęłaś się za daleko!

Staralam się nie zauważać jego rozbawienia, a także zaskoczenia malującego się na twarzach stajennych. Miałam na sobie nowe, dopasowane do mojej figury bryczesy, a także filcowy kapelusz z szerokim rondem. Tym razem bez trudu wspięłam się na moją klacz, usiadłam okrakiem, sięgnęłam po wodze i zwróciłam się do szeroko uśmiechniętego Balsana:

- Tym razem lepiej mi pójdzie.

I tak się stało. Przez kolejnych kilka następnych tygodni jeździłam codziennie - aż prowizoryczne bryczesy zaczęły się przecierać, a ja byłam w stanie galopować na tyle swobodnie, że żołądek nie podchodził mi już do gardła. Kiedy Balsan poinformował mnie, że planuje zaprosić gości na najbliższy weekend, czułam się już naprawdę pewnie. Pojechałam do jego krawca do Compiègne i zamówiłam dwa komplety do jazdy konnej z tweedu i lnu.

Krawiec prychnął i oznajmił:

- *Mademoiselle*, damy nie noszą spodni.

- To nie spodnie - odparłam, po czym dodałam tonem nieznoszącym sprzeciwu: - To bryczesy do jazdy konnej. I ta oto dama zamierza je nosić.

Wszyscy, którzy mieli jakiegokolwiek związek z Balsanem, wiedzieli już, że mieszkał on ze swoją *maîtresse*. Nawet Adrienne, która od czasu do czasu relacjonowała mi swoją walkę o małżeństwo z Nexonem, wspomniała w jednym z listów, że Louise oraz kilku innych, niewymienionych z nazwiska członków naszej rodziny, „martwiło” się moim postępowaniem. Niepokoiłi się, bo zamieszkałam z mężczyzną i robiłam dokładnie to, co zamierzała zrobić Adrienne, tyle że bez obietnicy małżeństwa. Nie zważałam na to. Była to tylko i wyłącznie moja sprawa. Tak samo czułam się w dzieciństwie. Wiedziałam, że rodzina nie zadba o moją przyszłość - a przynajmniej nie o taką przyszłość, jaka mnie interesowała. Balsan mógł jednak to zrobić.

Monotonia życia w Royallieu zaczynała już dawać mi się we znaki. Jak na ironię, po ubóstwie i niedostatkach, których doświadczyłam przez lata, nie potrafiłam rozkoszować się luksusami, za które większość dziewcząt byłaby gotowa się zabić. Wolność, o jakiej marzyłam, wydawała mi się równie niedostępna jak podczas tych ponurych dni, kiedy musiałam śpiewać, by nie umrzeć z głodu. Teraz, choć jadłam jak królowa, sypiałam w miękkim łóżku i pracowałam tylko dla własnej przyjemności, wciąż krępowały mnie niewidzialne łańcuchy. Wszystko, co miałam, zawdzięczałam komuś innemu - i znosiłam tę świadomość coraz gorzej. Moje niezadowolenie przypominało ponury cień, który zakradał się do mnie w nocy, gdy stałam w chmurze dymu papierosowego przy wypełnionej po brzegi popielniczce. Czarny prostokąt

okna zdawał się odzwierciedlać mrok, który zagościł w moim sercu.

Czego jeszcze pragnęłam? Ile jeszcze chciałam zdobyć? Nie znałam odpowiedzi na te pytania. Nie odczuwałam żadnej podnoszącej na duchu pewności. Wiedziałam tylko, że nie mogę wiecznie być kochanką Balsana. Nie kochałam go tak, jak na to zasługiwał. Zdawałam sobie też sprawę, że Balsan w końcu się mną znudzi. Zrozumiem, że widzę w nim tylko przyjaciela, i zacznę szukać bardziej oddanej towarzyszki. Choć nic nie wskazywało na to, by zmęczył się moim towarzystwem albo spodziewał się więcej, niż mogłam dać - był przecież mężczyzną i mógł zdobyć niejedną kobietę. Miał romans z Emilienne, osobą wyjątkową, ale nie niepowtarzalną. Wiedziałam, że inne podobne do niej bez wahania skorzystają z szansy, by zająć moje miejsce. Bałam się, że zostanę odesłana i będę musiała radzić sobie o własnych siłach. Miałam jednak świadomość, że nie będę tęskniła za naszymi pozbawionymi namiętności nocami i poczuciem winy, które ogarniało mnie na myśl o tym, iż w żaden wymierny sposób nie odwdzięczałam się za wszystko, co mi dawał.

Jazda konna stała się moją obsesją. Nie tyle pasją - wolałam bowiem czuć grunt pod nogami - ile raczej zajęciem, które pozwalało mi dać ujście dręczącemu mnie niepokojowi. Traktowałam to jako kolejne osiągnięcie, które mogło mi się przydać w przyszłości, choć nie do końca wiedziałam jeszcze, w jaki sposób miałoby do tego dojść.

Odpowiedź na to pytanie poznałam dopiero dwa lata później. A kiedy nadeszła, zaskoczyła mnie bardziej niż wszystko, co mnie do tej pory spotkało.

Emilienne zjawiała się z następną wizytą w towarzystwie całej świty swoich przyjaciółek, oszałamiająco pięknych aktorek kurtyzan. Ku mojemu zaskoczeniu żadna z nich nie czyhała na Balsana i nie zamierzała wyrwać go z moich chłodnych objęć.

Chciały kupić moje kapelusze.

Kiedy zgromadziły się w pracowni i zaczęły wzdychać nad moimi dziełami, Emilienne pochyliła się nade mną i wyszeptała:

- Moja droga, czy na pewno dobrze się czujesz? Wydajesz się szczuplejsza niż ostatnio. Nie cierpisz na suchoty, prawda?

Odwrociłam wzrok i wymamrotałam:

- Nic mi nie jest.

Zajęłam się jej przyjaciółkami. Widziały, jak Emilienne paradowała w moim kapeluszu po ogrodach Tuileries, i dosłownie „wymusiły na niej” - jak to określiła - wizytę u ekscentrycznego kapelusznika, którego przed nimi ukrywała. To, że okazałam się kobietą, kompletnie je zaskoczyło i sprawiło, że jeszcze bardziej zapragnęły moich wyrobów.

- Wyobraźcie sobie - powiedziała któraś z nich, parując w jednym z moich kapeluszy z piórami - co powie *monsieur* Worth, kiedy się dowie, że nie nosimy jego kapeluszy. *Mon Dieu*, cóż za skandal! Będzie się o tym mówiło w każdym paryskim salonie.

Jak się wkrótce przekonałam, skandal był przynętą, która zniewalała admiratorów owych kurtyzan, skutecznym afrodyzjakiem - jak zapewniała Emilienne - równie silnym jak ostrygi. Który mężczyzna z krwi i kości nie pragnął tego, co zakazane?

- Skąd mogłabym to wiedzieć? - odparłam.

Usiadłyśmy na kanapie, którą przykryła swoją haftowaną mantylą oraz całą stertą poduszek. Przyjaciółki Emilienne spacerowały po ogrodzie w towarzystwie mężczyzn, ona zaś zjawiała się w moim pokoju z rozpuszczonymi włosami, oznajmiając, że musimy spędzić to popołudnie tylko we dwie.

Przyjrzała mi się teraz uważnie swoimi kocimi oczyma.

- Skąd mogłabyś to wiedzieć? Moja droga, wydajesz się ostatnio przygnębiona. Nie cieszysz się, że przywiozłam tu przyjaciółki, które kupiły twoje dzieła? - Wskazała dłonią pusty

stół, na którym leżał już tylko prosty czarny kapelusz, jeden z moich ulubionych. Na podłodze stały sterty pudełek z pasmanterii przy rue Lafayette, zawierające modele, które mi przywiozła. -Spójrz, wszystko wykupiły. Masz nową partię i możesz zrobić nowe kapelusze, a ja przywiozę następnym razem kolejną grupę kobiet. Ani się spostrzeżesz, a twoje nazwisko będzie na ustach wszystkich.

- Oczywiście, że się cieszę - powiedziałam, siląc się na uśmiech. - Chodzi tylko o to... -Nie byłam pewna, czy powinnam wspominać o przygnębieniu, które mnie w ostatnim czasie nachodziło, o wrażeniu, że dryfuję bez celu w świecie, w którym nie mam szansy na prawdziwe szczęście.

Natychmiast się nade mną nachyliła.

- Och nie, *ma chère*. Powiedz mi, że to nie to, co myślę.

- Co? - Patrzyłam na nią ze zdumieniem. - Co takiego? Westchnęła.

- Wiedziała! Ta dziwna melancholia, brak apetytu, chudość i bladość. Moja droga, jesteś *enceinte*. Dopiero po dłuższej chwili dotarło do mnie znaczenie jej słów. Byłam kompletnie oszołomiona.

- Myślisz, że jestem w ciąży? Och nie, Emilienne. Zapewniam cię, nie jestem.

- Nie? - Zmarszczyła brwi. - Czyż nie jest to możliwe?

- Jest - wyznałam wreszcie, bo nie widziałam powodu, by ją okłamywać. Doskonale zdawała sobie sprawę z charakteru relacji, jaka łączyła mnie z Balsanem. - Sądzę, że to możliwe. Ale nie jestem w ciąży. - Sposób, w jaki to powiedziałam, musiał zdradzić więcej, niż zamierzałam, bo Emilienne nagle się zamyśliła. Jeszcze nigdy jej takiej nie widziałam. Po chwili oparła się na kanapie, a jej kimono lekko się rozchyliło, ukazując zaokrąglone kształty

w kremowym, jedwabnym peniuarze. Zrezygnowała dziś z gorsetu. - Rozumiem.

- Naprawdę? - Ponieważ sama nie rozumiałam, chciałam dowiedzieć się, co miała do powiedzenia.

- Może powinnaś udzielić mu odpowiednich instrukcji? - zapytała. - Mężczyzn można szkolić. Chętnie się uczą, o ile oczywiście poświęcisz trochę czasu, żeby im wszystko wytłumaczyć. Jak się przekonałam, wystarczy odrobina cierpliwości i wytrwałości, żeby zaczęli zaspokajać nasze potrzeby na całkiem zadowalającym poziomie.

Wiedziała, że nie miała na myśli potrzeb finansowych. Byłam jednak tak zaskoczona kierunkiem, w jakim potoczyła się nasza rozmowa, że nie mogłam wydusić z siebie ani słowa.

- Ze mną radził sobie całkiem dobrze - dodała, unosząc wyskubane brwi. - Może nie był najlepszym kochankiem, jakiego miałam, ale też z pewnością nie należał do najgorszych. -Skrzywiła się. - Szkoda mi czasu na tych, którzy nie chcą nagiąć się do moich potrzeb. Nie widzę powodu, skoro tak wielu czeka przed moimi drzwiami.

Zdołałam wreszcie wydusić:

- Myślisz, że powinnam szkolić Balsana? Jak psa?

- Ależ tak. Nie daje ci przyjemności. Musisz coś zrobić, żeby temu zaradzić. Nie każda kobieta jest taka sama. On, jako mężczyzna, nie zdaje sobie z tego pewnie sprawy, ale my to wiemy. Jak ma się wszystkiego nauczyć, jeżeli go nie instruujesz?

Wybuchnęłam śmiechem, pełna niedowierzania.

- Jak mam go instruować, skoro ledwo znam samą siebie! - Gdy tylko się odezwałam, zdałam sobie sprawę, że wpadłam w pułapkę, którą sama mimowolnie zastawiłam.

Zwilżyła wargi językiem.

- Jeszcze n i g d y . ? - Nie odpowiedziałam, choć tym razem doskonale rozumiałam, co

zamierzała powiedzieć. Emilienne dodała więc: - Nigdy nie doświadczyłaś przyjemności w łóżku?

- Lubię spać - wyznałam słabym głosem. Nie zamierzałam przyznawać się do ukradkowych poszukiwań, którym oddawały się moje palce, ani do tego krótkiego drżenia i nierównego oddechu, które stanowiły szczyt przyjemności, jaką osiągałam w łóżku.

- Och, moja droga, jesteś naprawdę niewinną istotą. To niezwykle i bardzo rzadkie pośród kobiet takich jak my. Czy sądzisz, że to, co robił albo czego nie robił Balsan, jest wszystkim, na co możesz liczyć?

- Nie zastanawiałam się nad tym - skłamałam. - Choć muszę przyznać, że było to.

- Rozczarowujące? - Wyciągnęła rękę i pogłaskała moje ramię. Zadrżałam, choć jej dotyk nie wydawał mi się nieprzyjemny. - Za pierwszym razem często tak bywa - wyjaśniła. - Nie powinniśmy jednak się zrażać pod wpływem takiego rozczarowania. Nie jesteśmy w końcu żonami, a oni nie są naszymi mężami. Mamy wybór.

Delikatny dotyk jej palców przebił się przez mój rękaw, przesączył się przez moją skórę i przeniknął aż do moich kości. Lekko się wzdygnęłam, choć nie czułam obrzydzenia - podobał mi się jej świeży zapach, przypominający mi zapach mydła, którego używałyśmy w Aubazine. Nie była skąpana w kwiatowych perfumach tak typowych dla kobiet lekkich obyczajów. Także jej nieskazitelna skóra była czysta jak świeży śnieg, podobnie jak piersi i wystające spod koronki peniuaru różowe sutki. Nagle poczułam strach. To właśnie była owa siła, o której wspominała: zakazany owoc, za którym tęsknili jej kochankowie. Właśnie dlatego została jedną z najpopularniejszych kurtyzan Paryża. Emilienne d'Alençon była ucieleśnieniem ponętności i to ja ulegałam teraz jej niezwykłym mocom. Nie miałam pojęcia, jak powinnam w tej sytuacji zareagować.

Ona oczywiście natychmiast wszystko zrozumiała.

- Czy chciałabyś, żebym ci to pokazała, *ma chère*? - zapytała, choć było to raczej stwierdzenie, które nie wymagało odpowiedzi. Kiedy pochyliła się i zbliżyła usta do moich ust, siedziałam spokojnie, zastanawiając się, co czuję.

Jej pocałunek przypominał krem Chantilly. Był ciepły i wilgotny, miał w sobie odrobinę piany a także niezwykle słodczy. Kiedy jej dłonie krążyły po moim ciele, rozpinając guziki i zdejmując ze mnie ubrania z taką łatwością, jakby zostały one uszyte z powietrza, nie czułam ani odrobiny obrzydzenia. Nie zalała mnie co prawda fala pożądania, ale jej determinacja zrobiła na mnie na tyle duże wrażenie, że nie próbowałam nawet udawać oburzenia. Co ciekawe, nie miałam żadnego poczucia winy związanego z tym, że byłyśmy dwiema kobietami. Od czasu do czasu widywałam w Aubazine dziewczęta, które wślizgiwały się do łóżek koleżanek i przypuszczałam, że zakonnice robiły to samo. Nie oceniałam tego. Wierzyłam, że ludzie mają prawo robić, co tylko chcą, a ja nie powinnam tego potępiać, dopóki nikt mnie do tego nie zmusza.

Ona również do niczego mnie nie zmuszała. Kiedy delikatnie popchnęła mnie na plecy i zaczęła zręcznie poruszać językiem i palcami, rozpalając żar, który z początku mnie zaskoczył, potem zaś sprawił, że zaczęłam dyszeć i wplatać dłonie w jej włosy - poddałam się temu uczuciu. Moje ciało należało teraz do mnie, nie było już narzędziem służącym do mierzenia materiału albo podporządkowywania się Balsanowi. Stało się instrumentem prowadzącym do zadziwiającej przyjemności, a na koniec, kiedy jej usta trafiły w odpowiednie miejsce, okazało się także gotowe na nieskończoną rozkosz.

Kiedy Emilienne cofnęła zarumienioną twarz spomiędzy moich ud, miała zmierzwione włosy i lśniące usta. Z trudem łapałam oddech i zdołałam tylko wydyszeć:

- Ja. myliłam się.

- Istotnie - szepnęła. - Widzisz? Wybory, moja droga. Oto prawdziwa broń kobiety.

Emilienne i ja zostałyśmy kochankami, choć w tamtym czasie nie używałam tego słowa, bo nadal kojarzyło mi się ono z niekończącymi się powieściami w odcinkach, tęsknotą i pełnym radości uniesieniem. Po wizytach w Royallieu wyjeżdżała do Paryża na długie miesiące. Czasami przyjeżdżała na weekendy z kolejnymi grupami przyjaciółek pragnących obejrzeć moje kapelusze. Przy takich okazjach spędzałyśmy razem popołudnia, ona zaś dostarczała mi rozkoszy. Nigdy nie wyznałyśmy sobie miłości i choć uwielbiałam jej dotyk, śmiech i poczucie humoru, nie byłam w niej zakochana.

Nie miałam co do tego wątpliwości. Miłość wydawała się uczuciem, do którego byłam niezdolna.

Pewnego dnia po wspólnej kąpeli usiadłyśmy razem na kanapie, żeby porozmawiać, a Emilienne zauważyła, że gdybym tylko miała ochotę, mogłabym odnieść wielki sukces w Paryżu.

- Jesteś taką chłopczycą. Wyglądasz naprawdę wyjątkowo - powiedziała. - Mężczyźni nie będą pewni, czy jesteś chłopcem, czy dziewczyną, a ja chciałabym ci wszystko dać. Mogłabyś zbić prawdziwą fortunę. - Uśmiechnęła się leniwie, senna po naszych igraszkach

i kąpeli z dodatkiem olejku oleandrowego. - Nie zastanawiałaś się nad takim rozwiązaniem? Sama mówiłaś, że nie jesteś tu szczęśliwa, a Balsan. no cóż, zdajesz sobie sprawę, że ma też inne zainteresowania.

Cofnęłam się lekko, nie chcąc, żeby nasze nagie stopy dłużej się stykały. Leżałyśmy naprzeciw siebie, ale jej bliskość wydała mi się nagle przytłaczająca. Wiedziałam, co miała na myśli. Balsan wyjeżdżał czasem na długie tygodnie, żeby odwiedzić swoją rodzinę w Lyonie albo spotkać się z przyjaciółmi w Paryżu. Ani razu nie zaproponował, żebym mu towarzyszyła. Cieszyła mnie jego nieobecność, bo mogłam wtedy spędzać czas w samotności, pracować, jeździć konno i czytać. Mogłam krążyć leniwie po wszystkich pokojach *château*, nie martwiąc się o to, że zostawię gdzieś bałagan albo popiół z papierosa. Kiedy wracał, zawsze wydawał się szczęśliwy na mój widok - a nawet podniecony. Nigdy jednak nie oczekiwałam, że pozostanie mi wierny, zwłaszcza w obliczu uczuć, które we mnie budził.

Mimo to, kiedy Emilienne tak bezpośrednio się do tego odniosła, wytrąciła mnie z równowagi. Sięgnęłam po papierosnicę, zapaliłam i wypuściłam dym z przesadną pewnością siebie.

- Oczywiście, wiem, że ma inne kobiety, ale nigdy nie mówiłam, że nie jestem tu szczęśliwa.

- Może nie tymi słowami, ale widzę przecież, że nie jesteś. Dlaczego nie przyjedziesz do Paryża? Przedstawię cię wszystkim i zostaniesz moją pierwszą uczennicą. - Dotknęła swojej szyi. - Nadejdzie czas, kiedy będę musiała przyjąć to, co nieuchronne, i pozwolić innej kobiecie zająć moje miejsce. Dlaczego nie miałyby to być osoba, którą sama wybiorę?

Wiedziałam, że mówiła to zupełnie szczerze. Szczerłość była wartością, którą głęboko ceniła, choć rzadko obdarzała nią mężczyzn ulegających jej urokowi. Zawsze marzyłam o Paryżu. Powinam wziąć to pod uwagę. Emilienne miała przecież rację, nawet jeśli nie chciałam tego głośno przyznać. Niepokój, który dawniej zdarzało mi się odczuwać, stał się moim stałym towarzyszem i nawet obojętny zwykle na moje nastroje Balsan mamrotał od czasu do czasu, że powinnam częściej wychodzić i przestać bawić się „tymi przeklętymi kapeluszeniami”.

Jednak już w chwili, w której zaczęłam się nad tym zastanawiać, zrozumiałam, że nigdy nie będę taka jak Emilienne. Ona tymczasem powiedziała:

- Ty, moja droga, też nie młodniejesz. Ile masz teraz lat? Dwadzieścia siedem?
- Dwadzieścia pięć - odparłam.
- Tak, tak. - Machnęła ręką, tak jakby tych kilka lat nie robiło żadnej różnicy. -

W każdym razie jesteś już w wieku, w którym większość kobiet zdążyła albo wyjść za mąż, albo zostać kochankami, które wkrótce ktoś porzuci, albo pogodzić się ze staropanieństwem. Przypuszczam, że pragniesz czegoś więcej i wolałabyś nie ograniczać się do tego posępnego wyboru?

Pokiwałam głową.

- Owszem. Ale nie pragnę tego, co oferujesz. - Jej twarz stężała, dodałam więc łagodniej: - Tu nie chodzi o dezaprobate. To po prostu nie dla mnie. Nie chcę zostać kurtyzana.

Przez chwilę zastanawiała się nad tym w milczeniu.

- *Eh, bon.* Czego w takim razie pragniesz? I nie mów mi, że zamierzasz tkwić tu do końca życia jako ciesząca się szczególnie względami przyjaciółka Balsana. W to nie uwierzę.

Wzruszyłam ramionami i zaciągnęłam się papierosem.

- Na tym właśnie polega problem, prawda? Nie wiem. Myślę, że chciałabym się samodzielnie utrzymywać. Nigdy nie bałam się ciężkiej pracy.

- A co ja twoim zdaniem robię? Jeżeli to nie jest ciężka praca, to nie wiem, co innego można by w ten sposób określić. - Zamilkła na chwilę i uważnie mi się przyjrzała. - Rozumiem. Chodzi ci o prawdziwą, zwyczajną pracę. Kim miałabyś zostać? Sklepiarką?

Choć Emilienne zamierzała raczej ze mnie zakpić niż rzeczywiście mi coś doradzić, pomyślałam nagle, że to najlepszy pomysł, o jakim kiedykolwiek słyszałam.

- Dlaczego nie? Twoje przyjaciółki uwielbiają moje kapelusze. Mówiłaś, że każdy, kto je widzi, natychmiast pyta, gdzie je kupiłaś. Odkładał każdego franka, którego udaje mi się zarobić. Dlaczego nie miałabym otworzyć własnego sklepu?

Emilienne wyduła wargi.

- Otwarcie sklepu wymaga zdecydowanie więcej niż kilku franków.

- A gdybym poprosiła Balsana? - powiedziałam, ale natychmiast wyobraziłam sobie jego reakcję i przestałam wierzyć w powodzenie tej misji. - Mógłby mi pomóc, prawda?

- Nie chodzi o to, czy mógłby ci pomóc, tylko o to, czy chciałby to zrobić. Wydaje mi się, że uznałby ten pomysł za co najmniej niekonwencjonalny. - Podniosła się. - Muszę się ubrać. Niedługo wybieramy się na polowanie, a my powinniśmy teraz sączyć kawę na dole, jak przystało na prawdziwe damy, *n'est-ce pas?*

Wyszła, a ja zostałam na kanapie, trzymając w palcach papierosa. Nie rozmawiałyśmy więcej o mojej sytuacji. A Emilienne nigdy więcej nie wspomniała o tym, że mogłabym zostać jej następczynią. Jednak pomysł, który tak beztrąsko odrzuciła, zaczął we mnie stopniowo kiełkować.

Własny sklep. Dlaczego nie?

Gdy tylko nadarzyła się okazja, zapytałam o to Balsana. Zamierzałam ostrożnie poruszyć ten temat po jednym z naszych krótkich interludiów, ale nie wytrzymałam i wyskoczyłam z tym nagle podczas kolacji, kiedy kamerdyner sprzątał okruchy ze stołu.

- Chciałabym otworzyć sklep z kapelusami. Balsan spojrział na mnie ze zdziwieniem.

- Sklep? - powtórzył.

- Tak.

Wyrecytowałam przygotowane wcześniej wyjaśnienie, mówiąc o tym, jak bardzo moje kapelusze podobały się Emilienne i jej przyjaciółkom i jak udało mi się zgromadzić trochę oszczędności. Dodałam, że staję się coraz bardziej niespokojna i muszę znaleźć sobie nowe

zajęcie. A sklep, no cóż, sklep byłby idealny, bo mogłabym sprzedawać swoje kapelusze w miejscu, w którym wszyscy by je widzieli, i pozwoliłoby mi to... Balsan gwałtownie mi przerwał.

- To, że Emilienne i jej przyjaciółki wspierają twoją osobliwą pasję, nie oznacza, że powinnaś otwierać sklep. - Powiedział to w taki sposób, jakby słowo „sklep” budziło w nim głęboką odrazę. Po raz pierwszy zobaczyłam w nim bogatego mieszczanina, jakim przecież był w głębi serca, urodzonego w zamożnej rodzinie i wychowywanego pośród pieniędzy jawiących mu się jako niekończący się strumień, któremu nie musiał poświęcać zbyt wiele uwagi.

- Myślisz, że to tylko pasja? - zapytałam przez zęby. Nic nie wzbudzało mojego gniewu skuteczniej niż sugestia, że nie potrafię samodzielnie podejmować decyzji.

- No cóż, a jest inaczej? - Postukał papierosem w stół i zaczął czekać, aż kamerdyner zbliży się do niego z zapalniczką. - Twoje kapelusze są urocze i zdobyłaś pewnego rodzaju popularność pośród kobiet takich jak Emilienne. Ale jak możesz sądzić, że wsparłbym tak niestosowne przedsięwzięcie? Kobiety nie pracują, jeśli nie muszą, a większość z nich nigdy nie odnosi sukcesu, chyba że robią to tak jak Emilienne: na plecach.

Zerwałam się na równe nogi, prawie przewracając krzesło. Balsan spokojnie wypuścił kółko dymu.

- Nie patrz tak na mnie. Czy nie dość ode mnie dostajesz? Jeżeli potrzebujesz więcej, wystarczy, że poprosisz. Nigdy niczego ci nie odmawiałem.

- Nie chcę twoich pieniędzy - rzuciłam.

- Ach tak? Musiałem źle cię zrozumieć. Myślałem, że o nie właśnie prosisz. Obróciłam się na pięcie i wypadłam z pokoju, nie zważając na jego pełne rozbawienia

prośby, żebym wróciła i przestała zachowywać się jak dziecko. Nie miał złych intencji. Taki po prostu był. Nie potrafił sobie wyobrazić, że kobieta mogłaby pragnąć czegoś więcej niż to, co od niego dostawałam - bo większość kobiet by się tym zadowoliła.

Ale ja nie byłam zwykłą kobietą. A furia, w którą wpadłam, kiedy wbiegałam po schodach i zamykałam się w pokoju, nie chcąc go widzieć przez resztę wieczoru, zaczęła we mnie kiełkować - osadzając się na wdzięczności, którą dla niego czułam, niczym śnież na srebrze.

Nie chciałam go nienawidzić. Za bardzo go lubiłam.

Musiałam jednak pewnego dnia znaleźć własną drogę ucieczki.

Chcąc poprawić mi humor, Balsan namówił mnie, żebym towarzyszyła mu podczas jednej z jego podróży. Miałam ochotę odmówić, aby podkreślić, iż zamierzam robić, co mi się żywnie podoba - ale perspektywa opuszczenia Royallieu okazała się zbyt kusząca. Nie mogłam już znieść tej ciągłej samotności i naprawdę nie chciałam stać się wiecznie urażoną jędzą.

Pojechaliśmy zatem do Longchamp, żeby przechadzać się pośród przedstawicieli paryskiej elity, których nieprzyzwoicie drogie konie wyścigowe mknęły z hukiem po torze, a każdy, kto cokolwiek znaczył, zabiegał, żeby go widziano. W dziedzinie mody niewiele się w tym czasie zmieniło. Był rok 1908, dobiegała końca pierwsza dekada nowego stulecia, które we wszystkich gazetach szumnie określano mianem apogeum ery rewolucyjnej. Kobiety nadal jednak chodziły w krynolinach i gorsetach uciskających żebra i sprawiających, że siedzenie stawało się zwykłą torturą, na głowach zaś nosiły potężne, wymyślne kapelusze.

Ku swojemu zaskoczeniu spotkałam w Longchamp Adrienne, przybyłą na wyścigi w towarzystwie nowej opiekunki, *madame* Mauzel - tej samej swatki, która zorganizowała jej podróż do Egiptu. W pierwszej chwili nie rozpoznałam swojej młodej ciotki, która szła akurat ze swoją przyzwoitką wzdłuż otoczonego białym płótem toru. Dostrzegłam z daleka drobną, szczupłą postać w kremowobiałym stroju, przystrojoną wstążkami i ściśniętą gorsetem tak

mocno, że ledwo oddychała. Ja sama miałam na sobie fedorę o miękkim rondzie, prostą bluzkę z krótkim jedwabnym krawatem (postanowiłam skrócić i przerobić jeden z krawatów Balsana), przewiązany paskiem czarny żakiet, sięgającą do kostek spódnicę z wielbłądziej wełny oraz buty na niskim obcasie. Adrienne przystanąła nagle, żeby mi się przyjrzeć, a kiedy mnie rozpoznała, natychmiast się rozpromieniła.

- Gabrielle!

Rozejrzałam się ze zdziwieniem i dopiero po chwili zorientowałam się, kto mnie wołał. Nie słyszałam swojego imienia, odkąd wyjechałam z Moulins, i podczas gdy *madame* Mauzel przyglądała mi się z wyraźną niechęcią, Adrienne mocno mnie przytuliła.

- Niech no ci się przyjrzę - szepnęła. - Elegancka jak zawsze. Och, jak ja się za tobą stęskniłam! Nigdy nie piszesz. To bardzo przykre. Nie tęsknisz za mną?

Teraz, kiedy miałam ją przed sobą, uświadomiłam sobie, że naprawdę za nią tęskniłam. Nadal cechowała się łagodnością i zwiewnym wdziękiem. Nie zmieniła się, choć miłość do Maurice'a podniosła jej prestiż - tak przynajmniej sądziłam, patrząc na drogą suknię i lśniące bransoletki zdobione szlachetnymi kamieniami.

- Wyszłaś za męża? - zapytałam, sądząc, że nie zaprosiła mnie na wesele.

Madame Mauzel prychnęła, a Adrienne wzięła mnie pod rękę i ruszyłyśmy przed siebie.

- Jeszcze nie - powiedziała. - Jak się miewasz? Koniecznie mi wszystko opowiedz. Jesteś na pewno bardzo zakochana w Balsanie, skoro mieszkasz w jego *château* i przyjechałaś tu razem z nim. Zazdroszczę ci. Maurice i ja musimy spotykać się w tajemnicy. Cały czas się ukrywamy, bo chcemy, żeby jego rodzina wiedziała, że łączy nas prawdziwa miłość. Nie mieszkam z nim i zawsze widujemy się w towarzystwie *madame* Mauzel. Nie mamy ani chwili dla siebie, bo prawdziwa dama nie pozwoliłaby przecież mężczyźnie na takie spoufalanie.

Milczałam. Zgodnie z tą definicją z pewnością nie byłam damą. Wkrótce jednak stało się jasne, że Adrienne nie interesowała się moim życiem. Uznała, że skoro związałam się z Balsanem, nie ma mnie o co pytać. Walka o względy rodziny barona zajmowała ją do tego stopnia, że pozwoliłam, by opowiadała mi szeptem o swoich tajemnicach, pragnieniach i marzeniach - o wszystkich tych sprawach nieodłącznie związanych z miłością. Dowiedziałam się, że mimo podjętego przez nią wysiłku rodzina barona nadal jej nie zaakceptowała. Adrienne cierpiała z tego powodu, choć Maurice konsekwentnie deklarował jej całkowite oddanie. Dziwiłam się, że nigdy nie spotykali się sami. Wydawało mi się mało prawdopodobne, żeby baron tak wytrwale o nią walczył, gdyby rzeczywiście nie pozwoliła mu na jakiegokolwiek spoufalanie. Ale skąd mogłam wiedzieć, co robili lub czego nie robili ludzie, którzy się kochali? Może jego determinację podsycało właśnie oczekiwanie. Minęło już wiele lat, a oni dalej byli razem. Adrienne okazała się niezwykle wytrwała w swojej walce o tytuł baronowej.

Kiedy już opowiedziała mi o wszystkim, co leżało jej na sercu, zamilkła na chwilę, żeby złapać oddech. Przerywając ciszę, która nagle zapadła, oznajmiłam nagle:

- Zamierzam otworzyć sklep. - Te słowa wypowiedziałam mimowolnie. Nie planowałam tego. Grymas dezaprobaty, który dostrzegłam na twarzy *madame* Mauzel, sprawił jednak, że musiałam mówić dalej. - Balsan obiecał mi pomoc. Szukam teraz odpowiedniego lokalu. Właśnie dlatego podróżujemy.

- Sklep? - Adrienne wyglądała na zaskoczoną. - Po co? - Widząc grymas na mojej twarzy, dodała pospiesznie: - Ach, chodzi o twoje kapelusze. Nadal je robisz? - Zapytała o to z takim zdziwieniem, jakby sam ten pomysł wydawał jej się odległym reliktem naszej trudnej przeszłości, o której dawno już powinnam zapomnieć.

- Owszem. Sprzedałam ich już wiele w Paryżu, a teraz chciałabym otworzyć własny sklep. - Zamilkłam na chwilę. - W końcu nie wygląda na to, że bym miała w najbliższym czasie

wyść za mąż. Jeśli w ogóle kiedykolwiek to nastąpi. - Mówiłam dalej, wyobrażając sobie, że przekręcąc niewidzialny nóż, który wbiłam w brzuch *madame* Mauzel. - Muszę pracować. Jestem tym bardzo podekscytowana.

- Och, to. wspaniale - powiedziała Adrienne, a jej głęboko zakorzeniony podziw przewycięzył początkową konsternację. - Zawsze byłaś taka śmiała, Gabrielle. Uważam, że to doskonały pomysł, czyż nie, *madame*? - Zerknęła na swoją przyzwoitkę. - Śliczny mały sklepik. To doprawdy urocze.

- Tak - przyznała sucho *madame* Mauzel. - To urocze. Czy zdecydowała się już pani na jakieś konkretne miasto? Domyślam się, że przy takim przedsięwzięciu Paryż musi być zdecydowanie za drogi.

- Pieniądze nie stanowią w tym przypadku problemu - odparłam. - Nie, jeszcze nie znalazłam odpowiedniego miejsca. Rozważamy wiele możliwości.

Z satysfakcją odnotowałam niechęć, która pojawiła się na twarzy *madame*. Pieniądze były tak naprawdę jedynym bóstwem, któremu oddawała cześć, a doskonale przecież wiedziała, że Balsanowi ich nie brakowało.

- No cóż, musisz dać mi znać, kiedy już otworzysz sklep - poprosiła Adrienne. -Chciałabym cię odwiedzić, a może nawet pomagać ci, tak jak zawsze marzyliśmy. -Zignorowała stłumiony okrzyk *madame* Mauzel. - I tak nie zanoszę się na to, żebym miała

w najbliższym czasie wyjść za mąż - dodała, po czym wybuchła nieco histerycznym śmiechem. - Na razie mogę zatem znaleźć sobie jakieś zajęcie, oczywiście o ile zechcesz mnie przyjąć. Skinęłam głową.

- Oczywiście. Jestem przekonana, że na pewnym etapie będę potrzebowała pomocy. Upajałam się tą perspektywą, która na razie pozostawała niestety wyłącznie w sferze

marzeń. Nie obchodziło mnie to jednak. Chciałam, żeby *madame* Mauzel się udławiła i żeby Adrienne wróciła do Moulins, opowiadając wszystkim o tym, jak dobrze mi się powodzi. Niech Louise i cała reszta choć przez jakiś czas się tym karmią.

- Proszę, możesz pisać do mnie na adres *madame* Mauzel. - Z małej torebki, którą niosła przyzwoitka, Adrienne wyjęła niewielki notesik oraz srebrne pióro. Zapisała adres, wyrwała kartkę i podała mi ją. - Mieszkam u niej, choć w każdą niedzielę odwiedzam też Louise. Och, Gabrielle. - Uścisnęła mnie mocno. - Wspaniale, że się spotkałyśmy. Obiecuj, że do mnie napiszesz. Cieszę się, że tak dobrze ci się wiedzie. Zawsze mówiłam, że możesz robić wszystko, czego tylko zapragniesz.

Jej entuzjazm był całkowicie szczery. Adrienne dobrze wszystkim życzyła, nawet jeśli sama borykała się z problemami. Kiedy się zegnałyśmy, postanowiłam, że w odpowiednim czasie na pewno się do niej zwrócę. Przeczynałam, że mam większe szanse na spełnienie swojego marzenia i otwarcie sklepu niż ona na ślub z baronem.

Wróciłam na trybunę główną, gdzie zostawiłam wcześniej Balsana, który dodawał otuchy swojemu dżokejowi, i było mi jakoś lżej na sercu. Wiele rzeczy w moim życiu mi nie odpowiadało, ale za nic w świecie nie zamieniłabym się z Adrienne. Ja przynajmniej nadal miałam aspiracje.

Balsan siedział przy barze i pił drinka z przyjaciółmi, gestykulując z pasją, którą rezerwował wyłącznie dla spraw związanych z końmi. Rozpoznałam jego dwóch towarzyszy: hrabiego Leona de Laborde'a oraz Miguela Yuribe'a, zamożnych współników, którzy regularnie odwiedzali Royallieu. Kiedy do nich podeszłam, odwrócili się i serdecznie mnie powitali. Zostałam honorową członkinią ich klubu i zaskarbiłam sobie ich sympatię tym, że nauczyłam się jeździć okrakiem i polowałam razem z nimi, doceniali też mój talent w kwestii doboru stroju. Nazywali mnie „*lapetite* Coco”. Powitałam ich teraz radośnie, a Balsan zwrócił się do mnie

z wyraźnym zniechęceniem:

- Zajęliśmy czwarte miejsce. Ten dżokej zmusił Trojkę do zbyt szybkiego biegu na początku. Pod koniec wyścigu nie miała już sił i wytraciła cały impet. Co za tępy gnom.

W chwili, w której to mówił, zauważyłam nagle siedzącego obok nich niezwykle przystojnego mężczyznę, którego nigdy wcześniej nie widziałam.

Nieznajomy miał smagłą cerę i gęste czarne włosy zaczesane do tyłu za pomocą brylantyny, choć kilka niesfornych kosmyków opadało mu swobodnie na czoło. Jego oczy były zielone, głęboko osadzone i pełne powagi. To one natychmiast zwróciły moją uwagę. Odnotowałam też nienaganny garnitur z tweedu w kolorze tytoniu. Zgrabne ciało tego mężczyzny idealnie wypełniało drogi krój. Podał mi kanciastą dłoń. Uścisnęłam ją, myśląc, że powitał mnie jak mężczyznę. Poczułam pod palcami lekkie zgrubienia. W porównaniu z zadbanymi dłońmi Balsana człowiek ów miał ręce godne robotnika. Tyle że żadnego robotnika nie byłoby stać na taki garnitur.

- Mielicie okazję się poznać? - zapytał Balsan.

- Nie wydaje mi się - odparł mężczyzna niskim głosem. Balsan zmarszczył brwi.

- Mógłbym przysiąc, że odwiedzałeś już Royallieu, po tym jak zamieszkała ze mną Coco. Nie? No cóż. To Gabrielle Chanel. Gabrielle, chciałbym ci przedstawić pana Arthura Capela, mojego angielskiego przyjaciela, który ma upodobanie do nieco ekscentrycznych środków transportu.

- Dla przyjaciół Coco - dodałam, siląc się na uśmiech. Mężczyzna nadal trzymał moją dłoń.

- A dla moich Boy - odparł, uśmiechając się lekko pod wąsem. - To wielki zaszczyt panią poznać, Coco Chanel. - Posługiwał się idealną francuszczyzną, bez śladu akcentu.

Zaczęłam się zastanawiać, co takiego mógł opowiadać mu o mnie Balsan. Nasza sytuacja była *irrégulière*. Z wyjątkiem spotkań w *château*, Balsan nie wprowadzał mnie w swoje kręgi towarzyskie i nie przedstawiał żadnym znajomym. Mimo to zapewne go o mnie pytano. Czy chwalił się przyjaciółom, że uratował bezdomną dziewczynę i uczynił z niej swoją kochankę?

Nie mogłam nic wyczytać z przystojnej twarzy Capela, choć zdawał się on przewiercać mnie na wylot. Nagle zdałam sobie sprawę, że patrzył na mnie. Przyglądał mi się tak, jakby naprawdę mnie widział, tak jakby nie postrzegał mnie poprzez pryzmat roli, którą odgrywałam w życiu Balsana, oraz czegokolwiek innego, co mu o mnie opowiedziano.

Wprawiło mnie to w zakłopotanie. Pomyślałabym, że ocenia mnie jak wolną kobietę - ale nie potrafiłam określić, czy rzeczywiście to robił.

Cofnęłam rękę. Jego sucha dłoń nie pozostawiła na moich palcach ani kropli potu, choć był przecież duszny i gorący dzień. Ten mężczyzna był zimny jak szklanka pełna lodu.

- Pokaż jej swój samochód - zaproponował Balsan. - Jak możesz wnioskować po stroju, który ma na sobie, Coco uwielbia zrywać z tradycją, a trudno wyobrazić sobie coś mniej tradycyjnego od tej twojej dziwacznej maszyny. No już. My w tym czasie obejrzymy kolejny wyścig. Coco szczególnie interesuje się wyścigami, prawda, *chérie*?

Byłam tak skupiona na Capelu, że umknęło mi nawet czułe określenie, jakiego użył Balsan. Nigdy nie okazywał mi publicznie czułości, za to spodziewałam się zaborczego klepnięcia po pupie, kiedy ruszyłam za Capelem, który zaczął okrążyć trybuny. Minęliśmy ukryte pod parasolami stoliki, przy których siedziały kobiety z dziećmi, wachlując się i popijając lemoniadę. Po chwili dotarliśmy do miejsca, w którym stały konie i powozy.

- Widziałaś kiedyś samochód? - zapytał.

Przystanął i czekał, aż się do niego zbliżę. W promieniach słońca dostrzegłam w jego

zielonych oczach bursztynowe plamki, zauważyłam też, że tak naprawdę nie był śniady, tylko nie nosił kapelusza i opalił się na słońcu. Była to kolejna cecha, która sprawiła, że zaczęłam się zastanawiać nad jego pochodzeniem. Skoro miał jeden z tych nowych, wyposażonych w silnik pojazdów, które dopiero niedawno pojawiły się na rynku, najwidoczniej mógł sobie na to pozwolić. A mimo to miał w sobie coś, co kojarzyło mi się z chłopami, pośród których spędziłam dzieciństwo. Wydawał się małomówny - tak jakby wolał milczeć, żeby nie wyjawiać swoich myśli i nie ponosić ryzyka, które się z tym zawsze wiązało.

- Tylko w gazetach - przyznałam. - Ale jestem bardzo ciekawa.

- Naprawdę? - Jego twarz złagodniała, a posępna mina ustąpiła miejsca zniewalającemu urokowi. - To rzadko spotykana cecha. - Nie dodał „pośród kobiet”, choć te niewypowiedziane słowa zawisły między nami. Zaprowadził mnie do jaskrawoczerwonego *coupé* z błotnikami wypolerowanymi na tak wysoki połysk, że zobaczyłam w nich swoje wykrzywione odbicie. Samochód miał otwarty dach i duże, wrzecionowate koła. Wydawał się niezgrabny i przypominał mi chrząszcza wodnego na szczudłach.

Capel przejechał dłonią po masce samochodu.

- Przegrzewa się. W tych modelach pojawiają się pewne problemy z chłodnicami, ale Amerykanin Henry Ford projektuje obecnie nową, ulepszoną wersję. To właśnie przyszłość, *mademoiselle*. Za najwyżej pięć lat koń i powóz przejdą do historii. Nawet koleje będą notowały spadek liczby pasażerów i dochodów.

Byłam zafascynowana. Okrążyłam samochód tak, jakbym miała do czynienia z dzikim zwierzęciem, które mogło się w każdej chwili przebudzić.

- Jak szybko może jechać? - zapytałam, patrząc mu w oczy.

- Chciałabyś się przekonać? - odparł, a ja usłyszałam w jego głosie ledwo zauważalny ton, który skojarzył mi się z Emilienne. Było to zaproszenie, które powinnam odrzucić. Capel beczelnie ze mną flirtował. Nawet jeśli byłam niezamężną kobietą i sypiałam z Balsanem, nie powinien zakładać, że mógł mnie mieć każdy *gentilhomme*, dysponujący eleganckim garniturem i drogą zabawką. Mimo to pokiwałam głową, pozwalając mu otworzyć niewielkie drzwiczki

i sadowiąc się na skórzanym siedzeniu.

Kiedy Capel przekręcił korbę, silnik zacharczał i zaczął głośno warczeć, a jego wibracje wypełniły całe moje ciało. Mój towarzysz zajął miejsce za wysoką kierownicą, nacisnął nogą jeden z pedałów, a samochód wystrzelił do przodu - nie tak szybko jak koń w galopie, ale mimo to z oszalamiającą wręcz siłą.

Prędkość, z jaką jechaliśmy drogą otaczającą tor wyścigowy, mijając powozy, furmanki i oszołomionych obserwatorów - była absolutnie odurzająca. Wyobrażałam sobie, że tak właśnie powinno wyglądać zbliżenie: miało zapierać dech w piersiach, wprawiać w upojenie i skłaniać mnie do tego, żebym krzyczała z radości, wyrzucała ręce w górę i pozwalała, by rękawy łopotały mi na wietrze.

Nagle jednak samochód zakaszłał, gwałtownie szarpnął i zatrzymał się. Znad maski zaczął unosić się dym.

- Widzisz? - zapytał Capel, wychylając się, żeby uchylić boczną część maski i rozproszyć dym. - Przegrzewa się. Potrzeba kilku minut, żeby go schłodzić.

Wyjęłam swoją fedorę z maleńkiej przegródki za moim siedzeniem (jakie to sprytne, pomyślałam, zauważając z tyłu kolejne składane siedzenie) i podałam mu ją.

- Użyj tego - zaproponowałam. Na jego twarzy po raz pierwszy pojawił się uśmiech, który odsłonił zęby równie mocne i kanciaste jak jego dłonie.

Okazało się, że potrzeba było więcej niż kilku minut, by silnik się schłodził. Capel wlał do niego butelkę wody, którą trzymał pod siedzeniem. Kiedy dym wreszcie zniknął, mój

towarzysz zapalił papierosa, po czym podał mi swoją pozłacaną papierośnicę. Nie zapytał, czy palę, choć nie było to zajęcie, któremu porządna dama powinna oddawać się publicznie. Poprawiając potargany kok, wzięłam papierosa i oparliśmy się o maskę samochodu. Paliliśmy i w milczeniu podziwialiśmy krajobraz. Docierające do nas stłumione krzyki wskazywały na to, że wyścig właśnie się zakończył. Capel zgasił wreszcie papierosa obcasem i powiedział:

- Zobaczmy, czy teraz ruszy.

Zawahałam się przez krótką, ale jednak wymowną chwilę. Nie chciałam widzieć Balsana, a kiedy się podniosłam, ta świadomość uderzyła we mnie z całą siłą. Poczułam ciepło na policzkach i pokiwałam głową, wsiadając do samochodu. Capel zdołał go wreszcie uruchomić i ruszyliśmy - tym razem spokojnie - w kierunku toru wyścigowego.

Wyścigi dobiegły końca, a Balsan czekał z przyjaciółmi na placu. Pomachał do nas, kiedy nadjechaliśmy. Capel otworzył mi przednie drzwi. Wyślizgnęłam się, mijając go i poprawiając spódnicę. Pomyślałam, że muszę wyglądać jak straszycło - ale tak naprawdę kompletnie mnie to nie obchodziło.

- Chciałbym cię znowu zobaczyć - powiedział cicho. Lekko się odwróciłam i spojrzałam mu w oczy.

- On jedzie teraz do Pau - odparłam chropowatym głosem, który ledwo rozpoznałam. -Ma tam pawilon myśliwski. Zamierzałam wrócić do Royallieu, ale.

Capel nie odpowiedział. Podeszłam do Balsana, który zaczął rechotać na mój widok. Oznajmił, że wyglądam jak strach na wróble, i zapytał, czy nie uważam tej dziwnej fascynacji samochodami za kompletną stratę czasu. Uśmiechnęłam się i coś odpowiedziałam - nie pamiętam dokładnie co. Cokolwiek to było, nie miało już żadnego znaczenia.

Jak mogłam mu wytłumaczyć, że między nami nic już nie miało znaczenia?

XV

Boy pojawił się w moim życiu zupełnie niespodziewanie.

Tylko w ten sposób mogłam wytłumaczyć to, co się stało. Odkąd ojciec złamał mi serce, nie potrafiłam pokochać żadnego mężczyzny. Na przekór rodzinie zamieszkałam z bogatym arystokratą, którego tak naprawdę nie kochałam, a teraz zaczęła mnie przepelniać trudna do nazwania tęsknota. Gdyby nie okoliczności, z pewnością wydałaby mi się ona groteskowa.

Boy pojechał z nami do Pau. W otoczonej gęstymi lasami wiejskiej rezydencji Balsana poznałam Capela lepiej niż kogokolwiek innego - choć była to znajomość czysto platoniczna. Był w tych sprawach prawdziwym dżentelmenem, ale gdy wieczór przechodził w noc, a wino Jurançon lało się strumieniami, jego hipnotyzujące spojrzenie jaśniało coraz większym blaskiem. Wreszcie nadchodziła chwila, gdy towarzyszący nam mężczyźni chwiejnym krokiem ruszali w kierunku swych sypialni, a my zostawaliśmy sami z Balsanem, który zdecydowanie nie stronił od alkoholu, a ten nigdy go nie obezwładniał.

Nie mogłam uwierzyć, że Balsan nie wyczuwał narastającego między nami napięcia. Opowiadał anegdoty, a Boy kiwał tylko głową, nie dotykając swojego kieliszka, ja zaś paliłam papierosa za papierosem do czasu, aż kompletnie zasychało mi w gardle. Czy naprawdę nie widział, że niecierpliwie czekałam, aż wreszcie zostawi nas samych, aż będziemy mogli usiąść obok siebie, zamiast popatrywać na siebie z daleka jak dwoje młodych ludzi w towarzystwie przyzwoitki? Czy nie zauważył, że łączące nas kiedyś więzy były dziś napięte do granic możliwości jak rwące się powoli nitki płaszcza, który już dawno stał się za ciasny?

Tak jak przypuszczałam, Boy miał niechętny stosunek do zwierzeń. A mimo to podczas tych tygodni spędzonych w Pau wiele się o nim dowiedziałam. Był ode mnie dwa lata starszy, miał trzy siostry i urodził się w prostej katolickiej rodzinie. Jego matka, Francuzka, już nie żyła, a ojciec, przedsiębiorczy Irlandczyk, piął się po szczeblach kariery, do czasu aż dorobił się fortuny jako przedstawiciel towarzystw kolejowych i żeglugowych. Boy spędził dzieciństwo w Paryżu, dokąd przeniosła się jego rodzina po tym, jak ojciec odniósł sukces. Odebrał gruntowne wykształcenie - uczył się w najlepszej angielskiej szkole z internatem, podróżował po Europie i Środkowym Wschodzie, później zaś odwiedził nawet Amerykę. Obracał się w kręgach bogatego mieszczaństwa i socjety, korzystał z tego, że dawne podziały zaczynały stopniowo zanikać, a pieniądze - nieważne jak zdobyte - stały się biletem wstępu do świata ówczesnych elit. Boy kochał polo miłością nie mniej intensywną od tej, którą darzył samochody - pod tym względem właściwie nie różnił się od Balsana. Dla mnie jednak ważniejsze było to, co nie tak często spotyka się wśród ludzi majątnych: Boy uwielbiał pracować.

Ta cecha budziła mój nieklamany podziw. Choć przygotowywano go do życia w zbytku, on wolał utrzymywać się samodzielnie. Zajmował różne stanowiska w firmie swojego ojca, do czasu aż zdobył na tyle duże doświadczenie, żeby zacząć działać na własną rękę. Inwestował w węgiel, nowoczesne lokomotywy, rozbudowę linii kolejowych, elitarne kluby polo i wszystko, co zwróciło jego uwagę i zapowiadało zyski.

- Nie chcę być jednym z tych mężczyzn, którzy oddają się wyłącznie rozrywkom - powiedział, kiedy Balsan zostawił nas wreszcie samych i mogliśmy siąść obok siebie przy dogasającym ogniu. - Miło jest jeździć konno całym dniami i skupiać się w życiu wyłącznie na przyjemnościach, bo przecież... - Wzruszył ramionami z udawaną nonszalancją. - Po co się martwić? Ale ja muszę pracować. Muszę mieć coś, co sam zdobyłem. - Spojrzał na mnie swoimi niezwykłymi oczyma. - Rozumiesz, co mam na myśli? Wiesz, że nie jestem taki jak Balsan.

Nie musiał o nic pytać. Oni dwaj nie mogliby się od siebie bardziej różnić: w porównaniu

z nowoczesną postawą Boya, beztroska i niefrasobliwość Balsana wydawały się trywialne. Były reliktem minionej epoki.

- To, czego nie zdobywamy sami - dodał - nigdy w pełni nie należy do nas. Zawsze może nam zostać odebrane. Ale nawet jeśli stracimy wszystko, na co pracowaliśmy, to osiągnięcie pozostanie nasze już na zawsze.

Jak miałam się w nim nie zadurzyć? Był niczym wygrana na loterii, na którą nieświadomie czekałam, choć nie mogłam nawet wiedzieć o jej istnieniu, bo nikogo takiego wcześniej nie poznałam. Podczas tamtych długich jesiennych nocy i rześkich jak na tę porę roku dni opowiadał mi historie, których zawsze pragnęłam słuchać, nawet jeśli nie wiedziałam dotąd, gdzie powinnam ich szukać. Mimo to Boy ani razu nie zachował się tak, jakby chodziło mu o coś więcej niż tylko o przyjaźń. Jedyne chwile bliskości między nami nadchodziły wówczas, gdy opowiadał mi o czymś, głęboko poruszony - łapał mnie wtedy za rękę i mocno ją ścisnął.

Zdecydowałam się opowiedzieć mu o dzieciństwie pełnym niedostatku, o kamiennych murach Aubazine, o poddaszu w Moulins i upokorzeniach, których zaznałam w Vichy. Mówiłam o tym, że zawsze pragnęłam czegoś więcej i jeszcze więcej, a ostatecznie podzieliłam się z nim nawet swoim marzeniem o otwarciu własnego sklepu. Mówiłam o tym niepewnie, tak ostrożnie, jakbym odpakowywała kruchą pamiątkę rodzinną. Zawsze okłamywałam Balsana, gdy opowiadałam mu o swoim pochodzeniu. Po raz pierwszy w życiu zdecydowałam się wyznać komuś nagą, nieupiększoną prawdę i choć mówiąc o tym, czułam się nieswojo, tak jakbym odsłaniała zdecydowanie za dużo, miałam jednocześnie wrażenie, że wreszcie zrzucam z siebie ciężar, z którego istnienia nie zdawałam sobie wcześniej sprawy.

Boy uśmiechnął się.

- Uważam, że doskonale sobie poradzisz. To przedsięwzięcie wymaga dużego kapitału, a z początku stracisz zdecydowanie więcej, niż zarobisz. Ale najważniejsze jest to, że będziesz szczęśliwa, robiąc to, co kochasz.

Nikt nigdy nie powiedział mi czegoś podobnego. Zakonnice z Aubazine wychwalały życie pozbawione oczekiwań i aspiracji, tak jakby szczęście nie było czymś, o co sami zabiegamy. Jeżeli nawet wcześniej nie zdawałam sobie sprawy, że kocham Boya, to w tamtej chwili zrozumiałam to całą sobą. Gdyby tamtej nocy poprosił mnie, żebym mu się oddała, zrobiłabym to bez wahania, nie zważając na to, że zamek w Pau był po brzegi wypełniony chrapiącymi pijakami, którzy mogliby nas usłyszeć.

Boy o nic mnie jednak nie poprosił. W innych okolicznościach mogłabym martwić się

o to, że nie uważa mnie za atrakcyjną albo kocha inną kobietę. Skoro ja nie potrafiłam mu się oprzeć, to musiał przecież wydawać się równie pociągający wszystkim innym kobietom, które spotkał na swojej drodze. Nawet Balsan dostrzegł wreszcie łączącą nas bliskość.

- To prawdziwy łajdak - powiedział, kiedy Boy wyruszył swym samochodem do Paryża. - Ma kochankę w każdym porcie. Może i jest w połowie Anglikiem, ale od pasa w dół jest bardziej francuski od wszystkich mężczyzn, których znam.

Gdybym potrafiła lepiej odczytywać uczucia Balsana, zrozumiałabym, że usiłował mnie w ten sposób ostrzec: nie wikłaj się w związek z Capelem. Ale nawet jeśli by ciskał gromy

i groził mi wygnaniem, nie zdołałby mnie powstrzymać. Nawet gdybym miała być jedną z setek kobiet zdobytych przez Boya - nie widziałam dla siebie innej drogi.

Połączyło nas przeznaczenie.

Dlatego nie obawiałam się o to, czy uważał mnie za atrakcyjną. Nie martwiłam się, że nie wykonywał żadnych kroków. Wiedziałam, że przyjdzie na to czas. Musiał to zrobić. My musieliśmy to zrobić.

A ja musiałam się tylko wyzwolić.

Mimo to cały czas się wahałam. Nadejście 1909 roku świętowaliśmy imponującym przyjęciem w Royallieu: zorganizowaliśmy bal maskowy, na którym pojawili się znajomi Balsana, w tym również Emilienne ze swoją siostrą. Nie było tylko Boya, który pojechał do Anglii, żeby odwiedzić swoją rodzinę. Jednak to nie dlatego zwlekałam. Sama nie znałam powodów tej zwłoki. Wiedziałam tylko, że obawiam się tego ostatecznego kroku, że boję się skoczyć na głęboką wodę i znaleźć się w miejscu, w którym tkwiła Adrienne i wiele innych szukających chwili wytchnienia kobiet.

Nigdy nie zamierzałam przed kimkolwiek kapitulować - zwłaszcza przed mężczyzną.

Emilienne zauważyła zmianę, która we mnie zaszła. Dom był na tyle zatłoczony, że nie mogłyśmy pozwolić sobie na nasze potajemne, popołudniowe schadzki, ale w dniu wyjazdu wyszeptała mi do ucha:

- Wydaje mi się, że ktoś inny zajął moje miejsce, *ma chérie*. - Kiedy zaczęłam protestować, uciszyła mnie. - Nie musisz się tłumaczyć. Wybór, pamiętasz? Wszystkie mamy do niego prawo.

Właśnie ów wybór mnie jednak paraliżował. Nie mogłam pracować. Krążyłam po swojej pracowni, a kapelusze czekały niecierpliwie na cięcia moich nożyczek, ale ja myślami byłam zupełnie gdzie indziej. Zastanawiałam się, gdzie przebywa Boy, co robi i czy o mnie myśli. Kiedy wyobrażałam sobie, jak siedzi rozbawiony w paryskiej kawiarni z jakąś *cocotte* albo spaceruje nad Sekwaną w towarzystwie jednej ze swoich licznych zdobyczy, czułam ukłucie w sercu. Dopiero po pewnym czasie zrozumiałam, że zżera mnie zazdrość. Dręcząca bezradność i uczucie porzucenia doprowadzały mnie do szału. Tym razem jednak mój gniew nie miał się czym karmić.

Każdą częścią swojego ciała tęskniłam za dotykiem Boya.

Przyjechał na wiosnę, kiedy śnieg zaczął topnieć, a na kasztanowcach pojawiły się pierwsze pąki. Gdy tylko usłyszałam charkot jego przegrzewającego się samochodu, który zatrzymał się przed zamkiem, odrzuciłam na bok nożyczki i zbiegłam boso po schodach. Zanim jeszcze zdążył wejść do holu i rozpiąć marynarkę, zanim zdążył przeczesać swoje rozwichrzone włosy, rzuciłam mu się w ramiona.

Wtedy mnie pocałował. Mocny, zapierający dech w piersiach pocałunek, który wcisnął mnie w jego ciało, rozpruł i przenicował, zrywając ze mnie starą, zniszczoną podszewkę i przekształcając moją skórę w nowy strój z gładkiego, delikatnego jedwabiu.

- Tęskniłam za tobą - wyszeptał. Kiedy wreszcie mnie puścił, nie poczułam pod stopami chłodu podłogi. Usłyszałam za to leniwe oklaski.

Gwałtownie się odwróciłam. Balsan stał w drzwiach biblioteki. Skrzywił się, uniósł ręce w górę i raz jeszcze zaklaskał.

- Brawo. Wreszcie ktoś zdołał roztopić serce mojej małej Coco.

Obrócił się na pięcie i wycofał do biblioteki. Pakował się właśnie, ponieważ wybierał się do Argentyny, gdzie zamierzał kupić nowe konie - tamtejsze hodowle stały się w ostatnim czasie bardzo popularne. Kiedy zniknął za drzwiami, szepnęłam do Boya:

- Co teraz zrobimy?

- Powiemy mu prawdę. Pojedziesz ze mną do Paryża. Zamierzam sfinansować twój sklep. - Wpatrywałam się w niego ze zdziwieniem, on zaś dodał: - Emilienne odwiedziła mnie po wizycie, którą tu ostatnio złożyła. Wierzy, że odniesiesz sukces. Ja też w to wierzę. Chcę mieć w tym swój udział, naturalnie jeżeli nie będziesz miała nic przeciwko temu.

Miałam ochotę znowu rzucić mu się w objęcia, ale Boy zaprowadził mnie do biblioteki. Kiedy weszliśmy do środka, Balsan siedział przy biurku ze szklanką koniaku w ręce.

- Drinka? - zapytał, nie podnosząc nawet wzroku.

- Etienne, *mon ami*... - zaczął Boy, a Balsan spojrział na niego i dziwnie się uśmiechnął.
- Uważaj, Angliku. We Francji przyjaciele nie kradną kochanek swoim przyjaciołom.
- Wiesz doskonale, że nigdy nie zamierzałem. - zaczął Boy, ale przerwałam mu, puszczać jego dłoń i zbliżając się do Balsana:
- Obwiniaj mnie, jeżeli już musisz kogoś obwiniać. Zadrżały mu usta.
- O niczym nie masz pojęcia. Jesteś równie naiwna jak tamtego dnia, kiedy wyciągnąłem cię z tej nory w Vichy.
- Być może - powiedziałam. Czułam, że stojący za mną Boy zeszytywniał. - Ale tego właśnie pragnę.
- Czyżby? - Balsan uśmiechnął się. - Jesteś tego pewna? Bo kiedy już stąd wyjdiesz, nie myśl nawet o powrocie. Nie będę już tak wspaniałomyślny, niezależnie od tego, jak bardzo by mi na tobie zależało.
- Tak - odparłam. - Wiem. Przeniósł wzrok na Boya.
- Będziesz o nią dbał?
Nie odwróciłam się, ale wiedziałam, że Boy skinął głową.
- Wobec tego wszystko ustalone - powiedział Balsan. - Zabierasz ją do siebie.
- Nie do siebie - poprawił go Boy. - Ze sobą. To co innego. Zanim Balsan zdążył coś odpowiedzieć, dodałam:
- On pomoże mi otworzyć sklep. Nikt nie będzie mnie dłużej utrzymywał. Balsan przewrócił oczyma i opróżnił szklankę.
- Znowu ten sklep! Niech Bóg ma nas w swej opiece, ona jest uparta jak osioł! -Przeszedł na drugi koniec biblioteki i zbliżył się do tacy, na której stały szklanki z rżniętego szkła. Dolał sobie koniaku, po czym zwrócił się do Boya: - Jeśli będziesz starał się folgować jej fantazjom, ona cię zrujnuje. Pozbawi cię ostatniego *centime*"a.
- Jestem na to przygotowany - odparł Boy. - Możesz uważać jej ambicje za błahe i niepoważne, ale ja mam inne zdanie. Udzielam jej pożyczki, którą spłaci mi z niemałym procentem, gdy tylko będzie mogła.
- Czyżby? Dobrze, dobrze. - Balsan raz jeszcze opróżnił szklankę. Starał się mówić spokojnie, ale zauważyłam, że drżał. Zrobiło mi się żal i jego, i tego ograniczonego umysłu, który kiedyś wydawał mi się tak otwarty. Wczepiał się kurczowo w świat, który powoli odchodził. - Oprocentowana pożyczka - powtórzył z kpiną. - Jakież to szczodre, zważywszy na to, że spłata zajmie jej wiele lat. Jeśli w ogóle kiedyś nastąpi.
- Przekonamy się. - Boy dał mi znak. - Chodź, Coco.
- Nie zabiorę stąd niczego, co do mnie nie należy - zapewniłam Balsana. - Obiecuję.
- W takim razie możesz wyjść w ubraniach, które masz na sobie, bo nic innego tu do ciebie nie należy.
- Właśnie dlatego muszę stąd odejść. - Podeszłam do Boya, starając się zachować tyle godności, ile tylko potrafiłam.
Kiedy stanęłam w drzwiach, obejrzałam się przez ramię, choć nie wiedziałam, na co właściwie liczę. Balsan nadal sączył koniak, błędząc myślami gdzieś daleko. Zamierzałam zabrać ze sobą tylko walizkę z kapeluszami oraz kilka strojów, które sama uszyłam. Balsan mnie ocalił, a mimo to, choć wiedziałam, że go krzywdzę, prawie nie czułam wyrzutów sumienia. Miejsce, które przez blisko cztery lata było moim domem, wydawało mi się teraz równie obce, jak spojrzenie tego człowieka. Patrzyłam na nie jak na popadającą w ruinę górę kamieni, która zapomni o mnie, gdy tylko wyjadę.

Kiedy odwróciłam się do Boya, usłyszałam za plecami westchnienie Balsana. - Otworzyłem jej klatkę, ale to ty, mój złodziejski przyjacielu, zamierzasz ją uwolnić. Miej się na baczności. Dzikich istot nie da się poskromić.

W odpowiedzi Boy zamknął moją dłoń w swojej dłoni i ruszyliśmy do wyjścia.

AKT DRUGI

RUE CAMBON 21

1909-1914

„CHCĘ BYĆ CZĘŚCIĄ TEGO, CO NADCHODZI”.

I

Paryż.

Jak opisać te pierwsze miesiące? Zamieszkałam w mieście, o którym marzyłam przez całe życie. Zapoczątkowana w okresie Drugiego Cesarstwa rozbiórka ciasnych średniowiecznych dzielnic dobiegła już końca, a splątane labirynty krętych uliczek i czynszówek zostały wybebeszone. Ich miejsce zajęły szerokie bulwary, przy których stały imponujące kamienice w kolorze kości słoniowej, wspaniałe parki i place z eleganckimi fontannami.

Przez wiele tygodni przyzwyczajałam się do panującego tam zgiełku - do ryku klaksonów na deskach rozdzielczych nowych samochodów, do pobrzękiwania oraz stukotu dorożek i powozów, do odoru tłuszczu i zwierzęcych odchodów, zlewających się ze sobą i przekształcających w gryzący smród, który wypełniał powietrze. Wszędzie roilo się od ludzi: spacerowali ulicami i rozmawiali w kawiarniach, łapali taksówki i jechali z Montmartre'u nad Sekwanę, wchodzili i wychodzili z restauracji, bistr i teatrów. Artyści, muzycy, tancerze i rzeźbiarze; rzemieślnicy, sklepikarze i handlujący rybami - biedni, bogaci i wszyscy inni. Jak mawiał Boy, w tym „wyzwolonym świecie, w którym ocenia się nas nie po tym, kim się urodziliśmy, ale kim się staliśmy”, między ludźmi zacierały się wszelkie różnice.

Och, to wszystko oszałamiało mnie do tego stopnia, że z podekscytowania nie mogłam spać. Boy pokazał mi miejsce, w którym się wychował: rezydencję przy *avenue d'Ilène* w szesnastej dzielnicy. Na widok tego domu, symbolu zbytku, należącego kiedyś do dynastii Rouchefoucauld, wpadłam w jeszcze większą panikę, zaczęłam sobie bowiem coraz dobitniej uświadamiać, z jak różnych światów się tak naprawdę wywodziliśmy. Później, kiedy jedliśmy kolację u Maxima, Boy opowiedział mi o tym, jak jego matka zmarła, kiedy miał dwadzieścia jeden lat, a ojciec postanowił wrócić do Londynu. Ich paryską rezydencję wynajmowała obecnie ambasada, o czym wspomniął tak, jakby to było coś absolutnie zwyczajnego. Choć w przeciwieństwie do Balsana Boy nie był arystokratą, wyglądało na to, że jego rodzina miała nie mniej pieniędzy - podejrzewałam nawet, że miała ich zdecydowanie więcej.

Boy zabierał mnie też do okazałych, przeszklonych domów handlowych - Printemps, Bon Marché i wspaniałej Galeries Lafayette - w których można było kupić absolutnie wszystko, od mebli po ubrania, tanie pończochy i buty w przystępnej cenie. Ten nadmiar rzeczy wydawał mi się niemal pogański. Boy patrzył z rozbawieniem, jak krążyłam po kolejnych piętrach, kompletnie oszołomiona, zbierając naręcza nowych kapeluszy oraz ubrań niezbędnych mi do tego, by wtopić się w świat, w którym we wszystkich swoich starych strojach - z wyjątkiem nakryć głowy - wyglądałam jak strach na wróble.

Boy odbywał też spotkania w interesach, w elitarnych klubach albo na przyjęciach, na których gromadziła się śmietanka towarzyska. Tłumaczył, że choć nie obchodzi go, co powiedzą ludzie - rzeczywiście, często rezygnował z obowiązkowego smokingu i pojawiał się na takich uroczystościach w tweedowej marynarce - nie może sobie pozwolić na to, by zgorszyć ludzi, z którymi prowadził interesy. Dlatego wolał nie pokazywać się w towarzystwie kochanki, nawet najbardziej czarującej.

Zostawiał mnie zatem samą, a ja krążyłam po jego urządzonym w surowy, męski sposób mieszkaniu przy Polach Elizejskich, pośród ciemnych szkarłatnych ścian, mahoni i martwych natur przedstawiających dzikie ptactwo i snopy siana. Z tarasu dostrzegałam czarny szkielet wieży Eiffla, mogłam też obserwować, jak elegancko ubrani paryżanie spacerowali po bulwarach, robili zakupy i raczyli się aperitifami.

Czy czułam się zagubiona? Zdecydowanie: jak owieczka w gęstym lesie. Paryż był jak

wilk, gotów pożreć bezbronnych, a ja nie potrafiłam jeszcze stawić mu czoła. Zamiast tego pracowałam bez wytchnienia, wykorzystując pusty pokój w tylnej części mieszkania jako pracownię, w której robiłam tyle nowych kapeluszy, ile tylko mogłam. Boy często wracał późno i zastawał mnie tam z papierosem w ustach, piekącymi oczyma i palcami pokrytymi krwawymi śladami po ukłuciach igły.

- Będziemy potrzebowali więcej miejsca - zauważał, po czym odbierał mi igłę i prowadził do łazienki, tej pokrytej marmurami i kafelkami świątyni czystości, gdzie przygotowywał dla mnie gorącą kąpiel, tak żebym mogła odpocząć po całym dniu pracy.

A po tym, gdy mnie już wytarł swoimi puszystymi ręcznikami i wycisnął nadmiar wody z moich włosów, zabierał mnie do swojej sypialni, wyłożonej boazerią z drzewa orzechowego.

Nawet teraz waham się, czy o tym mówić. Takimi chwilami, pełnymi gwałtownej namiętności - tak wszechogarniającej, że obawiałam się, iż spali mnie od środka - nie należy się dzielić. Dość powiedzieć, że było dokładnie tak, jak czytałam w książkach i jak być powinno... i jeszcze lepiej. Boy miał gładkie ciało, twarz, szyję i ręce opalone aż do łokci, niżej zaś był biały jak mleko. Pod jego skórą wyraźnie rysowały się mięśnie, zebra i nadgarstki, biodra i kostki lekko wystawały, choć wydawały się delikatne, kiedy stykały się z moim ciałem. Pasował do mnie jak klucz do zamka i otworzył moje serce, które zamarzło tamtego dnia, gdy ojciec wsiadł na furmankę i odjechał. Boy wchodził we mnie, a ja wyginałam się jak łuk, żeby przyjąć jego pchnięcia.

- Kocham cię, Coco. Tak bardzo cię kocham - szeptał w takich chwilach, odmawiając tę zdyszana litanie kochanków. A mimo to nie potrafiłam mu się odwzajemnić. Wreszcie otoczył dłońmi moją twarz, wciąż poruszając się we mnie, i ponaglił mnie: - Powiedz to. Powiedz!

A ja wydyszałam:

- Ja... ja też cię kocham. - Zabrzmiało to jednak sztucznie, tak jakby równie banalne słowa nie mogły wyrazić ogromu moich uczuć.

Później, kiedy Boy palił papierosa, a ja leżałam przy nim, opierając głowę na jego klatce piersiowej, zaczął się nagle śmiać:

- Balsan miał rację. Jesteś uparta. - Zamierzałam się odsunąć, ale przyciągnął mnie do siebie i wyszeptał: - Nie, spokojnie. Nie zmieniaj się. Nie obchodzi mnie, czy potrafisz to powiedzieć. Wiem, że mnie kochasz.

Och, nie mylił się. Oddałabym za niego życie. Był dla mnie wszystkim: moim kochankiem, moją rodziną, moim najlepszym przyjacielem. Nie znałam w Paryżu prawie nikogo, choć wraz z upływem czasu zaczęli się pojawiać w naszym życiu ludzie, których poznałam, kiedy jeszcze mieszkałam z Balsanem. Jedną z pierwszych takich osób był Léon de Laborde, czarujący jak zwykle. Przyniósł mi kosz cytryn od Balsana - który wiedział, jak chętnie robię sobie z ich skórki okłady na oczy - a także przekazał nam opowieści o jego podróżach po Argentynie. Balsan prosił mnie w ten sposób o wybaczenie - a ja czułam się u boku Boya tak szczęśliwa, że przyjąłam jego przeprosiny bez wahania.

Szczęśliwa...

Tak, byłam szczęśliwa. Nieswojo się z tym czułam. Czasem, po naszych nocnych upojeniach, Boy zasypiał, a ja przyglądałam mu się jak kot. Patrzyłam na jego unoszącą się miarowo klatkę piersiową, czułam nikotynę w jego oddechu i słyszałam pomruki, które wydawał od czasu do czasu. Na myśl o tym, że mógłby mi zostać odebrany, że nasza idylla nie przetrwa, ogarniało mnie przerażenie. Bałam się, bo czy kiedykolwiek losy mojej miłości potoczyły się inaczej? Takie myśli nachodziły mnie tylko nocą, kiedy pogrążałam się w otchłani strachu. Nigdy nie dręczyły mnie w ciągu dnia. Tylko w czasie tych pustych godzin dzielących wczoraj od dzisiaj, kiedy zostawałam sama z moim śpiącym kochaniem, ciężar przeszłości podpełzał do

mnie niczym pełen wyrzutów duch.

- Potrzebuję więcej przestrzeni - oznajmiłam pewnego ranka, po tym jak zjedliśmy śniadanie na tarasie, a Boy zaczął ubierać się na spotkanie. - Co z moim sklepem?

Spojrzał na mnie w lustrze, poprawiając kołnierzyk.

- Musimy poszukać odpowiedniego lokalu. - Zamilkł na chwilę. - Balsan zaproponował swoją kawalerkę przy *boulevard* Malesherbes. Mówił, że możesz korzystać z niej tak długo, jak zechcesz, dopóki nie znajdziemy lepszego miejsca.

Wpatrywałam się w niego ze zdziwieniem. Wzruszył ramionami.

- Przysłał list do mojego biura. Wyraził w nim skruchę. Napisał, że sposób, w jaki zakończył sprawy między nami, jest niewybaczalny i że chce to naprawić.

To był cały Balsan: nie potrafił długo chować urazy. Żałowałam, że i ja nie miałam takiej umiejętności. Choć przyjął od niego cytryny, nie potrafiłam zmusić się do tego, żeby pójść dalej.

- To nie jest zła dzielnica - mówił dalej Boy, wyczuwając moje wątpliwości. - Balsan proponował też, że poszuka prawdziwej modystki, którą mogłabyś zatrudnić. Wspominał

o niejakiej Lucienne Rabatę, która pracuje w Maison Lewis i najwyraźniej szuka nowych możliwości.

Maison Lewis był jednym z najbardziej cenionych paryskich sklepów z kapeluszami. Kiedy Capel mnie tam zabrał, ze szczególnym rozbawieniem przyjął fakt, że ceny proponowane przez *monsieur* Lewisa zdecydowanie zostawiały w tyle jego przestylizowane kapelusze. Mimo to zdawałam sobie sprawę, że modystka z tak cenionego *atelier* byłaby dla mnie prawdziwym skarbem. Przekazałaby mi wszystkie tajniki swego fachu, a może nawet przyciągnęłaby wpływowych klientów, którzy zaczęliby interesować się moimi kapeluszami.

- I Balsan to wszystko napisał? - Zapaliłam papierosa i spojrzałam na Boya zza chmury dymu.

Roześmiał się.

- Napisał o wiele więcej, ale to wszystko, co powinnaś wiedzieć. Kiedy zapinał marynarkę i sięgał po czapkę, wymamrotałam:

- Przemyślę to.

Pochylił się i pocałował mnie w policzek.

- Zrób to. A tymczasem napisz do Adrienne i zapytaj, czy nadal chce tu przyjechać i pomóc ci prowadzić sklep. Jesteś zbyt drażliwa, żeby obsługiwać klientów.

Napisałam do Adrienne jeszcze tego samego dnia. Tydzień później dostałam kopertę ze stemplem z Moulins. Zerknęłam na pierwsze linijki i wydałam okrzyk tak rozpaczliwy, że Boy natychmiast do mnie przybiegł.

Zdążył ująć mnie w talię dokładnie w chwili, gdy nogi się pode mną ugięły, a list wypadł mi z ręki.

- Moja siostra Julia. - wyszeptałam, opierając głowę na jego szyi. - Ona nie żyje.

II

Jak pisała Adrienne, to był straszny zbieg okoliczności. Sierpniowe słońce skrywało się powoli za dachami, a ja siedziałam na tarasie i czytałam o tym, jak moja siostra zakochała się w pewnym oficerze z miejscowego garnizonu. Poznała go na targu, na którym prowadziła stragan naszych dziadków, on zaś zaczął się do niej zalecać. Julia - moja łatwowierna, niewinna Julia -wkrótce zaszła w ciążę. Jak się okazało, oficer szybko poprosił o przeniesienie i zniknął. Nasi dziadkowie przyjęli tę wiadomość z dezaprobatą, więc moja siostra spakowała swoje rzeczy i przeniosła się do Louise. Dziewięć miesięcy później urodziła dziecko, po czym podcięła sobie żyły. Adrienne przesłała do Royallieu wiadomość o pogrzebie, ale w domu przebywała wówczas tylko służba - ja mieszkałam już w Paryżu, a Balsan podróżował po Argentynie. Nikt jej nie odpowiedział, a list, o ile w ogóle dotarł, zagubił się pośród stosów korespondencji czekającej na powrót Balsana.

Adrienne nie chciała przyjechać do Paryża. Mieszkała teraz w Moulins razem ze swoim baronem - odniosła zatem kolejne drobne zwycięstwo w prowadzonej od lat wojnie - i nie mogła ryzykować wyjazdu. Pytała mnie natomiast, czy zamierzam zaopiekować się swoim siostrzeńcem, małym André, pozostającym na razie u Louise. Sugerowała, żebym skontaktowała się z moją siostrą Antoinette, która opuściła już klasztor i podobnie jak my pracowała teraz w koszmarnym Maison Grampayre.

Uświadomiłam sobie wtedy, że dawno już przestałam się troszczyć o los Antoinette. Dręczona wyrzutami sumienia, natychmiast do niej napisałam. Wysłałam też telegram do Moulins i dzięki wsparciu Boya przekazałam pokaźną kwotę na utrzymanie André, jednocześnie obiecując, że zajmę się edukacją mojego siostrzeńca i nie pozwolę, żeby trafił do klasztoru albo do sierocińca. Długo rozmawialiśmy o tym z Boyem i ostatecznie zdecydowaliśmy, że André powinien trafić do Eton, renomowanej angielskiej szkoły z internatem. Boy zamierzał pokryć wszystkie koszty i napisał do jej dyrektora, którego znał osobiście, chcąc się upewnić, że w odpowiednim czasie André zostanie tam przyjęty.

Śmierć Julii wprawiła mnie w przygnębienie. Opuściłam siostrę bez pożegnania. Zadręczałam się własną bezduszością, wspomnieniami z okresu, który spędziłyśmy razem, i płomienną deklaracją, którą złożyłam w Aubazine, zapewniając, że nigdy jej nie opuszczę. Nie dawała mi spokoju myśl, że gdybym zaopiekowała się Julią, gdybym wzięła ją pod swoje skrzydła - moja siostra mogłaby żyć.

Pewnego wieczoru, kiedy leżałam na kanapie w salonie i szlochałam, Boy, który wrócił właśnie z jednej ze swoich służbowych podróży, usiadł obok mnie, oparł moją głowę na swoim ramieniu i wyszeptał:

- Coco, musisz sobie wreszcie wybaczyć. Nie możesz się dłużej obwiniać. Przyjmij propozycję Balsana. Otwórz sklep. Nie możesz wskrzesić swojej siostry i nie powinnaś umierać razem z nią.

Boy zabrał mnie do mieszkania Balsana przy *boulevard* Malesherbes. Zadzwoił tam wcześniej i zapowiedział naszą wizytę, a kiedy przyszlismy, czekała już na nas Lucienne Rabaté, modystka z Maison Lewis. Ta ruda, piegowata i nieznosząca sprzeciwu kobieta krążyła po ciasnym pomieszczeniu, do którego wchodziło się wprost z ulicy. Pomieszczenie to znajdowało się bezpośrednio pod kawalerką Balsana. Pociągała nosem, spoglądając na kurz, który szczelnie pokrywał drewniane deski podłogi.

- Nie jest to z pewnością Place Vendôme - oznajmiła - ale gdyby umieścić w witrynie ładną wystawę, na podłodze położyć dywan, a nad drzwiami powiesić dzwonek, to miejsce

powinno się nadać. - Zamilkła na chwilę i uważnie mi się przyjrzała. Nie budziła sympatii. Miała przenikliwe spojrzenie rodowitej paryżanki i była specjalistką w swoim fachu, ja natomiast pozostawałam nie znaną nikomu nowicjuską, która robiła dziwaczne kapelusze. - Zanim przyjmę jakąkolwiek ofertę pracy, muszę zobaczyć, co pani zamierza sprzedawać w swoim sklepie, *mademoiselle*. Muszę dbać o swoją reputację. Nie zamierzam porzucać obecnej posady tylko po to, żeby sprzedawać coś gorszego.

Przyniosłam ze sobą cztery kapelusze, ale zanim zdążyłam wyjąć z pudełka pierwszy z nich, modystka sama go pochwyciła, a następnie uniosła w kierunku światła, które sączyło się do środka pomieszczenia przez brudne frontowe okno. Zaczęła obracać kapelusz i oglądać go ze wszystkich stron, szukając możliwych niedoskonałości.

- Hmm. - Wyciągnęła rękę i oddała mi go. - Proszę o kolejny kapelusz. Zakończywszy oględziny, wydeła wargi i milczała przez dłuższą chwilę. Boy wyszedł

tymczasem na dwór, żeby zapalić. Wreszcie modystka odwróciła się do mnie niespiesznie i powiedziała:

- Nie ulega wątpliwości, że te kapelusze nie przypominają niczego, co można znaleźć w paryskich sklepach i salonach, *mademoiselle*. Są proste, eleganckie. Mogłyby przypaść do gustu właściwej klienteli. Ale nie będzie to łatwe. Uznani kapelusznicy, tacy jak Worth i Paul Poiret, nie powitają konkurencji z otwartymi ramionami. Zresztą sami prowadzą ze sobą wojnę, odkąd Poiret odszedł od Wortha i otworzył własne *atelier*. Znasz ich?

Potrząsnęłam głową, lekko zniechęcona tym kazaniem.

- Nie? - Postukała stopą w podłogę. - No cóż, *mademoiselle*, niewątpliwie powinnaś, jeżeli zamierzasz otworzyć sklep z kapeluszami. *Monsieur* Frederick Worth to Anglik, który ubiera każdą liczącą się kobietę w tym kraju, także członków rodziny królewskiej. Jego stroje są wyszukane i ekskluzywne. Nie szyje nigdy dwóch podobnych sukni - tworzy jedyne w swoim rodzaju kreacje dla każdej ze swoich klientek. Poiret uczył się rzemiosła od Wortha, ale teraz ubiera odważniejsze damy w śmiałe komplety inspirowane motywami orientalnymi. Zarówno Worth, jak i Poiret zatrudniają modystki, które tworzą kapelusze pasujące do ich strojów. Muszą one podpisywać umowy zobowiązujące je do całkowitej dyskrecji. Czy to właśnie chciałabyś robić?

- Nie. - Wyprostowałam się. - Nie - powtórzyłam po chwili pewniejszym głosem. - Chcę pracować tylko dla siebie.

- I dla klientów, jak sądzę? - Machnęła ręką z wyraźnym lekceważeniem. - Tę lokalizację trudno uznać za idealną. Poiret otworzył *atelier* w pobliżu opery. Worth prowadzi salony przy Place Vendôme i w Londynie. Musisz znaleźć własnych klientów, ale wydaje mi się mało prawdopodobne, żeby trafili do takiego miejsca przypadkiem.

- Tak zrobię. - Zaczęłam chować kapelusze do pudełka, nagle jednak zorientowałam się, że modystka do mnie podeszła. Podniosłam wzrok. Trzymała w ręku jakąś karteczkę.

- Oto lista potencjalnych klientów, których mogę ściągnąć do twojego sklepu. Poznałam ich, pracując w Maison Lewis. Sugeruję uważnie przyjrzeć się tym nazwiskom, *mademoiselle*, bo w obecnej sytuacji muszę zastrzec, że referencje nie wchodzą w grę. Nie chcę, żeby mój obecny pracodawca dowiedział się przypadkiem, że szukam innej posady.

Roześmiałam się cicho.

- A ja, *madame*, tak czy inaczej nie rozpoznałabym żadnego z nazwisk na tej liście.

- Czyżby? - Wyjrzała przez okno i wskazała Boya, który stał obok swojego samochodu. - Przypuszczam, że *monsieur* Capel może je znać.

- Niewykluczone - odparłam, sięgając po pudełko z kapeluszami. - Ale *monsieur* Capel nie jest moim pracodawcą.

Ruszyłam do drzwi, ona zaś powiedziała:

- Wobec tego sądzę, że udało nam się osiągnąć porozumienie. Stałam i odwróciłam się do niej.

- Nie mogę wiele zaoferować - uprzedziłam. - Jak sama pani sugerowała, nie będzie łatwo.

- Od pewnego czasu odkładałam swoją pensję - odpowiedziała oschle. - A poza tym nigdy nie bałam się ciężkiej pracy.

Wyglądało na to, że mimo wszystko coś nas łączyło. Skinęłam głową.

- Istotnie, osiągnęliśmy porozumienie, *madame* Rabatę.

Razem z Lucienne zaczęłyśmy sprzątać sklep: usunęłyśmy wszystkie pajęczyny, wyszorowałyśmy podłogi, umyłyśmy okna i urządziłyśmy pracownię w ciasnym pomieszczeniu na zapleczu, przy schodach prowadzących na górę do kawalerki Balsana. Boy otworzył mi linię kredytową w swoim banku - dzięki temu dysponowałam środkami, które pozwoliły mi kupić szklane gabloty przeznaczone do eksponowania kapeluszy, ladę z marmurowym blatem, połączone krzesło i lustro na ścianę, a także dywan i dzwonek nad drzwiami. Zamierałam umieścić swoje nazwisko na markizie, ale właściciel budynku się na to nie zgodził. Zamiast tego powiesiłam w witrynie odręczny napis: GABRIELLE CHANEL.

Na kilka dni przed planowanym otwarciem, kiedy moje kapelusze znalazły się już na filcowych głowach w gablotach, a witrynę zdobiło ekskluzywne dzieło stworzone przeze mnie i Lucienne - elegancki kremowy kapelusz z czarną jedwabną wstążką oraz piórem czapli białej - w drzwiach sklepu stanęła niespodziewanie Antoinette. Trzymała w ręku walizkę.

Spojrzałam na nią, z trudem powstrzymując łzy. Miała dwadzieścia dwa lata, wielkie, charakterystyczne dla Chanelów oczy i burzę włosów nieco jaśniejszych od moich. Wyglądała tak, jakby nie jadła od tygodni. Natychmiast zabrałam ją do pobliskiej kawiarni i wmusiłam w nią croissanty z szynką i gorącą czekoladę. Antoinette zaczęła opowiadać mi historię, którą sama doskonale znałam: mówiła o latach upokorzeń, które musiała znosić jako jedna z ubogich uczennic w klasztorze w Moulins, a także o niewolniczej pracy u *madame* G.

- To już przeszłość - zapewniłam. - Zamieszkaż nad sklepem, w kawalerce Balsana. Jest tam ładna sypialnia i salon. Będziesz obsługiwała klientów, bo sama nie dam rady jednocześnie przyjmować zamówień i projektować nowych kapeluszy.

Jak się okazało, również Antoinette nie najlepiej sobie radziła z obsługiwaniem klientów - przynajmniej na początku. Była bardzo nieśmiała, choć z czasem rozkwitła pod czujnym okiem Lucienne. We mnie natomiast małe dzwonek nad drzwiami, rozbrzmiewający za każdym razem, gdy jakaś zaciekawiona klientka postanowiła nas odwiedzić, budził prawdziwe przerażenie. Lucienne dotrzymała danego mi słowa i zaprosiła do sklepu kobiety ze swojej listy. Przyszły wszystkie: dobrze ubrane damy, którym towarzyszyły służące. Zaczęły oglądać moje kapelusze, a ja tymczasem schowałam się na zapleczu i odmówiłam wyjścia. Bałam się ich reakcji - do tego stopnia, że gdyby tylko poprosiły, oddałabym im kapelusze za darmo.

Mój interes powoli się rozwijał. Zaczęły nas odwiedzać wierne klientki Lucienne, pojawiła się także Emilienne wraz ze swoim przyjaciółkami, które wykupiły wszystko, co miałyśmy. Lucienne na bieżąco informowała mnie też o tym, co działo się w świecie, do którego nie miałam dostępu.

- Poiret urządził w swoim *atelier* wielki bal maskowy inspirowany *Baśniami tysiąca i jednej nocy*. Odebrał Worthowi dziesięć najbardziej wpływowych klientek! - prychnęła Lucienne. Była to jej uniwersalna reakcja na każde możliwe zdarzenie. - Zaczyna stopniowo zdobywać przewagę. Worth powoli wychodzi z mody, jego projekty nie nadążają za

zmieniającymi się trendami. Poiret zdecydował się zrezygnować z gorsetów i zamiast tego oferuje powłóczyste spódnice i szarawary. Stworzył też własny *parfum*, perfumy o nazwie *Nuit de Chine*, które rozdawał podczas balu maskowego. To piżmowy koszmar, a mimo to używają go teraz wszystkie klientki. Worth jest wściekły, bo Poiret zaczął zbijać fortunę. - Zamilkła na chwilę, żeby podkreślić wagę swoich słów i skłoniła mnie do tego, abym podniosła wzrok. - Słyszał też o tobie, *mademoiselle*. Kilka jego klientek nosi teraz twoje kapelusze.

- Naprawdę? - zapytałam z niedowierzaniem. Pokiwała głową.

- Wiedziałaś o tym, gdybyś zaczęła czasem opuszczać to pomieszczenie. Wszyscy o ciebie pytają. Chcą wreszcie poznać tę słynną Gabrielle Chanel.

- Ja. nie lubię obsługiwać klientów - zastrzegłam, choć wielokrotnie o tym rozmawialiśmy. Lucienne nieustannie mnie informowała, że w prawdziwych salonach projektanci osobiście obsługiwali swoje klientki, podawali im kawę i ciastka, spełniali każdą ich zachciankę. Kobiety mogły spędzić w *atelier* całe popołudnie. Właśnie w ten sposób projektant utrzymywał je przy sobie i skłaniał do tego, by nosiły wyłącznie jego stroje.

- Musisz to polubić - powiedziała Lucienne. - Albo nauczyć się ukrywać tę niechęć. Jeżeli chcesz odnieść sukces, powinnaś zadbać o to, żeby cię widziano. Klientka chce patrzeć na dłonie, które tworzą to, co później kupuje.

- Ale robi to tylko na własnych warunkach - odparłam. - Nawet Poiret, mimo całej swej popularności, nie jest przez klientki zapraszany do ich domów i nie ma kontaktu z ich otoczeniem. Kiedy opuszczają jego *atelier*, przestaje dla nich istnieć.

- Ach, nie opuszcza ich ani na chwilę. Noszą go przecież na własnym ciele. i to bez gorsetu. - Zadzwoń dzwonek, więc Lucienne odwróciła się i ruszyła do drzwi. - Przemyśl to - poprosiła. - Poiret ma na swoje klientki wpływ, nawet kiedy nie ma go przy nich. Odpowiednia osoba w odpowiednim czasie i przy odpowiednim podejściu może wywierać na ludzi większy wpływ, niż można by przypuszczać. Czy nie tego pragniesz?

Odprowadziłam ją wzrokiem. Owszem, pragnęłam tego. Bardziej niż czegokolwiek innego. Ale coraz dobitniej uświadamiałam sobie, że prowadzenie sklepu radykalnie odbiega od moich dotychczasowych wyobrażeń. Pracowałam bez przerwy, realizując kolejne zamówienia. Lucienne okazała się prawdziwym darem niebios i zdołała sprowadzić do nas dwie dawne asystentki z *Maison Lewis*, które pomagały nam teraz przy pracy. Sprzeczałyśmy się jednak o wszystko: o ceny, fasony, metody sprzedaży, wystawy w witrynach. W przeciwieństwie do Lucienne uważałam, że powinnyśmy rozdawać jak najwięcej kapeluszy. Ilekroć sklep odwiedzały Emilienne i jej przyjaciółki (ach, moja droga Emilienne i jej niegasnący entuzjazm!), pozwalałam im wybierać tyle modeli, ile tylko chciały. Uważałam, że nosząc moje kapelusze, przyciągną do sklepu inne kobiety. Jedną z przyjaciółek Emilienne, również aktorka, pojawiła się już nawet na scenie w jednym z moich dzieł, co odnotowano w popularnej gazecie „*Comœdia Illustré*”. Byłam przekonana, że tego typu darmowa reklama przyniesie nam korzyści.

- Owszem - zagrzmiała Lucienne. - Istotnie, tak się stanie! Zjawi się tu tłum podrzędnych aktoreczek, które będą chciały skorzystać z okazji i dostać coś za darmo. Czy my prowadzimy organizację charytatywną? Kiedy ostatnio sprawdzałam księgi rachunkowe, nie starczyło ci pieniędzy, żeby uzupełnić zaopatrzenie, a tym bardziej wypłacić pensję mnie i twojej siostrze.

Kłóciłyśmy się jak szalone, krzyczałyśmy wniebogłosy do czasu, aż zjawiła się Antoinette, która - usiłując nas uspokoić - zaczęła nucić jedną z dobrze znanych mi piosenek z kawiarni w Moulins:

- Zgubiłam biednego Coco, mojego ukochanego psa - zaśpiewała. - Zgubiłam go na

Trocadéro. Czy ktoś widział mojego Coco?

Roześmiałam się, a Lucienne zasłoniła usta dłonią, usiłując stłumić tak rzadki w jej przypadku chichot. Po chwili wszystkie trzy zaśpiewałyśmy razem refren:

- Coco na Trocadéro. Kto widział mojego Coco?

Pewnego wieczoru, kiedy jedliśmy kolację w Café de Paris, Boy zapytał mnie, jak idzie interes.

- Wspaniale - odpowiedziałam. - Dużo zarabiam i zdobywam wiele nowych kontaktów. To takie proste. Muszę tylko nadzorować prace i wypisywać czeki. - Nie zamierzałam przyznać się do tego, że z wyczerpania mogłabym lada chwila zasnąć nad zupą ani że miałam obolałe, pokryte pęcherzami stopy i kompletnie zeszywniałe od pracy ręce. Musiałam udawać, że wszystko idzie po mojej myśli. Boy odnosił kolejne sukcesy i wydawało się, że każda rzecz przychodziła mu z niezwykłą łatwością. Nie potrafiłby zrozumieć, dlaczego czułam się tak przytłoczona.

- Czyżby? - Przyjrzał mi się uważnie, a na jego twarzy nie dostrzegłam nawet cienia uśmiechu. - Dlaczego mnie okłamujesz, Coco? Dostaję wyciągi z twojego konta bankowego. Już po raz piąty przekroczyłaś linię kredytową.

Serce zaczęło mi szybciej bić. Zakręciło mi się w głowie.

- Jak to możliwe?

- Tak się zwykle dzieje, gdy wydajemy więcej, niż zarabiamy - odparł oschłym tonem.

- Ale ja... przecież wypłacam co tydzień pieniądze. Nie dawaliby mi ich, gdyby ich nie było.

Westchnął.

- Dają ci je, najdroższa, bo to ja im je daję. Sklep nie jest się w stanie sam utrzymywać, a to, co zarabiasz, ledwo starczy na pensję *madame* Rabaté.

- A zatem twierdzisz... że jestem twoją dłużniczką?

Odwzajemnił moje pełne przerażenia spojrzenie. Gwałtownie odsunęłam krzesło, po czym wstałam niepewnie od stołu. Chwyciłam płaszcz i kapelusz, a następnie wybiegłam na dwór. Lało jak z cebra - rozpętała się jedna z tych jesiennych burz, które przekształcały miasto w bagno. Ruszyłam przed siebie, oślepią deszczem i łzami, które spływały mi po policzkach. Nie usłyszałam, że Boy za mną wybiegł, nie zwróciłam uwagi na jego krzyki - zatrzymałam się dopiero, kiedy chwycił mnie za ramię i odwrócił. Mokre włosy, przylepiły mu się do czoła.

- Coco, przestań! Bądź rozsądna. To tylko interes.

- Tak, to mój interes. - Wyrwałam mu się. - Mój! Nie chcę, żebyś mnie utrzymywał. Ani ty, ani ktokolwiek inny. Nigdy o to nie prosiłam. Nigdy się na to nie umawialiśmy!

Stał spokojnie, a deszcz spływał po jego ramionach.

- Mówiłem ci, że chciałbym ci pomóc, jeśli mi na to pozwolisz. Jeżeli tego nie chcesz, wystarczy, że mi to powiesz.

- Pomóc? - Wybuchnęłam ostrym, ochrypłym śmiechem. Pobrzmiwały w nim wstyd oraz bolesna świadomość, że tak naprawdę zamieniłam jedną złotą klatkę na drugą. - Powiedziałeś mi kiedyś, że to, czego nie budujemy sami, nigdy nie jest do końca nasze, że zawsze może nam zostać odebrane. Czy właśnie na tym polega twoja pomoc? Zamkniesz mój sklep, kiedy będziesz miał ochotę?

Rzadko wybuchał gniewem, teraz jednak jego oczy pociemniały.

- Obrażasz mnie. A co gorsza obrażasz nas. Nie umiesz prowadzić interesu? To nic, nie musisz tego robić. Zatrudnij księgową. Zajmij się tym, w czym jesteś najlepsza, a liczby pozostaw ludziom, którzy się na nich znają. Ale nigdy więcej nie mów, że zamierzam ci cokolwiek odebrać. Nie pozwolę na to.

Nagle zrobiło mi się słabo. Dopiero teraz poczułam przenikliwe zimno i ciężar swoich przemoczonych ubrań. Odwróciłam wzrok.

- Nie powiedziałam tego.

- Owszem, powiedziałaś. Mówiłem ci: nie jestem Balsanem. Spłacisz swój dług i oddasz mi to, co ci teraz daję. Wiem, że to zrobisz. Ale chcę, żebyś i ty to wiedziała. Żebyś w to wierzyła. Nie obchodzi mnie suma, jakie będę musiał teraz zainwestować, o ile będziesz wierzyła w swój talent i mówiła mi prawdę.

Przygryzłam drżącą wargę.

- Spłacę swój dług. Do ostatniego *centime'a*.

- Mam taką nadzieję. - Spojrzał na mnie w zamyśleniu. - Nie znam dumniejszej osoby od ciebie, ale pamiętaj, że wciąż jesteś tylko kobietą. I chociaż cię za to kocham, twoja duma przysporzy ci cierpień.

Tylko kobietą... Czy właśnie tak o mnie myślał? Czy widział we mnie bezbronną istotę zależną od jego dobrej woli? Sama ta myśl wzbudziła we mnie przerażenie. Czułam się tak, jakby powtarzało się wszystko to, co przeżyłam z Balsanem - tyle że tym razem byłam zakochana i nie potrafiłam się przed tym bronić.

Milczałam, kiedy Boy otoczył mnie ramieniem i zaprowadził do swojego samochodu. Następnego ranka, kiedy zjawiłam się sklepie, wezwałam swoje pracownice i oznajmiłam:

- Nie jestem tu po to, żeby wydawać pieniądze na prawo i lewo. Odtąd będę autoryzowała każdą płatność. A poza tym - dodałam, zerkając na pełną satysfakcji twarz Lucienne - od dziś koniec z darmowymi kapeluszami.

W obliczu mojej dotychczasowej rozrzutności był to jedynie drobny krok, ale mimo wszystko przyszło mi to z trudem.

Pieniądze dawały wolność. A ja nie zamierzałam tej wolności dłużej trwonąć.

III

W lecie 1911 roku Boy zabrał mnie na wakacje do kurortu Deauville.

Nalegał na to, choć nie chciałam zostawiać sklepu, który dzięki ciężkiemu reżimowi piętnastogodzinnych dni pracy i wielu bezsennych nocy zaczął wreszcie przynosić zyski. Co prawda nie nastąpiły żadne gwałtowne zmiany, ale liczba oraz status moich klientek stopniowo rosły, a oprócz odwiedzających nas do tej pory kurtyzan i aktorek pojawiły się też eleganckie damy z wyższych sfer, które nosiły nowoczesne stroje Poireta i uważały, że moje kapelusze doskonale do nich pasują. Najważniejsze przedstawicielki paryskiej socjety nadal trzymały się ode mnie z daleka i pozostawały wierne Worthowi oraz innym luksusowym *ateliers*, które ubierały je od stóp do głów. Ale wiele kobiet, które nie miały tak wiele do stracenia - panie przyjmujące w swoich salonach artystów i przedstawicieli miejscowej bohemy - zaczęły wymieniać między sobą moje proste, białe bilety wizytowe. Podczas swoich cotygodniowych, bolesnych dotąd analiz ksiąg rachunkowych zaczęłam wreszcie zauważać, że powoli wychodzę na prostą i że mogę oddać część długu Boyowi. Przypuszczałam, że wkrótce nie będę już potrzebowała jego pomocy finansowej.

Boy w żaden sposób tego nie komentował, choć musiał widzieć wyciągi, które przychodziły do jego biura. Doceniałam jego powściągliwość i byłam mu wdzięczna za to, że potrafił obserwować moje postępy z boku, w dyskretny sposób. Kiedy zasugerował, że nadszedł czas na urlop, przystałam na to z pewnym niezadowoleniem.

Deauville okazało się jednak balsamem na moją duszę. W tej położonej u wybrzeży Normandii nad kanałem La Manche miejscowości roilo się od eleganckich restauracji, hoteli, kasyn i długich promenad. Pozwoliłam sobie tam na odpoczynek, którego zazwyczaj nie zażywałam. Pływałam codziennie w śmiałym kostiumie kąpielowym z odsłoniętymi ramionami, a wieczorami jadałam z Boyem kolacje w naszym apartamencie w Hôtel Normandy, z którego okien rozciągał się wspaniały widok na molo.

Pewnego wieczoru poprosiłam Boya, żebyśmy spotkali się na kolacji w kasynie. Spędziliśmy tam wcześniej kilka wieczorów w towarzystwie jego przyjaciół z Paryża - ludzi, których nigdy dotąd nie poznałam. Powitali go naprawdę poufale, a mnie pozostało tylko zacisnąć zęby. Były pośród nich piękne kobiety o długich nosach, kobiety, które skrzyły się od klejnotów i mierzyły mnie wzrokiem zza leniwie poruszanych wachlarzy. Wyobrażałam sobie, jak oceniają w myślach właścicielkę sklepu, z którą Arthur Capel postanowił się związać. Zamierzałam pokazać im, kim tak naprawdę jestem.

W jednym z miejscowych butików kupiłam białą, jedwabną sukienkę - przylegającą do ciała, marszczoną idealną na duszne, upalne noce. Nie przypominała ona niczego, co widziałam dotąd w Paryżu. Dobrałam do niej sznur pereł od Boya, a włosy zaczesalam do tyłu i upięłam w kok, który podtrzymywała pikowana opaska. Miałam opaloną szyję i ramiona, a odrobina proszku antymonowego dodawała blasku moim oczom.

Boy czekał na mnie przy stoliku w kasynie. Kiedy mnie zobaczył, wstał, uśmiechnął się porozumiewawczo i odsunął mi krzesło. Wokół nas wytworne towarzystwo jadło kawior i łososia z wody w miętowym sosie. Butelki szampana mroziły się w wiaderkach z lodem. Przystanąłam na chwilę, a następnie pochyliłam się w stronę Boya i musnęłam ustami jego policzek. Przez całą salę przetoczył się pełen niepokoju szelest. Miałam wrażenie, że pomieszczenie wypełnił pomruk, a wszystkie oczy zwróciły się w moją stronę, by obserwować, jak siadam - nie naprzeciwko Boya, jak nakazywał zwyczaj, ale tuż obok niego.

Upewniłam się, że pozostałe krzesła przy naszym stole będą puste.

Po kolacji wszyscy zgromadzili się w ozdobionym lustrami salonie i zaczęli się ze mną witać. Zachowywałam się tak czarująco, jak tylko potrafiłam, wymieniałam dowcipne uwagi i posyłałam uśmiechy, tak jakbym bez przerwy przebywała pośród wyższych sfer. Pod koniec wieczoru kobiety zasypały mnie prośbami o wizytówki i obietnicami, że gdy tylko wrócą do Paryża, odwiedzą mój sklep.

- Ta twoja opalenizna jest taka śmiała - mówiły. - Czy nie obawiasz się piegów? Nie?

A ta sukienka i perły, och, mój Boże, są wspaniałe! Mówisz, że robisz kapelusze? No cóż, muszę je zobaczyć. Jestem już potwornie znudzona tymi, które widuję na co dzień.

Kiedy wróciliśmy do hotelu, rozpuściłam włosy i pozwoliłam im opaść swobodnie na moje ramiona. Boy uważnie mi się przyglądał.

- Wydaje mi się, że wyglądałabyś wspaniale z krótkimi włosami. Uśmiechnęłam się.

- Nie wszystko naraz. Nie chcę na razie spłoszyć tego stadka.

- Spłoszyć? - mruknął, po czym przeszedł przez pokój i wziął mnie w ramiona. - Jesteś prawdziwą lwicą. Pożresz je wszystkie żywcem i nadal będziesz głodna.

Miał rację. Te naiwne gazele nie mogły nasycić mojego apetytu. Ale był to jakiś początek.

Kiedy wróciliśmy do Paryża, Boy postanowił odwiedzić mnie do sklepu. Chciałam jak najszybciej zabrać się do pracy, byłam też ciekawa, ile zamówień złożono podczas mojej nieobecności. Wiedziałam, że muszę przygotować sklep na najazd, którego się spodziewałam. Nie miałam wątpliwości, że mój sklep odwiedzą wkrótce wszystkie kobiety, które poznałam w Deauville.

Boy nie pojechał jednak na *boulevard* Malesherbes. Zamiast tego ruszył w stronę Place Vendôme i dzielnicy, w której sprzedawano najwspanialsze futra, biżuterię oraz perfumy. Skręcił w pełną ekskluzywnych sklepów *rue de Saint-Honoré*, a następnie w *rue Cambon*. Minęliśmy tylne wejścia do Hôtel Ritz, osiemnastowiecznego pałacu przekształconego w luksusowy hotel przyciągający najbardziej elitarną klientelę. Boy zatrzymał samochód przed białym budynkiem, którego klasyczną fasadę zdobiły stiukowe girlandy i głowy cherubinów.

- Co tu robimy? - zapytałam zdezorientowana. Sięgnął do kieszeni i wręczył mi pęk kluczy.

- Podpisałem umowę najmu. Antresola i tylne pomieszczenie są twoje. Już czas.

Stał za mną i szeroko się uśmiechał, ja zaś, ściskając w dłoni klucze, weszłam oniemiała do swojego nowego sklepu. Powitały mnie oklaski. Jak przez mgłę zobaczyłam lady i gabloty wypełnione moimi kapeluszami, ułożonymi w taki sposób, żeby pasowały do wystroju wnętrza. Antoinette, Lucienne i nasze pomocnice, Angèle oraz Marie-Louise, patrzyły na mnie z radością.

Odwrociłam się, żeby spojrzeć przez okno na Boya, on zaś pomachał mi i odjechał.

W ten oto sposób powstał sklep Chanel Modes. Nowa lokalizacja mojego butików była na tyle prestiżowa, że zaczęła przyciągać najpierw bogate kobiety, które poznałam w Deauville, później zaś zjawiało się u mnie także kilka hrabin i pomniejszych księżnych. W 1912 roku w „Comœdia Illustré” zamieszczono zdjęcie, na którym prezentowałam swoje projekty, a popularna gazeta „Les Modes” nazwała mnie „oryginalną artystką”.

Sklep rozwijał się prężnie, co wymagało ode mnie długich godzin pracy i ciągłego nadzoru. Często mijaliśmy się z Boyem w naszym mieszkaniu przy *avenue Gabriel*, wymieniając pospieszny pocałunek, pijąc razem kawę albo oddając się pospiesznym igraszkom w łóżku - po czym wracaliśmy do naszych obowiązków. W tamtym okresie Boy dużo inwestował w węgiel, ponieważ z zagranicy docierały do nas pogłoski o tym, że nadchodzący konflikt z Niemcami spowoduje gwałtowny wzrost cen benzyny. Ja natomiast koncentrowałam się na własnych

sprawach i uważnie przyglądałam się nieustającej walce między Poiretem a Worthem. Nawet gdy wszystkie moje pracownice opuszczały już sklep i wracały do domów, nadal eksperymentowałam z różnymi fasonami bluzek, żakietów przewiązywanych paskami i moich ulubionych spódnic o prostym kroju. Zaczęłam marzyć o czymś więcej niż tylko o kapeluszach. Miałam dość miejsca, żeby rozbudować swoją działalność, ale umowa najmu nie pozwalała mi sprzedawać sukienek w lokalu przy *rue Cambon*, bo w budynku mieścił się już warsztat krawcowej - antypatycznej staruchy, która lubiła zaglądać do mojego sklepu, wygrażać mi palcem i ostrzegać: „Jeżeli zobaczę tu choć jedną sukienkę, zadbam o to, żeby panią eksmitowano”.

Co miałam robić?

Odpowiedź po raz kolejny podsunął mi Boy, choć tym razem zrobił to całkowicie nieświadomie. Pewnego dnia wrócił z podróży służbowej do Anglii z walizkami wypełnionymi rzeczami, których nie dało się kupić w Paryżu. Przywiózł swetry z warkoczowym ścięciem, kardigany w szkocką kratę w subtelnym barwach oraz pulowery z nieznanego mi dotąd, niezwykle trwałego materiału nazywanego dżersejem. Angielscy krawcy szyli z niego szkolne mundurki, stroje sportowe oraz mundury wojskowe - ale nigdy nie wykorzystywano go do tworzenia damskich ubrań.

Przymierzyłam jeden z takich pulowerów. Ponieważ Boy był ode mnie zdecydowanie wyższy, sweter kompletnie mnie przytłoczył, ale bardzo mi się spodobała dzianina, z której został uszyty. Wymagała niewielkiej liczby szwów i doskonale się układała, w niektórych miejscach mocniej przylegała do ciała, w innych zaś luźno zwisała.

Boy wyglądał na rozbawionego tym widokiem.

- Przywiozłem te swetry dla siebie - powiedział, kiedy zaczęłam krążyć po mieszkaniu w jego pulowerze, starając się sprawdzić, w jaki sposób materiał reaguje na ruchy. - Zamierzam je nosić podczas meczów polo. Jeżeli przesiąkną twoim zapachem, odciągniesz moją uwagę od gry.

Choć nie potrafiłam nawet narysować prostej linii, spędziłam wiele nocy przy moim stole do pracy, wymyślając kolejne fasony, które mogłam uszyć z dżerseju. Pokazałam swoje szkice Lucienne, ta jednak potrząsnęła głową:

- Dopiero niedawno udało nam się stanąć na nogi, a ty chcesz teraz zająć się sukienkami? Absolutnie się nie zgadzam. Zresztą nie pozwala nam na to umowa najmu. Chcesz, żeby nas stąd wyrzucano?

Lekko przesunęłam szkice w jej stronę.

- To nie sukienki. To żakiety, bluzki, swetry, płaszcze i spódnice. Nie ma tu ani jednej sukienki. - Zamilkłam na chwilę i skrzywiłam się. - Zresztą nie potrzebujemy kolejnych sukienek. Poiret i Worth starają się nas nimi zamęczyć. Chcę tworzyć stroje dla kobiet takich jak my, dla zwykłych kobiet na ulicach. Mają wpisywać się w nasz styl życia.

Lucienne nawet nie spojrzała na moje szkice.

- Kobiety na ulicach mogą robić zakupy w tanich domach towarowych. Produkcja takich ubrań jest za droga. Musiałybyśmy zatrudnić więcej pracowników i kupić maszyny do szycia. To zbyt trudne.

Nasze kłótnie wybuchały tak często, że żadna z pracownic nie zwracała już na nas uwagi. Ale tamtego dnia musiałyśmy rozmawiać ze sobą tonem innym niż zazwyczaj, bo w pewnej chwili Antoinette ostrożnie się do nas zbliżyła, zaczęła uważnie oglądać każdy z moich szkiców, po czym odezwała się nieśmiało:

- Dlaczego nie miałybyśmy spróbować? Te projekty są wyjątkowe. Pasują do naszych kapeluszy. Myślę, że spodobałyby się naszym klientkom.

Ponieważ moja siostra prawie nigdy nie wyrażała swoich opinii, Lucienne nieco się uspokoiła. Po chwili powiedziała:

- Nie jestem modystką. Nie znam się na sprzedawaniu ubrań.

- Będziesz musiała się tego nauczyć, jak sama mi kiedyś radziłaś - odparłam. - Wszystkie musimy się tego nauczyć. Chcę rozwijać Chanel Modes. To doskonały moment: nasze kapelusze stają się coraz bardziej popularne, przyciągamy też coraz lepszą klientelę. Powoli budujemy swój prestiż. Nikt inny nie oferuje takich fasonów i jestem przekonana, że możemy odnieść sukces.

- Nie będę w tym uczestniczyła - oznajmiła Lucienne. - Nie po to zaczęłam tu pracować.

- W takim razie nie musisz z nami zostawać - odparłam. Antoinette wydała stłumiony okrzyk. - Ale zamierzam to zrobić. Z tobą lub bez ciebie. Oczywiście wystawię ci doskonałe referencje - zapewniłam. Nie chciałam, aby w tym przypadku wziął górę sentymentalizm albo strach. Boy mówił, że muszę w siebie wierzyć, a ja wierzyłam w to nowe przedsięwzięcie jeszcze bardziej niż w swoje kapelusze.

Lucienne skinęła głową i odwróciła się. Kiedy przeniosłam wzrok na swoją siostrę, Antoinette zapytała nerwowo:

- Jak my sobie bez niej poradzimy? Sięgnęłam po rysunki.

- Poradzimy sobie. Jak zawsze.

Lucienne przeniosła się do innego salonu z kapeluszymi. Z czasem miała stać się jego właścicielką, czołową modystką Paryża. Tęskniłam za jej determinacją i pracowitością - była jedną z niewielu znanych mi kobiet, które mogły mi pod tym względem dorównać - ale zdążyłam się już nauczyć wystarczająco dużo, by samodzielnie nadzorować pracę. Z całą pewnością nie tęskniłam też za naszymi kłótniami.

Awansowałam Angèle na *première*, główną krawcową, która miała za zadanie zatrudniać *arpêtes*, młode dziewczyny uczące się w pracowni oraz wykonujące takie zadania jak prasowanie materiału czy przesuwanie magnesu nad podłogą, żeby zebrać wszystkie zblakane igły. Najbardziej utalentowana spośród *arpêtes* zostawała następnie *petite main*, czyli krawcową, która uczyła się szyć ubrania. Choć sprawnie radziłam sobie z igłą i nożyczkami, w żadnym wypadku nie uważałam się za doświadczoną projektantkę. Moja metoda pracy polegała na nakładaniu materiału bezpośrednio na manekin, a najlepiej na żywą modelkę - najczęściej funkcję tę spełniała Antoinette. Spędzałam długie godziny z papierosem w ustach, spinając i zszywając materiał w odpowiednich miejscach. Kiedy już stworzone w ten sposób modele były gotowe, Angèle i jej pomocnice przekształcały je w *toiles*, szablon z muślinu, które można było powielać i które pozwalałam wystawiać w witrynie. Kupiliśmy elektryczne maszyny do szycia, ale dużą część pracy musiałyśmy wykonywać ręcznie, a każdy element ubioru należało dostosować do wymiarów klientki. Antoinette i Angèle nadzorowały przymiarki, a ja kontrolowałam każdy strój, który trafiał na sklepową wystawę. Zawsze też sprawdzałam, czy zamówienia spełniały oczekiwania poszczególnych klientek.

Oczywiście wszystko to zajmowało mnóstwo czasu. Musiałam też sprowadzić dżersej z Anglii oraz zdecydować, gdzie i w jaki sposób wprowadzić na rynek swoją nową kolekcję. Nie wiedziałam, czy powinnam ryzykować i robić to w sklepie przy *rue Cambon*. Opóźnienia wystawiały moją cierpliwość na ciężką próbę - tym bardziej, że pod koniec 1912 roku Poiret zaczął wprowadzać pewne zmiany i sprzedawać zdecydowanie prostsze niż dotąd stroje, które niepokojąco przypominały moje projekty. Nie mógł się co prawda oprzeć i ozdabiał je bufiastymi rękawami, haftami i sobolami, psując w ten sposób nowoczesny, prosty krój, do którego pierwotnie dążył, ale nie ulegało wątpliwości, że także i on wyczuł powiew nadchodzących

zmian. Bałam się, że ubiegnie mnie, zanim jeszcze zdążę zacząć na dobre.

Staralam się rozładować frustrację poza swoim *atelier*. Zrobiłam remont w mieszkaniu Boya, przemaalowałam czerwone ściany na kremowy kolor, zastąpiłam persy dywanami w barwach ziemi, a martwe natury wspaniałymi chińskimi parawanami *coromandel*. „To wygląda jak beduiński pałac” - oznajmił Boy, kiedy już skończyłam, ja zaś zaczęłam szukać innych miejsc, w których mogłabym dać upust swojej energii.

Amerykańska tancerka Isadora Duncan robiła w tamtym okresie furorę w Paryżu. Jej innowacyjne występy i filozofia uwolnienia zmysłów poprzez ciało bardzo do mnie przemawiały. Miałam dwadzieścia dziewięć lat i chciałam zachować swoją szczupłą sylwetkę. Uważałam, że jako projektantka powinnam odpowiednio wyglądać - choć bardziej motywowały mnie zapewne częste podróże Boya i moje obawy o to, że nie jestem jego jedyną kochanką. Nigdy nie rozmawialiśmy o monogamii czy małżeństwie. Boy stosował drogie prezerwatywy z jagnięcej skóry, a ponieważ nigdy nie słyszałam, żeby miał nieślubne dzieci, przypuszczałam, że w przypadku innych kobiet decydował się na podobne zabezpieczenia. Byłam jednak zbyt dumna, żeby o cokolwiek pytać. Zamiast tego wolałam się z nim droczyć.

- Podczas swoich podróży poznasz pewnie wiele ładnych kobiet - rzuciłam pewnego razu.

Boy podniósł wzrok znad gazety i odpowiedział:

- Nie tak ładnych jak ty.

- Ja? - zakpiłam. - Ja nie jestem ładna.

- Nie - odparł. - Ale nigdy nie poznałem równie pięknej kobiety.

Uznałam, że zamiast martwić się o jego sporadyczne flirty podczas podróży, lepiej skupić się na tym, by pozostać najpiękniejszą kobietą, jaką znał. Zaczęłam zatem chodzić na zajęcia do cieszącej się ogromnym szacunkiem nauczycielki tańca, Elise Toulemon, znanej jako Caryathis. Co wieczór wspinałam się po stromym wzgórzu, żeby dotrzeć do jej studia na Montmartre. Cierpliwie znosiłam stukanie laską w drewnianą podłogę, które przypominało mi *les tantes*, a także sposób, w jaki boleśnie szczypała mnie między łopatkami, ilekroć nie przyjęłam odpowiedniej postawy, co z kolei kojarzyło mi się z zakonnkami z Aubazine. Byłam jednak zdeterminowana, choć wiedziałam, że w tym wieku nie mam już co marzyć o karierze baletnicy.

Mój zapal bawił Boya, który w 1913 roku kupił nam bilety na premierę nowego spektaklu Ballets Russes: *Święto wiosny* rosyjskiego kompozytora Igora Strawińskiego.

IV

Nowo wybudowany Théâtre des Champs-Élysées pękał w szwach. Ballets Russes, zespół kierowany przez ekstrawaganckiego rosyjskiego impresaria Siergieja Diagilewa, był już w tamtym czasie sławny i miał za sobą głośne spektakle, takie jak *Popołudnie fauna*, w którym kochanek Diagilewa, Niżyński, gorszył publiczność, symulując orgazm i wykonując oszałamiające piruety. Cieszyłam się, że mogę tam być, bo nigdy nie widziałam ich występu. Siedzieliśmy w łoży, na najlepszych miejscach w całym teatrze. Kiedy spojrzałam w dół, skrzywiłam się, widząc całe moze diademów, egret i strusich piór. Wszystkie obecne na sali kobiety nosiły fioletowe tiule, pomarańczowe jedwabie oraz inne krzykliwe odcienie z tej gamy. Wyglądały jak obwieszane klejnotami ptaki, które drobiły kroczi, przemieszczając się na groteskowych obcasach między rzędami, a następnie zajmując miejsca tak, jakby ich bielizna miała kolce.

- Chciałabym ubrać je w czarną serżę - wyszeptalam, a Boy posłał mi pełen sceptycyzmu uśmiech. Sama również włożyłam na tę okazję czarną suknię futerałową własnego projektu,

z kołnierzykiem z jedwabnych płatków kamelii. Pośród tych wszystkich rozkloszowanych sukni i pieniących się krynolin wyróżniałam się jak kruk siedzący na nagrobku. Ale kiedy już balet Diagilewa się rozpoczął, mój strój był ostatnią rzeczą, jaką interesowałyby się publiczność.

Spektakl rozpoczęło fałszywie brzmiące pulsowanie fagotu. Na scenie pojawili się pierwsi tancerze w zaplecionych perukach i tunikach ozdobionych rosyjskimi motywami ludowymi. Muzyka wypełniała całą salę, oni zaś wykrzywiali i zwiwali swoje ciała w zjawiskowych pozach. Siedzący obok mnie Boy pochylił się naprzód, wyraźnie podekscytowany, ale publiczność nie podzielała jego entuzjazmu: wykazując się zadziwiającym brakiem powściągliwości, widzowie zaczęli gwizdać tak głośno, że udało im się zagłuszyć muzykę. W ostatnim akcie, kiedy Niżyński pojawił się na scenie w prześwitującym czarno-białym kostiumie, by złożyć triumfalną ofiarę święta wiosny, na sali zapanował chaos. Skulony kompozytor, siedzący w rzędzie pod nami, musiał słuchać jakiejś eleganckiej damy, która prawila mu kazania i wytykała obrazę moralności.

Wszyscy rzucili się w popłochu do wyjścia, pociągając nas za sobą. Boy posłał gniewne spojrzenie mężczyźnie z monoklem, który odepchnął nas łokciem, torując sobie drogę do powozu. Towarzyszyła mu niepocieszona żona, wołająca z przejęciem:

- Co za obrzydlistwo!

Inna matrona w gorsecie pod szyję zaczęła zawodzić:

- Jeszcze nigdy w życiu nie zrobiono ze mnie takiego pośmiewiska!

Z trudem powstrzymałam się od komentarza, miałam bowiem ochotę zauważyć, że gdyby zadała sobie tyle trudu, by spojrzeć przed wyjściem w lustro, przekonałaby się, że jej krawcowa dokonała już tej sztuki.

- Nie ulega wątpliwości, że Diagilew umie zrobić wrażenie - zauważył Boy.

- Tak, chciałabym go kiedyś poznać - odparłam. - To było ciekawe doświadczenie. Boy spojrzał na mnie z zaciekawieniem.

- Podobało ci się? Wzruszyłam ramionami.

- Nieszczerze, ale nie rozumiem, skąd to zamieszanie. Powinniśmy przynajmniej doceniać jego innowacyjność.

Boy zachichotał.

- Spodziewałem się, że to powiesz.

Kiedy wróciliśmy do naszego mieszkania, pogрузyłam się w myślach. Poruszenie, jakie wywołał balet, stanowiło dla mnie kolejny znak, że dawny porządek chwieje się w posadach i że jedna osoba może sprawić, by ostatecznie runął.

Miałam nadzieję, że tą osobą okaże się właśnie ja.

Przedstawiłam Boyowi swój pomysł, on zaś zamyślił się i zaczął bawić się wąsem. Wreszcie zapytał:

- Przypuszczam, że będziesz potrzebowała kapitału na rozpoczęcie działalności? Właśnie to pragnęłam usłyszeć. Żadnych protestów związanych z tym, że dopiero

niedawno zdołałam wyjść z długów związanych z moim sklepem przy *rue Cambon*, żadnych ostrzeżeń, że to skok na głęboką wodę. Rzuciłam mu się w ramiona i obsypałam go pocałunkami, a Boy zaczął się ze mną droczyć i po chwili zaniósł mnie do sypialni.

- Jesteś jak dziecko - powiedział nieco później, kiedy pławiałam się we wspomnieniu jego dzięki namiętności. Nie mogłam się doczekać, aż otworzę swój drugi sklep. - Nigdy nie myślisz o tym, co mogłoby się nie udać.

Wtuliłam się w niego.

- Dlatego, że nic nie może się nie udać. Nie wtedy, gdy mam cię przy sobie.

Latem 1913 roku otworzyłam butik w Deauville - w tym samym kurorcie, który przyniósł pierwszy przełom w mojej karierze - i zaprezentowałam w nim swoją kolekcję letnich ubrań. Wynajęłam lokal przy *rue Gontaut-Biron*, w samym centrum dzielnicy handlowej. Trafiali tam wszyscy, którzy spędzali akurat urlop w Deauville, i nie sposób było nie zauważyć białej markizy z moim zapisanym czarnymi literami nazwiskiem: GABRIELLE CHANEL.

Zatrudniłam pięć miejscowych dziewcząt, które terminowały u krawcowych i umiały doskonale szyć. Zostawiłam sklep przy *rue Cambon* pod opieką Antoinette i Angele, a następnie napisałam do Moulins, prosząc Adrienne, żeby mnie odwiedziła. Przyjechała w towarzystwie swojego ukochanego Nexona. Była równie piękna jak zawsze, ale miała na sobie koszmarny strój: staroświecki czarny żakiet oraz *capote* z woalką. Mimo nieznośnego upału zdecydowała się też na kreację z kołnierzem z obszytym futrem. To lato okazało się jednym z najcieplejszych w historii. Paradowałam po mieście w białej plisowanej spódnicy i bluzce rozpiętej pod szyją, a w kieszeniach luźnego beżowego żakieta z dzianiny nosiłam swoje wizytówki. Widząc mnie w takim stroju, szukające ulgi kobiety przybywały tłumnie do mojego sklepu. Oferowałam modele prostych pulowerów wzorowanych na tych, które Boy nosił podczas gry w polo, przewiązywane paskiem żakiety, sięgające do kostek spódnicy, które nie wymagały gorsetu, a także proste sukienki uszyte z dżerseju, który tak pokochałam.

Musiałam wielokrotnie odpowiadać na pełne wątpliwości pytania o używane przeze mnie materiały. W tamtym okresie dżersej był jeszcze we Francji właściwie nieznaną, a dzianinę wykorzystywano jedynie do szycia męskiej bielizny. Nie czerpałam szczególnej przyjemności z prowadzenia zdeorientowanych klientek do przymierzalni, gdzie prezentowałam im swoje stroje, a następnie pstrykałam palcami na asystentki, które przynosiły kanotery i kapelusze o miękkich rondach, stanowiące dopełnienie proponowanych przeze mnie kompletów. Kiedy jednak klientki wyzwały się wreszcie ze starego, ograniczającego ruchy i oddech ubrania, przeglądają się w wielkim lustrze i widziały, jak radykalnie zmieniał się ich wygląd - wtedy na ich twarzach można było obserwować nie mniejszą metamorfozę.

- Czy jesteś pewna, *mademoiselle*, że ten strój nie jest zbyt prosty? - zapytała baronowa Kitty de Rothschild, patrząc na swoje odbicie w lustrze. Mierzyła właśnie jeden z moich żaketów i dżersejową spódnice. Pojawiła się w sklepie zupełnie niespodziewanie, zachęcona przez przyjaciółkę. Jej wizyta sprawiła, że serce zaczęło walić mi jak młotem. Była jedną

z najbardziej wpływowych kobiet we Francji, żoną bogatego finansisty Rothschilda. Miała

niezliczone kontakty, które mogły się dla mnie okazać bardzo pomocne. - To wspaniale, że jest taki przewiewny i wygodny, ale wydaje się naprawdę... ascetyczny. Uśmiechnęłam się.

- Elegancja polega na odmowie, *madame*. To my powinnyśmy nosić nasze ubrania, a nie odwrotnie. Pociągnęła za materiał.

- Poza tym jest źle dopasowany.

Stanełam za nią i lekko ściągnęłam żakiet - dosłownie o dwa centymetry, nie więcej. Baronowa była wysoka i pełna gracji, miała pociągłą, szlachetną twarz, ale uważałam, że żakiet powinien leżeć dość luźno, żeby ukryć mankamenty jej urody: małe piersi i szerokie biodra.

- Wprowadzimy wszystkie poprawki, jakich sobie pani zażyczy, baronowo. Na wystawie wiszą tylko prototypy. Właściwy strój zostanie uszyty na miarę.

- A zatem nie będzie niepowtarzalny? - nalegała.

Na tym polegało największe wyzwanie, przed którym stałam. Podobnie jak inne zamożne damy, Kitty de Rothschild uważała, że musi nosić strój jedyny w swoim rodzaju, uszyty przez krawca, którego odwiedzała w jego prywatnym *atelier*, nie zaś takiego, który prowadził sklep przy najbardziej ruchliwej ulicy w Deauville.

Wzięłam głęboki oddech, po czym powiedziałam:

- Każda kobieta jest wyjątkowa. Dlaczego jej ubranie nie miałyby takie być, skoro czyni je takim sam akt przywdziania go? Projektuję swoje ubrania w taki sposób, żeby to przede wszystkim pani była na pierwszym planie, baronowo.

Milczała przez chwilę, która zdawała się ciągnąć w nieskończoność, ja zaś czekałam, wiedząc, że jeżeli teraz wyjdzie i niczego nie kupi, stracę klientki, o które tak rozpaczliwie walczyłam.

Nagle jednak pokiwała głową, a ja odetchnęłam z ulgą.

- Zobaczmy zatem, jak twoja teoria sprawdza się w praktyce. Wezmę ten komplet i dwie sukienki z jak nazywa się ten materiał?

- Dżersej - odparłam. Nagle zakręciło mi się w głowie.

- Właśnie, z dżerseju. Dwie. Rozumiem, że będziesz przechowywała moje wymiary, na wypadek gdybym chciała jeszcze kiedyś coś kupić? Przymiarki bywają naprawdę wyczerpujące. - Westchnęła. - Nie znoszę ich.

- Oczywiście. Zaraz przyślę Adrienne.

Po chwili z radością oznajmiłam baronowej, że jej ubrania będą gotowe w ciągu tygodnia, a następnie ruszyłam zwawym krokiem na zaplecze, gdzie moje pracownice siedziały przy długich stołach, na których stały maszyny do szycia.

- Żadnych zbędnych przymiarek - oznajmiłam, grożąc im palcem. - Mamy już wymiary baronowej. Liczę na to, że za trzy dni wyjdzie stąd w swoim nowym stroju. Czy wyraziłam się jasno?

Po godzinach zadreślałam swoje nieszczęsne, zmęczone krawcowe i prawilałam im kazania, wytykając niechlujne obrębienia i nierówne rękawy. Nie zdawałam sobie sprawy z wpływu, jaki wywierałam na swoje klientki - dopóki Adrienne nie zaciągnęła mnie przed sklep i nie zaczęła mi pokazywać mijających nas osób.

- Widzisz, Gabrielle? To baronowa Rothschild w twojej spódnicy i żakiecie. Towarzyszy jej przyjaciółka, diwa Cécile Sorel, która odwiedziła sklep w zeszłym tygodniu. Pamiętasz? Ma na sobie twoją bluzkę w paski i niebieski pulower. I tam, i tam: Gabrielle, wszystkie te kobiety noszą twoje ubrania!

Zamrugałam i przetarłam oczy ze zdziwienia. Baronowa i jej towarzyszka zauważyły

mnie w drzwiach sklepu, przystanąły, po czym skinęły głowami na powitanie. Po chwili ruszyły dalej, ciągnąc za sobą swoje spocone, obciążone pudłami służące.

- One... one mnie pozdrowiły - wyjąkałam, kompletnie oszołomiona. Kobiety nigdy nie witały się publicznie z tymi, którzy je ubierali. Nawet despotyczny Poiret nie zdołał nawiązać kontaktu ze swoimi klientkami. - Otwarcie się ze mną przywitały.

Adrienne ścisnęła moją dłoń.

- Oczywiście, że tak. Och, Gabrielle, twoje marzenia wreszcie się spełniają. Odniosłaś sukces! Opowiedzą o tobie wszystkim swoim przyjaciółkom. Twój sklep zaczną odwiedzać tłumy kobiet i zanim się obejrzyysz, wkroczysz na salony. Czy mogłoby stać się inaczej? Nie jesteś przecież mężczyzną, który ubiera kobiety. Jesteś kobietą, która ubiera inne kobiety

i wygląda równie modnie jak one. A nawet modniej, bo to w końcu ty wskazujesz im drogę. - Mocno mnie przytuliła, choć nadal stałyśmy w drzwiach sklepu. - Jestem z ciebie taka dumna. Zawsze wiedziałam, że wreszcie nadejdzie ten dzień. I zamierzam ci pomóc - dodała, lekko się odsuwając. - Maurice mówi, że nadszedł już czas, żebyśmy przeprowadzili się do Paryża. Chce, żebym mogła robić cokolwiek poza czekaniem na dzień, w którym rodzina pozwoli nam wziąć ślub. Będę pracowała w twoim sklepie przy *rue Cambon*. Jeśli nadal tego chcesz.

Nie znosiłam łez. Nie znosiłam płaczu. Ale nie mogłam się powstrzymać. Wciągnęłam ją do sklepu i mocno przytuliłam. Wytarłam twarz dopiero po dłuższej chwili. Adrienne nadal pociągała nosem, ja jednak powiedziałam stanowczo:

- *Allez!* Od dziś koniec z tym gorsetem. Jeżeli chcesz dla mnie pracować, musisz nosić wyłącznie moje ubrania.

Niespodziewany wir zdarzeń, który rozpoczął się tamtego lata w Deauville, przeniósł się także do Paryża.

Pod koniec sezonu Adrienne zaczęła pomagać Antoinette w prowadzeniu sklepu przy *rue Cambon*. Te same kobiety, które paradowały po kurorcie w moich ubraniach, zjawiły się nagle w naszym paryskim butik. Z pewnym rozczarowaniem przyjęły co prawda fakt, że nie sprzedawałam tam ubrań, ale chętnie kupowały moje nowoczesne kapelusze. Po kilku miesiącach obgryzania paznokci do żywego mięsa postanowiłam wreszcie wykorzystać nową modę na stroje sportowe i wyeksponowałam dzianiny w witrynie swojego sklepu. W tamtym okresie kobiety zaczęły kupować proste spódnice z dżerseju i wygodne kurtki do jeżdżenia na rowerze, pulowery do gry w golfa i krykieta, a także flanelowe żakiety nadające się na samochodowe wycieczki. Żadnych sukienek - zapewniałam zrędliwą krawcową, która prowadziła warsztat w moim budynku. Oferowałam tylko sportowe ubrania i dbałam o to, żeby nie wkraczać na jej terytorium, choć zaczęłam powoli myśleć o stworzeniu kolekcji sukni, które wyswobodziłyby kobiety z duszących gorsetów i podkreśliłyby elegancję ich naturalnych kształtów.

Rosło również moje konto bankowe. Nieustannie zadreślałam Boya, bo coraz poważniej myślałam o wykupieniu dodatkowej przestrzeni handlowej. Miałam teraz na swojej liście klientek ponad dwieście dam z wyższych sfer, w tym także kobiety z tytułami szlacheckimi. Zawdzięczałam to Kitty Rothschild, która polecała mnie wszystkim swoim przyjaciółkom. Choć kobiety te nie zapraszały mnie jeszcze na swoje przyjęcia, stałam się na tyle znana, że w „Le Figaro” ukazała się moja karykatura. Boy został tam przedstawiony jako centaur trzymający w ręku kij do gry w polo z zatkniętym na jego czubku kapeluszem, ja zaś miałam w ręku pudełko sygnowane swoim nazwiskiem.

- Spójrz, jesteśmy sławni - powiedziałam, pokazując Boyowi rysunek. - A ja coraz lepiej zarabiam. Czas rozszerzyć działalność.

Zmarszczył brwi.

- Powinnaś się z tym wstrzymać. Wszystko może się zmienić szybciej niż przypuszczasz.

- Zmienić? W jaki sposób? Do tej pory jeszcze ani razu się nie pomyliłam - oznajmiłam stanowczym tonem. - Jeżeli nie chcesz mi pomóc, zrobię to sama.

- Coco, czy ty czytasz w gazetach coś poza rubrykami, w których piszą o tobie? Wojna może wybuchnąć jeszcze przed końcem roku. Znajomi politycy mówili mi, że...

- Kobiety nie zrezygnują nagle z ubrań. Nie mogą przecież być nagie, kiedy będą wysyłać swoich mężczyzn na front.

Przewrócił oczyma i wrócił do lektury gazety.

- Rób, jak uważasz. Zresztą i tak to zrobisz.

Boy niepokoił się do tego stopnia, że nie miał siły się kłócić. Powinna była to zauważyć, ale byłam zbyt zaferowana swoimi sprawami. Miał rację: rzadko czytałam gazety. Każdą wolną chwilę poświęcałam pracy, która miała zapewnić mi sukces. Zdobycie tego ostatniego bastionu - akceptacji społeczeństwa - stało się moją największą ambicją. Zamierzałam zostać pierwszą projektantką, która wkroczy na salony, przeniknie do tych zamkniętych kręgów, które będzie ubierać.

Był listopad 1913 roku. Latem 1914 roku Europa stanęła w płomieniach.

AKT TRZECI

PORZUCENIE OZDÓB
1914-1919

„JEŻELI URODZIŁAŚ SIĘ BEZ SKRZYDEŁ, POZWÓL IM SWOBODNIE ROSNAĆ”.

I

Byłam akurat w Deauville, kiedy przyszedł telegram - krótka wiadomość od Boya, który pisał, że został powołany do wojska. Przez całe lato docierały do nas przerażające nowiny. Najpierw dowiedzieliśmy się o wstrząsającym zabójstwie arcyksięcia Ferdynanda w Sarajewie. Później nadeszła wiadomość o tym, że Austria wypowiedziała wojnę Serbii. Następnie doszło do agresji ze strony Niemiec, które wypowiedziały wojnę Rosji i zażądały od Francji i Wielkiej Brytanii zachowania neutralności. Oba te kraje nie przystały jednak na takie rozwiązanie.

Ja tymczasem żyłam w błogiej nieświadomości. Nadchodzący sezon w Deauville zapowiadał się jeszcze lepiej niż poprzedni. Wiedziałam, że upały mi sprzyjają. Każdą wolną godzinę poświęcałam na to, by z pomocą Adrienne i moich pozostałych pracowników zapełniać puste półki i gabloty. Kitty Rothschild przyprowadzała kolejne przyjaciółki - księżne, hrabiny i żony sławnych malarzy, w tym madame Degas - które regularnie płądrowały mój sklep.

Kiedy otworzyłam telegram, zamarłam. Sądziłam, że Boy niedługo do mnie przyjedzie i zastanawiałam się, co go zatrzymuje. Wyjechałam z Paryża z pewnym wyprzedzeniem, żeby przygotować butik na nadejście sezonu. Boy miał dopilnować ostatnich spraw i zjawić się w Deauville nieco później. Teraz jednak miałam przed sobą trzy krótkie zdania:

ZOSTAŁEM POWOŁANY. NIE ZAMYKAJ SKLEPU.

KOCHAM, BOY.

Trzy zdania. Siedem słów. Stop.

Adrienne nachyliła się nade mną i przeczytała telegram. Zanim zdążyła wydać okrzyk przerażenia, chwyciłam ją za nadgarstek i zaciągnęłam na zaplecze. Była biała jak papier i drżała na całym ciele.

- Nikomu ani słowa. Mamy w sklepie klientki. To nie może być nic poważnego.

W przeciwnym razie Boy nie pisałby, żebyśmy nie zamykały sklepu, a wszyscy w Deauville już by o tym mówili. Musimy pracować dalej i czekać na kolejne wieści.

- Ale Maurice... jest teraz w Paryżu. On też zostanie powołany!

- Uprzedzi cię, kiedy nadejdzie czas, prawda? A teraz bierzmy się do pracy. Musimy zająć się spódnicą księżej de Saint-Sauver. Wiesz, jak drażnią ją zwisające nitki.

Adrienne wróciła do pracy, choć poruszała się jak lunaticzka. Schowałam telegram do kieszeni swetra i ruszyłam za nią, uważnie się jej przyglądając. Odpowiadała na pytania księżnej monotonnym głosem, a pozostałe klientki rzucały jej zaintrygowane spojrzenia.

- Czy coś się stało? - zapytała Kitty Rothschild, kiedy podliczałam jej zamówienie, a Adrienne ruszyła wolno na zaplecze, żeby uzupełnić księgi rachunkowe.

- Właśnie dowiedziała się o tym, że Francja przystąpiła do wojny - odparłam. Byłam zbyt poruszona telegramem, żeby wymyślić na poczekaniu jakieś wygodne kłamstwo. - Martwi się o barona Nexona.

- Och, to wszystko? - Kitty wzruszyła ramionami. - Wiele hałasu o nic. Wojna skończy się, zanim wrócimy do Paryża. Ci Niemcy lubią wszystkich terroryzować, czyż nie? Są jak chłopcy bawiący się w piaskownicy.

Roześmiałam się i ucałowałam ją w oba policzki.

- *Demain* - powiedziała, a służąca ruszyła za nią, uginając się pod ciężarem czarno-białych pudeł z zakupami. - Cécile Sorel zamierza zjawić się jutro z kolejną wizytą, podobnie jak madame Santos-Dumont, która marzy o tym, żeby móc zobaczyć twoje ubrania. *Plus tard!* - Ucałowała mnie, po czym skierowała się do drzwi w towarzystwie księżnej. Wspólnymi siłami wykupiły połowę mojego asortymentu.

Adrienne znowu się rozpląkała, więc poprosiłam, żeby wróciła do naszego apartamentu w hotelu. Wiedziałam, że w takim stanie i tak do niczego mi się nie przyda, a poza tym wolałam podliczyć zyski z tego dnia, nie słuchając przy tym jej lamentów.

Postanowiłam, że spełnię prośbę Boya i nie zamknę sklepu. Ale kiedy sięgałam po księgi rachunkowe, drżały mi ręce.

„Wiele hałasu o nic...”

Wspominałam beztrioskie słowa Kitty Rothschild, gdy lato zmierzało ku końcowi, a z Deauville wyjeżdżali ostatni wczasowicze. Wojna chłopców z piaskownicy przeobraziła się w potwora, który mógł pochłonąć nas wszystkich.

Nie wróciłam do Paryża. W obliczu nieobecności Boya nie widziałam powodu, żeby tam wracać. Adrienne pobiegła natomiast na pierwszy pociąg, który zmierzał do stolicy, zapewniając mnie, że napisze, gdy tylko się czegoś dowie.

- Lepiej zadzwoń - poradziłam. - Mamy w hotelu telefon, pamiętasz?

Wracając opustoszałymi ulicami do Hotel Normandy, zastanawiałam się, dlaczego nie ogarnął mnie strach i skąd brał się mój niewzruszony spokój. Dopiero kiedy zaczęłam sączyć koniak - nigdy zbyt wiele nie piłam - i zapaliłam papierosa na balkonie, patrząc w stronę kanału La Manche, zdałam sobie sprawę, że to wcale nie była obojętność.

Po prostu nie dopuszczałam do siebie myśli, że coś mogłoby mu się stać.

Mijały miesiące. Z następnego telegramu dowiedziałam się, że Boy w randze porucznika stacjonował nad Marną z brytyjską dywizją. W Deauville znowu zaroilo się od ludzi, którzy postanowili się tam schronić, podczas gdy Niemcy zaatakowali Belgię. Ryzyko, że zajmą Paryż, stawało się coraz bardziej realne. Nie wkroczyli co prawda do miasta, ale sama ta groźba sprawiła, że kobiety pomknęły czym prędzej do pociągów i wyruszyły do najbliższej miejscowości, z której można było przedostać się na drugą stronę kanału La Manche. Znowu oddałam się pracy i wysyłałam naglące telegramy do Adrienne - która nadal nie umiała posługiwać się telefonem - prosząc, by przyjechała mi pomóc i przestała zamartwiać się o Maurice'a. Baron postanowił zaciągnąć się do wojska i powstrzymać Niemców, zanim wszyscy zacniemy salutować kajzerowi. Adrienne kilkakrotnie odmawiała, wreszcie jednak zdecydowała się przyjechać. Sprzedawałam już wtedy więcej ubrań, niż byłam w stanie uszyć. Ponieważ przychodziły nowe komunikaty o ogromnych stratach na froncie, wiele kobiet postanowiło zaangażować się w pomoc jako pielęgniarki i tworzyć ochotnicze zespoły, które pracowały w miejscowym szpitalu.

Potrzebowały do tego wygodnych ubrań, w których mogłyby spędzać całe dni, ubrań trwałych i odpornych na zużycie. Moje stroje sportowe okazały się w tej sytuacji idealnym rozwiązaniem, a ja zamknęłam się w pracowni i projektowałam specjalne sukienki przypominające kitle. Bogate matrony, które dotąd nie wkładały same nawet rękawiczek, zakasały teraz rękawy moich bluzek z otwartym kołnierzykiem i zaczęły chować bandaże oraz fiołki z morfiną do kieszeni moich żakietów. I znowu wszystkie kobiety w Deauville nosiły moje ubrania, choć tym razem nie czerpałam z tego żadnej satysfakcji. Okoliczności mi sprzyjały, ale ceną okazał się tym razem rozpad świata, który dotąd znałam. Nie potrafiłam zachować zimnej krwi i patrzeć na to wszystko obojętnie.

To, czego do tej pory nie chciałam nawet brać pod uwagę, stawało się stopniowo coraz bardziej prawdopodobne. Kiedy dowiedziałam się, że Royallieu zostało zajęte, a cenne stajnie Balsana przekształcone w koszary, ukryłam się na zapleczu, złapałam się za brzuch i starałam się opanować narastające przerażenie.

Skoro nawet zamek Balsana nie był bezpieczny, to jaki los czekał Boya?

Wkrótce przyszła wiadomość od Maurice'a i Adrienne nieco się uspokoiła. Ze względu

na to, że mieszkaliśmy i pracowaliśmy razem, moja cierpliwość była wystawiona na ciężką próbę, a gdy tylko się dowiedziałyśmy, że możemy wreszcie wrócić do Paryża, zostawiłam butik w Deauville pod opieką swojej głównej szwaczki i wsiadłam z Adrienne do pociągu.

Paryż przypominał teraz ponure cmentarzysko, gdzie wszyscy łaknęli jakichkolwiek wiadomości z frontu. Z ulic zniknęli wszyscy mężczyźni w kwiecie wieku, a rozgorączkowane matki, córki i żony sprawdzały codziennie afisze, na których podawano nazwiska poległych. Sklep przy *rue Cambon* funkcjonował jednak prężniej niż przypuszczałam. Także w stolicy zaczęto doceniać proste ubrania, zaczęłam więc sprzedawać te same stroje co w Deauville -oczywiście z wyjątkiem sukienek. Spędzałam w butiku całe dnie, a po pracy chodziłam do Ritza, gdzie w hotelowym barze naprzeciwko mojego sklepu gromadzili się oficerowie alianckich wojsk, wymieniający się doniesieniami z frontu.

Potworności, o których opowiadali, wprawiały mnie w osłupienie. Straty w ludziach szły w dziesiątki tysięcy, a pod naporem Niemiec ginęły całe armie. Każdej nocy, kiedy wracałam do mieszkania przy *rue Gabriel*, mój umysł zalewały przerażające obrazy. Widziałam Boya -rozszarpanego na kawałki w okopach albo wiszącego na drucie kolczastym z wylewającymi się wnętrznościami. Przez głowę przepływały mi myśli, których nie potrafiłabym oblec w słowa. Ilekroć przychodził telegram, musiałam wręczać go Antoinette, bo sama bałam się go otworzyć. Kiedy dotarła do nas z Moulins wiadomość, że rodzice Adrienne, a moi dziadkowie ze strony ojca, zmarli ze starości, odmówiłam w myślach modlitwę dziękczynną i odprowadziłam ją na pociąg. Dałam jej pieniądze na kwiaty i przekaz bankowy dla mojego pięcioletniego siostrzeńca André, którego postanowiłam natychmiast wysłać do szkoły internatem w Anglii. Choć był jeszcze mały i nigdy się nie poznaliśmy, chciałam, żeby znalazł się jak najdalej od wszelkich zagrożeń.

Nie poświęcałam natomiast zbyt wiele czasu na zastanawianie się, co dzieje się z moimi dawnymi niewidzianymi braćmi i ojcem. Minęło zbyt wiele czasu, bym mogła udawać, że łączyło nas jeszcze cokolwiek, poza więzami krwi.

Liczyło się dla mnie tylko to, żeby przeżyli Boy oraz mój siostrzeniec. Nie obchodziło mnie, kto zginie zamiast nich.

Boy dostał przepustkę i wrócił do domu wiosną 1915 roku, po blisko rocznej nieobecności. Był wymizerowany i zmęczony - ale żył. Spał przez prawie dwa dni, po czym oznajmił, że zamierza po wojnie napisać książkę o swoich wojennych doświadczeniach. Chciał ją zatytułować: *Rozważania o zwycięstwie*. Wyjął ze swojej torby podróżnej zniszczone, pokryte błotem tomy Napoleona, Bismarcka i Sully'ego, po czym położył je na łóżku. Czytał je, gdy wokół niego wybuchały bomby, a do okopów dostawał się gaz łzawiący. Ukryłam twarz w dłoniach i zaczęłam płakać, dając wreszcie ujście napięciu tłumionemu przez tak długi czas.

- Och, nie, nie moja Coco - wyszeptał, biorąc mnie w ramiona. - Tylko nie moja dzielna lwica. Mogę patrzeć na łzy wszystkich, tylko nie twoje.

Dostał przepustkę tylko na kilka tygodni, zaproponował więc, żebyśmy pojechali do Biarritz, kurortu leżącego w pobliżu hiszpańskiej granicy - niedaleko Pau, gdzie narodziła się nasza miłość. Hiszpania nie przystąpiła do wojny, skutkiem tego w kurorcie panowała beztroska atmosfera. Arystokraci, spekulanci, znudzeni przedstawiciele wyższych sfer oraz inni bogacze szukali rozrywek z taką nonszalancją, jakby śmierć i cierpienia tysięcy ludzi stanowiły tylko niefortunny zbieg okoliczności.

Boy potrzebował odpoczynku, postanowiłam więc nie zważać na szaleńczą ekstrawagancję, tak żywo kontrastującą z rozpaczą, która nas wtedy otaczała. Tańczyliśmy w Miramarze i w Hôtel du Palais, i jeździliśmy lśniącymi samochodami nad klify Saint-Jean-de-Luz w towarzystwie naszych nowych znajomych: spadkobiercy rafinerii cukrowej

Constanta Saya oraz jego kochanki, cieszącej się ogromną popularnością diwy Marthe Daveiii, której łabędzia szyja, tajemnicze ciemne oczy i wydatne usta niepokojąco wręcz przypominały moje. Marthe zaczęła mnie namawiać, żebym ostrzygła się tak jak ona, bo chciała, żebyśmy podobnie się ubierały i wprawiały naszych kochanków w osłupienie. Pozwoliłam jej skrócić moje włosy, tak żeby sięgały mi do ramion. Kiedy wkroczyliśmy do kasyna w identycznych białych sukniach i sznurach pereł, Boy celowo pocałował ją najpierw w policzek i dopiero po chwili zwrócił się do mnie, uśmiechając się szelmowsko i pytając:

- Witam panią. Czy mieliśmy już okazję się poznać?

To miały być zwykłe wakacje, nic poza tym. Marthe została moją przyjaciółką i klientką, nie spodziewałam się jednak, że nasz wyjazd przerodzi się w coś więcej, dopóki pewnego wieczoru, na krótko przed powrotem do Paryża, Marthe nie zapytała:

- Coco, dlaczego nie miałabyś otworzyć sklepu w Biarritz? Kiedy już zakończy się ta uciążliwa wojna, to będzie najmodniejszy kurort w całej Francji. Już teraz ceny nieruchomości rosną tu szybciej niż ceny benzyny. Po sukcesie, jaki odniosłaś w Deauville, mogłabyś z pewnością podwoić albo nawet potroić liczbę swoich klientek.

Boy zerknął na mnie znad chmury dymu tytoniowego. Wypiliśmy zdecydowanie za dużo szampana, a ja miałam słabą głowę. Kiedy prowadził mnie do naszego apartamentu w Miramarze, czułam się tak, jakbym unosiła się w bańce mydlanej. Musiał pomóc mi się rozebrać.

Zanim zasnęłam, upojona alkoholem, usłyszałam jeszcze, jak Boy powiedział:

- Wiesz, to wcale nie jest zły pomysł.

II

Moja *maison de couture* w Biarritz miała stanowić ukoronowanie drogi, jaką dotychczas przebyłam. Był to pierwszy dom mody w centrum tego miasta - przy *rue Garderes*, w przypominającej zamek Villa Larralde. Znajdował się naprzeciwko kasyna i przy drodze prowadzącej na nadmorską promenadę. Wiedziałam, że ta idealna lokalizacja przyciągnie najbogatsze klientki. Ponieważ szukały przede wszystkim nowoczesnych, stylowych ubrań, musiałam wprowadzić bardziej eleganckie stroje, nie rezygnując jednocześnie z przyjętej przez siebie zasady użyteczności i prostoty. Wojna sprawiła jednak, że coraz trudniej było mi sprowadzać materiał niezbędny do szycia moich ubrań.

- Skontaktuję cię z dostawcami szkockiej wełny - obiecał Boy przed wyjazdem, wpłaciwszy na moje konto pokąsną sumę, która miała pokryć wszystkie wydatki związane

z nowym butikiem. - Powinnaś też zwrócić się do braci Balsana. Ich fabryki tekstylne w Lyonie produkują przemysłowe ilości sukna na wojskowe mundury. Balsan wielokrotnie oferował ci pomoc. Niech to będzie jego wkład w twój sklep.

To, że czerpaliśmy korzyści z chaosu, w którym pogrążyła się Europa, najwyraźniej mu nie przeszkadzało. Mnie natomiast dręczyły coraz większe wątpliwości związane z całym tym przedsięwzięciem. Zastanawiałam się też, w jaki sposób zdołam prowadzić jednocześnie trzy sklepy i realizować zamówienia na czas. Boy bagatelizował jednak moje obawy.

- To nie ty zaczęłaś wojnę. Każdy usiłuje na niej zarobić. Dlaczego mielibyśmy postępować inaczej? Nie wiem jak ty, ale ja zamierzam wyjść z tej katastrofy bogatszy niż dotychczas. Poza tym jeżeli my na tym nie skorzystamy, to z pewnością zrobią to inni.

A właściwie już to robią.

Za jego namową zwróciłam się do Balsana, który zapewnił, że będzie wysyłał mi wszystko, co okaże się potrzebne. Pozwolił mi też korzystać z zapasów jedwabiu należących do jego rodziny. Skontaktowałam się przez niego z producentem, niejakim Rodierem, który opracował nowy materiał - rodzaj dzianiny wykorzystywanej do szycia strojów sportowych. Tkanina ta okazała się jednak zbyt szorstka i Rodier został z ogromnym zapasem materiału, którego nie mógł sprzedać. Natychmiast kupiłam wszystko, co miał, i zamówiłam jeszcze więcej. Z próbek, które mi przesłał, uszyłam żakiety w naturalnych, kremowych i beżowych kolorach, z dyskretnymi haftami na rękawach i podszewką z jedwabiu, który przesłał mi Balsan. Sprzedałam je w ciągu kilku godzin. Wkrótce otrzymałam zamówiony materiał. Zgodnie z moją sugestią, Rodier zmodyfikował swój produkt i dodał do niego bawełny, dzięki czemu materiał stał się bardziej elastyczny. Dostarczył mi go we wszystkich kolorach, o które prosiłam: koralowym, błękitnym, kremowym oraz różnych odcieniach szarości. Stworzyłam nową kolekcję sukienek, kardiganów i żaketów. Niektóre uszyłam z wełny, którą sprowadził dla mnie Boy, a ich kołnierze i mankiety wykończyłam futrem z królików i wiewiórek (import futra z Rosji i Ameryki Południowej stał się niemożliwy). Do tych zestawów dobierałam nowe kapelusze z zamszu i filcu, przewiązywane aksamitem lub suknem oraz zdobione szpilkami ze sztuczną perłą.

Ledwo nadążałam z realizowaniem zamówień. Przychodziły one nawet z Madrytu, hiszpańskie arystokratki bowiem wracały z Biarritz z walizkami pełnymi moich strojów, a następnie nakłaniały przyjaciółki, by kupowały w moim sklepie. Dostałam nawet ogromne zamówienie od hiszpańskiej rodziny królewskiej, a spacerujące po El Prado infantki sfotografowano w moich sukienkach i płaszczkach.

Zatrudniłam sześćdziesiąt szwaczek i napisałam do Antoinette, prosząc, żeby znalazła

kogoś, kto zastąpi ją na *rue Cambon*, i jak najszybciej przyjechała do Biarritz. Poprosiłam też o pomoc Adrienne, ta jednak odmówiła, bo Maurice dostał wreszcie przepustkę. Zacisnęłam zęby, zirytowana tym niefortunnym zbiegiem okoliczności, i zaczęłam szukać kogoś, kto mógłby nadzorować pracownię w Biarritz.

I wtedy pojawiła się *madame Deray*. Była kolejną Lucienne, starą wygą - władczą, wymagającą i niezmordowaną. Klóciłyśmy się od chwili, w której się poznałyśmy. Postanowiła natychmiast skrytykować moje bezkształtne fasony. Z miejsca ją zatrudniłam. Ona z kolei sprowadziła dodatkową pomoc i zaczęła rządzić żelazną ręką. Miała dużą rodzinę na utrzymaniu, musiała wyżywić liczne kuzynki i ciotki, które straciły mężów na wojnie. Płaciłam jej uczciwie

I obiecałam podwyżkę, jeżeli zdoła zwiększyć produkcję. Tak też się stało. Pracowała ciężiej ode mnie, błyskawicznie uczyła się obsługi najnowszych maszyn do szycia, kierowała całym legionem szwaczek, które wytwarzały nasze ubrania, i osobiście nadzorowała przymiarki każdej klientki. Często jako pierwsza zjawiała się w pracy i jako ostatnia z niej wychodziła. Nigdy nie zostałyśmy przyjaciółkami, ale ufałam jej bezgranicznie, podobnie jak jednej z moich dawnych *premieres*. Wiedziałam, że ilekroć wyjeżdżam, by zająć się pozostałymi sklepami, zostawiam *maison* w dobrych rękach.

Wreszcie do Biarritz przyjechała Antoinette. Sprawiała wrażenie przygnębionej, a kiedy zapytałam, co ją trapi, wymamrotała:

- Mam dwadzieścia osiem lat, Gabrielle, a ty chcesz, żebym prowadziła butik w kurorcie, który zimą kompletnie pustoszeje. Jak mam tu znaleźć męża? Ty masz Boya. Ja nie mam nikogo.

- Nikogo? - zawołałam, zaskoczona jej słowami. - Masz mnie. Jesteś moją siostrą. Uważasz, że to, co tu budujemy, jest niczym?

Nadała się.

- To, co ty budujesz. Ja jestem tylko twoją pracownicą. Chciałabym kiedyś wyjść za mąż i założyć rodzinę. A ty nie? Tego się od nas oczekuje.

- Kto tego oczekuje? - wybuchnęłam. - Z pewnością nie ja. Skoro tak bardzo pragniesz znaleźć męża, Biarritz idealnie się do tego nadaje. Roi się tu od bogatych mężczyzn. Jeżeli

o mnie chodzi, dawno już wzięłam ślub: ze swoją pracą.

Obróciłam się na pięcie i wyszłam, zirytowana tym, że choć wypruwałam sobie żyły, żeby wyzwolić kobiety z okowów ubrań, nasze umysły nadal pozostawały zamknięte. Nie potrafiłyśmy zrozumieć, że zasługujemy na coś więcej niż tylko wyjście za mąż, urodzenie dzieci

I prowadzenie domu.

Wyjechałam z Biarritz pod koniec lata. Musiałam zająć się pozostałymi sklepami i zaprojektować wiosenną kolekcję. Antoinette była niezadowolona, że musi zostać na miejscu. Nie miała jednak wyboru. Potrzebowałyśmy kogoś, kto będzie zajmował się nowym sklepem również poza sezonem - tym bardziej że w tym właśnie okresie przyjeżdżali często goście z Hiszpanii.

Jadąc ekspresem do Paryża w przedziale pierwszej klasy, w którym mogłam wygodnie rozprostować nogi i przejrzeć swoje księgi rachunkowe (pierwszy sezon w Biarritz przyniósł niewiarygodne wręcz zyski, a to za sprawą *madame Deray*, która sprzedawała moje sukienki po 3 tysiące franków), zastanawiałam się, jak Antoinette mogła w ogóle przypuszczać, że brałam pod uwagę małżeństwo. Nigdy nie poruszałam tego tematu ani z nią, ani z kimkolwiek innym - nawet z Boyem.

Tego się od nas oczekuje.

Może i rzeczywiście tego od nas oczekiwano, mnie jednak bardziej niepokoiło coś innego. Podobnie jak w czasach Balsana, zastanawiałam się, czy coś jest ze mną nie tak, skoro nie marzyłam o tym, o czym marzyło tak wiele kobiet. Dlaczego nie pragnęłam poczucia

bezpieczeństwa, jakie zapewniał dom, mąż i dzieci płaczące się pod nogami? Czy odrzucałam rzeczy, które uszczęśliwiały tyle kobiet, dlatego że doświadczenia z okresu mojego dzieciństwa w jakiś sposób mnie okaleczyły?

Miałam trzydzieści dwa lata. W 1916 roku zatrudniałam już trzystu pracowników i uchodziłam za wschodzącą gwiazdę świata mody. Najważniejsze amerykańskie czasopisma, takie jak „Women's Wear Daily” i „Harper's Bazaar”, publikowały artykuły opisujące odważne, odsłaniające kostkę i górną część łydki spódnice z mojej najnowszej kolekcji. Nawet „Vogue” -ta ostoja wiarygodności - zdecydował się zaprezentować moje stroje i nazwał mnie „projektantką, którą warto obserwować”.

Robienie tego, czego się ode mnie oczekuje, było ostatnią rzeczą, jakiej pragnęłam.

Wojna nadal zbierała krwawe żniwo. Boy znowu dostał przepustkę i przyjechał do Paryża. Wyglądał lepiej niż poprzednio, ale ponieważ mówił o swoich obowiązkach bardzo enigmatycznie, zaczęłam podejrzewać, że służył w angielskim wywiadzie. Zgodnie z zasadami, które od początku obowiązywały w naszej relacji - o nic nie pytałam.

Z zachwytem przyjął informacje o moim świetnie prosperującym interesie i z nie mniejszym zainteresowaniem przejrzał wycinki z gazet, które mu pokazałam - choć nadal nie doczekałam się oficjalnych wyrazów uznania w którymkolwiek z najważniejszych francuskich czasopism poświęconych modzie. Boy skończył pisać swoją książkę, która miała zostać wydana w Anglii. Także w tym przypadku nie pytałam, gdzie i w jaki sposób znalazł na to czas. Chcieliśmy to uczcić, postanowiliśmy więc wyjść na miasto.

Paryż powoli odzyskiwał swój dawny blask. Zdążyliśmy się już przyzwyczaić do wojny i choć wszyscy narzekali na ciągłe niedobory - mnie najbardziej doskwierał brak ciepłej wody -bistra i kabarety, pełne oficerów wszystkich nacji na przepustkach, pijących i flirtujących z naiwnymi dziewczętami, osładzały nam nieco gorzyc niedostatku. Poszliśmy z Boyem do Maxima, a później przenieśliśmy się do Café de Paris. Byliśmy w teatrze, a potem Cécile Sorel -aktorka, która często odwiedzała moje sklepy i którą poznałam dzięki mojej nieocenionej orędowniczce, baronowej Rothschild - zaprosiła nas na kolację.

Właśnie podczas tej kolacji poznałam Misię.

Jej dom przy *rue de Rivoli*, z którego rozciągał się widok na ogrody Tuileries, przypominał galerię wypełnioną po sufit afrykańskimi maskami, prymitywnymi statuetkami, porcelanowymi bibelotami z Rosji, połączanymi angielskimi stolikami, antycznymi popiersiami z Włoch oraz dziesiątkami obrazów i szkiców każdego paryskiego artysty.

- Czy to wszystko jest na sprzedaż? - szepnął do mnie Boy, kiedy krążyliśmy pomiędzy tymi przedmiotami.

Rozglądał się z przerażeniem, bo zdecydowanie wolał oszczędny, tradycyjny styl. Nie mógł oderwać wzroku od wykonanej z czarnego marmuru reprodukcji *Dawida* Michała Anioła, wtlóczonej w jakiś kąt i przystrojonej beładnie rozrzuconymi kapeluszami, szalami i żakietami.

- To mój portret przy fortepianie. Namalował go Toulouse-Lautrec - wyjaśniła Misia, wskazując obraz wciśnięty niedbale między kilkanaście innych dzieł. - Jestem pianistką, pobierałam nauki u samego Ferenca Liszta. Ja też dawałam zresztą lekcje, najpierw w moim rodzinnym Petersburgu. Och, Lautrec był takim uroczym małym człowieczkiem - mówiła dalej.

- Ależ oni się z niego naśmiewali! A przecież nie mogli marzyć nawet o połowie wrażliwości, którą ten nieszczęśnik został obdarzony. Jego śmierć bardzo mnie zasmuciła. - Po chwili dodała:

- To z kolei Renoir. Jemu też pozowałam. Chciał, żebym odsłoniła piersi i do dziś żałuję, że odmówiłam. Jak żaden inny mężczyzna potrafił uchwycić połysk kobiecej skóry. Och, a to mój najnowszy nabytek: van Gogh. Znacie go? Nie? Był prawdziwym geniuszem. Spójrzcie tylko na tę paletę. Pławił się w barwach. Botticelli i da Vinci to straszne starocie, za to van Gogh miał

w sobie iskrę Bożą! To straszne, że talentowi tak często towarzyszy szaleństwo. - Westchnęła. - Popęłił samobójstwo. Nie dość, że był kompletnie obłąkany, to jeszcze nie miał pojęcia, jak sprzedawać swoje obrazy. Zresztą nawet gdyby to robił, nikt nie wiedziałby, co z nimi począć. Ludzie nie mieliby pojęcia, czy wieszać je normalnie, czy do góry nogami.

Na jej fortepianie leżały stopy nut opatrzonych od ręcznym dopiskami Strawińskiego, Ravela i Debussy'ego - których, jak sama beztrudno nas poinformowała, znała osobiście.

Była pulchną, tętniącą życiem kobietą, z jej fryzury w stylu Pompadour uwalniały się naturalne loki, a okrągłe, błyszczące oczy zdawały się śledzić i oceniać wszystko, co je otaczało. Dusiałam się tu. W całym domu unosił się zapach starych perfum i kurzu, niezliczonych książek oraz wilgotnej ziemi, w której rosła cała dżungla roślin. Choć Misia wydawała się z początku odpychająca, budziła jednocześnie moją fascynację. Przemawiała władcym staccato, sadzając gości przy zatłoczonym stole. Nad drobiem i warzywami poruszała cały szereg tematów. Mówiła

o muzyce, by po chwili płynnie przejść do rozważań nad tym, z jakimi to skandalicznymi

i pełnymi niechęci reakcjami spotykali się w Paryżu kubiści.

- Nawet Pablo mówił mi, że rozważał myśl o powrocie do Katalonii, której przecież nie znosi - oznajmiła, wymachując w powietrzu widelcem. - Nalegałam, żeby nie pozwolił, by sprzeczka z Brakiem stanęła na drodze jemu i jego wspaniałemu talentowi. W końcu dlaczego miałby się zaciągać, skoro Hiszpania nie uczestniczy w wojnie? Powinien zostać tutaj i malować dalej. To właśnie robi najlepiej i właśnie za to świat go kiedyś doceni.

Zanim ktokolwiek ze zgromadzonych przy stole gości zdążył odpowiedzieć - było nas dziewięcioro, w tym Cécile, ja i Boy oraz krępy kataloński kochanek Misi, rzeźbiarz i malarz Jose Maria Sert, który postękiwał i pochłaniał kolejne dania, tak jakby stało przed nim koryto - Misia zaczęła mówić dalej:

- Właśnie dlatego nalegałam, żeby Pablo malował dekoracje na otwarcie nowego sezonu trupy Diagilewa. Biedny Diag wychodzi z siebie, bo od czasu tej apokalipsy, do jakiej doszło na premierze *Święta wiosny*, zespół Ballets Russes w ogóle nie występował. Tancerze mieli niezwykle udane tournée po Ameryce i Hiszpanii, ale teraz pora wrócić do korzeni. Oczywiście - dodała, przyciskając ręce do tych samych piersi, których nie chciała pokazać Renoirovi - zdrada Nizyńskiego była dla niego straszliwym ciosem. Po wszystkich latach, kiedy radził sobie

z temperamentem tego niewdzięcznika i pielęgnował jego talent, na chwilę się odwrócił, a ten drań uciekł i ożenił się z pierwszą kobietą gotową przymknąć oko na jego zamiłowanie do kutasów.

Siedzący przy mnie młodzieniec o bujnych włosach i świdrującym spojrzeniu zaczął chichotać.

- Ciekawe, jak przebiegła noc poślubna!

Misia wydała udawany okrzyk oburzenia i odparła:

- Jeanie Cocteau, wstydziliście się! Sert burknął:

- A jak miała przebiec? „Kochanie, wydaje mi się, że masz pewne trudności. Czy chciałbyś, żebym wetknęła ci pięść w odbył, tak jak robił to Diag?”.

Misia zarechotała, rozbawiona tym żartem, ale siedzący obok mnie Boy zeszywniał. Cécile uniosła brew i spojrzała na mnie, tak jakby chciała mi zakomunikować, że nie spodziewała się tego wieczoru tak rubasznych żartów. Ja jednak nie czułam się dotknięta. W okresie, w którym spędzałam dużo czasu w towarzystwie Emilienne i jej przyjaciółek, słyszałam nie mniej ordynarne dowcipy. Boy znosił to gorzej ode mnie, bo mocno zacisnął zęby, kiedy Cocteau zaczął poruszać wspomnianą wcześniej pięścią i oznajmił:

- Nizyński jeszcze będzie żałował. *Parade*, nowy balet, nad którym pracujemy

z Diagem, rzuci Paryż na kolana. To karnawałowy numer, każdy znajdzie w nim coś dla siebie. A Diag ma teraz nowego, cudownego tancerza... jak on się nazywa? - Zwrócił się do Misiu lubieżnym tonem, a Boy posłał mu pełne niechęci spojrzenie. Homoseksualista, który nie krył się ze swoimi upodobaniami. Boy ich nie znosił.

- Kto to wie? - Misia wzruszyła ramionami. - Tak wielu mężczyzn kochało i będzie nadal kochać Diaga... Ważne jest to, że się nie poddaje. A jeżeli Pablo ma malować dekoracje, ty, mój drogi Jeanie, napiszesz scenariusz, a Satie skomponuje muzykę. no cóż, moi drodzy, to po prostu musi być coś niebywałego.

Nie wspomniałam, że na własne oczy widziałam, jaką katastrofą zakończyło się *Święto wiosny*. Rozmowa, zdominowana przez Misię, zeszła na inne tory: zaczęliśmy mówić o polityce i o tym, czy Amerykanie postanowią przyjść nam z pomocą, zanim cały kontynent zostanie skazany na jedzenie kapusty. Boy oznajmił, że prezydent Wilson nie ma wyjścia i musi zaangażować się w konflikt, bo Niemcy zaczęli wykorzystywać do ataków okręty podwodne i gazy trujące. Zapewnił nas też z niezbitą pewnością siebie, że ma informacje ze sprawdzonego źródła i wie, iż Wilson przygotowuje się do wprowadzenia poboru, a do wojny przystąpi milion amerykańskich żołnierzy.

- Pozostaje nam zatem mieć nadzieję, że tak się stanie - zawołała Misia. - Niemcy to prawdziwe potwory. Powinniśmy otoczyć ich kraj wysokim murem i zgromadzić ich za nim jak wieprze.

Jak na zawołanie jej kochanek Sert odepchnął bezceremonialnie talerz, beknął, po czym, nawet nie przeprosiwszy, zapalił ohydne cygaro, które sprawiło, że zaczęły mi łzawić oczy. Lypnął i lubieżnie do mnie mrugnął.

Reszta wieczoru okazała się prawdziwą katastrofą - przynajmniej z perspektywy Boya, który uważał to towarzystwo za prostackie i prymitywne. Nie potrafił zrozumieć, jak można zajmować się tak frywolnymi tematami, kiedy Europa walczy o przetrwanie. Ja jednak byłam coraz bardziej zaintrygowana. Nigdy dotąd nie poznałam ludzi tak przekornych i niefrasobliwych. Interesowali mnie, a ja najwyraźniej interesowałam ich - a przynajmniej gospodynię tego wieczoru. Kiedy się żegnaliśmy, a ja włożyłam swój płaszcz z czerwonego aksamitu, Misia zmierzyła mnie wzrokiem i powiedziała:

- Ach, wyglądasz urzekająco, moja droga. Masz doskonały styl. Przypomnij mi, jak się nazywasz?

Uśmiechnęłam się. Najprawdopodobniej nie usłyszała mojego imienia, kiedy nas przedstawiano, a nawet jeśli usłyszała, to zapomniała je podczas swoich niezliczonych opowieści.

- Coco - powiedziałam. Boy stał obok mnie, ściskając w dłoni kapelusz.

- Coco? - Zmarszczyła brwi. - Cóż za głupie imię dla tak wyjątkowej osoby. Brzmi tak, jakbyś była czymś zwierzętkiem. Jesteś czymś zwierzętkiem, moja droga? Nie widzę nigdzie obroży ani smyczy.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć, ale Boy rzucił oschłym tonem:

- Jeżeli nie podoba ci się Coco, madame, możesz mówić do niej Gabrielle. Gabrielle Chanel. Ma sklep z kapeluszami przy *rue Cambon*.

- Sklep! - zawołała Misia. - Wspaniale! Kocham kapelusze. Jutro cię odwiedzę, moja droga. Możemy zjeść razem obiad. Chciałabym się o tobie wszystkiego dowiedzieć.

Złożyła na moich policzkach dwa wilgotne pocałunki, roztaczając wokół mnie zapach drewna sandałowego. Kiedy mój wzrok powędrował w kierunku wysokiego stosu książek w kącie pomieszczenia, Misia posłała Boyowi złośliwy uśmiech.

- Daj nam znać, kiedy już twoja książka o polityce zostanie opublikowana, *monsieur*

Capel. W tym domu kochamy lektury.

Ruszyliśmy w dół po schodach prowadzących w kierunku ogrodu Tuileries, nagle jednak podbiegł do nas mały Jean Cocteau. Przyciskając beret do strzechy niesfornych włosów, uśmiechnął się porozumiewawczo, po czym powiedział:

- Prześlę ci bilety na balet, który wystawiamy w przyszłym miesiącu, *mademoiselle*. Musisz przyjść. Diagilew na pewno będzie chciał cię poznać. - Po chwili zmrużył oczy i dodał: -Uważaj na Misię. Traktuje swoich przyjaciół jak kobieta pokątnie usuwająca ciężę. - Skinął głową w kierunku Boya, który go zignorował. - A ty nie dawaj wiary temu, co mówiła. W swoim życiu nie przeczytała ani jednej książki.

- No cóż, w to akurat jestem w stanie uwierzyć - wycedził Boy, kiedy Cocteau oddalał się od nas truchtem.

Mocno ścisnęłam jego dłoń. Po raz pierwszy od ośmiu lat, które razem spędziliśmy, współczułam mu, bo nie potrafił zrozumieć, że właśnie spędziliśmy wieczór z przyszłością.

III

Zgodnie z obietnicą Misia pojawiła się następnego ranka w moim sklepie, ubrana w dziwaczny komplet, który wyglądałby groteskowo na każdej innej kobiecie. Sprzedałam jej trzy kapelusze, cztery swetry i pięć spódnic. Nieustannie protestowała, powtarzając, że jest za stara na „dziwactwa”. Miała czterdzieści dwa lata, była więc ode mnie o jedenaście lat starsza. Nigdy wcześniej nie spotkałam tak gadatliwej osoby. Po prostu nie przestawała mówić. Podczas lunchu w Ritzu podzieliła się ze mną opowieścią o swoim obfitującym w przywileje, choć samotnym dzieciństwie. Jej matka zmarła podczas porodu w Petersburgu. - „Pojechała tam, uganiając się za moim ojcem, rzeźbiarzem, który nie chciał mieć z nią nic wspólnego” - później zaś Misią opiekowali się mieszkający w Brukseli dziadkowie; w ich domu dawał koncerty Liszt. Wtedy jednak ojciec kobieciarz znowu pojawił się w jej życiu i zapisał ją do Sacré-Coeur, szkoły z internatem w Paryżu - „Och, jak ja jej nienawidziłam! Wszystkie te zakonnice były lesbijkami i obserwowały nas, kiedy się kąpałyśmy” - aż wreszcie uciekła i zaczęła uczyć gry na fortepianie i pozować artystom. Później zaś wyszła za męża.

- Mój pierwszy mąż, Tadeusz Natanson, był moim kuzynem, Polakiem. Założył „La Revue blanche”, pismo, które miało promować nowych artystów. Poznałam go, kiedy Lautrec, ten cudowny gnom, malował mój portret. Och, to małżeństwo okazało się prawdziwą katastrofą! Tadeusz był beznadziejny w łóżku. Po prostu straszny. Więc wdałam się w romans z Alfredem Edwardsem, właścicielem „Le Figaro”. Tadeusz potrzebował darczyńcy, który pozwoliłby mu utrzymać pismo, a Alfred zgodził się, pod warunkiem że się ze mną rozwiedzie, żebyśmy mogli wziąć ślub. W ten oto sposób przeprowadziłam się do swojego domu przy *rue de Rivoli*, gdzie poznałam Ravela i Enrica Carusa. Śpiewałam z Carusem neapolitańskie duety, a Ravel przygrywał nam na pianinie. To było wspaniałe! - Mówiła bez chwili przerwy, nawet nie próbując złapać oddechu, a mimo to zdołała w jakiś sposób pochłonąć w tym czasie *croque monsieur* i opróżnić niezliczone filiżanki herbaty, co tłumaczyło istnienie plam na jej zębach. - Alfred okazał się prostakiem... tygrysem w łóżku, ale oprócz tego prostakiem. Sypiał

z wszystkimi: z mężczyznami i kobietami, nie miało to dla niego znaczenia. Rozwiodłam się z nim w 1909 roku. Zrobiłam z tego aferę, bo chciałam, żeby zostawił mi dom. Przynajmniej tyle mógł dla mnie zrobić, tym bardziej że przeprowadziłam w nim remont i pielęgnowałam wszystkie talenty, które przekraczały jego próg. Poznałam Sertę pięć lat później. Uwielbiam jego prace. Zobaczysz, on stanie się naprawdę sławny. Wykonał malowidło ścienne w Hôtel de Ville i kilku amerykańskich milionerów walczy teraz o to, żeby ozdobił należące do nich budynki w Nowym Jorku. Bardzo bym chciała zobaczyć Nowy Jork, a ty, kochanie? Amerykanie bywają nieznośnie konwencjonalni, ale uwielbiają sztukę nowoczesną i w przeciwieństwie do Francuzów rzeczywiście ich na nią stać. Nieustannie powtarzam Sertowi, żeby przyjął któreś z tych zamówień, ale to Katalończyk, sama rozumiesz. Jest zbyt leniwy i zbyt przywiązany do dobrego jedzenia. Mówi, że ludzie w Ameryce jedzą wyłącznie jasny chleb, więc nie chce jechać. Wreszcie zaczęła powoli zwalniać.

- A ty? Jak to się stało, że prowadzisz sklep i mieszkasz z *monsieur* Capelem? No już, nie wstydź się. Musisz mi o wszystkim opowiedzieć, jeżeli mamy zostać przyjaciółkami.

Opowiedziałam tyle, żeby ją usatysfakcjonować, umniejszając przy tym swój sukces, choć kiedy wspomniałam o swoich butikach w Deauville i Biarritz, Misia natychmiast dostrzegła jego skalę. Ten sam niezawodny instynkt, za którego sprawą wyjątkowo skutecznie znajdowała obiecujących artystów, pozwalał jej bezbłędnie wyczuwać pieniądze. Jediną rzeczą, którą się upajała jeszcze bardziej od sukcesu, były porażki - bo oznaczały one, że mogła wszystko

pozbiierać i ułożyć na nowo, zyskując w ten sposób kolejnego dłużnika. Zauważyłam to już w jej domu, kiedy wspominała o Diagilewie: „Niepoprawny romantyk, zbyt chciwy dla własnego dobra. Pochłania wszystko: mężczyzn, czekoladki, talent, pieniądze. Gdyby nie ja, zebrałby dziś na ulicy. Ale ja tak bardzo go kocham”. Zrozumiałam, że dobrze by było nie paść ofiarą jej destrukcyjnych instynktów.

W ten oto sposób zostałyśmy przyjaciółkami, choć stało się tak tylko dlatego, że Misia zabiegała o tę przyjaźń. Regularnie mnie odwiedzała i zabierała na targi staroci przy Saint-Germain-des-Pres, gdzie godzinami przeglądała rupiecie, których nie chciałam nawet dotknąć. Była jedyną kobietą, z którą się zaprzyjaźniłam od czasu Emilienne, z którą straciłam kontakt - ale nigdy nie miałam pewności, czy Misia pragnęła wielbić, czy raczej niszczyć. „Kobieta pokątnie usuwająca ciężę” - powiedział o niej Cocteau. Nigdy nie zapomniałam tego określenia, choć nasza relacja miała się okazać jedną z najtrwalszych, jakich doświadczyłam w życiu.

Tymczasem rozpoczął się czwarty rok wojny, sięgający największe spustoszenie. Zebrał on krwawe żniwo. Alianci nadal czekali na przybycie amerykańskich oddziałów. Powszechna anarchia, która wybuchła w Rosji, dała początek rewolucji, ta zaś doprowadziła do egzekucji cara i jego rodziny. Dokonano też mordów na setkach rosyjskich arystokratów, innych zaś skazano na wygnanie.

Poszliśmy na premierę *Parady*, nowego baletu Diagilewa, który, jak zapewniano, miał obfitować w satyrę i skandal. Przed rozpoczęciem spektaklu Misia wytarła nos (była przeziębiona i powinna leżeć w łóżku), po czym oznajmiła, przeciągając samogłoski i walcząc z zajęętymi zatokami:

- To całkiem stosowne, prawda? Parodia tu, w Paryżu, i parodia w Moskwie. Tyle że tutaj błazny tańczą, a tam są zabijane.

Te słowa przepelniły czarę goryczy - cierpliwość Boya się wyczerpała. Przed baletem zaprosiliśmy Misię i Sertę na kolację do naszego apartamentu, a Boy podarował im pierwodruk swojej książki, powszechnie chwalonej za wnikliwe refleksje poświęcone wojnie. Jednak Misia ledwo na nią zerknęła, po czym zaczęła się do mnie przymilać, prosząc, żebym dała jej jeden z naszych koromandelskich parawanów, czym jeszcze bardziej rozwścieczyła Boya.

- Nawet nie ma na nie miejsca - wyszeptalam, kiedy weszliśmy do teatru. - Zbiera absolutnie wszystko. Sam widziałeś jej dom. Gdyby mogła zmieścić w salonie wypchanego nosorożca, z pewnością by się na to zdecydowała.

Boy nie znosił Misi, więc po balecie wrócił do domu, a ja zostałam na uroczystej kolacji wydanej na cześć Ballets Russes. Przy tej okazji poznałam korpulentnego Diagilewa, który miał na sobie rosyjską sobolową czapkę i wełniany płaszcz bogato zdobiony słowiańskimi motywami. Był pijany i obmacywał jednego ze swoich tancerzy, mimo to zdążył uśmiechnąć się do mnie i powiedział, że musimy kiedyś zjeść razem kolację. Misia natychmiast powiedziała mu, „jakim jestem skarbem”. Przedstawiono mnie też kompozytorowi Strawińskiemu, którego rzadkie jasne włosy i krótki wzrok w pewien sposób mnie rozczuliły. Poznałam również Pabla Picassa, artystę, który stworzył kubistyczną scenografię do baletu. Wprawił mnie w zakłopotanie swoim głębokim spojrzeniem i wyczuwalną pożądlivością. Był już co prawda związany z jedną z czołowych baletnic Diagilewa, Olgą Chochłową, z którą miał się wkrótce ożenić, ale zrobił na mnie wrażenie mężczyzny obdarzonego nienasyconym apetytem na wszystko i wszystkich.

Wróciłam do apartamentu przy *rue Gabriel* dobrze po północy. Mieszkanie było jednak puste. Boy zostawił notatkę na stoliku przy wejściu: niespodziewanie wezwano go do Anglii.

Zgniotłam kartkę w dłoni, sięgnęłam po nożyczki i poszłam do łazienki. Stałam przed lustrem i z zawziętością, która sprawiła, że łzy napłynęły mi do oczu, ścięłam włosy, które po tej

operacji sięgały niewiele poza linię szczęki. Był to ostatni wyraz buntu, na który się zdecydowałam, zanim przyszło mi skonfrontować się z rzeczywistością.

IV

Przeczuwałam katastrofę, jeszcze zanim ona nadeszła.

Podczas gdy wojna wkraczała w drgawkach w 1918 rok, a jej krwawy finał przyniósł śmierć tysięcy ludzi, wykupiłam lokal wynajmowany przy *rue Cambon 21*, eksmitowałam zręczliwą krawcową i zaczęłam szukać dodatkowej przestrzeni w sąsiednim, sześciopiętrowym budynku pod numerem 31.

Splaciłam też swój dług: oddałam Boyowi każdego pożyczonego *centime*"a, włącznie z 300 tysiącami franków, które przekazał mi na otworenie *maison* w Biarritz. Widywałam go, ilekroć wzywały go do Paryża nowe obowiązki oficera łącznikowego. Towarzyszył mi też podczas prezentacji wiosennej kolekcji przy *rue Cambon*, w dniu, w którym Niemcy dokonali ostatnich bombardowań pod miastem. Kiedy roztrzaskały się okna, wszyscy rzucili się na drugą stronę *Place Vendôme*, kierując się do piwnic Ritza, w których znajdował się w pełni wyposażony bar, maski gazowe i śpiwory Hermès. W kolejnych dniach zanotowałam gwałtowny wzrost sprzedaży pidżam z surowego jedwabiu - kobiety spędzające wieczory w podziemnych schronach potrzebowały czegoś więcej niż tylko koszul nocnych.

Boy wydawał się jednak zatroskany i odległy. Wreszcie odważyłam się zapytać, czym się martwi. Spodziewałam się, że zacznie mówić o wojnie i ostatnich walkach z Niemcami, on jednak odpowiedział cicho:

- Boję się, że cię stracę.

Te słowa zasiały niepokój w moim sercu. Dlaczego miałby się tego obawiać, skoro udało nam się nie tylko przetrwać wojnę, ale i - tak jak zamierzał - na niej zarobić? Zaczęłam zauważać, że z naszego mieszkania znikają drobne przedmioty: butelka jego ulubionej wody po goleniu, szlafrok, kilka książek, nożyczki do paznokci... Nie było to jednak nic dużego i nic, co mogłoby mi dać podstawę do oskarżenia go o zdradę.

- Znalazł sobie kogoś innego - orzekła Misia, a w jej głosie usłyszałam nutę triumfu. -Ma wielkie ambicje, chciałby być arystokratą. Wszyscy o tym wiedzą. Nigdy nie ożeni się

z właścicielką sklepu, niezależnie od tego, jak wielki sukces odniesiesz i jaką sławę zdobędziesz. To po prostu nie uchodzi.

Była to jedna z charakterystycznych dla niej, beztroskich, a zarazem bolesnych uwag. Rzuciłam jej gniewne spojrzenie.

- Nigdy nie interesowaliśmy się tym, co uchodzi. Skoro Sert może pewnego dnia zapragnąć się z tobą ożenić, choć jesteś dwukrotną rozwódką, to nie rozumiem, dlaczego Boy nie miałby wziąć ze mną ślubu.

Wzruszyła ramionami. Z zadziwiającą łatwością obrażała innych, ale i zniewagi nie robiły na niej większego wrażenia.

- Znam wspaniałe mieszkanie przy *avenue de Tokio*, naprzeciwko *Trocadéro*. Rozciąga się stamtąd widok na Sekwanę. Mój znajomy wyprowadził się stamtąd, zanim dobiegła końca jego umowa najmu. To cudowne miejsce, a ty mogłabyś się tam wprowadzić, kiedy tylko zechcesz. Nawet jutro, jeżeli będziesz miała na to ochotę.

- Nie potrzebuję jeszcze jednego mieszkania - zaprotestowałam.

Mimo to pozwoliłam się tam zaprowadzić. Apartament był rzeczywiście oszłamiamający. Na ścianach wisiały rzędy luster, sufit był pokryty czarnym lakierem, a ściany jedwabiem. Przy wejściu stał ogromny posąg Buddy, a w powietrzu unosił się wszechobecny zapach kakao.

- Opium - wyjaśniła Misia. - Mój znajomy jest jego amatorem. Wyjechał, bo nie mógł go już dostać w Paryżu.

Podpisałam umowę najmu i schowałam klucze do kieszeni, choć nie zamierzałam się tu wprowadzać. Powiedziałam o tym Misi, ona zaś poklepała mnie po ręce.

- Oczywiście, że nie, moja droga, ale zawsze dobrze mieć taką możliwość.

Jej słowa przypomniały mi o Emilienne - „Wybór, pamiętasz? Wszystkie mamy do niego prawo”.

Następnym razem, kiedy Boy pojawił się zniemacka w naszym mieszkaniu, jak to miał ostatnio w zwyczaju, postanowiłam się z nim skonfrontować.

- Co się dzieje? - zapytałam, opierając dłoń na biodrze. W ustach trzymałam tłęcego się papierosa. Boy podszedł tymczasem do szafy, unikając mojego wzroku. - Czy chodzi o moją fryzurę? Nie podoba ci się? Mówiłeś, że krótkie włosy mi służą. - Nie odpowiedział, ale nie poddawałam się. Coraz bardziej bałam się tego, co mógł ukrywać. - A może chodzi o Misię? Wiem, że nie lubisz ani Misi, ani jej przyjaciół, ale przyprowadzili do mojego sklepu wielu nowych klientów, a poza tym naprawdę nie musisz się z nimi widywać...

- Coco. - Odwrócił się do mnie, a ja znieruchomiałam. Czułam, że papieros parzy mi palce. - Żenię się.

Musiałam wyglądać tak, jakby uderzył mnie w twarz jednym ze swoich kijów do polo. Nie usiłowałam tego w żaden sposób wytłumaczyć, po prostu mówił dalej tym swoim beznamiętnym tonem:

- Nazywa się Diana Lyster Wyndham, jest córką lorda Ribblesdale'a. Poznałam ją w Arras, na froncie. Pracowała w Czerwonym Krzyżu. Straciła na wojnie męża i brata. Nasze rodziny popierają ten związek.

Tylko tyle. Poznał ją na froncie. Ich rodziny popierały ten związek. Usiłowałam włożyć papierosa do ust, ale popiół rozsypał mi się na pidżamę. Choć pękało mi serce, zdobyłam się na ironiczny uśmiech i powiedziałam:

- Zastanawiam się, dlaczego te arystokratki zawsze mają dwa imiona. Czy myślisz, że gdybym używała swojego pełnego imienia i nazwiska, Gabrielle Bonheur Chanel, odniosłabym jeszcze większy sukces?

Spojrzał na mnie bezradnie, a ja miałam ochotę pobiec na drugi koniec pokoju i rozszarpać mu twarz.

- Jest bardzo miła, Coco. Sądzę że... polubiłabyś ją.

- Och, z pewnością. A może zaprojektuję dla niej suknię ślubną? Nigdy jeszcze tego nie robiłam. Ale nie - zgasiałam papierosa w popielniczce. Miałam ochotę cisnąć nią w Boya - to byłoby przecież niestosowne. Poza tym ona z pewnością wolałaby włożyć na taką okazję sukienkę od angielskiego projektanta. Spełniłaby w ten sposób patriotyczny obowiązek, co i ty postanowiłeś najwyraźniej zrobić.

Odwróciłam się i poszłam do salonu. Drżałam i wbijałam paznokcie w dłonie. Boy ruszył za mną.

- Nic nie musi się zmieniać - powiedział. - Nie chodzi o nas. Nadal będę spędzał większość czasu w Paryżu i możemy.

- Dobrze się składa, że wynajęłam mieszkanie, nie sądzisz? - odwróciłam się tak gwałtownie, że niepewnie się cofnął. - Wyprowadzę się stąd tak szybko, jak tylko się da.

- To nie jest konieczne. Zawsze chciałem, żeby to mieszkanie należało do ciebie.

- Nie. - Oddaliłam się od niego i podeszłam do sofy, po czym zaczęłam mordować się ze swoją papierośnicą. - Sądzę, że to konieczne. A właściwie niezbędne. - Słyszałam swoje słowa, ale miałam wrażenie, że przemawia przeze mnie inna kobieta. Lodowata kobieta z gryzącym dymem w płucach, której nie obchodziło nasze wspólne życie. - Nie zgodziłabym się na żadne inne rozwiązanie.

W jego westchnieniu usłyszałam smutek.

- Widzisz? Właśnie tego się obawiałem. Stracę cię.

- Powinieneś być o tym pomyśleć, zanim zaręczyłeś się z tą arystokratką o dwóch imionach - odparłam. Usiadłam, podciągnęłam nogi i okryłam się leżącym obok szalem. Nagle zrobiło mi się przeraźliwie zimno. Czułam się tak, jakbym miała już nigdy nie poczuć ciepła.

Boy wrócił do sypialni. Po chwili wyszedł z niej ze swoją skórzaną walizką i zarzucił na ramiona płaszcz. Nawet nie drgnęłam. Patrzyłam w milczeniu, jak odwrócił się i ruszył do drzwi. Przypuszczałam, że widzę go po raz ostatni. Nagle się zatrzymał.

- Nigdy nie zamierzałem cię skrzywdzić - powiedział.

Nadal siedziałam skulona na sofie i nie odezwałam się ani słowem. On zaś otworzył drzwi i wyszedł.

Ostatkiem sił podniosłam się i przeszłam do sypialni. Moje stopy były bosa i odrętwiałe. Otworzyłam drzwi jego szafy. Wpatrując się w wiszące na wieszakach spodnie, koszule i swetry, które zostawił, tak jakby wyjeżdżał w jedną ze swoich długich podróży, miałam ochotę po raz kolejny sięgnąć po nożyczki i tym razem zniszczyć wszystko, co do niego należało. Gdyby wrócił - a wiedziałam, że wróci, choć nie wiedziałam jeszcze kiedy - zobaczyłby swoje podarte na strzępy ubrania i doświadczyłby siły mojej pogardy.

Zamiast tego sięgnęłam po beżowy, sprany pulower ukryty pod stosem innych ubrań -ten, który mierzyłam po raz pierwszy, kiedy Boy przywiózł go z Anglii. W jego miękkich objęciach odnalazłam wtedy tyle nowych możliwości. Drżącymi rękoma zbliżyłam sweter do twarzy. Wyczułam delikatny zapach Boya, jego potu - nosił pulower podczas gry w polo -a także nutę cytrynowej wody po goleniu.

Wyczułam też swój zapach.

Wtulając się w sweter, opadłam na łóżko, a następnie zamknęłam oczy. Po raz ostatni za nim płacząc - pomyślałam. To był ostatni raz, kiedy pozwoliłam jemu albo jakiemukolwiek innemu mężczyźnie tak się upokorzyć. Nigdy więcej. Nigdy - przysięgam - póki żyję.

Tej nocy nie spałam. I ku mojemu zaskoczeniu - nie płakałam.

Nie było łez, które mogłyby wypełnić pustkę w moim wnętrzu.

V

Przeprowadziłam się do swojego nowego mieszkania, kiedy Niemcy ulegli wreszcie aliantom, a kajzer zdecydował się na zawarcie upokarzającego rozejmu. Cały Paryż wyległ na ulice. Ludzie otwierali butelki szampana na Pont Neuf, tańczyli na stołach i trąbili, mknąc samochodami przez Pola Elizejskie. Wkrótce jednak nadeszło bolesne otrzeźwienie: okazało się, że liczba ofiar śmiertelnych wyniosła ponad dwa miliony w samej Francji, nie wspominając

o niezliczonych poległych z pozostałych krajów alianckich. Konflikt spustoszył całą północno-wschodnią część kraju, a Niemcy, choć zostały zatrzymane, nie przestały wrzeć.

Patrzyłam na to wszystko jak zza grubej tafli szkła. Przewiozłam do swojego nowego mieszkania tylko ubrania, przybory toaletowe i chińskie parawany. Wszystko inne porzuciłam. Przejęta Misia nieustannie nade mną cmokała.

- Oddam ci swojego kamerdynera Josepha i jego żonę Marie. Mają uroczą córeczkę, Suzanne. Sert chce sprowadzić z Katalonii rodzinę, którą zna od dziecka. Zamierzamy ich zatrudnić, więc nie będziemy potrzebowali dwóch kamerdynerów i dwóch służących.

Odmówiłam. Większość czasu i tak spędzałam w *atelier*, więc potrzebowałam tylko służącej, która dbałaby o porządek w ciągu dnia. Nie chciałam w swoim otoczeniu potencjalnych szpiegów Misi. Przywiozła mi zamiast tego dwa ohydne posągi czarnoskórych postaci na marmurowych cokółach. Miały one zdobić wejście do mojego mieszkania. Nie znosiłam ich, ale postanowiłam trzymać język za zębami, choć miałam ochotę zapytać, po co pozbywałam się tego potwornego Buddy, skoro zamierzała zagrać moje wnętrza dziełami sztuki przypominającymi raczej osobliwe znaleziska z kiermaszu staroci.

Tak naprawdę mogłaby podarować mi wypchanego nosorożca, z którego zawsze kpiłam, a ja i tak nie zwróciłabym na to uwagi. Całą energię włożyłam w to, żeby urządzić sobie sypialnię i salon, tak żebym mogła tam mieszkać. Większość czasu i tak spędzałam w swoim *atelier*, które przenosiłam właśnie do nowego budynku przy *rue Cambon 31*.

- Wreszcie nadchodzi nowe! - oznajmiła Misia z satysfakcją, kiedy wojna dobiegła końca. Na odbywające się w Paryżu konferencje pokojowe zjechali dyplomaci, generałowie

i ambasadorowie w towarzystwie kochanek, córek i żon - a wszystkie one słyszały już o moim sklepie. Gromadziły się tam tłumnie, żeby plotkować, chwalić się osiągnięciami swoich mężczyzn i kupować wszystko, co miałam na sprzedaż.

Powróciło pełne przepychu życie, choć było ono pozbawione dawnego rozmachu. Tamte czasy odeszły bezpowrotnie, co przypieczętowała śmierć tak wielu młodych mężczyzn. Ogarnęła nas szaleńcza wesołość, radość życia, która zwiastowała nadejście jazzu. Paryż oczarował tabuny ambitnych pisarzy, artystów i muzyków, którzy zdołali przeżyć wojnę i usiłowali teraz zdobyć sławę w mieście, które nigdy nie śpi.

Był to czas dobrobytu - zwłaszcza dla mnie. Moje śmiałe fasony szły z duchem czasu. Kobiety nie zamierzały dłużej godzić się na zniewolenie, jakiemu podawano dawniej ich ciała. Miały za sobą opatrywanie gnijących ran żołnierzy, podawanie kleiku chorym, prowadzenie ambulansów i tramwajów, teraz zaś pragnęły swobodnie wyrazić siebie poprzez ubiór. Zrezygnowałam z manekinów i zaczęłam prezentować swoje kolekcje na żywych modelkach. Moje stroje zawsze wyglądały zdecydowanie lepiej na ciałach prawdziwych kobiet. Patrząc na modelki, klientki mogły ocenić sposób, w jaki sukienki spływały na ramiona i opadały w dół, skrojone tak, by nie powstawały fałdy na pośladkach; mogły się też przekonać, jak moje płaszcze leżały na kobiecie i jak doskonale moje kapelusze pasowały do najmodniejszej w tym czasie fryzury - krótkich włosów. Podobnie jak wszystko inne w tym okresie, fryzura ta stanowiła

konsekwencję wojny: długie pukle okazały się nieszczerólnie wygodne podczas opróżniania i dezynfekcji basenów.

Wszyscy marzyli o kreacjach z butiku Chanel - damskich pidżamach, kardiganach, bliźniakach, płaszczach i bluzkach z pasującymi do siebie podszewkami. Niezwykle modne stały się moje suknie popołudniowe, uszyte z koronki Chantilly ozdobionej koralikami z gagatu oraz pelerynki z czarnego aksamitu wykończone strusimi piórami. Pewnego ranka odkryłam po przebudzeniu, że zdobyłam prawdziwą sławę i stałam się główną *couturière* kobiet podążających za najnowszymi trendami. Paul Poiret, niegdyś bastion mody, który przez całą wojnę projektował mundury wojskowe, wrócił do swoich ekstrawaganckich kreacji. Oferował płaszcze obszyte lamparcim futrem i suknie z epoletami, ale jego sława powoli gasła. Nie nadażał za pędzącym naprzód światem, tryskającym energią i witalnością oraz gardzącym wszystkim, co mogło się kojarzyć z dawnym porządkiem. Wyrosła mi też konkurencja - między innymi Madeleine Vionnet, która tworzyła wspaniałe suknie wieczorowe wzorowane na greckich strojach. Były to prawdziwe dzieła sztuki, które szyła, tnąc materiał po przekątnej, w poprzek włókien. Ze względu na ich wygórowane ceny, mogły sobie na nie pozwolić jedynie damy z wyższych sfer. Szanowałam jej sztukę, a z biegiem czasu zaczęłam przekładać pewne jego elementy na język własnych kolekcji, starałyśmy się jednak zachowywać odpowiedni dystans i nie odbierać sobie klientek. Byłyśmy dwiema nastawionymi na sukces kobietami, które usiływały nie wchodzić sobie w drogę.

Moje ubrania miały natomiast wypełniać lukę między tym, co ekskluzywne, a tym, co pospolite. Często powtarzałam swoim klientkom, że choć kobiety uważały luksus za przeciwieństwo biedy, to tak naprawdę stanowił on przeciwieństwo wulgarności. „Prostota -mawiałam - to prawdziwa elegancja. Kobieta jest najbliższa nagości, kiedy jest dobrze ubrana. Strój powinien jej tylko towarzyszyć, zwracać uwagę w drugiej kolejności”.

Wydawało się, że w ogóle nie pracowałam, choć tak naprawdę harowałam jak nigdy, starając się utrzymać iluzję, że sukces nie wymaga ode mnie żadnego wysiłku. W przypadku kobiet ciężka praca kojarzyła się nadal z deklasacją. Musiało jeszcze minąć wiele lat, by zostały wreszcie zniesione ograniczenia, które sprawiały, że mogłyśmy zarabiać na życie tylko jako szwaczki, aktorki albo dziwki.

Nie przeszkadzały mi już zjadliwe szeptki: „Słyszałaś, ona jest właścicielką sklepu?”. Właścicielka sklepu, której przypochlebiano się w jej butiku i którą oczerniano za plecami, miała teraz większe wpływy i majątek niż większość tych, których ubierała. I wszyscy doskonale o tym wiedzieliśmy.

Po rozstaniu z Boyem w moim życiu pojawili się znowu dawni przyjaciele. Pierwszym okazał się Balsan, który w czasie wojny zaciągnął się do wojska i ledwo uszedł z życiem. Wydawał się wymizerowany, choć zapewniał, że nic mu nie dolega. Przywiózł ze sobą Emilienne. Jej epoka - epoka wielkich kurtyzan, których pamięć przetrwała w popularnej powieści Dumasa i operze Verdiego - także dobiegła końca. Wyszła za mąż za jednego z dżokejów Balsana, a potem się rozwiodła, wdawała się też w kolejne burzliwe romanse. Pozostawała nadal modną, obytą damą, ale było po niej widać wiek. Miała już czterdzieści dziewięć lat. Zachowywała się równie serdecznie jak zawsze i natychmiast objęła mnie swoimi pulchnymi ramionami, po czym wyszeptwała:

- *Mon coeur*, jesteś niesamowicie wychudzona. Ten głupi Anglik zostawił cię w oplakany stan.

Nie lubiłam, kiedy o nim wspomiano. Nie chciałam o niczym wiedzieć. Przebywał we Francji i uczestniczył w rozmowach pokojowych. Często słyszałam jego nazwisko i nie zwróciłam nawet uwagi na wiadomość o jego ślubie. Po miesiącu Misia triumfalnie

poinformowała mnie o tym, że jego żona, Diana, zaszła w ciążę.

Także i w tym przypadku powstrzymałam się od komentarzy. Zachowywałam się tak, jakby przestał istnieć.

Balsan to wyczuł i nie wspomniał o Boyu ani słowem. Zamiast tego przywiózł mi bukiet żółtych róż, które - jak twierdził - zebrał w ogrodach Royallieu. Przedstawiłam go Misi i Sertowi, Cocteau, Picassowi i Diagilewowi. Docenili jego serdeczność, apetyt na kobiety i alkohol, swobodę, z jaką podchodził do swojego oszałamiającego majątku (podobnie jak ja, jego rodzina zbiła w czasie wojny fortunę na produkcji tekstyliów). Zainwestował w najnowszy balet Diagilewa i namawiał mnie, żebym poszła w jego ślady. Kupił też kilka obrazów Picassa, a kiedy dowiedział się, że Strawiński usiłuje sprowadzić swoją żonę i córkę z pogrążonej w chaosie Rosji, nakłonił mnie, żebym pomogła mu założyć specjalny fundusz na ten cel.

Bolało mnie, że mężczyzna, którego nigdy nie kochałam, został tak szybko przyjęty do znanych mi kręgów bohemy, podczas gdy mężczyzna, którego darzyłam uczuciem, był przez moich znajomych uznawany za obcego.

Pocieszałam się tym, że mój związek z Boyem należy już do przeszłości. Chociaż go kochałam, chociaż cierpiałam podczas samotnych nocy - był człowiekiem, o którym musiałam zapomnieć.

Jakże się myliłam.

VI

Początkiem końca okazało się odejście Antoinette.

Był rok 1919 - pierwszy rok bez wojny. Wiosnę i lato spędziłam w szalonym tempie, krążąc między sklepami w Paryżu, Deauville i Biarritz. Ledwo znajdowałam czas, by spotykać się z przyjaciółmi, a Misia zaczęła się nawet odgrażać, że zerwie naszą znajomość. Praca była na pierwszym miejscu, a ja ledwo ze wszystkim nadążałam. Planowałam wkrótce wprowadzić na rynek swoją pierwszą kolekcję strojów wieczorowych. Starając się choć trochę odpocząć i uciec od uporczywych telefonów oraz niespodziewanych wizyt Misi, wynajęłam willę na wzgórzach Saint-Cloud pod Paryżem. Liczyłam na to, że tamtejsze świeże powietrze, ogrody oraz sprawna, anonimowa służba ukoją nieco moje skołatanę nerwy.

Tak naprawdę postanowiłam wynająć willę również po to, by uniknąć przypadkowych spotkań z Boyem, zwłaszcza po tym, jak pewnego wieczoru wpadliśmy na siebie w restauracji. Zbliżył się do mnie, kiedy wyszłam z damskiej toalety. Jego ładna, ciężarna żona siedziała tymczasem przy stoliku razem z ich angielskimi przyjaciółmi. Złapał mnie za ramię i pociągnął do kąta, a jego oddech cuchnął alkoholem.

- Czy już zawsze zamierzasz mnie unikać? - syknął. - Myślałem, że to jakiś chwilowy kaprys i że będziemy mogli wreszcie odzyskać to, co mieliśmy.

Spojrzałam chłodno na jego dłoń i milczałam tak długo, aż mnie puścił. Źle wyglądał. Przybrał na wadze, na jego skórze pojawiły się plamy, a oczy miał przekrwione. Wydawał się zagubiony, tak jakby stracił tę pewność siebie, która kiedyś tak mnie w nim zafascynowała. Zwróciłam się do niego stanowczo, chcąc żeby dobrze mnie zrozumiał:

- To, co mieliśmy, już nie istnieje. Jesteś teraz żonaty. Wkrótce zostaniesz ojcem. Chwilowy kaprys, tak to określasz? Liczyłam, że się opamiętasz. Ale tak się nie stało.

- Coco, proszę. - Głos mu się załamał. W jego oczach dostrzegłam głęboki ból i pomyślałam, że zaraz zacznie łkać. - Nie rób tego. Kocham cię. Zawsze będę cię kochał. Musiałem się ożenić ze względu na moją rodzinę. Tego się ode mnie oczekuje. Gdybym wiedział, że cię przez to stracę, nigdy bym tego nie zrobił. Zamiast tego poślubiłbym cię.

Myślałam, że gorzej już być nie może. Pocięchę przynosił mi fakt, że choć cierpiałam, wreszcie udało mi się od tego wszystkiego wyzwolić. Miałam pracę, przyjaciół. Miałam swoje życie. Ale kiedy wypowiedział te słowa, przypomniałam sobie, jak mówił mi, że duma przysporzy mi cierpień. Pragnęłam teraz krzyknąć, że gdyby tylko zapytał, gdyby choć raz o tym wspomniał, zgodziłabym się bez wahania. Wyszłabym za niego i urodziłabym mu dzieci.

Zamiast tego roześmiałam się. Kiedy usłyszał okrutną kpinę w moim głosie, gwałtownie pobladł.

- Myślisz, że kiedykolwiek chciałam zostać twoją żoną? Myślisz, że chciałabym stać się twoją własnością, przedmiotem, który ozdabia twoją rezydencję, kiedy ty hulasz gdzieś po świecie? Tak będzie lepiej. Przeżyliśmy coś pięknego, coś, czego nikt nie może mi odebrać. Nawet ty. A teraz wracaj do tego, czego się od ciebie oczekuje. Już cię nie kocham.

Prześciśnęłam się obok niego i ruszyłam przed siebie sztywnym krokiem. Sięgnęłam po swoją etolę, wiszącą na krześle przy stoliku, przy którym siedziałam z Misią i Cocteau. Rzucili pospiesznie pieniądze na stół, po czym pobiegli w ślad za mną. Wychodząc z restauracji, minęłam jego żonę. Posłała mi pełne współczucia spojrzenie, które jeszcze bardziej mnie rozwścieczyło. Nie ulegało wątpliwości, że wiedziała, kim jestem.

- Jakież ten człowiek ma tupet - zawołała Misia, kiedy czekałam na samochód. - Widziałam, jak za tobą ruszył, kiedy poszłaś do toalety. Chce cię odzyskać, prawda?

- Przestań - wyszeptał Cocteau. - Nie widzisz, jaka jest zdenerwowana?
- Oczywiście, że jest zdenerwowana! On ją zdenerwował. Coco, kochanie, chodź. Pozwól nam...

Kiedy mój szofer podjechał pod restaurację, gwałtownie się odwróciłam i powiedziałam spokojnym głosem:

- Zostaw mnie. - Misia pobladła. - Zostawcie mnie wszyscy w spokoju. Niech was szlag trafi.

Niedługo później wynajęłam willę. Misia błagała, żebym jej wybaczyła, co było w jej przypadku rzadkością i co tylko dowodziło, jak bardzo mnie kochała - tak przynajmniej twierdził Cocteau, kiedy przyjechał do mnie w odwiedzin. Właśnie tamtego popołudnia, kiedy piliśmy kawę na mojej werandzie, zdradził mi tajemnicę Misi:

- Jest bezwzględna i podstępna, zwłaszcza w przypadku osób, które uważa za swoją własność. Ale wiem też, że jest niepokieszona, bo nie chcesz z nią rozmawiać. Poza tym jest w złym stanie. Od wielu lat.

- W złym stanie? - prychnęłam. - Wiem, że miewa różne bóle, ale to tylko i wyłącznie jej wina. Za dużo je. Ona i Sert żrą jak świnie.

Cocteau, zawsze skory do kpin, zachichotał.

- To nie jedzenie ją zabije. - Pochylił się w moją stronę. - Jest zjadaczką lotosu. Robi to, odkąd została muzą Lautreca. To on ją w to wciągnął. Łagodził w ten sposób bóle nóg.

Słyszałam już wcześniej to określenie.

- Przyjmuje laudanum? - zapytałam z niedowierzaniem. Nigdy nie widziałam Misi w stanie odurzenia, choć tak naprawdę i tak bym się niczego nie domyśliła.

Pokiwał głową, wyraźnie zadowolony, że mieliśmy teraz sekret *entre nous*.

- Tak, laudanum. Stosuje też inne środki, jeśli są dostępne. Kiedy może, kupuje opium lub morfinę. W czasie wojny używano ogromnych ilości morfiny, ilekroć trzeba było dokonywać amputacji, i teraz można ją bardzo tanio kupić na czarnym rynku. Misia stosuje takie substancje tylko w domu albo kiedy musi iść na przyjęcie, na które nie ma ochoty. Była odurzona również tamtego wieczoru, na kolacji w swoim domu. Niczego nie zauważyłaś? - Przewrócił oczami. - Coco, nie bądź naiwna. To dość powszechne. Po używki sięgają wszyscy artyści i pisarze. Myślisz, że w jaki sposób jej ukochany Pablo stworzył wszystkie te straszliwe dekoracje dla Diagilewa?

- A czy t y . ? - zapytałam, choć znałam już odpowiedź na to pytanie.

- Od czasu do czasu, owszem, kiedy mam na to nastrój. Ale staram się uważać. Lotos trzeba szanować. Nie można zapraszać go do siebie zbyt często. - Roześmiał się. - To samo dotyczy Misi!

Nie zadawałam więcej pytań. Myślałam, że Cocteau jest jedyną osobą, której obecność zdołam teraz znieść, tym bardziej że okazał mi współczucie po spotkaniu z Boyem - ale tamtego popołudnia uznałam, że nie chcę widzieć ani jego, ani Misi, ani kogokolwiek innego. Było mi jej żal. Przeraziły mnie wszystkie nałogi, z wyjątkiem pracy. Sama jednak miałam zbyt wiele zmartwień. Zależały ode mnie setki ludzi, więc narzuciłam sobie mordercze tempo i odsunęłam wszystkich i wszystko na bok. Przez cały czas słyszałam jednak w myślach słowa: „Duma przysporzy ci cierpień”.

Nieco później stałam w salonie przy *rue Cambon*. Wróciłam właśnie z wyczerpującej podróży do Biarritz, teraz zaś moja siostra Antoinette oznajmiła wyzywająco, że zaręczyła się z Oscarem Flemingiem.

- Z kim? - Usiłowałam sobie przypomnieć, o kogo może chodzić. - Och, to ten kanadyjski lotnik? Ale przecież znacie się dopiero od kilku miesięcy. Naprawdę, Antoinette, czy

ty w ogóle wiesz, gdzie leży Kanada?

- On mnie kocha. - Zaciśnęła zęby. Wydawała się niepokojąco podobna do mnie. - Chce, żebym została jego żoną i zamieszkała z nim w Ontario. Mówi, że pochodzi z zamożnej rodziny i jeśli zechcę, będę mogła otworzyć tam butik i sprzedawać twoje ubrania.

Rzuciłam płaszcz gdzieś na bok i zaczęłam szukać papierosów w wypchanej torbie podróźnej. Po chwili sięgnęłam po swoją nową złotą zapalniczkę Cartiera - na tę ekstrawagancję pozwoliłam sobie podczas pobytu w Biarritz - po chwili zaciągnęłam się i wypuściłam dym prosto w twarz Antoinette. Zaczęła kaszleć.

- Chyba oszalałaś. Czy wiesz, ilu zagranicznych lotników i żołnierzy oświadczało się głupiutkim francuskim dziewczętom po zakończeniu wojny? Założę się, że pan Fleming ma w całym mieście dziesiątki takich jak ty, które pakują już walizki, żeby przeprowadzić się do Ontario albo gdzieś indziej.

Antoinette cofnęła się, uciekając od dymu tytoniowego i moich kpin.

- No cóż, wyjdę za niego, czy tego chcesz czy nie. To, że Boy się z tobą nie ożenił i jesteś nieszczęśliwa, nie oznacza, że wszyscy inni muszą podzielić twój los.

Pobiegła na górę, zostawiając mnie sam na sam z Adrienne.

- Gabrielle, ona ma trzydzieści lat - zaczęła. - To może być jej ostatnia szansa na męża i dzieci. Nie sądzisz, że zasługuje...

Przerwałam jej pełnym zniecierpliwienia ruchem ręki, po czym zgasłam papierosa obcasem.

- Nie zaczynaj. Jeżeli chce jechać do Ontario, żeby wyjść za jakiegoś nieznajomego, niech tak zrobi. Bardzo proszę. - Spojrzałam na nią, ona zaś spuściła wzrok. - Och, na litość boską! Adrienne, wyglądasz tak, jakby stało się coś strasznego. Przetrwaliśmy już wojnę i świat się nie skończył. I postaw tu jakieś popielniczki. - Cisnęłam niedopałek na nieskazitelnie czysty blat. - Kobiety mogą już publicznie palić. Gdzie nasze klientki mają gasić papierosy? Na moich kapeluszach?

Zeszłam na dół do głównej pracowni - moja nowa siedziba przy *rue Cambon* miała kilka pięter, na których mogłam projektować i prezentować kolekcje - po czym zrugłam moje *premières*, Angele i madame Aubert, za to, że ociągały się z próbkami strojów wieczorowych.

- Czy naprawdę muszę robić wszystko sama? - zapytałam, sięgając po belę białej satyny z Lyonu i opryskliwie przywołując modelkę odzianą tylko w bieliznę. - Ty. Podejź tu. I stój spokojnie. Wygląda na to, że jeżeli ta kolekcja ma zadebiutować przed następnymi świętami Bożego Narodzenia, będę musiała sama ją uszyć.

Tamtego wieczoru szofer odwiózł mnie do mojego zaniedbanego mieszkania przy *avenue de Tokio*, bo byłam zbyt zmęczona, żeby wracać do Saint-Cloud. W powietrzu czuło się już jesienny chłód. Żałując, że odrzuciłam ofertę Misi i nie przyjęłam na stałe kamerdynera, zaczęłam przepatrywać swoje niezliczone torby w poszukiwaniu kluczy. Nagle usłyszałam za plecami szczekanie. Pomyślałam, że jeden z sąsiadów wyszedł z psami na spacer. W ostatnim czasie małe pieski stały się nowym, niezwykle modnym dodatkiem, który kobiety nosiły jak mufki. „Żeby odgonić pchły” - żartowała Misia. Tęskniłam za nią. Tęskniłam za jej zjadliwym poczuciem humoru i dystansem. Postanowiłam, że do niej zadzwonię, dowiem się, co u niej słychać, i zaproponuję wspólny lunch w Ritzu. Wiedziałam, że przyda mi się trochę śmiechu.

Szczekanie stawało się coraz głośniejsze. Nagle, w chwili, w której udało mi się znaleźć klucze, poczułam na swoich kostkach wilgotne nosy i gwałtownie się odwróciłam. Przede mną stał Boy. Trzymał na smyczy dwa szarpiące się teriery o biało-brązowej sierści i żywych, okrągłych oczkach. Zaczęły na mnie skakać, rozdzierając mi pończochy.

Stałam nieruchomo, ściskając w ręku klucze. Bałam się wykonać jakikolwiek ruch. Boy

wyglądał zdecydowanie lepiej niż poprzednio. Miał bladą, ale spokojną twarz, na jego gęstych czarnych włosach i wąsach lśniła brylantyna, a w zielonych, czystych oczach dostrzegłam błysk.

- Czego. czego chcesz? - zapytałam.

- Kupiłem je dla ciebie. To Pita i Poppee. Pomyślałem, że skoro już mnie nie kochasz i chcesz mieszkać sama, przyda ci się towarzystwo.

- Co? - odwróciłam się i wsunęłam klucz do zamka. - Czyżby nie spodobały się twojej żonie? Myślałam, że angielskie damy o dwóch imionach uwielbiają małe pieski.

- Coco - powiedział. Wypowiedział moje imię z niezwykłą czułością, nie robiąc mi wyrzutów ani o nic nie prosząc. Podobnie robił to w chwilach, kiedy byliśmy w łóżku

i obejmował dłońmi moją twarz, po czym zmuszał mnie do wyznania tego, czego nie mogłam wyznać.

- To niemożliwe - wyszeptałam.

Wyciągnęłam bezwiednie dłoń i wzięłam od niego smycze, a psy przemknęły obok mnie i podbiegły do drzwi. Wyjęłam klucz z zamka, a teriery wpadły do korytarza i natychmiast zainteresowały się posągami Misi.

- Może je obsusiąją - powiedział. Był tuż za mną i szeptał mi wprost do ucha. Zdusiłam śmiech, on zaś wziął mnie w ramiona.

Nie znalazłam już żadnych słów. Cóż bowiem mogłam powiedzieć? Okazało się, że nie potrafiłam się od niego uwolnić.

VII

Boy był nieszczęśliwy. Tak jak dawniej, niewiele mówił, ale natychmiast wyczytałam to ze sposobu, w jaki wtulił się we mnie i zasnął, a także z jego nieco zwiotczałych mięśni, które świadczyły o tym, że porzucił grę w polo. Nie mogłam zasnąć przez większą część nocy, a nad ranem wiedziałam już, że tak właśnie musi być. Zdawałam sobie sprawę, że pojawią się liczne wyzwania i chwile, w których pożałuję tej decyzji, zwłaszcza kiedy Boy zacznie wracać na długie miesiące do swojej rodziny w Londynie. Zdawałam sobie sprawę, że będę go wtedy nienawidziła i przeklinała, pomstowała na własną głupotę - wiedziałam też jednak, że wszystko to zniosę. Nie miałam wyboru, jeżeli nie zamierzałam na stałe pozbyć się go ze swojego życia, a tego zrobić nie potrafiłam. Próbowałam, ale poniosłam porażkę. Poza tym czułam się tak, jakby nic się między nami nie zmieniło.

Nadal pozostawałam jedyną kobietą, którą kiedykolwiek kochał.

Misia natychmiast wszystko wysłuchiła. Kiedy tylko usiadłam naprzeciw niej przy stoliku w Ritzu, gdzie już na mnie czekała, spojrzała na mnie i oznajmiła:

- A więc to zrobiłaś. Przyjęłaś go z powrotem. Wiedziałaś, że to zrobisz. Spodziewałam się całej lawiny ostrzeżeń i dowodzenia, że Boy zmaćci mój spokój.

Zamierzałam powiedzieć jej - podobnie jak każdemu, kto by o to pytał - że to nie jej sprawa. Odetchnęłam jednak z ulgą, bo zareagowała z zaskakującą wręcz łagodnością:

- Jak mogłabyś postąpić inaczej, skoro uganiał się za tobą jak usychający z miłości zalotnik? Zresztą i ty stałaś się bez niego po prostu nieznośna. - Pogroziła mi łyżeczką. - Nie, nie, nie mów mi, że nie mam racji. To było absolutnie oczywiste. Nienawidziłaś nas, bo nie byliśmy nim. Cocteau opowiadał mi, jak strasznie wyglądałaś, kiedy odwiedził cię w tej twojej willi. Zresztą nie będę nawet wspominała, jak bardzo zabolął mnie fakt, że postanowiłaś zaprosić tego plotkarza zamiast mnie. W każdym razie mówił, że wyglądałaś upiornie.

Zastanawiałam się, czy mówił też o tym, że zdradził jej sekrety. Szczerze w to wątpiłam.

- Ale to już za nami - oznajmiła ze stanowczością sędziego, który wydaje wyrok. - Wreszcie wyglądasz jak dawniej i tylko to się liczy. Skoro on cię uszczęśliwia, to i ja jestem szczęśliwa. - Zamilkła na chwilę i uważnie mi się przyjrzała spod runda swego kapelusza. Było to jedno z moich dzieł, które zniszczyła, ozdabiając je jedwabnymi słonecznikami, tak jakby usiłowała odwzorować jeden z obrazów van Gogha. - Wiesz, że pragnę wyłącznie twojego szczęścia, prawda, kochanie? Nie zniosłabym myśli, że masz do mnie o coś żal.

- Wiem. - Wyciągnęłam rękę i ujęłam jej pulchną dłoń. - Przykro mi, że tak się stało. Nie powinnam była cię tak traktować. - No proszę, zdobyłam się na przeprosiny. Cuda jednak się zdarzały. Boy zawsze potrafił złagodzić mój temperament.

Uśmiechnęła się, wyraźnie usatysfakcjonowana.

- W jaki sposób o ciebie zabiegał? Wysyłał ci góry róż, futra i kosztowną biżuterię? Nie, to nie mogła być biżuteria. Nigdy cię szczególnie nie obchodziła. A więc co takiego zrobił? Musisz mi o wszystkim opowiedzieć.

- Otóż - powiedziałam, zapalając papierosa i przywołując kelnera - podarował mi psy. Otworzyła usta ze zdziwienia.

- Pita i Poppee. Są rozkoszne.

- Ale to nie są...?

- Nie, to nie są wypchane psy. Choć muszę z żalem wyznać, że oddały mocz na twoje posągi.

Ryknęła śmiechem. Była to potężna, dudniąca eksplozja wesołości, która sprawiła, że

zgięłyśmy się obie w pół i zaczęłyśmy chichotać jak oszalałe, podczas gdy sztywne, eleganckie damy siedzące przy sąsiednich stolikach rzucały nam wściekłe spojrzenia.

- Psy - wysapała, ocierając łzy. - Któż by pomyślał, że tak łatwo jest zjednać sobie obojętną Coco Chanel?

Spędzaliśmy z Boyem czas w Saint-Cloud. Opóźniłam nieco premierę swojej kolekcji strojów wieczorowych. Jedwab sprawiał nam tyle problemów, że postanowiłam zamiast tego zamówić specjalną mieszankę jedwabiu i dżerseju, a także krepdeszyn, mając nadzieję, że sprawdzą się one nieco lepiej. W oczekiwaniu, aż nowy materiał zostanie utkany i dostarczony do Paryża, mogłam spędzić kilka dni w towarzystwie Boya.

Sypialiśmy do południa, jadaliliśmy śniadania na tarasie, graliśmy w tenisa i wybieraliśmy się na długie przejażdżki jego nowym samochodem - szybkim, jasnoniebieskim kabrioletem bugatti, którym mknęliśmy przez wzgórza w kierunku Paryża. Zatrzymywaliśmy się i jadaliliśmy w przydrożnych bistrach, spacerowaliśmy nad Sekwaną, trzymając się za ręce i ogłaszając w ten sposób wszem i wobec, że wróciliśmy do siebie i że nie obchodzi nas, kto się o tym dowie.

Czy choć przez chwilę pomyślałam przy tym o jego żonie, która karmiła w Anglii swoje nowo narodzone dziecko? Nie, choć współczułam jej, tak jak ona współczuła mnie tamtego wieczoru w restauracji. Nawet jeśli była idealną żoną, o której marzyłby każdy mężczyzna - nie zdobyła serca Boya. I choć wiedziałam, że prawdopodobnie on nigdy się z nią nie rozwiedzie, pozostawała jego żoną i matką jego dzieci tylko na papierze.

W pewnej chwili opanowała mnie złośliwość i zasugerowałam, żebyśmy wysłali jego żonie paczkę z moimi najnowszymi spódnicami i swetrami ze szkockiej wełny, idealnymi na zimowe noce w angielskich majątkach.

Boy, który siedział w szlafroku na wiklinowym fotelu na tarasie, podniósł wzrok znad gazety.

- Straszny z ciebie urwis, Coco. Ale ona nigdy ich nie przyjmie.

- Dlaczego nie? Według ostatniego „Vogue'a” jestem najlepszą projektantką w Paryżu.

- Nie przyjmie ich - powtórzył. - Już próbowałem. Zamówiłem ze sklepu w Biarritz całą twoją letnią kolekcję. Nawet na nią nie spojrziała. Wszystko oddała siostrze.

- Naprawdę? - Byłam pod wrażeniem. Podziwiałam charakter jego żony i cieszyłam się, że postrzegala mnie jako zagrożenie. Oznaczało to, że nie miałam się czym martwić - bo ona nie zagrażała mi w najmniejszym stopniu.

W październiku Boy był świadkiem na ślubie Antoinette i jej Kanadyjczyka. Uszyłam dla niej suknię z jedwabiu, którego nie wykorzystałam podczas pracy nad swoją kolekcją. Antoinette nie kryła zachwytu. Sądziła, że udzieliłam jej swego błogosławieństwa - ale myliła się. Jej oficer wydawał mi się ponury, a opowieści o zamożnej rodzinie uważałam za wysrane z palca. Ale co mogłam zrobić? Była niewzruszona i nic, co zostałyby powiedziane, nie zmieniłoby jej zdania. Poza tym, ku mojej irytacji, miała pełne wsparcie Adrienne, która nadal nie wzięła ślubu z Nexonem i filtrowała nieprawdopodobne rojenia mojej siostry przez swoje własne marzenia. Wspólnymi siłami udało im się dopiąć swego i doprowadzić do zamążpójścia Antoinette, a ja byłam u boku Boya zbyt szczęśliwa, by się tym przejmować.

Odprowadziliśmy Antoinette do portu, skąd miała wyruszyć do Kanady wraz z nowym mężem i siedemnastoma walizkami. Zanim wsiadła na pokład liniowca, moja siostra wtuliła się we mnie i zaczęła szlochać, obiecując, że napisze, kiedy tylko dotrze na miejsce i znajdzie lokal, w którym mogłaby się mieścić filia Chanel Modes w Ontario.

- Tak, tak - powiedziałam, ocierając jej łzy. - Uważaj na siebie. Słyszałam, że w Kanadzie grasują niedźwiedzie.

Nie wierzyłam, że jeszcze kiedyś ją spotkam albo odwiedzę. Równie niewiarygodny

wydawał mi się plan otwarcia sklepu. Jej mąż nie wyglądał na człowieka, który pozwoliłby żonie pracować poza domem.

Adrienne pogрузzyła się w smutku. Przypuszczałam, że kiedy wróci wieczorem do nieszczęsnego Maurice'a, zacznie go zadreżać pytaniami o przyszłość i domagać się wyjścia z impasu, w którym znajdowali się od tak dawna. Powiedziałam Boyowi, że jeżeli Nexon nie był wcześniej gotów skapitulować, to teraz, po tym jak moja młodsza siostra wyszła za mąż przed Adrienne, musiał liczyć się z tym, że zostanie przyparty do muru.

Był grudzień. Kiedy śnieg spowił Paryż, Boy wyjechał na krótko do Anglii. Wróciłam do swojego *atelier* i dalej zmagalam się z kolekcją strojów wieczorowych. Miałam nadzieję, że zdołam ją zaprezentować podczas święta wiosny, które zaplanowałam na 5 lutego, na dzień, w którym zwykle debiutowały moje kolekcje. Zamierzałam zaprosić wszystkie swoje najlepsze klientki, w tym baronową Rothschild i Cécile Sorel, które codziennie prosiły, żebym pokazała im próbki, zanim udostępnię je szerszej publiczności. Wreszcie ustąpiłam i pozwoliłam każdej z nich zmierzyć jedną z czterech przygotowanych sukni. Kitty nie kryła zachwytu i błagała, żebym pozwoliła jej kupić suknię od razu. Odmówiłam. Nie byłam jeszcze w pełni usatysfakcjonowana. Zapewniłam jednak, że kiedy już zakończę pracę, dam jej pierwszeństwo wyboru.

Dwudziestego grudnia, trzy dni przed Wigilią Bożego Narodzenia, Boy miał wrócić do Saint-Cloud. Tego dnia Misia przemierzała ze mną Paryż w poszukiwaniu koralu, z których chciała zrobić chińskie choinki. Nigdy o czymś takim nie słyszałam, ale przypuszczałam, że musi to być przedmiot w bardzo złym guście.

- Będą pasowały do wystroju twojego mieszkania - zapewniała. - Wszystko jest tam utrzymane w stylu orientalnym.

Miała oczywiście rację. Moje paryskie mieszkanie wymagało pilnego remontu, choć zaczęłam doceniać lustra i dziwny sufit pokryty czarnym lakierem. Zaczęłam nawet rozważać umieszczenie podobnego motywu na klatce schodowej łączącej prywatną pracownię oraz salon w *atelier* przy *rue Cambon*.

Pożegnałam się z Misią w jej domu przy *rue de Rivoli*, tłumacząc, że muszę już wracać do willi, bo czeka tam na mnie Boy. Zaczęła narzekać i koniecznie chciała, żebyśmy spędzili święta z nią i Sertem - ale tej katastrofy chciałam za wszelką cenę uniknąć. Po raz kolejny próbowała mi też wmusić swojego kamerdynera i jego rodzinę.

- Katalończycy mają przyjechać do nas na początku nowego roku. Jojo jest już zdecydowany. Czy chcesz, żebym po tylu latach wyrzuciła swoich lojalnych służących na ulicę?

Jak zwykle jej problemy natychmiast stały się moimi. Zaczęłam pospiesznie kiwać głową i ucałowałam ją w policzek.

- Tak, tak. W nowym roku mogą zacząć dla mnie pracować. Będę potrzebowała ich pomocy przy remoncie mieszkania na *rue Tokio*. *Joyeux Noël*, najdroższa! - zawołałam, zbiegając po schodach do swojego samochodu. Po chwili siedziałam już na tylnym siedzeniu. Ponieważ zmarzłam, mocno opatulałam się etolą z norek.

Nie mogłam się doczekać, aż zobaczę Boya.

- Ona znowu zaszła w ciążę. - Siedzieliśmy objęci przy kominku w dużym salonie i sączyliśmy koniak. - Powiedziała mi o tym, kiedy przyjechałam.

- To chyba niepokalane poczęcie - wymamrotałam. - Przecież prawie tam nie bywasz. - Pocułam obrzydzenie. Czy ta kobieta była owcą, u której do zapłodnienia dochodziło już po pierwszym wytrysku nasienia? Staralam się nie myśleć o tym, że Boy musiał mieć z tym coś wspólnego. Porządne angielskie damy o dwóch imionach nie brały przecież kochanków,

a podczas zbliżeń ze mną nadal stosował swoje prezerwatywy z jagnięcej skóry.

- Co zamierzasz zrobić? - zapytałam po dłuższej chwili. Boy przez cały czas owijał moje krótkie włosy wokół swych palców.

Westchnął.

- Ona nalega, żebyśmy spędzili Sylwestra w Cannes. Twierdzi, że zimy w Anglii są zbyt ciężkie i że zarówno ona, jak i nasza córka Anne potrzebują wytchnienia.

Miałam ochotę powiedzieć, że moim zdaniem jego żona chciała po prostu pokrzyżować nasze plany. Zostaliśmy zaproszeni przez Balsana na przyjęcie w Royallieu, by wspólnie uczcić początek nowej dekady.

- To oznacza, że zobaczę cię dopiero w 1920 roku - zażartowałam. Boy pocałował mnie w czubek nosa.

- Możemy spędzić razem Boże Narodzenie. Powiedziałem jej, że interesy zatrzymały mnie w Paryżu, więc czekają ją święta z rodziną. Potem wyruszę do Londynu i zabiorę ją do Cannes. Drogę z Cannes do Paryża powinienem przemierzyć bugatti w dziewięć godzin, więc będę się starał przyjeżdżać tu tak często, jak się da. Diana chce, żeby w Cannes dołączyły do nas jej siostry oraz moja siostra Bertha razem ze swoją teściową. Bertha i lady Michelham są już zresztą na miejscu i zatrzymały się w Grand Hotel. Jak na mój gust to zdecydowanie zbyt wiele kobiet w jednym domu. Będę potrzebował wytchnienia. Często.

I oto nadeszła jedna z tych chwil, których tak się obawiałam: musiałam podporządkować się kaprysom żony.

Zmusiłam się do uśmiechu.

- Wobec tego postanowione. Kiedy wyruszasz?

- Myślę, że jutro. Wcześniej rano. Dzięki temu zdążę dojechać do Cannes, odwiedzić Berthę, znaleźć dom, a następnego dnia wrócę, żeby zobaczyć twoją... jak to nazwałaś?

- Chińską choinkę. - Szturchnęłam go w zębra. - Misia uważa, że będzie doskonale pasowała do orientalnego wystroju mojego mieszkania.

- Na pewno będzie pasowała do wypchanego nosorożca i posągów czarnoskórych postaci. - Dotknął mojej brody. - Ja natomiast - szepnął, zbliżając swoje usta do moich ust - wręcę ci swój bożonarodzeniowy prezent już teraz.

Wyszedł o świcie, kiedy po niebie sunęły chmury w delikatnym odcieniu lawendy. Skuliłam się pod kołdrą. Byłam ospała i czułam, że minionego wieczoru wypiłam za dużo koniaku. Nasze psy chrapały u moich stóp.

- Do jutra - wyszeptał, mierzwiąc mi włosy. - Czekaj na mnie.

VIII

Rozległ się przenikliwy dźwięk dzwonka, który sprawił, że Pita i Poppée zeskoczyły z łóżka i wybiegły z sypialni, głośno szczekając. Byłam nieco odurzona koniakiem, który popijałam przez cały dzień, czekając na wieści od Boya. W końcu sprawdziłam telefon i odkryłam, że nie działa - przypuszczałam, że linie musiały zostać zerwane na skutek złej pogody. Zaczęłam szukać pantofli, ale nie mogłam ich znaleźć. Ruszyłam przed siebie korytarzem, a z holu dotarły do mnie jakieś głosy.

Po chwili szczekanie psów ucichło. Ktoś zapalił światła na dole. Oślepiły mnie one, kiedy schodziłam po schodach. Balsan stał w holu, a jego płaszcz był pokryty śniegiem. Mówił coś ściszym głosem do kamerdynera, który go wpuścił. Towarzyszył mu przyjaciel, Léon de Laborde, który przykucnął przy moich psach i usiłował je uspokoić. Pomyślałam, że powinnam była włożyć szlafrok. Pospiesznie przeczesalam ręką zmierzwiłone włosy i stanęłam przed nimi w pidzampie.

- Jest już trochę późno na takie hulanki - powiedziałam głosem ochrypłym od papierosów. - Nawet jak na święta Bożego Narodzenia. Nie mogliście sobie znaleźć lepszego miejsca?

Laborde podniósł wzrok. Coś w jego spojrzeniu zmroziło mi krew w żyłach. Balsan podszedł do mnie i zdjął kapelusz. Miał ziemistą cerę.

- Coco, doszło do wypadku. - Przerwał, a ja milczałam. - Boy... Jedna z opon pękła w czasie jazdy. Jego siostra usiłowała tu dzwonić.

- Tak, telefon... - odparłam niepewnie, nie poruszając ani jednym mięśniem. - Nie działa.

- Zadzwonili do Misi. Ona zaś zadzwoniła do mnie. Przyjechałaby tu sama, tyle że. Tyle że była odurzona - pomyślałam. Nie mogła przyjechać.

- Coco. - Balsan zrobił krok w moją stronę. Z trudem powstrzymałam się, by nie podnieść dłoni i nie zatrzymać go jak przesądny chłop. To, co nie wypowiedziane, nie może przecież być prawdą. Wszystko dzieje się tylko w mojej głowie. To tylko zły sen. Kiedy się obudzę, to wszystko się skończy. - Samochód się przewrócił - powiedział. - Boy odniósł poważne obrażenia.

Stojący za nim Laborde wyszeptał:

- Powiedz jej prawdę, Etienne. Ona już wie. Balsan spojrzał mi w oczy.

- Wybuchł pożar. - Głos mu się załamał. - Coco, tak mi przykro.

Skinęłam głową. Nie odezwałam się ani słowem. Ruszyłam na górę, a psy pobiegły za mną, wyczuwając moją rozpacz. Wskoczyły na łóżko i ułożyły głowy na przednich łapach, czujnie mnie obserwując. Podeszłam do komody i zaczęłam wrzucać do torby podróźnej jakieś ubrania, na które nawet nie patrzyłam.

Wróciłam na dół. Balsan, który zdążył zdjąć płaszcz, wspierał się na ramieniu Laborde'a. Kiedy mnie zobaczył, powiedział z wahaniem:

- Twój kamerdyner poszedł zaparzyć nam herbatę. Usiądźmy i...

- Nie. - Mój głos wydawał się zadziwiająco spokojny. - Muszę tam jechać. Natychmiast. Zawieziesz mnie?

Balsan zawahał się, a Laborde powiedział:

- Pojedźcie moim samochodem. Ja zostanę tu z psami. - Spojrzał na mnie. - Gdybyś czegokolwiek potrzebowała, Coco. Naprawdę, czegokolwiek. Daj mi tylko znać. Mówię

poważnie.

Skinęłam głowę. Chciałam mu podziękować, ale słowa uwięzły mi w gardle. Kamerdyner wrócił i odprowadził mnie do samochodu, a następnie włożył moją torbę do bagażnika. Wsunęłam się na siedzenie i zajęłam miejsce obok Balsana.

- Możesz prowadzić? - zapytałam, bo wyczuwałam od niego alkohol. Misia musiała go wytropić na jednym z wypełnionych artystami poddaszy albo w którymś z nocnych klubów, które zwykle odwiedzał. Myślałam, że jest już w Royallieu i przygotowuje się do swojego przyjęcia.

Nagle uświadomiłam sobie, że zajmuję się sprawami, które nie mają znaczenia. Tylko jedno się liczyło.

- Mogę prowadzić. - Zapalił silnik, po czym wyciągnął dłoń w moją stronę, tak jakby zamierzał wziąć mnie za rękę.

- Nie rób tego - wyszeptałam. Wiedziałam, że jeżeli poczuje choćby jeden dotyk, jedną oznakę współczucia czy żalu, rozpadnę się na tysiąc kawałków. A tego nie mogłam zrobić. Jeszcze nie teraz.

Balsan zmienił bieg i ruszył w dół wzgórza.

Podczas naszej dwunastogodzinnej jazdy do Cannes nie odezwałam się ani słowem. Dotarliśmy na miejsce wieczorem i zaparkowaliśmy przed Grand Hôtel, gdzie zamieszkały siostra Boya i jej teściowa. Balsan był błydy ze zmęczenia. Nie chciałam się po drodze zatrzymywać. W hotelu zabrakło miejsc - jak poinformowała nas kierowniczką nadskakującym tonem osoby, która przez całe życie spełnia zachcianki innych. Do miasta zjechały całe tabuny Brytyjczyków, chcących spędzić w Cannes pierwsze święta od zakończenia wojny, a każdy hotel i każde kasyno były wypełnione aż po brzegi.

- Czy wie pani, kim ona jest?! - wrzasnął Balsan. Musnęłam jego rękaw.

- W porządku. Mogę spać gdziekolwiek. Nawet na podłodze w lobby, jeśli będzie trzeba. Nie krzycz.

Kierowniczką zadzwoniła do apartamentu Berthy, a ta zeszła na dół. Odebrało mi mowę, kiedy zobaczyłam jej zielone oczy i gęste, czarne włosy. Byli z Boyem tacy podobni. Poznałam ją, kiedy mieszkałam z jej bratem, a ona przyjechała na krótko do Paryża. Wyszła za arystokratę. Jej teść był zniedołężniałym lordem, który zmarł tydzień po ich ślubie. To małżeństwo zapewniło jej fortunę. Zbliżyła się teraz, żeby mnie uściskać, a ja zauważyłam, że oczy miała opuchnięte od płaczu. Chciałam ją odepchnąć. Przyszło mi do głowy, że śmierć jej teścia była złym znakiem, zwiastującym to, co miało spotkać Boya.

Bertha zaczęła łkać, wspierając się na moim ramieniu. Kiedy wreszcie odzyskała nad sobą panowanie, oznajmiłam:

- Chcę go zobaczyć.

Przycisnęła drżącą rękę do klatki piersiowej.

- To niemożliwe. On... trumna jest w kostnicy. Została już zaplombowana. Spojrzałam na nią tak, jakby powiedziała coś niestosownego.

- Zaplombowana?

- Tak. - Zadrżała, starając się opanować łzy. - Gabrielle, jego ciało spłonęło, i tak byś go nie poznała. Nie chciałabyś widzieć go w takim stanie. On też by tego nie chciał. Kiedy wczoraj ruszał do Paryża, nie mógł się doczekać, kiedy cię zobaczy. On... tak bardzo cię kochał.

Jechał do domu. Do Paryża. Do mnie.

Zaczęłam krzyczeć. Mój krzyk spłoszył recepcjonistów, kierowniczkę hotelu i mijających nas, zaciekawionych gości. Ale kiedy spojrzałam na Berthę, zrozumiałam, że krzyk ten

rozbrzmiewał jedynie w mojej głowie. Balsan dotknął mojego ramienia.

- Coco, musisz teraz odpocząć. Nie możesz nic więcej zrobić. Pozwoliłam, by razem z Berthą zaprowadzili mnie do jej apartamentu.

Następnego ranka, w pierwszy dzień świąt, powiedziałam Bercie, że chciałabym pojechać na miejsce wypadku. Jej teściowa, lady Michelham - jedna z tych ułożonych dam o dwóch czy trzech imionach - skrzywiła się z obrzydzeniem. Zdążyła już przywdziać czerń.

- Cóż za makabra. Nie ma tam nic do oglądania. Z wyjątkiem samochodu, który kazaliśmy odholować, bo taki widok może być nieprzyjemny dla podróżnych. Pogrzeb odbędzie się w Paryżu - mówiła dalej. - Odczytano testament w obecności Berthy. Chciał zostać pochowany na cmentarzu Montmartre. Ma do tego prawo, bo został kawalerem Legii Honorowej za zasługi w czasie wojny.

Przekazała mi te wieści tak, jakby czytała rubrykę towarzyską w jakiejś gazecie. Zwróciła się do mnie jak do intruza, którego karci się za to, że rozlał wino na obrus. Nie, nie postrzegала mnie jak zwykłego intruza. Była wyraźnie niezadowolona z mojego niespodziewanego przyjazdu i z tego, że zakłóciłam żalobę jej rodziny, a potem spędziłam bezsenną noc na szezlongu w jej apartamencie, paląc papierosa za papierosem i nie odzywając się ani słowem. Patrzyła na mnie z pogardą. Widziała we mnie typową, nisko urodzoną kochankę, która nie zna swojego miejsca -a miejsce to z pewnością nie było tutaj. Miałam szczęście, że Boy nie zdążył jeszcze przywieźć żony i córki z Londynu. W przeciwnym razie lady Michelham z pewnością nawet by mnie nie wpuściła.

Zignorowałam ją i zwróciłam się do Berthy:

- Balsan jest wyczerpany. Czy możesz pożyczyć mi swój samochód?

Skinęła głową. Kiedy jednak zesłam do lobby, ubrana w granatowy płaszcz i kapelusz, Balsan już na mnie czekał. Wiedziałam, że nie warto próbować go od tego odwieść. Determinacja malująca się na jego twarzy utwierdziła mnie w przekonaniu, że gdyby pojawiła się taka potrzeba, ruszyliby na miejsce wypadku piechotą.

Boy nie zdążył odjechać daleko. Do wypadku doszło zaledwie godzinę drogi od Cannes. Droga zakręcała tam ostrym łukiem, a na słupku kilometrowym dostrzegłam smugę jasnoniebieskiego lakieru.

Jego przepiękny samochód, wspaniałe bugatti, którym mknęliśmy po ulicach Paryża, leżało na drodze, przechylone na bok. Zostały tam już tylko zwęglone szczątki. Opony roztopiły się i przywarły do ziemi, a wygięte i poczerniałe szprychy unosiły się w górę niczym ręce wyciągnięte w błagalnym geście.

Szofer Berthy zatrzymał się niedaleko od miejsca wypadku. Balsan został w samochodzie, a ja ruszyłam samotnie w kierunku zwęglonej konstrukcji. Moje obcasy zgrzytały o podłoże. Poruszając się niepewnie, tak jakbym niedawno straciła wzrok, wyciągnęłam rękę i dotknęłam otworu w zmiażdżonych drzwiach. Przypuszczałam, że to właśnie tędy wyciągali jego ciało.

Panowała cisza. Niczym niezmacona cisza. Ani jeden ptak nie odzywał się na pobliskich topolach. Ani jeden powiew wiatru nie poruszył mojej spódnicy. Było tak, jakby cały świat wstrzymał oddech, by pozwolić mi zanurzyć się w tej chwili. Stałam tam i starałam się sprostać całkowitej destrukcji mojej egzystencji, stracie jedynej mężczyzny, którego kiedykolwiek rzeczywiście poznałam i którego życie było zbyt wspaniałe, zbyt intensywne, by mogło je ograniczać coś tak banalnego jak czas.

Miał trzydzieści osiem lat. Był zaledwie o dwa lata starszy ode mnie.

Żałowałam, że nie zginęłam tam razem z nim.

Odwróciłam się i podeszłam chwiejnym krokiem do słupka kilometrowego, wygiętego na

skutek uderzenia. Usiadłam, ukryłam twarz w dłoniach i pozwoliłam, by roztopiła się lodowa otchłań w moim wnętrzu. Kiedy mnie zalała, zawylałam z wściekłości tak gorącej i okrutnej jak ogień, który pochłonął Boya.

Siedziałam tam przez całą wieczność. Być może nigdy bym się nie ruszyła, gdyby Balsan nie podszedł do mnie, nie wziął mnie w ramiona i nie wyszeptał:

- Chodź, Coco. Zabiorę cię do domu.

AKT CZWARTY:

No. 5
1920-1929

„ALBO I JA ZGINE, ALBO DOKOŃCZĘ TO, CO ZACZĘLIŚMY”.

I

Balsan chciał zabrać mnie do domu. Ale w ciągu tych strasznych miesięcy, które nadeszły po śmierci Boya, nie było miejsca, które mogłabym nazwać domem. Opuściłam willę w Saint-Cloud. Zatrzasnęłam drzwi mieszkania przy *avenue de Tokio* i sprzedałam je, a następnie kupiłam dom o dachu pokrytym łupkiem i wymyślnej nazwie *Bel Respiro*, położony w podmiejskiej dzielnicy Garches w zachodniej części Paryża. Ze wszystkich stron otaczały go mury i ogrody. Zatrudniłam dawnych służących Misi. Joseph Leclerc, jego żona Marie i ich córka Suzanne mieszkali wcześniej u programowej ekscentryczki, ja jednak musiałam stanowić dla nich jeszcze większe wyzwanie.

Kazałam spowić całą swoją sypialnię w czerń, kolor, który wymazuje wszystko inne, ale ponieważ nie mogłam spędzić tam ani jednej nocy, poprosiłam Josepha, żeby wyzwolił mnie z tego grobowca i pościelił mi w innym pokoju. Prawie nie jadłam, choć Marie usiłowała znieść mnie różnym katalońskimi daniami, solidnymi mięsnymi potrawkami, które odsuwałam od siebie po kilku łykach. Moje pracownice szeptały między sobą, że *mademoiselle* wydaje się bardzo wymizerowana i niknie w oczach. Adrienne chodziła wokół mnie na paluszkach, tak jakbym mogła w każdej chwili wybuchnąć.

Miała zresztą po temu powody. Stałam się prawdziwą tyranką. Pierwsza przychodziłam do pracy i niecierpliwie tupiałam nogą w podłogę, popatrując na zegar i przypominając uwijającym się wokół mnie pracownikom, że w Chanel Modes obowiązują określone godziny pracy, a ja nie zamierzam tolerować spóźnień. Wiedziałam, że cierpienie jednej osoby może przynieść korzyści drugiej. Czyż ja sama nie zabiłam fortuny w czasie wojny? Obserwowałam wszystkich uważnie, żądałam dokładnego przestrzegania wszystkich zasad i czepiałam się najmniejszych szczegółów. Z nie mniejszą dokładnością sprawdzałam księgi rachunkowe - do czasu, aż madame Aubert, jedna z moich najbardziej zaufanych i najlepszych *premières*, poinformowała mnie, że jeżeli podejrzewam kogoś o kradzież, natychmiast złoży wymówienie. Ta groźba poskutkowała. Nie mogłam sobie pozwolić, by ją stracić. Personel mojego butik przy *rue Cambon* liczył teraz ponad sto szwaczek, a także niezliczone *habilleuses*, które asystowały klientkom w przymierzalniach oraz *vendeuses*, sprzedawczynie, które obsługiwały je na piętrze. Choć nieustannie mi powtarzano, że kupujące wołają, kiedy zajmuje się nimi projektantka, przyjmowałam tylko wybrane grono najważniejszych klientek.

One zaś nie przestawały przychodzić. Interes okazał się równie bezduszny jak śmierć. Kilka klientek radziło mi nawet: „Nie pozwól, żeby ta straszna rzecz cię pokonała. Musisz

o siebie dbać”.

„ Ta straszna rzecz”.

Właśnie to oznaczała dla nich śmierć Boya: postrzegały ją jako smutną okoliczność, taką jak wojna czy epidemia hiszpanki, która zabijała w tamtym czasie tysiące ludzi. Coś, co należało z żalem odnotować, ale czemu nie poświęcało się zbyt wiele czasu. W przyływie wściekłości, podczas gdy Adrienne podliczała zamówienia klientek, a ja ścisnęłam w dłoni długopis, który miałam ochotę wbić im w oczy, zaczęłam bazgrać na kartce papieru: „Capel i Coco, Coco

1 Capel, Capel i C o c o .”.

C i C. Z czasem miałam odwrócić te litery i spleść je w taki sposób, by wyglądały jak niezależne, choć połączone. Na zawsze. Miałam uczynić z tego symbolu swój znak rozpoznawczy. W ten sposób zamierzałam upamiętnić Boya.

Jedyną klientką, która okazała mi prawdziwe współczucie, była Kitty Rothschild. Wkroczyła do *atelier* ze łzami w oczach i odrzucając na bok konwenanse, przytuliła mnie

i powiedziała:

- Och, kiedy dotarły do mnie te wieści, zalała mnie czarna rozpacz! Moja nieszczęsna Coco, musisz być zdruzgotana. Pamiętam, jak na ciebie patrzył. Tak jakbyś była wszystkim, czego kiedykolwiek pragnął. Niewielu ludzi może liczyć na taką miłość. Pamiętaj o tym

w przyszłości, nawet jeżeli teraz nie jesteś w stanie o tym myśleć. Wiele osób zazdrościło wam tego, co was łączyło.

Nigdy nie zapomniałam tego gestu, dzięki któremu dzieląca nas bariera przestała na chwilę istnieć. Przez moment cały dystans wynikający z różnicy pochodzenia i statusów został zniwelowany. Choć nie przyznałam tego od razu, jej słowa przyniosły mi ulgę. Powiedziała coś, czego nikt inny nie śmiał przyznać: Boyowi i mnie zazdrozczono tego, że byliśmy dla siebie wszystkim.

Praca trzymała mnie przy życiu, choć z trudem powstrzymywałam łzy, pochylając się nad paskiem materiału albo odrywając mankiet sprawiającego problemy rękawa. Musiałam nadal projektować, produkować i sprzedawać ubrania - choć na razie postanowiłam odłożyć na bok kolekcję strojów wieczorowych.

Kiedy jednak wracałam z pracy i zostawałam w domu sama ze służbą, pogrążałam się w rozpacz. Nie mogłam spać. Nocami krążyłam po pokoju. W czasie tych strasznych miesięcy zdarzało mi się czuć tak, jakbym nie miała już siły dłużej żyć bez niego. Wszystko oblekało się w czerń, tak jak tamten pokój, do którego nie byłam nawet w stanie wejść. Sprowadziłam malarza i kazałam mu przekształcić to żałobne pomieszczenie w różowy, atlasowy buduar. Ale nawet wtedy przewracałam się z boku na bok w pościeli w kolorze goździków.

Moje ukochane Pita i Poppee były jedynymi istotami, które utrzymywały mnie przy zdrowych zmysłach. Potrzebowały spacerów i czułości. Wczepiały się we mnie jak dzieci, które czują, że stało się coś strasznego. Rano, kiedy ubierałam się do pracy, robiły takie zamieszanie, że zaczęłam zabierać je ze sobą do sklepu. Kiedy madame Aubert poinformowała mnie, że spędziła z Adrienne cały poprzedni dzień na zbieraniu sierści z witryny, rzuciłam jej gniewne spojrzenie i oznajmiłam:

- Może pani w każdej chwili odejść. Ale psy zostają.

Były ostatnim prezentem od Boya, jedyną żywą rzeczą, która mi po nim pozostała. Zwolniłabym cały personel, zanim zdecydowałabym się je porzucić.

Nie uczestniczyłam w jego pogrzebie, choć przyszło wielu ważnych dygnitarzy oraz przyjaciół. Później dowiedziałam się, że nie przyjechała także jego żona, którą wiadomość

o śmierci Boya tak wstrząsnęła, że prawie poroniła. Kiedy w styczniu odczytano jego testament, dostałam krótki list od londyńskiego prawnika. Boy zostawił mi kwotę 40 tysięcy funtów: wartość mojego butik w Biarritz. Tę właśnie sumę spłaciłam mu kiedyś z odsetkami. Do listu dołączona była niewielka paczuszka od Berthy. Kiedy wreszcie zmusiłam się, by ją otworzyć, znalazłam w środku zegarek Boya. Nadal działał.

Tamtego dnia nie wstałam już z łóżka.

Czas mijał, choć wbrew popularnemu powiedzeniu, wcale nie leczył ran. Pogłębiał tylko rozpacz i siał spustoszenie w moim sercu, w którym cały czas kłębiły się wspomnienia.

Czas jednak mijał, przynosząc krótkotrwałą, płytką ulgę. Misia zaklinała mnie, żebym jak najczęściej wychodziła z domu, spotykała się z przyjaciółmi, oglądała spektakle i balety. Co tydzień odwiedzała moją pracownię i siłą wyciągała mnie na lunche w Ritzu. Czasem dzwoniła wieczorami do mojego *atelier* - zdarzało mi się opuszczać je dopiero po północy, ponieważ usiłowałam w ten sposób uciec przed samotnością, która ogarniała mnie po powrocie do domu -

I proponowała, żebym dołączyła do niej i Serta. Zwykle odmawiałam, zaślaniając się tym, że mam daleko do domu. W końcu Misia zasugerowała, żebym wyremontowała mieszkanie nad

pracownią albo wynajęła apartament w Ritzu, tak żebyśmy mogły się częściej widywać.

Oba te pomysły wydawały się całkiem rozsądne. Żaden z nich szczególnie do mnie nie przemawiał, ale mimo to zdecydowałam się je zrealizować. Sprowadziłam projektanta wewnątrz, aby wyremontować mieszkanie, a następnie wynajęłam dwupokojowy apartament w Hôtel Ritz, z którego okien mogłam obserwować kochanków spacerujących wieczorami po Place Vendôme.

- Wyglądasz jak śmierć - zawyrokowała Misia, kiedy przyszła, żeby zabrać mnie na bankiet, który miał się odbyć w willi hrabiego de Graumonta i jego żony, mojej stałej klientki.

Jak mawiali Amerykanie, „wprosiłyśmy się” na to przyjęcie. Zaproszenie na tę wyjątkową uroczystość, na której Graumontowie pojawiali się w ekstrawaganckich kostiumach, a wyższe sfery mieszały się z przedstawicielami awangardy - otrzymał jedynie Sert, który malował dekoracje na tę okazję. Misia z oburzeniem przyjęła fakt, że zostałam pominięta.

- Przecież ubierasz hrabinę! I oni mają czelność wykluczać cię w taki sposób? Oznajmiła, że nie pojawi się na przyjęciu, jeżeli nie pójdę razem z nią. Choć wcale nie

miałam na to ochoty, postanowiłam na jedną noc powrócić z wygnania, na które sama się skazałam, i towarzyszyć jej podczas hulank.

- Nie sypiam ostatnio najlepiej - wyznałam.

- Nie sypiasz najlepiej? Kochanie, ty w ogóle nie sypiasz! Mogłabyś sprzedawać w swoim sklepie te worki, które masz pod oczami. Tak dalej być nie może. Nie pozwolę, żebyś i ty umarła.

Sert zarechotał. Siedziałam na tylnej kanapie samochodu, wtłoczona między tych dwoje.

- Tosh nie żartuje - powiedział, używając przyzwiska Misi. - Jeżeli ją do tego zmusisz, to siłą nakarmi cię pasztetem i rozbije obozowisko przy twoim łóżku.

Przyjęcie okazało się dla mnie prawdziwą męczarnią. Nie miałam nastroju ani na ryk saksofonów, ani na romantyczne tańce, ani na plotki, ale Graumont z radością przyjął fakt, że zjawiłyśmy się nieproszone, a następnie zaproponował mi, żebym uszyła kostiumy na następny bal. Później, kiedy Sert i Misia odprowadzili mnie do apartamentu w Ritzu, moja przyjaciółka otworzyła swoją ozdobioną koralikami torebkę, która zdawała się nie mieć dna, a następnie wyjęła z niej małą niebieską buteleczkę.

- Dziesięć kropli przed snem. Zobaczysz, będziesz spała jak dziecko. Nie możesz tak dłużej żyć. Masz jeść, pracować i odpoczywać. W przeciwnym razie naprawdę się do ciebie wprowadzę.

Nie wiem, czy stało się to za sprawą jej groźby, czy raczej przyjęcia, na którym czułam się kompletnie osamotniona, w każdym razie kiedy już wspięłam się po schodach prowadzących do mojego apartamentu i usłyszałam zza drzwi radosne szczekanie Pity i Poppée, mała buteleczka zaczęła mi dziwnie ciążyć.

Postawiłam ją na stoliku nocnym, poszłam wyprowadzić psy, a potem wróciłam do pokoju. Na przyjęciu zjadłam tylko kilka małych tartinek, ale nie czułam głodu. Byłam jak zwykle zmęczona, udręczona wspomnieniami strzaskanej przeszłości i pełnymi przerażenia rozważaniami o przyszłości.

„Lotos trzeba szanować. Nie można zapraszać go do siebie zbyt często...”

Sięgnęłam po buteleczkę, odkręciłam nakrętkę i zaaplikowałam sobie na język dziesięć kropelek gorzkiej cieczy w kolorze błota. Spojrzałam na psy, które leżały już na łóżku, pogrążone w beztróskim śnie danym jedynie zwierzętom - po czym połknęłam jeszcze pięć kropeł.

Nie zastanawiałam się nad tym. Nie wahałam się.

Misia miała rację. Po raz pierwszy, odkąd straciłam Boya, spałam jak dziecko.

II

- Oni pytają, czy mamy jakieś perfumy.

Adrienne przyszła na górę, do mieszkania, w którym przeprowadzałam właśnie inspekcję ostatnich zmian wprowadzonych przez mojego dekoratora wewnątrz. Musiałam zatwierdzać wszystkie wybierane przez niego meble i szukać dzieł sztuki oraz innych przedmiotów, które ozdobiłyby tę przestrzeń i uczyniłyby ją zdatną do zamieszkania. Po raz pierwszy miałam przed sobą czyste płótno, nie zaś w pełni urządzoną rezydencję. Chciałam, żeby to miejsce stało się moją przystanią, schronieniem, do którego mogłabym uciekać od obowiązków, nakładanych na mnie przez życie i pracę. Ledwo zwróciłam uwagę na Adrienne, która powtórzyła: - Amerykanie wykupują cały nasz asortyment, ale chcą wiedzieć, dlaczego nie sprzedajemy perfum.

Skrzywiłam się, przeglądając próbki tapet.

- Dlatego, że nie prowadzimy sklepu z pamiątkami. W Paryżu są setki miejsc, w których można kupić tysiące ohydnych zapachów, które na pewno spodobać się Amerykanom. Wyślij ich tam. - Odwróciła się, a ja dodałam: - I nie sprzedawaj im niczego na kredyt. Niech od razu zapłacą za to, co kupią. Jeżeli ktoś nie mieszka na stałe w Paryżu, nie dostanie kredytu. Nie będziemy mogli zażądać od nich zapłaty, kiedy już wrócą tam, skąd przyjechali. Zrozumiałaś?

- Tak, Gabrielle. - Wyszła, równie pochmurna jak zawsze. Ostatnimi czasy była nieustannie przygnębiona, bo choć mijał czas, perspektywa ślubu z Nexonem wcale nie stawała się bliższa.

Zapaliłam papierosa i podeszłam do dużych, wstawionych niedawno okien. Ta przestrzeń, niewiele większa od mojego apartamentu w Ritzu, wydawała mi się przytulna. Nie wiedziałam jednak, czy będę chciała tu sypiać. Zastanawiając się nad tym, zerknęłam na swoją torebkę, która leżała na jednym z połączonych, empirycznych foteli sprowadzonych przez projektanta.

Nie. Odwróciłam się. Nie w ciągu dnia. I nigdy w pracy.

Eliksir Misi stał się moim talizmanem.

Wreszcie zaczęłam regularnie sypiać i choć nie był to sen równie kojący jak przed śmiercią Boya, to jednak przynosił mi odrobinę wytchnienia. Zauważyłam, że zaczęłam coraz bardziej polegać na swojej buteleczce. Piętnaście początkowych kropli szybko zamieniło się w dwadzieścia, potem zaś w dwadzieścia pięć. Wprowadzały mnie w stan dziwnego odrętwienia, podczas którego unosiłam się w pozbawionej snów jaskini. Po przebudzeniu jeszcze długo nie mogłam dojść do siebie. Wreszcie wprowadziłam pewne zmiany w swoim grafiku i zaczęłam zjawiać się w *atelier* w południe. Przypuszczałam, że mój personel przyjął to z zadowoleniem.

Zachichotałam, myśląc o Amerykanach, którzy plądrowali właśnie półki mojego sklepu. Po wojnie zalali oni nagle Paryż. Gdziekolwiek się odwróciłam, słyszałam ich zgrzytliwy, nosowy akcent albo kaleczoną przez nich francuszczyznę. Zasiadli wszystkie dzielnice - Quartier Latin, Montmartre, St Germain - pochłaniając steki i *pommes frites*, i wyrzucając setki dolarów, tak jakby rosły one na drzewach. Pieniądze, pieniądze, pieniądze. Ich zasoby zdawały się niewyczerpane. Przeżywali swój złoty okres. Gwałtownie rozwijał się przemysł budowlany i motoryzacyjny, inwestowano w stal, koleje i wszystko inne, co dało się eksploatować, przekształcając ten rozległy kraj w niewyczerpaną żyłę złota. Przypomniałam sobie słowa Boya, który często powtarzał, że Ameryka jest dziwką gotową zrobić wszystko za dolara. Wybuchnęłam śmiechem. „Pytają, czy mamy jakieś perfumy.”

Prychnęłam, zgasłam papierosa i przywołałam swoje psy, które natychmiast przybiegły z sąsiednich pokoi. Perfumy. Tak jakby potrafili rozpoznać przyzwoity zapach. Pewnie myśleli, że sprzedawana w miejscowych aptekach woda toaletowa to perfumy!

Kiedy jednak ruszyłam na dół, żeby sprawdzić, ile zarobiłam tego dnia na Amerykanach, ta myśl nie dawała mi spokoju.

Parfum stworzony przez Chanel. To byłoby coś, prawda?

- Planuję wprowadzić na rynek perfumy - oznajmiłam kilka tygodni później, podczas jednej z kolacji u Misi i Jojo. Znowu zaczęłam ich odwiedzać, uczestnicząc w niezobowiązujących spotkaniach, na których pojawiali się ich stali goście: Cocteau, Picasso, jego żona Olga i całe zastępy innych postaci. Siedzieliśmy zwykle przy stole, piliśmy i rozmawialiśmy o sztuce. Bardzo się ze sobą zżyliśmy. Połączyła nas biegnąca przez Paryż arteria, którą płynęła krew w kolorze farby, gliny i atramentu - a w moim przypadku w odcieniach niebieskich, kremowych i koralowych. Wieczory u Sertów nie były nigdy zbyt poważne ani zbyt tajemnicze. Oprócz rozważań o propagowaniu sztuki i o tym, jak mogła ona zmieniać świat, rozmawialiśmy głównie o błahostkach. Zastanawialiśmy się, jak opłacić czynsz, jaki klub odwiedzić, kto z kim sypia i którego nowego koktajlu warto spróbować.

Odpowiadała mi swoboda i bez troska, panujące na tych spotkaniach. Pragnęłam wszystkiego co lekkie, hedonistyczne i ulotne. Im mniej musiałam myśleć, tym mniej wspominałam Boya. Zawsze pozostawał oczywiście przy mnie, czając się w zakamarkach mojego serca, ale widywałam go coraz rzadziej. Przestałam odwracać się z krzykiem na zatłoczonych ulicach i w restauracjach, ilekroć dostrzegłam kątem oka jakiegoś wysokiego mężczyznę o ciemnych, gęstych włosach. Zdarzały się dni, kiedy prawie nie płakałam. Doszłam do etapu, na którym jego wspomnienie zostało przeze mnie wchłonięte, wsiąkło w moją skórę niczym nieścieralna farba. Stało się częścią mnie, częścią, o której miałam już nigdy nie zapomnieć. Nadal jednak prześladował mnie jego zapach, ulatujący stopniowo z puloweru, który zachowałam, a także z ostatniego kompletu pościeli, której nie prałam od czasu, gdy razem w niej spaliśmy. Ten subtelny aromat mydła i skóry, piżma połączonego z cytryną - stał się nagle duchem, którego usiłowałam na próżno przyzwać.

Zapach. Znowu mnie prześladował. Dlaczego zaczęłam nagle gonić za rzeczą tak ulotną?

- Perfumy? - zawołał Cocteau. - L'eau de Coco! - Skrzywiłam się, a on posłał mi szeroki uśmiech. - Masz rację. To brzmi zbyt tropikalnie. Jak chciałabyś je nazwać?

Zawsze był ciekaw tego, co miałam do powiedzenia. Uwielbiał gromadzić informacje. W ostatnim czasie zaczął zgłębiać radykalne teorie Freuda oraz melancholijną poezję Rimbauda. Przywiązałam się do niego, bo Cocteau jako jedna z niewielu osób, które bywały u Sertów, szczerze interesował się modą.

- Jeszcze nie wiem - powiedziałam. - To tylko luźny pomysł.

- Poiret też sprzedawał perfumy, prawda? - zapytał Cocteau. - *Nuit de Chine*, *Lucreze Borgia* i kilka innych zapachów. Pamiętam opowieści o wystawnym przyjęciu, które urządził, kiedy wprowadzał na rynek pierwsze perfumy. Nie wydaje mi się, żeby cokolwiek na nich zarobił, ale używanie ich stało się dla jego klientek *de rigueur*.

- Tak, pachniały. - Zamilkłam i wzruszyłam ramionami. Jego perfumy były koszmarne, ale nie chciałam mówić tego na głos, zwłaszcza teraz, kiedy Poiret popadał stopniowo w ruinę,

a większość klientek porzuciła jego *atelier*. Kilka upudrowanych matron wciąż wyznawało jego zasadę, zgodnie z którą im wytworniej ubierała się kobieta, tym wydawała się bogatsza - ale młode pokolenie, córki i wnuczki tych samych matron, zdecydowanie opowiedziało się po mojej stronie.

- Na perfumach trudno zarobić - powiedziałam. - Poza tym na rynku jest już duża konkurencja. Może to nie najlepszy pomysł.

Misia ziewnęła, nieszczerze zainteresowana tematem opłacalności perfum.

- No cóż, nie angażuj się na razie w nowe projekty, kochanie, bo musisz uszyć moją

suknię ślubną. Poza tym jedziesz z nami w podróż poślubną do Włoch, prawda, Jojo?

Zaskoczona, odwróciłam się i spojrzałam na Sertę, który siedział obok mnie na sofie i zaciągał się cygaretką. Był grubym gnomem, owłosionym do tego stopnia, że czerń pokrywała także część jego poplamionych farbą dłoni - a mimo to łysym jak kolano. Uwielbiałam go. Stanowił ucieleśnienie swojej ojczyzny: prostolinijny, bezpretensjonalny i zaskakująco odczytany, choć nie odczuwał potrzeby, by się z tym obnosić. Wykazywał się też niezwykłą wprost cierpliwością. Nie miał wyboru, skoro mieszkał z Misia.

- A więc wreszcie poprosiłeś ją o rękę - powiedziałam.

Misia od miesięcy zadrezczała go prośbami o usankcjonowanie ich związku. Podejrzewałam, że nie chodziło jej o uroczystą ceremonię. Śmierć Boya wstrząsnęła nią na tyle, że zaczęła rozważać własną sytuację i zdała sobie sprawę, że ponieważ sama, w przeciwieństwie do mnie, nie zarabiała, w analogicznej sytuacji znalazłaby się nagle bez polisy ubezpieczeniowej takiej jak testament czy ugoda rozwodowa. Sert dużo zarabiał dzięki zamówieniom składanym przez amerykańskiego milionera Rockefellera, który zaprosił go do Nowego Jorku.

- Nie dawała mi spokoju - przyznał żartobliwie Sert. - Moja Tosh niechętnie przyjmuje odmowę. - Uśmiechnął się do mnie porozumiewawczo. - Zresztą sama zdążyłaś się już pewnie zorientować. Lepiej zacznij się pakować na wyjazd do Wenecji.

- Ale kiedy odbędzie się ślub? Jeszcze nic na ten temat nie słyszałem - zawołał Cocteau. Pozostali goście nie zwrócili uwagi na te wieści. Picasso był pogrążony w rozmowie

z jedną z tancerek Ballets Russes, a jego żona Olga siedziała tak blisko niego, jak tylko mogła, nie wskazując mu na kolana. Jej jurny Pablo chętnie flirtował z innymi kobietami.

- Ciebie też zamierzałam zaprosić - powiedziała Misia. - Na ślub. Nie do Włoch. Cocteau nadąsał się.

- Jestem nieduży. Zmieściłbym się do walizki.

Ale Misia już go nie słuchała. Przeniosła wzrok na mnie.

- Chcemy się pobrać w czerwcu, a do Włoch zamierzamy wyjechać niewiele później. Czy to ci odpowiada, kochanie?

Sama myśl o tym, że będę musiała uszyć dla niej suknię, sprawiła, że miałam ochotę natychmiast się od tego wymówić. Sert doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Uśmiechał się od ucha do ucha, odslaniając zęby pokryte plamami tytoniu.

- W czerwcu niestety nie mogę. - Staralam się powiedzieć to ze skrucą i ukryć ulgę, którą poczułam.

- Muszę jechać do Biarritz i zająć się swoją *maison*. Zbyt długo już nie odwiedzałam butik, poza tym zamierzałam spotkać się tam z Marthe Davelli. Mam spędzić w Biarritz cały lipiec.

Misia zmarszczyła brwi, nie kryjąc niezadowolenia. Zawsze przyjmowała niechętnie jakiegokolwiek wzmianki o moich pozostałych przyjaciółkach.

- Nic mi o tym nie mówiłaś.

- Nie było okazji. Przykro mi. Ale mogę mimo to zaprojektować twoją sukienkę.

- Nie, nie. - Poruszyła nadgarstkiem, pobrzękując niezliczonymi bransoletkami. -Zaczekamy.

- Zaczekacie? - zerknęłam na Sertę.

- Zaczekamy, aż będziesz gotowa - wyjaśnił. Pochylił się w moją stronę i wyszeptał. -Powinna wziąć ślub z tobą. Ja się dla niej nie liczę, ważna jest tylko twoja obecność. - W jego tonie nie słyszałam urazy.

Roześmiałam się i sięgnęłam po papierośnicę, on zaś uniósł brew i oparł się na kanapie z wyrazem zadowolenia na twarzy.

Następnego dnia zadzwoniłam do Marthe, żeby potwierdzić swój przyjazd do Biarritz pod

koniec miesiąca.

III

Butik w Biarritz był prawdziwą żyłą złota. Gdy tylko tam dotarłam, moja *première, madame Deray*, powitała mnie z uśmiechem na ustach i poprowadziła przez nieskazitelnie czysty sklep wprost do pracowni, w której szyto stroje sportowe z kosztownych materiałów, przeznaczone dla wymagających klientów odwiedzających kurort.

Sprawdzałam różne drobiazgi i wprowadzałam drobne poprawki, żeby umocnić swój autorytet, ale większość czasu spędzałam w towarzystwie Marthe Davelli, która przekonała mnie do otwarcia *maison* w Biarritz. W związku ze śmiercią Boya Marthe przekazała mi wyrazy głębokiego współczucia, po czym zaczęła organizować niezliczone rozrywki: poranki na plaży, późne lunchy, kolacje uświetniane grammi hazardowymi, a po nich trwające do świtu pełne szampana przyjęcia z muzyką jazzową, organizowane w nocnych klubach albo w jej apartamencie w kasynie.

Marthe zdecydowała się porzucić Constanta Saya. Say zbił fortunę na rafineriach cukrowych, ale w czasie wojny wszystko stracił. Ona zaś była cenioną sopranistką u szczytu kariery. Postanowiła wykorzystać to rozstanie, by spędzać czas w towarzystwie licznych kochanków. Ostatnio zainteresowała się wygnanym z Rosji przedstawicielem dynastii Romanowów.

Nie było to dla nikogo wielkim zaskoczeniem. Po rewolucji, w trakcie której zgładzono ostatniego cara, doszło do masowego *exodusu*. Każdy, kto miał w swych żyłach choćby kroplę błękitnej krwi, musiał salwować się ucieczką. I tak książęta i księżne, arcyksiężęta i arcyksiężne uchodzili wraz ze służbą ze swojej żądnej zemsty ojczyzny, zabierając ze sobą, co tylko mogli unieść - czyli najczęściej po prostu nic.

Marthe przedstawiła mi swojego kochanka podczas jednego z przyjęć w Biarritz.

- Moja droga, oto wielki książę Dymitr Pawłowicz, syn wielkiego księcia Pawła Aleksandrowicza i kuzyn cara Mikołaja II.

Co prawda nie musiała wyliczać tych tytułów i koligacji, ale w tym przypadku wydawało się to w pełni uzasadnione. Choć o dynastii Romanowów można było powiedzieć wiele złego, zawsze wywodzili się z niej wspaniali mężczyźni. Ten zaś jej przedstawiciel, który pochylił się właśnie, żeby ucałować moją dłoń - „*Enchanté, mademoiselle*” - stanowił uosobienie wszystkich romantycznych wyobrażeń o tym, jak powinien wyglądać prawdziwy książę. Był wysoki i szczupły, miał kasztanowe, wypomadowane włosy podkreślające kształtną głowę, orli nos i pełne usta. Zatrzymał na mnie wzrok. Jego głęboko osadzone oczy w kolorze bursztynu tak długo pozostawały nieruchome, że zaczęłam się zastanawiać, czy nie powinnam dygnąć.

- Dymitrze, bądź tak miły i przynieś Coco nowego drinka - poprosiła Marthe. - Ma pusty kieliszek.

Wziął ode mnie kieliszek do szampana, lekko muskając mnie przy tym palcami. Miał piękne dłonie, smukłe i blade - dłonie, które dawniej, zanim runął jego świat, zapewne nie miały przed sobą wielu wyzwania, a w najgorszym razie musiały posłużyć do przytwierdzenia ozdobnej szabli do pasa przed uroczystymi paradami.

- Czyż on nie jest cudowny? - wyszeptowała Marthe, kiedy odprowadziłam go wzrokiem, patrząc na jego szerokie ramiona. Nagle uświadomiłam sobie ze zdziwieniem, że poczułam... coś. Nie było to z pewnością uczucie tak obezwładniające jak to, którego doświadczyłam, kiedy poznałam Boya. Przypominało raczej delikatne mrowienie, które sprawiło, że lekko się uśmiechnęłam i odparłam:

- Owszem. Jest niesamowicie przystojny.

- Marzył, żeby cię poznać. Odkąd o tobie wspomniałam, nieustannie o ciebie wypytywał. Wiesz, że brał udział w zamachu na Rasputina? Jeżeli cię pociąga, możesz go sobie wziąć. Dla mnie jest zdecydowanie za drogi.

Zaprosiłam Dymitra do swojego łóżka. Nie da się tego inaczej powiedzieć. Przez resztę wieczoru nie odstępował mnie na krok. Pograżony w smutku, wyliczał wszystkie swoje przeżycia - począwszy od zamachu na Rasputina, faworyta carycy, a kończąc na zesłaniu na Syberię, ucieczce do Włoch, Hiszpanii i wyjeździe do Francji. To właśnie we Francji poznał Marthe dzięki swojej ciotce, wielkiej księżnej Marii Pawłownej, która po ucieczce z Rosji postanowiła zamieszkać w Paryżu. Opowieści Dymitra wydawały mi się nieco nużące - bolączki arystokratów były mi całkowicie obojętne - ale zainteresowanie, którym mnie obdarzał, zdecydowanie wykraczało poza ramy narzucane przez zasady dobrego wychowania. Dał temu wyraz pod koniec wieczoru, kiedy rozpasanie naszych towarzyszy osiągnęło już apogeum, a ja zaczęłam szykować się do wyjścia.

- *Mademoiselle* Chanel, czy mógłbym panią jutro odwiedzić? - wyszeptał ze staroświecką rezerwą, która rozbawiła mnie do tego stopnia, że ledwo zdołałam powstrzymać się od śmiechu. Wokół nas wirowały pijane i odurzone opium pary. Sama Marthe piszczała

z zachwytu, bo dwóch świetnie zbudowanych czarnoskórych członków zespołu posadziło ją sobie na barkach, nie przerywając przy tym ani na chwilę gry na puzonach.

- Po co czekać do jutra? - Sięgnęłam do torebki i podałam mu zapasowy klucz do mojego apartamentu. - Numer dwadzieścia pięć. Przynieś szampana. - Zanim Dymitr zdążył cokolwiek odpowiedzieć, ruszyłam do wyjścia zamaszystym krokiem. Nie spodziewałam się, że kiedykolwiek go jeszcze spotkam. Zdawałam sobie sprawę, że zachowałam się zbyt gwałtownie,

i byłam przekonana, że człowiek o tak wyrafinowanych gustach, nawykły do przestrzegania zasad etykiety, uzna mnie za osobę bezceremonialną i stanowczo zbyt nowoczesną.

Jednak już po godzinie rozległo się pukanie do drzwi. Nie użył klucza, który mu dałam. Mimo to, kiedy otworzyłam, ubrana w szlafrok, uciszając szczekające psy, Dymitr wszedł do środka z butelką bollingera w ręku. Postawił ją na toaletce, po czym odwrócił się w moją stronę. Na jego twarzy dostrzegłam rumieniec.

- To drogi szampan - zauważyłam, zerkając na butelkę. - Zakładam, że doliczyłeś go do mojego rachunku? - Także i tym razem nie czekałam na odpowiedź. Stałam nieruchomo, nie odrywając od niego wzroku, on zaś uniół swoje długie ręce i lekko drżąc, zaczął rozpinąć guziki ciemnoszarego garnituru, który najlepsze lata miał już za sobą.

Nie mógł sobie jednak z tym poradzić. Dłonie drżały mu tak bardzo, że podeszłam do niego i rzekłam:

- Pozwól, że ci pomogę. - Zdjęłam mu marynarkę i koszulę. Po chwili stał już przede mną z nagim torsem. Nie był opalony ani umięśniony jak Boy, wydawał się raczej eteryczny, drobny i nieskazitelny. - Jesteś piękny - powiedziałam.

Teraz, kiedy już znalazł się w moim apartamencie, zaczynałam żałować swojej pochopnej decyzji. Od śmierci Boya minęło niewiele ponad rok. Nagle wzdrygnęłam się na myśl o tym, że mógłby dotyczyć mnie inny mężczyzna.

Dymitr nie pozwolił mi jednak wypowiedzieć na głos tych wątpliwości. Zbliżył się, wziął mnie w ramiona, które okazały się - mimo swej szczupłości - wyjątkowo silne, a ustami przyłgnął do moich ust z żarliwością godną najbardziej widowiskowych scen pocałunków z moich ulubionych romansów. Bawiłby mnie absurd tej sytuacji, myśl o tym, że oto ja, pograżona w smutku i tęsknocie za zmarłym kochankiem, zachowuję się jak dziwka dotrzymująca towarzystwa zubożałemu rosyjskiemu księciu, który najchętniej by mnie oskubał - ale znowu poczułam to dziwne mrowienie. Tym razem było ono silniejsze, bardziej uporczywe,

a moje zmysły dały się porwać zwierzęcej wręcz żądzy.

Zbliżając usta do mojej szyi, Dymitr szeptał coś po rosyjsku. Nie rozumiałam znaczenia słów, ale to one w jakiś niezwykły sposób mnie rozpałyły. Zamknęłam oczy i pozwoliłam zanieść się do łóżka.

Postanowiłam, że ten jeden raz w życiu nie będę się nad niczym zastanawiała. Chciałam tylko poczuć coś, co nic nie znaczyło.

Dymitr został moim kochankiem. Kiedy wróciłam do Paryża, sprowadził się do mojego mieszkania w Garches. Josephowi i Marie nawet nie drgnęła powieka, gdy dowiedzieli się, że mój gość zajmie jedną z wolnych sypialni i nie wiadomo na jak długo. Musiałam dbać o pozory, choć Dymitr każdej nocy odwiedzał moje łóżko, a kiedy wracałam z pracy, jadałaliśmy razem kolacje, chodziliśmy do teatru i odwiedzaliśmy Sertów.

Z początku ten romans wprowadził Misię w osłupienie. Po raz pierwszy nie wiedziała, jak zareagować. Kiedy Jojo zaczął po kolacji opowiadać Dymitrowi o swoich ostatnich zleceniach, Misia zaciągnęła mnie do salonu i szepnęła:

- Kochasz go? Roześmiałam się.

- Nie żartuj.

- W takim razie po co ci to? Wydaje się bardzo młody. A tak właściwie, to ile on ma lat?

- Trzydzieści. - Uniosłam dłoń, uprzedzając kolejny wybuch. - Doskonale zdaję sobie sprawę, że jest osiem lat młodszy ode mnie i że nie ma grosza przy duszy. Nie obchodzi mnie to. Właśnie tego teraz potrzebuję.

- Czego potrzebujesz? Pomyślałaś o tym, jaki wybuchnie skandal? On należy do rodziny carskiej i wielu ludzi uważa, że jeżeli w Rosji powróci dawny porządek, to właśnie on zostanie prawowitym następcą tronu. - Nagle zamilkła i zmrużyła oczy. - A może właśnie o to ci chodzi? Jeśli się z nim zwiążesz, utworzysz sobie drogę do świata arystokracji. Choć twój książę nie posiada niczego poza ubraniami, które ma na grzbiecie i za które z pewnością sama zapłaciłaś, każda paryska matrona ze znamienitego rodu będzie gotowa zabić, by gościć go u siebie w domu. Zapraszanie na herbatę przebywających na wygnaniu Rosjan to ostatni krzyk mody.

- Myślisz, że kiedykolwiek obchodziły mnie takie rzeczy? - Za plecami usłyszałam pełen rezerwy śmiech Dymitra, który słuchał właśnie jednego ze sprośnych dowcipów Serta. - Jestem z nim, bo mnie to bawi. Nie obchodzi mnie opinia matron ze znamienitych rodów.

Misia prychnęła.

- Na pewno chciałabyś, żeby wszyscy w to wierzyli. Ale ja cię znam, kochanie. Wiem, że pragniesz akceptacji. A czyż istnieje lepszy sposób, żeby jej dostąpić, niż życie z oszałamiającym Romanowem?

- Myśl, co chcesz. On jest tylko moim kochankiem, nikim więcej. Poza tym - dodałam - zabieram go na twój ślub i podróż poślubną do Włoch. Jego siostra, wielka księżna Maria, spędza w Wenecji wakacje razem z naszym przyjacielem Diagilewem. Dymitr chciałby mi ją przedstawić.

Odeszłam, zanim zdążyła zaprotestować. Misi nie można było odmówić przenikliwości, ale tym razem po prostu się myliła. Podczas pobytu w Biarritz opowiedziałam Dymitrowi o tym, jak założyłam swój butik (nie wspominając przy tym słowem o Boyu ani o Balsanie), podzieliłam się z nim też pomysłem na stworzenie własnych perfum. Wiedziała, że Romanowowie szaleli za perfumami, podobnie jak za każdym innym symbolem luksusu. Dymitr wspomniał przy tej okazji o ulubionym *parfum* carycy Aleksandry, który powstał we francuskiej perfumerii Rallet, otwartej w Moskwie dzięki patronatowi Romanowów.

- Co za cudowny zapach - powiedział Dymitr. W jego głosie dało się słyszeć tęsknotę,

a wzrok wydawał się nieobecny jak zawsze, gdy wspominał dawne czasy. - Wciąż jeszcze go czuję: aromat róży, jaśminu i jakiegoś nieuchwytnego pierwiastka, który wszystkich zachwycał. Aleksandra nikomu nie pozwalała używać tego zapachu. Recepturę opracował Ernest Beaux, a Rallet zamierzał wprowadzić perfumy na rynek podczas obchodów jubileuszu carycy, ale okazały się tak drogie, że tylko ona mogła sobie na nie pozwolić.

- Czy masz ich próbkę? A może wiesz, gdzie znaleźć Ernesta Beaux? - zapytałam z nadzieją w głosie. Dymitr westchnął.

- Perfumy przepadły na zawsze, tak jak cała reszta. Beaux zaciągnął się w czasie wojny do wojska. Nie wiem, co się z nim stało. Może jest w Grasse? Rallet ma tam swoje pola. Niewykluczone, że moja siostra Maria może wiedzieć coś więcej.

W położonym na południu Francji Grasse słynne domy perfumeryjne, takie jak Coty i Guerlain, uprawiały specjalne gatunki kwiatów wykorzystywane do komponowania zapachów. Najchętniej pojechałabym tam bez chwili zwłoki, żeby odnaleźć tajemniczego Beaux, ale musiałam odłożyć te plany ze względu na zbliżający się ślub Misi, która zatelefonowała, aby poinformować mnie, że zamierzają wziąć z Sertem ślub już w sierpniu i że powinnam do tego czasu wrócić do Paryża.

Na przymiarki sukni ślubnej został zatem niecały miesiąc i okazały się one prawdziwą katorgą. Misia nie dawała się przekonać i nie zamierzała zrezygnować z tradycyjnego stroju, dlatego zdecydowałyśmy się ostatecznie na sprawdzone połączenie jedwabiu i koronek. Sama ceremonia ślubna była jednak prosta i skromna, a kiedy sierpniowe powietrze zaczynało gęstnieć nad Paryżem, wyruszyliśmy razem w miesięczny rejs wokół Włoch.

IV

Włochy mnie oczarowały. Nigdy nie byłam za granicą i natychmiast pokochałam podupadający majestat Wenecji i jej kręte kanały. Zatrzymaliśmy się na Lido, którego kamienistą plażę obmywały turkusowe wody laguny.

Sert okazał się idealnym towarzyszem podróży. Posiadał ogromną wiedzę, którą chętnie się dzielił. Pokazywał nam bizantyjskie konie w bazylice św. Marka, przepych obrazów Tycjana i innych malarzy, których dzieła prezentowano w miejscowych muzeach, prowadził nas też krętymi uliczkami do ukrytych restauracyjek, w których podawano pieczone wróble owinięte prosciutto. Był niezmordowany, my jednak traciłyśmy powoli siły. W końcu Misia nie wytrzymała i oznajmiła, że mamy już dość nieżyjących mistrzów, po czym zaciągnęła mnie do sklepów z antykami, pełnych pozłacanych masek, malowanych ikon i staroci, nad którymi unosił się zapach kadzidła.

Odkąd straciłam Boya, jeszcze nigdy nie byłam tak szczęśliwa. Często o nim myślałam, ale wspomnieniom tym nie towarzyszył już dławiący smutek - jego miejsce zajęły raczej tęsknota i żal, że nie mógł być tam ze mną, że nie mogłam dzielić się z nim fascynacją tym tonącym miastem nazywanym La Serenissima. Nie byłam już tak bardzo zależna od niebieskiego eliksiru Misi: plusk wody usypiał mnie na tyle skutecznie, że nie musiałam przytępniać swoich zmysłów. Moje zamiłowanie do luźnych, sięgających nad kostkę spodni inspirowanych strojami gondolierów oraz żeglarskich pulowerów i sandałów na korkowych podszewkach wpłynęło na światową modę.

Dymitr okazał się jednak kulą u nogi. Z jego twarzy nie zniknął smutek. Zachowywał się tak, jakby całe otaczające go piękno przypominało mu tylko to, co utracił. Szybko zaczęły mnie męczyć jego humory, nocne napady kaszlu, które nasilały się pod wpływem wilgoci, a także coraz większe zamiłowanie do alkoholu i dość monotonnego seksu.

Misia, która zauważyła moje rozczarowanie, zadała ostateczny cios: - Słyszałam, że był do szaleństwa zakochany w swoim kuzynie, Feliksie Jusupowie, który razem z nim uknuł plan zamachu na Rasputina. Po rewolucji spotkali się nawet w Londynie, ale wkrótce się pokłócili, bo Jusupow nieustannie się przechwalał, że pomógł obalić cara. Dymitr zarzucił Feliksowi, że zagraża jego planom zdobycia władzy. - Nie reagowałam, więc Misia na chwilę zamilkła, po czym dodała: - Mam nadzieję, że się zabezpieczasz. Mężczyźni, którzy spiąją z innymi mężczyznami... No cóż... mogą zarażać okropnymi dolegliwościami. Gdybyś dostała trypra i musiała przyjmować rtęć, trudno byłoby ci to pogodzić z twoim napiętym grafikiem.

Przewróciłam oczyma. Nie zamierzałam jej informować, że w ostatnim czasie Dymitr interesował się wyłącznie wódką. Ożywał się tylko przy okazji spotkań z siostrą i Diagilewem w *palazzo* przy Canale Grande. Wielka księżna Maria gościła u żony znamienitego włoskiego arystokraty. Podobnie jak paryskie elity, włoska arystokracja nie mogła się oprzeć towarzystwu wygnanej z ojczyzny rosyjskiej księżnej - niezależnie od kosztów, jakie się z tym wiązały.

Diagilew był zachwycony naszym przyjazdem. Dotąd spędzałam z nim czas wyłącznie podczas przyjęć organizowanych po występach Ballets Russes, ale przy takich okazjach był zawsze odurzony i skupiony na swoim najnowszym tancerzu. Dopiero teraz zauważyłam, jak szczerą, choć niepozbawioną nieufności sympatią darzył Misię, która nie próbowała jak zwykle zdominować konwersacji, kiedy żalił się na problemy finansowe związane z próbami ponownego wystawienia *Święta wiosny*. Sam Strawiński wyjechał do Szwajcarii, gdzie dochodził do siebie po ataku duru brzuszego. Pech zdawał się go jednak prześladować.

- Udało mu się wreszcie połączyć ze swoją rodziną, ale jego żona Katia cierpi na suchoty, a on ledwo wiąże koniec z końcem - wyznał Diagilew. - Chcę go sprowadzić z powrotem do Paryża i na nowo pokazać światu jego geniusz. Czasy się zmieniły. Jestem przekonany, że tym razem odnieśliśmy wielki sukces.

Jeżeli szukał potwierdzenia tych słów, to go nie znalazł. Misia milczała jak zaklęta, skupiona wyłącznie na tym, żeby zabezpieczyć własną przyszłość. Sympatia i zainteresowanie, jakie okazał mi Diag, całkowicie mnie zaskoczyły. Przypatrując mi się przez monokl, zasypywał mnie pytaniami o moje sklepy i plany stworzenia własnych perfum. Był tęgi, miał podwójny podbródek i ogromną głowę, która zdawała się wyrastać wprost z jego masywnych ramion. W jego czarnych jak heban włosach dostrzegłam siwe kosmyki. Ubierał się krzykliwe, choć zarazem stylowo. Miał wielkie dłonie upstrzone pierścieniami i nosił szkarłatną, haftowaną marynarkę z aksamitu oraz adamaszkowy krawat z czarną perłą.

- To typowo rosyjskie - oznajmił, zwracając się do wielkiej księżnej. - Prawda? Może to Francuzi stworzyli perfumy na miarę współczesności, ale to my najlepiej wiemy, jak ich używać. Pamiętasz, jak mieszkańcy Moskwy, zarówno kobiety, jak i mężczyźni, przychodzili wyperfumowani na balet tak, że cały teatr pachniał jak letni ogród? Ach, cóż to było za wspaniałe uczucie. Miało się wrażenie, że wkroczyło się do świątyni Afrodyty, by umrzeć z rozkoszy.

Wielka księżna Maria uśmiechnęła się. Podobnie jak Dymitr, była ucieleśnieniem majestatu Romanowów. Miała grube rzęsy i symetryczne rysy twarzy, a jej delikatna skóra zdawała się nietknięta promieniami słońca. Ponieważ sama uwielbiałam się opalać, wyglądałam przy niej jak Hinduska. Na szczupłych palcach księżnej zauważyłam jednak otarcia, a skórę dłoni miała spierzchniętą jak szwaczka.

Dostrzegła moje spojrzenie, kiedy nalewała herbatę. Z powagą skinęła głową, po czym powiedziała:

- Musisz mnie odwiedzić po powrocie do Paryża. Otworzyłam swoje małe *atelier*, które nazwałam Kitmir. Zajmuję się przede wszystkim haftami i koralikami. *Madame Vionnet* zatrudniła mnie do pracy przy niektórych swoich sukniach. Może mogłabym pomóc i tobie.

Skoro zatrudniła ją *Madeleine Vionnet*, Maria Pawłowna musiała się rzeczywiście znać na tym, co robiła. Byłam pod wrażeniem. W przeciwieństwie do swojego brata, który potrafił tylko lamentować i pić, księżna postanowiła zakasać rękawy i wziąć się do pracy.

- Możemy teraz liczyć tylko na siebie - dodała, kiedy zapewniłam, że złożę jej wizytę. -Przeszłość odeszła bezpowrotnie. Trzeba się teraz zająć codziennymi sprawami.

Zamierzałam zapytać, czy wie coś na temat perfum *carycy*, ale uprzedził mnie Dymitr, który nagle wy dobył się z odrętwienia:

- Wspominałem *Coco* o wyjątkowych perfumach Aleksandry. Bardzo ją to zaintrygowało i chciałyby się dowiedzieć, czy znamy recepturę albo wiemy, gdzie szukać Ernesta Beauxa.

Maria poprowadziła mnie w milczeniu przez korytarze ogromnego *palazzo*. Kiedy dotarliśmy do jej sypialni, otworzyła szufladę w biurku, po czym wyjęła z niej maleńki flakonik.

- Oto *Rallet* numer jeden. Ta hołota splądrowała nasze pałace i wszystko rozkradła, nie uchroniły się także zapasy perfum Aleksandry. Niewykluczone, że to ostatni flakonik, jaki istnieje.

Z nabożną ostrożnością odkorkowałam szklaną buteleczkę i przyłożyłam ją do nosa. Moje nozdrza wypełnił intensywny zapach: złożona alchemia kwiatów, w której wyczułam jakąś głębszą nutę kojarzącą się z bogactwem i przywilejami. Zapach przywodził na myśl status *carycy*, luksus i wyrafinowanie. Perfumy były nieco inne, niż sobie wyobrażałam, i wydawały się odpowiednie raczej dla starszych kobiet, ale mimo to pomyślałam, że są absolutnie wyjątkowe.

- Śmiało - powiedziała Maria. - Sama ich nie używam, nigdy do mnie nie pasowały.

Wylałam kilka kropli na nadgarstek i czekałam. Kiedy po raz kolejny zbliżyłam rękę do nosa, wzięłam głęboki oddech. I oto ją odnalazłam: esencję, której szukałam, nie potrafiąc jej nawet zidentyfikować, ten nieuchwytny zapach, równie niepokojący jak niespodziewany. Tajemniczy powab rozpalonej kobiety wśród szeleszczącej białej pościeli.

Spojrzałam na Marię jak zahipnotyzowana, a jej wyraz twarzy natychmiast złagodniał.

- Ernest Beaux rzeczywiście mieszka w Grasse, w miasteczku La Bocca. Nadal pracuje dla Rallet, ale prowadzi też własną pracownię, w której przygotowuje perfumy dla swoich stałych klientów. Jeżeli ktokolwiek mógłby odtworzyć perfumy Aleksandry, to właśnie on.

- Ja... muszę się z nim spotkać - powiedziałam.

- Tak, tak przypuszczałam. - Odwróciła się do biurka. - Przygotuję list polecający. Z Wenecji ruszyliśmy do Florencji, stamtąd do Pizy, a potem do Rzymu. Pod

rozgrzanymi ruinami Koloseum Sert wyrzucił ramiona w górę i oznajmił, że oto patrzymy na nieopogrzebany szkielet Rzymu.

- Architektura to kości miasta. Wszystko to kości. Obraz, rzeźba, nawet my: twarz bez kości nie może przetrwać. A ty - dodał, szczypiąc mnie w policzek - będziesz wyglądała ładnie nawet po śmierci.

Choć podróż przyniosła wiele oszałamiających wrażeń, zaczynałam już mieć dość Misi i życia na walizkach. Chciałam wrócić do pracy, wyruszyć do Grasse i rozpocząć poszukiwania moich perfum. Byłam już zdecydowana. Maria Pawłowna dała mi swój flakonik, podkreślając, że traktowała go tylko jako pamiątkę, w której przechował się zapach carycy Aleksandry.

W zamian za to obiecałam, że odwiedzę ją w Paryżu i zacznę składać u niej zamówienia dla mojego *atelier*. Chciałam, żeby pomogła mi stworzyć suknie, które mogłyby równać się z projektami Madeleine Vionnet - musiałam bowiem zrezygnować z dystansu, który utrzymywałam dotychczas między sobą a swoją rywalką. Jeżeli chciałam wprowadzić na rynek perfumy, potrzebowałam też odpowiednich strojów o rosyjskim charakterze, kreacji przywołujących splendor minionej epoki.

Kiedy wróciliśmy do Francji jesienią 1921 roku, nie byłam już zadurzona w Dymitrze.

Miałam nową obsesję.

V

Pod koniec roku nadeszły tragiczne wieści.

Moja młodsza siostra Antoinette, której pochopnie zawarte małżeństwo z Oscarem Flemingiem zakończyło się - zgodnie z moimi obawami - katastrofą, poznała Argentyńczyka i uciekła z nim do Buenos Aires. Zaszła w ciążę, a kochanek szybko ją porzucił. Podobny los spotkał już kiedyś Julię. Antoinette znalazła się zatem w obcym kraju, bez grosza przy duszy. Wysłała mi rozpaczliwy list za pośrednictwem uprzejmego nieznanego, który przyjął ją pod swój dach - ta wiadomość dotarła do mnie jednak za późno. Okazało się, że moja siostra zaraziła się hiszpanką i zmarła.

Odprawiłam służbę, nakazując, żeby mi nie przeszkadzano, a następnie zamknęłam się w pokoju i oplakiwałam ją. Przypomniłam sobie swoją lekceważącą reakcję, kiedy wyznała mi, że zamierza wyjść za mąż; swoją irytację tym, że gotowa jest zadowolić się każdym, kto pojawił się w jej życiu; i swoją głęboką pewność, że już nigdy się nie zobaczymy. A teraz odeszła. Byłam ostatnią żyjącą córką, która zrodziła się z nieszczęśliwego związku moich rodziców. Kiedy już zdołałam się otrząsnąć, napisałam do Louise i zapytałam, czy wie, co się stało z naszymi braćmi, Alphonsem i Lucienem. Moja mieszkająca w Moulins ciotka odpisała, że obaj żyją. Alphonse był weteranem wojennym i dzięki rządowym subsydiom otworzył sklep *tabac*. Ożenił się i miał trójkę dzieci. Lucien poszedł z kolei w ślady naszego ojca: został wędrownym handlarzem i zapładniał kolejne nieszczęśliwe kochanki, do czasu aż się ustatkował - na tyle, na ile był do tego zdolny mężczyzna z rodziny Chanel.

Chcąc uczcić pamięć Antoinette i Julii, zaczęłam co miesiąc wysyłać braciom pieniądze. Napisałam też do swojego siostrzeńca André, który uczył się w Anglii w szkole z internatem, i zaprosiłam go do Paryża, żeby spędzić z nim kilka dni. Sama idea posiadania rodziny budziła we mnie przerażenie, bo nigdy nie wybrałabym świadomie ludzi, pośród których przyszło mi się urodzić. Zależało mi jednak na tym, żeby poznać swojego siostrzeńca.

Jego widok stanowił dla mnie duże zaskoczenie: mimo wyraźnego podobieństwa do Julii został obdarzony kanciastą twarzą i marzycielskimi oczami o długich rzęsach, charakterystycznymi dla wszystkich mężczyzn z rodziny Chanel. Przekonałam się też ze zdumieniem, jak bardzo przypominał mojego ojca. Miał prawie dziesięć lat i był drobnej budowy, zupełnie jak ja. Kiedy wszedł do mojego butiku przy *rue Cambon*, rozejrzał się uważnie wokół siebie, oglądając witryny. Zeszłam na dół, żeby go powitać. Na wstążce wokół mojej szyi wisiały nożyczki, w żakiet wczepione miałam zbłąkane igły i nici, a u moich stóp radośnie podskakiwały psy.

André podał mi rękę. Przystanęłam, uśmiechnęłam się i uścisnęłam mu dłoń. Stał sztywny i wyprostowany, i witał się ze mną tak, jakby miał do czynienia z jakąś ważną osobistością.

- *Mademoiselle* Chanel - zwrócił się do mnie płynną francuszczyzną. Mówił z lekkim akcentem, świadczącym o tym, że uczył się w angielskiej szkole. - Bardzo się cieszę, że mogę panią poznać. - Nie spojrzał nawet na Pitę i Poppée, które rozpoczęły dokładną inspekcję jego sznurowanych butów.

Moje pracownice gruchały wokół nas, przyciskając z zachwytem ręce do piersi w tym charakterystycznym geście, który wykonują zwykle kobiety zachwycające się czymś dzieckiem.

- Witaj. - Puściłam do niego oko. - Mam nadzieję, że szybko się poznamy. Mów do mnie *tante* Coco. *Mademoiselle* Chanel brzmi tak, jakbym była twoją nauczycielką, a przypuszczam, że od nauczycielek chętnie na razie odpoczniesz.

Na jego białych policzkach pojawił się delikatny rumieniec.

- *Tante Coco* - powtórzył, najwyraźniej zbity z tropu moją bezpośredniością. Nagle wykrzywiła mu się twarz, tak jakby z trudem powstrzymywał czkawkę. Po chwili rozległ się cichy, mokry kaszel, który mój siostrzeniec usiłował stłumić, zasłaniając usta.

- Jesteś chory? - zapytałam. - Przeziębiles się na statku?

- Nie, nie - odpowiedział, ale znowu kaszlnął, tym razem mocniej. Adrienne pobiegła na zaplecze po szklankę wody. - To nic takiego, zwykły kaszel. Już się do niego przyzwyczaiłem - Wydawał się zawstydzony, tak jakby miał zajęczą wargę albo inny szpecący defekt. - Nie wolno mi przez to grać w krykieta. Dyrektor mówi, że wszystko przez moje francuskie płuca.

Sięgnął po szklankę, którą podała mu Adrienne. Kiedy sączył wodę, uważnie mu się przyjrzałam. Był bardzo szczupły. Z początku nie zwróciłam na to uwagi, bo wciąż dobrze pamiętałam, jak chudzi byliśmy ja i moje rodzeństwo w jego wieku: mieliśmy węzłowate kolana i kostki oraz łokcie, które przypominały kołki. My jednak nie mieliśmy co jeść, w przeciwieństwie do André, którego za radą Boya umieściłam w najdroższej angielskiej szkole z internatem. Biorąc pod uwagę koszty nauki i wyżywienia, mój siostrzeniec powinien być pulchny i rumiany.

- Usiądź tu. - Zaprowadziłam go do stojącego nieopodal krzesła. Opróżnił całą szklankę, ale nie chciał więcej pić. Jego kaszel na chwilę ustał, ale niepokoił mnie fakt, że André z trudem łapał oddech, a na jego skroniach zarysowały się niebieskie żyłki. - Jesteś zmęczony? Masz za sobą długą podróż. Może pójdziemy do domu i trochę odpoczniesz?

- Ja. - Zawahał się, a potem pochylił się i pogłaskał moje psy, które usiadły przy nim z uroczystymi minami.

Miałam wrażenie, że nie nawykł do formułowania swoich życzeń, więc naciskałam:

- Co chciałbyś robić? To twoje wakacje. Możemy pojechać, dokąd tylko zechcesz. Tym razem nie ulegało wątpliwości, że jego rumieniec wynikał z onieśmienia.

- Jeżeli to nie kłopot, chciałbym obejrzeć twoją pracownię. Słyszałem, że jesteś bardzo sławna.

- Bardzo sławna! - zawołała Adrienne. - To najsłynniejsza projektantka w całym Paryżu! - Posłała mu promienny uśmiech. - A ja jestem twoją stryjeczną babką, więc musisz mówić do mnie *tante* Adrienne.

- To znaczy, że mam dwie ciotki? - Spojrzał na nas z podziwem. W tamtej chwili zobaczyłam w jego oczach swoją nieżyjącą siostrę, nasze utracone dzieciństwo i to straszliwe poczucie, że nigdy nie zdołamy odnaleźć swojego miejsca.

- Owszem. - Wzięłam go za rękę. - Chodź, pokażę ci, jak sławna jest twoja ciotka. Szedł za mną, szeroko otwierając oczy ze zdumienia, ja zaś oprowadzałam go po całym

sklepie - od znajdującego się na parterze butiku aż po salon na drugim piętrze, gdzie klientki udawały się na przymiarki i gdzie prezentowałam swoje kolekcje. Pokazałam mu też mieszkanie na trzecim piętrze oraz pracownię pełną stołów z materiałami i manekinów, na których modelowano ubrania pośród stukotu maszyn do szycia i trajkotu szwaczek.

Przedstawiłam mu muślinowe *toiles*, na których powstawały moje stroje, a także przeróbki sukni, nad którą pracowałyśmy, zanim się zjawił.

- To suknia dla baronowej. Potrzebuje jej na przyszły tydzień, ale muszę ją przerobić, bo baronowa bardzo schudła od czasu ostatnich przymiarek i. No cóż, tym się właśnie zajmuję. Sam widzisz: może i jestem sławna, ale moja praca nie jest tak naprawdę szczególnie efektowna.

- Och, ależ jest. - Wydawał się szczerze zafascynowany tym, co zobaczył. - Nigdy nie widziałem czegoś podobnego.

- Wobec tego kiedy skończysz szkołę, musisz tu przyjechać i dla mnie pracować -oznajmiłam. Wypowiadając te słowa, zdałam sobie sprawę, że mówię to absolutnie szczerze. Nie

sądziłam, że stanie mi się tak bliski. Mimo że był synem mojej siostry, nigdy wcześniej nie budził we mnie matczynych uczuć, ale teraz, kiedy przechadzał się po mojej pracowni i zadawał uprzejme pytania, na które moje szwaczki odpowiadały z niekłamanym podziwem, patrzyłam na niego szklącymi się ze wzruszenia oczami. Zorientowałam się, że do oczu napłynęły mi łzy, dopiero kiedy Adrienne wcisnęła mi do ręki chusteczkę.

- Uważaj - wyszeptała. - Jeszcze ludzie się dowiedzą, że masz jednak serce. Posłałam jej gniewne spojrzenie, po czym otarłam oczy.

- Czy on nie wydaje ci się wymizerowany? Jest za chudy, prawda? Pokiwała głową.

- Tak. Ten jego kaszel. bardzo mnie niepokoi.

- Pójdę z nim do specjalisty. Francuskie płuca, dobre sobie. Jeżeli to szkoła za to wszystko odpowiada, jeszcze mnie popamiętaj! Za pieniądze, które im płacę, powinni rozpalać co wieczór kominek w jego pokoju, żeby nie męczyła go ta przekłeta angielska wilgoć.

Zapisałam André do najlepszego lekarza w Paryżu. Kiedy na jego prośbę mój siostrzeniec zdjął koszulę, odsłaniając przerażająco wąską klatkę piersiową, starałam się ukryć dręczący mnie niepokój. Obawiałam się, że lada chwila usłyszę diagnozę: gruźlica.

- To drobne niedomaganie w oskrzelach - oznajmił doktor. - Musi przebywać w ciepłe, a najlepiej w suchym klimacie.

To jednak nie wchodziło w grę: André musiał przecież skończyć szkołę. Odesłałam go do Anglii z torbą pełną ziołowych leków i zadzwoniłam do dyrektora, żądając regularnych kontroli stanu jego zdrowia. Zanim mój siostrzeniec wyjechał, zabrałam go do Ritza na podwieczorek. Myślałam, że uzna to za kwintesencję angielskości, on jednak tylko się roześmiał i oznajmił, że w Eton nigdy nie podawano tak wspaniałych rogalików ani eklerów. Apetyt, z jakim je pochłaniał, trochę mnie uspokoił. Zapytałam też André o postępy w nauce. Nie narzekał na złe traktowanie i wydawał się bardzo zadowolony ze swojej szkoły. We znaki dawało mu się tylko wątłe zdrowie, które sprawiało, że czuł się inny od pozostałych chłopców i musiał pogodzić się z pewnymi ograniczeniami.

- No cóż, powinieneś znaleźć inne obszary, na których będziesz mógł udowodnić swoją wartość - powiedziałam. - Bądź najlepszym uczniem i czytaj wszystko, co ci wpadnie w ręce. Rozwiniesz w ten sposób swój umysł. Edukacja to najważniejsza rzecz, jaką możesz otrzymać. Bez niej staniesz się tylko jeszcze jednym wołem, który gnie kark pod narzuconym mu jarzmem.

Przechylił głowę, rozważając moje słowa. Po chwili przytaknął z tą samą niezwykłą dojrzałością, która dawała mi pewność, że mimo wątłej konstytucji fizycznej i niepokojącego podobieństwa do moich braci, André wyrośnie na wspaniałego młodego mężczyznę. Byłam przekonana, że nie odziedziczy zamiłowania do ciągłych podróży, powodującego takie spustoszenie w życiu mężczyzn z rodziny Chanel.

- Lubię czytać. I nie chcę być żadnym wołem. - Uśmiechnął się. Nagle wstał bez ostrzeżenia, okrążył stół i ku mojemu zaskoczeniu, mocno mnie przytulił. Nic przy tym nie powiedział. Po prostu mnie objął, a jego drobne ciało wbiło się we mnie jak drzazga. Po chwili powiedziałam łagodnie:

- Uważaj, jeszcze pomyślą, że jesteśmy kochankami. - Natychmiast ugryzłam się w język, przeklinając swoją nieumiejętność postępowania z dziećmi.

- Kocham cię, *tante* Coco. Pachniesz Paryżem - odpowiedział.

Po śmierci Antoinette poczułam się wreszcie jak sierota. Przed tym uczuciem broniłam się przez całe dzieciństwo. Przysięgłam sobie, że André nigdy go nie doświadczy, nie pozna smaku samotności, która dotknęła mnie i moje rodzeństwo. Będzie miał mnie.

Latem 1922 roku, kilka tygodni po wyjeździe André i niedługo przed moim wyjazdem do

Grasse, wyszłam ze swojego *atelier* nieco wcześniej niż zwykle i skierowałam się w stronę Hôtel Continental, który znajdował się przy *rue Castiglione*, niedaleko *rue Cambon*. Wszłam do lobby i poprosiłam, by przekazano jednemu z gości wiadomość. Pół godziny później na dole zjawiał się Diagilew. Był rozczochrany i roztaczał wokół siebie cierpką woń papierosów i alkoholu. Zamrugał, wyraźnie zdezorientowany. Jego nasiąknięty wódką mózg zidentyfikował mnie dopiero po dłuższej chwili.

- *Mademoiselle Chanel* - wyjąkał - nikt mnie nie uprzedził, że to pani mnie odwiedziła. - Moja wizyta wyraźnie wytrąciła go z równowagi: oto wymuskany suweren Ballets Russes został zdemaskowany i okazał się brzuchatym, nadużywającym alkoholu człowiekiem.

Podaliśmy mu zapieczętowaną kopertę. Patrzył na nią ze zdumieniem do czasu, aż wyjaśniłam:

- Myślałam o tym, co mówił pan w Wenecji o Strawińskim i o wznowieniu *Święta wiosny*. Absolutnie się zgadzam: jest geniuszem. Byłam na pierwszym przedstawieniu, w 1913 roku. W kopercie znajdzie pan środki, które powinny umożliwić sprowadzenie go do Paryża

i rozpoczęcie prac nad spektaklem. Proszę mu przekazać, że *couturière* Coco Chanel zaprasza go wraz z rodziną do swojego domu Bel Respiro. Może tam spędzić tyle czasu, ile tylko zechce, aż uda mu się znaleźć bardziej odpowiednie miejsce. Mam tylko jeden warunek.

Diagilew spojrział na mnie ze zdziwieniem. Nadal trzymał w ręku kopertę.

- Nikt nie może się o tym dowiedzieć - powiedziałam. - Mam nadzieję, że go pan przyjmie.

Uśmiechnęłam się i ruszyłam do drzwi, doskonale zdając sobie sprawę, że gdy tylko rozedrze kopertę i znajdzie mój czek opiewający na trzysta tysięcy franków, natychmiast zadzwoni do Misi. Uwielbiałam ją, ale nadszedł już czas, żeby zrozumiała, że nie muszę się jej podporządkowywać w każdej sprawie.

Strawiński przyjechał tydzień później. Jego żona została w Szwajcarii z córkami, które musiały skończyć semestr w przyklasztornej szkole. Kompozytor wydawał się wymizerowany i wychudzony, a jego wydatne usta drżały, kiedy po wielekroć mi dziękował, proponując, że aby odpłacić za moją wspaniałomyślność, Katia może sprzątać dom.

- Nonsens - odparłam. - Mam do tego służbę. Pańska żona powinna odpocząć. - Zaprezentowałam mu fortepian Steinwaya, który kazałam przed jego przyjazdem przenieść do salonu, po czym zaprowadziłam go do przeznaczonego dlań pokoju. Na korytarzu minęliśmy Dymitra, który posłał Strawińskiemu pełne wściekłości spojrzenie, a kiedy kompozytor zobaczył przestronny apartament, który dla niego przygotowałam, z trudem powstrzymał łzy wzruszenia.

- Czy to twój najnowszy kochanek? - rzucił Dymitr, gdy zostaliśmy sami. Od wielu miesięcy nie okazał takiej namiętności. - Ten wrak w okularach, który cuchnie wdzięcznością i nędzą?

Zmierzyłam go wzrokiem, dając do zrozumienia, że to pytanie nie zasługuje na odpowiedź. Dymitr sam wyglądał jak wrak, a ilości wódki, które w siebie wlewał, zaczynały budzić uzasadniony niepokój.

- Ukryję przed tobą całe zapasy alkoholu i zamknę je na klucz, jeżeli w tej chwili się nie wykąpiesz i nie włożysz czystej koszuli - oznajmiłam po dłuższej chwili. - Jutro wyjeżdżamy do Biarritz i nie chcę, żebyś wyglądał jak beżpański pies. Przyjdź do Ritza na dziewiątą. Zamierzam się tam dziś zatrzymać.

Nasz romans dogorywał - co do tego nie miałam wątpliwości. Nadal jednak potrzebowałam Dymitra. Musiał pomóc mi podczas tego jednego, ostatniego zadania.

Najpierw pojechaliśmy moim rolls-royce'em do Biarritz, gdzie odwiedziłam swoją

maison. Okazało się, że zyski zaczęły stopniowo spadać, ponieważ bogaci kuracjusze przenieśli się do Cannes i do Monte Carlo. Ruszyliśmy krętymi drogami przez Tuluzę aż do Nimes i zatrzymaliśmy się w Marsylii, a następnie w Cannes, gdzie zaczęłam rozglądać się za miejscem, w którym mogłabym otworzyć nowy sklep. Na koniec udaliśmy się do położonego w Grasse miasteczka La Bocca. Kilka dni zajęło nam odnalezienie laboratorium Ernesta Beauxa, skrytego między bezkresnymi uprawami róż, jaśminu i aromatycznej lawendy. Trafiliśmy do oazy spokoju, znajdującej się w pięknym, niezwykle bogatym regionie, który już w XVII wieku stał się ośrodkiem francuskiego przemysłu perfumeryjnego. Kiedy już znaleźliśmy laboratorium Beauxa, jego pracodawcy z Rallet nie chcieli nas do niego dopuścić. Ugięli się dopiero wówczas, kiedy pokazałam im list polecający napisany przez wielką księżną Marię Pawłówną, a Dymitr osobiście odwiedził ich podczas popołudniowej herbaty w należącej do nich rezydencji.

Tak jak przypuszczałam, obecność prawdziwego Romanowa ostatecznie przekonała właścicieli Rallet, którzy strzegli zwykle swoich perfumiarzy równie pilnie jak sekretów swoich perfum. Po dwóch dniach spędzonych w sielankowym Grasse otrzymaliśmy niespodziewanie wiadomość, że Beaux zgodził się poświęcić nam godzinę.

Ernest Beaux okazał się kapryśnym człowiekiem o wydatnym nosie, zapewne przydatnym w tej profesji. Miał na sobie laboratoryjny kitel i był mniej więcej w moim wieku. Wydawało się, że powód naszej wizyty nieszczególnie go interesuje - do czasu, aż wyjęłam z kieszeni małe flakoniki Rallet numer jeden. Beaux zaniemówił i długo obracał ją w dłoniach.

- Nie przypuszczałam, że kiedykolwiek zobaczę jeszcze te perfumy - powiedział. - Sądziłem, że przepadły na zawsze.

- To byłaby niepowetowana strata. Ten zapach jest wspaniały. Chociaż - dodałam po chwili - nie utrzymuje się wystarczająco długo. Zbyt szybko się ulatnia. Chciałabym, żeby pan.

- Ulatnia się? - Spojrzał na mnie z niedowierzaniem. - Używała ich pani?

- Oczywiście. - Miałam ochotę zapalić papierosa, ale powstrzymałam się, przypuszczając, że Beaux nie byłby zachwycony, gdyby to nieskazitelnie czyste pomieszczenie wypełniło się dymem. - Musiałam je sprawdzić. Teraz rozumiem, dlaczego caryca zgromadziła tak duże zapasy. Bardzo szybko tracą woń. Zapach znika już po dwóch godzinach.

- O to mi właśnie chodziło. Jej wysokość pragnęła perfum, które utrzymywałyby się tylko podczas oficjalnych spotkań i innych okazji towarzyskich. Nie chciała ich czuć, kładąc się do łóżka.

Nie przekonywały mnie jego zapewnienia. Nuta, którą wyczuwałam, wydawała się niezwykle zmysłowa, a wszyscy wiedzieli, jak głębokim uczuciem Aleksandra darzyła swojego męża Mikołaja.

- No cóż, ja natomiast potrzebuję perfum, które utrzymywałyby się dłużej - oznajmiłam. Kiedy Beaux zaczął protestować i zapewniać, że to niemożliwe, przerwałam mu: - Bez względu na koszty. Zdaję sobie sprawę, że takie perfumy nie będą tanie. Zresztą zależy mi na tym, żeby były jak najdroższe, bo tylko w ten sposób mogą stać się towarem luksusowym. Ale muszą też być warte swojej ceny. Zależy mi na tym, żeby niektóre nuty zostały wydobyte i żeby utrzymywały się jeszcze długo po tym, jak ulotni się początkowy bukiet. Chciałabym, żeby moje perfumy naśladowały i uwydatniały to, co naturalne, ale jednocześnie musimy unikać przesady - powinny wyróżniać każdą kobietę, podkreślać jej indywidualność i zapisywać się w pamięci.

A przede wszystkim zapach musi się utrzymywać odpowiednio długo.

Zauważyłam, że początkowy sceptycyzm Beaux zaczął powoli ustępować, a jego źrenice wyraźnie się rozszerzyły. Zorientował się, że spędziłam wiele czasu na poznawaniu złożonej alchemii zapachów. Zajmowało mnie to już od kilku miesięcy. Po powrocie z Włoch poświęciłam tej kwestii wyjątkowo dużo uwagi. Moje mieszkanie przy *rue Cambon* szczególnie

wypełniały stopy książek poświęconych tej tematyce. Rozumiałam i doceniałam skrupulatną pracę oraz naukę, które były tak ważne w procesie produkcji perfum.

- Myślałam o tym, żeby dodać bardziej pudrowe nuty - zasugerowałam. - Na przykład korzeń irysa. A poza tym syntetyczne aldehydy, które zapewniłyby perfumom większą trwałość. Proszę nie bać się eksperymentów.

Zamilkłam, czekając na jego odpowiedź. Wahał się przez chwilę, po czym nachylił się nad leżącym przed nim blokiem listowym i zaczął coś gryzmolić. Kiedy skończył, raz jeszcze westchnął.

- Szanuję pani wizję, ale mam też świadomość, że dotychczas nikt nie zdecydował się na realizację takiego przedsięwzięcia, a już na pewno nie próbowano sprzedaży takich perfum

w żadnym z domów mody. Poza tym zgodnie z kontraktem podpisanym z Rallet nie mogę dokładnie odtworzyć perfum, które opracowałam specjalnie dla carycy. Tamta receptura jest ich własnością.

Nachyliłam się w jego stronę i położyłam ręce na dzielącym nas stoliku.

- Nie proszę, żeby je pan odtwarzał. Nie chcę, żeby moje klientki pachniały jak nieżyjąca caryca. - Wziął głęboki oddech, wyraźnie zszokowany moimi słowami, ja zaś dodałam: - Jestem gotowa ponieść naprawdę wysokie koszty, jeżeli zgodzi się pan przyjąć to zlecenie. Dymitr... -Rozejrzałam się, ale ku mojej irytacji Dymitr zdążył już gdzieś tymczasem zniknąć, jak to miał ostatnio w zwyczaju. - Wielki książę zapewniał, że jest pan najbardziej utalentowanym perfumiarzem na świecie. Chciałabym wykorzystać jedynie niektóre elementy pierwotnej receptury i na ich podstawie stworzyć zupełnie nowy zapach. To panu pozostawiam decyzję, jaka droga ma prowadzić do tego celu.

Wreszcie udało mi się go usidlić. Natychmiast to rozumiałam. Beaux był prawdziwym wizjonerem. W jego zawodzie istniała ogromna konkurencja, nieustannie pojawiały się dziesiątki nowych perfum, branża intensywnie się rozwijała - a Ernest Beaux nie potrafił zapomnieć o swojej miłości do wyjątkowego zapachu, który stworzył dla carycy Aleksandry. Poza tym przed przyjazdem zdążyłam też poznać nieco lepiej jego sytuację. Nie był głównym perfumiarzem Rallet, ja zaś dałam mu życiową szansę. Doskonale wiedział, że żadna umowa nie mogła pozbawić go praw do receptury perfum. Mówiąc, że zatrudniająca go firma posiada prawa do Rallet numer jeden, ewidentnie skłamał. Najwyraźniej chciał w ten sposób sprawdzić stan mojej wiedzy.

- Ile mam czasu? - zapytał wreszcie.

Przez chwilę zastanawiałam się nad odpowiedzią.

- Tyle, ile będzie trzeba. Mogę wynająć willę gdzieś w okolicy. Zaczekam.

- To może potrwać dłużej, niż pani przypuszcza, *mademoiselle* - ostrzegł. - Destylacja perfum to skomplikowany proces, nie stworzę ich z dnia na dzień.

- Zdaję sobie z tego sprawę. - Wyjęłam książeczkę czekową i wypisałam sumę, a następnie wyrwałam czek i położyłam go przed nim na stole. - Czy to wystarczy na początek? Beaux głośno wypuścił powietrze, wyraźnie oszołomiony.

- Moi pracodawcy będą bardzo wdzięczni za.

- Nie, nie. - Uśmiechnęłam się. - Pańscy pracodawcy nie mogą się o tym dowiedzieć. Zatrudniam wyłącznie pana, *monsieur* Beaux, a nie Rallet & Co. Szczegóły tej transakcji muszą zostać między nami.

Kiedy skinął głową i schował czek do kieszeni, wyciągnęłam rękę w jego stronę. Przez chwilę patrzył na mnie dezorientowany, po czym niepewnie uścisnął mi dłoń.

- Robienie z panem interesów to prawdziwa przyjemność, *monsieur* Beaux. Odwróciłam się i ruszyłam w stronę drzwi, on zaś powiedział:

- To się okaże, *mademoiselle*. Na razie niczego jeszcze pani ode mnie nie dostała.

- Och, ale dostanę - odparłam. - Nie mam co do tego wątpliwości.

Stopniowo traciłam zainteresowanie Dymitrem, ale leniwe miesiące, które spędziliśmy w wynajętej przeze mnie willi, pływając, chodząc na zakupy do okolicznych sklepów i spacerując wieczorami z Pitą i Poppée - okazały się jednym z najbardziej sielankowych okresów w moim życiu.

Dymitr odzyskał dawną wrażliwość: był troskliwy w ciągu dnia i pełen energii w czasie nocy, podczas których dotrzymywał mi towarzystwa. Obcując na co dzień z morzem i słońcem, przestał się nad sobą rozczulać i zaczął mniej pić.

Pewnego wieczoru wyszeptał:

- Wiem, że to się niedługo skończy. Nie kocham cię, ty też mnie nie kochasz. Ale chcę ci powiedzieć, jeszcze zanim się rozstaniemy, że jestem ci bardzo wdzięczny za dobroć, którą mi okazałaś. Nigdy o tym nie zapomnę. Zanim cię spotkałem, byłem zagubiony, ale teraz mam siłę, żeby ruszyć w świat i coś osiągnąć, tak jak to zrobiła Maria. Jej też okazałaś niezwykłą wspaniałomyślność. Wiem, że zaczęłaś już u niej zamawiać suknie. Coco, uratowałaś nam życie.

Odwrociłam wzrok, wzruszona tym niespodziewanym wyznaniem.

- Mówisz tak, jakbym była przynajmniej Joanną d'Arc. A przecież ty też mi pomogłeś, podobnie jak twoja siostra. Nie dałam wam niczego bezinteresownie. - Zachichotałam

i spjrzałam mu w oczy. - Znasz mnie już na tyle, żeby wiedzieć, że nigdy tego nie robię. Zmarszczył brwi.

- Robisz dla innych o wiele więcej, niż jesteś skłonna przyznać.

Beaux przygotował jedenaście próbek. Umieścił je w jednakowych, opatrzonych numerami flakonach, które ustawił obok siebie w szeregu. Przez cały dzień nic nie jadłam i nie paliłam. Mój nos miał być tak czysty, jak to tylko możliwe. Nie mogłam sobie pozwolić na najmniejszy choćby błąd.

Beaux zaczął od ostatniego flakonu. Otwierał je kolejno, a przed każdą z prób starałam się zaczerpnąć jak najwięcej powietrza. Czekałam. Jeśli zapach dawał pewne nadzieje, umieszczałam kroplę danej próbki na kartce papieru i energicznie poruszałam nią w powietrzu. Prace te odbywały się w wyjątkowo szczelnym, dobrze odizolowanym pomieszczeniu. Dymitr czekał za drzwiami. Wychodziłam do niego z każdą próbką, on jednak ciągle potrząsał głową i mówił:

- Nie, to nie to.

Wiedziałam, że szukał ulotnego zapachu swojego dzieciństwa. W ten sposób odrzuciłam próbki od jedenastej do szóstej.

Beaux podał mi buteleczkę z numerem pięć. Ta cyfra była moim talizmanem, który dostrzegałam na kamiennych płytach w Aubazine i w symbolach gwiazd. Zamierzałam właśnie pochylić się nad kolejną próbką, kiedy usłyszałam w tyle głowy głos przeoryszy, tak głośny, jakby stała tuż przy mnie w swoim habicie:

„Wiatr, ziemia, ogień, woda i najważniejszy spośród nich: duch. Wszystko, co wokół siebie widzimy, składa się z tych pięciu żywiołów. Piątka to najświętsza cyfra na firmamencie”.

I wtedy wciągnęłam powietrze.

Trwało to dosłownie chwilę. Coś się we mnie poruszyło, rozbudziły się na nowo wspomnienia wykrochmalonej pościeli ułożonej w szafkach w Aubazine, ługowego mydła, którego nadal używałam, chłodnego lasu Compiègne, po którym jeździłam z Balsanem, charakterystyczną świeżość Emilienne. Nagle zadrzałam i gwałtownie przysunęłam dłoń do twarzy, żeby ukryć napływające mi do oczu łzy. Poczulałam kuszący zapach skóry rozgrzanej pożądaniem - mój własny zapach w tamtych chwilach, gdy Boy wypełniał całe moje jestestwo.

- To właśnie to - wyszeptalam. - To ten zapach. Beaux zaprotestował:
- *Mademoiselle*, zostały jeszcze cztery próbki. Ta, którą pani wahała, nie jest. - Zmarszczył brwi, wyraźnie skonsternowany. - To pomyłka. Dodałem za dużo jaśminu. Zamierzałem nawet pominąć tę próbkę, ponieważ produkcja takich perfum okazałaby się wyjątkowo kosztowna, ale ostatecznie tego nie zrobiłem, bo efekt wydał mi się interesujący. Ale nie przypuszczałem, że możesz ją wybrać.
- To właśnie to. - Wylałam sobie kilka kropeł na nadgarstek, poczekałam, aż się wchłona, po czym znowu przyłożyłam sobie do nosa. - Nie muszę już wahać kolejnych próbek. To moje perfumy. Chanel No. 5.
- Wyda pani na to majątek. Koszty produkcji tych perfum będą prawie tak wysokie, jak w przypadku Rallet numer jeden.
Oczywiście. Jak mogłoby być inaczej.
- Potrzebuję stu flakoników - oznajmiłam. - Jutro do pana zatelefonuję i przekażę dalszą część zamówienia.
Wtarłam jeszcze odrobinę tego wspaniałego zapachu w szyję i nadgarstki, wypisałam kolejny czek na pokazną kwotę, po czym wyszłam do Dymitra, otoczona obłokiem perfum. Zbliżyłam się do niego i odchyliłam głowę.
Westchnął.
- Teraz pachniesz jak Romanowowie.
Rozstaliśmy się z Dymitrem w Biarritz. Czule go pożegnałam i zostawiłam mu dość pieniędzy, by zgodnie z zapowiedzią mógł coś osiągnąć. Jak się okazało, zamierzał zrealizować ten cel, poznając dziedziczkę jakiejś fortuny. Zanim wyjechałam, wręczył mi błękitne, pokryte aksamitem pudełeczko, w którym znajdował się sznur wspaniałych pereł ze starym, diamentowo-złotym wisiorkiem.
- Skąd.? - Nie dokończyłam i pozwoliłam, żeby to pytanie nie zostało dokończone. Oboje doskonale wiedzieliśmy, że Dymitra nie było stać na tak ekstrawagancki prezent, chyba że kupił go za moje pieniądze.
- Należały do mojej ciotki. To jedna z niewielu rzeczy, które zdołałam ze sobą zabrać, wyjeżdżając z Rosji. Przez cały ten czas przechowywałam je w sejfie w kasynie. - Skrzywił się. - Liczyła na nie Marthe Davelli, ale nasz związek nie był wart tego, żeby rozważać obdarowanie jej perłami Romanowów.
- W naszym przypadku jest podobnie. Te perły to rodzinna pamiątka. Powinieneś dać je swojej siostrze.
- Maria ich nie chce. Wie, że postanowiłem ci je podarować i w pełni to popiera.
Nie był może idealnym kochankiem, ale ten gest - podobnie jak wcześniejszy gest jego siostry - głęboko mnie poruszył.
- Nie mogę nosić ich publicznie - zażartowałam, chowając pudełko do torebki. - Niejeden byłby gotów poderżnąć mi gardło, żeby tylko je dostać.
- Wobec tego ukryj je pośród swoich sztucznych pereł - odparł Dymitr, mimowolnie podsuwając mi pewien pomysł. - Nikt nie zdoła poznać, które są prawdziwe. W ten sam sposób ukrywasz przecież prawdziwą siebie.
I tak oto wróciłam do Paryża z perłami Romanowów i setką flakoników o geometrycznych ściankach, przypominających próbki testowane przeze mnie w laboratorium Beaux. Byłam zachwycona prostotą tego projektu. Razem z Misią, która oczywiście musiała mieć coś do powiedzenia w tej kwestii, zaprojektowałam elegancki korek w kształcie diamentu, stanowiący odwzorowanie Place Vendôme, a także białe pudełko z czarnym obramowaniem. Na

szyjce flakonu znajdowała się pieczęć z otoczonym kółkiem „C”, a na zakrętce widniało moje nowe logo składające się z dwóch odwróconych względem siebie liter „C”. Dawałam te perfumy w prezencie swoim najwierniejszym klientkom. Kazałam też ekspedientkom rozpylać je w butikach każdego popołudnia, w porze, kiedy spodziewałam się wizyt klientek. Modelki, które zatrudniałam jako żywe manekiny, na których tworzyłam swoje stroje i prezentowałam kolekcje - miały stale ich używać, także poza butikami.

Nie reklamowałam perfum w żaden inny sposób i dbałam o to, żeby o nich mówiono.

- *Mademoiselle* - mówiły - ten *parfum* jest wspaniały. Proszę sobie wyobrazić, że kiedy ostatnio spryskałam się nim przed wyjściem do opery, przyjaciółki zasypywały mnie pytaniami i chciały się koniecznie dowiedzieć, gdzie go kupiłam.

- Pytały o moje perfumy? - zapytałam z udawanym zaskoczeniem. - Ależ to był tylko prezent dla pani i dla kilku innych klientek. Wyraz wdzięczności. Odkryłam je w czasie wakacji w małej perfumierii w Prowansji. Nie pamiętam nawet nazwy tamtego sklepu. A zatem podobały się pani przyjaciółkom?

- *Mademoiselle*, one były nimi zachwycone! Musi pani sprowadzić więcej flakonów i zacząć je sprzedawać!

Perfumy Chanel No. 5 odniosły błyskawiczny sukces. Kiedy Beaux przysłał mi wiadomość, że produkcja może ruszyć, złożyłam duże zamówienie z myślą o moich sklepach w Paryżu, Deauville i Biarritz. Wszystko sprzedało się w ciągu kilku tygodni. Natychmiast potrzebowałam kolejnych butelek, bo zamierzałam lada chwila wypuścić nową, zimową kolekcję inspirowaną rosyjskim przepychem - miał to być efekt współpracy z Marią Pawłówną.

Wykorzystując wspaniałe umiejętności księżnej, zaprojektowałam rubaszkę, chłopską koszulę uszytą z czarnego krepdeszynu. W mojej kolekcji znalazły się też obszyte karakułami płaszcze z aksamitu; czarne, czerwone i złote tabardowe sukienki z kwadratowymi dekoltami, błyszczącymi, haftowanymi mankietami i niskim stanem; a także rozłożyste suknie wieczorowe zdobione gagatem. Oferowałam też bardziej tradycyjne, codzienne stroje: jasnoszare, podbite fularem pelerynki z frędzlami z wiewiórczego futra; szenilowe swetry i szkockie trykoty z jedwabnymi *bandeaux* idealnie pasującymi do nowej krótkiej fryzury „na chłopaka”; a także kapelusze-klosze ozdobione szpilkami ze sztucznymi kamieniami. Moje buty na niskim obcasie z zapięciami na guziki i odważne, sięgające do połowy łydki spódnice wzbudziły wielkie poruszenie. Zapoczątkowały styl nazywany w Paryżu *la garçonne* - było to nawiązanie do skandalizującej powieści Victora Margueritte'a - a w Londynie i Nowym Jorku określaną mianem „chłopczycy”.

Rosyjska kolekcja zapewniła mi międzynarodowy rozgłos. Od momentu, w którym ją zaprezentowałam, zaczęły spływać do nas niezliczone zamówienia, a mój salon pękał w szwach. Musiałam zatrudnić więcej ekspedientek, a mój personel wzbogacił się o kilka rosyjskich księżnych i hrabin, które szukały pracy po tym, jak sprzedały resztki biżuterii, żeby zapewnić sobie dach nad głową. Pod koniec 1922 roku zatrudniałam w swoich trzech zakładach dwa tysiące osób.

Błagałam Beaux, żeby dostarczał mi więcej flakonów No. 5, bo zapotrzebowanie okazało się tak duże, że nie nadążaliśmy z realizacją zamówień. Niestety zadanie go przerosło, to zaś skłoniło mnie do poszukiwania nowych partnerów w biznesie - z biegiem czasu miało się okazać, że będę tego kroku gorzko żałowała.

VI

Mój własny, prywatny skandal czekał w Bel Respiro w Garches.

Sfinansowana przeze mnie druga premiera wznowionego *Święta wiosny* Strawińskiego w reżyserii Diagilewa okazała się prawdziwym triumfem, a tancerze Ballets Russes wyruszyli w trasę po Niemczech i Hiszpanii. W czasie gdy kompozytor podróżował razem z zespołem, jego żona i dwie chorowite córki (wyglądało na to, że nikomu w tej rodzinie nie będzie dane dożyć późnego wieku) przyjechały ze Szwajcarii. Były już na miejscu, kiedy wróciłam z Biarritz, a Strawiński zjawił się niedługo po mnie. Przy pierwszej możliwej okazji zatrzymał mnie w salonie i wyznał mi dozgonną miłość.

Choć do pewnego stopnia mi to schlebiało, jego wyznanie stanowiło kompletne zaskoczenie.

- Ale przecież pańska żona jest na górze - zaprotestowałam. Przez deski podłogi słyszeliśmy jej głośny, uporczywy kaszel.

- Ona o wszystkim wie - powiedział. - Komuż, jeśli nie jej, mógłbym się zwierzyć z tak poważnej sprawy?

Niech Bóg ma mnie w swej opiece - pomyślałam. Zdążyłam właśnie porzucić jednego ubogiego, rosyjskiego kochanka i z całą pewnością nie byłam gotowa na kolejnego. Rozgorączkowany Strawiński chwycił mnie za rękę dokładnie w chwili, w której moja gospodyni Marie wkroczyła do pomieszczenia z herbatą i ciastkami. Niczego nie dała po sobie poznać, postawiła tacę na stole i wyszła. Podobną dyskrecją wykazywał się zwykle jej mąż, mój kamerdyner Joseph. Obawiałam się, że nie mogę liczyć na to samo ze strony Strawińskiego, który chwilę później, kiedy cofnęłam rękę i zaprotestowałam, potwierdził moje przypuszczenia.

- Obawiam się, że to niemożliwe - powiedziałam. - Ja nie jestem... Nie odwzajemniam pańskich uczuć. - Jego podłużna, wymizerowana twarz stężała, kiedy dodałam: - Och, bardzo pana lubię i podziwiam pański niezwykle talent, ale to wszystko. Jest pan żonaty.

- Kochała już pani innych żonatyh mężczyzn - wybuchnął. Nie potrafiłam rozstrzygnąć, czy powodowała nim wściekłość, czy raczej żal. Niezależnie od tego, co nim kierowało, zdecydowanie nie podobały mi się aluzje do mojego związku z Boyem. Po chwili Strawiński westchnął. - Widzę, że wszystko, co o pani słyszałem, okazało się prawdą. Pani serce jest zajęte.

Ta melodramatyczna scena stawała się coraz bardziej komiczna i pewnie bym się roześmiała, ale te ostatnie słowa kompletnie mnie zaskoczyły.

- Wszystko, co pan o mnie słyszał? - powtórzyłam. Wyciągnął z kieszeni pogiętą żółtą kartkę.

- Ostrzegano mnie przed panią. Myślałem, że pani uczucie do Romanowa szybko wygaśnie, tym bardziej że nie ma on zbyt wiele do zaoferowania tak spełnionej kobiecie.

- Czy mogę spojrzeć? - Wzięłam od niego kartkę - telegram wysłany z Hiszpanii do Paryża - i przeczytałam:

COCO TO ZWYKŁA SZWACZKA, KTÓRA WOLI WIELKICH KSIĄŻĄT OD ARTYSTÓW.

Zgniotłam kartkę w rękę. Nie musiałam nawet pytać, kto przysłał telegram, decydując się przecież na niemały wydatek. Doskonale wiedziałam, że winowajczynią jest Misia, która w małostkowy sposób postanowiła zemścić się na mnie za to, że sfinansowałam przedsięwzięcie Diagilewa, uzurpując sobie jej miejsce. Strawiński musiał zwierzyć się jej ze swoich uczuć, ona zaś postanowiła pogrzebać nasz rzekomy romans, choć tak naprawdę istniał on tylko w wyobraźni kompozytora.

Strawiński pobladł.

- Obraziłem panią. To niewybaczalne. Natychmiast opuszczę ten dom.

- Nie. - Strawiński natychmiast zamilkł, słysząc chłód w moim głosie. - Kobieta, która przysłała panu tę wiadomość, popełniła niewybaczalny błąd. Nie chcę słyszeć o pańskim wyjeździe. - Zaśmiałam się cicho. - A teraz napijmy się herbaty i pomówmy o pańskiej przeszłości jak dwoje starych przyjaciół, dobrze?

Za moją namową zdecydował się zostać w Bel Respiro i skoncentrować się na swoich zobowiązaniach względem Ballets Russes. Zwróciłam mu też uwagę na zły stan zdrowia jego żony oraz fakt, że powinien zapewnić córkom stabilizację. Bezradnie kiwał głową i błagał mnie

o wybaczenie, ja zaś podjęłam już pewną decyzję.

Choć bardzo tego pragnęłam, postanowiłam nie pozbywać się Misi ze swojego życia. Taką miała po prostu naturę. Jeżeli kogoś kochała, zostawiała wokół siebie krąg spalonej ziemi. Zamierzałam zadbać o to, żeby jej destrukcyjne zapędy nie wywróciły mi życia do góry nogami.

Postanowiłam, że pozostaniemy przyjaciółkami - ale na moich warunkach.

Był początek 1923 roku i zbliżały się moje czterdzieste urodziny. Bardzo o siebie dbałam, chodziłam na lekcje tańca i unikałam pokus. Wszyscy zawsze powtarzali, że wyglądam tak, jakbym była o połowę młodsza. Na czym polegał mój sekret? Pochlebstwa wsączały się we mnie

I padały na podatny grunt, przynosząc ukojenie wychudzonemu, niepewnemu dziecku, którym kiedyś byłam, i beczelnej młodej dziewczynie, która śpiewała w La Rotunde. Choć czas dobrze się ze mną obszedł, zauważałam drobne ślady, jakie pozostawiał na mojej twarzy. Podtrzymywałam iluzję młodości, nosząc krótką, modną fryzurę, która pasowała do moich figlarnych rysów. Używałam jedynie odrobiny tuszu, żeby podkreślić wielkie czarne oczy,

i nigdy nie pokazywałam się publicznie bez swojego znaku rozpoznawczego: czerwonej szminki na ustach. Na przekór obowiązującym trendom, lubiłam mocną opaleniznę, do której przyzwyczałam się podczas wakacji we Włoszech. Wiele klientek postanowiło pójść w moje ślady - w efekcie kobiety nacierały się olejkiem kokosowym na plażach od Lazurowego Wybrzeża aż po Deauville.

Mimo to czterdzieste urodziny były dla mnie czymś w rodzaju kamienia milowego. Zamierzałam obchodzić je hucznie i w wielkim stylu, z którego w końcu słynęłam. Wyprowadziłam się z Bel Respiro i wynajęłam przestronny Hôtel de Lauzan przy Faubourg Saint-Honoré: willę, która została wybudowana w 1719 roku i miała ogród ciągnący się aż do *avenue* Gabriel, gdzie spędziliśmy z Boyem najszcześniejsze lata naszego życia. Być może zrobiłam to dla tego, że mimo wszystko nie zdołałam uciec przed dręczącą mojego ojca potrzebą nieustającej wędrówki. Niewykluczone, że zaczął mnie po prostu przygniatać ciężar wspomnień, które nagromadziły się w moich domach. Przyzwyczałam się do tułaczego życia i powitałam tę zmianę z radością. Wypełniłam nową rezydencję swoimi koromandelskimi parawanami, weneckimi lustrami i antycznymi rzeźbami sprowadzonymi z Włoch. Całości dopełniły kryształowe lampy o pergaminowych abażurach oraz beżowe sofy w stylu Ludwika XIV.

Byłam tu wreszcie prawdziwą gospodynią. Odwiedzały mnie tłumy gości: Picasso, Cocteau, Diagilew oraz Vera Bate, uroczą rudowłosa rozwódka z licznymi znajomościami, którą poznałam w swoim *atelier* i która nakłoniła mnie do otwarcia butik w Londynie. Największe zamówienia przychodziły nadal z Ameryki, gdzie moje ubrania wspaniale pasowały do pędzącej na oślep codzienności. Zdołałam też popularność w Anglii, a Vera stała się jedną z moich najzagorzalszych orędowniczek. Ponieważ obracała się pośród brytyjskich elit i nieustannie brakowało jej pieniędzy, postanowiłam ją zatrudnić: miała nosić projektowane przeze mnie stroje i pozyskiwać potencjalne klientki.

- Ten twój mały pisarz, Cocteau, chyba nie czuje się najlepiej - zauważyła Vera.

Przyjaciele zgromadzili się w moim salonie przed spektaklem Ballets Russes, do którego zaprojektowałam kostiumy. Piliśmy koktajle, a z nowego, sprowadzonego z Ameryki gramofonu Brunswick płynęła muzyka Bessie Smith. Siedziałyśmy z Verą przy otoczonym lustrami barze, na wysokich stołkach, które pozwalały nam patrzeć z góry na wszystkich gości.

Sącząc drinka, odpowiadałam:

- Jest po prostu podekscytowany. Napisał libretto do dzisiejszej sztuki i zawsze bardzo się denerwuje przed premierami. - Cocteau siedział na jednej z moich sof i żywo gestykulował, a zmierzwiłone włosy opadały mu na twarz. Misia, która z wyraźną niechęcią dołączyła do naszego grona, kiedy już zrozumiała, że w przeciwnym razie będzie musiała nudzić się sama w domu, zachęcała go do dalszych rozważań.

- Och, wydaje mi się, że to coś więcej niż zwykłe podekscytowanie - powiedziała Vera. - Nie zauważyłaś, że jest kompletnie odurzony kokainą? Podobnie zresztą jak ten drugi wymizerowany człowiek. Jak on się nazywa?

- Raymond Radiguet. Też jest pisarzem.

- Jeszcze jeden pisarz? - Vera westchnęła, bawiąc się paciorkami na sukni mojego projektu. - No cóż, Cocteau i jego przyjaciel Radiguet zaszyli się wcześniej w jednej z toalet na górze i wciągali kokainę. Wydaje mi się, że palili też opium. Cuchnie na całym piętrze.

Uśmiechnęłam się. Prosiłam Cocteau, żeby nie przyjmował u mnie swoich używek, ale kompletnie zadurzył się w przystojnym, rozpustnym Radiguecie, któremu rozgłos zapewniła śmiała erotyczna powieść *Diabeł wcielony*.

- To niezwykle modne wśród pisarzy i artystów - zażartowałam z udawaną nonszalancją. - Nie mają złych intencji.

Wzruszyła ramionami.

- Bardzo możliwe. Ale czy nie nudzi cię już ten ich pretensjonalny styl, ta bieda, w której żyją i tłoczą się na Montparnasse? To takie *passe*. Powinnaś poszerzyć swoje horyzonty towarzyskie. Przecież ci ludzie nie umieliby nosić twoich strojów, a tym bardziej nie mogliby sobie na nie pozwolić. Masz w sierpniu urodziny. Nie chcesz ich chyba spędzić w takim towarzystwie, pośród gryzpiórków i narkomanów? Czterdzieste urodziny powinnaś wyprawić w wielkim stylu.

- Zamierzam urządzić przyjęcie na jachcie w Monte Carlo. - Na jej twarzy natychmiast pojawił się zachwyt. Vera uwielbiała ekstrawagancję, choć podobnie jak ci, których tak żywo krytykowała, nie było jej na nią stać. - Nie wiem tylko, w jaki sposób na jego pokładzie pomieszczą się wszystkie moje gryzpiórki i narkomani.

- Jacht! - zawołała. - Znam idealny jacht! Jego właścicielem jest pewien wspaniały angielski lord, który wypytywał mnie o ciebie, kiedy byłam w Londynie. On...

Nagle przerwał jej rozgorączkowany Cocteau:

- Kochanie, idziesz? - Goście ruszali powoli do teatru. Zsunęłam się ze stołka i sięgnęłam po swój czarny, haftowany szal, a Vera dodała:

- On jest naprawdę zjawiskowy. Musisz go poznać. Będzie zresztą w Monte Carlo tego lata.

- Ach tak? - Uśmiechnęłam się i wskazałam Verze swój samochód, po czym zapewniłam, że za chwilę do niej dołączę. Odciągnęłam na bok mocującą się ze zbyt ciasnym płaszczem Misie i szepnęłam: - Podaj mi adres najlepszego ośrodka odwykowego, jaki znasz. - Oczywiście dostrzegłam ironię tej sytuacji: szukałam u narkomanki pomocy dla narkomana. Misia nigdy jednak nie wykazywała takiego braku umiaru, jak Cocteau. Zastanawiałam się zresztą, czy sama nie namawiała go do nadużywania środków odurzających: coraz wyższa pozycja, jaką zajmowała w naszym środowisku, wyraźnie przyćmiła jej osobę i jak tego

dowiodła przygoda ze Strawińskim, moją przyjaciółkę zżerała zazdrość. Nie wykluczałam, że byłaby w stanie częstować Cocteau narkotykami, byle tylko odciągnąć go ode mnie. Misia zamarła.

- Och, nie. Czyżbyś nadużywała...?

- Nie chodzi o mnie. Chodzi o Cocteau. - Narzuciłam jej płaszcz na ramiona, a równo obcięte włosy ułożyłam na kołnierzu (ostrzygła się krótko tak jak ja, choć w ogóle nie pasowało to do jej urody). - Ten jego kochanek, Radiguet, jest nieznośny, a wiesz, jak łatwo wpłynąć na Jeana. On potrzebuje naszej pomocy, w przeciwnym razie skończy w rynsztoku.

Zgodnie z moimi przewidywaniami, słowa „naszej pomocy” działały w tym przypadku cuda.

- Jutro do ciebie zadzwonię - obiecała z entuzjazmem. - Biedactwo. Teraz, kiedy o tym wspomniałaś, uświadomiłam sobie, że Jean już od pewnego czasu gorzej wyglądał. - Odwróciłam się, żeby ruszyć za resztą gości, którzy wsiadali już do czekających na nas samochodów, a Misia dodała złośliwie: - Musisz być z siebie naprawdę dumna. Wszędzie cię wychwalają, piszą o tobie w rubrykach towarzyskich, jesteś najbardziej szanowaną *couturière* w Paryżu, a teraz stałaś się jeszcze muzą wszystkich głodujących artystów. Nikt nie pamięta, że to właśnie ja, kochanie, nauczyłam cię doceniać współczesną sztukę. Pewnie niebawem zaprosisz któregoś z nich do swojego pustego łóżka?

Posłałam jej gniewne spojrzenie. Zawsze umiała trafić w czuły punkt. Kiedy już wsunęłam się na tylne siedzenie rolls-royce'a i zastukałam w szybę, dając szoferowi znak, że możemy ruszać, Vera odwzajemniła moje niechętne spojrzenie.

- Wygląda na to, że Misia Sert ma zbyt rozległą wiedzę w wielu dziedzinach, prawda? -zapytała. Najwyraźniej usłyszała naszą rozmowę.

- Bez wątpienia - odparłam. - Ten Anglik, o którym wspominałaś. Chciałabym się dowiedzieć o nim czegoś więcej.

VII

Ciężko pracowałam do ostatnich chwil poprzedzających wyjazd do Monte Carlo, gdzie miały się odbyć obchody moich czterdziestych urodzin. Podczas spotkania z właścicielem Galeries Lafayette przedstawiłam mu ofertę współpracy - chciałam, żeby zaczął sprzedawać moje perfumy. Liczyłam na to, że gwałtowny wzrost liczby zamówień skłoni Ernesta Beauxa do przyspieszenia produkcji. Właściciel Galeries wyprowadził mnie z błędu, mówiąc, że „nos” taki jak Beaux nigdy nie sprosta potrzebom domu towarowego. Zadzwoił za to do Pierre'a Wertheimera, współwłaściciela największej francuskiej firmy produkującej perfumy i kosmetyki: Parfumeries Bourjois. Wertheimer wyraził zainteresowanie współpracą, musiałam więc pojechać do Longchamp - na ten sam tor wyścigowy, na którym poznałam Boya - by omówić warunki. Przed wyjazdem zadzwoniłam do Balsana, który znał wszystkich w świecie handlu. Poprosiłam go o radę, on zaś ostrzegł mnie, żebym miała się na baczności. Pierre i jego brat Paul uchodzili za bezwzględnych przedsiębiorców, którzy zbudowali potężne imperium, okazując lekceważenie i pogardę tym, z którymi robili interesy. Zdaniem Balsana postępowali tak dlatego, że byli Żydami.

Nie obchodziło mnie pochodzenie Wertheimerów, ale nieco zbiło mnie z tropu stanowisko przysadzystego Pierre'a, który powiedział mi - jednocześnie obserwując w napięciu zmagania swoich koni pełnej krwi angielskiej - że jeżeli chcę produkować i dystrybuować swoje perfumy za pośrednictwem jego firmy, muszę zgodzić się na wejście do spółki.

- Możemy to dla pani zrobić - powiedział - ale musiałaby pani podpisać z nami umowę. Nienawidziłam umów. Przypomniłam sobie jednak słowa Boya, który radził mi, żebym

skupiła się na tym, na czym znam się najlepiej, a resztę pozostawiła ekspertom. Po chwili zastanowienia odpowiedziałam:

- Dobrze. Ale nie zamierzam oddać choćby jednego udziału w moim domu mody i nie pozwolę, żeby moje nazwisko wykorzystywano do sprzedaży produktów niższej jakości. W grę wchodzi dziesięć procent przyszłych zysków. Jeżeli chodzi o całą resztę, nie zamierzam przed nikim odpowiadać. A Beaux będzie tworzył moje perfumy tak długo, jak tylko zechcę.

Wertheimer przyjął moje warunki. Wróciłam do Paryża z projektem umowy i skupiłam się na ostatnich pracach nad moją najnowszą kolekcją, która miała składać się z sukienek do kolan uszytych z jedwabiu i kropy wełnianej, maskujących talię, biust oraz biodra, i zdobionych aplikacjami z paciorków. Pod wpływem Dymitra zaczęłam nawet projektować sztuczną biżuterię. W moich pracowniach powstawały naszyjniki, sznury wielokolorowych pereł oraz wisiorki i broszki z ogromnymi szkiełkami i bizantyjskimi lub renesansowymi motywami. Ja również nosiłam tę biżuterię. Zdarzało mi się nawet wkładać kolczyki z dwiema różnymi perłami - jedną czarną, a drugą białą - oraz bransoletki zdobione mozaiką lub emalią. Biżuteria pozwalała podkreślać pozornie bezkształtny krój ubrań.

I oto nadszedł dzień moich czterdziestych urodzin. Stałam w obcisłej czarnej sukni (tego wieczoru tylko ja spośród wszystkich kobiet miałam prawo wystąpić w czerni, co jasno zaznaczyłam w zaproszeniu) na wynajętym, rozświetlonym lampkami jachcie w Monte Carlo i słuchałam granej przez orkiestrę muzyki. Na przyjęciu zjawili się wszyscy znajomi, a także wiele osób, które dopiero chciały mnie poznać. Zamierzałam godnie uczcić swoje urodziny w tej piaskownicy dla bogaczy, jaką było Monako, podziwiając pełnię księżyca, która zwiastowała szczęśliwy rok - zarówno dla moich ubrań, jak i perfum.

Vera powiedziała mi, że Anglikiem, który o mnie dopytywał, był Hugh Richard Arthur Grosvenor, drugi książę Westminsteru, jeden z najbogatszych ludzi na świecie, przez przyjaciół

nazywany Bendorem. Widziałam, jak do portu zawijał jego słynny jacht *Srebrna Chmura*: rozświetlony olbrzym, który przyćmiewał wszystkie inne łodzie, w tym również tę, na której odbywało się moje przyjęcie. Uważałam to za dość wulgarną ostentację. Jacht przypominał raczej pływający hotel i nie miałam wątpliwości, że na jego pokładzie roilo się od kamerdynerów, pokojówek i służby.

- Chciał, żebyśmy go później odwiedziły i wypiliśmy z nim aperitif - oznajmiła wcześniej Vera, kiedy przygotowywałam się na przyjęcie.

Zachichotałam.

- Zobaczymy.

Nie zamierzałam się zgodzić. Wiedziałam, że jego książęca mość, lord Bendor, nie powinien proponować mi ani aperitif, ani czegokolwiek innego, bo był w trakcie trudnego rozwodu. To głośne rozstanie opisywano na pierwszych stronach gazet, a żona Bendora ogłaszała wszem i wobec, że mąż zdradzał ją na prawo i lewo - i że właśnie dlatego nie dała mu upragnionego męskiego potomka. Książę Westminsteru miał już zresztą za sobą jeden rozwód: pierwsza żona urodziła mu syna, ale chłopiec zmarł tragicznie w wieku czterech lat, a dwie córki, zgodnie z obowiązującym w Anglii barbarzyńskim prawem spadkowym, nie nabyły żadnych praw do jego majątku.

- Kiedy tylko zakończy się sprawa rozwodowa, zaczniesz szukać nowej żony - wyjaśniła Vera. - Niestety, kobiety, które poznaje, śmiertelnie go nudzą. Nie jest taki, jak mogłoby się wydawać. Woli ludzi, którzy do wszystkiego dochodzą własną pracą. Arystokratów zwykł porównywać do wypchanych łbów dzików - a na tym się akurat zna. Trofeów na ścianach i towarzyszy o błękitnej krwi ma przecież pod dostatkiem.

Nie szukałam męża. Była to ostatnia rzecz, o jakiej teraz myślałam. Kiedy opowiedziałam Misi o planie Very, natychmiast przedstawiła mi ona inne, zdecydowanie mniej zachęcające opowieści o Bendorze. Po raz kolejny dała dowód, że została obdarzona wyjątkowym talentem do snucia intryg i wyszukiwania mniej lub bardziej przydatnych informacji.

- To straszny snob. Słyszałam też o jego uprzedzeniach. Gardzi Żydami, homoseksualistami i socjalistami. Ogłosił nawet, że zrujnują europejską gospodarkę.

- Homoseksualiści? - zapytałam z rozbawieniem. - W jaki sposób mieliby zrujnować gospodarkę? Zrozumiałabym jeszcze, gdyby chodziło o branżę biżuteryjną i kosmetyczną,

w końcu mają skłonność do przesady w obu tych dziedzinach. Ale pieniądze? Nasi znajomi homoseksualiści są w większości biedni jak myszy kościelne. Weźmy choćby Cocteau.

Nieszczęsny Jean nie pojawił się na moim przyjęciu. Nakłoniłam go, żeby poszedł na odwyk do sanatorium specjalizującego się w leczeniu uzależnień. Zgodził się dopiero wówczas, kiedy obiecałam, że zapłacę także za pobyt jego kochanka Radigueta, ten jednak ostatecznie odmówił. Mimo to Cocteau zdecydował się na leczenie - zdawał sobie sprawę, że jeżeli nie zrezygnuje z narkotyków, nie ma co liczyć na przyszłość u boku Radigueta, bo obaj niechybnie przedawkują.

W końcu straciłam zainteresowanie jachtem Bendora i odwróciłam wzrok, by obserwować swoich gości, pochłoniętych gwarnymi rozmowami i tańcem - ostatnim krzykiem mody był charleston, z jego charakterystycznymi krokami, wymachami i koniecznością dynamicznego wykrzywiania stóp. Z zadziwiającą swobodą wyrzucali też za burtę wypożyczone przeze mnie kieliszki. Swobody tej nigdy by nie okazywali, gdyby przyszło im za nie płacić.

W pewnej chwili Vera zauważyła mnie przy balustradzie, przeprosiła swoich rozmówców i zaczęła przeciskać się w moją stronę. Jej krągłości podkreślała jedna z zaprojektowanych przeze mnie szkarłatnych sukni wieczorowych, szyję zdobiły sznury moich nowych, modnych pereł, a w kręcone rude włosy wpięła sobie jedwabną kamelię.

- I co? - zapytała. - Zamierzasz przyjąć zaproszenie Bendora? Po twoim wyjściu zadzwonił do naszego apartamentu. Bardzo chciałby cię poznać.

- Dobrze - odpowiedziałam, sięgając po papierosy do swojej torebki z frędzlami. Towarzysz Very, wysoki, elegancki mężczyzna, nie odrywał ode mnie oczu. Intensywność tego spojrzenia sprawiła, że poczułam się nieswojo. Odwróciłam wzrok, zapaliłam papierosa

i zapytałam Verę: - Dlaczego twojemu księciu tak zależy na spotkaniu? Czyżbyś opowiadała mu jakieś niestworzone rzeczy na mój temat?

- Wspominałam tylko, że jesteś czarująca. Wie, jak ogromny odniosłaś sukces, mówiłam też, że nie jesteś obecnie z nikim związana.

- Nigdy nie jestem z nikim związana - przerwałam jej z uśmiechem. - Zawsze byłam związana wyłącznie z moją pracą. To nierozdzielna więź. Równie dobrze mogłabym nosić obrączkę Chanel.

- Tak, tak. - Machnęła ręką, usiłując rozproszyc dym. Vera była jedną z niewielu znanych mi osób, które nie znosiły dymu papierosowego. - To też już wie. Podziwia cię za to. Mówiłam ci: Bendor woli ludzi, którzy doszli do wszystkiego własną pracą, a ty jesteś jedną z najszlachetniejszych kobiet tego typu na całym.

- Dymitrze! - Porzuciłam ją, żeby powitać wielkiego księcia, któremu długi pobyt w Biarritz najwyraźniej się przysłużył. Wyglądał wspaniale, był zdrowy i opalony. Miał na sobie nieskazitelnie biały frak. - Tęskniłam za tobą - wyszeptałam, całując go w usta. Spojrzał na mnie, zdezorientowany, a po chwili uśmiechnął się do mnie znacząco.

- Kogo starasz się unikać?

- Wszystkich. - Wzięłam go pod ramię i zaprowadziłam do Very. - Czy miałaś okazję poznać wielkiego księcia Dymitra Pawłowicza?

Vera uśmiechnęła się do niego kokieteryjnie i rozbawiła go, dygając tak nisko, że odsłoniła swoje pokryte różem kolana.

- *Enchantée*, wasza książęca mość.

- Uważaj - szepnęłam. Poprowadziłam Dymitra nieco dalej, mijając niebieskookiego nieznajomego, który nadal nie odrywał ode mnie wzroku. - Ona nieustannie poluje na mężczyzn, a najchętniej wybiera bogatych i z tytułami.

- W ostatnim czasie trudno byłoby mi spełnić te kryteria - odpowiedział. - Ale to się może wkrótce zmienić. - Kolejne słowa wypowiedział już znacznie ciszej. - Poznałem pewną Amerykankę, dziedziczkę imperium w dziedzinie handlu nieruchomościami. Zamierzam się jej oświadczyć.

- Kochasz ją? - zapytałam z kpina w głosie.

- A muszę ją kochać? - odparł, nie mniej rozbawiony.

Roześmialiśmy się. Choć nasz romans dawno się zakończył, nadal nie mogłam mu się oprzeć, zwłaszcza teraz, kiedy nie musiałam go już utrzymywać.

- A kogo usiłuje dla ciebie upolować twoja angielska znajoma? - zapytał Dymitr, kiedy piliśmy szampana. Moje przyjaciółki zbliżały się do nas z wytrzeszczonymi oczyma i przedstawiały się, podekscytowane faktem, że znalazł się wśród nas prawdziwy Romanow.

- Księcia Westminsteru.

- Naprawdę? - Dymitr wybałuszył oczy ze zdziwienia. - On jest bajecznie bogaty.

- Słyszałam. Chce, żebym odwiedziła go później na tej bestii, która zawinęła do portu. Ale skoro się tu zjawileś, raczej tego nie zrobię.

- Dlaczego nie? Chętnie zobaczę tę jego bestię. Słyszałem, że to wspaniały jacht i że gdyby tylko zechciał, mógłby mieszkać na nim przez cały rok. Ale oczywiście nie musi tego robić, skoro ma tak wiele majątków.

Oparłam dłoń na biodrze i milczałam przez dłuższą chwilę.

- Chcesz zobaczyć jego jacht? Wzruszył ramionami.

- Co w tym złego? Poza tym, jeśli pójde z tobą, nie ucierpi na tym twoja cnota. Nie sądzę, żeby angielski książę postanowił cię zgwałcić, goszcząc na pokładzie rosyjskiego księcia.

- Dymitrze, jeżeli zamierzasz prosić go o pożyczkę...

- Nawet bym nie śmiał. - Ukłonił się z gracją, która sprawiła, że kobiety tańczące przy nas charlestona, zaczęły się nagle potykać. - Ale - dodał po chwili, puszczając do mnie oko - ty mogłabyś mi ją załatwić.

Wyruszyliśmy po północy, w momencie gdy moje przyjęcie zdążyło pochłonąć niemal wszystkich jego uczestników, a jeżeli nawet znaleźliby się jeszcze goście na tyle trzeźwi, by zauważyć moją nieobecność, to i tak w ogóle by się tym nie przejęli. Bendor wysłał po nas motorówkę, którą mieliśmy popłynąć na jego jacht. Poruszała się ona z tak dużą prędkością, że musiałam okryć głowę szalem. Najwyraźniej i to niewiele dało, bo kiedy dotarliśmy na miejsce, Dymitr zażartował, że wyglądam jak „potargana rosyjska babuszka”.

Bendor czekał na nas na pokładzie *Srebrnej Chmury*. Okazał się wysokim, lekko rumianym mężczyzną o szerokim czole, ciemnym blondynem z zaczesanymi do tyłu włosami i przedziałkiem na środku, wydatnymi zmysłowymi wargami oraz jasnoniebieskimi oczyma. Miał na sobie pomięte spodnie z białego lnu, rozpiętą pod szyją koszulę odsłaniającą kawałek opalanej szyi, a także granatową marynarkę, która natychmiast przypadła mi do gustu. Był elegancki w dyskretny, niewymuszony sposób, męski, ale nie nadmiernie szorstki. Choć zupełnie się tego nie spodziewałam, teraz, gdy go zobaczyłam, wydał mi się naprawdę atrakcyjny. Oczywiście miałam świadomość, że zainteresowanie, które niewątpliwie budził, nie było dla niego czymś nadzwyczajnym czy zaskakującym. Z całą pewnością cieszył się niemałym powodzeniem i wiele kobiet bez chwili wahania nazwałoby go przystojnym.

Zgodnie z francuskim zwyczajem Vera pocałowała go w oba policzki. Zarumienił się.

- *Mademoiselle* - zwrócił się do mnie. - Jestem zaszczycony, że zgodziła się pani ze mną spotkać.

- Och nie - odparłam beztrąsko. - Zapewniam, że to ja jestem zaszczycona.

Zaczął oprowadzać nas po swoim jachcie, którego wnętrze, wypełnione obrazami starych mistrzów i meblami godnymi najwspanialszej sali balowej, okazało się jeszcze bardziej imponujące, niż przypuszczałam. Spokojnym, nienarzucającym się głosem snuł opowieść o tym, jak bardzo lubi żeglować. Podczas gdy cygańska orkiestra brzdąkała na mandolinach za drzwiami kabiny wyłożonej polerowanym mahoniem, Bendor częstował nas szampanem i kawiozem. Alkohol coraz bardziej uderzał mi do głowy. Ignorując Verę, szeroko uśmiechnięty Dymitr obserwował, jak flirtuję z naszym gospodarzem. Gdy otworzyłam papierošnicę, natychmiast podniosłam larum, że zapomniałam zapalniczki, i tym samym zmusiłam go do zapalenia mi papierosa. Zadawałam niezliczone pytania, tak żeby Bendor mógł mi dokładnie opowiedzieć o swoim jachcie, choć kompletnie nie obchodziły mnie ani systemy nawigacyjne, ani specjalne silniki, w które był wyposażony.

Nie miałam pojęcia, dlaczego tak się zachowuję. Chciałam sprawdzić, czy jestem w stanie wytrącić go z równowagi, a jednocześnie usiłowalam ustalić, czy chodzi mu wyłącznie o kolejny podbój, czy rzeczywiście pragnie mnie lepiej poznać. Noc dobiegała końca, a ja nadal nie umiałam odpowiedzieć na to pytanie. Bendor dopytywał o moje interesy i z aprobatą kiwał głową, kiedy szczegółowo opowiadałam o swoich ostatnich przedsięwzięciach. Choć zwykle starałam się w takich kwestiach zachowywać powściągliwość, tym razem szampan rozluźnił mi język. Przez cały ten czas książę Westminsteru nie dotknął mnie ani razu. Poczulałam koniuszki

jego palców na swoim ramieniu dopiero wówczas, gdy pomagał mi wsiąść do motorówki, która miała zabrać nas z powrotem na brzeg. Zachowywał się niezwykle taktownie, co jeszcze bardziej mnie zaintrygowało. Zanim wsiadłam do motorówki, Bendor zwrócił się do mnie niepewnym głosem, tak jakby obawiał się odmowy:

- Mam dom w Deauville, gdzie, jeśli dobrze zrozumiałem, znajduje się jeden z pani butików. Byłbym zachwycony, *mademoiselle*, gdyby zechciała się pani ze mną spotkać podczas kolejnej wizyty w tym mieście.

Wręczyłam mu wizytówkę.

- Proszę do mnie zadzwonić.

Co prawda kiedy wsiadałam do motorówki, Bendor nawet się nie uśmiechał, ale pewność, jaką dostrzegłam w jego spojrzeniu, utwierdziła mnie w przekonaniu, że jeszcze się spotkamy.

Pożegnawszy się z Dymitrem, pojechaliśmy do Hotel de Paris. Podekscytowana Vera przez całą drogę zachwycała się wielkim księciem, jego urodą i elegancją. Z trudem skrywałam uśmiech. Vera nie miała pojęcia, że jej konto bankowe - a raczej jego brak - czyniło ją w oczach Dymitra zupełnie nieinteresującą. Kiedy już zamierzałam wejść do swojego apartamentu, powiedziała nagle:

- A ty zrobiłaś ogromne wrażenie na Benderze. Widziałam to.

- Widziałas? - Otworzyłam drzwi. - Jestem przekonana, że zaprasza wiele osób na swój jacht i do swojego domu w Deauville. To nie było nic wyjątkowego ani...

Zamarłam, a stojąca za moimi plecami Vera wydała stłumiony okrzyk. Cały mój apartament wypełniony był ogromnymi wazonami róż i kamelii. Stały one dosłownie wszędzie.

Widok ten zrobił na mnie tak ogromne wrażenie, że nie mogłam się ruszyć. Vera przemknęła obok mnie i podbiegła do najbliższego wazonu, po czym chwyciła opartą o niego białą karteczkę.

- „*Mademoiselle* - przeczytała na głos - zapewniam panią, że to ja byłem zaszczycony”. - Roześmiała się histerycznie, tak jak to czynią niektóre Angielki. - Widzisz? Stracił dla ciebie głowę! Och, Coco, spójrz tylko. Jakich jeszcze dowodów potrzebujesz? Proszę cię, powiedz mi, że nie każesz temu człowiekowi błagać.

- Nie - powiedziałam, zamykając za sobą drzwi. - Błagać nie. Ale każę mu czekać.

VIII

Bendor nazywał swój angielski majątek „Stacją St Pancras” - w ten sposób dowcipnie określał położone w Cheshire ogromne gotyckie gmazysko, wokół którego rozciągały się hektary terenów łowieckich. W Eaton Hall, bo tak brzmiała właściwa nazwa tej posiadłości, u stóp schodów stała nawet średniowieczna zbroja, która witała mnie każdego ranka, kiedy w towarzystwie biegających przy mnie ukochanych jamników Bendora schodziłam na dół, niecierpliwie wyczekując atrakcji, które tym razem zaplanował.

Ostatecznie uległam jego uporczywym zalotom. Kazał ścinać całe ogrody kwiatów, a następnie przesyłał je do mojego domu. W szkatułkach uplecionych z rzadkich orchidei ukrywał drogą biżuterię: bransoletki z diamentami i rubinami, broszki z akwamarynem osadzonym w platynie, sznury pereł - trzeba przyznać, że tak grubych nie widziałam nigdy wcześniej. Zdarzyło mu się nawet sprowadzić samolotem łososa ze swojego zamku w Szkocji. Kiedy dostarczono przesyłkę, ryby kłębiły się jeszcze w pojemniku z wodą.

- Ile jeszcze każesz mu czekać? - napominała Vera. - Im bardziej go ignorujesz, tym bardziej cię pragnie.

- Właśnie o to chodzi - odpowiadałam.

W 1925 roku uznałam jednak, że już wystarczająco długo trzymam Bendora na dystans. Nie zraził go chłód, z jakim przyjechałam go w Paryżu, kiedy przyjechał obejrzeć kolekcję, którą stworzyłam na Międzynarodową Wystawę Sztuki Dekoracyjnej i Wzornictwa. Zadebiutował na niej mój ozdobiony frędzlami kardigan bez kołnierzyka, a także sukienki z krepy, tweedowe palta i żakiety o męskim kroju, inspirowane strojem, który miał na sobie Bendor, kiedy zobaczyłam go po raz pierwszy. Zaprosił mnie na kolację, a potem zadowolili się pospiesznym pocałunkiem na dobranoc, złożonym na policzku, gdy jego szofer odwiózł mnie do domu. Odwiedził też moje pracownie jubilerskie, które zaczęły ostatnio przynosić całkiem duże zyski, i poznał zapach najnowszych perfum, które Ernest Beaux stworzył dla mojej firmy, Parfums Chanel. Zapraszałam go na wieczorne spotkania z przyjaciółmi. Przy tej okazji poznał Sertów, Diagilewa i jego nowego, dwudziestoletniego kochanka, rosyjskiego tancerza Serge'a Lifara, a także mojego drogiego Cocteau, który tuż po powrocie z odwyku doświadczył bolesnej straty: Radiguet zmarł na tyfus. Oczywiście to ja zapłaciłam za jego pogrzeb.

Te spotkania w moim domu okazały się prawdziwą katastrofą. Bendor był zbyt mocno osadzony w kulturze angielskiej i zdecydowanie za bardzo przyzwyczajony do wzorów zachowań właściwych arystokracji, żeby docenić swobodną atmosferę, która tam panowała. Podobnie jak Boya, nie bawiły go sprośne dowcipy i bezceremonialność Jojo Serta. Przyglądał się pięknemu, gibkiemu Lifarowi z nieskrywaną podejrzliwością i ignorował chłodny dystans, z jakim odnosiła się do niego Misia. Kiedy Cocteau zaczął narzekać, że będzie musiał znaleźć sobie bogatą kobietę, bo nie zamierza w wieku czterdziestu lat występować jako *la pauvre Madame Cocteau*, Bendor zdecydował się wreszcie zabrać głos. Posługiwał się francuskim tak jak każdy Anglik z wyższych sfer - mówił językiem literackim, ale dość sztywno i nie dostrzegał licznych niuansów. Ku przerażeniu wszystkich zgromadzonych, powiedział:

- Jeżeli boryka się pan z problemami finansowymi, *monsieur*, chętnie zatrudnię pana do spisania historii moich psów.

Natychmiast zrozumiałam, że składając tę propozycję, nie miał nic złego na myśli. Po wyjściu gości Bendor zwrócił się do mnie szczerze zaskoczony:

- Wszyscy patrzyli na mnie tak, jakbym zaproponował, żeby sprzątnął moje psiarnie.

A przecież nasza hodowla jest bardzo znana i sądzę, że historia tych psów mogłaby się świetnie

sprzedać.

Ze względu na to, że nie mógł odnaleźć się pośród mojego francuskiego towarzystwa, a ja odrzuciłam już kilka jego wcześniejszych zaproszeń, postanowiłam w końcu ustąpić i zdecydowałam się na budzącą we mnie przerażenie podróż przez kanał La Manche.

Nigdy jeszcze nie byłam w Anglii. Kraj ten wydał mi się osobliwy, porośnięty bujną zielenią i zdecydowanie zbyt wilgotny. Pograżony w kłębach ciemnego dymu Londyn nie mógł się równać z szerokimi bulwarami, tętniącymi gwarem kawiarniami i eleganckim życiem nocnym Paryża. Miałam wrażenie, że Anglicy wolą gromadzić się w swoich wszechobecnych pubach i pożerać ciężkie, odpychające potrawy.

Do swojej okazałej, wspaniale urządzonej rezydencji położonej w pobliżu Grosvenor Square, Bendor zapraszał zazwyczaj na herbatę Verę oraz towarzyszące jej zwykle grono dystygowanych angielskich dam z wyższych sfer, które błagały, żebym otworzyła sklep w Londynie. Oprócz tych spotkań zwiedzaliśmy też miasto z moim siostrzeńcem, który przyjechał na weekend ze swojej szkoły z internatem. Ogromne wrażenie zrobiły na mnie manieri André, a także jego dbałość o to, by tytułować Bendora mianem „waszej książęcej mości” - choć kilkakrotnie prosił on, żeby zrezygnować z tych form grzecznościowych.

To właśnie w Londynie uległam wreszcie zalotom Bendora. Któregoś wieczoru, kiedy już skończyliśmy sączyć drinki w jego salonie, nieśmiało wziął mnie za rękę i wyznał cicho, że nigdy nie poznał takiej kobiety, a następnie zapytał, czy miałabym coś przeciwko temu, by mnie pocałował.

- Miałabym coś przeciwko temu, gdybyś tego nie zrobił - odparłam. Sam pocałunek nie był może elektryzujący, ale okazał się wystarczająco atrakcyjny, żebym pozwoliła mu na dalsze kroki. Bendor okazał się sprawnym, łagodnym i czułym kochankiem, choć nie popisywał się szczególną pomysłowością. Był po prostu zadowolający. Miał więcej pieniędzy ode mnie, co stanowiło miłą odmianę po związku z Dymitrem. Wbrew temu, co opowiadała mi o nim Vera, nie zachowywał się tak, jakby w pośpiechu szukał kolejnej żony, wciąż borykając się z rozwodem. Co najważniejsze, był mną szczerze zainteresowany - schlebiało mi to i dodawało otuchy. Dostrzegałam w naszej relacji potencjał - od śmierci Boya żaden mój związek nie rokował tak dobrze. Nie mogłam tego nazwać miłością, ale wcale jej nie oczekiwałam. Zdawałam sobie sprawę, że pasja i namiętność, których doświadczałam u boku Boya, zdarzały się tylko raz w życiu - w najlepszym razie.

Nie wierzyłam własnym oczom, kiedy Bendor oprowadzał mnie po swojej wiejskiej posiadłości. Na jej terenie zmieściłoby się kilka francuskich miasteczek. Był bogatszy niż ktokolwiek, kogo w życiu poznałam. Na taki styl życia mogliby sobie pozwolić jedynie członkowie rodziny królewskiej albo najwięksi amerykańscy potentaci: stajnie usytuowane na powierzchni, którą zajmowałyby w mieście wiele ulic, ozdobne ogrody wielkości małych wiosek, sale o sklepionych sufitach, w których jadalni posiłki angielscy monarchowie, a także setki pustych pokojów, gdzie nie zważając na koszty, zmieniano regularnie pościel.

Misia (któż by inny?) ostrzegła mnie przed nudnym i ogłupiającym życiem w angielskich majątkach, toczącym się zgodnie z monotonnym harmonogramem skoncentrowanym wokół jazdy konnej, polowań i podwieczorków, po których dżentelmeni palą zwykle cygara w bibliotece, a damy plotkują w salonie. Bendor zadawał kłam tym wyobrażeniom. Istotnie, jego służba funkcjonowała jak dobrze naoliwiony mechanizm, ale ponieważ nade wszystko cenił spontaniczność, nic nie odbywało się o ściśle wyznaczonych porach.

Pewnego ranka, kiedy obudziliśmy się dość późno, Bendor wstał i zaczął się ubierać, a ja roześmiałam się, patrząc na buty, które właśnie wkładał.

- No co? - Spojrzał na mnie zdezorientowany. Często dawał mi powody do nagłych wybuchów radości i tak stało się również i tym razem. - Co takiego zrobiłem?

- Masz dziurawe buty - zauważyłam. - Długo już je nosisz? Zmarszczył brwi, przyglądając się podeszwom.

- Nie mam pojęcia.

- Nie masz pojęcia. Pewnie chodzisz w nich przynajmniej od dziesięciu lat. Czy nie myślałeś nigdy o tym, żeby wymienić podeszwy albo kupić nową parę butów?

- Lubię je. Poza tym dziury mi nie przeszkadzają, bo noszę do nich grube skarpetki. A tych mam pod dostatkiem. Mój kamerdyner co tydzień kupuje tuzin nowych par.

- Co tydzień! - Odrzuciłam kołdrę i ruszyłam naga do drzwi. Wyciągnęłam rękę, żeby otworzyć zasuwkę, ale zatrzymałam się i posłałam Bendorowi figlarne spojrzenie. - Muszę to zobaczyć. W którym pokoju trzymasz skarpetki? Twój kamerdyner nie pomieściłby ich przecież w zwykłej komodzie.

- Wydaje mi się - odpowiedział łagodnie - że mój kamerdyner za każdym razem zastępuje stare nowymi, a te używane rozdaje służbie. To zdecydowanie bardziej ekonomiczne rozwiązanie. - Zaczął wiązać sznurówki. Nie odezwałam się, więc dodał, nie podnosząc wzroku: - Jeżeli ruszysz na poszukiwanie moich skarpetek naga jak Lady Godiva, to nie czekaj na mnie. Wolałbym, żebyś sama upajała się skandalem, który wtedy wybuchnie.

Kiedy chciał, potrafił być naprawdę dowcipny. Także i w tym przypominał mi Boya i tym samym zjednywał sobie moją sympatię. Lubiłam też jego przyjaciół - oczywiście tych prawdziwych, nie zaś setki osób ledwo znających Bendora i chcących za jego przyjaciół uchodzić. Szczególnie bliski stał mi się *sir* Winston Churchill, niski, korpulentny człowieczek z pokaźnymi zakolami, który, choć wyraźnie sepleniał, okazał się jedną z najbardziej elokwentnych i inteligentnych osób, jakie kiedykolwiek poznałam.

Podczas pewnego weekendu Churchill przyjechał do Eaton Hall, żeby wziąć udział w polowaniu. Nigdy nie miałam okazji uczestniczyć w tej typowo angielskiej rozrywce i ogromnie zaskoczyły mnie wszystkie związane z nią rytuały: eleganckie czerwone kurtki do jazdy konnej i białe bryczesy, zasada starszeństwa, zgodnie z którą zdecydowano, kto gdzie wyruszy, uroczyste wypuszczenie z klatki przerażonego lisa i niemal nabożne spuszczenie psów ze smyczy. To wszystko wydawało mi się kompletnie absurdalne. Od samego początku było wiadomo, że lis zostanie ostatecznie wytropiony i zabity, ale myśliwi ruszyli przed siebie tak podekscytowani, jakby po raz pierwszy uczestniczyli w polowaniu. Tylko Churchill, wciśnięty w zbyt ciasny strój, zwrócił się do mnie nienaganną francuszczyzną:

- *Ma brave*, przekonasz się teraz, jak głupi bywają Anglicy, gdy nie mają nic lepszego do roboty.

Tamtego dnia nie zobaczyłam egzekucji na własne oczy. W trakcie polowania mój koń gwałtownie uskokzył przed gałęzią, zrzucając mnie przy tym z siodła. Rozciąłam sobie wargę i skręciłam kostkę. Bendor był już daleko - kiedy w grę wchodziło łowiectwo, nie zauważyłby nawet, gdyby pożarły mnie wilki - ale natychmiast zatrzymał się przy mnie Churchill, spocony i podskakujący na ogromnym czarnym koniu. Oparłam się na jego ramieniu, krzywiąc się z bólu, zirytowana własną niezdarnością, on zaś powiedział:

- To nawet lepiej. Nieszczególnie interesuje mnie ściganie bezbronnych zwierzęcia. Dzięki temu możemy spędzić resztę popołudnia na rozmowach i przykładaniu lodu do tej opuchniętej kostki. Chętnie dowiem się czegoś o słynnej *mademoiselle* Chanel.

Tylko on zwracał się do mnie w ten sposób. Inni nazywali mnie Coco, *mademoiselle* albo po prostu Chanel, ale Winston Churchill nigdy nie pozwoliłby sobie na fałszywą i nachalną poufalskość. Przypuszczam, że gdyby tylko poprosił, zostałabym jego kochanką - choć był żonaty,

brzydki jak ropucha i pogrążony w rozpacz z powodu swojej ukochanej najstarszej córki, która niedawno zmarła.

- Och, to było straszne - wyznał, kiedy odpoczywałam na czerwonej kanapie

w bibliotece. Do spuchniętej kostki przykładalam torebkę lodu, a pęknięte usta posmarowałam maścią. Churchill usiadł tymczasem w jednym z foteli i zapalił cygaro. - Druzgocąca wiadomość. Przyjechaliśmy tu na weekend, żeby pograć z Bendorem w tenisa, i nagle zadzwoniła nasza guwernantka. Okazało się, że Marigold się przeziębiła, ale lekarze zapewniali, że to nic poważnego. Kiedy wróciliśmy, nasza ukochana dziewczynka już umierała. - Zamilkł, a do oczu napłynęły mu łzy. - Czy straciła pani kiedykolwiek kogoś, kogo kochała pani bardziej od samej siebie, *mademoiselle*? Kogoś tak ważnego, tak niezastąpionego, że oddałaby pani życie, żeby tę osobę uratować?

- Tak - odparłam, z trudem powstrzymując łzy. - Raz w życiu tego doświadczyłam. Uśmiechnął się smutno.

- Tak przypuszczałem. Nic później nie jest już takie samo, prawda? Żyjemy dalej, bo nie mamy wyboru, ale zmieniamy się na zawsze.

Musiał słyszeć o moim związku z Boyem. Nasz romans nie był dla nikogo tajemnicą, a Churchill, tak jak zresztą Bendor, obracał się w tych samych kręgach co Boy i słyszał

o skandalach wybuchających wśród brytyjskich elit. Jako prawdziwy dżentelmen nie wspomniał jednak jego imienia i nie dał po sobie poznać, że wie, kogo mam na myśli.

Rozmawialiśmy o wielu rzeczach. Churchill opowiadał mi o swojej karierze polityka

i piastowanym w tamtym okresie stanowisku ministra finansów, o swojej służbie na Kubie, w Indiach, Sudanie i Egipcie, a także o przeżyciach z czasów wojny, kiedy dowodził batalionem na froncie zachodnim.

- Mam nadzieję, że już nigdy nie będę musiał oglądać takich potworności - powiedział. - Czasem to, co najlepsze, nie wystarczy. Czasem trzeba robić to, co konieczne. A walka

z Niemcami była niewątpliwie konieczna, choć ceną, którą przyszło nam za to zapłacić, okazało się życie tysięcy młodych ludzi.

Wyznał mi też, że kocha świnie, co bardzo mnie rozbawiło.

- Psy nas podziwiają. Koty patrzą na nas z góry. A świnie traktują nas jak równych sobie. - Dodał też, że fascynują go ludzie, którzy dążą do celu bez względu na wszystko.

- Czuję, że jest pani taką osobą, *mademoiselle*. W pani w oczach widzę odwagę - powiedział. Kiedy to mówił, dało się wyczuć w jego głosie jakiś niewypowiedziany smutek, spoczywający na jego barkach niewidzialny ciężar, z którym musiał się zmagać. - Moja matka też miała taką odwagę, a była Amerykanką. Czy jest pani pewna, że w pani żyłach płynie wyłącznie francuska krew?

Zapewniłam go, że tak. Tamtego długiego popołudnia, kiedy czekaliśmy, aż myśliwi wrócą z polowania, opowiedziałam mu o tym, jak bardzo pragnęłam zostawić za sobą tamtą porzuconą dziewczynę z Aubazine. Od śmierci Boya jeszcze przed nikim tak się nie otworzyłam i miałam poczucie, że wszystko, co mówię, zostanie między nami, bo zaufanie jest dla Churchilla czymś świętym.

Kiedy skończyłam swoją opowieść, pokiwał głową, zamyślony.

- Podejście do życia wydaje się błahostką, a tak naprawdę ma ogromne znaczenie - powiedział po dłuższej chwili. - Podziwiam panią. Nauczyła się pani unosić na wietrze, zamiast z nim walczyć. Wielu ludzi stara się spełnić oczekiwania innych, a przecież oboje doskonale wiemy, że to, czego się od nas oczekuje, rzadko odpowiada temu, czego sami pragniemy.

Kiedy wreszcie zjawił się Bendor, zaniepokojony moim zniknięciem, Churchill wstał z fotela i ruszył swoim kaczym chodem w kierunku drzwi. Mijając Bendora, poklepał go po

ramieniu i powiedział:

- Twoja *madmoiselle* jest jak los na loterii. Bierz to pod uwagę.
- Coco - poprawiłam, a Churchill przystanął na chwilę w progu. - Proszę mi mówić Coco.

Uśmiechnął się i skinął głową.

- Dobrze, Coco.

Kiedy wyszedł, Bendor przygryzł wargę.

- Czyżby ten drań właśnie uwiódł cię swoim urokiem?
- Prawie - odparłam. - Masz szczęście, że w przeciwieństwie do ciebie jest żonaty. Rozwód Bendora doszedł wreszcie do skutku. Oczywiście nasz związek wzbudził

ogromne zainteresowanie prasy. Jeszcze zanim zdążyłam postawić stopę na angielskiej ziemi, gazety nazywały mnie kolejną księżną Westminsteru. Bendor wydawał się skonsternowany tymi doniesieniami, ja natomiast, ku swojemu zaskoczeniu, zaczęłam rozważać, jak by to było, gdybym rzeczywiście postanowiła ułożyć sobie z nim życie.

Podczas tych tygodni, które spędziliśmy razem, podróżując między Eaton Hall a zamkiem w Caithness w szkockich Highlands, zdałam sobie sprawę, że chętnie wiodłabym życie takie jak Bendor, wolne od wszystkich trosk związanych z pracą i niedogodności wynikających z mojej sławy. To niespodziewane pragnienie ustatkowania się - po tym, jak przez tak długi czas odrzucałam taką ewentualność - wzbudziło we mnie głęboki strach. Nigdy nie miałam takich marzeń, nawet kiedy byłam z Boyem, a przynajmniej nie do czasu, aż ożenił się z inną kobietą. Czy właśnie to mnie niepokoiło? Świadomość, że jeżeli Bendor mi się nie oświadczy, to znajdzie sobie inną kobietę? Czy satysfakcjonował mnie niezobowiązujący romans, po którym zostałabym zastąpiona przez jedną z dystygowanych, dobrze sytuowanych dam o trzech imionach i łonie gotowym do noszenia dzieci?

Te rozterki prowadziły do jeszcze bardziej niepokojących pytań. Nigdy nie zaszłam w ciążę, choć przecież miałam po temu wiele okazji. W Wenecji Misia złośliwie zauważyła, że ma nadzieję, że się zabezpieczam. Prawdę mówiąc, wcale tego nie robiłam. Boy używał prezerwatyw, ale zdarzały nam się wypadki - kondomy czasem przeciekały albo pękały. Po jego śmierci w ogóle nie zaprzętałam sobie głowy takimi sprawami. Wmawiałam sobie, że wyćwiczyłam swoje ciało - wierzyłam, że umysł jest do tego zdolny - i że nie zaszłam w ciążę dlatego, że tego nie chciałam. Dymitr i ja postępowaliśmy lekkomyślnie i miałam wiele szczęścia. Z Bendorem stosowaliśmy się do niepisanej zasady: używał prezerwatyw albo wycofywał się przed wytryskiem, tak jak to robił kiedyś Balsan.

Mój niepokój narastał. Wkrótce miałam skończyć czterdzieści jeden lat i wiedziałam, że jeżeli to jeszcze w ogóle możliwe, powinnam wkrótce zostać matką. Ale podczas takich rozważań mimowolnie przechodził mnie dreszcz. Miałam André, którego traktowałam jak syna i który mieszkał daleko ode mnie, w szkole z internatem, gdzie na co dzień zajmowali się nim inni ludzie. Aż nazbyt dobrze wiedziałam, jak to jest, kiedy nie ma się ani rodziców, ani miejsca, które można nazwać domem. Robiłam wszystko, żeby zapewnić André należytą opiekę, ale moje działania nie wynikały przecież ze szczególnie rozwiniętego instynktu macierzyńskiego. Zachowywałam się, jak przystało na troskliwą, choć odległą ciotkę.

Zdawałam sobie sprawę, że gdybym została matką, musiałabym zrezygnować z własnych potrzeb. Zdecydowanie trudniejsza od fizycznych wyzwania związanych z ciążą - już i tak onieśmielających - wydawała mi się odpowiedź na pytanie, czy jestem gotowa porzucić życie, które z takim trudem sobie wywalczyłam. Wiedziałam, że nie, i że będę tego żałowała, a z czasem może nawet obwiniała dziecko. Po raz kolejny zawisło nade mną widmo mojej młodości.

Co było ze mną nie tak?

Nie zwierzyłam się ze swoich obaw Bendorowi. Po prostu oznajmiłam, że muszę wracać do Paryża, żeby zająć się swoim *atelier*, które już i tak zbyt długo zaniedbywałam.

Bendor odwiózł mnie do Londynu, skąd miałam wyruszyć w drogę powrotną do domu.

- Nie zapomnij - powiedział, stojąc niepewnie w długim płaszczu i kapeluszu. - W lecie wypływamy moim jachtem w rejs po Riwierze. Obiecałaś, że znajdziesz czas.

Uśmiechnęłam się i pokiwałam głową.

- Nie zapomnę. Zobaczymy się niedługo w Paryżu?

- Oczywiście.

Uchylił kapelusza, po czym wrócił do samochodu. Żadnego pocałunku na pożegnanie, żadnych publicznych wyrazów czułości. Wszędzie czyhali fotoreporterzy.

Kiedy znalazłam się w pociągu do Paryża, odetchnęłam z ulgą. W tamtej chwili dotarło do mnie nagle, że Paryż - ze wszystkimi związanymi z nim wspomnieniami i tragediami - stał się dla mnie domem. Właśnie tam było moje miejsce.

Przypuszczałam, że nowa księżna Westminsteru nie będzie mogła się cieszyć taką swobodą.

IX

W 1926 roku triumfy święciła moja mała czarna. Zaprezentowałam ją w ramach swojej wiosennej kolekcji, nad którą pracowałam przez wiele miesięcy. W tamtym okresie czerń była podstawową barwą większości moich wieczorowych kreacji, ale w latach dwudziestych w ciągu dnia był to kolor zarezerwowany w zasadzie tylko dla uczniów, żałobników i zakonnic. Postanowiłam mimo to zaryzykować i poświęciłam wiele miesięcy na przygotowanie nowego fasonu: uszytej z krepy marokańskiej sukni futerału, z wąskimi rękawami o mankietach haftowanych złotą nicią i kwadratowym dekolcie. Sięgała tuż poniżej kolana, a plisy w kształcie odwróconej litery „V” podkreślały obniżoną talię. Do sukienki dobrałam satynowy kapelusz-klosz, którego miękkie rondo niemal zasłaniało oczy i który określano mianem „sitka do herbaty”. Całości dopełniały czarne perły i rękawiczki oraz rzecz jasna pończochy - uważałam, że pończochy należy nosić niezależnie od sytuacji.

Moja czarna sukienka wzbudziła sensację - choć nie taką, na jaką pierwotnie liczyłam. Kiedy moje modelki paradowały w tę i z powrotem po butik, trzymając tabliczki z numerkami, które odpowiadały każdemu kompletowi, w pomieszczeniu panowała niemal absolutna cisza. Siedząc u szczytu schodów, gdzie kazałam rozwiesić lustra, tak żebym mogła obserwować pokazy, nie będąc jednocześnie widziana - dostrzegłam na twarzach moich klientek oraz większości uczestniczących w pokazie dziennikarzy szok, konsternację, a nawet dezaprobatę. Wcześniej zdarzało mi się prezentować śmiało rozwiązania, ale nigdy nie posunęłam się tak daleko.

- Nie podoba im się - oznajmiła Adrienne, kiedy przeglądałyśmy nieliczne zamówienia złożone po pokazie. - To dla nich za wiele. Nikt nie chce nosić czerni w ciągu dnia, Gabrielle. Mówiłam ci, że ta sukienka to za duże ryzyko.

Moja *première, madame* Aubert, zachowała większy optymizm.

- Zaczekajmy na dalszy rozwój wypadków - poradziła, kiedy zastanawiałam się, czy powinnam zrezygnować ze swojego pomysłu. - Jest jeszcze za wcześnie na jakiegokolwiek decyzje. Dawniej też zdarzały się tego typu reakcje, a mimo to klientki zawsze się ostatecznie zjawiały.

- Jeszcze nigdy nie było tak jak teraz. - Zapaliłam nerwowo papierosa. - Nie słyszałam takiej ciszy od wybuchu wojny.

- Zaczekajmy - powtórzyła *madame* Aubert.

W następnym tygodniu każde liczące się francuskie czasopismo poświęcone modzie skrytykowało moją małą czarną. Amerykański „Vogue” opisał ją jednak jako „sukienkę, którą włoży każda kobieta”, i ogłosił, że zrywając z tradycją, upowszechniam modę i czynię ją szerzej dostępną. „Stworzona przez Chanel czarna sukienka - wieszczęł »Vogue« - stanie się, podobnie jak samochody Forda, standardem dla mas”.

Stopniowo napływały zamówienia, z początku powoli, a potem już coraz szybciej. Kolejne, odważniejsze klientki - w tym moja ukochana Kitty Rothschild - czytały artykuł w „Vogue'u” i przychodziły na przymiarki, po czym opuszczały sklep w mojej czarnej sukience, kapeluszu-kloszu, rękawiczkach i perłach. „Kobiety zawsze chętnie nosiły każdy kolor, z wyjątkiem jego braku - ogłosiłam w wywiadzie dla »Vogue'a« - Nie ma nic trudniejszego niż uszycie czarnej sukienki, ale kiedy już ubierzesz kobietę w czerń, będziesz widzieć tylko ją”.

Podobnie jak No. 5, mała czarna stała się jednym z moich najlepiej sprzedających się produktów i ostatecznie umocniła moją pozycję. Z hollywoodzkiego studia Metro-Goldwyn-Mayer przyszedł telegram z propozycją, żebym pojechała do Los Angeles

i ubierała tamtejsze gwiazdy. Suma, którą mi zaoferowano - blisko milion dolarów - była tak astronomiczna, że Adrienne kompletnie osłupiała. *Madame* Aubert tylko się uśmiechnęła.

- Widzi pani? Do odważnych świat należy, *mademoiselle*.

- Zamierzasz przyjąć tę ofertę? - zapytała Misia, wstrzymując w napięciu oddech. - Jeżeli tak, jadę z tobą. - Od dawna marzyła o Ameryce. W Europie zobaczyła już wszystko, co chciała, i znudziła się nią w charakterystyczny dla siebie sposób. Przede wszystkim jednak odkryła, że Sert zdradzał ją z jedną ze swoich uczennic, przebywającą na wygnaniu rosyjską księżniczką, i choć Misia za wszelką cenę starała się to ignorować, była tak rozczarowana swoim małżeństwem, że wczepiła się we mnie. - Mogłabyś sama zostać gwiazdą - dodała. - Pomyśl tylko o prasie, o wszystkich nowych znajomościach: podbijesz Amerykę jak Kolumb. Będą ci stawiali pomniki.

- Pomniki? - Przewróciłam oczami. - Są w bardzo złym guście.

Wbrew jej radom odpisałam, że jestem zdecydowanie zbyt zajęta, żeby jechać do Los Angeles, a następnie postanowiłam zrobić sobie krótkie wakacje i wyruszyłam z Bendorem w rejs.

X

- Na co mam patrzeć? - Opuściłam lekko okulary przeciwsłoneczne i wyrzuciłam znad przeciwmnionych szkieł. Bendor poprosił naszego kierowcę, żeby zatrzymał samochód.

Przez cały sezon pływaliśmy po Morzu Śródziemnym i zawijaliśmy do wszystkich portów, które przypadły nam do gustu - choć ku mojemu niezadowoleniu zdarzało się to wyjątkowo rzadko. Bendor najbardziej lubił, kiedy wokół niego rozciągało się niebieskawozielone morze i bezkresny horyzont - mnie jednak, choć nigdy się do tego otwarcie nie przyznałam, żeglowanie śmiertelnie nudziło.

Kiedy wreszcie przybiliśmy do portu w Monte Carlo, miałam mdłości i ciągle się chwiałam. Nie mogłam pogodzić się z tym, że czekał mnie zaraz powrót na jacht. Postanowiłam więc wykorzystać sytuację. Kolacja złożona z nieświeżych małży dała mi wspaniałą wymówkę: dzięki niej mogłam spędzić jakiś czas na suchym lądzie. Bendor skorzystał z tej okazji i zawiózł mnie samochodem na szczyt stromego, porośniętego sosnami wzgórze w pobliżu miasteczka Roquebrune, skąd z jednej strony rozciągał się wspaniały widok na zatokę, z drugiej zaś na granicę z Włochami. Za naszymi plecami wznosiły się ośnieżone alpejskie szczyty.

- Na tę posiadłość, oczywiście - odpowiedział Bendor, otwierając żelazną bramę i prowadząc mnie przez rozległy gaj, w którym rosły drzewa oliwne. Ruszyliśmy w kierunku przestronnej, starej willi i przylegających do niej dwóch mniejszych domów. Podczas gdy oprowadzał mnie po posiadłości, dostrzegłam u niego dziwne podekscytowanie i zatrzymałam się na marmurowych schodach prowadzących do drzwi willi.

- Co my tu właściwie robimy? - zapytałam.

- Co robimy? - powtórzył. - Nic takiego, Coco. Po prostu pokazuję ci ten dom. - Zamilkł na chwilę. - Dlaczego pytasz? Podoba ci się?

Wydęłam wargi. Wyjęłam papierosnicę z kieszeni swoich luźnych lnianych spodni, on zaś powiedział:

- W środku nie wolno palić. Właściciele tego nie lubią.

- Właściciele? - Już wcześniej zauważyłam znaki, które świadczyły o tym, że ktoś mieszkał w tym rokokowym potworze. - A więc dlaczego tu jesteśmy? Zamierzasz wynająć ten dom?

- Nie. - Oparł dłonie na biodrach i rozejrzał się wkoło. - Zamierzam go kupić. Dla ciebie. Szeroko otworzyłam usta i wpatrywałam się w niego zaskoczona. Zachichotał.

- Ach, widzę, że udało mi się dokonać niemożliwego: sprawiłem, że Coco Chanel zaniemówiła.

Zamierzałam właśnie powiedzieć, że z całą pewnością nie potrzebuję posiadłości w takim miejscu, na kompletnym odludziu, niezależnie od tego, jak byłaby piękna - a nawet gdybym potrzebowała, mogłabym kupić ją sama - nagle jednak usłyszałam w tyle głowy głos Boya: „Duma przysporzy ci cierpień”. Ugryzłam się w język. Pozwoliłam, by Bendor dalej oprowadzał mnie po majątku, a kiedy po kilku godzinach wróciliśmy do samochodu, uśmiechnęłam się, a on zapalił mi papierosa i powiedział:

- Wielu moich przyjaciół kupuje tu posiadłości, bo w najpopularniejszych kurortach panuje coraz większy tłok. Znam miejscowego architekta, niejakiego Roberta Streitza, który odnawiał willę w okolicy. Zaproponowałem mu, żeby w przyszłym tygodniu wypił z nami koktajl na jachcie. Nie masz nic przeciwko temu?

- Dlaczego miałabym mieć coś przeciwko temu? - zapytałam. - To twój jacht i twój dom. Nagle wziął mnie za rękę. Ten gest był tak niespodziewany i tak nietypowy dla niego

(często żartowaliśmy z jego niechęci do publicznego okazywania sobie uczuć), że zamarłam.

- Nasz dom, Coco. Ten dom ma być dla nas obojga. Chciałbym, aby stał się naszym specjalnym miejscem, naszym azylem. Potrzebujemy kryjówki, czegoś, co należałoby tylko do nas. Nie myśl, że nie zauważyłem, jak niespokojna robisz się na morzu - dodał. - Potrzebujesz towarzystwa. A tutaj możesz przyjmować tylu gości, ilu tylko zechcesz. A ja będę nadal miał mnóstwo miejsca dla siebie.

Nie były to co prawda oświadczenia, ale widziałam powagę malującą się na jego twarzy - i nie mogłam tego zlekceważyć. Nagle jednak pomyślałam o tym, że bogaci mężczyźni często dają swoim kochankom tego typu prezenty. Pocałowałam go w usta i powiedziałam:

- Dobrze, zgadzam się. Ale jeżeli to ma być nasz wspólny dom, musisz pozwolić mi za niego zapłacić.

Właściciel sprzedał mi posiadłość za 1,8 miliona franków - nigdy w życiu nie kupiłam niczego za taką sumę. Spotkaliśmy się z architektem, Streitzem, a ja natychmiast go polubiłam. Był młody i nieśmiały, miał tylko dwadzieścia osiem lat, ale bardzo go polecano, a bogate *portfolio* w pełni uwiarygadniało te rekomendacje. Streit z był gotów nadzorować rozbiórkę głównej części posiadłości i prace nad nowym projektem, który miał powstać z moimi wskazówkami. Wiązała się z tym także konieczność wydzielenia tarasów na zewnątrz w taki sposób, żeby powstało miejsce na basen.

- Chciałbym użyć najlepszych dostępnych materiałów - poinformowałam architekta. - Zależy mi na białym tynku, ręcznie robionej dachówce i monumentalnych schodach.

Sporządzający notatki Streit z zerknął na mnie pytająco.

- *Mademoiselle*, czy chodzi pani o jakiś określony rodzaj schodów?

Bendor wylegiwał się tymczasem na pobliskim tarasie, podziwiając rozciągający się stamtąd widok. Zrobił już to, co do niego należało. Pokazał mi posiadłość, podzielił się ze mną ideą posiadania wspólnego domu, azylu, do którego moglibyśmy uciekać, żeby schronić się przed trudami naszego życia. Szczegóły pozostawił mnie. Mimo to zawahałam się przez chwilę i zerknęłam w jego stronę, kiedy architekt zadał mi to pytanie.

- Proszę dać mi swoje pióro - poprosiłam Streitza, a kiedy to zrobił, sięgnęłam po jego notatnik i napisałam kilka słów. Po chwili oddałam mu notatnik. - To musi pozostać między nami - powiedziałam.

- Jeżeli komukolwiek pan o tym wspomni, natychmiast pana zwolnię

i zadbam o to, żeby nikt już pana nie zatrudnił. Czy wyraziłam się jasno?

- *Mademoiselle*, jest pani moją klientką. Obowiązuje mnie tajemnica, podobnie jak prawnika czy lekarza.

Roześmiałam się, chcąc rozładować napięcie.

- Mam nadzieję, że nie jest pan podobny do prawników. Nigdy im nie ufałam. Po wyjściu Streitza, Bendor spojrział na mnie i zapytał:

- Wszystko poszło zgodnie z planem?

- Tak. - Słońce pieściło moją skórę, a ja zamknęłam oczy, rozkoszując się kołysaniem stojącego w porcie jachtu. - Wydaje mi się, że to będzie wspaniały dom.

Nie powiedziałam mu, że powierzyłam Streit zowi tajną misję. Architekt miał odnaleźć moją przeszłość, dotrzeć w góry, w których spędziłam dzieciństwo - do klasztoru Aubazine, gdzie pewne kamienne, tajemnicze i pełne symbolizmu schody wyznaczyły moje przejście od dawnego życia do tego, które na mnie czekało. Chciałam, żeby schody te zostały szczegółowo odtworzone w moim nowym domu: miał to być milczący hołd dla pracowitych zakonnic, które nieświadomie przygotowały mnie do życia.

- Słyszałam legendę o tym, że kiedy Maria Magdalena uciekła z Ziemi Świętej po ukrzyżowaniu Chrystusa, zatrzymała się w pobliskiej kaplicy - powiedziałam powoli. - Ta

kaplica nazywa się La Pausa. Co byś powiedział, gdybyśmy nazwali tak nasz dom? Bendor leniwie zachichotał.

- „Wytchnienie”. Tak, bardzo mi się to podoba, Coco. Westchnęłam.

- Mnie też.

W przerwach między kolekcjami podróżowałam ekspresem Train Bleu z Paryża do Monte Carlo, by nadzorować budowę domu. Streitz odwiedził Aubazine i powiedział mi, że matka przełożona, stara i schorowana, nadal mnie pamiętała - bardzo mnie to wzruszyło. Na podstawie zrobionych w klasztorze zdjęć architekt sporządził szczegółowe szkice tamtejszych schodów, a ja przyjąłam z zadowoleniem efekty jego pracy.

- Chciałabym, żeby schody wyglądały na stare - powiedziałam. - Dom powinien sprawiać wrażenie zamieszkanego od dawna, nie może kojarzyć się z nowobogacką willą. Chodzi o to, żeby wyglądał tak, jakby stał tu od zawsze, wtopiony w otoczenie. Proszę zrezygnować z centralnego ogrzewania, którego nie znoszę, i zamiast tego umieścić kominek

w każdym z pokoi. Jeśli chodzi o ogrody, chciałabym zasadzić więcej drzew oliwnych, lawendę, róże i irysy. Wszystko ma wyglądać naturalnie, nie może być nadmiernie wypielęgnowane ani pretensjonalne.

Budowa została zakończona dopiero rok później, w 1929 roku i kosztowała mnie fortunę. Jednak gdy La Pausa już powstała, w pełni odpowiadała moim wyobrażeniom: była spokojną posiadłością, mniejszą niż wiele sąsiadujących z nią willi, dzięki czemu zapewniała większą intymność. Wnętrza zostały utrzymane w moich ulubionych kolorach - kremowym, koralowym i beżowym - a nasze apartamenty przedzielała duża, wyłożona płytkami łazienka. W domu znajdowało się też siedem przestronnych pokoiów gościnnych dla naszych przyjaciół. W holu dominowały urzekające, pozbawione ozdób kamienne schody, których stopnie były stylizowane na stare, i które stały się przedmiotem wielu domysłów.

Wierzyłam, że właśnie tutaj będę mogła się wreszcie ustatkować i odnaleźć szczęście u boku Bendora.

Los jednak postanowił pchnąć mnie w zupełnie innym kierunku.

XI

Nowiny przekazała mi jak zwykle Misia.

Przebywałyśmy akurat w La Pausie, gdzie zaprosiłam ją po to, żeby spędziła ze mną lato 1929 roku, z dala od Paryża i od męczarni, jakich dostarczało jej rozpadające się małżeństwo z Sertem. Zalewając się łzami podczas lunchu w Ritzu, wyznała mi, że jego romans z rosyjską księżniczką, który z początku wydawał się po prostu kolejnym spośród niewinnych przejawów niewierności tolerowanych, a czasem nawet wspieranych przez Misię, przerodził się w coś zdecydowanie poważniejszego, niż się pierwotnie wydawało. Jej udreka, chorobliwa bladość świadcząca o nadużywaniu opium oraz ogólne zaniedbanie zaniepokoiły mnie do tego stopnia, że natychmiast wyekspediowałam ją do La Pausy. Upowiedziałam służbę o tej wizycie i zapewniłam, że przyjadę, kiedy tylko będę mogła.

Kiedy Bendor zadzwonił i powiadomił mnie, że zatrzymały go w Anglii interesy, w ogóle nie zwróciłam na to uwagi. Powiedziałam, że będę czekała na niego w willi. Tak jak zawsze, panująca tam niczym nie zmacona cisza oraz unoszący się w powietrzu świeży zapach sosen działał na mnie kojąco. Zgodnie ze swoim zwyczajem, spałam do południa, a potem poszłam wskoczyć na chwilę do basenu.

Misia podeszła do mnie, kiedy wycierałam się ręcznikiem. Ledwo zdążyłam włożyć szlafrok, zanim cisnęła gazetę na stoliczek ze szklanym blatem. Stojąca na nim popielniczka aż zadrżała.

- On spotyka się z kimś innym.

- Tak? - Nie spojrzałam nawet na gazetę. - No cóż, to przecież dobra wiadomość, prawda? Może nie będzie chciał się teraz rozwodzić, zwłaszcza jeśli planuje tak przebierać w kochankach.

Posłała mi gniewne spojrzenie.

- Nie mówię o Jojo. Chodzi o twojego księcia. Bendora. Był ostatnio na jakimś przyjęciu z dystyngowaną damą o trzech imionach. Tak je zwykłaś nazywać, prawda?

Przez chwilę nie mogłam się ruszyć. Misia stała przede mną w bezkształtnej sukience, z postrzępionym słomkowym kapeluszem na głowie, a jej zarumieniona twarz była wolna od dręczących ją trosk. Natychmiast zaczęłam żałować, że ją tu zaprosiłam. Miała później dołączyć do mnie i Bendora na pokładzie *Srebrnej Chmury* i już wyobrażałam sobie chaos, który niechybnie tam wprowadzi. Misia odczuwała satysfakcję dopiero wówczas, kiedy wszyscy wokół niej byli równie nieszczęśliwi jak ona.

Odrzuciłam ręcznik i sięgnęłam po gazetę, nie zwracając uwagi na to, że miałam wciąż jeszcze wilgotne ręce i rozmazywałam druk. Przeczytawszy całą rubrykę towarzyską, którą zakreśliła Misia, cisnęłam gazetę na stolik. Udawałam obojętność, choć czułam, że w moim wnętrzu otworzyła się nagle otchłań.

- To nic takiego. Nie ma tam nawet nagłówka. Towarzyszył tej kobiecie, kimkolwiek ona jest, podczas jakiegoś przyjęcia, co jest zupełnie zwyczajne...

- Ta kobieta nazywa się Loelia Mary Ponsonby i jest córką lorda Sisonby - wtrąciła Misia. - Towarzyszył jej podczas kolacji, na której zjawił się sam król Jerzy. Nie nazwałabym tego zwyczajnym.

- Dla Bendora to nic szczególnego - warknęłam, a kiedy zobaczyłam podekscytowanie malujące się na jej twarzy, dodałam: - Nie jesteśmy ze sobą na wyłączność. Jeżeli chce iść na kolację z Loelią Mary Ponsonby czy kimkolwiek innym, ma do tego prawo.

Misia posłała mi jedno ze swoich przenikliwych spojrzeń. Nie znosiłam tego. Potrafiła

czytać mi w myślach, tak jakbym była książką, którą przeglądała nieskończenie wiele razy.

- Coco, kochanie. Wiem, jak bardzo liczyłaś na to, że się z tobą ożeni. Po cóż innego zadawałabyś sobie tyle trudu, żeby wybudować ten dom - machnęła ręką, wskazując moją posiadłość - jeżeli nie po to, żeby zostać jego żoną?

Wpatrywałam się w nią w milczeniu, przerażona tym, w jak osobliwy sposób potrafiła wypowiedzieć na głos wszystko, do czego bym się nigdy otwarcie nie przyznała. Misia mówiła dalej, z właściwą sobie nieustępliwością, którą wykazywała, gdy tylko wyczuła, że przeciwnik postanowił skapitulować.

- Nie myśl, że tego nie zauważyliśmy. Zanim Lifar wyjechał z Diagiem do Wenecji, wspominał, że ostatnimi czasy stałaś się bardzo tajemnicza, i że nie wie, jak z tobą rozmawiać. „Kiedy Coco niespodziewanie milknie - wyjaśniłam mu - to znaczy, że coś planuje”. A cóż byś mogła planować, jeśli nie zdobycie twojego angielskiego księcia?

- Ty. ty nie masz o niczym pojęcia - wyszeptalam. Chwyciłam ręcznik i gazetę, po czym pobiegłam do domu, rzucając na odchodnym: - Obiad zostanie podany za godzinę. Przepłynij się w basenie albo weź kąpiel, kochanie. Cuchniez intrygami.

Kiedy dotarłam do mojego kremowo-koralowego apartamentu, ledwo mogłam oddychać. Mocno ścisnęłam w rękach gazetę, sprawiając, że pod wpływem wilgoci papier zaczął się odkształcać, i przeczytałam raz jeszcze rubrykę towarzyską. Tak naprawdę nie było tam nic takiego - dosłownie pięć czy sześć linijek, w których informowano, że Jego Księżęca Mość, Księżę Westminsteru, towarzyszył lady Ponsonby podczas.

Wydałam gardłowy okrzyk, po czym cisnęłam gazetą na drugi koniec pokoju. Uderzyła z hukiem w moją toaletkę, przewracając szczotki, pudełeczka z kremami i maściami. Cały czas słyszałam swój oddech, który przypominał raczej ciężkie dyszenie. Przycisnęłam ręcznik do piersi. Wilgotny kostium kąpielowy boleśnie wżynał się w moją skórę.

Zobaczyłam swoje odbicie w dużym weneckim lustrze wiszącym nad toaletką: małą, zgarbioną figurkę. Odrzuciłam ręcznik i zbliżyłam się do lustra, powoli, tak jakby moje odbicie mogło w każdej chwili uciec albo wyparować. Kiedy znalazłam się na tyle blisko, żeby przyjrzeć się sobie dokładnie i zobaczyć siebie taką, jaką byłam w rzeczywistości, zamknęłam powieki, wzięłam głęboki oddech, a następnie zmusiłam się do otwarcia oczu.

Ile razy w życiu patrzyłam w lustro? Tysiące? Dziesiątki tysięcy? To był odwieczny rytuał każdej kobiety: zakładanie kolczyków i naszyjników, poprawianie zbłąkanych kosmyków włosów, podkreślanie oczu kredką, pospieszne pudrowanie albo skrapianie się perfumami. Widziałam swoją twarz każdego dnia, przez większą część mojego życia. Myślałam, że znam ją lepiej niż cokolwiek innego. Ale kobieta, na którą teraz patrzyłam, wydawała się inna. Na mojej twarzy został wyryty każdy rok z czterdziestu sześciu lat życia - od linii ciągnącej się wokół ust aż po zmarszczki w kącikach oczu.

Przypomniałam sobie powieść, którą kiedyś czytałam i w której starzejąca się kurtyzana nakazała, by rozbito wszystkie lustra w jej domu, bo nie mogła znieść widoku swojej nieuchronnie zbliżającej się starości. Wtedy wydawało mi się to wyrazem niedorzecznej próżności: przecież starzenie jest ceną, jaką płacimy za długowieczność, i nie ma w nim nic wstydliwego. Nigdy zresztą nie uważałam się za tak piękną, żebym miała kiedykolwiek zacząć się odwracać od lustra - i nie zrobiłam tego także teraz. Uważnie wpatrywałam się w swoje odbicie. Wyciągnęłam rękę i dotknęłam wypukłości pod podbródkiem, przyjrzałam się lekko zwiotczalym policzkom. Rozłożyłam szeroko ramiona i przystąpiłam do badania swojej jędrnej, gładkiej skóry, po czym zaczęłam pozować jak modelki w moim salonie, wyginając się na wszystkie strony, napinając drobne mięśnie, które starałam się zachować dzięki lekcjom tańca, pływaniu i szaleńczemu trybowi życia. Odwróciłam się i spojrzałam na swoje drobne pośladki

w kostiumie kąpielowym oraz na wyraźnie zarysowane łopatki.

Nie, nie byłam już młodą dziewczyną. Nie byłam też chłopczycą, która urzekła Balsana i oczarowała Boya. Stałam się dojrzałą kobietą: niewiarygodnie bogatą i odnoszącą sukcesy, mającą u stóp cały świat i otoczoną wszystkim, czego tylko mogłam zapragnąć.

Kiedy jednak moje dłonie powędrowały w kierunku zwiotczalego brzucha, na którym upływ czasu zapisał się wyraźniej niż gdziekolwiek indziej - poczułam w swoim wnętrzu namacalną wręcz pustkę.

Czyżby wszystkie moje osiągnięcia miały stracić swoją siłę, gdybym nie sprostała zadaniu, które określa istotę kobiecości? Czy brak męża i dziecka miał się okazać załącznikiem narastającego rozczarowania, tak jak to się stało w przypadku Adrienne, związanej z Nexonem, pozbawionej zarówno obrączki, jak i niemowlęcia w pokoju dzieciennym?

Drżącymi palcami sięgnęłam po papierosy. Zapaliłam i raz jeszcze podniosłam pomietą gazetę. Próbowałam odnaleźć pocieszenie w banalności tej notki, napuszonej, ale w rzeczywistości pozbawionej treści, lecz tusz kompletnie się rozmazał i pozwoliłam, żeby gazeta wysunęła mi się z dłoni.

Zgasiłam papierosa, stanęłam na rozpostartej na podłodze gazecie, po czym ruszyłam do łazienki, żeby wziąć przed obiadem ciepły prysznic.

Choć nie potrafiłam jeszcze tego sama przed sobą przyznać, czułam, że mój romans z Bendorem miał się już ku końcowi.

Czas, który spędziliśmy razem na jachcie, okazał się tak krępujący, jak przewidywałam. Podczas gdy Misia na zmianę wdychała z przygnębieniem i rozważała swoją przyszłość bez Serta, ja unikałam Bendora ze skutecznością, z której sama nie zdawałam sobie sprawy, dopóki nie osaczył mnie w kabinie, po tym, jak Misia, wypiwszy za dużo szampana, ruszyła chwiejnym krokiem do siebie. Zwrócił się do mnie w zadziwiająco gwałtowny jak na siebie sposób:

- Czy mógłbym się dowiedzieć, o co tu do diabła chodzi? Odkąd wyjechaliśmy z Monte Carlo, prawie się do mnie nie odzywasz.

- Naprawdę? - Odwróciłam się do niego, a kiedy to zrobiłam, zapragnęłam dostrzec

w jego wyglądzie coś, co wzbudziłoby mój wstręt, choćby ślad siwizny w nieco rzednących na skroniach włosach albo wyraźną zmarszczkę na brodzie... - Jest z nami Misia. Zdażyłeś się już chyba zorientować, że wymaga ciągłej uwagi.

- Owszem, ale nie brakuje nam służby, która mogłaby się nią zajmować. - Wyprostował ramiona. - Coco, co się dzieje? Coś przede mną ukrywasz. Nie podoba mi się to.

- Nie? - Roześmiałam się. - No cóż, mnie też się nie podobało, kiedy po raz pierwszy się o tym dowiedziałam. I oto, jak wy Anglicy lubicie mówić, doszliśmy do sedna sprawy.

Zamilkł na chwilę.

- Ach, chyba wiem, o co chodzi.

- Jestem przekonana, że wiesz. - Podeszłam do stolika nocnego. - Gdzie moje papierosy? Och, nie. Musiałam je zostawić na pokładzie.

Kiedy go mijałam, powiedział:

- Wiesz, że nie da się temu zapobiec. - Zatrzymałam się. Choć za wszelką cenę usiłowałam temu przeszkodzić, zalała mnie nagła fala wspomnień: zobaczyłam przed sobą Boya, który wyznawał mi, że tego się od niego oczekuje.

- Nie da się temu zapobiec? - zapytałam z niedowierzaniem. - Czyżbym przegapiła w gazecie wzmiankę o tym, że twoja towarzyszką przyłożyła ci pistolet do skroni?

- Coco. - Westchnął, przeszukując kieszenie. Po chwili wyjął własną papierośnicę. Wyrwałam mu ją.

- Czy naprawdę myślałaś, że m y . ? - Wypowiedział te słowa tonem pełnym żalu i smutku, który wbił się we mnie jak skalpel. Bendor spuścił wzrok. - Jeżeli kiedykolwiek

dałem ci po temu powody, przepraszam. Jesteś najbardziej fascynującą kobietą, jaką kiedykolwiek poznałem. Nie chciałbym cię w żaden sposób skrzywdzić. Z pewnością zdajesz sobie sprawę, że to niemożliwe. Pochodzimy z zupełnie różnych światów. Ty nie byłabyś szczęśliwa w moim, a ja. no cóż, ja nie rozumiem twojego.

- Oczywiście. - Zdołałam wyjąć papierosa, a nawet wykrzesać z siebie uśmiech, kiedy pochylałam się w kierunku trzymanej przez niego zapalniczki. - Doskonale zdaję sobie sprawę z tego, jak bardzo do siebie nie pasujemy. - Uśmiechnęłam się, choć miałam wrażenie, że moja twarz zastygła w grymasie. - Mimo to wolałabym się o tym dowiedzieć od ciebie.

- Nie powiedziałem ci, bo nic nie zostało jeszcze postanowione.

- Ale może zostać postanowione w każdej chwili. - Wypuściłam dym i przyszło mi do głowy, że jego dama o trzech imionach najprawdopodobniej nie paliła, a przynajmniej nie tyle, co ja. Miałam ochotę się roześmiać na myśl o absurdzie tej sytuacji, o własnej głupocie, która zwróciła się teraz przeciwko mnie. Jak mogłam uwierzyć, że uzna mnie za godną tytułu księżnej? I, co gorsza, jak mogłam uwierzyć, że sama tego tytułu pragnę?

Jego kolejne słowa dotknęły mnie do żywego.

- Nie „może”. Musi. Muszę się ponownie ożenić i mieć syna. Zawsze o tym wiedziałas. Jeżeli tak się nie stanie, cały mój majątek przejdzie w ręce kuzyna, którego prawie nie znam. Mogę zadbać o córki, ale tylko syn zdoła ochronić moją fortunę i moje nazwisko. To mój obowiązek. Szczęście jest dopiero na drugim miejscu. Nie rozumiesz tego - dodał, patrząc na mnie z pełnym politowaniem smutkiem - bo nie ciąży na tobie taka odpowiedzialność. Masz tylko swoje sklepy. Jesteś wolna.

Nie mogłam w to uwierzyć. Nie mogłam pojąć, w jaki sposób do tego dopuściłam, w jaki sposób świadomie naraziłam się na taki wstrząs. Pomimo nieustannych zapewnień o tym, że jestem wolna i mogę robić, co tylko chcę, wszyscy zdawali się zapominać, że nie mam serca z kamienia. Nie byłam tak odporna, jak zakładali. Choć nie kochałam Bendora tak, jak kochałam Boya, obawiałam się, że tym razem trudniej będzie mi przyjąć ten cios, bo nie byłam już młoda. Ta myśl nie tylko doprowadzała mnie do furii - ale też okazała się wyjątkowo upokarzająca.

- Ja. Kocham cię - mówił dalej, jękając się. - Ale nawet, gdyby to było możliwe, my nie. ty nie możesz.

Pospiesznie się do niego zbliżyłam, uniosłam się na koniuszkach palców i pocałowałam go w usta, starając się go uciszyć. Wyglądał jak zrozpaczone dziecko, któremu odebrano właśnie zabawki. Miałam ochotę wyszeptać: to minie. W przeciwieństwie do Boya, twoja miłość przeminie. Od początku była przelotna. To ja starałam się zamienić ją w coś trwałego, karmiąc się złudzeniami, że to coś, czego oboje pragniemy.

Zamiast tego powiedziałam jednak:

- Kiedy już wszystko zostanie postanowione, dasz mi znać? Skinął głową.

- Chciałbym, żebyś ją poznała. Wzruszyłam ramionami, siląc się na obojętność.

- Oczywiście, kochanie. Będę przecież musiała zatwierdzić jej garderobę. - Powiedziawszy to, wyszłam z kajuty i wspięłam się po schodkach na pokład. Udając, że szukam swojej papierośnicy, starałam się tak naprawdę stłumić gwałtowny atak rozpacz.

Papierośnica była przez cały czas w mojej kieszeni.

Ale prędzej rzuciłabym się za burtę, niż pozwoliłabym mu zobaczyć, jak płaczę. Trzy dni później z Wenecji przyszedł pilny telegram. Diagilew umierał.

Czym prędzej udaliśmy się do Hotel des Bains na wyspie Lido. Kiedy wchodziliśmy po

schodach, zmierzając do apartamentu Diagilewa, chwyciłam Misię za rękę.

- Tylko bez hysterii - wyszeptałam. - Ostatnią rzeczą, jakiej nam teraz trzeba, są twoje lamenty nad jego łóżkiem.

W pokoju panował chaos, na podłodze były porozrzucane tace z jedzeniem i nierozpakowane walizki pełne ubrań. Serge Lifar, ciemnowłosy ukraiński kochanek Diagilewa, podszedł do mnie i wyszeptał:

- Coco. - Miał cienie wokół swoich głęboko osadzonych brązowych oczu. - Obawiam się, że sprawa wygląda poważnie. Jego reumatyzm. odmówił przyjmowania lekarstw. Zasłabł i. - Serge zdusił szloch. - Och, dobry Boże, cóż my bez niego pocniemy?

Wzięłam go za rękę i mocno ścisnęłam jego dłoń.

- Żadnych łez, dobrze? Musimy sprawiać wrażenie szczęśliwych. Poprawa nastroju może zadziałać cuda.

Ale kiedy Lifar zaprowadził mnie do łóżka, przy którym siedziała już Misia, zgarbiona jak zużyta chusteczka, wystarczył mi jeden rzut oka na wymizerowaną postać Diagilewa, aby zrozumieć, że jest już za późno. Odkąd zmarła moja matka, nie byłam świadkiem śmierci nikogo bliskiego. Cieszyłam się, że mnie to ominęło. Diagilew z trudem otworzył oczy. Rozpoznał nas dopiero po chwili i wyszeptał:

- Coco. Misia. Jak miło, że do nas dołączyliście.

W jego słowach dało się wychwycić dowcip, który sprawił, że Misia gwałtownie zasłoniła dłonią usta. Ogarnęła ją rozpacz - zmora, przed którą wiecznie uciekała. Stojąc tam i trzymając ręce na jej ramionach, czułam, jak wracała do niej gwałtownie każda poniesiona w życiu strata: porzucenie przez rodziców, rozwody, świadomość, że odchodzi mężczyzna, którego na przemian broniła i atakowała. Odwróciła się, wtuliła twarz w moją spódnicę i załkała z rozpaczą chwytającą za serce.

- Nie dzieje się chyba nic strasznego - powiedział cicho Diag. Kiedy jednak nasze spojrzenia się spotkały, zobaczyłam w jego oczach, że zdawał sobie sprawę z powagi sytuacji. Bez słowa potwierdził moje przypuszczenia.

- Zostaniemy przy tobie - zapewniłam. Uśmiechnął się i zamknął oczy.

- Tak - westchnął. - Chciałbym tego.

Zmarł dwa dni później. Odszedł nad ranem, we śnie, kiedy turkusowe fale uderzały w nabrzeże miasta na wyspie, a Lifar, jego ostatnia miłość, trzymał go za rękę. Zespół Ballets Russes jak zwykle nie miał dość pieniędzy, by pokryć koszty pogrzebu. Wzięłam to na siebie. Z powodu nie leczonej przez długi czas choroby ciało Diagilewa było w tak strasznym stanie, że nie mogliśmy przetransportować go do Paryża. Musiał zostać pochowany na wyspie San Michele, gdzie znajdował się jedyny cmentarz w Wenecji. Zadałam o to, żeby pogrzeb miał odpowiednią oprawę: trumna płynęła w białej gondoli, a my podążaliśmy za nią we flotyli czarnych łodzi.

Przesłałam wiadomość Bendorowi, który przycumował jacht w pewnej odległości od Wenecji, nie pojawił się on jednak o ustalonej porze. Kierownik hotelu wspomniał, że poniósł ogromne koszty w związku z chorobą Diaga, martwił się też, że śmierć gościa hotelu źle wpłynie na jego interes. Opłaciłam rachunek i zadałam o to, by ciało wyniesiono o świcie, jeszcze zanim obudzili się pozostali goście.

Kiedy patrzyłyśmy, jak trumnę składano do grobu, Misia wyglądała jak upiór.

- Będzie tam taki samotny - jęknęła. - Tak daleko od Paryża i od wszystkiego, co kochał.

- Kochał też Wenecję - powiedziałam. - Poza tym już go tu nie ma. Niespodziewanej dramaturgii dostarczył nam Lifar, który, pogrążony w bólu, wydał nagle

gwałtowny jęk i szarpnął się tak, jakby zamierzał rzucić się na trumnę. Trzymaliśmy go, kiedy

łkał i rozpaczliwie rozglądał się wokół siebie, tak jakby nie mógł uwierzyć, że to wszystko nie jest jakimś okrutnym żartem i że Diagilew nie wyjdzie zaraz spokojnie spomiędzy nagrobków. Ja sama niemal się tego spodziewałam. Kiedy płynęliśmy z powrotem w kierunku miasta, nieustannie oglądałam się za siebie, wypatrując machającej do nas masywnej sylwetki w karakułach i perłowym krawacie.

- Ktoś powinien zawiadomić Igora - powiedziałam, a Misia wydmuchała nos w chusteczkę. - Będzie zdruzgotany. Kochał Diaga jak brata.

Pomyślałam, że Strawiński rzeczywiście się załamał, podobnie jak Cocteau, Picasso, tancerze i wszyscy, którzy mieli szczęście uczestniczyć w jego dziwacznych, ekstrawaganckich, zrywających z tradycją spektaklach. Nikt z nas go już nie zobaczy.

Na tym świecie mógł istnieć tylko jeden Siergiej Diagilew.

Jego śmierć dotknęła mnie bardziej, niż mogłam przypuszczać, musiałam jednak stłumić własny smutek i zając się Misią, kompletnie załamaną i osamotnioną na świecie, w którym nie była już niczyją muzą i nie miała przy sobie ani Jojo, ani ukochanego Diaga.

Pod koniec sierpnia przerwałam rejs z Bendorem i wróciłam z Misią do mojego domu przy Faubourg Saint-Honore w Paryżu. Umieściłam ją w jednym z pokojów gościnnych, mając nadzieję, że dzięki temu ona i Cocteau, który również u mnie mieszkał, będą się nawzajem wspierali. Byłam przekonana, że dzielili się nie tylko bólem, ale też opium. Biorąc pod uwagę okoliczności, postanowiłam zapewnić im pewną swobodę i wróciłam do swojego *atelier*, gdzie pogрузyłam się w pracy.

Wkrótce złożyła mi wizytę Vera Bate, która zdążyła się przez ten czas zaręczyć z włoskim oficerem i mistrzem jazdy konnej Alberto Lombardim. Miała nadzorować zbliżające się otwarcie mojego londyńskiego butikiu i obiecała mi, że kiedy już to zrobi, znajdzie sobie zastępstwo - Lombardi chciał po ślubie wrócić do Włoch. Ja z kolei przekazałam jej najnowsze wieści: Dymitr oświadczył się swojej amerykańskiej dziedziczce, a zrzędlawy ojciec barona Nexona, który sprzeciwiał się dotąd jego związkowi z moją ciotką Adrienne, był bliski śmierci. Reszta rodziny zdecydowała się wreszcie pobłogosławić ten związek.

- A więc wszyscy postanowili się ustatkować - zauważyła Vera, kiedy usiadłyśmy przy barze, a moi znajomi rozsiedli się na sofach, pijąc i rozmawiając. - Oprócz ciebie, najdroższa Coco. Wygląda na to, że postanowiłaś pozostać jak sfinks: tajemnicza, wspaniała i wiecznie samotna.

Uśmiechnęłam się.

- Potrzebujemy przecież kogoś, kto mógłby płacić za te wszystkie przyjęcia. Gdybym wyszła za mąż i przestała pracować, cóż byście u licha zrobili?

- Ach - powiedziała, a ja posłałam jej spojrzenie bardziej szczerze niż powinnam, bo po chwili dodała: - Zastanawiałam się, co się stało z Bendorem. Spotkałam go w Londynie

w towarzystwie córki lorda Sisonby. Nie wyglądał na szczęśliwego. Zapytał mnie, czy zamierzasz przyjechać do Londynu na otwarcie butikiu. Powiedziałam, że nie mam pojęcia. - Zamilkła na chwilę. - Ufam, że dobrze zrobiłam?

- Tak, oczywiście - odparłam. - Mój kalendarz jest szczelnie wypełniony. Bendor i ja rozstaliśmy się w zgodzie. Nigdy nie było mowy o małżeństwie, jeżeli to masz na myśli. Mężczyźni mnie nie rozumieją. Mówią: „Nie musisz się o nic martwić. Nie musisz nic więcej robić, zaopiekuję się tobą”. Ale tak naprawdę chcą przez to powiedzieć: „Nie musisz nic więcej robić poza tym, żeby tu być i na mnie czekać”. - Widząc zaskoczenie na jej twarzy, zaśmiałam się w nieco wymuszony sposób. - Nie zamierzam się na to godzić. Nie chcę, żeby jakikolwiek mężczyzna postrzegał mnie jako ciężar.

Zanim zdołała odpowiedzieć, ruszyłam przed siebie w swoich perłach i czarnym

krepedezynie, a następnie pochwyciłam kieliszek z szampanem, zanim Cocteau - znowu będący pod wpływem opium - zdążył rzucić go na dywan. Zamieniłam kilka słów z żoną Picassa, Olgą, która miała na sobie jedną z moich najnowszych sukni z beżowej dzianiny, i zamartwiała się niewiernością swojego uganiającego się za spódniczkami męża.

Kiedy wybiła druga, poszłam na górę. W ostatnim czasie nigdy nie zęgnęłam się z gośćmi - wszyscy zdążyli już przyzwyczać się do tego, że w pewnym momencie po prostu znikalam. Siedzieli na dole do czasu, aż byli zbyt pijani, żeby wracać do swoich domów, a mój kamerdyner Joseph odprowadzał ich do specjalnie przygotowanych na tę okazję pokoiów. Czasem ruszali do jednego z licznych kabaretów w poszukiwaniu nowych wrażeń.

Kiedy kładłam się do łóżka i towarzyszyły mi tylko moje wierne psy, samotność ciążyła mi jak opadająca na dno kotwica.

AKT PIĄTY

NIE CZAS NA MODĘ

1929-1945

„NIE JESTEM NA TYLE PRÓŻNA, ABY UDAWAĆ, ŻE WIEM, CO PRZYNIESIE JUTRO”.

I

Dwudziestego dziewiątego października 1929 roku załamała się amerykańska giełda. Następstwa tego wydarzenia okazały się tragiczne: wielkie fortuny zniknęły w ciągu kilku sekund, mówiło się o potentatach i ich żonach, którzy masowo rzucali się z okien, nie chcąc doświadczać nagłego ubóstwa. W ciągu roku skutki amerykańskiego kryzysu dotarły także do nas. Zanotowałam niepokojący spadek liczby zamówień z zagranicy, a klienci zaczęli przygotowywać się na okres, który miał przynieść długotrwałe zamrożenie wydatków.

Bendor mnie przed tym ostrzegał. Pozostaliśmy przyjaciółmi. Oświadczył się lady Ponsonby, która oczywiście oświadczyły te przyjęła. Podczas przygotowań do ślubu przywiózł swoją narzeczoną do Paryża. Wypiliśmy razem herbatę (była tak ładna, tak nijaka i tak dobrze urodzona, jak sobie wyobrażałam), a Bendor powiedział mi, że zastępy jego analityków finansowych przewidywały międzynarodową katastrofę. Podjęłam pewne kroki, usiłując zabezpieczyć swoje interesy: zatrudniałam mniej osób i ograniczyłam liczbę sukienek, które zamierzałam włączyć do nowej kolekcji. Nic jednak nie mogło mnie przygotować na to, co nastąpiło. Róg obfitości, który sprawiał, że Amerykanie i Brytyjczycy tak tłumnie odwiedzali moje butik, nagle stał się pusty. To, co się wydarzyło, przyćmiło nawet otwarcie mojego nowego butik w Londynie, z którego byłam taka dumna. Po raz kolejny musiałam przystosować się do trudnych czasów.

Bogate ozdoby i ornamenty nie wydawały się w tej sytuacji odpowiednie (ani opłacalne). Największym powodzeniem cieszyła się na nowo moja mała czarna - być może dlatego, jak to ironicznie określałam, że doskonale wpisywała się w żałobny nastrój nowej dekady. Na swój londyński debiut zaprojektowałam tańsze bawełniane komplety i ograniczyłam stroje wieczorowe do kilku sztuk uszytych z piki, organdy i koronki, z rozszerzającymi się mankietami i zakietami z jedwabnego aksamitu. Postanowiłam też rozbudować linię ubrań z wzorzystych tkanin sprzedawanych pojedynczo, nie zaś w kompletach, chcąc w ten sposób wyjść naprzeciw mniej zamożnym klientkom. Wprowadziłam też kostiumy z produkowanego specjalnie dla mnie miękkiego szantungu jedwabnego i wełnianego, a także wykonane z pikowanej skóry torebki na ramię.

Pomimo dramatycznego końca *les années folles* z radością powitałam ten wymuszony przez okoliczności powrót do prostoty. Zawsze hołdowałam zasadzie, że mniej znaczy więcej -i nigdy nie bałam się wyzwania. Poza tym, w przeciwieństwie do innych projektantów, którzy w następstwie krachu zaczęli tracić klientów, ja miałam swój talizman, perfumy No. 5, które wciąż cieszyły się zdumiewającą popularnością. Kobiety na całym świecie odmawiały sobie przyjemności, żeby dalej móc poddawać się kojącemu urokowi tego zapachu.

Mimo to stale utrzymujący się spadek zysków martwił mnie coraz bardziej. Ucierpiały przede wszystkim butik w Deauville, Cannes i Biarritz, ponieważ wartki strumień bogatych urlopowiczów przekształcił się w wąską strużkę. Poza tym po wielu latach mojej absolutnej dominacji zaczęli pojawiać się nowi projektanci, w tym Włoszka Elsa Schiaparelli, której kostiumy kąpielowe i stroje narciarskie zdobyły szerokie uznanie. Styl, który prezentowała, wydawał mi się wtórny, ale jej pozycja wzbudziła mój niepokój. Wiedziałam, że muszę stworzyć coś nowego, co pozwoliłoby podtrzymać moją popularność. W czasie gdy spędzałam w La Pausie krótki urlop, odwiedził mnie Dymitr, a oferta, którą przedstawił, wydawała mi się idealną sposobnością, by wzmocnić moją pozycję.

Poślubiona przez niego amerykańska dziedziczka zdołała przetrwać kryzys, dziesiątkujący tak wielu jej uprzywilejowanych przyjaciół. Jak wyjaśnił Dymitr, jej rodzina

zainwestowała w przemysł filmowy, a jeden z gigantów tego przemysłu, Samuel Goldwyn, postanowił ponownie spróbować nawiązać ze mną współpracę.

- Bardzo zależy mu na tym, żeby sprowadzić cię do Los Angeles. Jest skłonny dać ci wolną rękę i wysoką pensję, jeżeli zgodzisz się ubierać jego największe gwiazdy - powiedział Dymitr, kiedy siedzieliśmy przy basenie w towarzystwie popijającej martini Misi, która miała na sobie słomkowy kapelusz oraz ogromne okulary przeciwsłoneczne. - W przyszłym tygodniu zaczyna urlop na Lazurowym Wybrzeżu. Może to dobra okazja, żebym cię przedstawił?

W innych okolicznościach z pewnością bym odmówiła. Nie miałam ochoty wyjeżdżać do tego pełnego arogancji kraju, w którym cierpiało teraz tak wielu ludzi. Prawdę mówiąc, Ameryka nigdy mnie nie interesowała. W przeciwieństwie do większości moich przyjaciół, w tym także Misi, nie pociągał mnie sztuczny bliztr Hollywoodu. Mimo to zaczęłam się wahać. Moje ubrania zawsze świetnie się sprzedawały w Stanach Zjednoczonych, podobnie jak perfumy. Choć nie odwiedziłam dotąd tego kraju, moje nazwisko musiało obrosnąć tam legendą, skoro jednemu z najpotężniejszych magnatów branży filmowej tak zależało na tym, żeby mnie zatrudnić. Zmarszczyłam brwi i pomyślałam, że to naprawdę nie najlepszy czas na tego typu propozycje, ale Misia zaczęła mnie przekonywać:

- Coco, co ci szkodzi? Najwyraźniej bardzo mu na tym zależy. Już drugi raz cię o to prosi.

Dymitr posłał mi dyskretny uśmiech. Równie elegancko i wytwornie mógł wyglądać jedynie Romanow z pełnym kontem i bogatą żoną. Przez chwilę rozważałam nawet, czy nie spróbować zaciągnąć go do łóżka, żeby sprawdzić, czy nadal jestem to w stanie zrobić.

- Drugi raz? - zapytał. - Goldwyn już wcześniej ci to proponował?

- Tak. Złożył mi ofertę... no cóż, jakieś dwa lub trzy lata temu. Był gotów zapłacić pokąźną sumę - dodałam. - Powiedziałyby wręcz, że astronomiczną.

Zmrużył oczy.

- Wobec tego musisz przyjąć jego zaproszenie.

- Nie wiem, czy je przyjmę. - Wstałam, przeciągając się, po czym przesłam zalotnym krokiem obok Dymitra. - Ale spotkam się z nim. - Powiedziawszy to, wskoczyłam do basenu.

Goldwyn był niski, spocony i cuchnął cygarami. Zaprosiłam go na obiad do La Pausy: przygotowałam prosty posiłek z dobrym winem. Towarzyszyli nam moi przyjaciele. Z jakiegoś niezrozumiałego powodu wołałam ich w takiej chwili mieć przy sobie. To poczucie wzmogło się, kiedy ten magnat branży filmowej ubrany w ohydny hawajską koszulę i bezkształtne spodnie postanowił obejrzeć mój dom. Krążył po nim, tak jakby starał się oszacować jego wartość. Następnie polecił wczepionej w niego wymanikiurowanej blond żonie, żeby poszła do baru, i zaczął trajkotać po angielsku. Ledwo go rozumiałam, bo choć byłam w stanie posługiwać się tym językiem, z pewnością nie przychodziło mi to płynnie.

- A więc tak, panno Chanel. Składam pani wyjątkową propozycję. Chciałbym, żeby ubierała pani moje największe gwiazdy: Swanson, Garbo, Colbert, Normę Talmadge, Inę Claire... One wszystkie nosiłyby wyłącznie pani ubrania, zarówno w filmach, jak i na co dzień. Zbije pani na tym fortunę! Żaden inny projektant nie stanął nigdy przed taką szansą. Każdy ekran kinowy w Stanach Zjednoczonych i za granicą będzie pani... hmm, jak wy to nazywacie?

- *Atelier* - odpowiedziałam, lekko się uśmiechając.

- Ate. co?

- Salonem, jeżeli pan woli. Napije się pan wina, *Mr Goldwyn*?

- Nie. Nie tykam tego świństwa. Mam po nim gazy. - Zarechotał, a ja skrzywiłam się, spodziewając się, że lada chwila głośno mu się odbije. Przypomniałam sobie, jak Sert zrezygnował z wyjazdu do Stanów Zjednoczonych, tłumacząc, że Amerykanie jedzą tylko jasne

pieczywo. Najwyraźniej rzadko pijali też wino. Oczywiście Sert zmienił w końcu zdanie: pociągając nosem, Misia wyznała mi, że zgodził się ostatecznie przyjąć ofertę Rockefellera i stworzyć mural na jednym z jego nowojorskich drapaczy chmur. Sądząc po entuzjastycznej przemowie Goldwyna, wyglądało na to, że choć ostatnimi czasy na świecie brakowało pieniędzy, Ameryka nadal miała ich wiele do roztrwonienia.

- Co pani na to? Ten Rosjanin, Erte, przyjechał do Hollywood, żeby tworzyć dla mnie scenografie, i był zachwycony. Podpisał kontrakt na rok. Zapewniłem mu dom. Mogę to samo zrobić dla pani.

- Mam już dom - zaprotestowałam. Przypominał mi tych ulicznych handlarzy, których widywałam tak często w dzieciństwie i którzy rozkładali brudne karty na odwróconych do góry dnem skrzynkach, żeby znieść naiwnych przechodniów. - Poza tym nie dam rady wyjechać na rok. Mam tu swoje sklepy.

Wpatrywał się we mnie, szeroko otwierając usta ze zdziwienia.

- We Francji - wyjaśniłam, sięgając po papierosy. - Moje sklepy są w Paryżu. Nie mogłabym ich porzucić na cały rok.

- Nie ma pani ludzi, którzy mogliby panią zastąpić? - zapytał, szczerze zaskoczony.

- Owszem, ale projektuję i nadzoruję produkcję każdego ubrania. Właśnie dlatego chce mnie pan zatrudnić, prawda? - Zapaliłam papierosa. - Ze względu na mój talent?

- Tak, tak, oczywiście - odpowiedział, a ja natychmiast zrozumiałam, że to nieprawda. - Ze względu na pani talent. - Mówił dalej, chodząc w tę i z powrotem, coraz szybciej, jak pociąg, który nabiera prędkości na wyboistej trasie. - No dobrze, więc nie da pani rady wyjechać na rok. Może pani przyjeżdżać co jakiś czas i ubierać moje gwiazdy. A potem zobaczymy.

- Pańskie gwiazdy - powtórzyłam, posyłając mu kolejny uśmiech. - I twierdzi pan, że będą nosiły moje stroje nie tylko na planie filmowym, ale i na co dzień? Proszę wybaczyć, *Mr Goldwyn*, ale znam ludzi teatru. Aktorki uwielbiają stawiać na swoim. Chyba nie zdoła ich pan zmusić do tego, żeby zaczęły nosić wyłącznie kreacje Chanel?

- Zrobią, co każe - ryknął. Dymitr i pozostali goście zgromadzeni przy stole aż podskoczyli. - To ja im płacę. To ja je stworzyłem. Jeżeli nie będą robiły tego, co mówię, wylecą. Będą skończone.

- Rozumiem. - Uśmiechnęłam się jeszcze szerzej, bo rzeczywiście zaczynałam wszystko rozumieć. Aż nazbyt dobrze. On najwyraźniej również potrafił ocenić sytuację, bo zaczął pożerać pieczonego kurczaka, mamrocząc już tylko między kolejnymi kęsami:

- Proponuję kontrakt na milion dolarów. Może pani przyjechać do Ameryki i przekonać się, jak wygląda praca ze mną, a jeżeli będzie pani zadowolona. no cóż, złożymy swoje podpisy tam gdzie trzeba. Zgoda?

Zapadła cisza tak dojmująca, że słyszałam głęboki oddech Misi. Dymitr uniósł brew ze zdziwienia. Ta oferta była rzeczywiście wyjątkowa. Zachowałabym się nierozważnie, gdybym ją odrzuciła. A mimo to nie mogłam zmusić się do tego, by podjąć ostateczną decyzję - choć Goldwyn coraz bardziej się nadymał, a Misia posyłała mi błagalne spojrzenia - do czasu, aż Amerykanin dodał:

- Opłacę wszystkie związane z tym koszty: podróż, hotel, wszystko. Może pani nawet zabrać kogoś ze sobą: sekretarkę albo asystentkę. Zakładam, że zatrudnia pani takie osoby?

Misia prawie spadła z krzesła. Posłałam jej ostrzegawcze spojrzenie, zgasłam papierosa i sięgnęłam po kieliszek.

- Zatem muszę przyjeżdżać tylko od czasu do czasu, na pańskie zaproszenie? A jeżeli się zgodzę, zyskam pełną kontrolę nad swoimi projektami? Natomiast jeżeli nie będzie mi to odpowiadało, mogę w każdej chwili zrezygnować?

- Tak, tak, ale z pewnością będzie pani zachwycona. - Posłał mi promienny uśmiech. -Wszyscy kochają Hollywood.

Nie byłam przekonana, ale kiedy skinęłam głową, a Misia roześmiała się głośno po raz pierwszy od wielu miesięcy, pomyślałam, że cokolwiek się stanie, czeka mnie niewątpliwie prawdziwa przygoda.

Przed wyjazdem do Ameryki włączyłam się w przygotowania do ślubu Adrienne i Nexona. Czekali na niego prawie trzydzieści lat. Moja najmłodsza ciotka wyglądała olśniewająco w sukience z białej organzy i jedwabiu, którą dla niej zaprojektowałam. Baron wyraźnie utył, ale mimo to, składając przysięgę, wyglądał niezwykle elegancko. Zdziwiło mnie ich oddanie: Nexon mógł przecież postąpić tak jak Boy i Bendor, ożenić się z jakąś dobrze urodzoną damą i uczynić Adrienne swoją kochanką. Pozostał jej jednak wierny przez te wszystkie lata. Nigdy nie widziałam tak zakochanego mężczyzny.

Po ślubie Adrienne podeszła do mnie i powiedziała:

- Chciałabym odejść z pracy. Zrobię to dopiero za jakiś czas, mogę nawet poczekać, aż wrócisz z Ameryki, ale Nexonowi zależy na tym, żebyśmy zamieszkali w jego rodzinnym majątku i... - Nie wchodziła w szczegóły, ale zrozumiałam, co miała na myśli. Choć byliśmy w tym samym wieku, nadal marzyła o dziecku.

- Oczywiście - odparłam. - Nie zaprzataj tym sobie głowy. Jedź. Zostań jego baronową. Zasłużyłaś na to.

- Poradzisz sobie?

- Zatrudnię kogoś na twoje miejsce. Hrabina Hélène de Leusse pytała, czy nie znalazłabym dla niej miejsca. Zna wszystkie nasze klientki. Czy zanim odejdziesz, mogłabyś jej wszystko wytłumaczyć?

Adrienne skinęła głową. Wyglądała na przygnębioną i rozchmurzyła się dopiero, kiedy nachyliłam się i pocałowałam ją w policzek.

- Zawsze możesz wrócić. Na pewno o tym wiesz. Mówiąc, że cię kimś zastąpię, nie miałam na myśli tego, że ktoś mógłby kiedykolwiek zająć twoje miejsce.

Rozpromieniła się.

- Dziękuję, Gabrielle. - Na jej twarzy malowała się tak ogromna ulga, że nie miałam serca jej powiedzieć, iż moim zdaniem wróci bardzo szybko. Choć żyła dotąd w oczekiwaniu na dzień, w którym zostanie wreszcie żoną Nexona, mój sukces rozbudził w niej potrzebę niezależności. Wiedziała, że nie wytrzyma długo bez pracy, jeśli nie zdoła w jakiś cudowny sposób zająć w ciążę, co w jej wieku wydawało się naprawdę mało prawdopodobne.

Mimo to poczułam niezwykle wzruszenie, patrząc, jak Adrienne tańczyła z Nexonem podczas przyjęcia weselnego. Choć dawno już mieli za sobą pierwsze zauroczenie, nie sposób było nie zauważyć miłości w ich oczach. Ku mojemu zaskoczeniu do tańca poprosił mnie Balsan, który przyjechał na wesele z Royallieu w towarzystwie swojej nowej narzeczonej. Po tylu latach znowu znalazłam się w jego ramionach. Miał równie szyderczy wyraz twarzy jak zawsze, ale jego skóra wydawała się wysuszona, a wielki brzuch wbijał się we mnie podczas tańca.

- Musisz coś z tym zrobić - powiedziałam, kiedy wirowaliśmy w walcu. - Twoje konie dostaną przepukliny, jeśli nadal będziesz tyle jadł.

- Ach, no tak. Stateczne przyjemności wieku średniego: dobre jedzenie, starzy znajomi i nudny seks. - Uśmiechnął się. Nie zatracił tej dawnej niefrasobliwości lekkoducha, która jak zwykle wprawiła mnie w dobry nastrój. - Ale po tobie, Coco, nie widać upływu czasu. Nie musisz iść na żadne kompromisy, prawda?

- Nie wiem, o czym mówisz. Ja też się starzeję.

- Nie tak jak my wszyscy. - Jego uśmiech przygasł, ustępując miejsca łagodnej trosce.

Prawie się zachwiałam. - Nadal tęsknisz za Boyem?

Tylko on miał odwagę, by o to zapytać. Nikt inny. I tylko jemu bym na to pozwoliła.

- Każdego dnia - wyszeptalam. Ścisnął mnie nieco mocniej.

- To dobrze. Kochałaś i byłaś kochana. To wszystko, o czym możemy marzyć w tym życiu. Niektórzy ludzie nigdy tego nie doświadczą.

Wyszłam z przyjęcia dość wcześnie, tłumacząc się tym, że muszę wracać do domu, żeby spakować się przed wyjazdem. Tak naprawdę chciałam stamtąd jak najszybciej uciec i wskoczyłam do swojego rolls-royce'a tak gwałtownie, jakby w hotelu wybuchł pożar.

Dopiero kiedy szofer stanął na podjeździe mojego domu przy Faubourg Saint-Honore, zrozumiałam, że czułam coś więcej niż zwykły smutek. To była raczej nieuchwytna melancholia związana z końcem pewnej epoki. Adrienne była przy mnie w czasach, gdy marzyłyśmy, żeby coś w życiu osiągnąć; wspierała mnie nawet wtedy, gdy zostałam kochanką Balsana. Z kolei Balsan zapewnił mi schronienie i mimowolnie skierował mnie na ścieżkę, która zdeterminowała moją przyszłość - dzięki niemu poznałam Boya. A teraz Boy już nie żył, Adrienne i Balsan znaleźli sobie ludzi, z którymi mieli spędzić resztę życia - ja zaś zostałam sama.

Drzwi domu otworzyły się, a ze środka wyszła Misia. Za nią potruchtał Cocteau, który dopiero co wrócił z kolejnego miesięcznego odwyku.

- Coco! - zawołał, wyraźnie zirytowany. - Powiedz jej, że nie może zabrać tego ohydneho słomkowego kapelusza do Kalifornii. Wszyscy pomyślą, że jest twoją guwernantką!

Roześmiałam się i wysiadłam z samochodu.

Jak mogło mi choćby przejść przez myśl, że zostałam sama, skoro w moim życiu było tak wiele sierot?

II

Myślałam, że uwięzienie na liniowcu oceanicznym z Misią okaże się dla mnie piekłem. Nawet La Pausa, mimo całej dostępnej tam przestrzeni, wydawała się podczas jej wizyt za ciasna. Misia porzucała swoje rzeczy, gdziekolwiek akurat miała ochotę, nieustannie paplała

O wszystkim i o niczym, a cisza, która mnie przynosiła ukojenie, była dla niej kłętą. Martwiłam się też, że na czas pobytu w Ameryce muszę opuścić Pitę i Poppee, moje stare, prawie trzynastoletnie psy, które cierpiały na artretyzm i miały zepsute zęby - cały czas jednak pozostawały mi oddane, a ja w pełni odwzajemniałam ich uczucie. Joseph uzmysłowił mi, że długa podróż mogłaby im zaszkodzić, i zapewnił, że będzie się nimi opiekował. Również Cocteau obiecał, że nie spuści ich z oka, choć był wyraźnie przygnębiony faktem, iż nie mógł jechać z nami. Niepokoiłam się także o niego, wiedziałam bowiem, że nadal nie doszedł do siebie.

Mimo moich obaw, kiedy już wsiadłyśmy na pokład *SS Europa* 1 marca 1931 roku, a jedynym, co mogłyśmy robić na środku Atlantyku, było spacerowanie po statku, jedzenie, czytanie i plotkowanie - doświadczyłam uczucia podobnego do tego, które towarzyszyło mi w Moulins u boku Adrienne. Cieszyłam się bliskością przyjaciółki, przy której mogłam się odprężyć i zapomnieć o zmartwieniach dnia codziennego.

Misia była zachwycona tą zmianą. Siedziałyśmy na pokładzie, chichocząc i sącąc drinki, a ja opowiedziałam jej o wizycie, którą złożył mi Bendor ze swoją narzeczoną.

- Żałuj, że nie widziałas jej miny. Wyglądała tak, jakbym mogła ją w każdej chwili pożreć. Bendor natychmiast znalazł jakąś wymówkę i zostawił nas same. Co za tchórz! Gdybym powiedziała, że nie pochwalam tego związku, odwołałby pewnie wesele!

- Ale tego nie zrobiłaś. - Misia posłała mi złośliwe spojrzenie znad okularów słonecznych. - Chciałaś, żeby się z nią ożenił. Dzięki temu nie może ożenić się z tobą.

Wzruszyłam ramionami, sącąc koktajl.

- Jego narzeczona jest jak ten słodki sos z mleka i cukru, którym zajadają się Brytyjczycy. Nie ma w nim żadnych przypraw. Włożyłam tyle biżuterii, ile tylko mogłam, po czym rozparłam się na szeszlunku jak królowa. - Misia parsknęła śmiechem. - Pita i Poppee leżały na krzesłach, więc ona musiała usadowić się na stołku u moich stóp. Nie odezwałam się ani słowem. Wreszcie wydusiła, że *papa* dał jej jeden z moich naszyjników na Boże Narodzenie

I że bardzo jej się podobał. Dasz wiarę? Kazałam jej go opisać.

- I co...? - zapytała Misia, szczerząc zęby w uśmiechu. - To rzeczywiście był twój projekt?

- Och, tak. Ale wmówiłam jej, że nie może być mój, bo nigdy bym nie pozwoliła na podpisanie moim nazwiskiem czegoś tak wulgarnego. Była przerażona. Na tym zakończyła się nasza konwersacja. Bendor zadzwonił później i powiedział, że jestem dokładnie taka, jak to sobie wcześniej wyobrażała jego narzeczona.

Misia zarechotała.

- Uznała cię za potwora!

- Oczywiście. - Spojrzałam na ocean. - Ale nigdy mnie nie zapomni. Misia zamyśliła się. Milczałam, a ona odezwała się po dłuższej chwili.

- Żałujesz? Mogłaś zostać jego żoną. Kochał cię. Myślę, że nadal cię kocha. Mężczyzna przedstawia narzeczoną dawnej kochance, tylko kiedy chce usłyszeć, że jego wybór jest całkowicie niedorzeczny.

Zastanawiałam się przez chwilę nad jej słowami. Czy Bendor naprawdę liczył na to, że

zacznę go odwozić od małżeństwa, albo powiem, że Loelia Ponsonby jest bezbarwna i nudna jak pudding? W tamtej chwili mnie również przyszło to do głowy. Gdy tylko ją poznałam, zrozumiałam, że albo zanudzi go na śmierć, albo przysporzy mu kłopotów, żeby móc w przyszłości cieszyć się beztrudnym życiem wdowy. Mogłam pozbawić go złudzeń, a nawet zostać jego kochanką. Ale tego nie zrobiłam. Zapewniłam, że jest uroczy, i pozwoliłam im skupić się na przygotowaniach do ceremonii ślubnej.

- Nie - powiedziałam wreszcie. - Nie żałuję. Pragnę miłości, Bóg mi świadkiem. Ale kiedy muszę wybierać między mężczyzną a swoimi sukienkami, wybieram sukienki. Bendor nalegałby, żebym przestała pracować, a tego nie potrafiłabym zrobić. Księżnych Westminsteru było już wiele, ale Coco Chanel jest tylko jedna.

Misia wyciągnęła rękę i ścisnęła mi dłoń.

- Wszyscy cię za to podziwiają. A ja najbardziej. Spójrz tylko na mnie: trzy razy się rozwodziłam, niczego nie osiągnęłam. Mam prawie sześćdziesiąt lat. Kto mnie jeszcze pokocha?

- Ja cię kocham - zapewniłam, a wypowiadając te słowa, zrozumiałam, że to szczerza prawda. Misia była jedynym stałym elementem w moim życiu. Choć często wyprowadzała mnie z równowagi, znała mnie lepiej niż ktokolwiek inny i na swój własny, szczególny sposób zawsze pozostawała wobec mnie szczerą, nawet kiedy wcale tego nie oczekiwałam.

- Tak, no cóż. Szkoda, że nie jesteśmy lesbijkami - odparła, a kiedy zachichotałam, dodała: - Poza tym, jeżeli to cię pocieszy, słusznie postąpiłaś. Bendor nie jest szlachetnym rycerzem, na jakiego wygląda. Czytałaś przed wyjazdem gazety? Nie? No cóż, podarował swojej nowej księżnej wspaniały prezent ślubny. Poinformował króla, że jego szwagier, William Lygon, hrabia Beauchamp, jest homoseksualistą. Zrujnował temu człowiekowi reputację

i skompromitował go. Z rozkazu króla Lygon musiał wycofać się z życia publicznego, a jego żona wniosła sprawę o rozwód.

Wpatrywałam się w nią przerażona.

- W gazetach nic na ten temat nie pisano! Posłała mi figlarny uśmiech.

- Czyżby? W takim razie musiałam usłyszeć o tym gdzieś indziej. Ten twój Bendor to istny barbarzyńca. Wygłosił też w parlamencie kilka przemówień o tym, jak żydowska chciwość doprowadziła do załamania amerykańskiej giełdy. Mówił, że jeżeli Europa nie spróbuje ich powstrzymać, czeka nas podobny los. To nie jest człowiek, z którym chciałabyś mieć cokolwiek wspólnego. Wszyscy przyjaciele by się od ciebie odsunęli, a i ty z czasem zaczęłabyś nim gardzić.

Jej słowa wywołały mój niepokój. Choć mogłoby się wydawać, że Misia skupiała się wyłącznie na sobie, zawsze była świetnie poinformowana i śledziła najnowsze plotki i skandale, więc nie zastanawiałam się nawet nad prawdziwością jej słów. Poza tym sama słyszałam, jak Bendor w lekceważący sposób wypowiadał się o Żydach, co zresztą robiło wielu ludzi z kręgów, w których się obracał. I podobnie jak Boy czuł paranoiczny wręcz wstręt do homoseksualistów -co również wydawało się na tyle częste wśród mężczyzn pochodzących z klas wyższych, że nie zwracałam na to dotąd uwagi. Poza tym nawet jeśli został źle odebrany, gdy złożył Cocteau propozycję napisania książki o swoich psach rasowych, w żadnym wypadku nie chciał go urazić. Zawsze też wydawało mi się, że traktuje moich znajomych w sposób otwarty i pozbawiony uprzedzeń, a przecież wśród nich pełno było Żydów i homoseksualistów, a zdarzali się nawet homoseksualni Żydzi.

Wzruszyłam ramionami. Zrobiło się chłodno i zerwał się wiatr, który wzburzył ocean. Odwróciłam się do Misi i powiedziałam:

- Chodźmy do środka i zdrzemnijmy się przed kolacją. Jestem zmęczona.

- Tak - westchnęła. - Ja też.

III

Nowy Jork okazał się materializacją szalonej pogoni, ruchu, labiryntem nieskończenie wysokich drapaczy chmur, u których podnóży przemykały tysiące ludzi. Miasto to było gęstwiną migoczących znaków, zalewem klaksonów i krzyków, ogłuszającą kakofonią, która sprawiała, że miałam ochotę czym prędzej zatkać uszy i natychmiast się gdzieś ukryć.

Nie pomogło mi z pewnością to, że zesłam z pokładu przeziębiona i rozpalona, zanosząc się kaszlem. Chorowałam po raz pierwszy od wielu lat. Misia karmiła mnie gorącą zupą, podczas gdy ja leżałam w naszym hotelowym apartamencie i starałam się wypocić gorączkę, nie zważając na hordy reporterów, którzy oblegali lobby w nadziei na to, że mignę im choćby gdzieś w oddali.

Kiedy wreszcie poczułam się lepiej, włożyłam jedną ze swoich czerwonych dżersejowych sukienek o białych mankietach i okrągłym dekolcie, a następnie zaprosiłam dziennikarzy do apartamentu, starając się ukryć swoje zaskoczenie tym, jak bardzo zależało im na przeprowadzeniu ze mną wywiadu. Wszyscy chcieli się dowiedzieć, po co przyjechałam do Hollywood.

- Nie przywiozłam ze sobą nożyczek - poinformowałam. - Planuję po prostu sprawdzić, co studio może zaoferować. Zostałam tu zaproszona i nie mam żadnych konkretnych zobowiązań.

Następnego ranka gazety opublikowały niezliczone rzekomo wypowiedziane przeze mnie deklaracje w tym prognozę, którą Misia przeczytała mi na głos: „Długie włosy wrócą do łask”, a także stwierdzenie, że „mężczyźni używający perfum są obrzydliwi”. Przewidywano również, że realia, jakie obowiązują w Hollywood, okażą się dla mnie pewnym wyzwaniem. Pisano, że miałam dotąd w zwyczaju projektować suknie, przekazywać ją do pracowni, a potem przedstawiałam się nią już zajmować. Jak zauważał „New York Times”, gwiazdy pana Goldwyna będą wymagały, by pani Chanel poświęciła im nieco więcej uwagi.

- Nie wątpię - mruknęłam.

Dwudziestoczworgodzinna podróż pociągiem do Kalifornii okazała się klaustrofobicznym koszmarem. Mijaliśmy niszczące miasteczka, a na każdej stacji pojawiali się włóczędzy i żebracy. Ta wszechobecna bieda tak bardzo przypominała mi własne dzieciństwo, że ostatecznie zasłoniłam żaluzje. Towarzyszący mi reporterzy nie przestawali zasypywać mnie gradem pytań, tak jakbym zamierzała ujawnić jakiś misterny plan, polegający na ubraniu każdej aktorki w tweed i dzianinę.

Los Angeles okazało się... jaskrawe. Trudno to inaczej opisać. Choć był dopiero koniec marca, ta imponująca metropolia zdawała się płonąć w promieniach bezlitosnego słońca, tak krzykliwa i rozległa, że sama mogłaby posłużyć jako plan filmowy. Wszystko w Ameryce wydawało mi się ogromne: budynki i samochody, tłumy, oszalamiający wybór produktów w sklepowych witrynach. Los Angeles uosabiało tę przesadę - paraliżujące ruch korki i niekończące się plaże, po których krążyły tłumy ludzi pełnych nadziei oraz pozbawionych już marzeń. Nad miastem wznosił się niczym bóstwo napis „Hollywoodland”.

Minęły niecałe dwa tygodnie, a ja tęskniłam już za Paryżem. Przeziębienie nie przeszło mi do końca i marzyłam tylko o tym, żeby zaszyć się z Misią w ogromnym apartamencie w Chateau Marmont, który zarezerwował dla nas Goldwyn. Zamiast tego musiałam wziąć udział w pretensjonalnym przyjęciu, na którym siedziałam u jego boku i pociągałam nosem, podczas gdy on przedstawiał mi kolejne aktorki. Z zaskoczeniem odnotowałam, jak drobne wydawały się te gwiazdy srebrnego ekranu w swoich zmysłowych sukniach z lamy, gdy prawily mi komplementy: „Och, panno Chanel, jest pani moją absolutnie ulubioną projektantką!”. Nie

miałam wątpliwości, że żadna z nich nie włożyła nigdy żadnego zaprojektowanego przeze mnie stroju. Bawiłaby mnie groteskowa sztuczność całego tego spektaklu, ale nie mogłam się roześmiać, bo ze wszystkich sił starałam się powstrzymać przed kichnięciem. Dobre wrażenie zrobiła na mnie tylko Greta Garbo, której smutne oczy i zaskakująco duże stopy natychmiast zwróciły moją uwagę, podobnie jak jej wypowiedziane szeptem słowa: „Byłabym nikim bez pani płaszcza i kapelusza, *mademoiselle*’. Odniosła się w ten sposób do mojego kompletu przeciwdeszczowego dla kobiet. Miałam przygotować dla niej kreacje do następnego filmu.

Nazajutrz zwiedziłam wielkie, rozświetlone studio filmowe. Zrobiło na mnie ogromne wrażenie. Jak mogłoby być inaczej? Goldwyn został milionerem, sprzedając ludziom fantazje. Wszystkie te wspaniałości nie sprawiły jednak, że zaczęłam czuć się w Ameryce swobodniej. Wraz z upływem czasu, gdy musiałam czytać koszmarnie scenariusze, żeby nieco lepiej poznać postaci, których stroje miałam zaprojektować - coraz wyraźniej czułam coś, czego nie doświadczyłam od dzieciństwa: niepewność.

Wiedziałam, że moje ubrania budzą wielkie zainteresowanie. Tysiące kobiet nie mogły się mylić. Nie miałam jednak pewności, czy zdołam przełożyć swoją powściągliwą wizję mody na język kina, które karmiło się przesadą i w którym brak umiaru oraz sztuczność zastępowały rzeczywistość. Zbudowałam swoją karierę, stawiając na syntezę wygody i stylu. Nawet kiedy moje stroje stały się nieprzyzwoicie drogie, głęboko wierzyłam, że moda sprawdza się dopiero wtedy, gdy przejmują ją zwykle kobiety. Teraz jednak oczekiwano ode mnie tworzenia projektów, które nie tylko nie wyjdą z mody przez dwa lata - tyle bowiem miała potrwać produkcja filmu - ale też strojów, które pozwolą wykreować noszące je gwiazdy, kobiety wychowane pośród piór i cekinów, upajające się przepychem i niedoścignionymi ideałami.

Było to największe wyzwanie, przed jakim kiedykolwiek stanęłam. Od samego początku dręczyło mnie niepokojące przeczucie, że poniosę porażkę.

Goldwyn jednak naciskał. Przedstawiał mnie, komu tylko się dało, a pochlebstwa okazały się skuteczną bronią. W Ameryce byłam rzeczywiście legendą. Podpisałam kontrakt na rok, inkasując honorarium w wysokości miliona dolarów. Zaznaczyłam, że chcę pracować w Paryżu i przesłać gotowe projekty krawcowym, które będą dokonywały ostatnich poprawek już na miejscu, w Hollywood.

Kiedy już projekty do mojego pierwszego filmu zostały zatwierdzone, zabrałam Misię z powrotem do Nowego Jorku, gdzie znowu musiałam się zmierzyć z najazdem reporterów i odbyć serię spotkań z redaktorami gazet, którzy opisywali moją pracę.

Przedstawiciele amerykańskiego „Vogue'a" zaprosili mnie na wycieczkę po nowojorskiej dzielnicy mody. W ekskluzywnych domach towarowych przy Piątej Alei moje perfumy No. 5 sprzedawały się w takim tempie, że sklep ledwo nadążał z uzupełnianiem zapasów. Zaczęłam nabierać pewnych podejrzeń: najwyraźniej Wertheimerowie, z którymi podpisałam kontrakt na 10 procent dochodów ze sprzedaży, zbijali fortunę, wykorzystując moje nazwisko. Postanowiłam po powrocie do Paryża skonsultować się z prawnikiem. Wertheimerowie nie mogli przecież oczekiwać, że będę dalej zadowolona z marnym procentem od tych gigantycznych zysków.

Zafascynował mnie również - choć zarazem zbulwersował - kwitnący handel seryjnie produkowanymi ubraniami. W tanim domu towarowym Klein's przy Union Square, gdzie Misia zaczęła natychmiast ziewać i tupać ze znużeniem, obserwowałam, jak kobiety oglądały ubrania eksponowane na zwykłych wieszakach, po czym mierzyły sukienki w przymierzalniach. Wiszące na ścianach ostrzeżenia informowały, że złodzieje będą natychmiast aresztowani. Ku mojemu zaskoczeniu, niektóre ubrania były radykalnie przecenione i kosztowały mniej niż dolara! Reguły obrotu towarami, jak wyjaśniła towarzysząca mi pracownica „Vogue'a", były nieubłagane. Rzeczy, których nikt nie kupił w ciągu dwóch miesięcy, przeceniano i sprzedawano bardzo tanio,

tak żeby zrobić miejsce dla nowych towarów - ich zapasy wydawały się niewyczerpane. Masowa produkcja ubrań w różnych rozmiarach realizowana przez duże zakłady zastąpiła czasochłonny proces przygotowywania próbek i późniejszych przymiarek. Na koniec podeszłam do wieszaka i zmusiłam się do obejrzenia wiszących na nim ubrań. Po chwili zadrżałam: znalazłam jeden ze swoich projektów, tyle że uszyty z taniej bawełny. Był niemal identyczny, skopiowano nawet rękawy z białej piki.

- To przecież mój projekt! - zawołałam. - Pokazywałam tę sukienkę w zeszłym roku w Londynie.

Moja towarzyszka skrzywiła się.

- Producenci wysyłają na pokazy mody szpiegów, którzy podają się za dziennikarzy. Szkicują wszystko, co widzą. Ubrania są później produkowane z tańszych materiałów, wprowadza się też drobne modyfikacje, takie jak zamki błyskawiczne. Widzi pani? Ta sukienka ma z boku zamek, którego nie było zapewne w pani projekcie.

Nie myliła się. Ta koncepcja wydała mi się równie przerażająca, jak pomysłowa. Za pięć dolarów i cenę zamka błyskawicznego, każdy, kto kupił ten strój, mógł nosić ubranie od Chanel -co prawda bez metki, ale niewątpliwie kojarzące się z moimi projektami.

Tak wyglądała przyszłość. Natychmiast to zrozumiałam. To było nagłe olśnienie, takie jak to, które skłoniło mnie do otwarcia pierwszego butikiu. Kryzys dał początek wielu zmianom, a ja nie mogłam tego dłużej ignorować. Zrozumiałam, że wkrótce większość kobiet będzie kupowała masowo produkowane ubrania - i w kwietniu 1931 roku wyruszyłam w drogę powrotną do Paryża z nowym postanowieniem.

Hollywood mi nie odpowiadało, podobnie zresztą jak cała Ameryka, ale pobyt w tym kraju utwierdził mnie w przekonaniu, że opieranie się postępowi niosło ze sobą ryzyko zagłady.

W Paryżu czekały na mnie przykre niespodzianki.

Pierwszą i zarazem najbardziej bolesną była śmierć moich psów, Pity i Poppée. Jak mówił Joseph, obie stopniowo traciły siły, ale czekały cierpliwie na mój powrót, tylko po to, żeby odejść po kolei, w przeciągu kilku dni. Nie łkałam tak mocno od śmierci Boya, której wspomnienie znowu do mnie powróciło. Kazałam poddać moje psy kremacji, a ich prochy trafiły do białych pudełek, które trzymałam w szafce. Przez wiele dni prawie się nie odzywałam ani nie wychodziłam z domu, do czasu, aż Bendor zadzwonił, żeby zaprosić mnie do Londynu, a ja zaczęłam szlochać w słuchawkę. Obiecał, że kupi mi szczenię doga niemieckiego, pochodzące z hodowli jego przyjaciela. W typowy dla siebie sposób uznał, że mogę po prostu zastąpić to, co straciłam, czymś nowym - ale przynajmniej nie zbeształ mnie i nie nazwał śmieszną, tak jak to zrobiła Misia, kiedy zobaczyła, jak płaczę.

Następna niespodzianka także stanowiła dla mnie bolesny cios. Włoszka Schiaparelli odniosła tak wielki sukces, że odważyła się otworzyć sklep tuż obok mojego butikiu przy Place Vendôme. Usiłując się w jakiś sposób wyróżnić, szukała inspiracji w dziełach hiszpańskiego surrealisty, malarza Salvadora Dalego. Projektowała swetry z groteskowymi iluzjami i jaskraworóżowe suknie z nadrukami przedstawiającymi homary, upodabniając w ten sposób kobiety do półmisków z jedzeniem.

Roześmiałam się, kiedy w 1932 roku zobaczyłam jej najnowszą kolekcję w „Vogue'u” -choć tak naprawdę wcale nie było mi do śmiechu. „Kobiety wyglądają w jej strojach absurdalnie” - oznajmiłam. Odnotowałam też z wściekłością, że w piśmie nie tylko wychwalano śmiały styl Schiaparelli, ale też wyrzucono mnie gdzieś na bok, gdzie wspomniano krótko, że zrewolucjonizowałam Hollywood, ubierając Inę Claire w białą, jedwabną pidżamę. Artykuł wstępny w „New Yorkerze” informował natomiast: „Chanel chce, żeby dama wyglądała jak dama, ale w Hollywood dama powinna wyglądać jak dwie damy”. Chwalono mnie i opisywano

jako projektantkę z zasadami, która znalazła się w skrajnie zepsutym środowisku. Mimo to przekaz pozostawał jasny:

Nie udało mi się podbić Hollywood.

Na domiar złego filmy, przy których pracowałam, okazały się niewypałam. Paryskie czasopisma modowe z radością donosiły, że w tym przypadku nawet Chanel nie zdołała zagwarantować kasowego sukcesu. W napadzie szału postanowiłam skorzystać z zaproszenia Bendora i odwiedzić jego londyński dom. Już wcześniej przeczuwałam, że moje stroje nie nadają się do filmów, ale potwierdzenie tego przypuszczenia okazało się dla mnie bolesne. Choć wyszłam z tego wszystkiego bogatsza o milion dolarów, poniosłam też pierwszą dużą porażkę w swojej karierze.

- W Hollywood ludzie nie poznaliby się na prawdziwej elegancji, nawet gdyby splunęła im w twarz! - krzyknęłam, krążąc zdecydowanym krokiem po pokoju, z drinkiem w rękę, podczas gdy siedzący na fotelu Bendor uważnie mi się przyglądał. Borykał się już z pierwszymi problemami małżeńskimi: młoda żona uznała jego styl życia za nieznośny i nie chciała towarzyszyć mu podczas niezliczonych rejsów jachtem i polowań. Powitał mnie zatem

z ogromną radością i najprawdopodobniej zaciągnąłby mnie też do łóżka, gdybym nie była w takim stanie.

- Ze względu na ten przekłety kryzys musiałam obniżyć ceny prawie o połowę. A ci przekłeci Wertheimerowie... - krzyknęłam, machając wściekle papierosem. - Po prostu mnie okradają! Moje perfumy w samej Ameryce przynoszą milionowe zyski, a oni nie chcą nawet renegecjować warunków umowy z moim prawnikiem.

- Czego się spodziewałaś, Coco? Żydzi wszystkich okradają. - Wstał i ruszył do baru, żeby zrobić mi nowego drinka, którego wypiałam jednym haustem. Krusząc lód, dodał: - Nie powinnaś była podpisywać z nimi umowy. Żydzi to dla nas wielkie zagrożenie.

Zatrzymałam się na chwilę. Wyglądało na to, że Misia trafnie go oceniła, a mimo to jego słowa mnie zaskoczyły.

- Dzięki nim moje perfumy trafiły do domów towarowych na całym świecie - powiedziałam. - Numer Pięć jest sprzedawany w Ameryce. Bez ich kontaktów, nigdy nie.

- To nie im zawdzięczasz swój sukces - przerwał. - Stworzyłaś perfumy, a oni na tym korzystają. Żydzi zawsze tak robią. Nigdy sami nie pracują. Szukają tylko najskuteczniejszego sposobu, żeby wysysać pieniądze z innych, jak pijawki. Polecę ci innego prawnika, tu w Londynie. Musisz zerwać kontrakt, zanim będzie za późno.

Milczałam przez dłuższą chwilę, trzymając szklanek przy ustach. Nagle przeszedł mnie dreszcz, tak jak tamtego popołudnia, które spędziłam z Misią na pokładzie *Europy*.

- Co masz na myśli?

- Nie widzisz, co się dzieje? Adolf Hitler lada chwila zostanie mianowany kanclerzem Niemiec. Zamierza rozprawić się z marksistowskim zagrożeniem i ze stojącymi za nim Żydami. - Bendor podszedł do stojącego przy fotelu stolika, na którym leżały sterty książek, po czym sięgnął po jeden z tomów. - To jego traktat, *Mein Kampf*. Powinnaś go przeczytać. Jest naprawdę błyskotliwy. Hitler pisze o żydowskim spisku i planach przejęcia władzy nad światem z pomocą Ameryki. Głównymi plagami, z którymi borykają się Niemcy, są Republika Weimarska, Żydzi, socjaldemokraci i ci przekłeci marksiści. Hitler zamierza się z nimi wszystkimi rozprawić.

Byłam przerażona tym, co mówił.

- Niemcy prawie zniszczyli nas w czasie wojny. Naprawdę chcesz, żeby ich państwo odrodziło się po tym, co zrobili?

- Potrzebujemy silnej Europy - odpowiedział lakonicznie. - Niemcy są jej częścią. Hitler nie chce prowadzić z nami wojny. Zamierza po prostu odbudować swój kraj dla tych, którzy na

niego zasługują.

Wzruszyłam ramionami, odstawiając nietkniętego drinka.

- Cóż ja wiem o polityce? Jestem zwykłą projektantką. Ale jest coś, co mógłbyś dla mnie zrobić - dodałam, przypominając sobie o tym, co widziałam w Nowym Jorku. - Chciałabym zorganizować coś, czego nikt jeszcze nie robił: ekskluzywną prezentację strojów, które producenci ubrań mogliby kopiować za moją zgodą. Pokazałabym je tutaj, w twoim domu. Myślałam o tym, żeby zaprosić wszystkich naszych znajomych. To powinno uderzyć

w Schiaparelli. Nie stać jej na to, żeby oddawać za darmo te absurdalnie drogie projekty. Uśmiechnął się.

- Wiesz, że zawsze chętnie ci pomogę. - Odłożył książkę i podszedł do mnie. - A co z prawnikiem, o którym ci wspominałem? Spotkasz się z nim? Uważam, że powinnaś to zrobić. Nadchodzą zmiany. Nie możesz pozwolić, żeby Żydzi cię okradali. Skinęłam głową.

- Dlaczego nie. Spotkam się z nim po pokazie.

Robił się coraz bardziej nachalny, więc przeprosiłam go, tłumacząc, że muszę odpocząć. Idąc na górę do swojego pokoju, słyszałam w tyle głowy głos Misi: „To nie jest człowiek, z którym chciałabyś mieć cokolwiek wspólnego”.

Czułam teraz ulgę, że mi się nie oświadczył. Byłam jednak tak skupiona na tym, żeby nie stracić sławy, że nie zauważyłam stopniowo spowijającej nas ciemności.

IV

Kolekcja *prêt-à-porter* pomogła mi umocnić moją pozycję. Otrzymałam wysokie honoraria za udzielenie producentom odzieży licencji na wykorzystanie moich projektów i tak jak przewidywałam, Schiaparelli zaczęła mnie otwarcie krytykować, określając zgodę na tworzenie kopii moich strojów mianem „zdrady zasad *couture*”. Kiedy dziennikarz „Daily Mail” zapytał mnie o powody takiej decyzji, odpowiedziałam: „Ubrania są po to, by je noszono, a potem wyrzucano. Nie można chronić czegoś, co jest już martwe”.

Mimo to nadal ubywało klientek. Musiałam ograniczyć liczbę pracowników z blisko czterech do trzech tysięcy, a także zacząć oszczędzać na materiałach.

Porzuciwszy styl *garçonne*, który uosabiał lata dwudzieste, zaprezentowałam nową, olśniewającą kolekcję na sezon wiosenny 1933 roku. Włączyłam do niej kobiece elementy, takie jak białe sukienki z bawełny, jedwabiu i szyfonu, z cieniutkimi rękawami z jedwabnej siateczki, delikatne kokardy zdobiące talię, wysadzone kryształami górskimi tasiemki krzyżujące się na ramionach i plecach, a także spodnie uniseks oraz czarne żakiety z motywem kamelii. W „Vogue’u” chwalono te innowacje, ale mimo to coraz więcej klientek odchodziło do współpracującej z Dalim Schiaparelli. Rozbudowałam też swoje imperium perfumeryjne o nowe zapachy: No. 22, Glamour i Gardenia. Żadne z tych perfum nie przyniosły takich zysków jak No. 5 - nie było na to szansy - a mój konflikt z Wertheimerami stawał się coraz ostrzejszy. Walczyłam z nimi na wszelkie możliwe sposoby, zatrudniłam też prawnika poleconego przez Bendora. Miał on doradzać mojemu francuskiemu prawnikowi i szukać sposobów na zerwanie kontraktu, który przed laty tak nierozważnie podpisałam.

Wreszcie Pierre Wertheimer spotkał się ze mną w mojej pracowni. Przyszedł sam, w płaszczu i meloniku, z teczką w ręku. Na jego twarzy malował się smutek, ale także stanowczość.

- Dokładnie wszystko omówiliśmy z moim bratem Paulem i zgadzamy się zwiększyć pani udziały o pięć procent. Nie chcemy mieszać w to prawników. Uważamy, że zaszkodziłoby to obu stronom.

- To nie do przyjęcia - odpowiedziałam. - Moje nazwisko znajduje się na butelce i powinno gwarantować mi zdecydowanie większy udział w zyskach. Proszę nie zapominać, *monsieur*, że to ja panów zatrudniłam, a nie odwrotnie.

- Owszem, zatrudniła nas pani po to, żebyśmy zajęli się dystrybucją, *mademoiselle*. - Uśmiechnął się. - Wywiązaaliśmy się z obietnicy i zrealizowaliśmy naszą część kontraktu. - Postukał w dokument, tak jakby chciał zwrócić na niego moją uwagę. - Nie może pani nagle renegecować warunków naszej umowy dlatego, że perfumy cieszą się większym powodzeniem, niż pierwotnie pani zakładała.

- Ale to ja je stworzyłam. - Pochyliłam się w jego stronę, czerpiąc ogromną satysfakcję z jego skrzepowania. - Moje nazwisko gwarantuje tym perfumom prestiż, dlatego zwiększenie moich udziałów o pięć procent to zwykła zbrodnia. Zarabiacie na tym miliony.

Przez chwilę wpatrywał się we mnie w milczeniu. Wreszcie westchnął, przekartkował umowę i zatrzymał się na jednej z ostatnich stron. Dał mi znak, żebym ją przeczytała. Kiedy odmówiłam, powiedział:

- Ta klauzula zobowiązuje panią do przestrzegania warunków umowy przez cały okres jej trwania. Czy to pani podpis widnieje poniżej?

- Doskonale pan wie, że to mój podpis - odparłam. - Żałuję, że go kiedykolwiek złożyłam.

- W takim razie mogę tylko powiedzieć, że bardzo mi przykro, *mademoiselle*, ale to interesy, a pani podpisała wiążący dokument o określonej mocy prawnej. Nie ma tu miejsca na emocje.

- Nie ma miejsca? - powtórzyłam. Poczułam, że tracę nad sobą panowanie i złapałam krawędź swojego biurka tak mocno, że zabolowały mnie palce. - Ależ z pewnością jest na nie miejsce. Moje emocje są w tym przypadku kluczowe.

- Może pod ich wpływem zarządza pani swoimi butikami - odpowiedział, reagując na moje narastające oburzenie z całkowitym spokojem. - Ale w Bourjois nie robimy interesów w ten sposób. W przeciwnym razie nigdy nie zarobiliśmy na...

- Ty przebiegły oszuście - syknęłam, przerywając mu w pół słowa. - Jak śmiesz siedzieć tu i mówić mi, że moje emocje nie mają znaczenia? Twoja firma zbija fortunę, wykorzystując moje nazwisko! Nie pozwolę na to. - Pogroziłam mu palcem. - Wasz kontrakt jest nieważny. Podpisałam go, nie zdając sobie sprawy, co robię. Albo zaproponujecie mi uczciwy procent, albo spotkamy się w sądzie.

Spowaźniał.

- Obrażanie mnie nic pani nie da, *mademoiselle*. Z całym szacunkiem, uważam, że takie słowa są pani niegodne. - Podniósł się, zostawiając umowę na biurku. - Proszę skonsultować się ze swoim prawnikiem Chambrunem albo kimkolwiek innym. To nic nie zmieni. Poza tym - dodał - czuję się teraz w obowiązku ostrzec panią, że jako większościowi udziałowcy Les Parfums Chanel, mamy prawo się bronić.

- Bronić się? - Trzęsłam się z wściekłości i ledwo się powstrzymałam przed przeskoczeniem na drugą stronę biurka i wrzaśnięciem mu w twarz. - Czy pan mi grozi?

- Tak jak powiedziałem, po prostu panią ostrzegam, *mademoiselle*. Jeżeli będzie się pani upierała przy tym, by wytoczyć nam proces, możemy usunąć panią z zarządu.

Tego było dla mnie za wiele. Machnęłam gwałtownie ręką i cisnęłam jego umowę na ziemię, zrzucając przy tym kilka innych przedmiotów z biurka. Na dywan spadły kartki papieru, długopisy i bibeloty, a ja chwyciłam nóż do papieru i krzyknęłam:

- Zróbcie to, a pożałujecie. Macie moje słowo! Skinął głową, sięgając po teczkę i kapelusz.

- Być może - odpowiedział, po czym obrócił się na pięcie i ruszył do drzwi. Okazał się w istocie odważnym człowiekiem: odwrócił się do mnie plecami, choć ledwo się powstrzymałam, żeby nie wbić w nie noża.

Po jego wyjściu przez dłuższą chwilę stałam przy biurku, dysząc jak osaczone zwierzę. Chwyciłam telefon i zadzwoniłam do swojego prawnika René.

- Chcę wytoczyć im proces! Żądam unieważnienia kontraktu. Proszę podać ich do sądu, napisać tyle pozwów, ile będzie trzeba. Nie chcę mieć już z nimi nic wspólnego.

Okazało się to jednak niemożliwe. René zadzwonił tydzień później i poinformował mnie, że zgodnie z zapowiedzią Wertheimerowie usunęli mnie z zarządu i wnieśli przeciwko mnie kontrprozew, oskarżając mnie o zniesławienie. Czekają mnie teraz długie miesiące sądowych przepychanek. Przysięgłam sobie, że się na nich zemszczę, że cokolwiek się stanie, uwolnię się od Pierre'a Wertheimera - choćby to miała się okazać ostatnia rzecz, jaką zrobię. Nie byłam niczyją własnością. Zdobyłam swój majątek pracą własnych rąk, przewyciężając biedę i wszystkie inne przeszkody. Nie zamierzałam pozwolić, by za sprawą nierozważnego ruchu ktoś zrobił ze mnie zakładnika. Zdawałam sobie sprawę, że podjęłam przed laty nieprzemyślaną decyzję. Balsan ostrzegał mnie wtedy, że bym uważała, ale ja zignorowałam jego rady i podpisałam kontrakt. Popęłniłam błąd. Zalał mnie gwałtowny strach przed tym, że zostanę wykorzystana, gorzkie rozczarowanie doświadczeniami z Hollywood, niepokój o nie najlepiej

idące interesy oraz głęboki gniew związany ze świadomością, że owoce mojej pracy spływały na cudze konto. Jedyną rzeczą, jaką rozumiałam, jedyną rzeczą, o której myślałam - było to, że Wertheimerowie są złodziejami. Stali się moimi wrogami.

Właśnie w tamtym okresie, pośród trujących oparów nienawiści, poznałam Paula Iribego. Przedstawił mi go Bendor, choć już wcześniej o nim słyszałam. Był baskijskim karykaturzystą i ilustrował katalogi modowe Poireta do czasu, aż ślub z dziedziczką wielkiej fortuny pozwolił mu zająć się architekturą wnętrz. Bendor uwielbiał jego czasopismo „Le Témoin”, które Iribe założył jeszcze przed wojną i które zdążyło już wyraźnie podupaść.

- Mogłabyś pomóc mu je odbudować - zasugerował Bendor. - On ma wiele ciekawych pomysłów, a ty nieustannie powtarzasz, że potrzebujesz jakiegoś nowego przedsięwzięcia. Dlaczego nie? Przewiduję, że to pismo stanie się niezwykle popularne.

Bendor doskonale wiedział, jak mnie przekonać. Zgodziłam się spotkać z Iribem w jego nowym sklepie przy Faubourg Saint-Honoré, niedaleko mojej rezydencji.

Przywitał mnie mężczyzna równie krępy i niski jak Jojo Sert, choć w porównaniu z Sertem miał nieco mniej ziemistą cerę. Nie mógł w żadnym wypadku uchodzić za przystojnego, choć jego ciemne oczy widoczne zza okularów o drucianych oprawkach wydawały się niezwykle przenikliwe. Był obdarzony charyzmą, którą doskonale umiał wykorzystać.

Jego projekty okazały się wspaniałe, a szczególne wrażenie zrobiła na mnie wyeksponowana w gablotach biżuteria, której barokowy styl absolutnie mnie urzekł.

- To zamówienia zrealizowane dla Międzynarodowego Stowarzyszenia Sprzedawców Diamentów - wyjaśnił. - Jeżeli pani chce, mogę im panią polecić, *made-moi-selle*. - Wymówił każdą sylabę z osobną, modulując głos. Za wszelką cenę starał się ukryć fakt, że jego ojczystym językiem jest kataloński, nie zaś francuski.

- Po co? - zapytałam. - To piękna biżuteria, ale kto może sobie obecnie na nią pozwolić? - Mimo to, wypowiadając te słowa, zaczęłam rozważać jego propozycję. Odpowiedział pytaniem:

- Jeżeli pojawi się na nich nazwisko Chanel, czy ktokolwiek mógłby sobie na nie nie pozwolić?

Pokiwałam głową i uznałam, że i tak nic z tego nie będzie. Nie ulegało wątpliwości, że Iribe flirtował ze mną i składał obietnice bez pokrycia, żeby zrealizować swoje cele. Pokazał mi ilustracje i próbki tekstów do nowego numeru „Le Témoin”. Wzdrygnęłam się, kiedy zaczęłam je przeglądać. Mogłam się tego spodziewać, zważywszy na to, że Bendor był miłośnikiem tego czasopisma. Iribe posługiwał się retoryką skrajnie nacjonalistyczną, atakował marksizm i wyrażał poglądy, z których przebijał głęboki antysemityzm. Nie gorszyło mnie to, choć nie budziło też mojego szczególnego zachwyty. Upowiedziałam, że muszę rozważyć jego propozycję, choć nie mogłam zrozumieć, dlaczego potrzebował mojego wsparcia finansowego, skoro miał bogatą żonę. Kiedy odwróciłam się i ruszyłam do wyjścia, sam odpowiedział na moje niewypowiedziane na głos pytanie.

- Chciałbym panią znowu zobaczyć, *mademoiselle*. Prywatnie.

Odwróciłam się, zaskoczona jego zuchwałością. Minęło wiele czasu, odkąd mężczyzna był wobec mnie tak bezpośredni. W pierwszej chwili zamierzałam natychmiast odmówić, żeby się przekonać, jak zareaguje. Zamiast tego jednak, kiedy nasze spojrzenia się spotkały, rezygnując z jakichkolwiek uników i nie odczuwając wstydu, zakpiłam:

- Czy nie jest pan żonaty?

- Jestem. A czy to ma znaczenie?

- Może mieć. Dla pańskiej żony.

Wzruszył ramionami.

- Owszem. - Wpatrywał się we mnie z bezczelnością, która wydawała się niemal zabawna. - Ale liczy się to, czy ma to znaczenie dla pani, *mademoiselle*. Bo zapewniam, że dla mnie nie stanowiło to nigdy problemu.

Stłumiłam śmiech. Cóż za łajdak! Był jednak interesujący, tego nie mogłam mu odmówić. Zawsze miałam zamiłowanie - niektórzy uznaliby je za słabość - do mężczyzn, którzy bez oporów dążyli do tego, czego akurat pragnęli. Stanowiło to miłą odmianę, zwłaszcza w moim wieku.

- Może najpierw skupmy się na zamówieniu, dobrze? - odparłam, po czym wyszłam z gracją ze sklepu, czując na sobie jego wzrok wwiercający się we mnie przez witrynę.

Zamówienie przyszło dwa tygodnie później. Stowarzyszenie Sprzedawców Diamentów było zachwycone moją ofertą, a ja skupiłam się na przygotowywaniu biżuterii na uroczystość charytatywną. Ponieważ Misia potrzebowała jakiegoś zajęcia, poprosiłam, żeby mi pomogła. Odkąd wróciłyśmy do Paryża, zajmowała się wyłącznie krążeniem po mieszkaniu. Postanowiłyśmy zaczerpnąć inspiracji w astronomii i szukałyśmy pomysłów w książkach. W listopadzie zaprezentowałyśmy kolekcję w moim domu, na woskowych manekinach wystawionych w gablotach strzeżonych przez policję. Na dworze zgromadziły się tysiące ludzi, którzy chcieli obejrzeć asymetryczne diamentowe gwiazdy, inspirowane tajemniczymi mozaikami z Aubazine; naszyjnik w kształcie komety; złote bransoletki i spinki oraz klamry do włosów naśladujące sierp księżycy; broszki wysadzane klejnotami w kolorze szafranu oraz diademy zdobione kaskadami kamieni szlachetnych.

Każda licząca się gazeta i każde szanujące się czasopismo zamieściły relację z tej wystawy. Ceny w De Beers gwałtownie wzrosły, a moje nazwisko znowu znalazło się na ustach wszystkich. Zaprojektowałam biżuterię tak, by pasowała do moich ubrań: diademy przekształcały się w bransoletki, kolczyki w broszki, a naszyjników w kształcie gwiazd można było używać jako klamerek do butów i pasków. Chcąc podkreślić prestiż tego wydarzenia, udzieliłam w prasie kilku wywiadów i ogłosiłam, iż „biżuteria nie ma sprawiać, że kobieta wygląda na bogatszą, tylko ma ją ozdobić, a to zupełnie co innego”, oraz że „diamenty to największa wartość zamknięta w najmniejszym opakowaniu”. De Beers często używał później tego sloganu w swoich reklamach.

Tamtego wieczoru, kiedy wszyscy już wyszli, zaprosiłam Paula Iribego do swojego łóżka. Okazał się energiczny i rozpałił we mnie ogień. Od dawna czegoś takiego nie przeżyłam. Nikt poza Boyem nie potrafił robić takich rzeczy palcami i językiem, a co ważniejsze, Iribe osiągał satysfakcję dopiero wówczas, kiedy i ja ją odczuwałam. Jeszcze mocniej uzmysławiało mi to fakt, że przez cały okres naszego związku byliśmy z Bendorem kompletnie niekompatybilni w łóżku.

Iribe okazał się jednak nieco mniej uczynny poza sypialnią. Mimo zamiłowania do luksusu we wszystkich jego postaciach pogardliwie wyrażał się o moim domu.

- Zamieniłaś go w muzeum, w którym prezentujesz swoją kolekcję diamentów i tak powinno pozostać. Jest tu tyle pokoi. Takie marnotrawstwo. Co za niedorzeczność. To miejsce przypomina mauzoleum. Czy chcesz, żeby pochowano cię tu pośród chińskich parawanów jak w grobowcu?

Opuściłam swój dom, żeby móc prezentować w nim biżuterię, dlatego w tamtym okresie mieszkaliśmy w moim apartamencie w Ritzu. Gdy tylko Iribe o tym wspomniał, uświadomiłam sobie, że nie czułam się w swoim domu swobodnie, od czasu gdy wróciłam do Paryża i dowiedziałam się o śmierci moich psów. Niedawno zmarła także Marie, żona mojego kamerdynera Josepha, który pogrążył się w głębokim żalu. Podobnie jak w przypadku innych

moich domów, bolesne wspomnienia zagościły też przy Faubourg Saint-Honoré.

- Gdybyśmy mieszkali tutaj - oznajmił Iribe, stojąc przy oknach wychodzących na Place Vendôme - byłoby nam wygodniej. W tym miejscu nie prześladowuje nas przeszłość, nie ma tu szczydzących ze mnie śladów po twoich dawnych kochankach. Tutaj mógłbym nawet rozważyć, czy się z tobą nie ożenić.

- Ożenić? - Zaśmiałam się niepewnie, starając się ukryć zaskoczenie. - Przecież masz już żonę.

- Rozwiódę się z nią. - Nie odrywał ode mnie wzroku. - Nie kocham jej. Nigdy jej nie kochałem. Chcę cię. I w przeciwieństwie do Bendora i tego twojego drugiego Anglika nie obchodzi mnie ani rodowód, ani dzieci.

Te słowa były okrutne. On był okrutny i pozbawiony skrupułów, zwłaszcza w swoich marzeniach o przywróceniu Francji dawnej dumy. W ostatnim numerze „Le Témoins” przedstawił nasz narodowy symbol, Mariannę - której dał zresztą moją twarz - leżącą u stóp grabarza gotowego pogrzebać Francję. Grabarzem tym był oczywiście nasz premier. Zorientowałam się nagle, że swoje oświadczyły traktował najzupełniej poważnie. W moim wnętrzu otworzyły się drzwi, które pozostawały zaryglowane od zakończenia romansu z Bendorem.

- Chyba że nie chcesz wyjść za mąż? - zapytał. - Jeżeli nie, więcej o to nie poproszę. To pytanie było w pełni uzasadnione, ale jak zwykle nie potrafiłam na nie odpowiedzieć.

W sierpniu 1933 roku skończyłam pięćdziesiąt lat. Nie zamierzałam przez resztę swojego życia płynnie zmieniać partnerów, do czasu aż mężczyźni przestaną mnie zauważać. Dotąd akceptowałam swój los oraz fakt, że zdecydowałam się na ślub wyłącznie z pracą i przyjaciółmi. Iribe nie był z pewnością człowiekiem, którego kiedykolwiek wyobrażałam sobie jako swojego męża: wywodził się z ludu, zachowywał się ordynarnie, miał ogromne ambicje i kompletnie nie obchodziło go to, co myśleli o nim inni.

Mimo to nie chciałam zestarzeć się w samotności albo - niech Bóg broni - spędzić reszty życia u boku Misi. Dzieci nie wchodziły już w grę, zresztą miałam swojego siostrzeńca André, który skończył już szkołę i nadzorował teraz jeden z moich zakładów. On i jego uroczą holenderską żonę mieli nawet córkę, nazwaną na moją cześć Gabrielle. Adrienne zamieszkała z Nexonem w jego majątku w Limoges. Choć nie zdołała zajść w ciążę, była szczęśliwą, zadowoloną z życia kobietą, spełniającą się w roli żony i ciotki siostrzeńców oraz siostrzenic swojego męża. Mieć wreszcie towarzysza, męża, u którego boku mogłabym spędzić resztę swoich dni - ile jeszcze czasu mi zostało, zanim i te drzwi zatrzaskają się przede mną na zawsze?

- Wyjdiesz za mnie, jeżeli przeniesiemy się tu, do Ritza? Nie wydaje mi się to szczególnie romantyczne.

- Może i nie. - Podeszedł do łóżka, zrzucając szlafrok i odsłaniając swoje włochate ciało. Miał wzwód. Chwył mocno swój twardy, naprężony członek i powiedział: - Chcę cię rznąć każdej nocy, Coco, i podbijać z tobą każdy dzień. Jestem brzydki i chciwy, ale lubisz mnie, a ja lubię cię. I to bardzo. Dlaczego nie mielibyśmy wziąć ślubu? Nie ma rzeczy, której nie moglibyśmy razem osiągnąć.

Nie było w tym za grosz romantyzmu, ale w moim wieku tego typu gierki nie miały już znaczenia. Roześmiałam się, kiedy rzucił się na łóżko, napał na mnie i zaczął szeptać ochryplym głosem:

- Powiedz tak. Powiedz tak i uczyni mnie najszczęśliwszym mężczyzną we Francji.

- Ja. nie wiem - wydyszałam, czując jego palce na swoim ciele. - Przemyślę to. Użyłam tych samych słów, gdy obiecałam mu, że rozważę propozycję sfinansowania jego

czasopisma, i ostatecznie wypisałam mu wtedy czek. A teraz, kiedy grał na mnie do czasu, aż zaczęłam drzeć i zaciskać uda, zrozumiałam, że także i tym razem najprawdopodobniej się

zgodzę.

Nie mylił się. Dlaczego nie miałabym chwytać szczęścia - niezależnie od postaci, w jakiej pojawiało się w moim życiu?

- Chcesz za niego wyjść? - Siedząca naprzeciwko Misia spojrzała na mnie

z przerażeniem. Jadliśmy właśnie śniadanie w Ritzu. Na zewnątrz padał zimny lutowy śnieg, pierwszy w 1934 roku. - Czyś ty oszalała? To potwór, oportunistą! To jego pisemko jest pełne jadu i nienawiści. On gustuje w kobietach i pieniądzach jak w winie. Zobaczysz, puści cię z torbami. Wszyscy to mówią.

- Wszyscy, czyli głównie ty - odparłam. - Zaczynam się zastanawiać, czy rzeczywiście leży ci na sercu moje dobro. Najpierw Boy, którego uważałaś za snoba, potem Bendor, który był dogmatykiem, a teraz Iribe okazuje się potworem. Może po prostu chcesz mieć mnie tylko dla siebie, bo rozpadły ci się trzy małżeństwa.

Zadrzała.

- Jak możesz... jak możesz mówić takie rzeczy. Chcę, żebyś była szczęśliwa, ale Iribe to...

Przerwałam jej.

- Ani słowa więcej. Poprosił żonę o rozwód. Pojedzie ze mną do La Pausy, gdzie mamy zaplanować nasz ślub. Wyprowadzam się z Faubourg Saint-Honoré i zamieszkamy razem

w Ritzu. Zwolniłam Josepha, bo nie będę już potrzebowała kamerdynera. A w mieszkaniu przy *rue Cambon* zamierzam przechowywać swoje rzeczy i ubrania.

- Zwolniłaś Josepha.? - Misia pobladła. - Coco, on służył ci wiernie od tylu lat! Proszę, zastanów się jeszcze... - Gwałtownie zamilkła, ale tym razem nie z mojej winy. Wszyscy zgromadzeni w restauracji ludzie gwałtownie zamilkli i odwrócili się skonsternowani

w kierunku, z którego dochodziły potężne huki, krzyki i głośne dudnienie. *Maitre d'hôtel* w mgnieniu oka znalazł się przy nas i poradził, żebyśmy nie wychodziły na zewnątrz.

- Dlaczego? - zapytałam. - Co się dzieje?

- Demonstracja - wyjaśnił. - W kierunku Place de la Concorde maszerują tysiące ludzi. Policja radzi nie opuszczać hotelu. Zaraz zamkniemy drzwi.

- To niewiarygodne! - Zaciągnęłam Misię do swojego apartamentu, z którego rozciągał się widok na plac. Ogarniał mnie coraz głębszy niepokój. Nad zaciśniętymi pięściami maszerujących ludzi unosiły się chmury gazu łzawiącego, a policja konna taranowała tłum wrzeszczących młodych mężczyzn w beretach, niosących transparenty i zastrzone kije.

Stojąca obok mnie Misia wyszeptała:

- Kim oni są?

- Nie wiem. - W dole wybuchły walki: niektórzy mężczyźni rzucili się na policjantów, usiłując ściągnąć ich z siodeł, inni uciekali, chroniąc zakrwawione twarze, kaszląc i dławiąc się gazem łzawiącym.

- Chodź. - Odciągnęłam Misię od okna. - Zaczekamy tu. Muszę zadzwonić do sklepu i upewnić się, że nikomu nic się nie stało. Paul dotrze tu, kiedy tylko będzie mógł. Wyjaśni nam, o co w tym wszystkim chodzi.

Zadzwoiłam do swojego butiku. Kierowniczka sklepu, Héléne de Leusse, powiedziała mi, że zabarykadowali drzwi i wysłali wszystkich do domów, choć robotnicy w ogóle się tego ranka nie zjawili.

- Poszli na demonstrację antyrządową. Maszerowali na Izbę Deputowanych i Pałac Elizejski, żądając, żeby wszyscy podali się do dymisji. Bezrobocie i kryzys... - Héléne wydała nagle stłumiony okrzyk, a w słuchawce usłyszałam wrzaski i śpiewy docierające do sklepu

z pobliskich ulic. - Niech Bóg ma nas w swojej opiece, *mademoiselle*. To przypomina rewolucję

bolszewicką. Oni chcą wszystko wyrzucić do góry nogami!

- Proszę iść na górę do mojego mieszkania - nakazałam. - Niech pani zamknie wszystkie drzwi i okna, zatrzasknie okiennice i zaczeka tam do czasu, aż to się skończy. Proszę nie wychodzić na zewnątrz. Przyjdę, kiedy tylko będę mogła.

Chciałam ruszyć natychmiast, obawiając się aktów przemocy, wybijania okien i plądrowania sklepu, ale kiedy się odwróciłam, Misia musiała wyczytać to z mojej twarzy, bo jęknęła:

- Nie zostawiaj mnie samej. Nie możesz tam iść. To rozszały motłoch!

- Nie zostawię cię - zapewniłam. Nalałam nam wódki, a Misia dodała do niej swoje niebieskie kropelki. Ja odmówiłam. Udało mi się już prawie od nich uwolnić, ponieważ Iribe nie tolerował mojego uzależnienia. Zaciśnęłam zęby i paliłam papierosa za papierosem, siedząc na kanapie obok Misi, która niebawem przysnęła. Rozruchy trwały jeszcze przez wiele godzin.

Iribe zjawił się o zmierzchu, zlany potem mimo panującego na dworze zimna. Zamieszki zostały zdławione, ale był to największy tego typu zryw, jaki widziano w mieście od czasów komuny paryskiej w 1871 roku. W gazetach pisano o ponad dwóch tysiącach rannych i siedemnastu zabitych. Premier usiłował uspokoić sytuację przed wyborami, które miały się odbyć w 1936 roku. Iribe uśmiechał się szyderczo, a w następnym numerze swojego czasopisma wezwał do obalenia republikańskiego rządu.

Paryż pogrążył się w chaosie. Choć mój sklep nie został zniszczony, zewsząd dochodziły do nas wieści o plądrowaniu i podpaleniach. Chciałam wyjechać do La Pausy. Moje niezadowolenie dodatkowo pogłębiła decyzja Iribego, który postanowił przesunąć nasze plany ślubne. Jego żona odrzuciła wniosek o rozwód, musiał też skupić się na pracy, jako że w następstwie niepokoju nacjonalistyczna propaganda uprawiana na łamach „Le Témoins” zdobyła szerokie uznanie. Iribe ilustrował i wydawał teraz pismo co miesiąc - pod moim patronatem, jak kwaśno zauważyłam. Miałam jednak własne problemy, przede wszystkim Elzę Schiaparelli, której ostatnia kolekcja trafiła na okładkę „Vogue’a”. Rozwścieczona, zadzwoniłam do redakcji i zażądałam, by zaczęto nas traktować równo. Chciałam, żeby opisano również moją najnowszą kolekcję, na którą składały się haftowane płaszcze oraz suknie uszyte z materiału ciętego w poprzek włókien. „Oferuję styl, a nie kostiumy cyrkowe! - wrzasnęłam przez telefon. - Wychwalacie ją za to, że cofnęła nas o sto lat!”.

W odpowiedzi na tę interwencję „Vogue” odmówił publikowania materiałów na mój temat do czasu, aż ochłonę. W przypływie wściekłości zostawiłam Iribego w Paryżu i zabrałam Misię do La Pausy, gdzie dołączył do nas Lifar oraz kilka innych osób. Tam, pośród gajów oliwnych, podziwiając wspaniałą panoramę, która rozciągała się z moich okien, usiłowałam stłumić frustrację i narastający strach przed czymś, czego bałam się najbardziej: przed tym, że przestanę się liczyć.

Byłam tak zaślepiona, że nie pozwalałam, by w moim domu czytano gazety czy dyskutowano o polityce. Nie chciałam przyjąć do wiadomości, że podczas gdy sama ukryłam się w swoim azylu, pewna epoka właśnie się kończyła.

V

Wraz z nadejściem 1935 roku odrodziła się we mnie determinacja.

Schiaparelli wprowadziła nowy militarny styl: kostiumy z baskinką przypominające mundury i kolejne ekstrawaganckie, wymięte *capotes*. Czasopisma branżowe oszalały z zachwytu. Kiedy przeczytałam, że amerykańska rozwódka Wallis Simpson, której związek z księciem Walii wywołał głośny skandal i zachwiał brytyjską monarchią, zjawiała się w pracowni Schiaparelli na przymiarki - miałam ochotę krzyknąć z wściekłości. *Premières* usiłowały nakłonić mnie do tego, żebym się ugięła i dostosowała do gustów epoki, wprowadzając do swoich projektów elementy surrealizmu. Odmówiłam. Podczas lata spędzonego w La Pausie widywałam swoje piżamy* na całej Riwierze. Nie zamierzałam na tym poprzestać i postanowiłam zaprezentować aksamitne bolerka z krótkim rękawem i dekoltem w serek, tweedowe kostiumy z dwoma rzędami guzików, bluzki z falbanką oraz moje popisowe czółenka w dwóch odcieniach.

Ta najnowsza kolekcja odniosła sukces. Redaktorzy brytyjskiego „Vogue'a” ukorzyli się i zaproponowali, że przyślą do La Pausy fotografa, który zrobi mi zdjęcia. Wyjechałam z Paryża z pewnym wyprzedzeniem, żeby przygotować willę na tę okazję. Iribe obiecał, że dołączy do mnie po pewnym czasie - w pierwszej kolejności musiał zamknąć najnowszy numer swojego czasopisma. W związku z jego obsesją na punkcie polityki, temperatura naszego związku spadła, liczyłam jednak na to, że kiedy już odpocznie od pracy i spędzi ze mną trochę czasu w La Pausie, będziemy mogli znów porozmawiać o wspólnej przyszłości. Zaczęłam żałować, że tak pochopnie przyjął jego oświadczenia. Nie miałam pewności, czy rzeczywiście się kochamy i czy którekolwiek z nas zdoła wytrwać w prawdziwym małżeństwie. Byłam nadal skłonna spróbować, najpierw jednak musiałam się upewnić, że Iribe podziela moje wyobrażenie o wspólnym życiu - takim, które nie przegrywałoby ciągle z innymi, ważniejszymi obowiązkami.

Tamtego roku La Pausa wyglądała przepięknie, a delikatny zapach kwitnących irysów i róż wypełniał cały dom. Fotograf wynajęty przez „Vogue'a” okazał się rosyjskim baronem, który uciekł ze swojej ojczyzny. Opowiedział mi, jak jego ojciec nie zgodził się kiedyś zsalutować kajzerowi, bo miał tak wspaniały rodowód, że uznał cesarza niemieckiego za zwykłego parweniusza. Wspomniałam, że przyjaźnię się z Dymitrem Pawłowiczem, który w ostatnim czasie przemawiał często na odbywających się we Francji wiecach przeciwko niemieckiemu kanclerzowi. Misia zaś raczyła mojego gościa opowieściami - głównie zmyślnymi - o swoich wspaniałych przodkach, a bezwstydną, z jaką z nim flirtowała, wyraźnie rozbawiła barona.

Iribe zadzwonił, żeby powiedzieć, iż przyjedzie nocnym ekspresem z Paryża. Odebrałyśmy go ze stacji w Cannes. W drodze do willi zauważyłam, że wydawał się bledszy niż zazwyczaj, a kiedy dotarliśmy na miejsce, szedł chwiejnym krokiem.

- Jestem po prostu zmęczony i głodny - wymamrotał, gdy wyraziłam swój niepokój. -Pozwól mi odpocząć, a jutro pogramy w tenisa. Wybudowałeś już nowy kort?

- Tak. - Posłałam mu pełen niepokojem uśmiech. Naprawdę źle wyglądał. - Ale to może poczekać. Goście przyjadą dopiero za kilka dni. Na razie powinienes odpoczywać.

Niewiele zjadł, a potem ruszył na górę, do dawnego pokoju Bendora. Nie zszedł na kolację, więc zaniósłam mu tacę z jedzeniem. Był pogrążony we śnie i nadal się pocił, choć w pokoju, znajdującym się na tyłach domu, panował chłód. Poprawiłam kołdrę, po czym otworzyłam na oścież jedno z okien, żeby wpuścić do środka morską bryzę. Zdecydowałam, że jeżeli nazajutrz Iribe nie poczuje się lepiej, zmuszę go, żeby odwiedził lekarza.

Następnego ranka wydawało się jednak, że odzyskał siły. Podczas wspólnego śniadania na tarasie długo opowiadał o swoich politycznych przedsięwzięciach. Później postanowiliśmy pograć w tenisa. Nie szło mi zbyt dobrze: pociłam się i biegałam w tę i z powrotem, a Iribe wkładał w każde uderzenie całą swą siłę. Wreszcie, zdyszana i wściekła, że spędzam rano na bezsensownej bieżance, warknęłam:

- Czy mógłbyś przynajmniej spróbować mnie nie upokarzać?

Milczał przez chwilę, wycierając ręcznikiem pot z czoła, po czym spojrział na mnie zza wilgotnych okularów.

- Upokarzać cię...? - powtórzył. Nagle krew odpłynęła mu z twarzy. Stałam nieruchomo, wpatrując się w niego zdezorientowana. Zachwiał się, a rakietę wypadła mu z ręki. - Słabo mi - wyszeptał. Runął gwałtownie na kolana, a zanim zdążyłam do niego podbiec, leżał już na brzuchu. - Lekarza... - wyjęczał przez blade, ściśnięte usta. - Moje serce...

Krzyczałam, trzymając go w objęciach. Przeszedł go skurcz, a po chwili znieruchomiał. Zawylałam z przerażenia.

Misia wybiegła z willi w towarzystwie służby. Przenieśliśmy Iribego do samochodu i ruszyliśmy na złamanie karku do kliniki w Cannes - ale kiedy tam dotarliśmy, było już za późno.

Mężczyzna, którego zamierzałam poślubić, zmarł, mając pięćdziesiąt dwa lata. Byliśmy w tym samym wieku.

- Coco, kochanie, musisz coś zjeść. Nie możesz tak dłużej funkcjonować - powiedziała Misia, stojąc w drzwiach mojej sypialni.

Nie podniosłam nawet głowy i odpowiedziałam:

- Zostaw mnie samą. Nie jestem głodna.

- Ale musisz jeść. - Usłyszałam stukot jej obcasów na progu. - Minęły już cztery dni. To nie twoja wina. Miał zawał. To się zdarza. On chorował i...

Gwałtownie się odwróciłam. Odkąd umarł Iribe, nie patrzyłam w lustro, ale wyobrażałam sobie, jak muszę wyglądać, bo Misia aż wzdrygnęła się z przerażenia.

- Zamknij się - syknęłam. - Chciałaś, żeby umarł. Nie znosiłaś każdego mężczyzny, którego kiedykolwiek kochałam. Idź sobie. Nie chcę cię widzieć. Nie chcę cię nigdy więcej widzieć.

- Och, Coco - powiedziała. Drżąca litość w jej głosie, czułość, z jaką mnie objęła, rozkruszyły zimny kamień zamknięty w mojej klatce piersiowej. Resztki moich nadziei i złudzeń zwięgły się na popiół. Znowu opuścił mnie ktoś, kogo kochałam. Znowu zostałam sama i nie potrafiłam poradzić sobie z tym niespodziewanym ciosem. Tym jednak razem czułam, że nie mam już siły, aby to przetrwać. Dostrzegałam oczywiście ironię tej sytuacji: zaledwie kilka dni przed przyjazdem Iribego wątpiałam jeszcze w sens naszego małżeństwa. Tym większe wyrzuty sumienia dręczyły moje złamane serce, wwiercając się w nie jak drzazga, która na nowo rozbudziła mój odwieczny lęk: obawę, że nie jestem godna miłości. Chwycałam pierwszy

z brzegu przedmiot - opróżnioną do połowy szklankę wody - po czym cisnęłam nim w Misię. Zdążyła się uchylić, a szklanka roztrzaskała się o ścianę.

- Idź stąd! - wrzasnęłam.

Wybiegła z pokoju, ale nie zostawiła mnie samej. Przysłała Lifara, który zgodnie z naszymi wcześniejszymi ustaleniami przyjechał do La Pausy i zastał mnie w żałobie.

- Coco - powiedział, podchodząc do mnie bez strachu. Na jego pięknej twarzy malowała się troska. - Nie możesz się tak zachowywać. Misia próbuje ci tylko pomóc. Bardzo się o ciebie martwi. Proszę, pozwól nam coś dla ciebie zrobić.

- Nikt nie może nic dla mnie zrobić - wyszeptałam. Widok Lifara przywołał

wspomnienie jego własnej rozpacz w dniu, w którym zmarł Diagilew. Przyłożyłam dłonie do ust i zaczęłam łkać, a kolana się pode mną ugięły, on jednak wziął mnie w ramiona. - Nikt nie może nic zrobić. - Usłyszałam własne słowa, wymamrotane pomiędzy dławiącymi oddechami. -Nikt. Zostawił mnie samą. Oni zawsze odchodzą. Dlaczego? Dlaczego nikt nie zostaje?

Przycisnął mnie do swojej szerokiej klatki piersiowej. Nie widziałam ani nie słyszałam nikogo innego, dopóki nie dotarł do mnie jego szept:

- Musimy wezwać lekarza. Ona wpadła w histerię. Potrzebuje środków uspokajających. Igła ukłuła mnie w ramię. Poczułam ciepło, a podany mi płyn rozlał się w moich żyłach.

Lekarz z Cannes, który zajmował się Iribem podczas ostatnich chwil jego życia, uśmiechnął się do mnie.

- Już dobrze. To pomoże pani zasnąć. Nie może pani tego tak przeżywać. Sama pani sobie szkodzi, a przyjaciele bardzo się o panią martwią. Proszę teraz odpoczywać. Jutro poczuje się pani lepiej.

Koszmary ból powoli mijał. Przeradzał się w mglistą pustkę. Westchnęłam. Zapomnienie. Tylko tego pragnęłam.

* Kobiety zaczęły używać piżam do spania w okresie drugiej wojny światowej, wcześniej nosiły je m. in. na plaży - takie zastosowanie zapoczątkowała właśnie Coco Chanel (przyp. tłum.).

VI

Nie doszłam do siebie. Wiedziałam, że nigdy nie dojdę do siebie. Nie tym razem. Każda strata - każda śmierć, każde porzucenie, każda zdrada od czasów mojego dzieciństwa - została nagle wydobyta na światło dzienne, odarta z niezliczonych warstw mitów i kłamstw. Obnażona.

Zapisała się na mojej twarzy. Skamieniała w moim sercu.

Kiedy wróciłam do Paryża jesienią tego roku, nie byłam już tą samą kobietą. Sprawy najnowszej kolekcji omówiłam tylko przez telefon ze swoimi *premières* i kompletnie mnie nie obchodziło, jak zostanie przyjęta. Spotkała się z uznaniem: mój interes zawsze rozkwitał w trudnych czasach. Uszyta z lamy błękitna suknia wieczorowa bez rękawów wzbudziła prawdziwą sensację. Moi pracownicy natychmiast wyczuli zmianę, która we mnie zaszła. Szacunek, jaki mi okazywali, ostrożność, z jaką do mnie podchodzili - nie dało się ich nie zauważyć. Tym razem okrucieństwo stało się moją obroną, tarczą, która pozwalała mi odpiierać wszystko, co nie służyło mojemu jedynemu celowi: przetrwaniu, niezależnie od okoliczności.

Bóg - albo jakiegokolwiek inne bezlitosne bóstwo, które rządzi naszym życiem - postanowił mnie opuścić.

Ja jednak nie zamierzałam opuścić samej siebie.

Moja walka ze Schiaparelli toczyła się na oczach prasy zlaknionej sensacji. Ostatnie lata przed nadejściem kataklizmu przyniosły jedynie eskapistyczny powrót do dawnych dziwactw. Sukienki stawały się znowu coraz dłuższe, a wszystko pokrywały pióra i koralki. Nocami wirowało się w szaleńczym tańcu pośród chińskich lampionów na przyjęciach, na których szampan lał się strumieniami. Postanowiłam przypuścić zmasowany atak. Podczas gdy Schiaparelli stawiała się coraz bardziej ekstrawagancka i sztuczna, wprowadzając czarne rękawiczki z palcami z czerwonego ałasu oraz niebieskie rajstopy wystające spod falbaniastych sukienek - ja trwałam wiernie przy prostej elegancji, choć uległam modzie na stosowanie poduszek i ałasu. W wywiadach oskarżałam swoją rywalkę o to, że jest zwykłą iluzją, futurystką, która nie ma nic do powiedzenia na temat przyszłości. Ona odpowiadała: „To Chanel wprowadziła swetry w stylu marynarskim i krótkie spódnice, ale ja wzięłam jej swetry, zmieniłam ich krój i *voilà* - Chanel jest skończona!”. Ludzie z branży też brali w tym udział. „Time” umieścił Schiaparelli na swojej okładce i obwołał ją „nowym geniuszem świata mody”. „Harper's Bazaar” ogłosił natomiast: „Chanel pozostaje kwintesencją powściągliwości w świecie, który nie zna powściągliwości”. Dziennikarze z radością przyjmowali naszą rywalizację, bo gwarantowała ona lepszą sprzedaż. W przeciwieństwie do mnie nie musieli się angażować w walkę na śmierć i życie, w której stawką była reputacja.

Schiaparelli pojawiła się na dorocznym, wystawnym balu kostiumowym organizowanym przez hrabiego de Graumont. Miała na sobie wzorzyste sari w rybki i perukę o niewiarygodnych wręcz rozmiarach, upstrzoną świecidełkami naśladującymi morskie zwierzęta. Nigdy dotąd nie widziałam jej z tak bliska i dopiero teraz mogłam przyjrzeć się uważniej jej podłużnej twarzy i ciętym oczom. Szła pod ramię z wąsatym hiszpańskim artystą, Salvadorem Dalim, któremu towarzyszyła jego gniewna rosyjska żona, Gala.

Ja sama wybrałam na tę okazję biały jedwab. Byłam opalona po niedawnym pobycie na Riwierze, włosy opadały mi luźno na ramiona, a szyję zdobiły perły. Ruszyłam naprzód, żeby się przedstawić. Schiap, jak nazywali ją przyjaciele, wyglądała na speszoną, ale Dali zapewnił, że „nie potrafi opisać, jaki to dla niego zaszczyt”. Uśmiechnęłam się do swojej rywalki i powiedziałam:

- Może udowodnimy, że niepotrzebne są nam publiczne konflikty?

Poprosiłam ją do tańca. Słynąca z ekshibicjonizmu Schiap była zachwycona. Bale u Graumontów słynęły z liberalnego traktowania kwestii płci: mężczyźni przebierali się za Marię Antoninę, a kobiety za Hitlera, domalowując sobie nawet wąsiki. Schiaparelli przyjęła moje wyzwanie z niekłamanym zachwytem. Prowadziłam ją w tańcu przez zatłoczony parkiet, zbliżając się stopniowo do stojących w kącie świec. Moja rozpromieniona partnerka zwrócona była w stronę zafascynowanego tłumu, który przyglądał się naszemu *pas de deux*.

Nagle płomień świecy musnął rąbek jej sukni, a ja wydałam stłumiony okrzyk i odskoczyłam. Zachwyceni goście postanowili zadbać o to, żeby Schiaparelli nie zajęła się jak pochodnia: rzucili się ku niej z butelkami wody, otoczyli ją i polewali tak długo, aż wspaniała suknia przekształciła się w gotowe do wyżymania prześcieradło. Elsa posłała mi nienawistne spojrzenie. Tusz spływał jej po twarzy, a sztuczne rzęsy się odkleiły. Zwróciłam się do niej szeptem, tak cicho, żeby tylko ona mnie usłyszała:

- Teraz zapamiętasz, że mniej znaczy więcej.

Nagle rozległ się gromki śmiech, a wszyscy goście gwałtownie się odwrócili. Przy jednym ze stołów, wczepiając się w poręcz krzesła, głośno chichocząc i nie kryjąc złośliwej satysfakcji - siedział Salvador Dali.

Puściłam do niego oko.

Wiosną 1936 roku Francja wybrała lewicową koalicję: Front Ludowy. Nasz nowy socjalistyczny premier był Żydem, a dzienniki grzmiały: „Żyd rządzi Francją!”. Odkąd zmarł Iribe, nie chciałam mieć do czynienia z polityką. Oczywiście słyszałam (jak wszyscy) i czytałam w gazetach (w przeciwieństwie do wielu) o morderczym uścisku, w jakim Hitler trzymał Niemcy,

o jego pełnych nienawiści tyradach, podczas których atakował marksizm i żydowską zarazę opanowującą Europę - ale starałam się o tym nie myśleć.

Nie mogłam jednak uciekać w nieskończoność. Wkrótce niepokoje dotarły do Francji. Tamtej wiosny robotnicy zorganizowali największy strajk w historii. Ludzie rzucali petardy

i maszerowali ulicami. Zaraza szerzyła się w zastraszającym tempie. Pewnego ranka, kiedy przeszłam przez Place Vendôme i dotarłam do swojego sklepu, okazało się, że wejście jest zabarykadowane, a moje szwaczki i sprzedawczynie blokują drzwi. Nie chciały mnie wpuścić i zaczęły coś skandować, a fotoreporterzy zwrócili się w moją stronę, błyskając fleszami. Wróciłam czym prędzej do Ritza i w napadzie szału zadzwoniłam do swojego prawnika, odgrając się, że zwolnię całą tę hałastrę.

René radził mi zachować ostrożność, podobnie jak w przypadku sprawy z Wertheimerami: sugerował, żebym spotkała się z pracownikami i wysłuchała ich żądań.

- Spotkać się z nimi? - krzyknęłam. - Prędzej zamknę sklep. Przez całe życie musiałam harować jak wół na wszystko, co posiadam. Nie dam im niczego, na co nie zapracowali.

To były puste deklaracje. Po kilkudniowym strajku nasz nowy premier podpisał porozumienie gwarantujące klasie robotniczej wszystko, czego się spodziewałam. Ludzie świętowali zwycięstwo na ulicach. Rozwścieczona tym, że nie mogłam dostać się do własnego sklepu, zwolniłam trzystu pracowników. Zwolniłabym ich więcej, gdybym René nie doradził mi, żebym ustąpiła. Twierdził, że w przeciwnym razie poniosę ogromne straty. Inni projektanci, którzy nie zastosowali się do nowego prawa, wrócili do pustych sklepów.

Ugięłam się, bo nie miałam wyboru. Ale surowe rządy, zapewniające mi sukcesy przez ponad trzydzieści lat stały się teraz jeszcze surowsze. Odtąd wszyscy, którzy dla mnie pracowali, wiedzieli, że najmniejszy błąd, najmniejsze spóźnienie albo brak dokładności sprawi, że wyrzucę ich na bruk.

Wywalczyli swoje przywileje. A ja zamierzałam zadbać o to, żeby cena tych przywilejów okazała się możliwie wysoka.

Rok 1937 niepostrzeżenie ustąpił miejsca 1938.

La Pausa stała się moim azylem, a ukojenie przynosił mi jedynie przyjmowany na noc sedol, mój środek uspokajający. Cierpiałam na bezsenność gorszą niż kiedykolwiek wcześniej i nie byłam już w stanie zasnąć bez kolejnej dawki. W tajemnicy jeździłyśmy z Misią do Szwajcarii, gdzie mogłyśmy kupować leki bez recepty. Nie chciałam przyznać przed samą sobą, że jestem uzależniona - nawet kiedy zobaczyłam na własne oczy, jak straszne mogą się okazać skutki nałogu. Będąca w zaawansowanym stadium gruźlicy i uzależniona od morfiny młoda kochanka Jojo Serta niespodziewanie zmarła.

Narastający strach przed brakiem stabilności gospodarczej doprowadził do odpływu kapitału za granicę. W wyniku tych procesów Bank Francji stracił milion franków, a Front Ludowy - władzę. Tysiące uchodźców uciekających przed krwawą wojną domową w Hiszpanii przekroczyły nasze granice. Tymczasem w Anglii Edward VIII abdykował, żeby ożenić się z Wallis Simpson. Wysłałam królewskiej parze prezent, a zrozpaczonemu Churchillowi - który pomógł królowi przygotować mowę pożegnalną - list, w którym starałam się dodać mu otuchy i zaprosiłam go do La Pausy.

Ostatniego dnia lata, podczas wizyty w mojej willi, Churchilla dręczyło uczucie, które określał on zwykle mianem Czarnego Psa: wszechogarniająca melancholia. Ulgę przynosiło mu w takich sytuacjach jedynie pisanie oraz malowanie akwarel. W La Pausie oddawał się tym pasjom przez długie tygodnie, podczas gdy ja i jego żona starałyśmy się zabiegać o jego komfort. W naszych rozmowach częstym tematem był romans króla Edwarda z Wallis Simpson -kręciłyśmy głowami, rozprawiając o zauroczeniu, które wywróciło Anglię do góry nogami. Przed wyjazdem Churchill poradził mi: „Musisz być gotowa, by opuścić Europę w każdej chwili, Coco. Obawiam się, że nadchodzi wojna”.

Podobnie jak reszta świata, nie zważałam na jego ostrzeżenia.

VII

W jaki sposób dopuściliśmy do takiego kataklizmu? Odpowiedź na to pytanie była bardzo prosta. Tak jak wszystko, co niespodziewane, wślizgnął się on tylnymi drzwiami, niezauważony przez nikogo, poza Churchilllem.

Wiosną 1939 roku moja rywalizacja z Schiaparelli znowu nabrała rumieńców. W jej kolekcji dominowały monumentalne kapelusze z rypsu oraz jaskrawożółte i śliwkowe suknie, na których wyhaftowane zostały kontury twarzy i motyle. Ja natomiast wypuściłam na rynek sukienki w kamelie i suknie wieczorowe inspirowane strojami cygańskimi w jaskrawych barwach francuskiej flagi. Rozbudowałam też swoją kolekcję *prêt-à-porter*, wprowadzając zakłady z zaprasowanymi zaszeawkami, bluzki z koronkowymi mankietami i tweedowe spodnie -wszystkie dostępne także w małych rozmiarach, co stanowiło absolutną nowość na rynku.

We wrześniu Hitler zaatakował Polskę. Siedziałyśmy zszokowane przy radioodbiorniku w La Pausie, a Misia zawyła z rozpacz nad losem swojej ojczyzny. Ogłoszono powszechną mobilizację: Francja szykowała się na wojnę z Niemcami. Wkrótce po powrocie do Ritza, dostałam telegram od mojego siostrzeńca André, który mieszkał obecnie w Lembeye, niedaleko Pirenejów - w domu, który kupiłam mu po tym, jak nasiliły się jego chroniczne problemy z oskrzelami. Choć był słabego zdrowia, został powołany do wojska i prosił mnie o opiekę nad córką oraz żoną Kathariną.

Trzymając w ręku telegram, zwróciłam się do Misi:

- Wydaje mi się, że powinnam zamknąć pracownię.

Po raz pierwszy wypowiedziałam te słowa na głos i natychmiast zdałam sobie sprawę, że dojrzałam do tej decyzji od bardzo dawna, odkąd strąk zmusił mnie do ustąpienia pracownikom. Miałam dość pieniędzy. Oszczędzałam zdecydowanie więcej niż wydawałam -nauczyłam się tego w dzieciństwie. Czułam też, że to właściwy czas na tego typu ruchy. Nie wątpiłam, że trudno będzie mi się przystosować do nowej sytuacji i że z czasem zacznę pewnie żałować tego kroku. Mimo to, w obliczu straszliwych wieści, które docierały do nas ze wszystkich stron, uważałam to za gest solidarności z moim szykującym się na najgorsze krajem. Wojna znowu otwierała przede mną nowe możliwości - ale tym razem, zamiast z nich korzystać, mogłam odejść z wysoko podniesioną głową.

- Zrobiłabyś to? - Misia uważnie mi się przyjrzała. Spodziewałam się niedowierzania albo wybuchu śmiechu. Jak mogłabym rozważać taki ruch po tych wszystkich latach? Smutek malujący się na jej twarzy i cisza, która zapadła, odzwierciedlał stan mojej duszy. Nie protestowała, tak jak zwykła to robić. Choć mieliśmy już za sobą jedną wojnę, którą zdołaliśmy przetrwać, obie doskonale wiedziałyśmy, że tym razem będzie inaczej. Brutalna napaść Hitlera na Polskę i bezlitosny pochód przez Europę zwiastował ponury zwrot w niemieckiej agresji. Niemcy, po pierwszej wojnie światowej przyparte do muru przez siły alianckie i traktat, który rzucił je na kolana - zamierzały teraz wziąć odwet.

- To nie czas na modę - powiedziałam. - Po tym, co wkrótce nadejdzie, nikt z nas nie będzie mógł już szyć sukienek.

Czy wiedziałam, co nas czeka? Tak mi się wydawało. Okazałam się jednak jedyną projektantką w Paryżu, która podjęła takie kroki. Zebrałam personel i poinformowałam go o swojej decyzji. Zamierzałam zamknąć na czas nieokreślony swoją pracownię przy *rue Cambon*, a także sklepy w Biarritz, Deauville i Cannes. Chciałam nadal sprzedawać perfumy i biżuterię -ale nic poza tym. W obliczu tych zmian postanowiłam zatrzymać tylko niewielką grupę osób, a pozostałych planowałam zwolnić pod koniec tygodnia. Moi pracownicy przyjęli tę wiadomość

z oburzeniem i byli przekonani, że to zemsta za strajki. Odwołali się do rady pracowniczej. Lucien Lelong, przewodniczący Chambre Syndicale, która nadzorowała branżę odzieżową w Paryżu, zaprosił mnie na obiad i usiłował namówić, żebym nie zamykała sklepu. Twierdził, że podobnie jak podczas pierwszej wojny światowej, będziemy musieli organizować pokazy i aukcje mody, z których dochód będzie przekazywany na cele charytatywne, a może nawet przyjdzie nam projektować mundury dla wojska. Parsknęłam.

- Swastyka nie wydaje mi się szczególnie modnym dodatkiem.

Być może kierowało mną coś innego, coś, czego sobie do końca nie uświadamiałam: gorzkie rozczarowanie każdym aspektem mojego życia. Niespodziewana śmierć Iribego, rywalizacja z Schiaparelli, nadejście kolejnej wojny, która wymuszała na mnie pewne zmiany i która mogła w każdej chwili pogrążyć świat w chaosie - to wszystko osłabiło moją dotychczasową determinację.

Spędzałam samotne noce w swoim apartamencie w Ritzu. Paliłam papierosy i wyglądałam przez okna na Place Vendôme i na znajdujące się dalej ulice, wzdłuż których wygaszano latarnie na wypadek nalotu. Choć Niemcy wtargnęli już do Danii i Norwegii, życie wokół mnie toczyło się jak dawniej, mój przyjaciel Lifar nadal tańczył w Ballets Russes, a kabarety, bary i restauracje doskonale prosperowały. Zamknęłam swoją pracownię, ale Paryż nadal tętnił życiem, które wydawało się nie gasnąć. Wszyscy moi znajomi z wyższych sfer tracili stopniowo służących i krewnych, których powoływano do wojska. Wywozili dzieci na wieś, zamykali kosztowności w sejfach i przenosili się do hoteli, z których łatwiej było uciekać. Wspomnienia ostatniej wojny przenikały naszą codzienność. Teraz jednak nękające nas *déjà vu* nosiło znamiona wyczerpania, pełnego rezygnacji oczekiwania na to, co nieuchronne. Większość moich przyjaciół, w tym Cocteau i Misia, deklarowała, że na pewno nie opuści Paryża. W końcu Niemcy nigdy jeszcze nie wkroczyli do tego miasta. Składałam podobne deklaracje, choć nasze zachowanie zaczynało stopniowo przypominać desperację, nie zaś opór.

Przez cały czas dręczyły mnie wątpliwości. Czyżbym popełniła błąd, zamykając swoją pracownię pod wpływem impulsu? Czy jako pierwsza ogłosiłam kapitulację podczas konfliktu, który nie zdążył jeszcze na dobre wybuchnąć?

Pomyślałam, że czas pokaże, po czym odwróciłam się od okna. Ruszyłam na górę do swojej sypialni na poddaszu, skromnej niczym cela zakonniczki. Zapłaciłam hotelowi za to, żeby urządzono dla mnie takie ciche miejsce. Nic mnie w nim nie rozpraszało, poza tykającym zegarkiem Boya, z którym się nie rozstawałam. Ukryta w wykrochmalonej białej pościeli, pozwoliłam swojemu umysłowi cofnąć się do lat mojej młodości w Moulins, Vichy i Royallieu. Przeżywałam na nowo tamto rozpaczliwe pragnienie ucieczki, pierwsze, dziwaczne kapelusze, rozczarowania i kompromisy - do momentu, w którym Boy wziął mnie za rękę.

Nadal był tu ze mną. Czułam go, niemal widziałam jego ciepłe, ciemnozielone oczy, gęste, zmierzwiłone włosy. Pochylił się nade mną, roztaczając wokół siebie zapach pizma, i wyszeptał: „Pamiętaj, Coco, jesteś tylko kobietą...”.

Po raz pierwszy od lat zasnęłam bez środków uspokajających.

Ze snu wyrwało mnie głośnie pukanie do drzwi i uporczywy dzwonek telefonu. Zeszłam chwiejnym krokiem po schodach i sięgnęłam po słuchawkę. To była Misia, która bełkotała coś jak szalona:

- Coco, oni wkraczają do Paryża! Niemcy! Zaatakowali nas. Musisz tu natychmiast przyjechać. Jojo jest ze mną. Ukryjemy się i.

- Misiu - przerwałam, bo przez ostatnich kilka tygodni już kilkakrotnie dzwoniła do mnie z podobnymi rewelacjami. - Oddzwonię do ciebie. Ktoś puka do drzwi.

Na progu czekał *maître d'hôtel* Ritza. Skinął przepaszająco głową, po czym przekazał mi przerażające wieści takim tonem, jakby informował mnie o chwilowym braku ciepłej wody:

- *Mademoiselle*, muszę panią z żalem poinformować, że nasza obrona zawiodła. Zgodnie z komunikatami radiowymi niemieckie dywizje pancerne przekroczyły linię Ardenów

i maszerują na Paryż. Grożą nam naloty Luftwaffe. Metro wkrótce przestanie jeździć. *Herr Elminger* kazał mi poinformować wszystkich gości, że choć nie zamierzamy zamykać hotelu i zrobimy wszystko, co w naszej mocy, by państwu pomóc, nie możemy nikomu zagwarantować bezpieczeństwa.

Wiedziałam, że wieloletni kierownik Ritza służył obecnie w wojsku. Jego zastępca, *Herr Elminger*, był Szwajcarem, który wykorzystywał osławioną neutralność swojej ojczyzny, by prowadzić ten ogromny, liczący 150 pokoiów hotel - prawdziwy bastion Paryża - tak sprawnie, jak to tylko było możliwe. Skoro sugerował ewakuację, sytuacja musiała być naprawdę poważna. Wyglądało na to, że Misia tym razem nie przesadzała.

- Ile mamy czasu? - zapytałam, myśląc o swoim sklepie po drugiej stronie Place Vendôme, o mieszkaniu wypełnionym dziełami sztuki od czasu, gdy opuściłam swoją rezydencję przy Faubourg Saint-Honoré, o bezcennych rzeźbach i antykach, sukniach i innych śladach świadczących o moim wędrownym trybie życia. Wiedziałam, że niczego nie zdołam zabrać,

a kiedy myślałam o tym, że wszystko zostawię na pastwę grasujących po mieście Niemców, gwałtownie ścisnęło mi się serce.

- Niewiele - odpowiedział. - Sugerowałbym pośpiech, *mademoiselle*. Wielu naszych gości zamierza wyruszyć bez chwili zwłoki. Podobno drogi wylotowe z miasta są już pełne ludzi.

- Tak, oczywiście. - Zamilkłam na chwilę, usiłując nad sobą zapanować. - Chciałabym opłacić apartament na kolejne dwa miesiące, na wypadek gdyby... wszystko potoczyło się inaczej. Czy możemy tak zrobić?

Pokiwał głową.

- Zrobimy co w naszej mocy. Chyba że pokoje zarezerwują naziści. Prawie wybuchłam śmiechem, słysząc tę zabawną uwagę.

- Będę też potrzebowała szofera - dodałam. - Jeśli zdoła pan jakiegoś znaleźć. Zapłacę, ile trzeba. Proszę przysłać pokojówkę, która pomoże mi spakować walizki.

Skinął głową i wyszedł, a ja wróciłam do swojego apartamentu. Miałam mętlik w głowie. Przez jedną przerażającą chwilę, nie wiedziałam, co mam począć. Stałam boso, w pidżamie, na zmianę zaciskając i rozluźniając pięści, równie oszołomiona, jak tamtego dnia, kiedy dotarłam pod bramę Aubazine.

Wkrótce zjawiała się zdenerwowana pokojówka i spakowałyśmy moje walizki. Owinęłam zegarek Boya w chusteczkę, wsunęłam go do kieszeni płaszcza, po czym opuściłam apartament i zaczęłam przeciskać się przez tłum rozszalałych gości, którzy zbiegali po schodach i pędzili w kierunku wąskiego przejścia, łączącego hotelowy bar i tylne wejście od *rue Cambon*.

W oddali rozległo się przeraźliwe łkanie syren przeciwlotniczych na wieży Eiffla, przesywając czerwcowe powietrze. Ulica przed sklepem wydawała się niepokojąco pusta, tak jakby to był zwykły poranek, kiedy ludzie siedzieli jeszcze w domach, parzyli kawę i ścierali z twarzy wspomnienia minionej nocy. W sklepie zastałam Héléne i moją wierną *première*, *madame Aubert* - tylko ich dwóch jeszcze nie zwolniłam - uczesane, ubrane na czarno i stojące na baczność za ladą. Mój widok wprowadził je w osłupienie. Przypuszczałam, że podobnie musiałam wyglądać przed chwilą w swoim apartamencie.

- Co wy tu jeszcze robicie? - wrzasnęłam. - Czekacie jak głupie na klientki? Nie słyszałyście najnowszych wieści? Zbliżają się Niemcy. Musimy szybko zamknąć sklep. Zbierzcie perfumy i biżuterię - wskazałam palcem witryny - i przynieście je do mojego mieszkania.

Zostawiłam je i ruszyłam schodami na trzecie piętro. Mocowałam się przez chwilę z zamkiem, aż wreszcie zdołałam otworzyć podwójne drzwi. Miałam wrażenie, że czas się tam zatrzymał, a widok tej spokojnej oazy pośród narastającego chaosu w mojej głowie sprawił, że stanęłam jak wryta.

Powoli, tak jakbym się bała, że czar może lada chwila prysnąć, ruszyłam korytarzem, wzdłuż którego stały moje koromandelskie parawany. Zdobiące ich lakierowane powierzchnie wizerunki siedzących na czaplach kobiet w rozwianych przez wiatr kimonach, widmowe chmury unoszące się nad strzelistymi wulkanami - to wszystko kusilo, żebym się zatrzymała i zaczęła podziwiać ten świat nietknięty zębem czasu. Dwie podarowane mi przez Misię rzeźby czarnoskórych mężczyzn, z którymi nie mogłam się rozstać, zdawały się zapraszać mnie w głąb mieszkania. Weszłam na chwilę do salonu, gdzie stukot moich obcasów został stłumiony przez gruby beżowy dywan. Ruszyłam w przeciwnym kierunku, przez jadalnię i dotarłam do pokoju dziennego. Kolejne parawany - te najwspanialsze i najstarsze, kiedyś należące do Boya - skrzyły się patyną szkarłatu i złota. Wyglądały jak płomienie ognia kontrastujące z utrzymanymi w spokojnej tonacji meblami i półkami ciągnącymi się aż pod sufit, wypełnionymi książkami w skórzanych oprawkach.

Przez okna sączyło się delikatne światło. Podeszłam do sekretarzyka i przystanęłam. Mój wzrok spoczął na niewielkim, oprawionym w pozłacaną ramkę obrazku, który przedstawiał lwa. Po chwili spojrzałam w dół, na szylkretowy wachlarz wysadzany opalizującymi gwiazdkami z masy perłowej, leżący bez troski przy stercie mojej tłoczzonej, kremowej papeterii.

Kiedy dotknęłam z czułością wachlarza, pomyślałam, jak niewiarygodnie kapryśny bywa los. Czy kiedykolwiek jeszcze zobaczę te cenne przedmioty? Czy w ogóle zdołam wrócić do tego miejsca, które przez tak długi czas dodawało mi siłę?

- *Mademoiselle?*

Gwałtownie się odwróciłam, wydając przy tym stłumiony okrzyk. Zobaczyłam Héléne oraz Lucie, które stały w drzwiach z pudełkami pełnymi moich perfum i biżuterii.

- Gdzie mamy je postawić?

Po chwili odezwałam się ochrypłym głosem:

- Pod stołem w jadalni. Kiedy już skończycie, zaciągnijcie żaluzje i zasłony. Musicie stąd uciekać. Nie ma tu już nic do roboty.

Lucie ruszyła na dół, a Héléne jeszcze przez chwilę stała niepewnie w drzwiach.

- Zostanie pani tutaj? - wyszeptała.

Potrząsnęłam głową i raz jeszcze spojrzałam na swój wachlarz.

- Nie. Ja też nie mam tu już nic do roboty. - Stałam odwrócona do niej plecami. Kiedy wyszła, wyjęłam zegarek Boya z kieszeni i włożyłam go do jednej z szuflad biurka. Dałam sobie jeszcze chwilę, jeden ostatni moment słabości, by opłakać to, co zostało utracone - a następnie także i ja opuściłam *rue Cambon*, zamykając za sobą drzwi. Wróciłam szybkim krokiem do Ritza i wyruszyłam w drogę.

Nie oglądałam się za siebie.

VIII

Kierowca, którego znalazł mi *maître d'hôtel*, nazywał się Larcher i zażądał skandalicznie wysokiej opłaty. Nie zgodził się jechać moim rolls-royce'em, twierdząc, że niepotrzebnie zwróci na nas uwagę. Musiałam zatem zostawić swój samochód w garażu Ritza i wgramolić się do rozklekotanego cadillaca z plamami tłuszczu na siedzeniach wyładowanych już jego własnymi bagażami. Wszyscy rozpaczliwie usiłowali opuścić Paryż i nawet najbogatsi gotowi byli skorzystać z dowolnego dostępnego środka transportu. W takich okolicznościach nie mogłam pozwolić sobie na narzekanie. Poprosiłam konsjerża, żeby zapisał moje nazwisko na kufrach i schował je w hotelowym magazynie, a następnie ruszyłam do wyjścia z jedną walizką, mając nadzieję, że mój dobytek nie trafi w ręce jakiejś nazistowskiej *Fraulein*.

Nie miałam wcześniej okazji, żeby zastanowić się, dokąd pojedę. Przez chwilę rozważałam, czy nie szukać schronienia u Adrienne. Zdecydowałam jednak, że tego nie zrobię, obawiając się, iż jej dom będzie już i tak zatłoczony. Postanowiłam zamiast tego udać się na południe, do La Pausy, i poczekać tam do czasu, aż podejmę dalsze decyzje.

Ruszyliśmy zatłoczonymi drogami, posuwając się wolno pomiędzy wyładowanymi furmankami. Mijaliśmy przepełnione autobusy i samochody uwięzione między ciągniętymi przez muły wozami oraz tysiącami ludzi, którzy brnęli naprzód albo jechali na rowerach i wzdrygali się, ilekroć słyszeli nad głowami warkot samolotu. Szybko zrozumiałam, że nie uda mi się dotrzeć do celu.

Dobrze się stało. Trzeciego dnia okazało się, że Włochy połączyły siły z Niemcami i zbombardowały Riwierę, biorąc odwet za brytyjski nalot na Turyn. Za moimi plecami, na przedmieścia Paryża spadały bomby zapalające, a przerażeni mieszkańcy porzucali cały dobytek i uciekali z miasta na piechotę. Nie mogłabym zawrócić, nawet gdybym chciała.

- Pojedziemy do Corbère - powiedziałam, kiedy już kupiłam u przydrożnego spekulanta benzynę, za którą zapłaciłam więcej niż za diamenty. - Mój siostrzeniec ma tam dom.

Corbère leżało niedaleko Pau, nieopodal Pirenejów i hiszpańskiej granicy. Mówiło się, że Franco zawarł pakt z Hitlerem. Liczyłam na to, że na te tereny nie dotrze zawierucha wojenna.

Nagle z całą siłą powróciły do mnie tłumione dotychczas wspomnienia. Od czasów dzieciństwa nie ruszałam w świat z tak niewielkim dobytkiem i ściszałam teraz swoją walizkę i torebkę jak broń. Wiedziałam, że w miarę jak sytuacja będzie się pogarszała, ludzie zaczną stawać się coraz bardziej brutalni i bezlitośni. Po drodze mijaliśmy wiele miejsc, które potwierdzały moje obawy. Ci, którzy zostali napadnięci i obrabowani, siedzieli w ulewnym deszczu, ukrywając w dłoniach zakrwawione twarze, podczas gdy ich żony i dzieci stały bezradnie nad rozgrabionymi bagażami.

Wreszcie, po wielu dniach jazdy przez błotniste boczne drogi, na których panował nieco mniejszy chaos, dotarliśmy do Pau. Popołudniowa ulewa ustała i zza chmur wyjrzało słońce. Miałam ochotę zatrzymać się tam na jakiś czas, ale oparłam się pokusie i ruszyliśmy dalej, do miasteczka Lembeye. Podróżowałam teraz w kompletnej nieświadomości. Nie wiedziałam, czy Paryż ogłosił kapitulację, czy miasto zostało zdobyte przez Niemców albo doszczętnie spalone. Gdyby ci, którzy zdołali uciec, znaleźli się w potrzasku, musieliby zdecydować się na przekroczenie granicy Szwajcarii albo Hiszpanii.

Kiedy dotarliśmy wreszcie do Corbère i stanęliśmy przed pokrytym czerwoną dachówką domem mojego siostrzeńca, umierałam ze zmęczenia. Katharina, holenderska żona André, ruszyła pospiesznie w moją stronę razem ze swoją córką, ja zaś wygramoliłam się z oblepionego błotem samochodu. Czułam długą jazdę w całym ciele. Katharina mocno mnie przytuliła

i wyszeptala:

- Gabrielle, dzięki Bogu. Baliśmy się, że mogło cię spotkać coś strasznego. Wieści z Paryża. są przerażające.

Nie słyszałam dotąd żadnych wieści, ale mogłam się spodziewać najgorszego. Wyszeptalam, że jestem zmęczona, zapewniając jednocześnie, że nic mi się nie stało, po czym odwróciłam się do swojej dziewięcioletniej bratanicy. Bardzo wyrosła, odkąd widziałam ją kilka lat wcześniej, kiedy André i Katharina przyjechali do mnie w odwiedziny, a ja zaprosiłam ich na herbatę do Ritz. Pamiętałam ją jako mocnej budowy, jasnowłose dziecko, które opychało się eklerami, do czasu aż Katharina zrugala je i zagroziła, że rozboli je brzuch, co zresztą się stało. Patrzyła na mnie teraz z powagą. Miała niebieskie oczy swojej matki i śliczną twarz André. Bardzo przypominała moją siostrę Antoinette w jej wieku. Z trudem powstrzymałam łzy.

- Tipsy - powiedziałam łagodnie, używając jej dawnego przezwiska. - Pamiętasz mnie? Pokiwała głową.

- Jesteś ciocia Coco, pani z perłami. Kiedy pojechaliśmy do Paryża, dawałaś mi eklerki. Choć byłam wyczerpana, nie mogłam powstrzymać uśmiechu.

- Tak, jestem ciocia Coco. Ale tym razem nie mam niestety ani pereł, ani eklerów. - Wyciągnęłam rękę w stronę Tipsy, a Larcher wyjął z samochodu moją walizkę i torebkę. - Zaprowadzisz mnie do środka? Bez słowa wzięła mnie za rękę i ruszyła do swojego przytulnego domu.

Spałam dwanaście godzin. Kiedy się wreszcie obudziłam i wykapałam - po podróży byłam czarna od sadzy - zesłam do kuchni i usiadłam z Kathariną przy odbiorniku radiowym. Tipsy dołączyła do nas z posępnym wyrazem twarzy i zaczęłyśmy słuchać pełnego zakłóceń komunikatu, w którym potwierdzono, że Paryż ogłosił kapitulację. Niemcy wkroczyli do miasta w przerażającym pochodzie potężnych czołgów, maszerując przez Pola Elizejskie, podczas gdy posępne tłumy - wszyscy ci, którzy nie zdążyli uciec albo musieli zawrócić, kiedy naziści zablokowali drogi - zgromadziły się wzdłuż chodników, żeby oglądać to ponure widowisko. Na Łuku Triumfalnym i wieży Eiffla zawieszono czerwoną flagę z czarną swastyką. Hitler ogłosił, że osobiście przyjedzie do Paryża, żeby poznać miasto i zdecydować o jego losie. Nasz pokonany, skompromitowany rząd uciekł do Vichy, południowej stolicy Francji, gdzie po raz pierwszy zaczęłam szukać szczęścia, marząc o sławie. Władze natychmiast ukorzyły się przed Niemcami i zaoferowały, że położą kres Republice Francuskiej. W ten oto sposób doszło do podziału kraju na tereny okupowane oraz południową część Francji.

Nie potrafiłam dłużej tłumić rozpacz. Wylała się ze mnie, przybierając postać rozdzierającego szlochu. Łzy spływały mi po twarzy, a ja, dławiąc się, powtarzałam:

- Ani jednej bitwy. Ani jednej. Nikt nie podniósł nawet palca, żeby ich powstrzymać. Katharina wyciągnęła rękę w moją stronę, ale Tipsy okazała się szybsza i otoczyła mnie swoimi drobnymi ramionami.

- Nie płacz, ciociu Coco. Nie smuć się. Paryż przecież nie umarł.

Nie mogłam nic powiedzieć, wtulona w jej kościstą klatkę piersiową. Wreszcie, po tylu tygodniach, podczas których tłumiłam wszystkie swoje emocje, pozwoliłam sobie na *uczucia*. Misia i Cocteau, moje mieszkanie i cały mój dobytek, mój sklep - to wszystko tam zostało.

Paryż nie umarł. Ale w moim sercu nic już nie miało być takie jak dawniej.

Odbiornik radiowy co jakiś czas się wyłączał albo nadawał tylko szum, który brzmiał jeszcze bardziej złowieszczo niż jakiegokolwiek wiadomości. W końcu jednak dowiedziałyśmy się, że Hitler postanowił oszczędzić Paryż. Miasto zostało uznane za zdobycę wojenną Trzeciej Rzeszy. Triumfujący, opłacani przez Niemców spikerzy ogłosili na antenie, że naziści są naszymi przyjaciółmi, a przyjaciół nie należy się bać.

- Oczywiście jeśli nie jesteś Żydem albo komunistą - zauważyłam, zwracając się do Kathariny. - W takim wypadku lepiej ukryć się w piwnicy.

Sielankowe, odcięte od świata Corbère miało na mnie zbawienny wpływ: stopniowo odzyskiwałam siły i determinację. Mimo wszystko nadal przecież żyłam.

Niestety Katharina dowiedziała się w miasteczku, że Niemcy pojмали i uwięzili tysiące naszych żołnierzy. Obawialiśmy się, że André mógł znaleźć się pośród nich. Nie potrafiliśmy ustalić jego miejsca pobytu. Katharina zaczęła szukać pod deskami podłogi puszek z pieniędzmi, a ja mimowolnie zachichotałam, przypominając sobie własną puszkę ukrytą na strychu w Moulins. Zamierzałyśmy pójść do miasteczka i zapłacić człowiekowi, który przekazał jej wieści, za dodatkowe informacje. Pracował on w urzędzie telegraficznym i obiecał, że spróbuje zasięgnąć języka, natychmiast jednak zrozumiałam, że mu się to nie uda.

- Jeżeli chcemy się czegokolwiek dowiedzieć, musimy pojechać do Paryża - powiedziałam Katharinie, kiedy wracałyśmy do domu. Słysmy krętą ścieżką, stąpając po polnych kwiatkach, a w oddali majaczyły obojętne góry. - Sama powinnam tam wrócić.

Spojrzała na mnie z zaskoczeniem.

- Przecież dopiero wyjechałaś z Paryża. W radiu mówili, że Niemcy nie ruszą dalej na południe. Może zostawią nas w spokoju.

- Tak, ale jeśli André trafił do niewoli, jest w niebezpieczeństwie. Ktoś musi go odszukać. Ty powinnaś tu zostać i zająć się Topsy. Ale ja - dodałam, wzruszając beztrudno ramionami - nie muszę się martwić o nikogo poza sobą.

Nie była przekonana, ale w ciągu kilku kolejnych dni, podczas gdy grałyśmy z Topsy w piłkę i wplatałyśmy sobie stokrotki we włosy, obmyśliłam plan działania. Wydawał się dość ryzykowny, jak każdy ruch podjęty w takich okolicznościach - ale wytłumaczyłam Katharinie, że nadal cieszę się we Francji szacunkiem i moja obecność w Paryżu nie powinna wzbudzić podejrzeń.

- Jestem słynną projektantką. Opłaciłam z góry apartament w Ritzu i mogę tam wrócić, kiedy tylko zechcę. Wszyscy mnie znają. Niemcy nie odważyliby się mnie tknąć.

Katharina przygryzła wargę i spuściła wzrok, przyglądając się swoim zniszczonym rękom. Choć André zawsze dostawał ode mnie dużo pieniędzy, on i jego żona woleli wieść skromne życie. Mieli prosty, czysty dom i niewiele potrzeb. Wiedziałam, że Katharinie wystarczy pieniędzy jeszcze na wiele miesięcy - w przeciwieństwie do mnie. Uciekając z Paryża, zabrałam kilka ubrań i niewiele więcej. Zostały mi już ostatnie krople środka uspokajającego, a strzykawki i zapasy sedolu znajdowały się w moich kufrach w Ritzu. Nie mogłam spać. Staralam się nie patrzeć w lustro, bo nie chciałam widzieć swojej wymizowanej twarzy, podkrążonych oczu, zapadniętych policzków, ziemistej cery i zmarszczek wokół ust, których nie mogłam ukryć za pomocą swojej czerwonej szminki i puderniczki. Widziałam siebie taką, jaka byłam tamtej strasznej nocy w Vichy, kiedy odnalazł mnie Balsan: widziałam kobietę, która przedwcześnie się postarzała. Tyle że tym razem nie byłam już młoda.

- Mam prawie pięćdziesiąt osiem lat, nie nadaję się na uchodźcę - mówiłam dalej, ściskając dłoń Kathariny. - Nie dam rady. Muszę wrócić. André mnie potrzebuje.

Pokiwała powoli głową.

- Ale nie narażaj się na niebezpieczeństwo. Obiecuj mi to. André by tego nie chciał. Jeżeli zaczniesz się obawiać jakichś zagrożeń, jeżeli uznasz, że coś może ci się stać, musisz tu wrócić.

- Oczywiście - zapewniłam. Postanowiłam nie dzielić się z nią obawami i nie mówić, że powrót może się okazać jeszcze trudniejszy niż ucieczka z miasta. Wiedziałam, że kiedy już dotrę do Paryża, nie będę mogła liczyć na anonimowość. Nawet Niemcy wiedzieli, kim jestem,

a zwłaszcza wysocy rangą oficerowie.

- Musisz na siebie uważać - dodała Katharina. - Te pogłoski, które nieustannie słyszymy o Żydach. Podobno w Polsce zamykają ich w gettach jak bydło.

- Nie jestem Żydówką. Nie martw się. Znajdę André i sprowadzę go do domu. Cóż innego mogłaby zrobić ciocia Coco w takich czasach? Musi zostać szpiegiem.

Nie zdawałam sobie jeszcze sprawy, jak prorocze były moje słowa. Mimo to, kiedy pożegnałam się z Kathariną, ruszyłam na górę do sypialni i zaczęłam się pakować, ogarnęło mnie przerażenie głębsze, niż mogłam się spodziewać.

Po raz pierwszy Paryż stał się miejscem, którego się bałam.

Ruszyłam do Vichy razem z Larcherem, który podczas pobytu w Corbère zdążył tymczasem najeść się koziego sera i szynki, a następnie opróżnił zapasy jedynej tawerny w miasteczku. Mówiło się, że żaloszny, współpracujący z nazistami rząd zbiegł do Vichy. Szukało tam schronienia wielu przedstawicieli paryskich elit, którzy na skutek bombardowań zostali odcięci od swoich luksusowych willi na Riwierze.

Dotarliśmy do Vichy na oparach benzyny. Ogromnym zaskoczeniem okazała się dla mnie całkowita obojętność dająca się zauważyć w tym mieście. Bistra i restauracje pękały w szwach, a modnie ubrani ludzie beztrudno spacerowali po bulwarach. Zwróciłam uwagę, że kobiety nosiły eleganckie, ogromne kapelusze, które były ostatnim krzykiem mody, choć wydawały mi się równie groteskowe jak te z 1910 roku. Szukałam noclegu w całym mieście, ale nie znalazłam ani jednego wolnego pokoju. Wreszcie udało mi się wynająć poddasze w bursie żandarmerii. Wzięłam letnią kąpiel w pokrytej wapnem wannie, a następnie włożyłam swój najlepszy kostium z dzianiny, umalowałam się i ruszyłam do restauracji, żeby zjeść kolację.

Ledwo zdążyłam wypić bulion, gdy usłyszałam wołanie:

- Coco! Coco, kochanie, to naprawdę ty? - Podbiegła do mnie ładna brunetka w wąskiej tweedowej spódnicy i obcisłym zakiecie. Uśmiechała się z nieco teatralną ulgą. - To naprawdę ty. Och, jak wspaniale zobaczyć jakąś znajomą twarz!

Dopiero po chwili ją rozpoznałam: była to Marie-Louise Bousquet, jedna ze stałych bywalczyń balów kostiumowych u Graumontów. Dostrzegła moją niepewność i wyduła wargi.

- Czyżbyś mnie zapomniała? Jestem jedną z twoich najwierniejszych klientek. Spójrz: to jeden z twoich strojów.

- Oczywiście, że cię pamiętam - zapewniłam, po czym wstałam i ucałowałam ją na powitanie. Mijałam się z prawdą. - Dołączysz do mnie? Co sprowadza cię do Vichy?

Wysłuchałam opowieści, którą powtarzano zapewne tysiące razy. Marie-Louise uciekła z Paryża tuż przed wkroczeniem nazistów i zabrała ze sobą tylko to, co zdołała unieść.

- Strasznie się nudzę. Vichy jest upiorne. Niesamowicie prowincjonalne. Nikt się tu niczym nie martwi. Zresztą podobno nie ma się czym martwić.

- To prawda. - Zerknęłam na siedzącą obok roześmianą parę, która wznosiła właśnie toast. - Zauważyłam, że atmosfera przypomina tu kurort w środku sezonu.

Para usłyszała moją cierpką uwagę. Mężczyzna gwałtownie się odwrócił i spojrzał na mnie gniewnie.

- Co pani ma na myśli? - zapytał.

- To, że jak na okoliczności ludzie wydają się wyjątkowo radośni - odparłam. Marie-Louise nie bez powodu uchodziła za doświadczoną bywalczynię salonów. Posłała mężczyźnie promienny uśmiech, a następnie powiedziała łagodnie:

- Czy wie pan, kto to jest, *monsieur*? To Coco Chanel.

Mężczyzna chrząknął. Najwyraźniej nie miał pojęcia, kim jestem, ale siedząca przy nim kobieta nerwowo dotknęła jego ramienia, posyłając mi przepraszające spojrzenia i szepcząc:

- Nie bądź niegrzeczny, kochanie. Ona jest bardzo znana.
- Naprawdę? - Mężczyzna odwrócił się do nas plecami. - A kiedy była znana? Wygląda, jakby miała sto lat.

Mocniej ścisnęłam widelec, a Marie-Louise machnęła ręką i powiedziała:

- Miałam nadzieję, że zamierzasz wrócić do Paryża. Proszę, powiedz mi, że się nie mylę. Jestem po prostu zdesperowana. Zostali tam Graumontowie. I tak wielu innych naszych przyjaciół. Słyszałam, że w Paryżu nic nam nie grozi.

Mojej uwadze nie umknął nacisk, jaki położyła na słowo „nam”. Chodziło jej

o wszystkich tych, którzy mieli odpowiednie środki i status, żeby przetrwać trudy okupacji.

- Niemcy nie czują do nas nienawiści - mówiła dalej. - Oni kochają Francję. Mieszkają w Ritzu, chodzą do teatru i opery, jadają na mieście. Mają pieniądze i wydają je tak jak

w dawnych czasach. *Très joli!* - Kiedy roześmiała się równie beztrudnie jak para siedząca przy sąsiednim stole, poczułam, że ścisnął mi się żołądek. - Pojedziesz ze mną? - zapytała. - W dzisiejszych czasach kobieta podróżująca samotnie naraża się na ogromne niebezpieczeństwo, ale we dwie... - Zamilkła na chwilę. - Przypuszczam, że masz kierowcę, prawda? Skinęłam głową.

- Owszem, ale nie mam benzyny. Ledwo tu dotarliśmy.

- Znam urzędnika, który mógłby nam sprzedać trochę benzyny! - powiedziała, z zachwytem klaszcząc w dłonie. Po chwili skrzywiła się i rozejrzała. - W dzisiejszych czasach wszyscy chcą zdobyć benzynę - wyszeptła. - To najczęściej szmuglowany towar. Benzyna i mięso.

- Obawiam się, że trochę benzyny może nam nie wystarczyć - rozważałam głośno naszą sytuację. - Ale to zawsze jakiś początek.

Decyzja zapadła. Marie-Louise miała pojechać do Paryża razem ze mną. Zamierzałyśmy wyruszyć nazajutrz o świcie, żeby drogi były jeszcze przejezdne. Rozglądając się po restauracji, uznałam, że żaden z tych głupców bawiących się w Vichy i tak donikąd się nie spieszy.

Następnego ranka Larcher zaczął pakować nasze bagaże do samochodu - choć Marie-Louise twierdziła, że prawie niczego nie zdążyła zabrać, miała dwie wielkie walizki pełne wymiętych, eleganckich ubrań - a ja poszłam tymczasem na krótki spacer. Zamierzałam przed wyjazdem wypalić swojego ostatniego papierosa (była to kolejna rzecz, której zaczynało mi brakować). W pewnej chwili zatrzymałam się przy niszczącym murze z czasów rzymskich i zobaczyłam siedzącego na jego krańcu chłopca w przetartych krótkich spodenkach. W jego wygłodniałym spojrzeniu, wynędzniałych policzkach, chudych nóżkach i rączkach było coś, co chwyciło mnie za serce. Czas stanął w miejscu, a po chwili zaczął się cofać. Zobaczyłam siebie i swoje siostry wałęsające się po cmentarzach w starych, znoszonych sukienkach. Zamierzałam zbliżyć się do chłopca, ten jednak podniósł nagle wzrok, zauważył mnie i wydawszy stłumiony okrzyk, spadł z muru.

Runął na kamienne płyty, zanim zdążyłam do niego dobiec i wrzasnął z bólu. Ukłękłam przy nim. W tej samej chwili usłyszałam za plecami czyjeś szybkie kroki i pełne niepokoju wołanie:

- To mój syn!

Podniosłam wzrok i zobaczyłam ciężarną kobietę ubraną w brudną podomkę. Chłopiec jęczał i trzymał się za rękę. Spojrzałam na niego i powiedziałam:

- Nie powinniśmy go dotykać. Proszę sprowadzić lekarza. Myślę, że mógł złamać rękę.

- Lekarza! - zawołała. Chłopiec wbił we mnie pełne bólu oczy. - Jak mam mu zapłacić? Otworzyłam przewieszoną przez ramię torebkę i wyjęłam z portfela pomięty banknot stufrankowy. Kończyły mi się pieniądze, ale nie mogłam pozwolić, by ten nieszczęsny chłopiec

cierpiał. Dobrze znałam głód i cierpienie. W młodości wielokrotnie ich doświadczałam - właśnie w tym mieście. Kiedy uśmiechnęłam się do chłopca i podałam mu pieniądze, jego wyraz twarzy nagle się zmienił. Chwycił banknot, zerwał się z ziemi i pomknął przed siebie tak szybko, jak zdołały go ponieść jego chude nogi.

Westchnęłam, po czym odwróciłam się i spojrzałam na jego matkę, która parsknęła i powiedziała:

- Dziękuję, *madame*, kimkolwiek pani jest. Będziemy mogli z moim synem zjeść dziś kolację.

Ruszyła przed siebie, wołając swojego niesfornego współnika. Podniosłam się i otrzepałam kurz ze spodni. Roześmiałam się. Byłam tak zdruzgotana katastrofą, która dotknęła Francję, że pozwoliłam, by oszukała mnie para drobnych złodziejasków.

I nie był to ostatni raz.

IX

Przed Porte d'Orléans ustawiono barykady z worków z piaskiem. Stacjonowali tam również niemieccy żołnierze uzbrojeni w karabiny.

- W tym miejscu kończy się nasza podróż, *mademoiselles* - oznajmił Larcher. Marie-Louise zaczęła szamotać się z bagażami, ja zaś wyjęłam z torebki garść monet i wcisnęłam je Larcherowi.

- Dziękuję. Gdyby pan czegokolwiek potrzebował, zatrzymam się w Ritzu. Mówiłam poważnie. Bez niego nigdy bym tak daleko nie dotarła.

- Powodzenia.

Schował pieniądze do kieszeni i pomógł mi wyciągnąć walizkę z bagażnika. Stał przy samochodzie, w brudnej koszuli i spodniach, cuchnąc potem, a Marie-Louise żwawo chwyciła walizki i mimo wyraźnego zmęczenia posłała mi pełen nadziei uśmiech, po czym pisnęła:

- Gotowa, Coco?

- Proszę przygotować paszporty - poradził Larcher, kiedy przeczesałam włosy dłonią i zerkałam niepewnie na nazistowskich wartowników. Dokładnie sprawdzali dokumenty stojących w kolejce uchodźców, którzy wracali do domu. - Lepiej mówić im tylko tyle, ile trzeba. - Splunął z pogardą. - Pieprzone szkopy. To ostatnia rzecz, jakiej się spodziewałem: szwaby kontrolujące nasze miasto.

Dołączyłam do Marie-Louise, która zdążyła już zająć miejsce w kolejce, a rozklekotany gruchot, którym przebyłyśmy pół Francji, po chwili odjechał. Kiedy stałam tam, w palącym sierpniowym słońcu, przyszło mi nagle do głowy, że nie mam pojęcia, kim jest Larcher i dokąd teraz zmierza. Byliśmy dwójką nieznanym, którzy spotkali się przypadkiem i których ścieżki miały się już prawdopodobnie nigdy nie przeciąć.

Dotarcie do wejścia zajęło nam ponad dwie godziny. Ponury, pryszczaty młody Niemiec, który sprawdzał nasze dokumenty posłał Marie-Louise pożądlive spojrzenie - na które zareagowała kokieteryjnym uśmiechem - mnie zaś ledwo zauważył. Nasze papiery nie wzbudziły podejrzeń. Dał nam znak, żebyśmy przeszły dalej. W tej samej chwili usłyszałam jednak za plecami jakieś hałasy. Obejrzałam się przez ramię i zobaczyłam dwóch ubranych na czarno zbirów z bronią o krótkich lufach, którzy zatrzymali obładowaną torbami parę w podeszłym wieku i zaczęli gwałtownie przepychać tych starszych ludzi w stronę odgradzonego terenu.

- Nie patrz tam - syknęła Marie-Louise. - To pewnie Żydzi. A tamci Niemcy to gestapo. Szybko odwróciłam wzrok i ruszyłam przed siebie. Ścisnęło mnie w żołądku. Słuchanie

o postulatach nazistów było czymś zupełnie innym niż oglądanie ich w rzeczywistości. Starsi ludzie wyglądali tak, jakby mieli zaraz zemdleć. Z pewnością nie stanowili żadnego zagrożenia.

- Dokąd ich zabierają? - zapytałam, kiedy oddaliśmy się od posterunku na tyle, żeby nikt nas nie słyszał. Wokół nas kłębili się zwykli paryżanie zajmujący się swoimi codziennymi sprawami. Mimo to w powietrzu czułam dziwne napięcie, dreszcz niepokoju przenikający wszystkich wkoło. Ludzie unikali kontaktu wzrokowego i chodzili ze spuszczoneymi głowami, nikt nawet nie zerknął w naszą stronę, tak jakby widok dwóch rozczochranych kobiet

z walizkami był czymś najzwyczajniejszym w świecie. Marie-Louise wzruszyła ramionami.

- Któż to może wiedzieć? To nie nasz problem, prawda?

Pomyślałam, że pewnie ma rację. Miałam w każdym razie na głowie ważniejsze sprawy: musiałam czym prędzej dotrzeć do Ritza i do swojego apartamentu.

- Nie dam rady iść na piechotę - oznajmiłam. Zatrzymałam się, żeby złapać oddech i rzuciłam walizkę na ziemię. Poczulałam gwałtowny skurcz w boku. - Muszę złapać taksówkę.

Marie-Louise zatrzymała się i spojrzała na bulwar, przy którym stałyśmy. Mijało nas trochę samochodów, ale było ich zdecydowanie mniej niż zazwyczaj.

- Możemy spróbować pojechać metrem. Na pewno już chodzi.

Spojrzałam na nią ze zniecierpliwieniem. Czy naprawdę wyglądałam na osobę, która zdoła przetrwać przejażdżkę metrem? Stałam na krawężniku i zanim Marie-Louise zdążyła zaprotestować, machnęłam ręką, w której trzymałam plik banknotów. W ciągu kilku chwil zatrzymał się przy nas samochód. Młody mężczyzna w berecie, z papierosem w ustach, wyciągnął rękę i opuścił szybę po stronie pasażera.

- Podwieźć was, drogie panie?

- Tak, będziemy zobowiązane. - Podczas gdy moja towarzysząca przyglądała się całej tej scenie ze zdumieniem, otworzyłam tylne drzwi, rzuciłam walizkę na tylne siedzenie, a sama ruszyłam na miejsce pasażera. Marie-Louise wcisnęła się między nasze bagaże i natychmiast ruszyliśmy. Włączając się do ruchu, mężczyzna zapytał:

- Jesteście panie Francuzkami?

- Tak. - Spojrzałam na niebieską paczkę gauloisów, wystającą z kieszeni jego koszuli. Zauważył to, wyciągnął papierosy i pudełko zapalek, a następnie mi je podał.

- Niemcy rozdają je za darmo, jak cukierki - wyjaśnił, kiedy zapaliłam i głęboko westchnęłam, pozwalając, by dym wypełnił mi płuca. W czasie gdy jechaliśmy w kierunku pierwszego *arrondissement*, gdzie znajdował się Ritz, kierowca streścił wszystkie wydarzenia, które nas ominęły. To, co opowiadał, jeszcze bardziej mnie zaniepokoiło.

- Niemcy są wszędzie. Zajęli *parlement*, Izbę Deputowanych i siedzibę senatu

w Ogrodzie Luksemburskim. Zamieszkali we wszystkich najważniejszych hotelach: Ritzu, Majesticu, George'u V i Raphaelu, a także w najlepszych willach. Mamy gaz i elektryczność, a nasza policja nadal funkcjonuje, ale Niemcy pozdejmowali francuskie flagi i zastąpili je swoimi. Nie ma żadnych wątpliwości: Paryż jest teraz niemieckim miastem. - Zaciągnął się, a jego oczy pociemniały. - Są jak szarańcza. Musieli to wszystko z góry zaplanować. Wkroczyli do miasta tak szybko... Zanim się zorientowaliśmy, ulicami maszerowały już tysiące żołnierzy, a za nimi jechało więcej czołgów i samochodów pancernych, niż można to sobie wyobrazić.

Zamknęłam oczy i wzięłam głęboki oddech. Potrafiłam to sobie wyobrazić - ale nie chciałam. Kiedy dotarliśmy na Place Vendôme, a przed nami wyrósł majestatyczny Ritz, nie mogłam nie zwrócić uwagi na koszmarną flagę, która wisiała nad obłożonym workami z piaskiem wejściem, ani na wartowników w opaskach ze swastyką, strzegących schodów w hotelowym lobby.

Marie-Louise poklepała mnie po ramieniu.

- Coco, czy jesteś pewna, że chcesz tu zostać? Skoro zajęli hotel. może powinnaś pojechać ze mną i zamieszkać z moimi przyjaciółmi?

- Nie. Nic mi się nie stanie. - Zmusiłam się do uśmiechu. Kiedy młody mężczyzna wysiadł pospiesznie z samochodu, żeby pomóc mi z walizką, odwróciłam się do Marie-Louise i dodałam: - Zadzwoń do mnie później, dobrze? Będę w swoim apartamencie.

Uniosła powątpiewająco brwi. Wydawała się niemal pewna, że nie wrócę już do swojego apartamentu, co dodatkowo pogłębiło moją determinację. Wysiadłam z samochodu i sięgnęłam po walizkę. Zamierzałam właśnie ruszyć w kierunku hotelu, kiedy młody kierowca zapytał:

- Czy jest pani tą Coco Chanel? Przystanęłam, patrząc na niego nieufnie.

- Owszem.

Zdjął beret.

- To wielki zaszczyt, *mademoiselle*. Moja matka zawsze opowiadała o pani i o tym, jaka jest pani modna i nowoczesna. Uwielbiała pani ubrania, choć nigdy nie mogła sobie na nie pozwolić. I *parfums*. Kupiłem jej flakonik na polecenie w Galeries Lafayette. Używała kropelki, każdego dnia, aż do śmierci. Mówiła, że nic jest tak trwałe jak Chanel No. 5. Nawet miłość.

Pod wpływem impulsu pochyliłam się i pocałowałam go w policzek. Pachniał potem, tytoniem i niegasnącym optymizmem młodości. Zarumienił się, a ja wyszeptalam:

- Pańska matka miała rację.

- Musi pani mieć *Ausweiss* - powtórzył niemiecki wartownik, blokując wejście do hotelu. - Przepustkę - dodał łamaną francuszczyzną. Za jego plecami, w lobby, majaczyły sylwetki oficerów w mundurach, a także kilku cywili. Usiłowałam wypatrzeć kogoś znajomego, a żołnierz zaczął dawać mi znaki, żebym się cofnęła. Nagle jednak w moją stronę spojrzął *maître d'hôtel*, który jeszcze nie tak dawno przyszedł ostrzec mnie przed Niemcami. Znieruchomiał i zmarszczył brwi.

Przez krótką, przerażającą chwilę myślałam, że mnie zignoruje, on jednak ruszył do wejścia i powiedział:

- Ta pani jest naszym gościem, to *mademoiselle* Coco Chanel. Proszę ją wpuścić. Niemiec, który nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia lat, wyprostował wojowniczo ramiona.

- Ta pani nie ma przepustki. Musi najpierw porozmawiać z *Kommandantem*.

- W takim stanie? - zapytałam.

Maître d'hôtel przechylił głowę i powiedział:

- Zrobi to, dopilnuję tego. Obiecuję. - Sięgnął po moją walizkę. Byłam spocona, brudna i wyczerpana po trwającej wiele dni podróży. Nogi prawie się pode mną ugięły, kiedy mijałam wartownika. Mój wzrok padł mimowolnie na pistolet spoczywający w kaburze u jego pasa. Bałam się, że mnie zatrzyma i przypominałam sobie tamtą parę starych ludzi przy Porte d'Orléans. Wyglądał jednak na niepewnego, a *maître d'hôtel* wykorzystał tę chwilową dezorientację, wziął mnie pod rękę i wprowadził do środka.

- Dobry Boże - wymamrotałam, kiedy prowadził mnie do recepcji. - Czy oni wszyscy są tacy?

Pokiwał głową.

- Do wszystkiego potrzebny jest *Ausweiss*. Zajmę się tym, *mademoiselle*, proszę się tym nie martwić. Jest pani, jak zawsze, mile widziana w tym hotelu. Nikt nie ruszał pani bagaży, są w magazynie. Czy mam je wysłać do pani pokoju? - Krzątał się przy recepcji i po chwili wybrał klucz. Kiedy mi go wręczył, zorientowałam się, że nie jest to klucz od mojego apartamentu. *Maître d'hôtel* dostrzegł zaskoczenie malujące się na mojej twarzy. - Pani apartament jest już niestety zajęty, *mademoiselle*. Kazałem przenieść meble do mieszkania nad pani sklepem. Mogę pani zaoferować mniejszy pokój na trzecim piętrze, po stronie wychodzącej na *rue Cambon*,

w pobliżu pani *atelier*. Czy to pani odpowiada, *mademoiselle*?

- Tak, oczywiście. Dziękuję. - Nie obchodziło mnie, jaki pokój dostanę. Pokój, poddasze: zadowolilibym się czymkolwiek, byle byłaby tam łazienka z bieżącą wodą. *Maître d'hôtel* użył dzwonnka i po chwili zjawił się boy, który miał wskazać mi drogę. - Natychmiast wyślemy kufry na górę. Życzę udanego pobytu w Hôtel Ritz, *mademoiselle*.

Mówił tak jak zawsze, delikatnie modulował głos, tak jak robią to najlepsi hotelarze, zauważyłam jednak, że przez cały czas zerkał w kierunku niemieckich oficerów i odczytałam ten milczący sygnał. Zrozumiałam, że powinnam się stamtąd ulotnić, dopóki jeszcze mogłam to zrobić.

W porównaniu z moim przestronnym apartamentem nowy pokój wydawał się maleńki, ale znajdowało się tu solidne łóżko, słynna szafa w zabudowie, którą, zgodnie z życzeniem założyciela Ritzu, mieli mieć do dyspozycji wszyscy hotelowi goście, a także wyłożona kafelkami łazienka. Zdjęłam brudne ubrania, wzięłam gorącą kąpiel, a potem pozwoliłam sobie na długą drzemkę. Po przebudzeniu zamówiłam herbatę, a następnie włożyłam biały pluszowy szlafrok i zadzwoniłam do Misi, aby poinformować ją, że wróciłam. Odebrała dopiero po kilku dzwoneczkach. Kiedy już podniosła słuchawkę, wydawała się zdyszana, a szum był tak głośny, że ledwo ją słyszałam.

- Jestem w Paryżu! - krzyknęłam. - W Ritzu.

- W Ritzu? - Nie dosłyszałam jej odpowiedzi, ale nie umknął mi jej pełen oburzenia ton. - Dlaczego. przecież tam jest pełno nazistów. musisz. Jojo i ja. Nalegam!

- Co za różnica, gdzie się zatrzymałam? Każdy hotel jest zajęty.

Ostatnią rzeczą, jakiej pragnęłam, było zamieszkanie z nią i z Jojo w ciasnym domu przy *rue de Rivoli*, gdzie musiałabym znosić ich nieustanne sprzeczki i groteskowe obżarstwo. Jojo wrócił do Misi po śmierci swojej kochanki, nie przypuszczałam jednak, żeby mogli zostać ze sobą na długo i nie miałam szczególnej ochoty uczestniczyć w procesie ponownego rozpadu ich związku. Poza tym chciałam być w centrum wydarzeń, bo tylko w ten sposób mogłam się dowiedzieć czegokolwiek o André. Sądząc po tym, jak wielu niemieckich oficerów kręciło się w lobby, owo centrum znajdowało się właśnie w Ritzu.

- To skrajny brak patriotyzmu! - Misia gotowała się ze złości. - Oni są najeźdźcami. Musisz do nas przyjechać.

Obawiając się, że telefon może być na podsłuchu, oznajmiłam szorstko:

- Zostanę tutaj. Zapłaciłam już za pokój, a poza tym muszę zająć się sklepem. Zobaczymy się za kilka dni. - Powiedziawszy to, odłożyłam słuchawkę.

Zirytowana typową dla Misi irracjonalnością, której nie potrafiła opanować nawet w najtrudniejszym momencie, zajęłam się rozpakowywaniem swoich kufrów. Niczego nie tknięto. Moje strzykawki i fiolki ze środkiem uspokajającym znajdowały się nadal w skrytce pod równo złożoną bielizną - tam gdzie je zostawiłam. Wybrałam jedną ze swoich prostych czarnych sukni wieczorowych i włożyłam perły, ciesząc się jak dziecko z tego, że odzyskałam swój dobytek. Wiedziałam, że muszę zrobić piorunujące wrażenie i że osiągnę założone cele dzięki typowej dla mnie nieskazitelnej elegancji.

Tego wieczoru zamierzałam zjeść kolację na oczach wszystkich, tak żeby Paryż dowiedział się o moim powrocie.

W hotelowej restauracji było jak zwykle tłoczno, choć tym razem nie siedzieli tam bogaci Paryżanie, ubodzy pisarze sypiający ze znudzonymi żonami arystokratów oraz kwękający stali goście hotelu. Owszem, dostrzegłam kilka znajomych twarzy - idąc w kierunku swojego stolika, posłałam tym osobom uprzejmy uśmiech. Zauważyłam zamożną amerykańską dziedziczkę i rozwódkę Laurę Mae Corrigan, która już od kilku lat zajmowała apartament w Ritzu; francuską aktorkę filmową i zarazem moją klientkę, Arletty; a także kilka innych zadbanych kobiet wraz z ich towarzyszami. Przede wszystkim jednak wszędzie wkoło widziałam Niemców w szytych na miarę garniturach albo we frakach. Mieli wypomadowane włosy i buty z zaokrąglonymi, dziurkowanymi czubkami, wypolerowanymi do tego stopnia, że można by się w nich przejrzeć, a rumiane twarze doskonale współgrały z pełnym satysfakcji triumfem malującym się w ich oczach.

- Czy będzie pani jadła sama, *mademoiselle*? - zapytał kelner, nalewając mi wody, a następnie położył przede mną *menu* z połączanymi brzegami.

Skinęłam głową i rozłożyłam na kolanach szeleszczącą serwetkę z monogramem „R”.

Dyskretnie rozejrzałam się po sali. Nie mogłam się nadziwić, że w tak krótkim czasie tak wiele się zmieniło, choć wszystko wydawało się takie samo: rozbrzmiewające w tle łagodne dźwięki skrzypiec, brzęk kieliszków i sreber uderzających o porcelanowe talerze, ubrani na czarno kelnerzy, lawirujący między stolikami z tacami pełnymi wspaniałego jedzenia. Widziałam ostrygi na półmiskach wypełnionych lodem; krwiste steki podawane z doskonale przyprawionymi *pomme frites* i warzywami; homary, kraby i inne *fruits de mer* - wszystkie te wspaniałe dania, które sprawiły, że restauracja Ritza uchodziła za jedną z najlepszych i najbardziej ekskluzywnych w całym Paryżu.

Zamówiłam koktajl z krewetek i zupę cebulową. W podróży jadłam niewiele, żywiąc się głównie batonikami i zgniłymi pomarańczami, które udawało nam się znaleźć po drodze. Suknia wisiała na mnie tak, jakbym się nagle skurczyła. Teraz jednak apetyt mnie opuścił. W głowie słyszałam oskarżenia Misi: „To skrajny brak patriotyzmu! Oni są najeźdźcami!”. Zaczęłam się zastanawiać, czy dobrze zrobiłam, zostając w hotelu. Może byłoby lepiej - a przynajmniej rozsądniej - spakować się i przenieść na *rue de Rivoli*. Mimo braku wygod, nikt nie oskarżałby mnie wtedy o to, że kręcę się pośród nazistów i że nie obchodzi mnie dramatyczny los naszego kraju.

Nagle zdałam sobie sprawę, że ktoś mnie obserwuje.

Z początku poczułam tylko dziwne, delikatne mrowienie w karku. Nie zwróciłam na to uwagi i skupiłam się na posiłku, wymieniając uprzejmości z Arletty, która jak zwykle zbyt mocno się umalowała i zdążyła się już lekko upić szampanem. Przedstawiła mnie swojemu „towarzyszowi” - tak go nazwała, choć nie ulegało wątpliwości, że to niemiecki oficer. Ten młody człowiek niemal stuknął obcasami, nachylając się nade mną z groteskową wręcz galanterią, ucałował moją dłoń i zapewnił, że to ogromny zaszczyt, poznać słynną Chanel.

- Pani sklep, *mademoiselle* - powiedział - zapewnia moim towarzyszom wiele rozrywki i inspiracji. Wszyscy chcą przywieźć żonom i siostram, które zostały w Niemczech, symbol majestatu Paryża. A nie ma lepszego symbolu niż Chanel No. 5.

Musiałam wyglądać na zaskoczoną, bo Arletty zachichotała.

- Kochanie, czyżbyś nie wiedziała, że twój butik został ponownie otwarty? Życie musi wrócić do normalności, a personel ma ręce pełne roboty. Powinnaś tam jutro zajrzeć. Twoje perfumy cieszą się wielkim powodzeniem.

- Tak zrobię - odparłam z uśmiechem. Życzyli mi dobrej nocy, a ja obejrzałam się przez ramię, w stronę innego stołu, przy którym siedział zwalisty, spocony Niemiec. Pożerał kolejne potrawy, a stojący obok niego młody kelner o zniewieściałych rysach czekał w napięciu, aż skończy.

- To *Reichsmarschall* Hermann Göring - odezwał się jakiś cichy głos za moimi plecami. - Zastępca *Führera*, dowódca lotnictwa wojskowego, *Luftwaffe*.

Odwróciłam się gwałtownie i spojrzałam w przenikliwe, bladoniebieskie oczy.

Mężczyzna, który się do mnie odezwał, był niewątpliwie atrakcyjny. Od razu zwróciłam na to uwagę. Choć nachylił się nade mną, wydawał się też dość wysoki. Miał na sobie granatowy garnitur, a w kieszeni czerwoną, jedwabną chusteczkę, która pasowała mu do krawata. Był ciemnym blondynem, a jego włosy lśniły od brylantyny. Wąskie usta, orli nos i wydatne kości policzkowe natychmiast przywodziły na myśl arystokratyczną dumę Bendora i śmiały powab Boya.

Wpatrywałam się w niego dłuższą chwilę. Cofnął się i zwrócił do mnie płynną francuszczyzną:

- Proszę pozwolić, że się przedstawię. Baron Hans Günther von Dincklage. Przyjaciele mówią do mnie Spatz. To znaczy „wróbel”. A pani...

- Sądzę, że wie pan, kim jestem - odparłam tonem nieco ostrzejszym niż zamierzałam. Nie spędziłam w Paryżu nawet jednego dnia, a już kręcił się koło mnie jakiś Niemiec.

Owszem, był przystojny i wyglądał na kilka lat młodszego ode mnie, ale mimo to pozostawał Niemcem.

- Oczywiście. - Położył dłoń na klatce piersiowej, a na jego palcu wskazującym dostrzegłam srebrny sygnet. - Wiem, kim pani jest. Wiem to od dawna. Widzi pani, kiedyś już się spotkaliśmy.

- Czyżby? - Przyjrzałam mu się uważnie. - Nie wydaje mi się, *monsieur*. Pamiętałabym pana.

Zamierzałam już wrócić do jedzenia, kiedy powiedział:

- Spotkaliśmy się wiele lat temu w Monte Carlo. Miała pani wtedy na sobie czarną suknię i perły, tak jak dzisiaj. Nie podszedłem, bo była pani skupiona na pewnym rosyjskim arcyksięciu.

Zamarłam. Po chwili, nie dając po sobie poznać, że się boję, odwróciłam się do niego raz jeszcze. Uśmiechał się. Nagle przypomniałam sobie, że widziałam go na jachcie, który wynajęłam na swoje czterdzieste urodziny: to on był tamtym eleganckim towarzyszem Very Bate, który nie odrywał ode mnie wzroku.

- Ach tak. - Jego uśmiech stał się jeszcze szerszy. - Widzę, że teraz pani sobie przypomina.

- Był pan na moim przyjęciu. Tamtego wieczoru, kiedy poznałam... - Zamilkłam. Wolałam nie wspominać o swojej znajomości z Bendorem. Choć w przeszłości otwarcie popierał on Hitlera, był przecież Brytyjczykiem i mógł zostać uznany za potencjalnego wroga Trzeciej Rzeszy.

- Owszem. - Zerknął na puste krzesło naprzeciw mnie. - Czy mógłbym dotrzymać pani towarzystwa?

Jak miałam odmówić? Znajdowałam się w pomieszczeniu pełnym Niemców, zaledwie kilka stolików od jednego z najbliższych współpracowników Hitlera.

Skinęłam głową, a baron von Dincklage usiadł naprzeciw mnie. Natychmiast podszedł do nas kelner, a Spatz zamówił butelkę wina. Bardzo drogą butelkę. Kiedy czekaliśmy, aż zostanie otwarta, zwrócił się do mnie bezceremonialnie:

- Czy mogę zapytać, dlaczego wróciła pani do Paryża? Z tego, co wiem, zamknęła pani pracownię i wyjechała z miasta.

Oparłam brodę na dłoni, żeby nie dać po sobie poznać zaskoczenia. Czyżby już mnie o coś podejrzewano? Powtarzałam sobie, że muszę zachować spokój. Nie zrobiłam przecież nic złego.

- Mieszkam w Paryżu, tu w Ritzu. Mój sklep jest już znowu otwarty. Czy mogłabym skupić się na swoich interesach i uniknąć przesłuchań?

- Naturalnie. - Przyjął butelkę od kelnera, powąchał wino po czym nalał mi kieliszek. - Ach, tak. Wspaniałe. Nikt nie robi takiego wina jak Francuzi.

- W Niemczech nie ma wina? - zapytałam zgryźliwie i po raz kolejny skarciłam się w myślach za ostry ton. Obawiałam się, że jeżeli się nie opanuję, zostanę aresztowana jeszcze przed końcem wieczoru.

- Owszem, jest, ale. - Nachylił się w moją stronę z chłopięcym, szelmowskim uśmiechem, mrużąc kąćki oczu. - Zdecydowanie bym go nie polecał. Wydaje mi się zdecydowanie zbyt owocowe. A poza tym spędziłem znacznie mniej czasu w Niemczech niż we Francji. Mieszkam w Paryżu z krótkimi przerwami od 1928 roku. Byłem dotąd *attaché* w naszej ambasadzie przy *rue de Lille*. Nie jestem czystej krwi Niemcem. Moja matka była Angielką, a ja urodziłem się w Hannoverze. Grałem kiedyś nawet w polo w Deauville. - Zamilkł na chwilę,

wwierając się we mnie swoimi bladoniebieskimi oczyma. - Przypuszczam, że zna pani tę grę?

- Znam - odpowiedziałam. Nie wiedziałam, czy powinnam go przeprosić i wstać od stołu, czy dalej z nim konwersować. Intrygował mnie, choćby dlatego, że wiedział o mnie więcej, niż mogłam przypuszczać.

- Pracuję obecnie dla ministra spraw zagranicznych von Ribbentropa, który z rozkazu *Führera* nadzoruje w Paryżu wiele istotnych spraw - wyjaśnił, choć wcale o to nie pytałam. - Zostałem przydzielony do działu tekstylnego naszej administracji wojskowej. Przemysł włókienniczy to także i pani branża, prawda?

- Wie pan, że jestem projektantką, więc można tak rzeczywiście powiedzieć. - Wino uderzyło mi do głowy, bo nie piłam alkoholu od wielu tygodni. Miałam ochotę z nim flirtować. Ten impuls wydawał mi się kompletnie niezrozumiały i, jak powiedziałyby Misia, niewybaczalny. Wiedziałam, że to jeden z nich, najeżdźca. A mimo to coś mnie w nim pociągało. W jego zachowaniu dostrzegałam nutę ironii i humoru, ledwo skrywany kpiarski ton - który nie był wymierzony we mnie, tylko w absurdalną sytuację, w jakiej się nagle znaleźliśmy.

- Musi pan mieć wiele znajomości - zauważyłam po chwili. Sięgnęłam do zdobionej koralikami torebki i wyjęłam z niej papierośnicę. Gdy tylko podniosłam wzrok, Spatz wyciągał już zapalniczkę w moją stronę. To był cartier. Też taką miałam. Uśmiechnął się. - Zna pan wielu ważnych ludzi? - zapytałam. Sprawdzałam go. A on zdawał sobie z tego sprawę. Dostrzegałam iskiarki zrozumienia w jego oczach, figlarnych i pełnych ciekawości. Jako człowiek obyty, obracający się wśród elit, natychmiast odczytał tę grę.

Raz jeszcze pochylił się w moją stronę i wyszeptał:

- Wiem, że *Reichsmarschall* Göring jest uzależniony od morfiny, a kierownik Ritza musiał zamontować w jego apartamencie nową, ogromną wannę. Göring wierzy, że długie kąpiele w gorącej wodzie pomagają uwolnić się od nałogu.

Stłumiłam okrzyk zaskoczenia. Obejrzałam się przez ramię i zerknęłam na grubego dowódcę Luftwaffe, a von Dincklage, udając, że dzieli się ze mną tajemnicą państwową, wyszeptał:

- Ale nie wyleczy się w ten sposób z uzależnienia od diamentów i kobiecych sukienek. Przekonała się o tym ostatnio *madame* Corrigan. Widzi pani, zajął jej apartament, a ona musi teraz opłacać czynsz, sprzedając mu niektóre elementy swojej garderoby. *Reichsmarschall* Göring lubi nosić je w połączeniu z fioletowym tiulem i jedwabną organzą, kiedy tańczy walca ze swoimi chłopcami.

Musiałam się pochylić i zasłonić usta dłonią, żeby stłumić śmiech. Spatz znowu oparł się na siedzeniu i posłał zblazowany uśmiech.

- Ta informacja nie jest pewnie szczególnie istotna dla losów świata - powiedział, sięgając po kieliszek. - Ale to mimo wszystko dość zabawne, zgodzi się pani?

Zgadzałam się. Po raz pierwszy, odkąd naziści wmaszerowali do Paryża, znalazłam przeciwwagę dla ich grozy i mogłam przywołać groteskowy obraz Göringa, tańczącego w swoim apartamencie w sukni i tiarze Laury Mae Corrigan.

- Jesteśmy tylko ludźmi - dodał Spatz, czytając mi w myślach. - Na razie to my mamy władzę. - Wzruszył ramionami. - Ale kto wie, jak długo to potrwa? Ci z nas, którzy znaleźli się w potrzasku, *mademoiselle*... no cóż, jak pokazała historia, musimy znaleźć najprostszy sposób, żeby przeżyć.

Pokiwałam głową.

- To prawda. Ja z pewnością zamierzam to zrobić.

- Tak myślałam. A więc zdradziłam pani pewną tajemnicę. Teraz kolej na panią. Dlaczego wróciła pani do Paryża? Obiecuję, że wszystko pozostanie *entre nous*. Jestem

człowiekiem honoru. Moje słowo jest dla mnie wszystkim. - Spoważniał. - Chciałbym też zaoferować pani pomoc. Mam przeczucie, że czegoś pani szuka.

- Czyżby? - Zapaliłam kolejnego papierosa. - No cóż, istotnie kogoś szukam. A dokładniej: swojego siostrzeńca. Ale jeżeli mamy zostać przyjaciółmi, powinien pan mówić do mnie Coco.

X

Spatz nie nocował w Ritzu. Z właściwą sobie nonszalancją, która sprawiała, że wszystko, co mówił, wydawało się blahe, poinformował mnie, że ma mieszkanie przy *rue Pergolese*: trofeum, które pozostało mu po niedawnym romansie z „bardzo atrakcyjną i bogatą paryżanką, która - jak dodał, mrugając do mnie szelmowsko - nie była stuprocentową Aryjką”. Jego kochanka musiała opuścić Paryż w towarzystwie swojego żyjącego w błogiej nieświadomości męża i poprosiła Spatza o opiekę nad mieszkaniem.

Baron von Dincklage do perfekcji opanował sztukę posługiwania się swoim urokiem osobistym. Czułam, że nie ma fałszu w jego zainteresowaniu moją osobą, a także w chęci pomocy, którą przejawiał, ale nie miałam wątpliwości, że baron dąży też do realizacji innych celów. Dał mi to do zrozumienia pod koniec wieczoru, kiedy uregulował rachunek i odprowadził mnie do lobby, gdzie oficerowie oraz ich towarzyszki oddawali się rozmowom, palili oraz raczyli się aperitifami z *crème de menthe*.

- Czy mam do pani jutro zadzwonić, jeżeli uda mi się czegoś dowiedzieć? - zapytał, gdy skończyliśmy palić. Zobaczyłam Arletty, leżącą na szezlongu przy oknie i wpatrującą się

z uwielbieniem w swojego młodego oficera, który raczył ją właśnie jakąś opowieścią. Staralam się nie skrzywić na jej widok. Zauważyłam, że inne kobiety zachowywały się w podobny sposób: delikatnie muskały uperfumowanymi dłońmi ramiona w mundurach i posyłały zalotne spojrzenia spod podkreślonych tuszem rzęs. Jak powiedziała wcześniej Arletty, życie musi wrócić do normalności - nie byłam tylko pewna, czy normalnością można nazwać przyjmowanie nazistów jak zwykłych gości.

- Nie, jutro będę zajęta - odpowiedziałam. - Muszę zajrzeć do swojego sklepu, a potem chciałabym odwiedzić przyjaciół. - Posłałam mu jeden ze swoich niezobowiązujących uśmiechów, żeby złagodzić ton swojej odmowy. Wspólnie spędzony czas sprawił mi większą przyjemność, niż gotowa byłam przyznać, ale nie zamierzałam się z tym zdradzać, dopóki Spatz nie wywiąże się ze swojej obietnicy i nie dowie się czegoś o André. - Ma pan numer telefonu do mojego apartamentu i sklepu - dodałam - na wypadek, gdyby zdołał pan cokolwiek ustalić. Może pan do mnie zadzwonić.

- Ale czy nie ma pani innych planów na wieczór? - nalegał w charakterystyczny dla siebie, bezpośredni sposób, który świadczył o tym, że nie udało mi się go zniechęcić.

Milczałam przez chwilę, gasząc papierosa w stojącej obok mnie popielniczce.

- Któż może odgadnąć, co przyniesie jutro?

Wyciągnęłam rękę. Postanowiłam, że jeżeli pochyli się i pocałuje koniuszki moich palców albo przytrzyma moją dłoń, przyjmę informacje, które zdoła wydobyć od swoich zwierzchników, ale na nic więcej mu nie pozwolę. Nie zamierzałam dać się uwieść tylko dlatego, że ustosunkowany *attaché* chciał dopisać mnie do swojej imponującej zapewne listy podbojów.

Ku mojemu zaniepokojeniu Spatz uścisnął mi krótko dłoń.

- Dobranoc, Coco - powiedział, po czym odwrócił się i zostawił mnie całkowicie zdezorientowaną. Zaskoczył mnie. A to zdarzało się naprawdę rzadko.

Od początku okupacji nie spałam tak dobrze, ukołyszana jedynie niewielką dawką sedolu. Odkąd wyjechałam z Paryża, stopniowo zmniejszałam ilości tej substancji. Wreszcie zaczęłam budzić się wypoczęta i wolna od porannego oszołomienia, do którego tak się przyzwyczaiłam - wtedy rozumiałam, że muszę wreszcie uwolnić się od uzależnienia. Myśl o Göringu i jego gorących kąpielach stała się dla mnie dodatkowym bodźcem: nie miałam pojęcia, czy

w okupowanym Paryżu da się zdobyć jakiegokolwiek środki uspokajające, a nie chciałam być skazana na korzystanie z usług spekulantów.

Traf chciał, że gdy tylko się ubrałam, zadzwonił telefon. Nie odebrałam od razu. Pomyślałam, że to może być Spatz, i uznałam, że zostawi wiadomość w recepcji. Wydawało mi się, że nie mógł niczego ustalić w tak krótkim czasie. Telefon ucichł, ale po chwili znowu się rozdzwonił. Odebrałam, a w słuchawce usłyszałam wrzask Misi:

- Kochanie, zastanawiałam się, czy nie masz przypadkiem zapasu swoich niebieskich kropelek.

Była zdyszana i rozgorączkowana. Natychmiast zrozumiałam, o co chodzi. Nie wyjechała z Paryża. Uwieczona w domu z Jojo i jego humorami, patrzyła bezradnie, jak Niemcy wkraczają do miasta i bez przerwy faszerowała się lekami - a teraz dręczył ją głód narkotykowy.

- Tak, przyniosę ci je dziś po południu - odparłam, zgrzytając zębami. Nie miałam już wyjścia i musiałam polegać na samokontroli: byłam przekonana, że teraz, kiedy wiedziała, że mogę dostarczać jej ukochane środki, Misia nie da mi już spokoju.

- Och, dzięki Bogu. - Westchnęła. - Jestem zdesperowana. Jojo nie traktuje tego wszystkiego poważnie. Zamierza zaprosić Niemców do naszego domu, tutaj, do naszego salonu! Mówi, że potrzebujemy pieniędzy. Uznali Picassa i innych artystów za zdegenerowanych, ale na boku chętnie kupują ich obrazy. Jojo uważa, że dostanie zamówienia, jeżeli...

Przerwałam jej:

- Tak, tak. Porozmawiamy o tym później. Na razie muszę iść do sklepu. Zamilkła, po chwili zaś odezwała się z niedowierzaniem:

- Do sklepu? Myślałam, że go zamknęłaś. Nie planujesz chyba sprzedawać swoich ubrań tym dzikusom?

- Misiu. - Staralam się mówić spokojnie, obawiając się, że telefon może być na podsłuchu. - Kazali otworzyć wszystkie sklepy, kina, teatry, wydawnictwa i salony krawieckie. Lucien Lelong, Madame Grès, Balenciaga i inni projektanci właśnie przygotowują nowe kolekcje. Po prostu nie mogę.

- Schiaparelli wyjechała do Ameryki. Podobnie jak Mainbocher. Vionnet zamknęła swoją pracownię, a Molyneux jest w Londynie. - Wzięła głęboki oddech, po czym dodała: - Coco, to byłby skandal. Hańba dla całego kraju. Żadne z nich nie jest tak znane jak ty. I skąd do licha wiesz, że którekolwiek z nich pracuje nad nową kolekcją? Przecież wróciłaś nie dalej jak wczoraj.

Zamilkłam. W słuchawce rozlegały się trzaski i piski. To Spatz powiedział mi o tym, że minister spraw zagranicznych kazał wznowić działalność wszystkim zakładom w Paryżu. Jedyne wyjątek stanowiły gazety i radio, które nadzorowała cenzura.

- Chyba nie pozwoliłaś... - zaczęła Misia, po chwili jednak zamilkła. Zrezygnowała z dalszych oskarżeń, wiedząc, że skoro nie zamierzałam jej odpowiedzieć, mogę w każdej chwili odłożyć słuchawkę. - No dobrze - dodała. - Rób co chcesz. I tak zawsze to robisz, niezależnie od tego, co mówię.

- Chodzi tylko o moje perfumy - wyjaśniłam. - To wszystko. Mój personel musiał otworzyć sklep. Sprzedają Numer Pięć i inne zapachy, nic poza tym. Pracownia jest nadal zamknięta.

- Och. - Zamilkła na chwilę. - No cóż, widocznie nie ma innego wyjścia.

- Nie, nie ma. Misiu, naprawdę muszę już iść. Niedługo się zobaczymy. Proszę, nie martw się. Nic mi nie jest. Nie mam wyboru, muszę to zrobić. André... on... on jest... - Nagle głos mi się załamał. Zanim zdążyłam wyznać rzeczy, których nie należało mówić przez telefon, odłożyłam słuchawkę i rozłączyłam się.

Podeszłam do kuferka i wyjęłam z niego trzy strzykawki i fiołki. Zamierzałam pomóc Misi na tyle, na ile będę mogła w tych okolicznościach, ale najpierw - pomyślałam, wychodząc z pokoju - muszę pomóc sobie.

Hélène i *madame* Aubert były zachwycone, że zdecydowałam się wrócić. Wytłumaczyłam im, że rozumiem, dlaczego musiały ponownie otworzyć sklep. Miałyśmy bardzo dobre wyniki. Niemieccy żołnierze na przepustkach stali w kolejce przed moim butikiem, żeby kupić perfumy. Weszłam do środka tylnymi drzwiami, a Hélène pokazała mi opróżnione półki, tłumacząc:

- Oni wykupują nawet próbki z wystawy, *mademoiselle*. Chcą pokazać w domu pani logo na dowód, że tu byli. Popyt jest tak duży, że z niczym nie możemy nadażyć. Musiałyśmy zatrudnić pięciu pani dawnych pracowników, żeby opanować sytuację. Każdego dnia jest tak samo. Zostało nam już tylko około stu ostatnich flakonów. Jutro albo pojutrze wyprzedamy cały asortyment.

Sprawdziłam księgi rachunkowe i przekonałam się, że Hélène ma rację.

- A co z flakonikami, które przeniosłyśmy na górę, do mojego mieszkania? - zapytałam.

- Sprzedaliśmy je - odparła. - Przykro mi, ale nie miałyśmy wyboru.

- Słusznie. Oni chcą kupować perfumy, a nam kazano je sprzedawać. Nic na to nie poradzimy - powiedziałam, powtarzając słowa Misi. - Zadzwoń do Pierre'a Wertheimera. Będzie musiał złożyć znacznie większe zlecenie stałe u dystrybutora. Po wszystkich zmartwieniach, jakie przez niego miałam, mógłby zrobić przynajmniej tyle.

- Próbowaliśmy już. Nie da się skontaktować z *monsieur* Wertheimerem - powiedziała *madame* Aubert.

Zmarszczyłam brwi.

- Dlaczego?

- Wyjechał razem z bratem do Nowego Jorku. Kiedy zadzwoniłyśmy do dystrybutora, powiedziano nam, że nadzór nad Bourjois i pozostałymi filiami został powierzony kuzynowi Wertheimerów, Raymondowi Bollackowi. Nie odbiera od nas telefonów i zastrzegł, że gotów jest rozmawiać jedynie z panią.

- Dobrze. - Sięgnęłam po księgi rachunkowe i ruszyłam w stronę schodów. - Zadzwoń do niego ze swojego mieszkania. Sprzedajcie wszystko, co nam zostało, a ja zadbam o nową dostawę.

Resztę popołudnia spędziłam na negocjacjach telefonicznych z Raymondem Bollackiem, nowo mianowanym nadzorcą Parfums Chanel. Był nieustępliwy, jak przystało na osobę, w której żyłach płynęła krew Wertheimerów. Doprowadził mnie do szału, powołując się na wysokie koszty transportu i inne przeszkody, za które odpowiadali Niemcy. Usiłował w ten sposób wymusić na mnie wyższy procent za zwiększenie dostaw moich perfum. Krążyłam nerwowo po salonie i krzyczałam, ciągnąc za sobą kabel telefonu i wreszcie prawie wyrwałam go ze ściany. Musiałam przystać na warunki Bollacka, nie miałam wyboru - ale ta awantura utwierdziła mnie w przekonaniu, że muszę ostatecznie uwolnić się od trwającego już osiemnaście lat partnerstwa z Wertheimerami. Nie pomogły nakazy sądowe ani procesy. Nie byłam już nawet członkiem zarządu mojej własnej firmy i wydawałam fortunę na opłaty sądowe. Ile czasu miałam to jeszcze tolerować?

Odgłosy mojej rozmowy musiały dotrzeć na dół, bo kiedy wróciłam do butiku, w którym roilo się teraz od Niemców, *madame* Aubert posłała mi pytające spojrzenie.

- On jest nie do zniesienia - rzuciłam. - Wrócę jutro.

Powiedziawszy to, wyszłam na ulicę, złapałam taksówkę i ruszyłam na *rue de Rivoli*. Gotowałam się z wściekłości i gdyby nie to, że był wczesny wieczór i trudno pozostać

niezauważoną, natychmiast wyjęłabym strzykawkę i zaaplikowałabym sobie dawkę środków uspokajających na tylnym siedzeniu samochodu.

Wizyta u Misi przyniosła mi pewną ulgę. Jojo z typowym dla siebie sarkazmem dowcipkował, że za sprawą Niemców pokocha wreszcie smak *bratwurstu*. Misia zrobiła sobie zastrzyk w sypialni - ręce drżały jej tak bardzo, że musiałam jej pomóc. Kiedy już się uspokoiła, powiedziała, że Cocteau i jego nowy kochanek, aktor Jean Marais, uciekli na Lazurowe Wybrzeże i gościli u pisarki Colette oraz jej męża Żyda.

- Pojechali do Colette? - prychnęłam. - Po co do licha to zrobili? Nigdy nas nie lubiła. Czy nie wspominała ci, że jest przerażona, kiedy rozważałam ślub z Iribem?

- Och tak, owszem. - Misia wyraźnie się ożywiła. Była uwięziona w domu i umierała z nudów, chętnie oddała się swojemu ulubionemu zajęciu: plotkowaniu. Natychmiast przekazała mi szczegółowy opis aktualnej sytuacji naszego zbłąkanego dramatopisarza Cocteau. - Oczywiście, kiedy już Colette zobaczyła, jak Jean *et* Jean odurzają się opium i opróżniają jej zapasy alkoholu, kazała im opuścić swój dom. Była przerażona, że ich wybryki zwrócą uwagę jakiegoś szpiega na usługach nazistów, a jej mąż zostanie aresztowany.

- Nie rozumiem. Czego miałyby się obawiać? Niemcy nie okupują przecież południa Francji.

Misia zerknęła na Jojo, który po pochłonięciu całej butelki taniego wina stołowego i pożarciu talerza ohydnych flaczków, chrapał teraz na kanapie.

- Krążą pogłoski, że rząd Vichy spełni każdy rozkaz nazistów - powiedziała, odwracając się w moją stronę. - Otto Abetz, ambasador Trzeciej Rzeszy, nienawidzi Żydów. Wszyscy wiedzą, że podziela paranoję Hitlera.

Ciekawe. Nigdy nie przestawało mnie zadziwiać, w jaki sposób nawet teraz, podczas rzekomej izolacji, Misia tak dokładnie śledziła wszystkie bieżące wydarzenia. Omawianie nazistowskiej polityki wydało mi się jednak w obecnej sytuacji dość ryzykowne.

- A co z Lifarem? - zapytałam, zmieniając temat. - Nie zdążyłam mu jeszcze powiedzieć, że wróciłam. Czy on nadal tańczy?

- Nie przestał ani na chwilę. - Skrzywiła się. - Osobiście powitał Hitlera, kiedy *mein Führer* odwiedził Paryż. Oprowadził go nawet po operze. Lifar uważa, że Hitler bardzo go polubił. Twierdził, że od śmierci Diaga nikt nie zwracał się do niego w tak wyjątkowy sposób.

- No cóż. - Zachichotałam. - Zawsze był próżny. Myśli, że jest tak piękny, iż nikt mu się nie oprze.

Misia posłała mi pełen satysfakcji uśmiech.

- To akurat może być prawda. Mówi się, że Hitler to straszny dziwak. W każdym razie Lifar stał się teraz łatwym celem. Powinien mieć się na baczności. Nie wszyscy w Paryżu witają Niemców tak ochoczo. - Zamilkła na chwilę, po czym uważnie mi się przyjrzała. - A ty, kochanie, co planujesz? Czy ty też zdążyłaś oczarować jakichś nazistów?

- Proszę cię. - Przewróciłam oczami, choć Misia oczywiście mnie przejrzała. Jak zwykle.

- Kim on jest? - zapytała. - Błagam, powiedz mi, że to nie jakaś wysoko postawiona świnia taka jak Göring.

- Göring? - Wybuchnęłam śmiechem. - Pozwól, że zdradzę ci tajemnicę siejącego postrach *Reichsmarschalla*...

Opowieść o dziwactwach Göringa rozbawiła Misię do tego stopnia, że wydawało się, jakby zapomniała o swoim wcześniejszym pytaniu. Mimo to, kiedy zaczęłam szykować się do wyjścia, żeby dotrzeć do hotelu przed godziną policyjną - obowiązywała ona od dziewiątej wieczorem i wszyscy rozumieli, czym grozi spotkanie z Niemcami po jej wybicciu - Misia pomogła mi włożyć płaszcz i powiedziała:

- Niezależnie od tego, co robisz, bądź ostrożna. Wiem, że chcesz pomóc siostrzeńcowi i doceniam to, ale kiedy to wszystko się skończy, nadejdą też konsekwencje. Wolna Francja czuwa i wierz mi, nie chciałabyś znaleźć się w potrzasku, kiedy już wykopiami stąd te świnię.

Pokiwałam głową i pocałowałam ją na pożegnanie.

- Jestem ostatnio niewinna jak zakonnica - zażartowałam. Kiedy jednak stanęłam na krawężniku i machnęłam na taksówkę, ostrzeżenie Misi dźwięczało mi w uszach i budziło mój niepokój.

Może powinnam udawać, że nigdy nie poznałam Spatza von Dincklage?

W kolejnych tygodniach, w miarę jak mijały senne wrześnieowe upały i powoli zbliżał się październik, poświęcałam się pracy w swoim butik. Regularnie pojawiałam się też na nieoficjalnych spotkaniach u Sertów. Odwiedził mnie Lifar, jak zwykle smukły i opalony, zachwycony tym, że wróciłam do Paryża. Ucałował mnie, a następnie uraczył pikantnymi opowieściami o licznych schadzках z niemieckimi oficerami, którzy przyprowadzali swoje francuskie kochanki i nudne żony na jego występy, a potem pojawiali się za kulisami, żeby obmacywać go „jak dziwkę”.

- No cóż, tym właśnie jesteś - zbeształam go, on zaś się roześmiał.

- Nie mógłbym sobie tego odmówić! Ci wszyscy umięśnieni blondyni... Oni są tacy aryjscy. Mówię ci - dodał, zbliżając usta do mojego ucha i posyłając mi lubieżny uśmiech - musimy przekonać Cocteau, żeby wrócił. W tym roku plony są w Paryżu naprawdę obfite!

Lifar nie rzucał słów na wiatr. Wkrótce okazało się, że tancerze Ballets Russes zostali zaproszeni do Berlina. Dowiedziawszy się o tym, Misia spojrzała na niego z wyrzutem.

- Nie ośmieliłbyś się. Zamierzasz popisywać się przed Hitlerem?

- Już to zrobiłem. - Lifar posłał jej szyderczy uśmiech. - Właśnie dlatego mnie zaprosił. Marie-Louise, która również pojawiała się na naszych wieczorkach, powiedziała, że

urządza u siebie obiady, podczas których „uprzejmi”, mówiący po francusku Niemcy tacy jak Heller, szef departamentu propagandy, raczą się towarami, które kupuje ona na czarnym rynku, słuchają poetów i oglądają recitale Carythis.

- Czy nie chodziłaś do niej kiedyś na lekcje? - zapytała Marie-Louise, kiedy usiadłam przy fortepianie i zaczęłam grać jedną z ballad, które śpiewałam kiedyś w Moulins. - Opowiadała nam ostatnio, jak gorliwie ćwiczyłaś. Twierdzi, że chciałaś zostać zawodową tancerką.

Roześmiałam się.

- Nigdy nie chciałam zostać tancerką. Swoją drogą w jaki sposób Elise daje radę występować w tym wieku? Musi mieć już przynajmniej siedemdziesiąt lat. Przypuszczam, że nie jest to atrakcyjny widok.

- Wydaje mi się, droga Coco - odparła Marie-Louise - że Carythis jest prawie w tym samym wieku co ty.

Spiorunowałam ją wzrokiem. Wspólna podróż przez Francję była dla mnie wystarczającą udręką - czy musiałam znosić jej głupotę także tutaj? Po chwili jednak Marie-Louise wspomniała o tym, że w związku z zawieszeniem broni, które podpisał rząd Vichy, Niemcy zamierzali uwolnić większość spośród trzystu tysięcy francuskich jeńców wojennych internowanych w obozach. Usiłowałam wydobyć z niej tyle informacji, ile tylko się dało.

- Kto decyduje, którzy żołnierze zostaną uwolnieni? - zapytałam. - I dokąd są wysyłani? Spojrzała na mnie, wyraźnie zaskoczona.

- Nie mam pojęcia. Dlaczego tak cię to interesuje?

- Bez powodu - odpowiedziałam, kiedy Misia posłała mi znaczące spojrzenie. - Jestem po prostu ciekawa.

Misia ostrzegła mnie później:

- Marie-Louise i ludzie jej pokroju przyjaźnią się z nazistami. Nie możesz jej ufać. Sprzedałaby własną matkę.

Tego wieczoru wróciłam do Ritza sfrustrowana i zaczęłam się zastanawiać, czy powinnam zadzwonić do Spatza. Ani razu się ze mną nie kontaktował, z wyjątkiem jednego telefonu do mojego sklepu, kiedy poinformował mnie, że nadal zajmuje się sprawą, o której rozmawialiśmy. Nie usiłował się ze mną spotkać, co przygnębiło mnie bardziej, niż się spodziewałam. Zaczęłam rozmyślać o mojej przemijającej młodości. Jak się dowiedziałam, Spatz miał czterdzieści pięć lat, a zatem był ode mnie młodszy o prawie trzynaście lat. Uznałam, że lepiej, żeby trzymał się ode mnie z daleka. Nawet jeżeli jego matką była Brytyjka, a on sam należał do służby dyplomatycznej czy jakiegokolwiek innej, to nie ulegało wątpliwości, że był jednym z nich. Niektórzy moi przyjaciele postępowali nierozważnie i podejmowali ogromne ryzyko. Owszem, byliśmy zdani na łaskę innego mocarstwa, ale romans Arletty z nazistą wywołał skandal w całym Paryżu, a ludzie, którzy domagali się czynnego oporu, wydali na Lifara wyrok śmierci. Wydawało się, że samym zainteresowanym nieszczególnie to przeszkadzało - Lifar często żartował, że gdyby został skazany na szafot, chciałby włożyć białą perukę jak Maria Antonina - ale tak jak ostrzegała Misia, gdyby los się odwrócił, a Niemcy przegrałyby wojnę, nieuchronnie nadeszłyby poważne konsekwencje.

Mimo to czułam się jednocześnie znieważona i zawstydzona tym, że Spatz nawet nie próbował zaciągnąć mnie do łóżka.

Czyżbym ostatecznie utraciła swój urok?

Kilka tygodni później, kiedy wróciłam do Ritza po długim dniu w sklepie, Spatz czekał na mnie w hotelowym lobby.

Natychmiast zerwał się z fotela. W dłoniach trzymał kapelusz. Był ubrany w szary garnitur, podkreślający jego jasnoniebieskie oczy i ciemnozłote, zmierzwione włosy, na których tym razem nie dostrzegłam brylantyny. Znieruchomiałam na jego widok. Krew natychmiast zaczęła szybciej krążyć mi w żyłach.

Przyjęłam to uczucie z wyraźną niechęcią.

Zamierzałam go właśnie minąć, kiedy powiedział cicho:

- Mam dla ciebie wieści.

Zatrzymałam się i posłałam mu chłodne spojrzenie.

- Znasz numer mojego pokoju. Daj mi dziesięć minut.

Kiedy dotarłam na górę, zamknęłam drzwi drżącymi rękoma i natychmiast podeszłam do lustra w łazience. Wyglądałam tak, jak się mogłam spodziewać: miałam cienie pod oczami i usta przygryzione podczas kolejnej telefonicznej awantury. Na mojej twarzy dało się zauważyć znużenie. Byłam zmęczona mieszkaniem w tym ciasnym pokoju, w którym brakowało powietrza i światła.

Sięgnęłam po szminkę w moim ulubionym odcieniu czerwieni i wtarłam odrobinę w policzki, żeby ukryć ich bladość. Przeczesałam włosy szczotką, krzywiąc się na widok siwych pasemek, i zdecydowałam, że muszę je znowu zafarbować. Wiedziałam, że aby to zrobić, będę musiała przeszukać półki źle zaopatrzonych domów towarowych albo poprosić nieznośną Marie-Louise, żeby kupiła mi odpowiedni kolor na czarnym rynku. Właśnie zamierzałam spryskać się perfumami, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Odstawiłam flakonik. Wiedziałam, że Spatz by to wyczuł, a nie chciałam sprawiać wrażenia zbyt przejętej jego wizytą.

Wpuszczając go do swojego pokoju, poczułam, że coś we mnie pękło - opadła niewidoczna skorupa, której istnienia dotąd nie dostrzegałam. Spatz stanął w progu, a ja skrzyżowałam ręce na piersiach. Wydawał się wyższy niż dotychczas i choć trudno było w to

uwierzyć, zachowywał się bardziej niepewnie niż ja.

- A więc? - zapytałam, starając się zapanować nad drżeniem głosu. - Mówiłeś, że masz dla mnie jakieś wieści.

Pokiwał głową, bawiąc się rondem kapelusza.

- Twój siostrzeniec André Palasse nie znalazł się pośród tych jeńców, którzy mają zostać uwolnieni. Nie wiem, dlaczego tak się stało. Nie mam uprawnień, żeby otrzymać taką informację: są rzeczy, o których mi się nie mówi, i działania, których nikt mi nie tłumaczy.

- Dobry Boże. - Sięgnęłam machinalnie po torebkę, rzuciłam ją na toaletkę i zaczęłam szukać papierosów. Zapaliłam i spojrzałam na Spatza. Nadal stał w drzwiach, tuż za progiem, tak jakby bał się zrobić kolejny krok.

- Sądzę, że mogę ci pomóc - powiedział. - Mój przyjaciel z dzieciństwa, kapitan Theodore Momm, został niedawno *Rittmeisterem* i ma za zadanie rozwijać francuski przemysł włókienniczy dla celów wojennych. Mógłbym poprosić go, żeby...

Ogarnęła mnie taka rozpacz, że przestało mnie nagle obchodzić, czy Spatz postanowi mnie uwieść, czy będzie celował do mnie z pistoletu.

- Co masz tak naprawdę na myśli? To nie moja wojna. Nigdy tego nie chciałam. Ty i twoi ludzie. To wy do tego wszystkiego doprowadziliście. A teraz mój siostrzeniec może przez to umrzeć w jednym z waszych parszywych obozów.

Zdawałam sobie sprawę, że nie powinnam tego mówić. Powinnam okazać uległość, podziękować za czas, który mi poświęcił, i poprosić, żeby wyszedł, ale w tamtej chwili ostrożność była ostatnią rzeczą, o jakiej myślałam. Strach o André, ciężar życia, które stało się cieniem samego siebie, upokorzenia, jakie musiałam znosić, żeby zachować choćby skrawek dawnej egzystencji - to wszystko wytrysnęło nagle na powierzchnię podczas potężnego wybuchu, którego nie mogłam powstrzymać.

- Mam tego dość. - Zbliżyłam się do niego. - To wszystko budzi we mnie najgłębszą odrazę. Ta świnią Göring wyrzuca kobiety z apartamentów i kradnie ich klejnoty; Abetz oszpeca nasze budynki tą swoją ohydłą propagandą. „Zaufajcie nam - mówicie. - Jesteśmy waszymi przyjaciółmi”. Cóż to za przyjaźń? To wojna. Najeżdżacie nasze miasto i nasz kraj, a potem każecie nam krzyczeć „Heil Hitler” i salutować przed waszą ohydłą czerwoną flagą? To jakiś absurd. Poniżający spektakl. Nienawidzę tego wszystkiego.

Byłam tak blisko, że mogłabym uderzyć go w twarz. Prawie to zrobiłam. Pomyślałam, że papieros, który trzymałam między palcami, zostawiłby ładny ślad na jego policzku - ale Spatz rozbroił mnie za pomocą trzech cicho wypowiedzianych słów:

- Podzielam twoje odczucia. Prychnęłam z obrzydzeniem.

- Nie, nie podzielasz. Od zakończenia pierwszej wojny wy, Niemcy, marzyliście tylko

o tym, żeby nas rozgnieść i przywołać do porządku. Robicie dokładnie to, czego żąda wasz *Führer*, nie zważając na to, że jest szaleńcem.

Spojrzał mi w oczy.

- Skończyłaś?

Zamarłam. Nie ruszałam się i nie mówiłam tak długo, aż papieros poparzył mi palce

I musiałam sięgnąć do stojącej przy moim łóżku popielniczki, żeby go zgasić. Kiedy to zrobiłam, strzepując popiół z dłoni, zdałam sobie sprawę, że najprawdopodobniej podpisałam właśnie swój nakaz aresztowania. Obraziłam Hitlera. Jeżeli pogłoski, które słyszałam u Sertów, były choćby po części prawdziwe, to ludzie znikali w wyniku dużo mniej poważnych przewinień.

- Przykro mi, że cię zdenerwowałam - powiedział Spatz. - Nie miałem takiego zamiaru. Sądzę, że mimo wszystko mogę pomóc twojemu siostrzeńcom, ale będzie to trudniejsze, niż

początkowo przypuszczałem. Wiesz, jak się ze mną skontaktować, gdybyś zmieniła zdanie. Położył dłoń na klamce i zamierzał wyjść, kiedy poprosiłam:

- Zaczekaj.

Słyszając mój głos, zatrzymał się. Jego obecność skłoniła mnie do odkrycia kart - a teraz zamierzałam zmusić go do tego samego.

- Czy jestem w niebezpieczeństwie? - Nie odpowiedział, więc dodałam: - Nie chodzi

o to, żebyś mówił mi rzeczy, które chciałabym usłyszeć. Kiedy się poznaliśmy, powiedziałeś, że mam twoim zdaniem jakiś ukryty cel. Czy chodziło ci o to, żeby ustalić, kogo tak naprawdę popieram? Czy trafię teraz na jakąś listę?

Zaśmiał się chłodno.

- Nie gramy w salonowe gry. Listy, o których wspominasz, stanowią broń, która ma niszczyć ludzkie życie. Ale gdyby wszyscy, którzy mówią krytycznie o wojnie, mieli zostać aresztowani... no cóż, wyobrażasz sobie, jak opustoszałby Paryż. Wielu ludzi nie zgadza się z Hitlerem, w tym zdecydowanie więcej Niemców, niż przypuszczasz. Widzą, co się dzieje,

l w przeciwieństwie do niego, nie zapomnieli o przeszłości.

- A ty? - zapytałam wyzywająco, mimo że zaczynałam już żałować swojego wybuchu.

- Walczyłem podczas ostatniej wojny - powiedział cicho. - Widziałem, ile cierpień przyniosła. Nie chcę patrzeć, jak wszystko się powtarza.

- Więc jesteś z nimi czy przeciw nim? Podniósł dłoń.

- Nie mogę powiedzieć nic ponad to, że na razie, o ile wiem, twoje nazwisko nie znajduje się na żadnej liście. Musisz jednak pamiętać, że jesteś nieustannie w niebezpieczeństwie. Tak jak my wszyscy.

Chciałam mu wierzyć. Staralam się wyczytać coś z jego twarzy, ale nic nie wskazywało na to, by kłamał - a mimo to się wahałam. Z przerażeniem zdałam sobie sprawę, jak daleko się posunęłam. Z moich ust padły słowa, których nie mogłam już cofnąć, słowa, które mogły mnie zabić.

- Obraziłam cię - powiedziałam niepewnie. - Ja. żałuję tego.

- Nie, nie żałujesz. - Na jego twarzy pojawił się uśmiech, ten chłopięcy uśmiech, który sprawiał, że marszczyły się kąciki jego oczu, i który przywoływał bolesne wspomnienia mężczyzn, których utraciłam. - Jesteś silną kobietą. Podziwiam cię za to. Dziękuję ci za to ożywcze interludium. Nigdy go nie zapomnę.

Raz jeszcze odwrócił się w stronę drzwi. Tym razem zatrzymałam go, zbliżając się do niego i dotykając jego rękawa. Znieruchomiał, a po chwili spojrzął mi w oczy.

- Jesteś tego pewna? Roześmiałam się cicho.

- Nie. Ale czy to kiedykolwiek wcześniej miało dla mnie znaczenie?

Później, kiedy spał w wymiętej pościeli, a jego szeroka pokryta jasnymi włosami klatka piersiowa miarowo unosiła się i opadała, wstałam z łóżka i zakradłam się cicho do torebki. Zapaliłam papierosa i podeszłam naga do okna wychodzącego na *rue Cambon*.

Znajdujący się po drugiej stronie ulicy sklep miał zamknięte okiennice, a rzeński nocny wiatr uderzał w markizę nad jego drzwiami. Patrzyłam, jak markiza trzepocze, a czarne litery mojego nazwiska nachodzą na siebie i tracą kształt, stając się równie nieczytelne jak otaczający mnie świat.

Zerknęłam na Spatza, który mamrotał coś przez sen. Pałac papierosa, zaczęłam rozmyślać o mężczyznach, którzy wywarli wpływ na moje życie: o moim ojcu, jego przepojonej winem radości i zdradzie; o Balsanie, jego koniach i obojętności; i o Boyu, tym jednym, z którym

porównywałam pozostałych. Kiedy jednak próbowałam go sobie przypomnieć, przekonałam się, że ledwo pamiętałam kolor jego oczu i dotyk jego dłoni. W jakiś sposób, poza moją świadomością, zagubił się w długiej ciszy, która zajęła miejsce naszej miłości.

Zgasiałam papierosa i wsunęłam się z powrotem do łóżka. Spatz otoczył mnie ramieniem i przycisnął do siebie, wtulając twarz w mój kark. Jego ciało wydawało się duże i ciepłe.

Zamknęłam oczy. Nie wzięłam środków uspokajających. Nie chciałam, żeby na to patrzył.

Nadszedł czas, by zapomnieć.

XI

Nastała zima, najmroźniejsza, jaką pamiętaliśmy. Przenikliwy wiatr wbijał we wszystko swoje mroźne kły, a w powietrzu zdawały się unosić okruchy szkła. Paryż przykrył całun śniegu i nieustannie towarzyszyły nam niedobory paliwa oraz przerwy w dostawach prądu. Brakowało też jedzenia. Docierały do nas pogłoski o ludziach, którzy grzebali w śmietnikach w poszukiwaniu jakiegokolwiek pożywienia, a także o domach publicznych, które rozkwiwały, ponieważ wiele kobiet (i mężczyzn) usiłowało w ten sposób uchronić się przed głodem, opanowującym stopniowo całe miasto mimo wprowadzonych przez Niemców kartek żywnościowych. Chleb, jajka, wino i mięso stały się cenniejsze niż złoto. Gwałtownie wzrósł popyt na towary pochodzące z czarnego rynku. Marie-Louise i jej towarzysze przynosili do Sertów jagnięcinę, wołowinę i szynki, kupowane od rolników w zamian za artykuły takie jak papierosy. Zdawało się, że Niemcy posiadają ich niewyczerpane zapasy.

W grudniu Spatz przedstawił mnie swojemu kontaktowi, Theodore'owi Mommie. *Rittmeister* był wysokiej rangi oficerem reżimu, który opanował Paryż, nadskakującym człowiekiem, podobnie jak wielu ludzi jego pokroju. Z zaskoczeniem przyjąłem informację, że jest także hodowcą koni i poznał Balsana kilka lat wcześniej. Był „zaszczycony”, że może mi pomóc. Oczywiście - dodał - moja sława mnie wyprzedza. Wyraził też nadzieję, że będę w przyszłości skłonna mu się odwdziaczyć. Cóż mogłam powiedzieć? Zapewniłam, że oczywiście jestem do jego dyspozycji, choć podkreśliłam, iż nie zamierzam na nowo otworzyć swojej pracowni, tak jak to zrobiło wielu innych projektantów, którzy prezentowali teraz swoje kolekcje pazernym kochankom niemieckich oficerów i ordynarnym żonom spekulantów.

Momm wydawał się niepokieszony. Westchnął i powiedział bez przekonania:

- Tak, to wyjątkowo niefortunne, prawda? Ale cóż możemy zrobić? Kiedy się nad tym zastanowić, nie mamy wyboru. Musimy nagiąć się i dostosować do czasów, w których żyjemy, najlepiej jak tylko potrafimy. Nikt z nas nie chciałby przecież skończyć jak pani siostrzeniec.

Wyszedłem z gabinetu, nie wiedząc, czy odczytywać jego słowa jako zawołaną groźbę, ale Spatz zapewnił mnie, że podobnie jak wielu innych ludzi, Momm starał się tylko zabezpieczyć.

- Jeżeli zostanie kiedykolwiek zapytany o to, dlaczego dąży do uwolnienia jeńca, który nie znalazł się na oficjalnej liście - wyjaśnił, kiedy wróciliśmy do Ritza - może zawsze twierdzić, że zrobił to na prośbę samej Coco Chanel, która w zamian za to zadeklarowała gotowość współpracy.

- Ale nie zamierzam projektować dla nich sukni - odparłam. - Są pewne granice, których nie przekroczyć. Mogą kupować tyle perfum, ile tylko zechcą. Biżuterię też. choć słyszałam, że rabują już wiele prawdziwych klejnotów. Ale nigdy nie dostaną moich sukni.

Spatz zachichotał, po czym rozebrał się i dał mi znak, żebym przyszła do łóżka. Skrzywiłam się i pomyślałam, że powinnam zakończyć ten romans, zanim sytuacja wymknie się spod kontroli. Teoretycznie Spatz po prostu mi pomagał, ale choć starałam się zachowywać ostrożność, byłam przecież Francuzką, która zadawała się z Niemcem. Postępowałam równie lekkomyślnie co Arletty - i obawiałam się, że i ja stałam się już obiektem plotek.

Wątpliwości i troski ustępowały jednak pod wpływem jego dotyku. Spatz był zawsze gotów rozpaść we mnie ogień. Rozumiał, że ze względu na menopauzę, zbliżenia sprawiały mi czasem ból i skutecznie wykorzystywał inne swoje umiejętności, żeby rozbudzić we mnie pożądanie, które przebiłoby się przez pokłady przynębnienia i strachu. Na chwilę znowu czułam się młoda. Któż mógłby przypuszczać, że kiedy Spatz wracał do siebie albo załatwiał swoje

sprawy, niepokoiłam się, chodziłam nerwowo po pokoju i paliłam papierosa za papierosem do czasu, a wreszcie przyjmowałam dawkę swoich środków uspokajających?

Tylko ja o tym wiedziałam - a stałam się specjalistką w kwestii ukrywania prawdy, nawet przed samą sobą.

Kilka tygodni później, kiedy wróciłam do gabinetu Momma, dowiedziałam się, że mój siostrzeniec trafił do stalagu w Niemczech. Tym razem postanowiłam zapamiętać o wszystkich dotychczasowych deklaracjach: gdyby zasugerowano mi, żeby zaprojektowała suknię dla kochanki *Fuhrera*, zrobiłabym to bez wahania. Momm upajał się opowieścią o ryzyku, jakie musiał ponieść, żeby mi pomóc.

- To dość skomplikowane sprawy, które wymagają dużo czasu i uwagi, a także niemałych łapówek i mnóstwa papierkowej roboty - oznajmił. - Nigdy nie jest łatwo doprowadzić do uwolnienia jeńca wojennego. Muszę mieć jakiś wiarygodny powód, żeby wypuścić pani siostrzeńca, zwłaszcza że jego nazwisko nie znalazło się na oficjalnej liście. Nie chciałbym, żeby w Berlinie zarzucono mi, iż podjąłem decyzję, która przekracza moje kompetencje.

- Ale tu z pewnością musi chodzić o jakiś błąd administracyjny. André nie zrobił nic złego.

- Jest żołnierzem wroga. To wystarczy. - Momm siedział za swoim imponującym biurkiem, na którym piętrzyły się dokumenty. Nosił okulary i miał rzadkie, pokryte brylantyną zaczesane do tyłu włosy. Przyglądał mi się z charakterystyczną dla biurokratów grzeczną obojętnością. Przebiegł po mnie dreszcz. Poczułam, że mógłby donieść na mnie gestapo tak samo szybko, jak mi pomóc. Zapaliłam papierosa drżącymi rękami, zastanawiając się nad wymówką, której mógłby użyć.

- A gdyby im pan powiedział, że André może dla pana pracować? - zapytałam po chwili. - Nadzoruje pan przemysł włókienniczy. Z pewnością potrzebuje pan wykwalifikowanych kierowników zakładów. Może pan twierdzić, że André szkolił się w mojej pracowni, gdzie nadzorował produkcję materiału na sukienki. Tworzę - a raczej tworzyłam - własne materiały,

a André był niezwykle cennym pracownikiem.

- To ciekawe - odparł Momm. Z udawaną nonszalancją czekałam, co jeszcze powie. - Doświadczeni pracownicy są bardzo potrzebni - dodał powoli. - Choć brakuje mi przede wszystkim doświadczonych kobiet.

Uśmiechnęłam się, usiłując ukryć zaskoczenie. Czyżby ten łajdak składał mi niestosowne propozycje?

- Chyba nie sądzi pan, że mogłabym osobiście nadzorować zakład włókienniczy, *monsieur*. Z pewnością bym się do tego nie nadawała.

Jego obmierzły uśmiech stał się jeszcze szerszy, ja zaś dostrzegłam błysk pożółkłych od tytoniu zębów.

- Nie miałem na myśli pracy w zakładzie. - Zawiesił głos. Zamierzałam właśnie poinformować go, że grubo się myli, jeżeli sądzi, że zrobię to, co dał do zrozumienia, on jednak dodał: - Będę panią o wszystkim informował na bieżąco. Jestem przekonany, że uda nam się zawrzeć układ korzystny dla nas obojga. Chciałbym jednak prosić, żeby na przyszłość pozwoliła mi się pani ze sobą swobodnie kontaktować. Dobrze?

Nie była to prośba i doskonale zdawałam sobie z tego sprawę. Kiwnęłam głową, podziękowałam za poświęcony mi czas, po czym niemal wybiegłam z pomieszczenia. Tego wieczoru, kiedy odwiedził mnie Spatz, drżącym z wściekłości głosem zrelacjonowałam mu spotkanie z Mommem.

- Czy on naprawdę sądzi, że ja... że jestem tak zdesperowana... Cóż za tupet! Tak jakbym mogła kiedykolwiek zniżyć się do jego poziomu! - Oczywiście dostrzegłam ironię tej

sytuacji: jak mogłam reagować takim gniewem na to, że ktoś oczekiwał usług seksualnych w zamian za udzieloną mi pomoc? Czy moja relacja ze Spatzem nie polegała na tym samym? Westchnąłem i rozwiązałem krawat.

- To nie to co myślisz. Momm zadzwonił do mnie po twoim wyjściu. Mówił, że może złożyć wniosek o zatrudnienie André w zakładzie włókienniczym, ale twój siostrzeniec jest więziony nie bez powodu, a jeżeli będziemy zanadto nalegali, może zostać stracony. Zabito już setki jeńców. Musisz wiedzieć, że Momm nie wychowywał się w Niemczech. Młodość spędził w Belgii i choć poprzysiągł służbę Rzeszy, musi zachowywać ostrożność, bo w przeciwnym wypadku zaczną go podejrzewać o zdradę.

- A czy ciebie też o coś podejrzewają? - zapytałam ostro. - Wydaje mi się, że skoro wokół nas wszyscy angażują się w nielegalną działalność, ktoś powinien wreszcie sprowadzić mojego siostrzeńca do domu.

Spojrzał na mnie w zamyśleniu.

- Dlaczego to jest dla ciebie takie ważne? Trwa wojna, tysiące ludzi trafiają do niewoli i giną każdego dnia. Mówiłaś, że André dorastał w Anglii. Widziałaś go tylko przy kilku okazjach, podczas świąt i wakacji. Dlaczego ryzykujesz dla niego własnym bezpieczeństwem, skoro powinnaś skupiać się jedynie na ratowaniu siebie?

Przygryzłam wargę i spojrzałam na papierosa, którego trzymałam w palcach. Nie wiedziałam, co odpowiedzieć, i bardzo mnie zaskoczyło, że musiałam się nad tym zastanowić. Najłatwiej byłoby po prostu stwierdzić, że André jest moim krewnym. Ale miałam przecież innych krewnych, braci, którym po zamknięciu pracowni przestałam przysyłać pieniądze bez żadnych wyrzutów sumienia, twierdząc, że mnie na to nie stać. To było kłamstwo. Miałam mnóstwo pieniędzy. Nawet jeśli dostęp do nich pozostawał utrudniony ze względu na zamrożenie kont bankowych, mogłam przecież korzystać z zysków, które przynosił mój sklep. Nie, chodziło o coś więcej niż tylko o fakt, że w żyłach André i moich płynęła ta sama krew. W jakiś nieuchwytny sposób uosabiał on to, co dobre w moim życiu. Teraz, kiedy straciłam wszystko inne, co było dla mnie ważne, traktowałam André jak swoje odkupienie.

- To syn mojej siostry - odpowiedziałam po chwili. - Czy potrzebuję więcej powodów?

- Nie. - Spatz usiadł przy mnie na łóżku. - Ale Berlin wie, że nie zgadzasz się na nowo otworzyć swojego salonu mody. Wszyscy inni paryscy projektanci to zrobili, a twoja odmowa jest odbierana jako wyraźny sygnał. Dlaczego mieliby ci pomóc, skoro ty nie chcesz pomóc im?

Nie mogłam na niego spojrzeć.

- Co mam wobec tego zrobić?

Nie odzywał się. Sięgnęłam po papierosa, odwróciłam się i spojrzałam mu w oczy.

- A więc? O co chodzi? Pracujesz dla nich, musisz coś wiedzieć. Powiedz mi. Chcą, żebym szyła sukienki? Dobrze, będę szyła sukienki. Stworzę czerwono-czarną kolekcję, która będzie pasowała do ich flag.

- Uważaj, Coco. Nie składaj obietnic, których nie jesteś gotowa spełnić. Momm to wykorzysta. Myśli, że jesteś zdesperowana. I nie, nie o to chodzi. Mimo całego twojego uroku, nie chodzi mu o to, żeby cię poniżyć. Wie, że ze mną sypiasz.

- Nie - przerwałam. - To ty sypiasz ze mną. Jest różnica. Pokiwał głową.

- To prawda. - Spojrzał mi w oczy. - Nie wiem, czego oni chcą, ale muszą czegoś chcieć. Może sami jeszcze do końca tego nie wiedzą. Jeżeli będziesz nalegała, z czasem się o tym przekonasz. Mają twój siostrzeńca. Na pewno podadzą cenę.

Zacisnęłam zęby i wstałam z łóżka.

- Wobec tego zapłacę tę cenę, jakakolwiek by była. - Nie odwracając się do niego,

powiedziałam: - Jestem bardzo zmęczona. Chciałabym zostać sama.

Nie protestował. Sięgnął po swój kapelusz i porzucony na ziemi krawat, podniósł teczkę z szyframi, a następnie ruszył do drzwi. Po chwili obejrzał się przez ramię.

- Powinnaś wiedzieć, że marszałek Petain, szef rządu Vichy, zgodził się na pełną współpracę z Berlinem. Momm mówił mi, że wszyscy Żydzi i inni ludzie uznani za element niepożądany, mieszkający na terenach okupowanych i we Francji Vichy, muszą zgłosić się do lokalnych prefektur policji. Zostaną pozbawieni obywatelstwa, a potem najprawdopodobniej deportowani. Weszły też w życie nowe zarządzenia zakazujące Żydom prowadzenia interesów i sklepów. Mówię ci o tym tylko dlatego, że być może powinnaś się zastanowić, czy te ustawy nie przyniosą ci korzyści.

Wypowiedziawszy te niepokojące słowa, wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Stałam nieruchomo, drżąc ze zdenerwowania i marzyłam o swoim narkotyku: krótkim ukłuciu, wbiciu igły w żyłę i nadejściu zapomnienia w wolnej od snów ciemności - choćby przez kilka godzin.

Wiedziałam jednak, że ucieczka, której tak pragnę, nigdy już nie będzie możliwa.

XII

Zadzwoiłam do Misi. Lunch w Ritzu nie wchodził w grę: w ciągu dnia personel realizował niemieckie zarządzenie, zgodnie z którym cywile nie mieli prawa przebywać w hotelu razem z wojskowymi. Te restrykcje przestawały obowiązywać dopiero w nocy. Na razie restauracja Ritza pozostawała zatem domeną nazistów.

Postanowiłyśmy spotkać się zamiast tego w Tuileries.

Ktoś powiedział Misi o Spatzu - nie wiedziałam, kto to zrobił, choć podejrzewałam Marie-Louise. Przygotowywałam się na oskarżenia, ale Misia poprzestała na zwykłych docinkach:

- Wygląda na to, że wzięcie nazistowskiego kochanka to ostatni krzyk mody. Po raz pierwszy, zamiast narzucać trendy, po prostu za nimi podążasz, kochanie.

Jej cierpka uwaga kompletnie mnie zaskoczyła. Poczułam niepokój. Siedziałyśmy w kawiarni w pobliżu majestatycznego Luwru, opróżnionego ze wszystkich cennych dzieł sztuki przez zdesperowanych kuratorów, którzy usiłowali je ukryć, zanim naziści zdołają splądrować muzeum. Nie pokazywałyśmy się z Misią publicznie od początku okupacji. Zapaliłam papierosa, opuściłam lekko okulary przeciwsłoneczne i spojrzałam przez szybę kawiarni na nielicznych przechodniów, którzy zmierzali w kierunku Place de la Concorde - posępne, bezkształtne figurki idące przed siebie ze spuszczonego wzrokiem, ukryte pod szalikami, kapeluszami i rękawiczkami.

Misia powiedziała chłodno:

- Nie obawiaj się. Wiele się zmieniło, ale dwie niemłode już kobiety spotykające się przy kawie nie powinny budzić podejrzeń.

- Nazywasz to kawą? - Skrzywiłam się, patrząc na fusy pływające w mojej filiżance.

- No cóż - powiedziała. - To prawda. Nic nie smakuje tak jak dawniej, nawet wędzone szynki, które Jojo pochłania kilogramami.

Była wymizerowana i wyjątkowo szczupła - nie widziałam jej takiej od lat.

- Mało jadasz?

- Och, jadam normalnie. - Bawiła się filiżanką. - Po prostu nie tyle, co on. Ten człowiek to zwierzę. Ma niepoohamowany apetyt.

Zapadła krępująca cisza. Zgasiłam papierosa i natychmiast zapaliłam kolejnego, a Misia powiedziała:

- Byłam ciekawa, dlaczego zadzwoniłaś. Miałam wrażenie, że widzujemy się tylko podczas spotkań w naszym domu. Czy coś się stało?

Pokiwałam głową i raz jeszcze się rozejrzałam. Nagle poczułam, że złapała mnie pod stołem za kolano, wystające spod futra z norek.

- Przestań. Zachowujesz się jak szpieg. - Odchyliła się na krześle. - Powiedz mi, co się dzieje. Czyżby kochanek zaczął cię nudzić?

Choć powiedziała to obojętnym tonem, w jej głosie wychwyciłam przytyk. Zamierzałam już powiedzieć, że nie powinna mnie oceniać, tym bardziej że ona i Jojo jadali codziennie szynki kupione u spekulantów - ale ugryzłam się w język. Jak zwykle, udało jej się trafić w czuły punkt.

- Nie nazwałabym go nudnym - odparłam i zaczęłam opowiadać jej cicho o sugestii Spatza i o enigmatycznych gierkach prowadzonych przez Momma. Kiedy skończyłam, Misia podniosła rękę i zaczęła bawić się dolną wargą.

- Jak sądzisz, co mógł mieć na myśli? - zapytała.

- Z początku sama nie wiedziałam. Ale potem zadzwoniłam do René de Chambruna,

który powiedział mi, że zgodnie z nowym prawem mogę podjąć działania prawne mające na celu odzyskanie kontroli nad Parfums Chanel, ponieważ Wertheimerowie są.

- Tak, wiemy, kim są. A więc ich kuzyn Bollack też.? Pokiwałam głową.

- Tak sądzę. Zmarszczyła brwi.

- No i proszę. Od lat marzyłaś o odzyskaniu kontroli nad swoimi perfumami. I oto nadarzyła się okazja. Możesz bez trudu doprowadzić do usunięcia Wertheimerów. - Mówiła to pozbawionym emocji głosem, tak jakby stwierdzała bezsprzeczny fakt. Mimo to dostrzegłam w jej oczach niewypowiedzianą krytykę, która mnie rozwścieczyła.

- Czyżbyś twierdziła, że zamierzam to zrobić tylko dlatego, że są. - Musiałam ściszyć głos i dodać szeptem: - Okradali mnie od lat. Pierre sam mi powiedział, że to tylko interesy.

I miał rację. Tu chodzi o interesy, moje interesy. To, że są Żydami, nie ma tu najmniejszego znaczenia.

Odwzajemniła moje spojrzenie.

- Czyżby? A czy zastanawiałaś się kiedykolwiek nad tym, że być może i ja mogę być Żydówką?

Zamarłam. Przebiegł mnie dreszcz, natychmiast jednak zakpiłam:

- Misiu, proszę cię. Jesteś katoliczką. Wszyscy o tym wiedzą. Nie odwróciła wzroku.

- Zdziwiłabyś się. Nie mówię o sobie, ale o naszych przyjaciółach. Wielu jest Żydami. Nie masz o tym pojęcia, bo nigdy nie zadałaś sobie trudu, żeby zapytać. - Nagle uśmiechnęła się. - Oczywiście wiem, że nigdy nie wykorzystałabyś tego świadomie, choć muszę przyznać, że twoja przeszłość mogłaby sugerować co innego. Najpierw romans z Bendorem, potem z Iribem. To pozostawiło ślad. Niemcy muszą wiedzieć, że sponsorowałaś „Le Témoin”. Być może powinnaś pokazać im któryś z numerów, kiedy wstąpisz na drogę sądową, żeby odzyskać swoją firmę.

Rzuciłam jej gniewne spojrzenie.

- Jak możesz mówić takie rzeczy, zwłaszcza teraz? Zachichotała.

- Jeżeli nie teraz, to kiedy? Podobnie jak wielu innych ludzi, zachowujesz się tak, jakby wojna była tylko niedogodnością. Udajesz, że to wszystko nie dzieje się naprawdę. Wydaje ci się, że nieświadomość jest najlepszą bronią.

- To okropne. Mówisz tak, jakbym była Marie-Louise!

- Owszem. To okropne. Nawet nasz mały Jean wrócił z podkulonym ogonem, łagodny jak baranek. Jest gotów zabawiać ich nowymi sztukami, w których główną rolę odegra oczywiście Lifar. - Misia odwróciła wzrok i wyjrzała przez okno. - Ale czegoż się spodziewać. Nikt nie chce wylądować w obozie.

- Misiu. - Ze zniecierpliwieniem strzepnęłam popiół na ziemię. - Nie pomagasz mi. André jest już w obozie. Czy sądzisz, że jeżeli przejmę swoją firmę, wykorzystując nowe prawodawstwo, wykażę się gotowością do współpracy?

Spojrzała na mnie.

- To na pewno nie zaszkodzi - powiedziała, po czym wypięła łyk kawy. Po raz pierwszy, odkąd ją poznałam, nie potrafiłam zinterpretować wyrazu jej twarzy.

- Ale myślisz, że to coś złego? Myślisz, że wyglądałoby to tak, jakbym chciała wykorzystać sytuację?

- Od kiedy interesuje cię to, co ja myślę? I tak zrobisz, co będziesz chciała. Zawsze masz

swoje powody i zawsze wydają ci się uzasadnione w danej chwili.

- To dla mnie ważne. - Głos zaczął mi się łamać. Niech Bóg ma mnie w swojej opiece -pomyślałam. Byłam bliska łez.

- Dlaczego? - Jej pytanie było jak cios w brzuch. Pochyliła się w moją stronę. Pukle kręconych, niefarbowanych włosów wystawały spod jej trykotowego czepka, obwisłe policzki pokrywały czerwone żyłki, a oczy lekko błyszcząły, co wskazywało na to, że przed wyjściem

z domu przyjęła kilka niebieskich kropelek. - Pytasz mnie jako przyjaciółkę, czy chcesz, żebym ci powiedziała, że denuncjacja Żydów jest dopuszczalna?

Jej słowa zdawały się rozbrzmiewać w ciszy, która nagle zapadła. Nie miałam odwagi podnieść wzroku, tak jakbym się spodziewała, że w każdej chwili zatrzyma nas gestapo. Nie mogłam nic powiedzieć, nie mogłam się nawet poruszyć, a Misia mówiła dalej:

- Czy moje przyzwolenie cokolwiek dla ciebie znaczy? Czy myślisz, że to, co robię albo mówię, ma jakiegokolwiek znaczenie? Nie zdołałam uratować Lily Rothschild. Ona i baronowa Kitty były przecież twoimi klientkami. Wyszły za najbogatszych mężczyzn we Francji, ale ponieważ są oni Żydami, musieli uciekać. Lily została tutaj, a jej mąż wyjechał do Anglii. Słyszeliśmy, że gestapo aresztowało ją, kiedy usiłowała wjechać do Paryża z fałszywą przepustką. Poszłam zeznawać na policję, twierdziłam, że przyjechała do mnie w odwiedziny. Deportowano ją do obozu pracy. Nie jest Żydówką, ale jej to nie ochroniło. Jesteś jak zwykle zaślepiona, Coco. Nic, co robimy, nie może nas ochronić, bo oni wiedzą, że nikt nie odważy się ich powstrzymać.

- Ja. nie wiedziałam o Lily - powiedziałam przerażona. - O niczym nie słyszałam. Prychnęła.

- O niczym nie usłyszysz, dopóki będziesz mieszkała w Ritzu i sypiała z jednym z nich. -Nie pozwoliła, żebym jej przerwała. - Nie obchodzi mnie, w co on tak naprawdę wierzy. To nadal jeden z nich. Ostrzegałam cię, Coco. Mówiłam, żebyś uważała, że powinnaś się spodziewać poważnych konsekwencji. Ty, Lifar i Arletty nigdy nikogo nie słuchacie. A mimo to śmiesz prosić mnie teraz o radę? Czego się spodziewasz? Co miałabym powiedzieć?

Dygotałam tak bardzo, że upuściłam papierosa. Zgasiłam go obcasem i zaczęłam wstawać, ona jednak wyciągnęła rękę w moją stronę i chwyciła moją dłoń.

- Zrób to - powiedziała - a pożałujesz. Może nie od razu, może nie przez jakiś czas, ale pewnego dnia pożałujesz. Rozejrzyj się: to nie może trwać w nieskończoność. Nawet jeżeli my nie zrobimy niczego, żeby ich powstrzymać, zrobią to Brytyjczycy. Ameryka w końcu przystąpi do wojny, tak jak poprzednio. Ta wojna również się skończy, a my będziemy musieli zbierać odłamki. Lepiej zadbaj o to, żebyś nie była jednym z tych odłamków.

- To mój siostrzeniec. - Wyrwałam jej rękę. - Nie zostawię go i nie pozwolę, żeby gnił w jakimś obozie. Ma żonę i dziecko. Nie zrobił nic złego!

Zarechotała, patrząc na mnie z niedowierzaniem.

- Niezwyciężona Coco spieszy na ratunek. Nie udało ci się uratować Boya, więc teraz musisz uratować André. Czy na tym polega twój plan?

- Niech cię diabli, Misiu! - wyszeptalam. - Niech cię piekło pochłonie. - Chwyciłam leżącą na stoliku torebkę, a filiżanki brzęknęły na spodkach.

- Jestem już w piekle - powiedziała cicho. - Tak jak my wszyscy. - Nie zatrzymałam się i zdecydowanym krokiem wyszłam z kawiarni na zimne, wiosenne słońce.

Jeżeli nawet do tej pory się wahałam - pomyślałam, maszerując przez ogrody Tuileries -to teraz byłam zdecydowana. Powiedziałam Spatzowi, że zapłacę każdą cenę. Zamierzałam dotrzymać słowa.

Zadzwoiłam do René i poprosiłam, żeby wszczął postępowanie przeciw Wertheimerom.

Byłam Francuzką, w moich żyłach nie płynęła ani jedna kropla złej krwi. Wertheimerowie odebrali mi firmę i zbyt długo już zbijali majątek na moich perfumach. Nadszedł czas, żebym przywołała ich do porządku.

Podczas kolacji w Ritzu Spatz pochwalił moją decyzję.

- Właśnie o taki ruch chodziło. Wieści na ten temat dotrą do Berlina i władze niemieckie zaczną widzieć w tobie sprzymierzeńca. W ten sposób otworzyłaś celę André.

- Zobaczymy - odparłam. Jego satysfakcja wydała mi się nagle skrajnie niesmaczna. - Zakładam, że mówiąc o wieściach, które dotrą do Berlina, masz na myśli Momma. Powiedz mu o wszystkim, a on przekaże to im.

Spatz sięgnął po kieliszek z winem.

- Jak sobie życzysz. Ale wydaje mi się, że nie potrzebują Momma, żeby się o tym dowiedzieć. Nic, co dzieje się w Paryżu, nie umknie ich uwadze.

- Czyżby? - Miałam ochotę go spoliczkować. - Cóż, mimo to, chciałabym, żeby Momm się o tym dowiedział. Odegrałam swoją rolę. Teraz jego kolej. Musi złożyć wszystkie papiery, o których wspominał. Bez chwili zwłoki.

- Załatwione - zapewnił Spatz. Jeżeli nawet wyczuł moje obrzydzenie, nie dał tego po sobie poznać. Skończyliśmy posiłek i wróciłam do pokoju, a on zaczął jak zwykle krążyć po lobby i rozmawiać z innymi nazistami. Zachowywał się tak, jakby nie zamierzał za chwilę ruszyć na górę i spędzić ze mną nocy. Miałam ochotę zaryglować przed nim drzwi - na zawsze. Choć uważałam, że Wertheimerowie mnie oszukali, czułam do siebie głęboką pogardę. To nie była równa walka. Ale czy oni sami kierowali się kiedykolwiek pragnieniem sprawiedliwości? Zbili fortunę na No. 5, podczas gdy ja musiałam zadowalać się nędznymi groszami. Nawet ich kuzyn Bollack zaczął pobierać dwa razy wyższe opłaty, powołując się na różnego rodzaju absurdalne przeszkody, za których sprawą wzrastały rzekomo ponoszone przez niego koszty. Mimo to wiedziałam, że wykorzystując nowe antysemickie prawodawstwo, przekroczyłam pewną niewidzialną granicę.

Stałam się wrogiem.

Kiedy Spatz zapukał do drzwi, siedziałam na łóżku i czekałam. Nacisnął klamkę, zapukał raz jeszcze. Potem stał bez ruchu, nie wydając żadnego dźwięku. Dostrzegłam jego cień, który przesłonił światło pod drzwiami. Stał tam cierpliwie i czekał.

Wreszcie odszedł. Nie miałam wątpliwości, że wróci - ale nie tej nocy.

Proces, który wytoczyłam Wertheimerom, na wiele się nie zdał. Kiedy Bollack zwęszył mój podstęp, złożył rezygnację i uciekł do Nowego Jorku, a nadzór nad Bourjois przekazał francuskiej korporacji lotniczej zarządzanej przez człowieka o krwi równie czystej jak moja. Pozew, który tak lekkomyślnie złożyłam i który przypłaciłam utratą szacunku Misi, gnił w jakimś przepełnionym sądzie, a mój prawnik zmagał się z opóźnieniami do czasu, aż poinformował mnie, że sprawa jest beznadziejna. Żaden sędzia nie chciał zajmować się sporem o perfumy, kiedy wszyscy zajmowali się walką o własne bezpieczeństwo.

Trzymałam się z dala od domu Sertów, a lato 1941 roku stopniowo gasło. Wojna trwała dalej. Hitler miał w garści większą część Europy i otwarcie mówił o inwazji na Związek Sowiecki. Tymczasem skierował Luftwaffe na Wielką Brytanię i na Londyn spadły niszczycielskie naloty. Churchill wygrał wybory i został premierem. Wysłałam mu list z gratulacjami, ale nie dostałam odpowiedzi. Nie wiedziałam, czy w ogóle do niego dotarł. Niemcy kontrolowali pocztę, telefony i radio - wszystko, co pozwoliłoby przemieścić jakieś informacje albo zostać wykorzystane do celów propagandowych. Wiedziałam, że pisząc do Churchilla, podejmuję ryzyko i że otwarcie przyznaję się w ten sposób do swoich sympatii. Nie obchodziło mnie to. Miałam niemal ochotę wykrzyzczyć Niemcom swój opór, żeby ukoić

dręczące mnie wyrzuty sumienia.

Pewnego wieczoru, wracając z Champs-Élysées, mijałam teatr, w którym Strawiński i Diagilew wystawiali kiedyś swoje *Święto wiosny*. Na fasadzie budynku wisiał ogromny plakat reklamujący wystawę poświęconą francuskiemu Żydowi. Znajdowała się na nim groteskowa ilustracja: karykaturalna postać o haczykowatym nosie gromadziła pieniądze, podczas gdy głodujące, bezdomne dzieci u jej stóp błagały o litość. Ten widok przyprawił mnie o dreszcze. Ludzie stali w kolejce, żeby obejrzeć wystawę. Śmiali się i rozmawiali, a pośród nich dostrzegłam Niemców w mundurach. Nie poznawałam już Paryża. Moje własne miasto było mi obce. Przekształciło się ono w cyrk - groteskową farsę zaludnioną przez upiory, oportunistów, którzy sprzedawali duszę za kawałek czerstwego chleba.

Przede wszystkim jednak nie poznawałam samej siebie. Raz jeszcze zwróciłam się do Spatza. Był moim jedynym łącznikiem z Berlinem i z André. Zapewnił, że sprawa jest w toku, po prostu nie dzieje się to tak szybko, jak bym chciała. Momm złożył odpowiednie dokumenty, teraz zaś pozostawało czekać. Kiedy to powiedział, wściekłam się na niego, na Momma i na wszystkich Niemców. Przeklinałam i ciskałam przedmiotami w ścianę tak długo, aż Spatz chwycił mnie za nadgarstki i przyciągnął do siebie. Łkałam, wpadając w coraz większą rozpacz.

- Nigdy go już nie zobaczę - łkałam. - Nigdy go nie zobaczę, a jego żona mi tego nie wybaczy. Obiecałam, że go uratuję!

Tamtego wieczoru powiedziałam Spatzowi o swoich środkach uspokajających. Podejrzewałam, że wiedział o nich już od dawna - na wewnętrznej stronie ramienia miałam drobne ślady po igłach, które musiał zauważyć. Mimo to wyznałam mu prawdę, a on zrobił mi zastrzyk, kiedy leżałam w łóżku i szlochałam.

Tulił mnie w ramionach, podczas gdy niebieski płyn stopniowo rozlewał się po moich żyłach, rozmazując otaczający mnie świat. Kiedy się obudziłam następnego ranka, Spatza już przy mnie nie było. Ruszyłam chwiejnym krokiem do łazienki, uświadamiając sobie z przerażeniem, że zdradziłam mu sekret, który mógł wykorzystać przeciwko mnie. Nagle jednak podniosłam wzrok i zobaczyłam, że napisał moją szminką na lustrze:

Pakuj się. Jedziemy do La Pausy.

Nie miałam pojęcia, jak tego dokonał. Udało mu się zorganizować wszystkie niezbędne papiery, w tym upragniony *Ausweis*. Zarezerwował przedział w pierwszej klasie. Na stacji w Cannes czekał już na nas samochód z pełnym bakiem, którym Spatz osobiście zawiózł mnie do willi.

Moja służba zamknęła dom na cztery spusty i wyjechała. Zaledwie kilka kilometrów dalej Riwierą była już tylko pasem gruzów pozostałych po bombardowaniach. Zaczęłam krążyć po domu, otwierać okiennice i wydobywać zasuszone liście z przeróżnych szczelin. W pewnej chwili dotarł do mnie zapach ogrodu, pełnego jaśminów, heliotropów i róż, zasadzonych w okresie, w którym miałam jeszcze nadzieję, że Bendor mi się oświadczy.

Spodziewałam się upiorów przeszłości. W tym domu, który tak kochałam, aż się od nich roilo. Krążyli po nim wszyscy przyjaciele, którzy jadali kiedyś przy moim rustykalnym stole i którzy byli teraz rozrzućeni po całym świecie; wszyscy zmarli, między innymi Iribe, którego śmierć na korcie tenisowym przekształciła mój azyl w panteon smutku.

W domu czekała na mnie jednak pustka. Tylko oprawione zdjęcia stojące na kominku przywoływały dawne, szczęśliwe czasy, kiedy walka o dominację w świecie mody była jedyną walką, jaką musiałam toczyć.

W pokoju, w którym oplakiwałam Iribego, kochałam się ze Spatzem przy otwartych oknach. Do środka wpadało słone morskie powietrze i szum sosen. W ciągu dnia spacerowaliśmy po pobliskich wzgórzach albo jeździliśmy do miasteczka po chleb, świeże masło i dżem. Choć

południe nie zostało zajęte przez Niemców, strach dotarł także tutaj. Rząd Vichy rozpoczął oblavy i wielu uchodźców uciekało na wybrzeże.

Architekt Robert Streitz, dowiedziawszy się o tym, że wróciłam, przyjechał w odwiedziny do La Pausy. Gdyby mi się nie przedstawił, nigdy bym go nie poznała. Wychudł, miał zapadnięte oczy i skórę cienką jak pergamin. Wyglądał tak, jakby od wielu tygodni nie miał w ustach porządnego posiłku, zastawiłam więc stół jedzeniem i zaczęłam paplać o błahostkach, starając się nie wspominać ani słowem o wojnie. Po pewnym czasie Streitz poprosił, żebym przeszła się z nim nad pusty basen, bo chciał mi pokazać - jak twierdził - powstałe niedawno szczeliny między kafelkami.

Wiedziałam, że tak naprawdę chodziło mu o to, żeby oddalić się od Spatza, który pił wino na werandzie. Podczas gdy krążyliśmy wokół mojego niszczonego basenu, pełnego gnijących roślin i wodorostów, Streitz odchrząknął i powiedział:

- *Mademoiselle*, zastanawiałem się... Czy miałaby pani coś przeciwko temu, żebym został tu i rozpoczął prace remontowe?

Zmarszczyłam brwi. Wyjęłam papierosy z kieszeni spodni i poczęstowałam go. Rzucił się na nie, tak jakby nie widział prawdziwego tytoniu od wielu miesięcy. Kiedy zaciągnął się papierosem, przymykając przy tym oczy, odwróciłam się i zerknęłam w kierunku siedzącego na werandzie Spatza, po czym zapytałam:

- O co tak naprawdę chodzi?

Streitz zamarł. Z jego nosa sączył się powoli dym.

- O... o płytki, które są w coraz gorszym stanie. Jeżeli się tego nie zrobi, te szczeliny zaczną się stopniowo poszerzać i.

Potrząsnęłam głową.

- Proszę zapomnieć o płytkach. Obiecuję, że wszystko, co pan powie, zostanie między nami. - Uśmiechnęłam się, żeby go uspokoić. - Proszę mi po prostu powiedzieć, o co chodzi.

Spuścił wzrok.

- Pani piwnica, *mademoiselle*. Jest na tyle duża, żeby pomieścić dwadzieścia do trzydziestu osób.

- Rozumiem.

Nie pytałam o nic więcej, ale Streitz sam postanowił rozwinąć temat:

- Wielu ludzi przyjeżdża tu w poszukiwaniu schronienia. Staramy się przetrzucać ich do Włoch, ale wyrabianie przepustek trwa dość długo. Potrzebne są miejsca, w których mogliby się w tym czasie ukrywać. Jak pani wie, *mademoiselle*, większość willi w tej okolicy należy do Brytyjczyków. Domy są albo zamknięte, tak jak w pani przypadku, albo pilnują ich psy

i wynajęci strażnicy. Podejrzewamy, że Niemcy obserwują część z nich. Nikomu nie można ufać. Tu też są szpiedzy. Gdybyśmy mogli wykorzystać La Pause... - Przerwał, kiedy zobaczył, jak zerknęłam pospiesznie w stronę werandy. - Jeżeli to zbyt wiele, zrozumieć - dodał. - Po prostu. pomyślałam, że zechciałaby pani. Spojrzałam na niego.

- Czy jest pan pewien, że mój dom też nie znajduje się pod obserwacją?

- Tak. Wiedziałem o pani przyjeździe, *mademoiselle*, bo sami go obserwowaliśmy. Wygląda na to, że nikt inny nie zwracał na niego uwagi.

Milczałam przez dłuższą chwilę.

- Zdaje pan sobie sprawę, co się stanie, jeżeli pana złapią, prawda? Co spotka pana, uchodźców i wszystkich ludzi, którzy im pomagają, być może także i mnie.

- Zdaję sobie sprawę. Ale nie możemy dłużej odwracać wzroku. To ryzyko, które musimy podjąć.

Wiedziałam, że powinnam odmówić. Jego propozycja pociągała za sobą ogromne niebezpieczeństwo. Widząc, że się waham, Streitz dodał:

- Używałbym też nadajnika, żeby porozumiewać się z naszymi towarzyszami z drugiej strony granicy. Powinna pani być tego świadoma, zanim podejmie pani decyzję, *mademoiselle*. To szyfrowany angielski nadajnik, ale nic nie jest w stu procentach bezpieczne.

Podaliśmy mu swoją srebrną papierośnicę i zapalniczkę Cartiera.

- Proszę to wziąć. Niech je pan sprzeda, a pieniądze przeznaczy na swoją działalność. -Zacząłam iść w kierunku domu, a on ruszył za mną. Zanim dotarliśmy na werandę, powiedziałam głośniej: - Wracam do Paryża za kilka tygodni. Może pan tu zostać i zająć się płytkami. Zapłacę z góry. Gdyby ktokolwiek pytał, pracuje pan dla mnie. Napiszę odpowiedni list, który będzie mógł pan pokazać, gdyby zaszła taka potrzeba.

- Dziękuję - wyszeptał. - Niech Bóg panią błogosławi, *mademoiselle*. Uśmiechnęłam się. Po tym wszystkim, co zrobiłam, boskie błogosławieństwo było

ostatnią rzeczą, na jaką mogłam liczyć.

- Wszystko w porządku? - zapytał Spatz, kiedy już odprowadziłam Streiza do bramy. Otwierał kolejną butelkę chardonnay. Patrząc, jak wachał wino, pomyślałam o rozciągających się pod naszymi stopami rozległych piwnicach, z których musiał ją przynieść. Odpowiedziałam

z pewnym niepokojem:

- Tak, oczywiście. Streitz spędzi tutaj zimę i zajmie się remontem. Chodzi o basen i ogrody. Dom był opuszczony przez długi czas. Ze względu na to, że Streiz potrzebuje pracy, uznałam, że to dobry pomysł.

- Ach tak. - Nalał mi kieliszek. Usiłowałam się napić, ale wino pozostawiało ostry smak w moich ustach. - To wszystko? - zapytał Spatz. - Wydawał się nieco... zdesperowany.

- Tak to bywa w czasie wojny - odparłam ostro. - Boli mnie głowa. Zdrzemnę się trochę przed obiadem.

Zacząłam wchodzić po szerokich schodach, które Streitz zbudował na wzór tych z Aubazine, nagle jednak Spatz wypowiedział moje imię. Gwałtownie się zatrzymałam, słysząc jego szorstki ton.

- Dlaczego kłamiesz?

Odwrociłam się. Wpatrywał się we mnie.

- Kłamię? - zapytałam, siląc się na obojętność, choć serce zaczęło mi szybciej bić. -Przecież powiedziałam ci przed chwilą, że płytki wokół basenu popękały i.

Spatz zrobił krok w moją stronę, a dźwięk jego obcasa na kamiennej płycie przy wejściu przypominał trzask pioruna.

- Kiedy mi wreszcie zaufasz? Bo jeżeli odpowiedź brzmi „nigdy”, powinniśmy to zakończyć w tej chwili. Nie jestem z tobą po to, żebyś mnie wykorzystywała. Tym zajmują się moi przełożeni.

- Wykorzystywała? - Zaśmiałam się. - Czy to właśnie twoim zdaniem robię?

- Nie wiem. Staralem się, jak mogłem, ale najwyraźniej nadal mi nie ufasz.

W przeciwnym razie nie okłamywałabyś mnie. - Nie odpowiedziałam. Zaciśnęłam tylko rękę na balustradzie, a Spatz dodał: - On pracuje dla Ruchu Oporu, prawda? Chce wykorzystać twój dom.

- Sądzę, że sam powinieneś go zapytać - odparłam. - Ale to mój dom. Mogę z nim zrobić, co tylko zechcę.

Ruszył schodami w moim kierunku. Teraz było widać jego wiek: skóra na podbródku była obwisła, a mozaika drobnych żyłek na nosie zdradzała zamiłowanie do alkoholu.

- Czy uważasz mnie za swojego wroga? Dlatego nie chcesz mi wyjawić, o co cię prosił?

Odpowiedziałam mu ostrym tonem, cedząc słowa przez zaciśnięte zęby:

- Nie masz prawa mnie przesłuchiwać. - Odetchnął ze zniecierpliwieniem, a ja dodałam zuchwale: - Chyba nie oczekujesz, że uwierzę, że nie jesteś tym, na kogo wyglądasz.

- Jesteś niemożliwa - rzucił.

- Już mi to mówiono. - Odwróciłam się. Wyciągnął rękę i chwycił mnie za nadgarstek. Zatrzymałam się i spojrzałam znacząco na jego dłoń, po czym powiedziałam: - Myślałam, że pomożesz mi uwolnić André.

- Próbuję - zapewnił. - Momm też próbuje. Jesteś zbyt niecierpliwa. Oczekujesz cudów...

- Cudów? - Wyrwałam mu rękę. - Mam już dosyć słuchania, jakie to ciężkie, ile przy tej okazji trzeba dać łapówek i ile złożyć dokumentów. Mam już serdecznie dosyć waszych wymówek.

Nagle przy drzwiach rozległ się drżący głos:

- *Mademoiselle?* - Odwróciłam się, łapiąc z trudem oddech i zobaczyłam Strietza. Wyciągnął papierosnicę w moją stronę. - Musiała ją pani upuścić. Ma. ma pani monogram.

Zamarłam. Zalała mnie fala strachu. Spatz zwrócił się do niego spokojnie:

- Proszę wejść i zamknąć drzwi, *monsieur*. Sądzę, że powinniśmy pomówić. - Zerknął na mnie. - Na osobności. Możesz to dla mnie zrobić?

Miałam ochotę krzyknąć do Strietza, żeby uciekał, ile sił w nogach, żeby przedostał się przez góry aż do Włoch czy do Szwajcarii, dokądkolwiek, gdzie by go nie znaleźli. Zamiast tego pokiwałam głową i patrzyłam w milczeniu, jak Spatz prowadził mojego architekta do salonu. Powinnam tu zostać - pomyślałam. - Powinnam poczekać, aż zaczną rozmawiać, a potem zakraść się pod drzwi i podsłuchiwać. Nagle zaczęłam żałować, że nie mam pistoletu. A kiedy to pomyślałam, uświadomiłam sobie, jak niebezpieczny i trudny stał się mój związek ze Spatzem.

Byłam gotowa go zabić. To wszystko zaczęło wymykać się spod kontroli.

Zataczając się, ruszyłam na górę do swojego pokoju, zamknęłam drzwi i stałam tam bez ruchu, nie wiedząc, co robić. Wreszcie usiadłam na jednym z połączonych foteli przy oknie i zaczęłam wpatrywać się w zapadający zmierzch. Koralowe promienie słońca - do złudzenia przypominające barwę moich wieczorowych sukni - stopniowo gasły i nabierały fioletoworóżowego odcienia w miejscu, w którym niebo stapiało się z morzem. Miałam wrażenie, że minęło wiele godzin, zanim Spatz zapukał do moich drzwi.

Kiedy wszedł, zapytałam, nie podnosząc nawet wzroku:

- Powiedział ci?

- Powiedział. - Dywan stłumił jego kroki. - Chce wykorzystać piwnice, żeby ukryć uchodźców, a ogrody mają stać się punktem tranzytowym, z którego będą przerzucani do Włoch. Musi też ukryć nadajnik. Zasugerowałam, żeby do tego również wykorzystał piwnice, bo grube mury zagłuszą szumy. - Stanął kilka kroków ode mnie. - Ma też przyjaciela, żydowskiego profesora, który został aresztowany w Vichy. Poprosił mnie o pomoc. Spróbuję doprowadzić do jego uwolnienia. Nie trafił do obozu, tylko do aresztu, więc może wystarczy zwykła łapówka.

Spojrzałam mu wreszcie w oczy.

- Czy to ci wystarczy? - zapytał.

- Na razie - wyszeptalam, choć tak naprawdę nie miałam pojęcia, czy tak jest i czy cokolwiek kiedykolwiek wystarczy. Zawarłam pakt z diabłem. Teraz musiałam się z niego wywiązać - na dobre i na złe.

- Dobrze. - Odwrócił się. - Obiad będzie gotowy za godzinę. Zawołam cię. Streitz zje razem z nami, a na razie weźmie kąpiel, której bardzo potrzebuje. Twój dzielny architekt strasznie cuchnie.

XIII

Siódmego grudnia 1941 roku Japończycy zbombardowali amerykańską bazę w Pearl Harbor.

Byłam wtedy w paryskim Ritzu. Kiedy radio nadało komunikat o tym, co się wydarzyło, Niemcy zaczęli wiwatować i otwierać szampana. Najwyraźniej niespodziewany atak, który dowiódł słabości Stanów Zjednoczonych, ukoił nieco ich strach przed przystąpieniem Amerykanów do wojny.

Wzbudziło to we mnie obrzydzenie tak głębokie, że od tego czasu unikałam restauracji w Ritzu. Kilka dni później Cocteau poszedł ze mną na obiad do bistra niedaleko mojego sklepu. Wyglądał zadziwiająco dobrze: jego koścista twarz stała się pełniejsza niż kiedykolwiek wcześniej, a włosy pozostawały równie niesforne jak zwykle. Był w doskonałej formie, a jego szczupła sylwetka wyraźnie się zaokrągliła. Wydawał się mniej pobudzony niż zazwyczaj -znałam go od lat i z ogromnym zaskoczeniem przyjął ten nieoczekiwany spokój.

- Wojna pozwala porzucić wiele słabości - wyjaśnił, kiedy zwróciłam uwagę na zmiany w jego wyglądzie.

Przypuszczałam, że wyszedł z nałogu, kiedy ukrywał się w domach swoich przyjaciół na Lazurowym Wybrzeżu razem ze swoim kochankiem aktorem. Kokainę, morfinę i inne tego typu używki można było zdobyć wyłącznie poprzez nazistowskie kontakty albo za pośrednictwem Marie-Louise, która prowadziła handel na czarnym rynku - a i tak kosztowały one wtedy fortunę.

- Powinnaś odwiedzić ze mną Misię - powiedział Cocteau, kiedy jedliśmy posiłek, który wydawał się pozbawiony smaku i szary, tak samo jak całe nasze miasto. - Pytała o ciebie. Była ciekawa, co się z tobą dzieje.

- Czyżby? - Nabiłam na widelec kawałek fileta niewiadomego pochodzenia, zanurzonego w rozgotowanej cebuli i kapuście, jedynych dostępnych ostatnimi czasy warzywach. - To dziwne. Myślałam, że nie chce mnie już nigdy więcej widzieć.

- Twierdziła, że to ty ją porzuciłaś. - Nachylił się nade mną. Pamiętałam ten wyraz twarzy, kiedy Cocteau, odwiedził mnie zaraz po tym, jak rozstałam się z Boyem. Powiedział mi wtedy o uzależnieniu Misi. - Twierdziła, że wpadłaś w histerię.

Zachichotałam z goryczą, po czym zapaliłam papierosa, żeby pozbyć się cierpkiego smaku mięsa niewiadomego pochodzenia, które przed chwilą zjadłam.

- Oczywiście, że tak mówiła. Przecież ona sama nigdy nie jest niczemu winna, prawda? Przypuszczam, że gdyby ktoś mógł jej uwierzyć, chętnie oskarżyłaby mnie też o spowodowanie wybuchu wojny.

- Coco, bardzo jej na tobie zależy. - Cocteau wydawał się przygnębiony. Nie potrafiłam określić, czy naprawdę martwił go mój konflikt z Misią, czy żałował po prostu popołudnia, które mogliśmy spędzić na pełnych złościwości plotkach. Z mojego zachowania musiał wywnioskować, że nie byłam w nastroju do rozmowy o błahostkach. - Bardzo się martwiła waszą sprzeczką i tym, że pokłóciłyście się o Niemca.

Najeżyłam się.

- Nie pokłóciłyśmy się o Niemca. Chodziło o coś innego. - Przerwałam, patrząc na niego przez chmurę dymu unoszącą się znad mojego papierosa. - Nie powiedziała ci, co się tak naprawdę stało?

Wzruszył ramionami i spojrzał na mnie z zaciekawieniem.

- Mówiła bardzo ogólnikowo. Jak na Misię, była naprawdę powściągliwa. - Zamilkł na chwilę. - A zatem nie chodziło o twojego nowego kochanka?

Miałam ochotę zgasić papierosa w resztkach na swoim talerzu i wyjść, ale oparłam się tej pokusie.

- Właśnie dlatego nie zamierzam więcej chodzić do jej domu. Zabiera głos w zbyt wielu sprawach, o których nie ma pojęcia.

- Mówiła, że próbujesz uratować siostrzeńca, który trafił do niemieckiego obozu, i że doprowadza cię to do szału. Uważa, że to wszystko wina okoliczności, a nie twoja.

- Wspominała ci, że jest Żydówką? - Wypowiedziałam te słowa, zanim zdołałam je powstrzymać. Miałam ochotę natychmiast wepchnąć je sobie z powrotem do gardła.

Cocteau zamarł.

- Misia jest. ? - Rozejrzył się po niemal opustoszałej restauracji, a ja, widząc ten gest, poczułam przewrotną satysfakcję. Strach przed tym, że ktoś nas podsłuchuje, stale nam towarzyszył. Cieszyłam się, że nie uchronił się przed nim nawet Cocteau. - Myślałem, że jest katoliczką. Tak twierdziła. W domu ma dziesiątki ikon i krucyfiksów.

- Jest katoliczką. Zastanawiałam się po prostu, czy kiedykolwiek o tym wspominała.

- Nie mnie. - Oblizła wargi, a mnie zrobiło się niedobrze. Misia nie powiedziała mi, że jest Żydówką. Starła się tylko coś udowodnić i krytykowała niektóre moje decyzje. A ja podzieliłam się potencjalnie śmiercionośną informacją z największym plotkarzem w Paryżu.

- Próbowała po prostu wzbudzić we mnie współczucie. Znasz ją. Gdyby zorganizowali oblawę na konie, stałaby się kulawą klaczą.

Cocteau zachichotał, a ja poczułam głęboką ulgę. Choć uwielbiał wszelkiego rodzaju plotki i skandale, niezwykle łatwo było go też skierować na inne tory.

- To prawda. Misia uwielbia robić z siebie męczennicę. Ostatnio stroni od wszystkich. Prawie nie wychodzi już z domu, a ona i Sert. - Wzruszył ramionami. - Muszą się nie znosić, a mimo to całymi dniami siedzą sobie na głowie. A przecież Jojo ma też własne mieszkanie i gdyby tylko chciał, z pewnością mógłby tam zamieszkać.

- To nieprawda, że się nie znoszą. - Dałam kelnerowi znak, żeby przyniósł rachunek. - Potrzebują się. A to zupełnie inny układ.

- A zatem przyjdiesz? - Otarł usta serwetką. Zjadł wszystko, co miał na talerzu, wytarł nawet chlebem obrzydliwy sos. - Lifar wrócił z Berlina. Mamy się jutro spotkać, żeby posłuchać jego opowieści. Coco, musisz przyjść. Wszyscy za tobą tęsknimy.

- Sama nie wiem. Zastanowię się - powiedziałam. - Chodź, spacerujmy się, a ty opowiesz mi o swojej nowej sztuce.

To była najstarsza sztuczka, jaką znałam: wystarczyło zapytać pisarza o jego pracę, a wszystko inne natychmiast odchodziło w niepamięć. Oczywiście ta metoda sprawdziła się i w tym przypadku.

Ostatecznie zdecydowałam się pójść do Misi i zabrałam ze sobą Spatza. Po raz pierwszy przedstawiłam go swoim znajomym i zrobiłam to celowo - na przekór wszystkim. Wkroczyłam do salonu w futrze z norek, perłach, wyperfumowanym szaliku i z umalowanymi na czerwono ustami. U Sertów zgromadziło się więcej osób niż zwykle: przyszli znajomi Jojo, artyści, kilku nic nie znaczących urzędników kolaborujących z Niemcami, a także Marie-Louise, Cocteau z kochankiem, gwiazdą popołudniówek Marais oraz Lifar ze swoim tancerzem.

Misia obserwowwała z przerażeniem, jak Spatz pomagał mi zdjąć futro. Wymanikiurowanymi palcami wygładziłam swój kostium z ciemnej wełny, a Jojo poczłapał w naszą stronę i uściskał Spatzowi dłoń. Marie-Louise zatrzepotała rękami na widok mojego towarzysza. Zgodnie z naszą umową Spatz miał tego wieczoru mówić wyłącznie po francusku. Po francusku lub po angielsku - żadnego niemieckiego.

Po obfitym posiłku usiadłam przy zastawionym fotografiami fortepianie rozpaczliwie

domagającym się strojenia i razem z Lifarem oraz Cocteau odegrałam kilka swoich starych piosenek z Moulines, które dawno temu oczarowały tamtejszych oficerów. Śpiewałam ochrypłym głosem, który załamywał się przy wyższych dźwiękach, ale wszyscy klaskali, a ponieważ Spatz się uśmiechał, wyzbyłam się zahamowań i wykonałam jeszcze kilka utworów. Kiedy w pewnym momencie zapomniałam słów, roześmiałam się, a Lifar wkroczył ze swoim uroczym barytonem, żeby zatuszować moje potknięcie.

Misia przez cały ten czas nie odezwała się ani słowem.

Później, gdy zasiedliśmy do hiszpańskiego koniaku, który Jojo zdołał kupić Bóg wie gdzie, ktoś wspomniał o straszliwych stratach poniesionych przez Amerykanów w Pearl Harbor. Ta wzmianka nie zepsuła jednak gościom nastroju: wydawało się, że nikt się tym nie przejął, do czasu, aż Spatz zauważył:

- Amerykanie nie chcą się angażować, ale po tym, co się stało, z pewnością.

- Co? - przerwał mu Cocteau. - Co niby zrobią? A raczej: co mogą zrobić?

- Właśnie - dodał leżący na szezlongu Lifar, przeciągając samogłoski. - Stracili całą flotę. Musieliby ciskać w Japońców kulkami z gumy do żucia.

- I butelkami coca-coli - dodał Cocteau, klaszcząc z radości. - I cukierkami! Atmosfera stawała się coraz bardziej napięta, a siedzący przy stole urzędnicy - francuscy

biurokraci, którzy korzystali z nieszczęścia innych - patrzyli niepewnie na moich znajomych, do czasu aż Misia posłała wszystkim złowrogie spojrzenie i rzuciła:

- Wyoście się. Nikt się nie ruszył.

- Wyoście się - powtórzyła.

Wstała od stołu i spojrzała na nas z wściekłością. Wymięta sukienka z dzianiny - tak rozciągnięta i bezkształtna, że dopiero po chwili zorientowałam się, iż sama ją zaprojektowałam

- przylgnęła do jej potężnych ud i piersi. Widząc, że nikt nie wstaje po kapelusze i płaszcze, Misia ruszyła do sypialni i zatrzasnęła za sobą drzwi z taką siłą, że wiszące na ścianach obrazy aż jęknęły.

Jojo przewrócił oczyma.

- Pójdiesz zobaczyć, co się z nią dzieje, Coco? Zachowuje się tak od kilku tygodni. Miałam ochotę odmówić. Skinęłam jednak głową i sięgnęłam po torebkę. Ruszyłam

w kierunku drzwi, a w pokoju znów zapanował gwar. Wszyscy zaczęli rozważać, czy Amerykanie przystąpią do wojny, opierając swoją argumentację na absurdalnych założeniach i dyskredytując Roosevelta.

Nie zapukałam do drzwi sypialni - założyłam, że nie są zamknięte na klucz. Misia leżała na skraju łóżka i ścisnęła w dłoni chusteczkę. Spojrzała na mnie oczyma pełnymi łez i dopiero po chwili odwróciła wzrok.

- Przyszłaś tu, żeby triumfować? - wymamrotała.

Zamknęłam za sobą drzwi, po czym oparłam się o nie i skrzyżowałam ręce na piersiach.

- Jak długo zamierzasz się w ten sposób zachowywać? Nie mam do tego cierpliwości, Jojo zresztą też.

- Sięgnęłam do torebki i wyjęłam z niej trzy fiołki, które postawiłam na biurku.

- Proszę.

- Dziękuję - odparła, nie patrząc w moją stronę.

- To wszystko? No dobrze. Nie ma za co. - Odwróciłam się do drzwi.

- Coco, zaczekaj - powiedziała Misia słabym głosem. - Ja... przepraszam za to, co mówiłam tamtego dnia. Byłam zdenerwowana. Ta wojna jest. - Zdusiła szloch.

Podeszłam do łóżka, usiadłam przy niej i wzięłam ją za rękę.

- Przyjaźnimy się od ponad dwudziestu lat. Przyjaciółki czasem się kłócą. To się zdarza.

Wiem, jak bardzo się tym wszystkim przejmujesz. Ja też cię przepraszam. Nie chciałam się tak na ciebie gniewać. To przecież nie twoja wina. Pociągnęła nosem.

- Jestem tylko zwykłą starą kobietą. Nie poznaję już świata, który mnie otacza.

- Nikt z nas go już nie poznaje. Ale taki na razie jest ten świat.

Pokiwała głową i mocniej ścisnęła moją dłoń. Wreszcie podniosła wzrok. Dopiero w tamtej chwili uderzyło mnie, jak bardzo się zestarzała. Zapomniałam, że Misia miała już prawie siedemdziesiąt lat i podczas gdy sama robiłam wszystko, żeby ukryć swój wiek, ona została przez niego pochłonięta przy całej swojej rezygnacji i bezradności.

- Twój przyjaciel wydaje się miły - powiedziała. - Nie jest taki, jak sądziłam. Zachichotałam.

- Nie nosi munduru esesmana, jeżeli o to ci chodzi. Jest dyplomata.

- Tak. Zauważyłam. - Zdołała się lekko uśmiechnąć. - Jesteś szczęśliwa?

Przez dłuższą chwilę zastanawiałam się nad odpowiedzią na jej pytanie. Dotąd tego nie rozważałam. Dawno już przestałam wierzyć, że szczęście jest możliwe - a przynajmniej nie uważałam go za stan, do którego ktokolwiek powinien dążyć.

- Nie wiesz? - zapytała, kiedy nie odpowiedziałam. - Coco, kochasz go?

- Nie - przyznałam po pewnym czasie. - Ale potrzebuję go, tak jak ty potrzebujesz Jojo. Teraz rozumiesz? Bez niego moje życie byłoby nie do zniesienia. Dzięki niemu.

- Zapominasz. - Pokiwała głową. - Tak, doskonale to rozumiem. On jest jak nasze niebieskie kropelki.

- A nawet lepszy. A w każdym razie mniej kosztowny. - Zauważyłam, że spojrzała w kierunku biurka.

- Chcesz, żebym ci pomogła?

Potrząsnęła głową.

- Poradzę sobie. Ja po prostu. nie chcę się teraz z nikim widzieć.

- Oczywiście. Powiem im, że się zmęczyłaś i zamierzasz się zdrzemnąć. - Pocałowałam ją w policzek. Pachniała pudrem, ale na jej skórze wyczułam subtelną nutę innego zapachu. - Czy to No. 5? - zapytałam zaskoczona.

- Używam ich codziennie. - Uniosła ramię z niespodziewaną energią typową dla dawnej Misi. - Kobieta, która nie używa perfum, nie ma przyszłości - dodała, cytując jedną z moich reklam.

Roześmiałam się i wstałam, ruszając do drzwi. Obejrzałam się przez ramię i powiedziałam:

- Nie wiem, czy zdołam jeszcze kiedykolwiek pokochać mężczyznę. Ale ciebie kocham, Misiu. Zawsze będę cię kochała, niezależnie od wszystkiego.

Jej uśmiech chwycił mnie za serce.

- Tylko dlatego żyję.

Wojna ciągnęła się w nieskończoność - a nas ciągnęła ze sobą. Pozostali projektanci starali się dostosować do ścisłej reglamentacji materiałów. Niemcy wprowadzili niezwykle surowe ograniczenia dotyczące długości strojów, a za ich złamanie groziły wysokie grzywny. Nikt jednak nie kontrolował stanu moich finansów. Choć nie miałam dostępu do swojego konta w banku, zarabiałam wystarczająco dużo, pracując w sklepie, starałam się nadążyć za niesłabnącym popytem na perfumy. Musiałam też prowadzić negocjacje z nowymi właścicielami Parfums Chanel, którzy okazali się nie mniej niezdolni od Wertheimerów. Nieustannie nalegali, żebym przestrzegała warunków poprzedniego kontraktu. Udało mi się uwolnić od Wertheimerów, nic jednak dzięki temu nie zyskałam i daremnie walczyłam o nową, lepszą umowę.

Co tydzień prosiłam Spatza, żeby spotkał się z Mommem. Co tydzień wracał z niczym. Nie było żadnych wieści o André, mimo że zdążyłam już przekazać Mommowi tyle łapówek, że mogłabym za tę kwotę doprowadzić do uwolnienia całego legionu żołnierzy.

Z zagranicy napływały podnoszące na duchu wieści. Amerykanie dołączyli do aliantów, a przypuszczona przez Niemcy pod koniec 1942 roku ofensywa przeciw Rosji zakończyła się niepowodzeniem i przyniosła wiele ofiar. Zgodnie z przewidywaniami Misi fortuna przestała sprzyjać nazistom. Tymczasem jednak narastały prześladowania francuskich Żydów: w samym tylko Paryżu aresztowano ponad trzysta tysięcy ludzi, których uwięziono na tydzień na terenie Vélodrome d'Hiver, ogromnego toru kolarskiego znajdującego się w pobliżu wieży Eiffla.

Lato 1943 roku przyniosło nieznośną duchotę i upały. Pewnego wieczoru siedziałam przy szeroko otwartych oknach i słuchałam w milczeniu relacji Spatza. Opowiadał mi szczegółowo

o potwornościach, które musieli znosić Żydzi, pozostawieni bez wody, w pełnym słońcu pod szklanym dachem Vélodrome. Umierali z gorąca - do czasu, aż zjawiała się tam grupa protestujących, na których czele stanęli katoliccy księża. Zażądali, żeby Niemcy uwolnili Żydów.

- Rozpędzono protestujących przy użyciu gazu łzawiącego i otworzono do nich ogień - mówił Spatz, krążąc po pokoju i usiłując zapalić papierosa drżącymi rękoma. - Wielu z nich aresztowano i deportowano razem z Żydami. - Widząc, jak bardzo jest zdenerwowany, podeszłam, wzięłam od niego zapalniczkę i mu pomogłam.

- Nic nie możemy zrobić - powiedziałam. Nienawidziłam swojego głosu, jego słabości, przytłaczającego poczucia bezradności. - Nie jesteśmy w stanie tego powstrzymać.

Przygryzł wargę.

- Robimy, co możemy w La Pausie - mówiłam dalej. - Doprowadziłeś do uwolnienia przyjaciela Strietza. Wielu ludzi udaje się przetrwać przez granicę. Ale to... - Zrezygnowałam z tej żalostnej próby szukania wymówek i zamilkłam. Tysiące ludzi wyciągano siłą z domów

i sklepów, wsadzono do pociągów i wywożono. Owszem, nie mogliśmy nic zrobić, żeby ich uratować, ale mimo to czułam się jak hipokrytka. W końcu sama wykorzystałam to samo ustawodawstwo, które naziści stosowali wobec Żydów. Misia mnie ostrzegła. Mówiła, że będę tego żałowała. I Bóg mi świadkiem - żałowałam.

- Oni wszyscy zginą - powiedział cicho. Mimo wyraźnego drżenia, jego głos stał się pewniejszy. - Ta wojna przyniesie potworności, jakich nigdy jeszcze nie widziano. Zniszczy Niemcy, pogrąży je na wiele pokoleń. Naszą jedyną nadzieją jest... - Gwałtownie zamilkł

i zaciągnął się, unikając mojego wzroku. Jeszcze nigdy tak nie robił, nigdy nie wahał się w tak wyraźny sposób.

- O co chodzi? Co jeszcze się wydarzyło? - zapytałam.

Milczał, a kiedy się wreszcie odezwał, mówił tak cicho, że ledwo go słyszałam:

- Przypuszczam, że moje mieszkanie jest obserwowane. Momm mówił mi, że gestapo zjawiało się u niego kilka dni temu i przeszukało gabinet. Jest przerażony. Twierdzi, że szukają dowodów na działalność spiskowców.

- I uważają, że Momm jest jednym z nich? - zapytałam z niedowierzaniem.

W odpowiedzi Spatz przeszedł zamaszystym krokiem przez pokój i pospiesznie zamknął okno. W ciągu kilku minut w pomieszczeniu zrobiło się duszno jak w saunie, a ze mnie zaczął spływać pot.

- Mamy pewien plan - zaczął Spatz. - Chcemy zakończyć to teraz, zanim będzie za późno. Ale to.

Gdzieś głęboko w brzuchu poczułam ukłucie strachu. André był nadal jeńcem. Wszyscy, którzy zajmowali się tą sprawą w Berlinie, musieli już wiedzieć, że to ja współpracowałam z Mommem. Wystarczyło przeanalizować dokumenty. Spatz był z kolei moim kochankiem.

Widywano nas razem w wielu restauracjach, a także tutaj, w Ritzu. Jeżeli gestapo go o coś podejrzewało, to z pewnością i ja mogłam wkrótce zostać przesłuchana.

- Na czym polega ten plan? - zapytałam. - Powiedz mi.

- Chcemy zawrzeć porozumienie z aliantami. Momm przypuszcza, że nasz kontakt wstrzymuje uwolnienie André, ponieważ ustalił, że możesz odegrać w tym wszystkim istotną rolę.

Roześmiałam się niepewnie i przeczesalam wilgotne włosy.

- Czy nie powiedziałaś mi kiedyś, że wojna nie jest salonową grą? Nie jestem szpiegiem. Cóż takiego mogłabym zrobić?

- Znasz Churchilla - odpowiedział. Wpatrywałam się w niego w milczeniu, przekonana, że zaszła jakaś pomyłka. Była to ostatnia rzecz, jaką spodziewałam się usłyszeć, ale patrząc na Spatza rozumiałam, że mówił poważnie.

- Nie sądzisz chyba... Przecież widziałam go dosłownie kilka razy w życiu. Poza tym on jest w Anglii i...

- Nie będzie w Anglii w kluczowym dla nas momencie. Ma pojechać do ambasady sowieckiej w Teheranie i wziąć razem ze Stalinem i Rooseveltem udział w konferencji. Stamtąd ruszy do Tunezji, a potem do Madrytu. Generał Franco zachował neutralność. Nie chce drażnić Hitlera, ale w Madrycie roi się nadal od szpiegów, którzy działają na rzecz zakończenia konfliktu. Jeżeli za pośrednictwem ambasadora uda ci się dotrzeć do Churchilla.

- I co potem? Paść na kolana i błagać? Spatz, dlaczego Churchill miałby wysłuchać akurat mnie?

- Jesteś jedyną znaną nam osobą, która ma z nim osobistą więź. Coco, mogłabyś pomóc nam zakończyć wojnę. Momm zaczął się już orientować i.

- Co? Jak on śmie?! Tu chodzi o życie mojego siostrzeńca!

- Posłuchaj mnie. - Spatz podszedł do mnie i usiłował mnie uspokoić. - Mówiłem ci, że niektórzy wpływowi ludzie w Rzeszy kwestionują politykę Hitlera. Nasz kontakt jest jedną z takich osób i uważa, że ten plan może się powieść, jeżeli zdołasz spotkać się z Churchillem i przekazać mu naszą wiadomość.

Wreszcie zrozumiałam. Zobaczyłam to w jego oczach: przerażającą determinację, której nie mogłam dłużej ignorować.

- Dobry Boże, ty naprawdę oszalałaś! - wyszeptałam. - Zamierzasz zdradzić swojego *Fuhrera*!

- Nasze cele nie są dla ciebie istotne. Musisz tylko wiedzieć, że nie możemy nic zrobić bez zgody aliantów. Ten plan wiąże się z dużym ryzykiem, ale wszystko przygotujemy: dostaniesz niezbędne zezwolenia na podróż, zrobimy ci rezerwację w madryckim Ritzu i stworzymy odpowiednie alibi.

- Alibi? - powtórzyłam, tak zaskoczona, że ledwo mogłam mówić.

- Spotkasz się ze starą przyjaciółką, Verą Bate-Lombardi. Została zatrzymana w Rzymie. Oboje z mężem są podejrzewani o szpiegostwo. Ona sama jest niewinna - zapewnił Spatz - ale Lombardi ukrył się, zanim go aresztowano. Vera wielokrotnie prosiła Churchilla o pomoc, ale jego gabinet ignorował te apele. Stało się tak przede wszystkim dlatego - choć nikt nie powie tego wprost - że Anglicy nie mogą się w to teraz mieszać. Vera kiedyś dla ciebie pracowała. Powiesz włoskim władzom, że zamierzasz ją zatrudnić, bo chciałybyś, żeby pomogła ci otworzyć butik w Hiszpanii. Zadbasz o to, żeby ją uwolniono i przewieziono do Madrytu.

Spojrzałam na niego w taki sposób, jakby stał się nagle kimś obcym. Oczywiście właśnie nim był - ale dopiero teraz dotarło to do mnie z taką siłą. Tego człowieka, któremu powierzyłam życie swojego siostrzeńca, którego gotowość do udzielenia pomocy Streitzowi chwilowo uspiła

moje podejrzenia i z którym łączyła mnie tak skomplikowana relacja - naprawdę w ogóle nie znałam. Po raz pierwszy w życiu zaprosiłam do swojego łóżka mężczyznę, który mógł mnie zniszczyć.

- Ty też przyjaźniłeś się kiedyś z Verą - wydusiłam. - Byłeś z nią w Monte Carlo na moich urodzinach, a zatem ty i twoi znajomi na pewno wiecie, że nie rozmawialiśmy ze sobą od lat. Owszem, pracowała dla mnie w Londynie jeszcze przed ślubem, ale dlaczego ktokolwiek miałby uwierzyć, że w takich okolicznościach, po tym, jak odmówiłam otwarcia pracowni tu,

w Paryżu, zamierzam ją zatrudnić i założyć butik w Hiszpanii?

- Dlatego, że do ciebie napisała. - Sięgnął po swoją aktówkę i otworzył szyfrowany zamek. Zobaczyłam kilka teczek. Wyciągnął jedną z nich, położył na łóżku, a następnie wyjął z niej kopertę. - Przesłała ci ten list cztery miesiące temu, prosząc, żebyś wstawiła się za nią u Churchilla. Musiała wierzyć w to, że masz na niego jakiś wpływ.

- Ty. przechwytywałeś moją korespondencję?

- Musiałem. - Nie silił się nawet na przeprosiny. - Taki miałem rozkaz. Musiałem być pewien, a raczej moi przełożeni musieli być pewni, że można ci zaufać. Widzieliśmy też list, który napisałaś do Churchilla, ten, w którym gratulowałaś mu wygranej w wyborach. Był utrzymany w bardzo osobistym tonie. Wysłaliśmy go i mieliśmy nadzieję, że do niego dotrze, chociaż oczywiście nigdy nie można mieć absolutnej pewności. Istnieje wiele sposobów, by sprawić, żeby takie listy zaginęły.

- Dobry Boże. - Gwałtownie się odwróciłam. Dławiło mnie przerażenie. Co ja zrobiłam? Jak mogłam pozwolić, żeby to wszystko zaszło aż tak daleko? Nagle stanęło mi przed oczami wspomnienie chłopca, który siedział na rozpadającym się murze w Vichy. Przypomniłam sobie jego gwałtowny skok i ucieczkę z moimi pieniędzmi. Drobnym złodziejaszek rozbudził we mnie współczucie, a potem mnie oszukał. A teraz okazało się, że padłam ofiarą dużo groźniejszego człowieka.

Uznałam jednak, że okazywanie strachu nic mi teraz nie da. Spatz mnie potrzebował. Pomyślałam, że może uda mi się jeszcze wykorzystać tę sytuację. Starając się odzyskać panowanie nad sobą, odezwałam się tym samym tonem, którym negocjowałam ceny materiałów:

- Ten twój kontakt nie oczekuje zapewne, że podejmę takie ryzyko za darmo. Co może zaoferować w zamian?

- Uwolnienie André - odpowiedział Spatz bez wahania. Miałam ochotę rzucić mu się do gardła. - Człowiek, o którym mówię, dostał awans, a jako nowy dyrektor wywiadu wojskowego w Berlinie, może podpisać odpowiednie papiery i wysłać André do Paryża, gdzie twój siostrzeniec miałby zarządzać jednym z zakładów Momma.

- Tak po prostu? Po tak długim czasie? - Zacisnęłam pięści. - Jeżeli zgodzę się jechać do Madrytu, mój siostrzeniec zostanie uwolniony?

- Tak. - Spatz mówił spokojnym głosem, choć musiał wiedzieć, musiał zauważyć, jak bardzo go w tamtej chwili nienawidziłam.

- Jesteście nikczemni - rzuciłam. - Wszyscy jesteście potworami.

- Być może, ale takie postawił warunki. Jeżeli nam pomożesz, uwolni André. Zgadzasz się?

Udawałam, że się zastanawiam. Spatz nie wspominał już o tym, że jeżeli zdołam dotrzeć do Churchilla, mogę odegrać kluczową rolę i doprowadzić do zakończenia tej strasznej wojny. Nie robił tego, bo udało mu się już tak skutecznie zastawić na mnie pułapkę, że doskonale wiedział, co odpowiem. Zdawał sobie sprawę, że dla André zrobię absolutnie wszystko.

- Przekaż swojemu kontaktowi, że się zgadzam - powiedziałam. - Ale muszę najpierw zobaczyć swojego siostrzeńca. Żywego.

We wrześniu Spatz zaaranżował mój wyjazd do Berlina. Podróżowałam w absolutnej tajemnicy. Wsiadłam do nocnego pociągu z małą walizką i torebką, w której znajdowały się niezliczone przepustki i podstemplowany paszport. Pociąg mijał kolejne barykady i zasieki, przechodziłam kolejne kontrole i rewizje, i przez cały czas usiłowałam zachowywać obojętny wyraz twarzy. Nikt nie zapytał, dlaczego jadę do Berlina, co bardzo mnie zaskoczyło. Spatz przygotował mi historyjkę o starej przyjaciółce, dawnej klientce, którą zamierzałam odwiedzić. Ale najwyraźniej moja przepustka wystarczyła i nie zadawano mi żadnych pytań. Zostałam tylko poinformowana przez urzędnika, że mój *Ausweis* uprawnia do spędzenia dwóch dni poza Francją.

Jeszcze nigdy nie byłam w Berlinie, ale nie zdążyłam wiele zobaczyć. Ze stacji odebrała mnie limuzyna - mercedes z przyciemnianymi szybami - która zawiozła mnie do siedziby wywiadu wojskowego. W oddali majaczyły czarne od sadzy budynki, przy których leżał śnieg i gruzy, pozostałości po niedawnych alianckich nalotach. Nad fasadami powiewały swastyki. Na ulicach widziałam przechodniów, którzy spacerowali i załatwiali sprawunki. Zobaczyłam nawet kilka całujących się par. Ludzie zachowywali się tu dokładnie tak samo, jak wszędzie indziej. Gdyby nie symbole nazistowskiej potęgi, eksponowane na każdym rogu - plakaty z podobizną Hitlera wiszące na murach i tramwajach - Berlin przypominałby zwykłe europejskie miasto: zatłoczone i głośnie, cuchnące benzyną oraz węglem. Trudno było mi sobie uzmysłowić, że znalazłam się w samym sercu przerażającego reżimu, który chciał nas wszystkich zetrzeć na pył.

Przez ponad godzinę czekałam na ławce na trzecim piętrze zimnego, nijakiego budynku. Paliłam nerwowo papierosa za papierosem - do czasu, aż sekretarka wskazała mi wiszący nad moją głową znak i poinformowała mnie, że palenie jest tu *verboten*. W końcu poprowadziła mnie korytarzem, w którym rozlegał się miarowy stukot maszyn do pisania i wskazała mi przeszklone drzwi.

Weszłam do środka i ku swojemu zaskoczeniu zobaczyłam znajomy widok: stopy segregatorów, pełne papierów biurka, rozdzwonione telefony i krzątające się sekretarki w butach na niskich obcasach i nylonowych pończochach. Wszystko wydawało się takie... normalne. Zwyczajne. To miejsce w żadnym wypadku nie wyglądało jak wnętrze maszyny śmierci. Równie dobrze mogłabym trafić do dowolnego biura w Paryżu.

- Proszę tu poczekać, *Fräulein* - nakazała sekretarka.

Znowu postawiłam walizkę na podłodze i usiadłam na krześle z twardym oparciem, ściskając w rękach torebkę. Powtarzałam sobie, że muszę zachować spokój. Kontakt Spatza zgodził się przecież na mój przyjazd. Gdyby coś mi groziło, nie dopuściłby do tego. Rozpaczliwie pragnęłam w to wierzyć.

Po jakichś trzydziestu minutach sekretarka wróciła i zaprowadziła mnie do biura na końcu korytarza. Okno pokrywała tak gruba warstwa brudu, że nie było przez nie niczego widać. W środku czekał na mnie wysoki młody człowiek z zaczesanymi do tyłu kasztanowymi włosami, szczupłą twarzą i pięknymi szarymi oczami. Zastukał obcasami i uklonił się. Zamiast munduru miał na sobie ciemny, wełniany garnitur i krawat oraz obowiązkową czarno-czerwoną opaskę.

- *Mademoiselle* - zwrócił się do mnie po francusku. Mówił z silnym akcentem. - To ogromna przyjemność. Pułkownik Walter Schellenberg, szef wywiadu. Miło mi powitać panią w Berlinie.

Posłałam mu wymuszony uśmiech. Nie wiedziałam, jak powinnam się zachować. Usiadł za biurkiem i zajrzał do jakiejś teczki.

- Jak rozumiem, została pani o wszystkim poinformowana, prawda? - zapytał, nie podnosząc wzroku.

- Tak - odparłam słabym głosem. - Mam pojechać do.

- Nie, nie. - Podniósł rękę, żeby mnie uciszyć. - A zatem - mówił dalej - jeżeli chodzi o pani siostrzeńca, André Palasse'a, dokładnie przejrzałem jego akta i sądzę, że może nam się przydać. Twierdzi pani, że pracował w pani *atelier* i zdobył doświadczenie, które pozwoliłoby mu kierować produkcją wyrobów włókienniczych. Zgadza się?

Skinęłam głowę.

- Chciałaby go pani zobaczyć, zanim zostanie zwolniony?

- Tak. - Przelknęłam ślinę. - Tak - powtórzyłam pewniejszym głosem. - Chciałabym się z nim zobaczyć. W jakim jest stanie?

- Chorował, ale czuje się na tyle dobrze, na ile można się czuć w takich okolicznościach. Kazałem go zwolnić. Trafi do szpitala, gdzie zostanie do czasu, aż odzyska siły po... - Zerknął w papiery. - Zapaleniu oskrzeli. Za kilka dni zostanie przekazany Mommowi, który przydzielili mu nowe stanowisko.

- Podniósł wzrok i spojrzął na mnie obojętnie. - Znajduje się obecnie w tym budynku.

Zerwałam się na równe nogi, przewracając walizkę. Zamierzałam się po nią pochylić, ale Schellenberg okrążył biurko i zbliżył się do mnie.

- Proszę pozwolić, że pani pomogę - powiedział. Sięgając po walizkę, wyszeptał: - Ma pani dziesięć minut. Samochód będzie na panią czekał na dole trzydzieści minut przed pełną godziną. Odwiezie panią na stację, tak żeby zdążyła pani na nocny pociąg do Paryża.

- Ale ja. myślałam, że będę mogła spędzić tu chociaż dzień czy dwa.

- To niemożliwe. Dziesięć minut, *mademoiselle*. - Cofnął się i skinął głową ze staroświecką kurtuazją.

- Cieszę się, że mogłem pani pomóc. Życzę udanej wizyty. *Heil Hitler*.

Jak na zawołanie, w drzwiach pojawiła się sekretarka, która zaprowadziła mnie do kolejnych schodów. Weszliśmy piętro wyżej i dotarliśmy do długiego korytarza. Jej obcasy stuknęły na marmurowych podłogach. Kiedy stanęliśmy przy drzwiach, kobieta zatrzymała się

i puściła mnie przodem.

- *Fräulein*, zaczekam tu na panią - powiedziała. - Może pani zostawić mi swoją torebkę i walizkę.

Wyciągnęłam rękę w stronę klamki. Przez chwilę palce drżały mi do tego stopnia, że nie mogłam jej nacisnąć. Stojąca za mną sekretarka dodała:

- Dziesięć minut, *Fräulein*.

Weszłam do małego pokoiku bez okien.

Z sufitu zwisała naga żarówka, pod nią stał mały stolik. W zimnym świetle ujrzałam wychudzoną, skuloną na krześle postać, która odwróciła się w moją stronę. Dostrzegłam ogromne oczy i wystające kości policzkowe.

- André - powiedziałam. Do oczu napłynęły mi łzy. Podeszłam do niego i otoczyłam go ramionami. Siedział w milczeniu, nieruchomo. Pod luźnymi ubraniami czułam każdą kość jego ciała. Zamrugłam, a kiedy dokładniej mu się przyjrzałam, nie zdołałam stłumić okrzyku przerażenia. - Mój Boże, co oni ci zrobili?

Zakaszłał. W jego klatce piersiowej rozległ się głęboki charkot.

- *Tante Coco* - wyszeptał, tak jakby samo wypowiedzenie tych słów sprawiało mu trudność. - Czy, czy możesz mi pomóc?

- Tak. - Padłam na kolana i ścisnęłam jego kościste dłonie. - Wyślą cię na kilka dni do szpitala, a potem wrócisz do domu. Katharina i Topsy na ciebie czekają. Tęsknią za tobą, bardzo się o ciebie martwiły.

- One żyją? - zapytał łamiącym się głosem.

- Tak, oczywiście, że tak. Są w Pau, nic im się nie stało. Odwiedziłam je jakiś czas temu. Spuścił głowę, a kiedy jego wystające ramiona zaczęły drżeć, zdałam sobie sprawę, że

łkał.

- Powiedzieli mi, że nie żyją.

Raz jeszcze go objęłam i przycisnęłam jego głowę do swojej piersi.

- Kłamali. Twoja rodzina jest bezpieczna. Przysięgam. Otoczył mnie wychudłymi ramionami.

- Pachniesz Paryżem. Chciałbym wrócić do domu - wyszeptał. Te słowa sprawiły, że cofnęłam się pamięcią do tamtego dnia, kiedy zabrałam go na herbatę do Ritza. Był wtedy małym chłopcem, a jego impulsywny gest kompletnie mnie zaskoczył.

Miałam tak ściśnięte gardło, że ledwo zdołałam odpowiedzieć.

- Za kilka dni wrócisz. Najpierw musisz wyzdrowieć. Przyjmuj leki, odpoczywaj i odzyskuj siły. Potrzebujemy cię.

Rozległo się pukanie do drzwi. Za plecami usłyszałam głos sekretarki:

- Trzy minuty, *Fräulein*.

Zerknęłam z wściekłością w stronę drzwi. Miałam ochotę krzyzczeć, roztrzaskać mury tego budynku, tak żeby runęły na głowy przeklętych nazistów. Zamiast tego jednak odwróciłam się do André i wyszeptałam:

- Posłuchaj mnie. Muszę już iść. Nie pozwalają mi dłużej zostać. Proszę, rób, co ci każą, dopóki nie wypuszczą cię do domu. Będziesz kierował zakładem włókienniczym. Wszystko już załatwiłam. - Otoczyłam dłońmi jego twarz, on zaś starał się zdusić suchy kaszel. Jego spojrzenie stało się nieobecne, a oczy się zaszkliły. - Słyszysz mnie? Nikt cię już nie skrzywdzi. Jesteś bezpieczny.

Nie odpowiedział. Patrzył przed siebie nieprzytomnym wzrokiem. Otworzyły się drzwi, a sekretarka powiedziała:

- *Fräulein*, samochód już czeka.

- Jeszcze minuta. Proszę, on jest taki chory. Wydaje mi się, że nie rozumie, co do niego mówię.

Potrząsnęła głową.

- Nie ma już czasu.

- André - błagałam. On jednak siedział nieruchomo, tak jakby przeniósł się już myślami gdzie indziej i uciekł ze swojego kruchej ciała. Tłumiąc szloch, ruszyłam do wyjścia, oglądając się przez ramię i patrząc na tę zbieraninę kości i cieni. Wreszcie, w chwili, w której przekraczałam próg, wyszeptał:

- *Merci, tante Coco*.

Podczas długiej drogi powrotnej do Paryża nie zmrzyłam oka.

Siedziałam w pociągu i wyglądałam przez okno, patrząc w ciemność i obserwując oddalający się krajobraz. Nad moją głową unosiła się chmura dymu, a popielniczka była pełna niedopałków. Przez cały czas widziałam udręczone oczy André i ostry zarys jego czaszki. Słyszałam jego głęboki, suchy kaszel.

Mój siostrzeniec cierpiał na gruźlicę. Nie miałam co do tego wątpliwości. Wiedziałam, że jeżeli nie trafi do sanatorium specjalizującego się w leczeniu tej choroby, umrze. Niemców nie obchodził jego los. Zamierzali zatrzymać go na kilka dni w szpitalu, a potem, zgodnie z obietnicą, wysłać do Paryża. Zdawałam sobie jednak sprawę, że jeżeli André będzie harował w zakładach włókienniczych, to jeszcze bardziej ucierpi na tym jego zdrowie. Zdecydowałam, że niezależnie od kosztów muszę zabrać go do Szwajcarii, do kliniki, w której znalazłby się pod opieką najlepszych lekarzy.

Zdawałam sobie jednak sprawę, że zanim do tego dojdzie, muszę zadbać o jego bezpieczeństwo i dostarczyć do Madrytu pewną wiadomość.

XIV

W styczniu 1944 roku nadeszły siarczyste mrozy. Właśnie wtedy wyruszyłam w podróż do Hiszpanii. Święta Bożego Narodzenia upłynęły w bardziej ponurej atmosferze niż zwykle, a niedobory, które dotknęły Paryż, przybrały już takie rozmiary, że nawet goście Ritzu zaczęli marznąć w pokojach i doświadczać uporczywego głodu.

Spatz pojechał ze mną pociągiem aż do granicy. Podczas długich godzin, które musieliśmy spędzić zamknięci w ciasnej kuszetce w przedziale pierwszej klasy, przedstawił mi wszystkie szczegóły mojej misji.

- Po przyjeździe do Madrytu pójdziesz prosto do Ritzu. Zrezygnuj ze zwiedzania miasta. Kiedy już się zameldujesz, zaczekaj na Verę w hotelu. O niczym jej nie mów. Z pewnością przypomni ci o swoim liście i o tym, jak usiłowała skłonić Brytyjczyków, żeby pomogli jej uwolnić męża. Kiedy to zrobi, zaproponuj, że jej pomożesz, i poprosisz ambasadora o spotkanie. Churchill ma przyjechać po piętnastym. Jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z planem, ambasador pozwoli ci porozmawiać z nim w imieniu Very. Sama Vera nie może pod żadnym pozorem uczestniczyć w waszym spotkaniu. Przekonaj ją, że to najlepsze rozwiązanie, bo w obecnej sytuacji jej obecność w ambasadzie mogłaby wzbudzić podejrzenia hiszpańskich władz. Franco jest sojusznikiem Mussoliniego. Vera nie może się zjawić w ambasadzie, w przeciwnym razie Hiszpanie zorientują się, że nie przyjechała do Madrytu, żeby otworzyć butik.

Wręczył mi złożoną kartkę papieru.

- Oto twoja rezerwacja. Będzie ci potrzebna, żeby przekroczyć granicę. Wiza jest w paszporcie. Nasz kontakt w Madrycie przekaże ci wiadomość. Nie wiemy, kto to będzie, więc nie spodziewaj się Niemca. Pracują dla nas ludzie różnych narodowości. Nie otwieraj koperty, którą dostaniesz. Po prostu wręcz ją Churchillowi - nikomu innemu - kiedy spotkasz się z nim w ambasadzie, żeby porozmawiać o Verze. Zanim to zrobisz, nie spuszcza jej z oka.

- A co, jeżeli Churchill nie zechce się ze mną spotkać? - zapytałam, chowając rezerwację do torebki. - Skoro w przeszłości nie chciał interweniować w sprawie Very, dlaczego miałby teraz zmienić zdanie?

- Dlatego, że ty go o to poprosisz - wyjaśnił. - Poza tym, kiedy już przeczyta wiadomość, zrozumie, że nie chodzi o Verę. Gdyby coś nie poszło zgodnie z planem, zniszcz wiadomość

i natychmiast wracaj do Paryża. - Zamilkł na chwilę. - Niewykluczone, że będę musiał przenieść się do twojego pokoju w Ritzu. Nie mogę już mieszkać u siebie, to staje się coraz bardziej niebezpieczne.

- Tak, oczywiście - odparłam z roztargnieniem. Moje oczy powędrowały ku rezerwacji, wydrukowanej na firmowym papierze madryckiego Ritzu. Miałam wrażenie, że wyróżnia się pośród innych moich rzeczy.

Nie rozmawialiśmy już więcej o mojej misji. Zjedliśmy kolację i położyliśmy się do łóżka. Spatz zasnął, a ja nie zmrzyłam oka, zastanawiając się - tak jak to robiłam od początku wojny - nad swoim postępowaniem. Dlaczego nie zrobiłam tak jak Misia i wielu innych ludzi, którzy albo uciekli, albo postanowili przeczekać konflikt, ukrywając się w swoich domach? Jak to się stało, że ja, kobieta, która miała niedługo obchodzić sześćdziesiąte pierwsze urodziny, znalazłam się nagle w pociągu mknącym w kierunku obcego kraju dotkniętego wojną domową? Jak to się stało, że zamierzałam spotkać się z człowiekiem, którego widziałam zaledwie kilka razy w życiu - premierem państwa, z którym Niemcy toczyły wojnę, mającym z pewnością ważniejsze sprawy na głowie.

Kiedy dotarliśmy do granicy, Spatz wysiadł na peron i zaczął rozmawiać z człowiekiem

ubranym w obszerny płaszcz i kapelusz z szerokim rondem. Czekałam, drżąc ze strachu. Po chwili Spatz odprowadził mnie do pociągu, którym miałam dotrzeć do Madrytu. Zanim weszłam po schodkach prowadzących do wagonu, chwycił moją dłoń.

- Bądź ostrożna, Coco. Gdybyś w którymkolwiek momencie zaczęła się obawiać, że możesz zostać zdemaskowana, natychmiast przerwij misję. Hiszpania nie jest bezpiecznym krajem. Kontrolowana przez Franco Guardia Civil aresztuje ludzi z byle powodu. W żadnym wypadku się nie narażaj.

- Teraz mi to mówisz? - Uśmiechnęłam się, żeby złagodzić nieco swój ostry ton, i zapewniłam, że będę ostrożna. - Poza tym jestem Coco Chanel. Któż śmiałby mnie aresztować? Spatz uchylił lekko kapelusz i cofnął się, a pociąg ruszył i pomknął w noc. Usiadłam przy oknie w swoim przedziale i wyjrzałam przez oblodzoną szybę, żeby spojrzeć na niego po raz ostatni.

Zniknął. Dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, że zostałam zupełnie sama.

Madryt był w opłakanym stanie. Z powodu długich walk między rządem republikańskim a faszystowską armią Franco miasto zostało doprowadzone do takiej ruiny, że na jego tle Paryż przypominał róg obfitości. Na ulicach leżały sterty gruzu. Ludzie wlekli się przed siebie ze spuszczoneymi głowami, chroniąc się przed przejmującym chłodem i ściskając zwiotczałe torebki z zakupami.

W samym Ritzu, podobnie jak w jego paryskim odpowiedniku, skrzyły się żyrandole i unosił się duch światowej elegancji, mimo że hotel służył niedawno jako szpital wojskowy. Zameldowałam się i po chwili zaprowadzono mnie do niewielkiego apartamentu. Ruszyłam na górę, żeby się umyć i przebrać. Zastanawiałam się, czy powinnam czekać na sygnał od Very - ale kiedy zaczęłam rozpakowywać walizkę, zadzwonił telefon. Okazało się, że Vera czekała już na mnie w lobby.

Miała na sobie jeden z moich kompletów - spódnicę i żakiet z kremowej wełny. Jej krótkie, kasztanoworude włosy były lekko pofalowane. Usłyszała mnie, dopiero kiedy stanęłam tuż za nią.

- Vera, kochanie, wspaniale cię widzieć.

Odwróciła się gwałtownie, tłumiąc okrzyk zdziwienia, tak jakbym wyrwała ją z rozmyślań.

Starałam się ukryć przerażenie, widząc jej wyniszczoną twarz. Nie było śladu po pełnej życia rozwódce noszącej stroje z czerwonego jedwabiu i wplatającej we włosy kamelie. Utkwiłam wzrok w jej dłoniach, które drżały, kiedy zapalała papierosa. Miała niepomalowane, obgryzione do żywego mięsa paznokcie. Dostrzegając moje spojrzenie, posłała mi niepewny uśmiech.

- Jak widzisz, Coco, nie jestem już tą samą kobietą co dawniej.

- Och, musiałaś przeżyć straszne rzeczy - powiedziałam łagodnie. Wzięłam ją pod ramię i poprowadziłam do stolika. Zamówiliśmy dwie kawy, które cuchnęły cykorią. - Wychodzę z siebie, odkąd dowiedziałam się, że zostałam zatrzymana w Rzymie. Biedactwo. A do tego ta straszna sytuacja z twoim mężem... Naciskałam, żeby pozwolono ci pomóc mi w tym nowym przedsięwzięciu.

Wiedziałam, że mówię za szybko i zbyt niecierpliwie, że słowa wypływają z moich ust, tak jakbym recytowała je z pamięci. Minęło wiele lat, odkąd widziałyśmy się po raz ostatni. Po ślubie z Lombardim Vera zrezygnowała z pracy w moim butikiu i zamieszkała we Włoszech. Choć w ciągu tego czasu wymieniliśmy kilka zdawkowych listów, wraz z nadejściem wojny nasza korespondencja całkowicie ustała. Zawsze ją lubiłam. Znajomości, które miała pośród angielskich elit, zapewniły sukces mojemu londyńskiemu butikowi. Teraz jednak zdałam sobie

sprawę, że zmieniła się nie mniej ode mnie - a właściwie bardziej. Wydawała mi się jednocześnie znajoma i obca. Miała na sobie zaprojektowane przeze mnie ubrania, ale nasza przeszłość postrzępiła się jak nitka, która wisiała teraz u jej rękawa. Oderwała ją, po czym powiedziała ostro:

- Nie rozumiem.

- Nie rozumiesz? - Wypiłam łyk kawy, równie gorzkiej jak kłamstwa, które sączyły się z moich ust. - Sądziłam, że wszystko ci wytłumaczono.

- Owszem, ale nadal nie rozumiem. - Zapaliła kolejnego papierosa. - Nie chciałam tu przyjeżdżać. Tłumaczyłam tym ludziom, że muszę zostać w Rzymie ze względu na Alberto, mojego męża... - Głos jej się załamał, a do oczu napłynęły łzy. Po chwili zamruła i ostrożnie się rozejrzała, a następnie dodała oskarżycielskim tonem: - Nie rozumiem, dlaczego im pomagasz.

Przez chwilę siedziałam nieruchomo. Spatz radził mi niczego nie ujawniać, oparłam się więc w fotelu i spojrzałam na nią z troską.

- Moja droga, obawiam się, że to nieporozumienie. Nikomu nie pomagam. Tu chodzi wyłącznie o modę. Wojna domowa w Hiszpanii dobiega końca, to idealny moment, żeby otworzyć butik w Madrycie.

- Do diabła z modą. - Wrzuciła do swojej filizanki wypalony do połowy papieros. - Czyś ty oszalała? Wojna opanowała cały świat! - Nagle zamilkła i zaczęła dygotać, usiłując powstrzymać oburzenie. - Co ty do licha knujesz? - Sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła wymięty telegram, który cisnęła na stół. - Czy to ty mi go wysłałaś?

Sięgnęłam po kartkę i przeczytałam wiadomość po angielsku:

WRACAM DO PRACY. CHCĘ, ŻEBYŚ PRZYJECHAŁA MI POMÓC. RÓB
DOKŁADNIE TO, O CO POPROSZĘ. CZEKAM NA CIEBIE Z NIECIERPLIWOŚCIĄ
I RADOŚCIĄ. WYRAZY MIŁOŚCI.

Na mojej twarzy musiało pojawić się zaskoczenie, bo Vera dodała:

- Dostarczono mi tę wiadomość razem z bukietem czerwonych róż. Róż, w środku zimy! Kogo byłoby na to stać? Kiedy zjawili się nazajutrz, a ja powiedziałam im, że muszę zostać

w Rzymie, na wypadek gdyby mąż próbował kontaktować się ze mną, siłą wepchnęli mnie do samolotu. Musiałam wszystko porzucić, nawet mojego biednego psa!

- Ja... nie miałam pojęcia. - Papier zaszeleścił mi w dłoniach. Mój niepokój narastał. Nie wysłałam ani telegramu, ani róż, a mimo to ktoś chciał to upozorować, żeby oszukać Verę. Nie przyjechała do Madrytu z własnej woli i sądząc po tonie naszej rozmowy, nie zamierzała prosić mnie o pomoc - czy nawet jej przyjąć.

- Nie, najwyraźniej nie miałaś - powiedziała, przerywając moje rozmyślenia - choć twierdzisz, że znałaś moją sytuację. Zakładam, że dostałaś mój list, choć mi nie odpisałaś. Ale niezależnie od listu, ja również trochę o tobie wiem. Wszyscy wiedzą, że otaczasz się w Paryżu nazistami, i choć masz z nimi dobre relacje, nie otworzyłaś na nowo swojej pracowni. Nigdy nie założyłabyś nowego butiku tutaj, gdzie ludzi ledwo stać na bochenek chleba. A więc po co mnie tu ściągałaś? Bo nawet jeżeli to prawda, w co zresztą szczerze wątpię, nie zamierzam zostać twoją ekspedientką. Mój mąż jest zbiegiem, a ja muszę go odnaleźć.

Przypomniałam sobie rady Spatza i powiedziałam ostrożnie:

- Może zdołam ci pomóc. Jeżeli zechcesz, zwrócę się do angielskiego ambasadora w twoim imieniu.

- Ty? - rzuciła, mrużąc podejrzliwie oczy. - Dlaczego miałby się z tobą spotkać? Chyba zapominasz, że nie jesteś już taka ważna jak kiedyś. Nie masz w Anglii żadnych kontaktów. Poza tym wysłałam już listy i telegramy do wszystkich wpływowych osób. Od miesięcy błagam

o pomoc. Ignorują mnie, tak jak ty.

Spatz się przeliczył. Vera nie mogła zapewnić nam alibi. Nie mogła okazać się użyteczna w żaden sposób. Zagrozała całej misji: było jasne, że mi nie ufa.

- No cóż, skoro znalazłaś się w tak trudnym położeniu... - Usiłowałam uśmiechnąć się przeprasząco.

- Nie zdawałam sobie sprawy z twojej sytuacji. Vero, przysięgam, gdybym tylko wiedziała.

Machnęła lekceważąco ręką.

- Nie kiwnęłabyś nawet palcem. Nigdy tego nie robisz. Zawsze postępujesz tak, jak ci się podoba. Nie obchodzi cię, w jaki sposób twoje działania wpłyną na innych ludzi.

Jej słowa przywołały bolesne wspomnienie rozmowy, którą odbyłam z Misią w ogrodach Tuileries: „Ostrzegałam cię, Coco. Mówiłam, żebyś uważała, że powinnaś się spodziewać poważnych konsekwencji”.

Wstałam z krzesła.

- Widzę, że popełniłam błąd. Przepraszam cię. Naprawdę. Ale skoro już obie jesteśmy w Madrycie, może powiniemy to wykorzystać, choćby przez wzgląd na dawną przyjaźń. Zostawię cię teraz, bo widzę, że jesteś zdenerwowana. Jeżeli zechcesz, porozmawiamy później, przy kolacji.

Skinęła głową, nie podnosząc wzroku.

- Tak chyba będzie najlepiej.

Zostawiłam na stole pieniądze i wycofałam się. Vera nie zareagowała. Dręczyło mnie przecucie, że będzie mnie unikała i nie pojawi się na kolacji. Tak też się stało. Postanowiłam do niej nie dzwonić i zjadłam samotnie w hotelowej restauracji. Ponieważ padał śnieg, wróciłam do swojego apartamentu i zaczęłam chodzić nerwowo tam i z powrotem.

Następnego ranka obudziłam się wcześniej i zadzwoniłam do ambasady, żeby poprosić o spotkanie. Zamierzałam porozmawiać z ambasadorem, zanim znowu zobaczę się z Verą. Chciałam ją wtedy zapewnić, że interweniowałam w jej sprawie, co byłoby poniekąd prawdą. Spatz mówił, że mogę prosić o spotkanie z Churchilllem, żeby przedstawić mu sprawę Very, a ponieważ farsa z butikiem w Madrycie stała się już nieaktualna, miałam poprosić

O zapewnienie jej bezpiecznego powrotu do Włoch. Zadzwoniłam do recepcji, ale okazało się, że nikt nie zostawił dla mnie żadnych wiadomości. Zamierzałam właśnie zejść na dół, żeby sprawdzić, czy nie czeka tam na mnie kontakt Spatza, kiedy nagle zadzwonił telefon. Poinformowano mnie, że zjawił się gość, który chciałby się ze mną spotkać.

Niski, uprzejmy mężczyzna okazał się przedstawicielem ambasady. Poinformował mnie, że brytyjski ambasador, *sir* Samuel Hoare, zaprasza mnie do siebie - jeśli pora jest dla mnie odpowiednia. Nie zapytałam, w jaki sposób udało się zorganizować spotkanie tak szybko,

I pozwoliłam zaprowadzić się do czekającego na ulicy samochodu. Szofer ruszył, a siedzący

z przodu mężczyzna wręczył mi dyskretnie kopertę. Nie odezwał się ani słowem i natychmiast się odwrócił, ja zaś, starając się ukryć zaskoczenie, pospiesznie ją schowałam. Nie spodziewałam się, że kontaktem Spatza okaże się pracownik brytyjskiej ambasady. Nie spodziewałam się zresztą niczego, co się dotychczas wydarzyło. Tłumiąc niepokój, usiłowałam zająć się szminką, podczas gdy samochód podskakiwał na wybojach. Czyżby Churchill przyjechał wcześniej, niż planował? Być może tłumaczyłoby to, dlaczego tak szybko zareagowano na mój poranny telefon.

Zostałam wprowadzona bezpośrednio do gabinetu ambasadora Hoare'a, szczupłego mężczyzny z włosami rzednącymi na skroniach i długim nosem. Miał nienaganne maniery i jak sobie przypominałam, widziałam go kiedyś na jednym z przyjęć organizowanych przez Bendora. Ambasador powitał mnie serdecznie, po czym wskazał fotel stojący naprzeciw jego biurka. Na ścianach wisiały obrazy olejne przedstawiające dość banalne sceny łowieckie.

- Ufam, że pani podróż nie była zbyt uciążliwa? - zapytał.

Sięgnęłam po papierośnicę, ale zatrzymałam rękę, bo przyszło mi do głowy, że mógłby sobie tego nie życzyć. Zauważył to i skinął głową, a ja zapaliłam.

- W dzisiejszych czasach wszystko stało się trudniejsze - powiedziałam, siląc się na uśmiech. - Ale podróż była mniej uciążliwa, niż można by się spodziewać.

- A hotel, w którym się pani zatrzymała? Mam nadzieję, że warunki są odpowiednie? - Utkwił we mnie nieruchome spojrzenie. Nie potrafiłam niczego wyczytać z jego twarzy. Ogarnął mnie niepokój. Natychmiast przypomniałam sobie o spotkaniu w Berlinie. Hoare zdawał się wiedzieć zdecydowanie za dużo.

- Nie przyjechałam tu na długo, ambasadorze - zapewniłam. - Chciałabym tylko poprosić o spotkanie z *sir* Winstonem i. - Zamierzałam sięgnąć do kieszeni płaszcza po kopertę z wiadomością od niemieckich spiskowców, kiedy przypomniałam sobie, że nie powinnam jej jeszcze pokazywać. Dotknąwszy jej, zdałam sobie sprawę, że była zbyt gruba, żeby zawierać tylko kartkę papieru. Czyżby kontakt przekazał mi tajne dokumenty o kluczowym znaczeniu?

Samuel Hoare westchnął.

- Obawiam się, że na próżno odbyła pani tak długą podróż, *mademoiselle*. *Sir* Winston nie przyjechał do Madrytu.

- Och - powiedziałam, starając się ukryć rozczarowanie. Dyskretnie wyjęłam rękę z kieszeni w taki sposób, żeby w żadnym razie nie zwrócić uwagi na kopertę. Miałam jednak wrażenie, że zaszeleściła przy tej okazji niesłychanie głośno. - Ale rozumiem, że niedługo się tu zjawi, prawda?

- Niestety nie. *Sir* Winston musiał Niestety odwołać swoją wizytę w Hiszpanii. Wpatrywałam się w niego, szeroko otwierając usta.

- Odwołać? Ale dlaczego?

- Obawiam się, że nie mogę ujawniać tego typu informacji, *mademoiselle*. - Zerknął w stronę zamkniętych drzwi swojego gabinetu. Kiedy ponownie na mnie spojrzął, poczułam gwałtowny ucisk w klatce piersiowej. Nagle zabrakło mi tchu. - Zjawiała się tu wcześniej *madame* Bate-Lombardi. Była Niestety w niezbyt dobrym stanie. Sformułowała pewne oskarżenia, które bardzo nas zaniepokoiły. Przy tej okazji pojawiło się również pani nazwisko. Właśnie dlatego, kiedy zadzwoniła pani dziś rano, postanowiłem natychmiast się z panią spotkać.

Zbliżyłam papierosa do ust, choć z trudem łapałam oddech.

- Oskarżenia. ?

- Tak. Niestety także i w tym przypadku nie mogę udzielić pani dokładnych informacji. Radziłbym jednak, żeby pani jak najszybciej wróciła do Paryża. - Powiedział to całkowicie obojętnym głosem, tak jakby komentował nagłą zmianę pogody. - Obawiam się, że nie mogę pani w żaden sposób pomóc ani zagwarantować bezpieczeństwa, gdyby postanowiła pani zostać w Madrycie.

Siedziałam nieruchomo, a w kieszeni czułam kopertę. Nie musiałam na nią patrzeć, żeby wiedzieć, że znajduje się w niej coś więcej niż tylko jedna kartka z wiadomością. W tyle głowy słyszałam głos Spatza: „Gdybyś w którymkolwiek momencie zaczęła się obawiać, że możesz zostać zdemaskowana, natychmiast przerwij misję”.

- Rozumiem - wyszeptałam. Podniosłam się i podałam mu rękę. Byłam zbyt zdenerwowana, żeby zapytać, co takiego powiedziała Vera.

Uścisnął mi dłoń.

- *Sir* Winston rozchorował się podczas pobytu w Tunezji. Wróci do Anglii, kiedy tylko dojdzie do siebie. Jeżeli chciałaby mu pani przekazać jakąś wiadomość, zadbam o to, żeby do niego trafiła.

- Dobrze. Dziękuję. - Spojrzałam mu w oczy i zawahałam się. Czy powinnam dać mu kopertę? Przekazałby ją Churchillowi. Wiadomość trafiłaby do adresata. Ale Spatz nalegał, żebym zrobiła to osobiście. To mnie powstrzymało. - Czy *madame* Bate-Lombardi nic nie grozi? - zapytałam.

- Znalazła się w bardzo trudnym położeniu. Ma w swoim włoskim paszporcie niemiecką wizę. W tej sytuacji trudno będzie wytłumaczyć jej obecność w Madrycie.

- Ale ona przyjechała tu z mojej winy! - Ogarnął mnie niepokój. Nie byłam szczególnie zachwycona swoją rozmową z Verą, ale nie chciałam, żeby sprawy, z którymi nie miała nic wspólnego, w jakikolwiek sposób jej zaszkodziły. - Zaprosiłam ją tu, prosząc, żeby się ze mną spotkała, i...

- *Mademoiselle* - przerwał mi ambasador. - Nie musi pani niczego tłumaczyć, nie musi też pani słuchać mojej rady. Czuję się jednak w obowiązku ostrzec panią, jako przyjaciółkę lorda Bendora, że również pani obecność w Madrycie i niemiecka wiza w pani paszporcie narażają panią na niebezpieczeństwo. Sugerowałbym, żeby pozwoliła nam pani zająć się *madame* Bate-Lombardi i żeby pani wyjechała stąd tak szybko, jak to będzie możliwe.

Odprowadził mnie do drzwi ambasady. Na zewnątrz czekał już samochód - inny niż ten, który mnie tu przywiózł. Po raz ostatni odwróciłam się do Hoare'a:

- Czy mogę przynajmniej zostawić dla Very krótką wiadomość? Pokłóciłyśmy się wcześniej i chciałabym ją zapewnić, że nie miałam złych intencji.

- Nie byłoby to wskazane. - Skinął głową. - Do widzenia, *mademoiselle*. Mam nadzieję, że będzie nam dane spotkać się w mniej ponurych okolicznościach.

W drodze do hotelu nikt nie odezwał się ani słowem. Kiedy dotarliśmy do Ritza, mój towarzysz otworzył mi drzwi i powiedział:

- Pełnię funkcję *attaché* ambasady. Gdyby chciała się pani z nami skontaktować przed wyjazdem, proszę to śmiało zrobić, *mademoiselle*. - Nie czekając na moją odpowiedź, wszedł do samochodu. Nie miałam pojęcia, czy był kolejnym kontaktem Spatza.

Kiedy wróciłam do swojego apartamentu, zdjęłam żakiet i rozluźniłam kołnierzyk. Nie mogłam oddychać. Wyjęłam kopertę z kieszeni i przez chwilę obracałam ją w rękach. Wahałam się, ale ostatecznie zdecydowałam się ją rozedrzeć i wysypać jej zawartość na łóżko. Wydałam stłumiony okrzyk. W kopercie znajdowały się niemieckie banknoty - duża suma. Nic poza tym. Żadnych dokumentów. Żadnej wiadomości.

Usiadłam na krawędzi łóżka i wpatrywałam się w banknoty, kompletnie oszołomiona. Czy Spatz zamierzał przekupić premiera Wielkiej Brytanii? Wydawało się to niewiarygodne. A może właściwa wiadomość jeszcze do mnie nie dotarła i powinnam na nią poczekać? Tymczasem zamierzałam napisać do Churchilla.

Vera więcej się ze mną nie kontaktowała, nikt też nie zjawił się w hotelu. Cały następny dzień spędziłam w Ritzu, zarezerwowałam też bilet na pociąg do Paryża. Wysłałam do ambasady brytyjskiej list, w którym apelowałam do Churchilla o udzielenie Verze pomocy, wzięłam na siebie winę za sprowadzenie jej do Madrytu i prosiłam o zapewnienie jej wsparcia. Następnie sięgnęłam po walizkę i wsiadłam do pociągu.

Moja misja zakończyła się porażką.

Nie miałam jeszcze wówczas pojęcia, jaki mechanizm został właśnie wprawiony w ruch.

- Ona była w ambasadzie - powiedziała Spatzowi, kiedy dotarłam do paryskiego Ritza, wyczerpana i zirytowana fiaskiem całego przedsięwzięcia. Dopiero kiedy wysiadłam z pociągu na Gare du Nord, zdałam sobie sprawę, że właśnie przemierzyłam na próżno setki kilometrów,

a jedyną rzeczą, jaką zdołałam osiągnąć, było narażenie przyjaciółki. Jeszcze większe zdenerwowanie wzbudziła we mnie obecność Spatza w moim apartamencie. Jego walizki stały

w kącie pomieszczenia, co wskazywało na to, że ostatecznie opuścił swoje mieszkanie. Nie chciałam mieć go przy sobie.

- Powiedziała im coś na mój temat. Hoare mówił, że sformułowała poważne oskarżenia.

O co mogłaby mnie oskarżyć? Zgodnie z twoją instrukcją, mówiłam tylko, że zaprosiłam ją do Madrytu, żeby pomogła mi otworzyć butik. - Uważnie go obserwowałam. Przypomniłam sobie telegram i róże, a także wściekłość Very, która została siłą wywieziona z Rzymu.

Spatz nie odzywał się przez dłuższą chwilę. Wydawał się nie mniej wyczerpany ode mnie. Otaczała go chmura dymu papierosowego. Wreszcie podniósł wzrok, spojrzał na mnie ze znużeniem i odpowiedział cicho:

- Oskarżyła cię o to, że jesteś szpiegiem.

- Co?! - Rzuciłam torebkę na łóżko, prawie w niego trafiając. - Skąd ona mogła wiedzieć...? - Spatz znowu zamilkł, a moja wściekłość zaczęła słabnąć.

- To ona miała wiadomość - wyszeptalam i przeszedł mnie dreszcz.

Gwałtownie się podniósł i ruszył w moją stronę, ja jednak nie pozwoliłam mu się zbliżyć.

- Coco, posłuchaj mnie. W hotelu doszło do nieporozumienia. Nasz kontakt miał wręczyć ci to do rąk własnych, ale zaczął się obawiać, że ktoś go śledzi. Widział, że rozmawiałaś z Verą

I poprosił ją, żeby przekazała ci to przy pierwszej możliwej okazji. Ona jednak tego nie zrobiła.

- Zamiast tego zaniósła wiadomość do Hoare'a - wyszeptalam. - To ona na mnie doniosła.

- Doniosła na nas wszystkich.

- Ale ta wiadomość. to przecież propozycja zawarcia kompromisu. - Mój oddech stawał się coraz szybszy, przypominał dyszenie osaczonego zwierzęcia. - Ty i twoi przyjaciele chcecie zakończyć wojnę. Tak mówiłeś.

- Owszem. Ale to, co proponowaliśmy, jest zbyt śmiałe, a Churchill choruje. Dowiedziałem się o jego gorączce dopiero po tym, jak rozstaliśmy się na granicy, kiedy wróciłem do Paryża. Było już za późno, żeby cię ostrzec. Miałem nadzieję, że Hoare się z tobą nie spotka, a jeżeli to zrobi, zorientujesz się, że misja musi zostać przerwana. Ze względu na oskarżenia sformułowane przez Verę, nie było sensu dostarczać wiadomości. Niezależnie od tego, co się stało, musimy podjąć kolejne działania.

Nie mogłam uwierzyć w to, co słyszałam.

- Kolejne działania? Napisałam do Churchilla list, w którym broniłam Very. Jeżeli rzeczywiście mnie oskarżyła, Churchill uzna, że uczestniczyłam w waszym spisku.

- To nie ma znaczenia. Jesteś tutaj, a ona.

- Nie ma znaczenia? - Prawie na niego krzyczałam. - Wykorzystaliście nas obie! Skoro Vera przekazała Hoare'owi wiadomość od niemieckich spiskowców, ją również podejrzewają zapewne o szpiegostwo.

- Podejrzewali ją już wcześniej. Verę i jej męża obserwowano od wielu miesięcy. Sprowadzenie jej do Madrytu miało po prostu zapewnić ci przykrywkę. Byliśmy gotowi ją poświęcić, gdyby zaszła taka potrzeba. - Uśmiechnął się, usiłując dodać mi otuchy. - Nie masz się czego obawiać. André został uwolniony. Przebywa obecnie w klinice, tu, w Paryżu. Jest już bezpieczny. Ty też jesteś bezpieczna.

W tamtej chwili wpadłam w taką furję, że krew zawrzała mi w żyłach. Nagle pojęłam skalę jego oszustwa. Rozrzucone do tej pory części tej układanki ułożyły się wreszcie w całość. Świadomość jego bezdusznej zdrady pełzła po mojej skórze. Zrobiłam krok w jego kierunku, upajając się jednocześnie - choć tylko na chwilę - gwałtownością, z jaką się cofnął.

- Ty żaloszny łajdaku. W hotelu nie doszło do żadnego nieporozumienia. To ty kazałeś swojemu kontaktowi przekazać wiadomość Verze. Dowiedziałeś się, że Churchill odwołał

wizytę, więc postanowiłeś wykorzystać Verę. Wiedziałeś, że ja zgodnie z twoją instrukcją będę starała się doręczyć wiadomość osobiście, podczas gdy Vera natychmiast zjawi się w ambasadzie i o wszystkim ich poinformuje. Upewniłeś się w ten sposób, że twoja wiadomość dotrze do Churchilla. Hoare musi mu ją teraz przekazać, dzięki czemu ty i twoi przyjaciele naziści. Dobry Boże, oni pomyślą, że to ty usiłowałeś powstrzymać swojego przeklętego *Fuhrera*, a ty kazałeś swojemu człowiekowi wręczyć mi niemieckie marki, żeby wyglądało to tak, jakbym została oplacona! To ja byłam twoim pionkiem, a nie Vera. To mnie postanowiłeś poświęcić. Spochmurniał. Wiedziałam, że tym razem przynajmniej nie kłamał.

- Kazałem im dać ci pieniądze, żeby cię chronić. Nikt, nawet policja Franco, nie ośmieliłby się aresztować niemieckiego informatora. To żadne wytłumaczenie, ale kiedy już wiadomość została dostarczona, zrobiłem wszystko, co mogłem, żeby zapewnić ci bezpieczeństwo. Moi ludzie nie spuszczali cię z oka i zadbali o to, żebyś dotarła do Paryża bez przeszkód.

Gdybym miała siłę, rzuciłabym się na niego i rozerwałabym go na strzępy. Zamiast tego wskazałam mu drzwi.

- Wyjdź. Nie chcę cię nigdy więcej widzieć.

- Nie mogę. Nie mam dokąd pójść.

- Wobec tego sama wyjdę. - Minęłam go i ruszyłam pospiesznie w kierunku szafy. -Przenieś się do swojego mieszkania nad sklepem. Nie zbliżaj się do mnie. W przeciwnym razie poinformuję gestapo, że jesteś zdrajcą.

Przenieśliśmy się na *rue Cambon*, do ciasnego mieszkania wypełnionego meblami, które trafiły tam wiele miesięcy wcześniej z mojego dawnego apartamentu w Ritzu. Unikałam kontaktów zarówno z hotelem, jak i z samym Spatzem. Sypiałam na szezlongu w salonie i zatrudniłam służącą oraz kamerdynera, którzy mieli opiekować się domem, podczas gdy ja zajmowałam się pracą. Wieczorami pomagałam Cocteau, który zamierzał ponownie wystawić swoją *Antygonę*. Regularnie odwiedzałam też przebywającego w klinice André. Lekarze potwierdzili, że cierpi na gruźlicę. Zamierzałam przetransportować go do sanatorium w Szwajcarii. Jego żona chciała przyjechać do Paryża, ale odwołam ją od tego, tłumacząc, że potrzebowałaby przepustek, aby dostać się do strefy okupowanej. Przekonałam Katharinę, że taka próba oznaczałaby zbyt duże ryzyko dla niej i dla Tipsy. Niemcy aresztowali tysiące ludzi.

Szóstego czerwca do Paryża dotarła za pośrednictwem BBC triumfalna wiadomość o lądowaniu sił alianckich w Normandii. Zjednoczone siły Ameryki, Kanady i Wielkiej Brytanii oraz Wolnej Francji wdarły się szturmem na francuskie plaże. Kilka dni później Spatz złożył mi niespodziewaną wizytę.

Wysłałam personel do domu i zamykałam właśnie sklep. W ostatnim czasie pojawiało się u nas coraz mniej niemieckich klientów. Na miasto opadał popiół i kurz: naziści gorączkowo palili swoje dokumenty. Słyszane z oddali wybuchy zwiastowały nadejście aliantów. Ryglowałam właśnie drzwi wejściowe, kiedy na progu pojawił się Spatz. Przez chwilę rozważałam, czy nie zasunąć żaluzji, ale ostatecznie dałam mu znak, żeby wszedł do środka. Mój gniew zdążył nieco osłabnąć. Wiedziałam, że jeżeli docierające do nas wieści są prawdziwe, Spatz i jego niemieccy przyjaciele nie zabawią już długo w Paryżu. W mieście krążyły plotki

o zbliżającym się wyzwoleniu.

- Chciałem się z tobą zobaczyć przed wyjazdem - powiedział, po czym zdjął kapelusz

1 otarł chusteczką zroszone potem czoło.

- A zatem to prawda - odparłam, nie podnosząc wzroku. Weszłam za ladę i zaczęłam wprowadzać paragony do rejestru.

- Tak. Koniec jest już blisko.

- To dobrze. Najwyższy czas, żeby ta katastrofa wreszcie została przerwana.
- Mogłabyś wyjechać razem ze mną - powiedział. - Kiedy nadejdą oficjalne rozkazy z Berlina, wszystkim, którzy postanowią wyjechać, zostanie udzielona pomoc. Moglibyśmy wyruszyć do Niemiec, a potem do Szwajcarii albo...

- Nie. - Podniosłam wzrok i spojrzałam mu w oczy - To nie ja byłam najeźdźcą. Nie mam niczego do ukrycia.

Poruszył się lekko, tak jakby rozważał, czy powinien ruszyć do wyjścia.

- Nic nie powiesz?

- A o czym miałabym z tobą rozmawiać?

- O nas. O tobie. O wszystkim. Spojrzałam na niego w zamyśleniu.

- No proszę, baronie von Dincklage, gdybym cię lepiej nie znała, pomyślałabym, że się boisz.

- Coco, mówiłem ci to już wcześniej. To nie zabawa. - Zaciśnął zęby. - Nadal grozi ci niebezpieczeństwo. Wojna się jeszcze nie skończyła. Nie wolno ci niczego powiedzieć. To bardzo ważne, zwłaszcza teraz.

- A co, jeśli się nie zgodzę? - Związałam gumką paragony. - Zastrzelisz mnie?

- Boże, jesteś niemożliwa! - Nagle się roześmiał. - Przypuszczam, że przeciwstawiłabyś się samemu Adolfowi Hitlerowi.

- Zwłaszcza jemu - odparłam. Po chwili dodałam: - Nikomu o niczym nie powiem, masz moje słowo. Choć raczej na to nie zasługujesz po tym, co zrobiłeś.

Włożył kapelusz.

- Dziękuję ci, Coco. - Wyszedł, nie mówiąc nic więcej.

Nie wiedziałam, czy kiedykolwiek go jeszcze zobaczę. Miałam nadzieję, że dla naszego dobra nigdy się już więcej nie spotkamy.

Podczas gdy Niemcy pospiesznie się ewakuowali, poszłam odwiedzić Misię. Była wymizierowana, ale przyjęła mnie serdecznie. Wyraźnie odżyła dzięki informacji o tym, że siły alianckie znajdowały się zaledwie kilka kilometrów od nas. Wręczyłam jej swoje ostatnie zapasy sedolu - po wielu bezsensownych nocach udało mi się od niego ostatecznie uwolnić. Misia opowiedziała mi o sytuacji Arletty. Jej kochanek uciekł w środku nocy razem z większością wysokich rangą niemieckich oficerów, którzy okupowali miasto przez ostatnie cztery lata.

- Jest przerażona. Obawia się, że zostanie aresztowana i oskarżona o kolaborację. Tak zresztą powinno się stać. - Misia prychnęła. Teraz, kiedy w jej żyłach płynęła już dawka sedolu, odzyskała dawną zjadliwość. - Będzie musiała uciec, zanim do Paryża wkroczą alianci. - Nagle zdała sobie sprawę z tego, co powiedziała i wyszeptła: - Oczywiście, kochanie, jestem gotowa cię bronić.

- I Lifara. I Cocteau - przypomniałam. - Będziesz musiała ukryć nas wszystkich na swoim strychu. - Zbladła, a ja poklepałam ją po dłoni. - Nie martw się. Zadbam o siebie. Poza tym, o co mogliby mnie oskarżyć? Miałam kochanka. W moim wieku trudno sprawdzać paszporty mężczyzn, których zaprasza się do łóżka.

Misia uśmiechnęła się do mnie bez przekonania. Nie wiedziała o wszystkim, ale wiedziała wystarczająco dużo, a ja starałam się stłumić swój narastający niepokój. Wiedziałam, że gdyby nowym władzom na tym zależało, mogłyby postawić mi liczne zarzuty. Doskonale zdawałam sobie sprawę, że ci spośród nas, którzy postanowili zostać w Paryżu, staną się wkrótce celem ataków.

- Powinnaś się u nas ukryć - zagrzemiał stojący przy barze Jojo, który nalewał nam właśnie swój cenny koniak. - Nie będą cię tu szukali.

- Nie. - Wzięłam od niego szklaneczkę. - Mam przecucie, że już wkrótce nie będę miała gdzie się ukryć. Równie dobrze mogę wrócić do swojego apartamentu w Ritzu. W końcu -dodałam, wypijając jednym haustem orzeźwiający napój - zapłaciłam za niego z góry i zostały mi jeszcze dwa miesiące.

Mój apartament w Ritzu cuchnął niemieckimi papierosami, a w wannie znalazłam pierścionek. Kazałam pokojówce dokładnie wyszorować każdy kąt, po czym przewiozłam na miejsce część swoich mebli z *rue Cambon*. Miałam nadzieję, że dzięki temu znacznie bardziej przypominać dom, ale mimo to nie czułam się tam swobodnie. W Paryżu zawrzało, kiedy dotarły do nas wieści, że alianci stacjonują pod miastem, opóźniając atak. Doprowadziło to do krwawego pandemonium. Mnie jednak Paryż przypominał pustą scenę tuż po zakończeniu spektaklu: kurtyna zasłoniła sztuczne dekoracje i zapadła cisza bardziej ogłuszająca od niedawnych braw.

Przygotowywałam się na najgorsze. Przez wiele tygodni, w miarę jak alianci zbliżali się do miasta, Niemcy pomagali uciekać wszystkim tym, których było na to stać - i porzucali ludzi, którzy nie mieli już czym płacić. Ostatni niemiecki wielbiciel Lifara zaoferował, że pomoże mu dostać się do Szwajcarii, ale Serge postanowił zamiast tego zwrócić się do mnie. Zjawił się nagle w moim apartamencie z torbą pełną brudnych od kalafonii baletek. Był przerażony.

- Zatrzymali Arletty - powiedział, skulony w kącie pokoju. - Trafiła do aresztu. Marie-Louise się ukrywa, podobnie jak Cocteau. Oni przyjdą po nas wszystkich, Coco.

- Możesz tu zostać - zapewniłam. - Ja się donikąd nie wybieram.

Dziwiła mnie własna determinacja. Z wychodzących na Place de la Concorde okien mieszkania Jojo Serta, patrzyliśmy, jak do miasta wkraczała wolność, która przybrała postać generała de Gaulle'a. Podczas gdy żołnierze maszerowali w kierunku Łuku Triumfalnego, ludzie wiwatowali, czapki szybowwały w górę, a w bocznych uliczkach agenci Wolnej Francji robili obławę na ludzi podejrzanych o kolaborację. Poznaliśmy przedsmak tego, co nas czekało, gdy ostrzelano nagle okna mieszkania Jojo. Rzuciliśmy się na podłogę, a szkło rozpryskiwało się na wszystkie strony. Kiedy wyszliśmy niepewnie z ukrycia, okazało się, że Jojo stał nadal na balkonie, wygrażając pięścią w kierunku niewidocznego napastnika i rycząc:

- Spróbujcie jeszcze raz. Nie trafiliście, *hijos deputa!* - Po chwili wrócił do środka, posłał nam beztroski uśmiech i powiedział: - Przepraszam za te niedogodności. - Roześmialiśmy się, rozbawieni jego brawurą.

Pod koniec sierpnia 1944 roku Paryż był już wolny. Żeby uczcić tę radosną chwilę, w witrynie swojego sklepu umieściłam plakat informujący o darmowych perfumach dla alianckich żołnierzy. Amerykanie, Brytyjczycy i Kanadyjczycy ustawiali się w długich kolejkach - tak jak to robili niedawno pokonani Niemcy - chcąc skorzystać z mojej szczodrości i przywieźć do domów dowody na to, że spędzili ten historyczny dzień w Paryżu. Moje ekspedientki uwijały się za ladą tak długo, że ledwo stały na nogach. Ja sama rozdałam setki flakonów mężczyznom, których młody wiek całkowicie mnie zaskoczył. Z nieopohamowanym entuzjazmem krążyli po bistrach i kabaretach, uwodząc każdą kobietę, którą spotkali na swojej drodze - a także niejednego mężczyznę. Szukali radości, gdzie tylko mogli, bo czekał ich jeszcze marsz na Berlin, który pozostawał nieskruszony. Naziści kulili się wśród pozostałości okropieństw, których się sami dopuścili.

- Oni wymordowali tysiące ludzi - łkała Misia. - Miliony.

Nie odpowiedziałam. Cóż można było powiedzieć? Cóż mogliśmy zrobić, nie tracąc przy tym życia? W jaki sposób my, garstka ludzi, mieliśmy uratować miliony? To właśnie powtarzałam sobie raz za razem. A jednak nie przynosiło mi to ulgi.

XV

Obudziło mnie uporczywe pukanie do drzwi. Zaczęłam wstawać, szukając szlafroka, nagle jednak Lifar, który spał na dole, zbliżył się na palcach do schodów i syknął:

- Coco! Coco, to oni! - Zeszłam na dół chwiejnym krokiem i zasłoniłam mu usta dłonią.

- Cicho!

Zamarliśmy, czekając w napięciu na to, co się stanie. Kiedy znowu rozległo się pukanie, a drzwi zaczęły chwiać się w zawiasach, popchnęłam Lifara w kierunku dużej szafy w zabudowie.

- Ukryj się tam! Szybko!

Wskoczył do środka i zatrzasnął drzwi, a ja poprawiłam szlafrok, przeczesalam zmierzwione włosy i podniosłam zasuwkę.

Na progu stało dwóch mężczyzn w koszulach i sandałach. Ich niewzruszone twarze były słabo widoczne spod nisko opuszczonych beretów. Nie ulegało wątpliwości, że miałam przed sobą członków Wolnej Francji. Nazywaliśmy ich Fifis, kpiąc w ten sposób z brutalnych metod, które stosowali. W Paryżu i na terytoriach, które znalazły się pod kontrolą rządu Vichy, aresztowali setki kobiet. Uznawano je za kolaborantki, golono im głowy, bito je i kazano im kroczyć ulicami w bieliźnie, pozwalając motłochowi brać na nich odwet - co czasem kończyło się zabójstwami.

- *Mademoiselle* Chanel? - zapytał większy mężczyzna, brutalnie o zimnych oczach. Zanim zdążyłam odpowiedzieć, dodał: - Przyszliśmy panią odeskortować.

- Ach tak? - Położyłam rękę na biodrze. - Jest dość wcześnie na takie wizyty.

- Albo pójdzie pani z nami po dobroci, albo panią aresztujemy i siłą zaciągniemy na miejsce, *mademoiselle*.

Nie umknął mi sarkazm, z jakim posłużył się tym zwrotem grzecznościowym.

- Dobrze - odparłam. - Proszę dać mi kilka minut, żebyśmy mogła przebrać się w coś nieco bardziej odpowiedniego.

Weszli do środka. Musiałam uchylić drzwi szafy - tylko na tyle, żeby chwycić pierwsze z brzegu ubranie, nie ujawniając przy tym kryjówki Lifara, skulonego pośród moich płaszczy. Poszłam do łazienki, ubrałam się, uczesałam, użyłam szminki i wyszłam w chwili, w której jeden z mężczyzn niebezpiecznie zbliżył się do szafy. Jej drzwi były lekko uchylone. Gdyby je otworzył, znalazłby Lifara.

- Idziemy, panowie? - zapytałam beztrąsko i ruszyłam do drzwi apartamentu szybkim krokiem.

Kiedy poszli za mną jak ponure psy, poczułam ulgę tak głęboką, że miałam ochotę westchnąć. Obawiałam się jednak, że tam, dokąd mnie zabrali, ulga była ostatnią rzeczą, na jaką mogłam liczyć.

Nie trafiłam do słynnego więzienia Fresnes, gdzie członkowie Wolnej Francji zamykali wielu kolaborantów. Zamiast tego eskortujący mnie mężczyźni zaprowadzili mnie na pobliski posterunek policji, na którego fasadzie wisiał nadal zdeformowany symbol swastyki. Posadzili mnie na krześle w niewielkim pokoiku bez okien, przy porysowanym stole, na którym stała popielniczka.

Człowiek, który miał mnie przesłuchać, zjawił się ponad godzinę później. Nie przedstawił się. Położył na stole niepokojąco grubą teczkę, po czym usiadł naprzeciw mnie.

- Gabrielle Boneur Chanel, znana także jako Coco lub *Mademoiselle* - oznajmił, otwierając teczkę. Nie próbowałam nawet zaglądać do środka, żeby zobaczyć, co czytał. Kiedy

poprawił okulary i odchrząknął, zrobiło mi się niedobrze. - Zgadza się?
- Zakładam, że już pan to wie - odparłam, zapalając papierosa. - To w końcu pan mnie aresztował.
- Ależ nie. - Posłał mi ostre spojrzenie. - Nie została pani aresztowana. Na razie chodzi tylko o nieoficjalne przesłuchanie.
- Rozumiem - powiedziałam. „Nieoficjalne” oznaczało, że przesłuchanie odbywało się poza protokołem, co mogło się oczywiście w każdej chwili zmienić, gdybym nie wykazała gotowości do współpracy.
Zajrzał ponownie do moich akt, kartkując je z kamiennym wyrazem twarzy. Paliłam papierosa i starałam się zachowywać nonszalancko, choć wcale się tak nie czułam. W końcu mężczyzna powiedział:
- Czy znała pani niejakiego barona Hansa Günthera von Dincklage, używającego również przydomka Spatz?
Nie chciałam od razu kłamać.
- Tak. Znałam go.
- A czy pomagał on uwolnić niejakiego André Palasse'a z niemieckiego obozu internowania?
Skinęłam głową.
- Zaoferował pomoc, a ja ją przyjąłam. André to mój siostrzeniec.
- Istotnie. - Zerknął do akt, po czym zmarszczył brwi. - Czy kiedykolwiek pojechała pani do Berlina, żeby spotkać się z pułkownikiem Schellenbergiem?
Choć za wszelką cenę starałam się to ukryć, zaskoczył mnie tym pytaniem. Po raz kolejny uznałam, że lepiej mówić prawdę. Choć sądziłam, że nikt nie wiedział o mojej podróży, jakiś członek Wolnej Francji musiał mnie najwyraźniej obserwować.
- Tak. Pojechałam zobaczyć się ze swoim siostrzeńcem, po tym jak został wypuszczony z obozu. Był chory.
- A mimo to nie przywiozła go pani do Paryża. Spędziła pani w Berlinie tylko jeden dzień, po czym wróciła bez niego, a następnie ruszyła w podróż do Madrytu. Czy mogłaby pani wyjaśnić, o czym rozmawiała pani z pułkownikiem Schellenbergiem podczas pobytu w Berlinie?
- O moim siostrzeńcu, rzecz jasna - odparłam. Mówiłam powoli, starając się stłumić niepokój, który wykręcał mi żołądek. - André jest chory. Zachorował na gruźlicę. Ja... chciałam się z nim zobaczyć.
- To wszystko? Spotkała się pani z szefem niemieckiego wywiadu wojskowego, najwyższej rangi urzędnikiem Abwehry, żeby omówić stan zdrowia swojego siostrzeńca?
- Owszem. - Spojrzałam mu w oczy. - Tak jak mówiłam, André był bardzo chory. Mężczyzna położył ręce na teczce.
- *Mademoiselle*, dlaczego pojechała pani do Hiszpanii?
- Zamierzałam otworzyć tam nowy butik.
- I otworzyła go pani?
- Nie. Okoliczności okazały się niesprzyjające.
- Mogę to sobie wyobrazić. - Wysunął brodę do przodu. - Czy kiedykolwiek uczestniczyła pani w tajnej operacji niemieckiego wywiadu?
Zamarłam.
- Nie.
- Na pewno? - Nie zajrzał ponownie do teczki. - Z informacji, które posiadamy, wynika, że uczestniczyła pani w tajnej operacji, która miała na celu ochronę niemieckich interesów i doprowadzenie do eliminacji Hitlera. Czyżby nie zdawała sobie pani z tego sprawy?

Przez mój umysł przetoczyły się dziesiątki myśli. Przypomniałam sobie tajemnicze wydarzenia, do których doszło podczas mojej misji w Madrycie, i to, że Spatz celowo zataił przede mną plan, który opracował razem ze swoimi przyjaciółmi. Czyżby zamierzali poprosić Churchilla o zgodę na zabicie *Fuhrera*? Czy wzięłam nieświadomie udział w spisku, który miał na celu uratowanie Niemiec?

- Oczywiście, że nie zdawałam sobie z tego sprawy - wydusiłam. - Gdybym uczestniczyła w takim przedsięwzięciu, z pewnością bym o tym wiedziała.

- *Mademoiselle*. - Mężczyzna posłał mi zimne spojrzenie. - Kolaboracja, niezależnie od jej celu, jest obecnie uznawana za przestępstwo. Zatrzymaliśmy kilkoro pani przyjaciół. Szukamy jeszcze kilkorga innych. Sugerowałbym, żeby dobrze się pani zastanowiła, zanim pani odpowie.

- Czyżby prosił mnie pan, żebym zdradziła swoich przyjaciół? - zapytałam.

- Sugeruję, żeby powiedziała nam pani prawdę. Wiemy, że zataiła pani pewne informacje.

Skrzyżowałam nogi i zaczęłam szukać w torebce papierośnicy.

- Wobec tego powinien mnie pan aresztować - odparłam lekceważąco. - Powiedziałam panu wszystko, co wiem.

Odsunął krzesło.

- Proszę chwilę poczekać. - Sięgnął po teczkę i wyszedł z pomieszczenia.

Gdy tylko zostałam sama, wydałam z siebie zduszony dźwięk. Znalazłam się w pułapce. Tym razem nie miałam dokąd uciekać. Byłam pewna, że podobnie jak Arletty, zostanę aresztowana, wsadzona do więzienia i postawiona przed sądem, który uzna mnie za kolaborantkę. Ogołą mi głowę, a potem każą iść ulicami, a ludzie będą mnie obrzucali śmieciami...

Mężczyzna wrócił do pokoju.

- *Mademoiselle* - oznajmił krótko. - Jest pani wolna.

Przez krótką, przerażającą chwilę, nie mogłam wstać. Nogi odmówiły mi posłuszeństwa i musiałam chwycić się krawędzi stołu. Sięgnęłam po torebkę i ruszyłam do drzwi, przechodząc tak blisko funkcjonariusza, że poczułam cierpki zapach jego taniej wody kolońskiej.

Zwrócił się do mnie cicho:

- Ma pani szczęście, że chronią panią wpływowi przyjaciele, *mademoiselle*. Ale radziłbym się pani zastanowić, czy powinna pani pozostać w Paryżu.

Rzuciłam mu gniewne spojrzenie.

- Jestem Francuzką. To moje miasto, mój kraj. Odwzajemnił moje spojrzenie.

- Już nie.

Pojechałam taksówką na *rue Cambon*. Strach powoli mnie opuszczał, a jego miejsce zajmowała wściekłość, która narastała we mnie od czasu, kiedy te bandziory zaczęły walić do drzwi mojego apartamentu. Ignorując pełne niepokoju pytania pracowników, ruszyłam na górę i drżącymi palcami wybrałam numer swojego prawnika. René odebrał po kilku sygnałach - przez ten czas prawie dostałam apopleksji. Wzburzona, relacjonowałam mu przez telefon skandaliczną zniewagę, jakiej doświadczyłam. Opisałam, jak zbiry de Gaulle'a zaciągnęły mnie na przesłuchanie, oskarżały o kolaborację z Niemcami, a na koniec poradziły, żebym ja, największa francuska *couturière*, wyjechała z własnego...

- *Mademoiselle* - wszedł mi w słowo René. - Uważam, że powinna pani rozważyć tę sugestię.

- Słucham?

- Będzie coraz gorzej - powiedział ze smutkiem. - Mnie również przesłuchiowano, szczególnie wypytywano mnie też o powiązania z rządem Vichy. Wywrócili mój gabinet do

góry nogami i zabrali pudła z dokumentami, zarówno prywatnymi, jak i służbowymi. W tym również - dodał ku mojemu przerażeniu - akta dotyczące sprawy, którą wytoczyliśmy Wertheimerom. Powinna pani potraktować to jako ostrzeżenie. Na razie nic na panią nie mają, ale będą szukali tak długo, aż znajdą.

- Ten łajdak powiedział, że mam wpływowych przyjaciół - zawołałam. Jednocześnie ogarnęła mnie jednak dziwna dezorientacja. Miałam wrażenie, że spadam w bezkresną pustkę. -Ktoś mnie chroni.

- Owszem, ale jak długo to potrwa? Nazywają to *épuration sauvage*, dziką czystką. Zamierzają sądzić wszystkich, którzy kolaborowali albo choćby są o to oskarżani. De Gaulle musiał zdecydować się na ten krok. Chciał w ten sposób przekonać aliantów, że zamierzamy stanąć u ich boku, kiedy upadnie Berlin. Pozostała nam jedynie ucieczka.

- Ale ja... ja nie kolaborowałam! Robiłam tylko to, co musiałam, żeby chronić swojego siostrzeńca i swój interes, żeby ratować życie moje i moich przyjaciół.

- *Mademoiselle*, nie musi się pani przede mną tłumaczyć. To ich powinna pani przekonać, choć obawiam się, że te wyjaśnienia nie będą ich obchodziły. Ktoś interweniował dziś w pani sprawie. Ale ktokolwiek to był, nie wiadomo, czy zdoła ochronić panią następnym razem. Gdybym mógł, ja również bym wyjechał, ale jestem zięciem ministra w rządzie Vichy, który wydał zgodę na deportację Żydów. Mój paszport został unieważniony. Nie mogę opuścić kraju. Pani jednak może i powinna to zrobić.

Kiedy skończyłam rozmowę, przyłożyłam dłoń do ust, żeby zdusić krzyk. Czy naprawdę oczekiwano, że ucieknę z kraju, w którym się urodziłam? Czy nie miałam innego wyjścia i musiałam zdecydować się na emigrację?

Oszołomiona, zaczęłam chodzić po mieszkaniu i oglądać wszystkie zgromadzone w nim przedmioty: piękne lakierowane parawany, obrazy, książki - krucho miraż, które powoli gasły i przemijały. Podeszłam chwiejnym krokiem do biurka i szarpnęłam jedną z szuflad, szukając czegoś, co zostawiłam tam dawno temu. Kiedy rozwinęłam chusteczkę i przyłożyłam zegarek do ucha, przekonałam się, że już nie tykał. Małe złote wskazówki znieruchomiały: zatrzymały się na wpół do siódmej. Zaczęłam go gorączkowo nakręcać, a koniuszki moich palców ślizgały się po małych rowkach.

Nic się jednak nie poruszyło. Nie rozległ się żaden dźwięk. Zegarek Boya przestał mierzyć czas.

W tamtej chwili zrozumiałam, że także i mój czas się wyczerpał.

Kiedy już podjęłam decyzję, wszystko stało się proste. Nie łatwe, ale właśnie proste. Cały dobytek, którego nie zamierzałam zabrać, zgromadziłam w mieszkaniu przy *rue Cambon*. Nadzorowałam zamknięcie sklepu i w ramach zadośćuczynienia wypłaciłam pracownikom pensję za cztery miesiące. *Madame Aubert* i *Hélène* błagały, żebym tego nie robiła, i zapewniały, że będą się wszystkim zajmować i regularnie dzwonić do mnie do Lozanny, gdzie postanowiłam zamieszkać. Wysłałam tam już *André*, a *Katharina* zamierzała wkrótce wynająć dom w pobliżu sanatorium, do którego miał trafić jej mąż.

Nie wysłuchałam próśb swoich pracownic. Wszystko się skończyło. Francja nie była już moim domem.

Wreszcie zrobiłam tę ostatnią rzecz, której najbardziej się obawiałam: poszłam pożegnać się z *Misią*.

Powitała mnie w progu, pogrążona w bólu. Nie ulegało wątpliwości, że wie, po co przyszłam. Ona i *Sert* zamierzali powtórnie wziąć ślub. Wyznała mi to, zaciągając mnie na niewygodną sofę, na której siedziałyśmy tak wiele razy, na której śmiałyśmy się i plotkowałyśmy, obmawiałyśmy przyjaciół i wrogów, kłóciłyśmy się i godziłyśmy.

- Musisz tu zostać - powiedziała, biorąc mnie za rękę i rozcierając moje dłonie, tak jakby usiłowała je rozgrzać. - Kto zaprojektuje moją suknię ślubną?

- Ktoś mnie zastąpi - odparłam.

- A Lifar? Co z nim będzie? Na razie zwolniono go tylko ze stanowiska dyrektora Opéra Ballet. Ma złożyć zeznania. A jak poradzi sobie bez ciebie Cocteau? Oni cię potrzebują. My wszyscy cię potrzebujemy.

Musiałam przygryźć wargę, żeby się nie rozlecieć. Wiedziałam, że jeżeli zacznę płakać, nigdy już nie przestanę. Cofnęłam rękę i dotknęłam jej pomarszczonego policzka.

- Serge da sobie radę. To nasz narodowy skarb, jeden z największych choreografów na świecie. Nawet jeśli każą mu odpokutować, wróci do tańca. To jedyna rzecz, jaką potrafi. Cocteau musi pisać. Cóż innego mógłby robić? A ty, moja najukochańsza przyjaciółko, ty też sobie poradzisz. Odzyskałaś swojego Jojo. Tylko jego kochałaś.

Płakała tak mocno, że musiałam dać jej swoją chusteczkę.

- Nie zniosę tego - wydusiła, wycierając nos. - Nie mogę.

- Tak ci się tylko wydaje - wyszeptalam i mocno ją przytuliłam, patrząc na stojącego za jej plecami pochmurnego, siwego Serta.

- Oni nie mają w Szwajcarii porządnego chleba - powiedział. - Nie spodoba ci się tam. Zanudzisz się.

- Tak - odparłam, uśmiechając się przez łzy, których nie potrafiłam dłużej opanować. -

Wiem.

Kiedy opuszczałam Paryż, zaczął padać śnieg - miękkie, wirujące w powietrzu kryształki opadały na skorupę wieży Eiffla, na żwirowe alejki ogrodów Tuileries i powiewające markizy sklepów przy Champs-Élysées. Oprószały zamieszkiwane przez artystów mansardy oraz kabarety na Montparnasse, omiatały spiralną kolumnę z brązu na Place Vendôme. Śnieg osiadał w szczelinach chodnika i w pęknięciach na poszarzałych fasadach budynków, wygładzając ostre kany miasta, które widziało tyle bólu i cierpienia, tyle radości i szaleństwa, ile żadne inne miasto na świecie.

Delikatny niczym dłoń w rękawiczce śnieg pieścił markizę unoszącą się nad zamkniętymi okiennicami pewnej witryny sklepowej przy *rue Cambon*, naprzeciwko Ritz. Zatrzymał się tam na chwilę. Jego odcień był tylko odrobinę bledszy od samej markizy. Po czym zaczął topnieć, kapiąc na litery nazwiska, które było kiedyś tak znane i szanowane, tak wspaniałe, że wystarczy wypowiedzieć jedno słowo:

Chanel.

PARYŻ

5 lutego 1954 roku

Ach, wreszcie oklaski - jeżeli tak to można nazwać. Są przygaszone, grzeczne, choć ciche. Natychmiast rozlega się szuranie krzeseł i szelest płaszczy, dźwięk wymienianych pospiesznie pocałunków i obietnic wspólnych lunchów. Wiem już wszystko. Po tylu latach, które spędziłam za granicą, ignorując niezliczone dziwactwa świata mody, stopniowo zapomniana przez wszystkich oprócz najbliższych przyjaciół - taka spotyka mnie nagroda: pospieszne pożegnania i lekceważące milczenie, które jest dla moich uszu dużo boleśniesz niż kpiny.

Są rozczarowani. Oczywiście.

Czy powinnam zejść na dół i uklonić się, czy raczej pozwolić, by trzymające tabliczki z numerkami modelki stały tam, podczas gdy tłum ruszy do wyjścia?

Zaczekam. Widzieli moje ubrania. To właśnie powrót, na który wszyscy czekali,

O którym wszyscy mówili, udając zaskoczenie i zastanawiając się, czy zdołam powtórzyć triumfy z lat swojej młodości. Zdecydowałam się pokazać bezczelnie proste sukienki w mojej ulubionej, neutralnej palecie czerni, granatu, kremowego i ciemnego brązu, z białymi kameliami w pasie

i opadającymi ramionami, kapelusze ze wstążkami i kostium bez kołnierzyka

w charakterystycznym dla mnie odcieniu czerwieni. Nie ma tu ani krzty przesady.

Choć Dior każe kobietom na nowo znosić męczarnie druczanych gorsetów, tiulów i krynolin układających się w nienaturalny sposób jak odwrócone płatki przekwitłego kwiatu, nie zamierzam się temu podporządkowywać.

Dlaczego ja, Coco Chanel, miałabym się dla nich zmieniać? To, co pokazałam, to niezależność: ubrania dla kobiet, które chcą się swobodnie ruszać, pracować i bawić. Z czasem się przekonają, że choć hollywoodzkie księżniczki mogą mknąć przez celuloidowe fantazje w groteskowych kreacjach Diora, zwykle kobiety tego nie potrafią. I nie powinny. Moda to nie szaleństwo.

Niech robią, co chcą. Nie zamierzam zdradzić swoich ideałów. Kiedy jednak stoję u szczytu schodów, słuchając, jak goście po kolei wychodzą, czuję ich rozczarowanie. Niemal słyszę, jak z przejściem szepczą, że straciłam wyczucie. Czegóż mogłam się spodziewać po dziesięciu latach emigracji? Czy miałam liczyć na to, że świat będzie stał w miejscu, czekając, aż wrócę i zacznę go na nowo ubierać?

Mimo to narasta we mnie mrozące krew w żyłach podejrzenie, że to, co robiłam w czasie wojny, obraca się przeciw mnie, nawet po tylu latach. Nigdy nie skazał mnie żaden sąd - czyżby ludzie osądzili mnie w jego imieniu? Jeżeli tak, jest to kolejna rzecz, którą muszę ignorować.

Zamierzam się już wycofać i wrócić do swojej pracowni, gdzie zacznę rozmyślać o swojej niepewnej przyszłości, kiedy nagle słyszę czyjeś kroki i niepewny głos:

- *Mademoiselle?*

Odwracam się gwałtowniej niż powinnam, zraniona obojętnością, z którą przyjęto mój pokaz, choć wiem, że nie należy tego okazywać. U stóp schodów stoi ładna kobieta ubrana w śliczny żakiet. To nie ja go zaprojektowałam - zauważam, a po chwili dyskretnie chichoczę pod nosem. Jak mogłaby nosić moją kreację? Wygląda przecież, jakby miała nie więcej niż dwadzieścia lat.

- Tak? - pytam, posyłając jej uśmiech, który wykrzywia mi usta jak brzytwa.

- Ja... jestem asystentką Betiny Ballard, redaktorki „Vogue'a” - odpowiada, a ja czuję satysfakcję, słysząc drżenie w jej głosie. Doskonale zdaje sobie sprawę, z kim ma do czynienia.

Wygląda na to, że moje nazwisko nadal coś znaczy. - Panna Ballard musiała już niestety wyjść. Jest spóźniona na zebranie w naszym biurze, ale... zastanawialiśmy się...

Nie odrywam od niej wzroku. Poinformowanie mnie, że jej pracodawczyni wysłała ją, zwykłą płótkę, na spotkanie ze mną, nie jest w najlepszym tonie.

- Zakładam, że chodzi o amerykańskiego „Vogue'a”?

Rumieni się i kiwa głową. Jej cera jest przezroczysta - podobnie jak wyraz twarzy.

- A zatem słucham.

Macham ręką. Cóż znaczy jeszcze odrobina upokorzeń po dzisiejszej katastrofie?

W nagłym przyplywie odwagi kobieta wchodzi po schodach i staje schodek niżej ode mnie, ściskając w rękach aktówkę i podtrzymując jednocześnie na ramieniu dużą, dość brzydką torebkę. Została ona uszyta z pikowanej skóry, podobna do tych, które sama projektowałam - ale to tylko marna imitacja. Przyglądając się jej, myślę, że powinnam unowocześnić nieco własną torebkę przez zastąpienie paska złotym łańcuszkiem.

Dziewczyna mówi:

- Panna Ballard uważa, że pani kolekcja. - Znowu się waha. Powstrzymuję się przed przewróceniem oczami, ona zaś zerka na moją stopę, którą niecierpliwie stukam w podłogę. -Panna Ballard uważa, że pani kolekcja może się bardzo podobać w Stanach Zjednoczonych -mówi niespodziewanie. - Chciałaby zaprezentować ją w naszym lutowym numerze. Chodziłoby o wywiad i zdjęcia pani najnowszych projektów, przede wszystkim o ten unowocześniony kostium i czarną warstwową suknię wieczorową z kameliami. Uważamy... to znaczy, gdyby nie miała pani nic przeciwko.

Moje spojrzenie zbija ją z tropu. Kiedy wyjmuję papierosa, prawie odskakuje. Wypuszczając dym nad jej głową, pytam:

- Czy chodzi pani o to, żeby dokładniej przyjrzeć się mojej kolekcji w tej chwili?

- Tak, byłabym bardzo wdzięczna, oczywiście jeżeli nie ma pani nic przeciwko. Możemy wrócić później z fotografem. - Prowadzę ją w kierunku swojej pracowni, ona zaś rusza pospiesznie za mną. - To naprawdę doskonały fotograf - papla. - Jeden z najlepszych w tej branży. Panna Ballard uważa, że będzie idealnie nadawał się do tej sesji.

Amerykański „Vogue” zamierza wygłaszać peany na moją cześć, tak jak to zawsze robił. A jeżeli przyjmie mnie Ameryka, będzie musiała to zrobić również Francja. Moje klientki powrócą. Kobiety są zbyt inteligentne, żeby odrzucić zdrowy rozsądek.

Tłumię gwałtowny, pełen triumfu uśmiech. Chanel powróciła.

Niech moja legenda idzie dalej w świat. Z całego serca życzę jej długiego i szczęśliwego życia.

OD AUTORA

Kiedy Coco Chanel wróciła do Paryża i zaprezentowała swoją nową kolekcję w 1954 roku, we francuskich czasopiśmie branżowych krytykowano ją za anachroniczne projekty i wytykano jej, że nie umie iść z duchem czasu - wyznaczanym przez „New Look”, kolekcję Diora, która zapoczątkowała powrót do ideału kobiecości, w którym piękno okupione zostało brakiem wygody. Coco postanowiła zignorować odradzającą się modę na gorsety i przedstawiła proste, zapewniające swobodę sukienki, odwołując się do początków swej kariery. Mimo to amerykański „Vogue”, odwieczny orędownik prac Chanel, bronił jej wizji, a zwłaszcza kuszącej interpretacji kompletu składającego się ze spódnicy, żakietu i kapelusza. Z czasem kostium Chanel stał się kultowym strojem, chętnie naśladowanym klasykiem, który do dzisiaj nie wyszedł z mody.

Misia Sert zmarła w 1950 roku, pięć lat po Jose-Marii Sercie, który dostał zawału, kiedy malował mural w Vichy. Coco, by oddać cześć Misi, swej niewątpliwie najbliższej przyjaciółce, wróciła do Paryża i przygotowała jej ciało do pogrzebu.

André Palasse bardzo podupadł na zdrowiu na skutek internowania w Niemczech i zmarł w Szwajcarii pod koniec lat czterdziestych. Vera Bate-Lombardi zdołała wrócić do Rzymu dzięki pomocy udzielonej jej przez gabinet Churchilla. Zmarła w 1948 roku. Z powodu kolaboracji z nazistami Serge Lifar nie mógł pracować we Francji przez dwa lata. Po upływie tego czasu, wyruszył z paryską Opéra Ballet w triumfalną trasę po Ameryce, oszałamiając tamtejszą publiczność swoją wirtuozerią. W 1958 roku wybuchły nowe kontrowersje i musiał on zrezygnować ze swojego stanowiska. Zmarł w 1986 roku i został pochowany na cmentarzu rosyjskim w Sainte-Geneviève--des-Bois. Pośmiertnie wydano jego wspomnienia. Jean Cocteau stał się jednym z najbardziej cenionych francuskich artystów. Był niezwykle płodny: tworzył poezję, sztukę, powieści, dramaty i filmy. Zmarł w 1963 roku. Po drugiej wojnie światowej Brytyjczycy aresztowali Günthera Hansa von Dincklage. Podjąwszy wcześniej jedną nieudaną próbę, uzyskał w 1949 roku zgodę na wjazd do Szwajcarii i odnalazł Coco. W tym samym roku Chanel przyjechała do Paryża, żeby ustosunkować się do zeznań złożonych podczas procesu barona de Vaufrelanda, francuskiego zdrajcy i agenta niemieckiego wywiadu. Zaprzeczyła wszystkim oskarżeniom i została uniewinniona. W 1953 roku sprzedała swoją willę La Pausa, którą dotychczas odwiedzała latem. Czasem bywała tam w towarzystwie Spatza, który ostatecznie przeniósł się na Baleary i przez resztę życia malował obrazy erotyczne. Zmarł w 1976 roku.

Jak na ironię, Coco współpracowała z Pierre'em Wertheimerem aż do swojej śmierci. Po wojnie Wertheimer wrócił do Francji i odzyskał kontrolę nad Parfums Chanel, co doprowadziło do serii procesów. Zakończyły się one w 1947 roku, kiedy Coco podpisała z Wertheimerem ugodę, dzięki której stała się niezwykle bogata. Pomimo ich częstych konfliktów, Pierre stał się jednym z jej najbardziej zaufanych współpracowników i powierników.

Po kolekcji z 1954 roku Coco stworzyła jeszcze kilka innych, unowocześniając swoje najsłynniejsze kreacje. Odzyskawszy sławę i uznanie na całym świecie, mimo podeszłego wieku spotykała się z przyjaciółmi, znanymi klientami i kilkoma kochankami - aż do śmierci, do której doszło w niedzielę 10 stycznia 1971 roku w jej apartamencie w Ritzu. Miała osiemdziesiąt siedem lat. Opuściła ten świat, za nic nie przepaszając. Westchnęła tylko: „A zatem to w ten sposób się umiera”.

Została pochowana na cmentarzu w Lozannie, a jej marmurowy nagrobek zdobi pięć lwich głów - w ten sposób połączyły się na zawsze jej znak zodiaku i symboliczna dla niej liczba. Żaden inny projektant nie odcisnął tak trwałego piętna na historii światowej mody i na zbiorowej wyobraźni.

PODZIĘKOWANIA

Ta powieść, być może bardziej niż wszystkie inne, które dotąd napisałem, jest wyrazem miłości. Po raz pierwszy zachwyciłem się Chanel już jako nastolatek, kiedy moje rozkwitające stopniowo zainteresowanie modą skłoniło mnie do tego, by zająć się nią zawodowo. Miałem nadzieję, że sam zostanę projektantem, wkrótce jednak, podczas studiów w San Francisco Institute for Design and Merchandising, przekonałem się, że wielu ludzi ma nieporównanie większy talent ode mnie. Zrobiłem zatem dyplom z marketingu i przez dwanaście lat podróżowałem między San Francisco a Nowym Jorkiem. Zajmowałem się w tym czasie sprzedażą detaliczną, byłem specjalistą w dziedzinie reklamy, kierownikiem sklepu vintage oraz koordynatorem pokazów mody awangardowych projektantów.

Moja fascynacja modą i osobowościami, które ją kształtują, nigdy jednak nie minęła -choć przestałem pracować w tej branży w połowie lat osiemdziesiątych XX wieku. Dlatego właśnie okazja do napisania powieści poświęconej legendarnej Coco Chanel, której burzliwa droga do sławy i pełne dramatycznych zwrotów życie prywatne miały tak wielki wpływ zarówno na jej czasy, jak i na późniejsze dziesięciolecie - okazała się dla mnie spełnieniem marzeń.

Ten sen nigdy by się nie ziścił, gdyby nie pomoc wielu osób, poczynając od mojej przyjaciółki Melisse, która jako pierwsza nakłoniła mnie, żebym porzucił swoją obsesję na punkcie XVI wieku i podjął pewne ryzyko zawodowe. Moja agentka Jennifer Weltz wspierała mnie i prowadziła przez liczne mielizny, które nieuchronnie towarzyszą tego typu przedsięwzięciom. Redaktorka Rachel Kahan z entuzjazmem podjęła to ryzyko, spełniając tym samym inne moje marzenie. Zawsze chciałem z nią współpracować. Zespół z wydawnictwa William Morrow służył mi swym ogromnym doświadczeniem. Żadne słowa nie wyrażą tego, jak bardzo jestem im wdzięczny.

Mój mąż wspiera mnie we wszystkich moich przedsięwzięciach i podtrzymuje mnie na duchu podczas długich, samotnych godzin, które spędzam przy biurku. Zawsze jest przy mnie -towarzyszy mi zarówno podczas ekstatycznych, jak i trudnych chwil, będących przecież udziałem każdego pisarza - ale przede wszystkim dzielimy ze sobą codzienność, w której często się zapominam, gdy porwie mnie wena. Moje koty Boy i Mommy dają nam codziennie wiele miłości, nieustannie przypominają mi, że istnieje życie poza komputerem. Dzięki przyjaciołom, takim jak Sarah Johnson, Linda Dolan, Michelle Moran, Robin Maxwell, Margaret George i Donna Russo-Morin - nie staję się kompletnym odludkiem. Pomagają mi w tym również moi instruktorzy jogi z Excelsior Yoga, dzięki którym nie tracę zwinności. Bardzo doceniam również wsparcie i poczucie humoru wszystkich swoich znajomych z Facebooka oraz fanów, a także pracę administratorki mojej strony internetowej Rae Monet.

Przede wszystkim jednak dziękuję tobie, drogi czytelniku - bo to, co robię, byłoby bez ciebie niemożliwe.

Stajesz się przecież sercem pisanych przeze mnie słów. Dajesz im życie.

San Francisco 19 sierpnia 2013 - 9 stycznia 2014

ZRODŁA

Szukając informacji o życiu prywatnym Coco, korzystałem z bardzo licznych źródeł. Nie ulega wątpliwości, że do dzisiaj postać ta pozostaje kontrowersyjna i tajemnicza. Trudno się też oprzeć wrażeniu, że nawet po śmierci broni ona dostępu do prawdy o swoim życiu. Mimo to każda poświęcona jej książka jest kolejnym elementem tej enigmatycznej układanki. Poniżej zamieszczam listę prac, które uważam za istotne - choć chciałbym podkreślić, że wyliczenie to nie stanowi kompletnej bibliografii:

- C. Baillen, *Chanel Solitaire*, New York 1974.
- L. Chaney, *Coco Chanel: życie intymne*, tłum. A. Gralak, A. Sak, Kraków 2012.
- P. Galante, *Mademoiselle Chanel*, Chicago 1973.
- M. Haedrich, *Coco Chanel: Her Life, Her Secrets*, New York 1971.
- A. de la Haye, *Chanel*, London 2011.
- S. Lifar, *Ma Vie*, New York 1970.
- A. Madsen, *Chanel - kobieta niezwykła*, tłum. J. Puchalska, Warszawa 1990. J.T. Mazzeo, *The Secret of Chanel No. 5*, New York 2010. J.T. Mazzeo, *The Hotel on the Place Vendôme*, New York 2014. P. Morand, *The Allure of Chanel*, London 2009.
- J. Picardie, *Coco Chanel: legenda i życie*, tłum. K. Karłowska, Poznań 2011. A. Riding, *A zabawa trwała w najlepsze: życie kulturalne w okupowanym Paryżu*, tłum. P. Tarczyński, Warszawa 2012.
- E. Roux-Charles, *Chanel*, New York 1975.
- H. Vaughan, *Sleeping with the Enemy*, London 2011.